

BESTSELLER „THE NEW YORK TIMES”



Ta, która
przeżyła

LISA
JACKSON

AUTORKA 30 MILIONÓW
SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY!

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

LISA
JACKSON

Ta, która przeżyła

Tłumaczenie: Agnieszka Kalus



ROZDZIAŁ 1

Mount Hood, Oregon

Dwadzieścia lat wcześniej

Skrzyyyyyyp!

Kara otworzyła oczy.

Co to było?

Wytężyła wzrok w ciemności.

– Ani słowa.

Zaczęła krzyczeć.

Ale jakaś dłoń zasłoniła jej usta.

Mocno.

– Ciii!

Marlie? Czy to siostra przycisnęła jej głowę do poduszki?

Zaczęła się szamotać.

– Przestań! Słuchaj i nic nie mów! – Ostrzeżenie wyszeptano wprost do jej ucha. Gorący oddech na skórze. – Słuchaj mnie. – Głos nie pozostawiał wątpliwości. To nie był żart ani wygłupy, do których Kara się przyzwyczaiła dzięki trzem starszym braciom.

„Urwisy”, tak nazywała ich mama. „Rozrabiaki”, mówił tata.

Teraz jednak była tu tylko Marlie i miała wystraszony głos.

– Rób, co ci mówię – ostrzegła. – Żadnych pytań. Żadnego sprzeciwu. Sprawa jest poważna, Misiaczku, więc ani mru-mru.

Dlaczego?

Jakby czytając w myślach Kary, Marlie dodała:

– Nie ma czasu na wyjaśnienia, więc mi zaufaj. Jesteś mądrą dziewczynką. Tak mówią o tobie w szkole, prawda? Że wyprzedzasz innych uczniów? Więc rób, co ci mówię, okej? No to chodź.

Kara pokręciła głową, jej włosy zaszeleściły na poduszce, a oczy zaczęły przyzwyczajać się do słabego światła. To, co tak przestraszyło Marlie, nie może być aż tak okropne. Mama będzie wiedziała, co zrobić.

– Nie hałasuj, dobrze? Rozumiesz?

Marlie uniosła rękę, a Kara nie mogła się opanować.

– O co...? – zaczęła szeptem, a Marlie znowu zasłoniła jej usta. Mocniej. Wcisnęła Karę w łóżko.

– Posłuchaj wreszcie! – wycedziła przez zaciśnięte zęby. Karę zmroziło, gdy zrozumiała, że siostra nie żartuje. Chociaż mama czasem twierdziła, że starsza z dziewczyn bywa „panikarą”, tym razem było inaczej. Marlie zachowywała się inaczej. Była śmiertelnie przestraszona.

Kara to wyczuła i leżała spokojnie.

– Musisz się ukryć. Jak najszybciej.

Ukryć?

– Jak najszybciej. Rozumiesz?

Zaskoczona Kara potaknęła.

– Ale nie tutaj. – Marlie powoli odsunęła dłoń od twarzy Kary.

– Dlaczego? Gdzie jest mama...? – zapytała Kara szeptem. Nie mogła się powstrzymać.

– Cholera! Przestań! Kara, proszę! – Marlie znowu zakryła dłonią usta młodszej siostry. Brutalniej. Wcisnął głowę Kary w poduszkę. – Żadnych pytań! Bo cię usłyszą!

Kto? Kto mnie usłyszy?

Serce Kary biło jak szalone. W jej żyłach płynął strach.

– Chodź ze mną i nic nie mów! Nie żartuję, Kara. Są tu źli ludzie. Nie mogą cię znaleźć. Jak znajdą, zrobią ci krzywdę, rozumiesz? – Marlie pochyliła się nad nią, więc nawet w ciemnej sy-

pialni Kara zauważyła, że jej niebieskie oczy ze strachu zrobiły się okrągłe. Była ubrana w dzinsy i bluzę, jasne włosy spłotła w warkocz.

Kara gwałtownie pokręciła głową.

– Dobrze. Ostatni raz – ostrzegła Marlie. – Zrozumiałas?

Kara powoli pokiwała głową. Bała się okropnie.

– Obiecuj, że będziesz cicho.

Kara przełknęła ślinę mimo guli w gardle i ponownie potaknęła.

– Kocham cię, Misiaczkule... Przyjdę po ciebie. Obiecuję. – Marlie zawahała się przez sekundę, po czym odsunęła rękę.

Kara się nie odezwała.

– Dobrze. – Marlie popatrzyła za okno, gdzie światło księżyca odbijało się od grubej warstwy śniegu, po czym ujęła Karę za rękę. – Chodź!

Pociągnęła, lecz Karze nie potrzebowało dalszej zachęty. Wygramoliła się ze skotłowanej pościeli. Cichutko przeszły obok łóżka Marlie, na którym pomimo ciemności Kara zobaczyła schludnie ułożone kupki ubrań na pomiętej kołdrze. Stały tam nawet buty Marlie. Teraz, podobnie jak Kara, dziewczyna szła bosą.

Nie będzie słycać jej kroków.

Karę zmroziło. Coś tu było nie tak. I to bardzo. Nastąpiła na jakąś zabawkę, chyba but Barbie, ale trzymała język za zębami. Tymczasem Marlie uchyliła drzwi na korytarz.

Razem z zapachem dymu z dopalającego się kominka dobiegł ją z dołu nikły odgłos kolędy.

Cicha noc...

Marlie wyjrzała w ciemność.

Święta noc...

Zrobiwszy głęboki wdech, Marlie ścisnęła dłoń Kary i wyszeptwała:

– Chodźmy. – Po czym pociągnęła młodszą siostrę w ciemny, wąski korytarz. Minęły zamknięte drzwi pokoju chłopców i skierowały się ku schodom wiodącym na parter, skąd dochodziło światło i gdzie tuż za barierką znajdowały się duże drzwi do sypialni mamy i taty.

Pokój niesie...

Przez chwilę Kara miała nadzieję, że Marlie zabiera ją do mamy, ale nie. Zatrzymała się przy ostatnich drzwiach przed schodami, tymi, które zawsze były zamknięte na klucz, bo prowadziły na strych i do nieużywanych pomieszczeń na górze.

Co?

NIE!

Ludziom wszem...

Kara stanęła jak wryta. Nie wejdzie tam! Nie, nie, nie!

Zaczęła protestować, ale Marlie zmroziła ją spojrzeniem.

Bim!

Kara podskoczyła, jej serce dudniło.

Ale to tylko stary zegar przy drzwiach wejściowych wybijał godzinę i zagłuszał muzykę.

– Jezu – wyszeptwała Marlie pod nosem i pociągnęła Karę na schody.

Bim!

– Nie, Marlie – powiedziała cicho Kara, czując, że im wyżej znajdują się na wąskich, drewnianych schodach, tym bardziej spada temperatura.

– Nie mamy wyboru! – warknęła Marlie cicho, gdy dotarli na drugie piętro.

Nie włączyła górnego oświetlenia, lecz wyjęła z kieszeni małą latarkę, która rzucała cienki snop światła na przykryte prześcieradłami meble i kartony, zapomniane lampy i stosy książek, otwarte torby z nieużywanymi ubraniami. Rodzina wykorzystywała to dodatkowe miejsce jako schowek na rzeczy, chociaż według mamy dawniej były tam pokoje służących.

– Życzę sobie – dodała mama, zapalając papierosa, gdy ostrzegła cały swój „patchwork”, że tamta strefa jest zakazana i uznana za niebezpieczną – żebyście nigdy tam nie wchodzili. Bo czeka was długi szlaban. Słyszycie? Długi.

Oczywiście, że jej groźba nie podziałała.

Oczywiście, że wszyscy się tam zakradali i eksplorowali pomieszczenia.

Chociaż to piętro miało pozostać poza ich zasięgiem, jej bracia zawsze tam wchodzili,

a Kara kręciła się po niewielkich, połączonych ze sobą pomieszczeniach na tyle często, żeby wiedzieć, jak się stamtąd wydostać. Ale dzisiaj, w ciemności, lodowate pokoje wydawały jej się złowieszcze i groźne, a zamknięte drzwi postrzegała jak strażników strzegących wąskiego korytarza.

Bom!

– Gdzie mama? – zapytała ponownie, walcząc z paniką.

Marlie zerknęła na nią i pokręciła głową. Położyła palec na ustach, przypominając Karze o zachowaniu ciszy, po czym pociągnęła ją po gołej podłodze w głąb korytarza.

To nie było w porządku.

Bardzo nie w porządku.

Na samym końcu znajdowała się jeszcze jedna klatka schodowa, znacznie węższa. Wręcz ciasna. Schodziła aż do kuchni. Przez jedną ulotną sekundę Kara myślała, że wróci ją na dół, co wydawało się jej głupie, skoro dopiero co weszły na górę, ale Marlie miała inny plan. Zatrzymała się tuż przed schodami, przy małym, niczym drzwiczki kredensu, wejściu na strych.

Kara miała coraz gorsze przecucia.

– Co chcesz...?

Marlie wyjęła klucz z przedniej kieszeni dzinsów i wsunęła go do zamka. Po sekundzie drzwiczki otworzyły się ze skrzypieniem.

– Chodź.

Kara się cofnęła i pokręciła głową.

– Nie chcę. – Przecież Marlie by nie...

– Mam to gdzieś. – Marlie na siłę przeciągnęła ją przez ciasne wejście i zamknęła za nimi drzwi.

– Co to, do cholery, ma znaczyć?

– Nie przeklinaj.

– Ale...

– Słuchaj. Próbuję cię uratować. Nas. – Rozległo się głośne kliknięcie, gdy próbowała włączyć światło. Nic się nie wydarzyło.

– Kurde – burknęła Marlie, gdy tak stały w ciemności.

– Nie przeklinaj – odpyskowała Kara. – Przed czym nas ratujesz?

– Ciii. Cicho. Nie chcesz wiedzieć.

– Tak! Tak, chcę! Powiedz!

– To... skomplikowane. – Marlie się zawahała.

– I straszne.

– Tak, naprawdę straszne. – Ponownie włączyła latarkę, żeby oświetlić wiodące na górę, kręte schody. Stopnie były strome i tak wąskie, że ledwie mieściła się na nich stopa Kary, i prowadziły na poddasze ze spadzistym sufitem. Było tam bardzo zimno i ciemno jak w studni.

– Nie pójde tam.

– Ależ pójdziesz. Chodź.

Niedobrze.

Kara miała gęsią skórę i chociaż aż ją korciło, żeby zaoponować, nie zrobiła tego. Ton głosu Marlie, tak do niej niepodobny, sprawił, że zawsze zbuntowana Kara posłuchała i zaczęła wchodzić na górę. Marlie trzymała małą latarkę, która rzucała słabe światło.

Na szczycie schodów, pod skośnym dachem, gdzie Kara spodziewała się zobaczyć śpiące nietoperze, Marlie się zatrzymała i zawahała, stojąc jeden stopień niżej. Kara weszła już na strych, więc mogły spojrzeć sobie w oczy. Starsza siostra oświetliła latarką swoją twarz od dołu, przez co jej oblicze wyglądało jak zdeformowane. Mały dołeczek na jej brodzie znalazł się w cieniu, wyglądała teraz, jakby założyła straszną maskę, podobnie jak jej brat Jonas, kiedy opowiadał historie o duchach i dla spotęgowania efektu podświetlał sobie twarz od dołu.

Jednak dzisiaj było inaczej.

Dzisiaj to nie była zabawa. Kara nie miała wątpliwości.

– Musisz tu zostać i czekać, aż po ciebie wrócę.

– Nie!

– Tylko na chwilę.

Kara pokręciła głową.

– Chcę do mamy.
– Wiem, ale już ci mówiłam, że nie ma szans.
– Dlaczego? – Ogarniała ją panika. – Nie zostawiaj mnie samej.
– Tylko na chwilę.
– Nie!
– Kara...
– Nie zostanę tutaj. Dlaczego w ogóle tak mówisz? – dopytywała.
– Muszę mieć pewność, że jesteś bezpieczna, dobrze...?
– Nie, nie dobrze.
– Potem po ciebie przyjdę. Przyrzekam.
– Bezpieczna przed czym? – Kara płakała ze strachu. Ile razy jej rodzeństwo coś jej przyrzekało, okazywało się to kłamstwem. – Powiedziałaś, że są tu źli ludzie. Kto?
– N-nie wiem.
– Co robią?
– Nie... Ja nie... Nie jestem pewna, ale wiem, że coś złego... dzieje się coś złego, Kara.
– Co... co złego?
– Nie wiem.
– I to tutaj.
– Ja... tak... proszę, rób, co ci mówię.
Kara podejrzewała, że jej siostra celowo zataiła prawdę.
– Gdzie mama i tatuś?
Chwila milczenia.
– Na dworze.
– Kłamczucha. – Dlaczego Marlie ją okłamywała?
– Kara...
– A Jonas, Sam i Donner? – pytała z paniką.
Jej starsi przyrodni bracia. Wszyscy tu dzisiaj byli. Widziała ich przy kolacji i później. Donner i Sam słuchali muzyki i grali w gry wideo, może nawet pili, a Jonas, samotnik, siedział u siebie w pokoju i ćwiczył ruchy ninja czy co tam zwykle robił. Sam się z nim drażnił, nazywając go Jonas Joe-Judo. Czego Jonas nienawidził.
– Nie ma ich.
– Wyszli? – W Wigilię? To było dziwne. – To czego się boisz?
Marlie nerwowo oblizła usta. Mówiła najcichszym szeptem.
– Tak jak mówiłam, ktoś tu jest. Ktoś inny. Ktoś zły.
– Kto? Skąd wiesz? – To jakieś wariactwo. – Ale powiedziałaś, że wszyscy są na zewnątrz, a teraz... Przez ciebie się boję.
– Dobrze.
– Chcę do mamy.
– Powiedziałam ci, że tu jej nie ma! – Marlie wciąż szeptała, ale teraz z trudem panowała nad gniewem. Jak mama, kiedy się wkurzała na braci Kary. – Po prostu mnie słuchaj, dobrze? Zostaniesz tu na chwilę, dopóki nie będzie bezpiecznie, a potem wrócę i...
– Nie! – Marlie chciała ją tu zostawić, samą w środku nocy?
– Tylko na chwilę – powtórzyła Marlie, ale Kara wciąż energicznie kręciła głową.
– Nie, nie! Nie możesz. Nie zostawiaj mnie! – Panicznie wczepiła się w siostrę. Dlaczego Marlie to robiła? Dlaczego? Kara miała siedem lat i nie rozumiała, dlaczego musi zostać. Sama. W ciemności, na okropnym zakurzonej strychu, gdzie śmierdziało stęchlizną i gdzie na pewno mieszkały pająki, szcury i osy, i każda inna ohydna rzecz, jaka istniała na świecie. – Nie zostanę tu sama, Mar...
– Ciii. Bądź cicho! – Marlie mocniej zacisnęła dłonie na przedramionach Kary.
– Proszę...
– Słuchaj! – powiedziała Marlie ostro, choć szeptem, który zabrzmiał jak ostrzegawcze sygnalizowanie węża.
Potrząsnęła siostrą. Jej palce mocno wbiły się długie rękawy piżamy Kary.
– Auć!

– Ani słowa, Misiaczk. Cicho. Słyszysz? Mówię poważnie.

– Ale nie możesz mnie tu zostawić. – Nie w tym zimnym, pełnym przeciągów miejscu pod belkami spadzistego dachu. – Zamarznę!

– Nieprawda.

To było nie w porządku. Kara może i miała niecałe osiem lat, ale wiedziała, że to było złe. Całkiem złe.

– Kłamiesz!

Marlie złapała ją za rękę tak silnie, że Kara upuściła latarkę, która stoczyła się po schodach.

– Do diabła – przekląła. – Choć raz, Kara, zrób to, co ci każę. – A potem zbiegła po schodach, niemal potykając się o latarkę.

Kara ruszyła za nią, ale była krok z tyłu, więc Marlie dopadła drzwi pierwsza, przeszła przez nie i zamknęła je za sobą.

Klik.

Kara złapała za klamkę, ale ta ani drgnęła.

Zamknięte? Drzwi są zamknięte? Marlie to zrobiła?

Zapłonął w niej gniew i strach, gdy dotarł do jej uszu dźwięk szybkich kroków oddalającej się dziewczyny.

Nie, nie, nie!

– Marlie! – Szarpała klamkę i waliła w drzwi, po chwili jednak zastanowiła się nad swoją sytuacją i złość trochę jej minęła. To nie były żarty. Działo się coś złego. Bardzo złego. Coś... potwornego. Stłumiła strach i otarła łzy, które popłynęły jej ze złości. Ręce bolały ją w miejscach, gdzie siostra je ścisnęła.

Miała ochotę krzyczeć, wrzeszczeć, walić pięściami w drzwi, żeby ktoś ją usłyszał, żeby móc uciec z tego więzienia pod spadzistym dachem i znowu zacząć oddychać.

Opanowała się jednak. Przypomniała sobie słowa Marlie, wyszeptane niczym tchnienie śmierci: „To skomplikowane... I naprawdę straszne”.

Drżąc, przygryzła wargę i patrzyła na drzwi, ciemną barierę oddzielającą ją od reszty świata. Nie mogła tak tu tkwić i czekać.

A jeśli ten ktoś, kto według Marlie przyszedł do domu, wejdzie na schody i ją znajdzie?

A jeśli skrzywdzi Marlie? A jak ją *zabije*? Serce Kary zamarło.

Ponownie zapragnęła być przy mamie i tacie. Wiedzieliby, co zrobić. Ale według Marlie odeszli, nie skłamałaby. Nie w tej sprawie.

A może?

Szczękając zębami, z szaleńczo bijącym sercem, Kara podniosła latarkę i drżąc, patrzyła na drzwi, próbowała coś usłyszeć, cokolwiek poza dzikim biciem swojego serca. Miała ciarki.

Usiadła na najniższym stopniu, włączała i wyłączała malutką latarkę, patrząc, jak jej żółtawe światło na sekundę oświetla drzwi, po czym znowu pochłania je ciemność.

Światło.

Ciemność.

Światło.

Klik, klik, klik.

Po każdym włączeniu światło było słabsze. Nie mogła tak siedzieć i czekać, gdy baterie się wyczerpywały. A jeśli Marlie nigdy po nią nie wróci?

Kara miała ochotę wrzeszczeć i walić w drzwi. Ponownie sięgnęła ręką, jej palce zacisnęły się na zimnej klamce. Ale zdołała się powstrzymać. Nic dobrego z tego nie będzie. Tylko zwróci na siebie uwagę, a tego nie chciała. Nie, musi być sprytna. Musi znaleźć inną drogę ucieczki.

Z wielką determinacją wspięła się po chybottliwych schodach na strych, gdzie znajdowało się okrągłe okno, było wysoko, wpadało przez nie słabe światło księżycy i oświetlało zakurzone, zapomniane kartony. Kartony i skrzynki ktoś opisał, niektóre słowa Kara umiała przeczytać: *Książki. Ubrania. Biuro*. Gdzieniedzie widniały imiona. *Sam jr. Jonas. Donner. Marlie*. Jej siostra i bracia. Nie było kartonu dla niej, najmłodszej, jedynego wspólnego dziecka mamy i taty. Jeszcze nie. Usłyszała jakiś szelest, w odległym kącie było coś żywego. Malutkie pazurki stuknęły w podłogę. Wie-wiórka? Albo mysz... lub szczur?

Zadrżała, przeglądała zawartość jednego kartonu, gdy to usłyszała – okropny, mrozący krew

w żyłach krzyk dochodzący z niższego piętra.

– AAAUUUUU!

Kara podskoczyła. Prawie się posikała. Wstrzymała oddech, gdy straszne wycie odbijało się echem po domu.

Co to było? Kto to był?

Marlie?

Mama?

A może ktoś inny?

Łup!

Dom się zatrzęsł.

Upadło coś naprawdę dużego.

Karze zaschło w ustach, zamrugła, żeby się nie rozpłakać.

Czy to ciało?

Komuś stała się krzywda, więc krzyknął, a potem upadł?

Marlie?

– Mama – wyszeptała, tłumiąc szloch.

Nie bądź dzieckiem.

Walil jej puls, strach ją paraliżował, lecz zmusiła się do omięcia kartonów snopem światła z latarki. Znalazła ten z napisem Biuro. Był zamknięty, tekturowe skrzydła nachodziły na siebie, ale trochę odstawały. Oświetliła wnętrze i zobaczyła pożółkłe papiery, stary zszywacz, koperty, taśmę klejącą i zakurzone nożyczki. Wyjęła nożyczki i spinacz, który spinał jakieś dokumenty, po czym cichutko zeszła na dół i stanęła przy drzwiach.

Widziała, jak Jonas to robił przy zamkniętych drzwiach łazienki, gdy go podglądała. Wzięła spinacz, wyprostowała go najlepiej jak umiała, po czym wsunęła w małą dziurkę pod klamką. Już raz to zrobiła w pokoju Sama juniora i Donnera, wtedy się udało, a teraz... kręciła drucikiem w zamku, gdy usłyszała inny dźwięk dochodzący zza drzwi.

Dalej, dalej, powtarzała w duchu. Wyjęła drucik, po czym znowu wsunęła go do dziurki i delikatnie przekręciła... wyczuła, że coś się porusza. Zamek poddał się z cichym kliknięciem, a ona, walcząc ze strachem, zrobiła głęboki wdech, chwyciła nożyczki i pchnęła drzwi.

ROZDZIAŁ 2

W korytarzu było pusto.

I prawie ciemno; światło dochodziło jedynie z przeciwnej strony, gdzie słabe żarówki oświetlały klatkę schodową.

Raczej nie jesteśmy same...

Kara oblizwała usta, podobnie jak sto razy wcześniej, kiedy zakradała się i buszowała po tym starym domu. Doszła do mniejszej klatki schodowej i zaczęła schodzić w ciemności: miała wrażenie, że jej skóra za mocno opina jej ciało, z trudem oddychała.

Zeszła na pierwsze piętro, gdzie z oddali usłyszała muzykę, po czym wślizgnęła się do swojego pokoju. Był pusty, ale gdy zapaliła latarkę, zauważyła, że na łóżku Marlie wciąż leży stos ubrań. Złożone ubrania i buty obok otwartej walizki. Jej łóżko wyglądało tak jak je zostawiła z odrzuconą, pomiętą kołdrą.

Ale siostry tu nie było.

Przygryzła wargę.

Walczyła z lękiem.

Usłyszała melodię tej samej kolędy rozbrzmiewającej gdzieś w domu.

...Pokój niesie ludziom wszem...

Ledwie oddychając, przeszła przez korytarz do pokoju Jonasa, najmniejszej z sypialni, jeszcze bardziej zabałaganionej niż zwykle. Łóżko było nieposłane, na biurku leżały śmieci, na podłodze ubrania, gry i... O Boże! Światło odbiło się od jakiegoś nieruchomego oka.

Upuściła latarkę i stłumiła krzyk. Skulona, wycofała się ku drzwiom, po czym uświadomiła sobie, że patrzy na wypchaną głowę jelenia, która normalnie wisiała na ścianie, a teraz leżała na podłodze oparta na rogach.

Cholera!

Miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

To był tylko jelen. Nie żył od dawna. Głupie, martwe zwierzęta wisiały w całym domu i zawsze ją straszyły. Podniosła latarkę i omiotła resztę bałaganu. Niedaleko jelenia zauważyła orła, wszędzie poniewierały się jego pióra. Uświadomiła sobie, że ptak nie tylko spadł ze ściany, lecz też został pocięty i... pozbawiony głowy. Ciało z podkurczonymi szponami wciąż było przymocowane do podpórki, ale głowa leżała osobno, ostry dziób wbijał się w dywan, a szklane oczy patrzyły potężnie.

Ścisnęło ją w żołądku, gdy uniosła latarkę i oświetliła ścianę nad szafką Jonasa, gdzie zawsze wisiał miecz, zabytek z jakiejś dawnej wojny. Nie można go było dotykać ani zdejmować ze ściany.

Nigdy.

Teraz broni tam nie było.

Nic dziwnego.

Po południu Kara przechodziła koło tego pokoju i przez uchylone drzwi zobaczyła Jonasa z mieczem w ręce, wymachiwał nim, jakby był bohaterem jakiejś fantastycznej bitwy. Ninja czy kimś w tym stylu.

Idiota, pomyślała wtedy.

Teraz śmiertelnie się bała.

Zacisnęła palce na nożyczkach.

Następny pokój należał do dwóch starszych braci. Donner tak naprawdę był bratem Marlie, a oboje byli dziećmi mamy. Mama miała ich, zanim poślubiła tatę. A Sam junior i Jonas też byli braćmi. Synami taty. Mieli inną, „prawdziwą” mamę. A Kara była jedynym dzieckiem obojga rodziców.

Ale to nie miało znaczenia.

Na pewno nie teraz.

Pragnęła tylko znaleźć któregoś z nich.

Pokój starszych chłopców wyglądał tak samo jak zawsze – składała się na niego płatanina skotłowanych prześcieradeł i narzut zsuwających się na podłogę, gdzie dołączały do kłębu ubrań, butów i buciorów, papierków po cukierkach i puszek. Plecak Sama juniora stał podparty w nogach łóżka, a jego nowa komórka Nokia leżała na szafce nocnej. Chłopak był tym bardziej uporządkowanym z braci i nigdy nigdzie się nie ruszał bez nowego telefonu. Więc dlaczego go tu zostawił?

Ścisnęło ją w gardle, gdy omiotła pokój słabnącym światłem latarki. Część pokoju należąca do Donnera wyglądała jak śmietnik. Był tam mały karton po pizzy i częściowo ukryta pod poduszką paczka papierosów.

Kara miała nerwy napięte jak struny, wyszła na korytarz i ponownie usłyszała muzykę.

Za anielskim głosem pieni...

Dochodziła z odtwarzacza płyt CD na dole.

Z duszą na ramieniu Kara znowu weszła na tylne schody dla służby, by uniknąć dużej, rzeźbionej klatki schodowej, która ciągnęła się od głównego wejścia i salonu. Bezszelestnie zeszła do kuchni, gdzie nie paliły się żadne lampy. Jedynie z zewnątrz dochodziło światło księżycy odbijającego się od śniegu. Cichutko minęła wyspę na środku, potem pod łukiem przeszła do jadalni, gdzie stał ogromny stół, zajmujący przestrzeń od kredensu po przeszklone drzwi prowadzące na zewnątrz. Przez szyby widziała grubą pokrywę śnieżną na werandzie, za którą rozciągało się jezioro, częściowo osłonięte rzędami ośnieżonych jodeł i sosen.

Stół został już nakryty na następny dzień, kryształowe kieliszki lśniły czerwienią od wygasającego kominka, wcześniej rozpalonego przez tatę. Kara przyglądała się, jak układał w nim drewno, które wyjął z wbudowanego schowka, po czym zapalił stare gazety i podpałkę i czekał, aż pojawiły się strzelające płomienie. Zapach dymu był tu silniejszy, czuła też coś innego... coś dziwnego, o słodko-metalicznej nucie. Przed dużym oknem pod kątem stała choinka, białe światełka mrugały na połamanych gałązkach.

Przedtem wyglądało to inaczej.

Kara poczuła mrowienie na karku.

I wtedy zauważyła ściany.

W dół spływało coś ciemnego.

Czerwonego.

Gęstego.

Krew!

Zabarwiła ściany na szkarłatny kolor i zbierała się w kałużach na podłodze.

Kara krzyknęła, poczuła, że zaraz zwymiotuje. Zrobiła dwa kroki i weszła do salonu, gdzie ponownie krzyknęła. Na jasnym dywanie mamy leżał Donner z rozplatanym gardłem, skórą białą jak mleko, włosami blond zaplamionymi na czerwono i niewidzącymi, nieruchomymi oczami. Cofnęła się, piętą nastąpiła na coś miękkiego. Gdy się odwróciła, zobaczyła, że to Sam junior zwinięty w kłębek, z zakrwawionymi włosami, otwartymi ustami i oczami wpatrującymi się w jeden punkt.

– Neeeeee! – krzyknęła znowu, szlochała i czuła skurcze żołądka.

Upuściła nożyczki i latarkę, zaczęła się odwracać, gdy zauważyła Jonasa, częściowo ukrytego za choinką, z zakrwawioną twarzą i koszulą oraz kosmykiem czarnych włosów na twarzy. Miał otwarte oczy.

Niemal się zapowietrzyła, patrząc na niego. Wrzasnęła, gdy mrugnął.

Żył?

Ale jak?

– K-k-k-k-k-a... karrra... – wyszeptał, jego głos był zniekształcony.

Tylko się gapiła na jego pomazaną krwią twarz.

– Wezwij... on... on... wezwij... pomoc... – Próbował się dźwignąć, ale padł na plecy. – Idź... biegnij... – szeptał, słowa zdawały się wilgotne. Jego oczy wywróciły się do tyłu głowy, cofnęła się i poślizgnęła na krwi, która chyba była wszędzie – na ścianach, na podłodze, a jej rozbryzgi nawet na suficie.

– Marlie! – krzyknęła. Gdzie, do cholery, była siostra? – Marlie! – Krztusząc się, wypadła z pokoju i pobiegła do krótkiego korytarza prowadzącego do sypialni rodziców.

Szlochając niepowstrzymanie, Kara z trudem oddychała, gdy pchnęła drzwi i ujrzała rozgrywający się za nimi horror.

– Nie! – Zapłakała, zupełnie się rozklejając. – Nie, nie, nie! – Rodzice leżeli w łóżku, mama w jedwabnej piżamie, a ojciec tylko w bokserkach. Oboje byli umazani krwią, która splamiła pościel i ochlapała zagłówek oraz ścianę. Jasnowłosa mama była rozczochrana, miała szkliste, nieruchome oczy, a twarz taty przybrała straszny, niebieskawy odcień, z rozchylnych ust płynęła mu krew. Na nagim torsie znajdowały się duże, okropne rany, krew tężała na kręconych włoskach na klatce piersiowej.

Zszokowana, Kara wyszła z ich pokoju.

Nie żyli.

Wszyscy nie żyli.

Oprócz Jonasa.

Ruszyła z powrotem do salonu, do brata, kiedy pomyślała o telefonie.

Musiała zadzwonić i sprowadzić pomoc.

911.

Nie mogła jednak wrócić do sypialni mamy, nie mogła patrzeć na rodziców w takim stanie... Nie, musiała zawrócić. Telefon był w kuchni, a na górze nowa komórka Sama juniora. Musiała zadzwonić po policję. I po karetkę. Ale biegnąc przez salon, zauważyła, że Jonas znowu upadł. Prawdopodobnie było już za późno!

Ruszyła w jego stronę.

Drzwi wejściowe się otworzyły.

Marlie?

Nie!

Nie siostra.

Jakiś mężczyzna.

Duży mężczyzna stanął w drzwiach.

Zabójca!

Wiedziała, że to on.

O Boże.

Krzyknęła, odwróciła się na pięcie, jej bose stopy poślizgnęły się w kałuży lepkiej krwi.

– Jasna cholera! Co, do kur...? – powiedział mężczyzna.

Zobaczył ją!

Zerwała się do biegu na łeb na szyję.

Najszybciej jak umiała przebiegła przez jadalnię, przewróciła kilka krzeseł, po czym zostawiwszy za sobą kredens, wpadła do kuchni.

– Hej! – Głos był niski, rozkazujący i należał do mężczyzny. – Hej! Ty! Stój!

Otworzyła drzwi, przebiegła przez ganek i zeskoczyła ze schodów na zaśnieżone tylne podwórze.

– Stój, mała!

W życiu.

Jego donośny głos jeszcze bardziej ją napędzał, gnała przez zasy. Kątem oka widziała duży kształt na ganku.

– Stój! Hej, mała...

Bez namysłu zanurkowała pod najniższe gałęzie jodły, dobiegła do tylnej ścieżki, która prowadziła nad jezioro. Śnieg był ubity, jakby ktoś po nim chodził, miała wrażenie, że pod stopami wyczuwa lód. Nie zwracała na niego uwagi, biegła dalej, chociaż gałęzie smagały ją po twarzy, a pnącza zaczepiały się o jej piżamę. Usłyszała trzask rwącego się rękawa, poczuła ukłucie kolca, ale się nie zatrzymała, nie odważyła się też obejrzeć do tyłu. Ból rozrywał jej płuca, wydechane powietrze miało formę białej mgły przed oczami, ale nie spowalniała. Dudniło jej serce, biegła z pochyloną głową przez młodnik, czując, jak śnieg spada na jej ramiona, gdy potrącała gałęzie.

Co tam się stało?

Kto zabił mamę i tatę?

Dlaczego? Czowała, że łyzy zaczynają jej zamarzać na policzkach, gdy przypomniła sobie rodzinę, zakrwawioną i pokaleczoną, pamięć podsuwała jej okropne obrazy, drzewa przed nią straciły ostrość. Nieruchomi rodzice leżący we własnej krwi. Sam junior i Donner z zakrwawionymi włosami, szklistymi oczami, leżący obok siebie. Podnoszący się Jonas, mówiący jej, żeby *biegła*. *Spro-*

wadziła pomoc. I Marlie, biała jak duch, wyglądająca zza sosny o długich igłach, ponaglała ją do dalszego biegu. *Biegnij, Kara!* – przekrzykiwała dudnienie w uszach Kary.

Wiedziała, że wszystko to dzieje się w jej wyobraźni.

Wszystkie te duchy.

Ledwie widziała przez łyzy, ale zmuszała się do biegu, do poruszania po śniegu zmarzniętymi nogami.

Słyszała, że on biegnie za nią, ciężkie kroki dudniły na ścieżce, dolatywał ją odgłos łamanych gałązek.

Szybciej. Biegnij szybciej!

Kara z trudem oddychała, ale ujrzała skrzące się jezioro.

Obladzona powierzchnia lśniła w świetle księżyca, wzywała ją do siebie. Na przeciwległym brzegu paliły się światła w kilku domach, niczym w latarni morskiej.

Udało jej się!

Udało!

Szybciej. Biegnij szybciej!

Uderzyła paluchem o korzeń i poleciała do przodu, krzycząc. Ból pulsował w jej stopie, pokuśtykała kilka kroków, kulała, chciała się poddać, rzucić się w śnieg i płakać.

Nie! Biegnij dalej. Sprowadź pomoc. Jonas jeszcze żyje!

Ruszyła przed siebie.

Zabójca się zbliżał.

Słyszała jego urywany oddech, czuła, że ziemia trzęsie się od jego kroków. Ale on też był zmęczony, a kiedy krzyknął, brakowało mu tchu.

– Na miłość boską, dziecko, stój! Ja nie... nie zrobię... Nic ci nie zrobię.

Ani przez chwilę mu nie wierzyła.

Ruchy! Jej umysł krzyczał na nią, z trudem łapała oddech. Dotarła na brzeg, nogi się pod nią uginały, ześlizgnęła się na dół, w stronę tafli jeziora.

– Stój! – krzyknął mężczyzna. – Jezu Chryste, stój!

Rzuciła się w przód, wpadła na zamrzniętą tafle i na czworakach zaczęła oddalać się od brzegu.

– Hej! – krzyczał ponownie, miał zdarty głos.

Nie zwracała na niego uwagi, ślizgając się, wreszcie wstała, ale nie miała przyczepności pod stopami, więc ciężko jej się biegło. Mogła obieć jezioro dokoła. Ale teraz było na to za późno.

Zabójca był już na lodzie.

Nie!

Przyspieszyła, szaleńczo się ślizgała, pragnąc przebiec zamrznięte jezioro i dostać się tam, gdzie migotały światła, gdzie znajdzie kogoś, kto jej pomoże w jednym z tych domków. Musiała to zrobić.

– Nie! O, cholera!

Podążał za nią i ślizgał się na lodzie.

Ogarnęła ją jeszcze większa panika, przebierała nogami, ale nagle upadła i uderzyła się w podbródek.

– Stój!

Biegł po zamrzniętej tafli.

Był coraz bliżej!

Musiała przyspieszyć! Musiała mu uciec!

Odwróciła się przez ramię i ujrzała go kątem oka.

Był zbyt blisko! Znajdował się kilka kroków za nią.

Kara podwoiła wysiłki, gdy się na nią zamierzył.

Trzaaaaaassssk!

Ku swojemu przerażeniu zobaczyła, że lód pod nią pęka. Najpierw pojawiła się jedna poszarpana linia, potem pęknięcia w kształcie gigantycznej pajęczej sieci.

Mężczyzna zastygł w bezruchu.

– Cholera!

Siec się powiększała.

– O Boże – powiedział. – Stój!

W głowie Kary pojawiła się myśl, że ledwie umie pływać. Ani drgnęła.

Ale było za późno.

Do jej uszu dotarł kolejny głośny, złowieszczy trzask, przypominający jęk.

A potem nagle lód się pod nią załamał.

Krzycząc, Kara chlupnęła do lodowatej wody, która pochłonęła ją w całości.

Niczym kamień wpadła w ciemność, w lodowate objęcia jeziora.

Szaleńczo machała rękami, walczyła z paniką, próbowała wydostać się na powierzchnię, płynąc przez bąbelki powietrza i kawałki lodu, widziała nad sobą księżyc nad warstwą lodu. Woda wirowała wokół niej, czuła ją w gardle.

Gdyby tylko zdołała dotrzeć do powierzchni i...

Lód nadal się kruszył, woda wokół niej się wzburzyła, gdy wpadł do niej mężczyzna, jego potężne ciało trafiło tak blisko niej, wytworzyły się fale, które odepchnęły ją dalej od ciemnego przerębła niezamkniętego lodem, dalej od powietrza, którego rozpaczliwie potrzebowała.

Nie, nie, nie!

Poruszała nogami, próbowała wrócić na powierzchnię, podczas gdy on także walczył o oddech; grube ubrania i buty ciągnęły go w dół. Zobaczył ją i wyciągnął rękę.

Próbował ją złapać, ale wymknęła mu się, usiłowała płynąć, rozpaczliwie poruszała rękami, desperacko szukała drogi na górę, tam gdzie na nocnym niebie wisiał księżyc. Zamiast tego odnalazła ciemność. Wodę wokół siebie. Ogień w płucach.

Płyn, Misiaczk. Płyn!

W głowie usłyszała głos Marlie.

Ale na próżno.

Resztką powietrza z jej płuc ulotniła się w postaci małych bąbelków, czuła palący ból.

Ten oszałamiający, czarny świat jeziora wirował wokół niej.

Zakaszła, przez co zachłysnęła się wodą.

Kopała nogami i machała rękami, ale wszystko na nic. Nie mogła znaleźć dziury w lodzie, nie wiedziała, gdzie góra, gdzie dół.

Nie poddawaj się, Kara. Walcz!

Głos Marlie. Odległy i słaby.

Płuca Kary niemal wybuchły, gdy się poddała. Przestała panikować, obracała się powoli i w coraz większej ciemności nie zwracała uwagi na otaczające ją ręce. Świat dziwnie się kręcił, czarny, surrealistycznie cichy i wtedy... wtedy, jakby z jakiegoś odległego miejsca usłyszała muzykę, spokojną melodię kołody.

Pokój niesie ludziom wszem.

ROZDZIAŁ 3

Dwadzieścia lat później

– Wiesz, co mówią, Kara – zaczęła dr Zhou, unosząc lekko cienkie brwi. Siedziała na nadmiernie wypchanym fotelu w swoim biurze na pierwszym piętrze zabytkowego domu leżącego na północnym zachodzie Portland.

– Nie, ale ci „oni” zawsze mają głębokie przemyślenia. Przypuszczam, że to się nie zmieniło – odpowiedziała Kara, po czym zapytała: – Zastanawiałaś się kiedyś, kim są „oni”?

– Och, wiem, kim są. Mędrkami, którzy przez wieki posiadli wielką wiedzę. – Ciemne oczy doktor Zhou zabłysły, odbijając popołudniowe światło wpadające przez okno. Była drobną kobietą. Miała kruczoczarne włosy, inteligentne spojrzenie i szczupłe ciało od biegania w maratonach.

– Cóż, a więc mają pewną przewagę, nieprawdaż? No wiesz, perspektywę czasu i tak dalej. – Kara przeniosła spojrzenie na okno. Grudniowe słońce zaglądało przez skłębione wysoko na niebie chmury, które zwiastowały kolejne opady śniegu, jego promienie lśniły na soplach zwisających z belek niczym kryształowe sztylety. W jeepie miała włączone radio, więc słyszała, że zapowiadali śnieg, nawet trzydzieści centymetrów w Wigilię. Kara wzdrygnęła się na samą myśl. Nie marzyła o białych świętach. Jej raczej kojarzyły się z koszmarem.

– Racja.

– A więc dysponując przenikliwością, jaką mają radę na dzisiaj? Oświeć mnie.

– Że poczucie winy jest zazdrosnym kochankiem.

– Oj, daj spokój. – Kara nie chciała tego słuchać.

– Nie zostawia przestrzeni na żadne inne emocje, przeganiania je, z zapalem strzeże swojego miejsca w sercu człowieka.

– Poczucie winy jest kobietą? Oczywiście. – Kara się roześmiała z goryczą. – A więc nie jesteś już tylko moją psycholożką. Stałaś się filozofką? – Nie potrafiła opanować zdenerwowania.

– Tylko subtelnie przypominam.

Jakby Kara mogła kiedykolwiek pozbyć się poczucia winy, które od dwudziestu lat niestrudzenie jej towarzyszyło.

Dwie dekady terapii, dorastania, zmagania się z traumą, która okaleczyła ją na całe życie, a ją nadal dzieliła przepaść od dobrego samopoczucia. Wiedziała, że nie ma na to leku, ale powtarzano jej, że ma szansę na „normalne” życie. Mówiła to psycholog dziecięca, psycholog dla nastolatki, a teraz doktor Zhou, trzecia terapeutka, z którą spotykała się jako osoba dorosła.

Kara nie miała pewności, czy „normalność” jest jej pisana.

– Powiedziałaś, że nie widzisz już duchów – przypomniała dr Zhou. – Czy to prawda?

– Nigdy nie powinnam ci o tym mówić – odparła Kara. – To był tylko głupi sen.

– Głupi, powtarzający się sen.

– Już od dłuższego czasu nie – skłamała Kara. – Nie śniłam go od dwóch, może trzech miesięcy.

Doktor Zhou mierzyła ją wzrokiem. Odchyliła się do tyłu i stuknęła ołówkiem w usta. Jakby nie wierzyła pacjentce.

– A co z poczuciem, że jesteś obserwowana? Że masz stalkera?

Kara wzruszyła ramionami.

– Z tym też jest lepiej.

– Czyżby? – Terapeutka nadal nie dowierzała. Odłożyła ołówek do kubka stojącego na stoliku.

– Tak! – zapewniła ją Kara.

Dr Zhou się zamyśliła, u zbiegu brwi uwydatniły jej się małe zmarszczki.

– Słuchaj, Kara, wiem, że ta pora roku nie jest dla ciebie łaskawa, że mój wyjazd na ferie może być problemem, ale masz numer do doktor Prescott i moją komórkę w razie nagłego wypadku.

– Chyba cały czas jestem nagłym wypadkiem – stwierdziła żartobliwie Kara. Nie zamierzała dzwonić do innego psychologa ani odbywać sesji z nową osobą w nowym gabinecie. Nie zamierzała zaczynać na nowo ani wtajemniczać w swoje sprawy znajomej doktor Zhou. Nie, czuła się komfortowo w tym pomieszczeniu z lodowato zielonymi ścianami, tapicerowanymi meblami i oprawionymi akwarelami przedstawiającymi kwietne pola. I z tą psycholożką. W końcu. Wystarczająco często zmieniała specjalistów.

– Taka twoja uroda. – Doktor Zhou wstała i wyciągnęła rękę. Kiedy Kara odwzajemniła gest, Zhou raptem ją objęła. Była kilkanaście centymetrów niższa od Kary, ale to nie przeszkodziło jej poklepać pacjentki po plecach. Potem stanęła wyprostowana. – Do zobaczenia siódmego stycznia.

– Chyba że mi się poprawi.

– Yhy. – W jej odpowiedzi wybrzmiał nieskrywany sarkazm. Obie wiedziały, że święta są nie tylko najgorszym okresem dla Kary, lecz że ten rok stawia kolejne wyzwanie: Jonas, brat, który przeżył, miał wyjść z więzienia. Za dwa dni.

O rany.

– Wesółych świąt – powiedziała psycholożka.

– Wesółych świąt. – Głos Kary się załamał, niemal się rozkleiła, wobec czego zabrała swój płaszcz i szal i pospiesznie wyszła, zanim załapała się głupimi łzami. Szybko szła wyściełanym wykładziną korytarzem, minęła inne drzwi z tabliczkami, za którymi znajdowały się różne gabinety lekarskie, po drodze założyła długi płaszcz i szybko owinęła szalik wokół szyi.

Przeszła przez szklane drzwi budynku, wcześniej dwupiętrowego, i dotarła na mały parking, gdzie przy oblodzonej kałuży czekał jej jeep. Otworzyła go zdalnym kluczykiem.

Śnieg został zasolony i odgarnięty, ale niebo znowu groziło opadami, chmury zrobiły się stalowe i ciemne, szybko zbliżał się zmrok. Sprawdziła wnętrze auta.

Nikt się nie chował.

Wsiadła i odpaliła silnik. Z przyzwyczajenia zabezpieczyła drzwi i sprawdziła lusterka. Nikogo nie zauważyła, nie próbował jej dopaść żaden szalony zabójca, ale zobaczyła swoje smutne oczy w kolorze orzecha, które znowu wypełniały się łzami.

– Przestań! – powiedziała, po czym włączyła dźwięk w iPhonie, położyła go w zagłębieniu na kubek i wcisnęła gaz. Jeep ruszył do tyłu, a ona wrzuciła pierwszy bieg.

Jej telefon zapiszczał, zerknęła na wyświetlacz.

Pojawiło się na nim imię cioci Faizy.

– O nie – wymamrotała pod nosem. – Na pewno nie teraz. A może nigdy. – Nie zamierzała rozmawiać z kobietą, która tak chętnie zgodziła się nią zająć, żeby położyć łapę na jej spadku – spadku, który w końcu dostanie, gdy za dwa tygodnie skończy dwadzieścia osiem lat. Nie chciała wysłuchiwać wścibskich pytań ciotki Faizy ani jej męczących wynurzeń. Ta część życia Kary już dobiegła końca. Powinien niepokoić ją fakt, że ciotunia Fai wciąż mieszka w jej rodzinnym domu, posiadłości w West Hills z widokiem na miasto Portland; zgodnie z prawem to Kara miała go odziedziczyć. Ale w ogóle się tym nie przejmowała. Wielki dom z siedmioma sypialniami, szeroką klatką schodową i zapierającymi dech w piersiach widokami był jedynie bolesnym wspomnieniem – życia, z którego ją obrabowano. Ciotka Faiza została mianowana jej opiekunką, więc wraz ze swoim chłopakiem muzykiem zajęła to miejsce, żeby zajmować się Karą, ale ich brak zaangażowania był wręcz namacalny, a Kara dorastając większość czasu spędziła z Merritem Margrove'em i jego drugą żoną, Helen. Ich mały, parterowy dom po wschodniej stronie rzeki, wciśnięty w jedną z wąskich ulic Sellwood był dla niej prawdziwszym domem niż wielka posiadłość na zalesionych wzgórzach.

Dodała gazu i włączyła się do ruchu na drodze, wjeżdżając przed wlokącego się pick-upa. Za swoje wysiłki została wynagrodzona wygrazaniem ręką ze strony kierowcy w czerwonej czapce z daszkiem i głośnym trąbieniem klaksonu, lecz nie zareagowała i jechała dalej. Telefon ponownie zadzwonił. Ciotka Faiza się nie poddawała.

– Super. – W ostatniej chwili skręciła, lekko się wycofała, żeby wjechać na zatłoczony parking pod sklepem monopolowym. – Zły pomysł – skomentowała, ale wyłączyła silnik, wysiadła, zamknęła za sobą samochód, włożyła kluczyki do kieszeni i weszła do środka.

Terytorium było znajome, transakcja łatwa.

Dwie butelki merlota i dla równego rachunku duża flaszką wódki.

W końcu zbliżała się Wigilia. A jej brata wypuszczali z pierdła. Pora zaszałec, Bóg jej świadkiem, że potrzebowała nieco pocieszenia w ten czas. A raczej sporo pocieszenia.

Kobieta przy kasie była po pięćdziesiątce i śmierdziała papierosami i miętówkami. Miała przedwcześnie pomarszczoną twarz, a ufarbowane na pomarańczowo włosy częściowo przykrywała czapką elfa z dzwoneczkiem, który dzwonił przy każdym ruchu jej głowy.

Wesołych świąt.

Kara zapłaciła gotówką i zignorowała ciekawskie spojrzenie kasjerki, kiedy ta podawała jej resztę i torbę z butelkami.

Walić to. Kobieta próbowała przypomnieć sobie, skąd ją zna.

Kara uwielbiała anonimowość.

Która, jak wiedziała, niedługo zostanie jej odebrana.

Jakby na potwierdzenie swoich myśli, zauważyła gazetę na stojaku. Nagłówek krzyczał: ZABÓJCA WINNY MASAKRY NAD ZIMNYM JEZIOREM WYCHODZI NA WOLNOŚĆ. A mniejszymi literami: JONAS MCINTYRE OPUSZCZA WIĘZIENIE.

Ścisnęło ją w żołądku. Poczula żółć w gardle.

Gdy następna klientka, kobieta po sześćdziesiątce w długim, czerwonym płaszczu i berecie pod kolor, postawiła na ladzie butelki wina, Kara złapała egzemplarz gazety i powiedziała:

– Jeszcze to. – Po czym położyła na blacie pięć dolarów.

– Chwileczkę – oburzyła się klientka nadętym, niegrzecznym tonem, a jej usta w kolorze płaszcza wygięły się z niesmakiem. – Teraz moja kolej.

– Owszem, ale ja byłam pierwsza. Wesołych świąt – odparowała Kara, po czym, ignorując kobietę, którą zatkał pokaz jej bezczelności, zwróciła się do kasjerki: – Resztę proszę włożyć tutaj. – Wskazała słoik na datki dla miejscowego schroniska dla psów.

– Coś podobnego! – powiedziała klientka.

– Grunt, że nic podobnego do pani. – Kara wsadziła gazetę pod ramię i odeszła, czując na sobie wzrok oburzonej kobiety.

To nie było zbyt mądre, Karo. Pamiętaj: chcesz wtopić się w tłum. Pozostać anonimowa.

– Taa, jasne.

Z butelkami pobrzękującymi w siatce wyszła na zewnątrz, gdzie zdażył już zapaść mrok, zapaliły się latarnie i zaczął padać śnieg.

Sprawdziła tylne siedzenie, po czym położyła torbę na fotelu pasażera i wyjechała z parking, podczas gdy kobieta w berecie patrzyła na nią potępiająco, wsiadając do białego mercedesa. Kara ponownie włączyła się do ruchu oddalającego się od centrum miasta, tym razem zrobiła to z mniejszym impetem. Gaz, hamulec. Światła hamowania i światła mijania, chociaż była dopiero czwarta po południu, o tej porze roku wieczór zaczynał się szybko. Rozłożona gazeta „Register” leżała na siedzeniu pasażera i kpiła z niej zamieszczonymi na pierwszej stronie nagłówkami i zdjęciem górskiej chatki należącej do jej rodziny. Cóż, o ile dwupiętrowy dom zaprojektowany przez sławnego architekta sto lat wcześniej można nazwać chatką. Jej rodzice tak na niego mówili.

Pełna zdobień i imponująca, wykonana na specjalnie zamówienie dla jej prapradziadka „chatka” wciąż tam stała i rozkładała się, rdzewiejąc. Kara zakładała, że wciąż stoi przed nią szyld NA SPRZEDAŻ, chociaż nie było chętnych na pełen zakamarków, stary dom, gdzie zaszlachtowano całą rodzinę. Ta tragedia dorobiła się własnej nazwy: Masakra nad Zimnym Jeziorem lub Masakra Rodziny McIntyre’ów – obie wzbudzały w niej dreszcz.

Zwolniła przed czerwonym światłem i wtedy jej telefon ponownie się rozdzwonił. Wyświetlił się jakiś nieznanym miejscowy numer. Żadnego imienia.

– Zapomnij.

Odkąd podano do wiadomości, że niedługo wypuszczą Jonasa, nie mogła się opędzić od dzwoniących dziennikarzy, z którymi nie miała ochoty rozmawiać. Nawet z tym irytującym Wesleyem Tate’em. Zwłaszcza z nim. Był zbyt inteligentny. Zbyt czarujący. Zbyt przystojny i zbyt dobrze znał sprawę.

Jego ojciec, policjant po służbie, uratował ją od utonięcia. Ale sam nie przeżył. Ponownie poczuła więcej niż odrobinę poczucia winy. Chyba była winna jego synowi trochę swojego czasu, żeby opowiedzieć mu tę historię z własnego punktu widzenia.

Ale nie. To nie był dobry pomysł. Nieważne, jak blisko sprawy znajdował się Tate i jaki miał z nią związek emocjonalny, przede wszystkim był dziennikarzem i mężczyzną.

A Kara obecnie była na etapie nienawidzenia wszystkich mężczyzn. Przez Brada Jonesa, którego wyrzuciła na bruk zaledwie dwa tygodnie wcześniej.

Brad, podobnie jak kilku innych chłopaków, których miała przed nim, bardziej interesował się nią przez wzgląd na jej niechlubną przeszłość niż dla niej samej. I oczywiście chodziło o jej spadek, o to, co z niego zostało, o tę odrobinę, której ciotka Fai nie zdołała roztrwonić.

– Ależ zaskoczenie. – Włączyła radio, żeby rozwiać wszelkie żale po Bradzie, i oczywiście rozbrzmiała świąteczna piosenka.

Co gorsza, samochód wypełniła melodia *Cichej nocy*.

...czuwa sama uśmiechnięta...

– Nie. Nie ma mowy. – Boże, gdzie się podziewało *Rockin' Around the Christmas Tree*, gdy było potrzebne? Kara wyłączyła radio, po czym przez kolejną godzinę jechała we względnej ciszy, aż minęła znak WITAMY W WHIMSTICK, który obwieszczał, że mieszka tu nieco ponad dwanaście tysięcy osób.

Kara okrążyła główną część miasta, jadąc bocznymi uliczkami, aż w końcu skręciła w spokojny zaułek, gdzie stał jej dom. Ledwie знаła swoich sąsiadów, bo nie chciała ich poznawać. Trzy domy dalej, tuż pod niewielkim wzgórzem, wjechała na podjazd. Na szczęście na ośnieżonej ulicy nie stały furgonetki stacji informacyjnych ani nie tłoczyli się reporterzy. To kwestia czasu. Pojawia się, w chwili gdy Jonas McIntyre stanie się wolnym człowiekiem.

Pilotem otworzyła drzwi garażu i zanim całkowicie się podniosły, wjechała do środka. Ponownie wcisnęła przycisk i zamknęła za sobą drzwi. W niecałą minutę znalazła się w domu, włączyła światła, podkręciła ogrzewanie i została przywitana przez Rapsodię, swojego psa, który na oko prawdopodobnie był częściowo terierem, częściowo labradorem i zdecydowanie po części pitbullem. Bez testu DNA trudno byłoby coś stwierdzić na pewno. A nie zamierzała wydawać pieniędzy na odkrywanie pokręconego drzewa genealogicznego Rapsodii. Kogo to obchodziło? Jedyne, co Kara wiedziała, to to, że ten kosmaty, ważący ponad dwadzieścia kilogramów kundel z mądrymi, złotymi oczami kochał Karę jak nikt inny, odkąd była dzieckiem.

– Tak, dobra dziewczynka – powiedziała, głaszcząc psa po uszach i uśmiechając się, gdy Rapsodia z radości kręciła się w koło, zmieniając się w rozmazaną, karmelową smugę. – Dobrze, już dobrze, rozumiem. Chodź, dostaniesz smaczka – obiecała, wyjmując z torby butelkę czerwonego wina. – A ja dostanę swojego. Siad.

Rapsodia usiadła, wbiła wzrok w Karę i czekała na ciasteczko o smaku bekonu. Pies podskoczył i złapał je w locie, po czym potruchtał do salonu, żeby schrupać je na swoim posłaniu, podczas gdy Kara w najwyższej szufladzie znalazła korkociąg i zabrała się do pracy.

Zanim Rapsodia wróciła i stanęła w drzwiach, Kara już nalewała wino do kieliszka. Sącząc merlota, otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz popatrzeć, jak Rapsodia wybiega na ganek i płoszy jakiegoś ptaszka z gałęzi.

Pies był jej najlepszym przyjacielem – w zasadzie jedynym. Jej wina. Nigdy nie ufała żadnym znajomym, których poznała przez te wszystkie lata. Zbyt wielu ludzi chciało się do niej zbliżyć, bo: a) byli ciekawi jej przeszłości, b) chcieli czegoś od niej, c) wszystkie z powyższych. Przyjaciele po prostu nie byli warci zachodu. Psy, zwłaszcza Rapsodia ze swoim niegasnącym uczuciem, była znacznie lepsza. A chłopaki? Wrr. Szkoda gadać.

Znowu sypało – drobne, malutkie płatki, które miały zmienić się w kolejną puszystą warstwę na leżących już dziesięciu centymetrach śniegu. Rapsodia galopowała z jednego końca podwórza na drugi, wytracając skumulowaną energię i wydeptując nową ścieżkę w białej pokrywie. Zaśnieżony trawnik był długi i wąski, pies miał miejsce do biegania ograniczone płotem i rzędem gęstych, nieprzebytych zarośli, tui, rododendronów i wawrzynów. Dawały Karze dość prywatności, by nie musiała oglądać sąsiadów, ani by oni jej nie podglądali. Tak było super. Teraz zarośla pokrywał śnieg, co przypominało jej jodły i sosny otaczające chatkę i tę okropną noc, kiedy biegła przez las, noc, gdy wydarzyła się tragedia, która zmieniła jej życie na...

– Przestań! – powiedziała tak głośno, że Rapsodia ryjąc nos w śniegu w rogu domu gwałtownie uniosła głowę, postawiła uszy i wypatrywała intruza. – Przepraszam. – Uspokoila psa. – Chodź. Kończ już tam. Jest zimno.

Upiła kolejny łyk wina i poczuła, że zaczyna się rozgrzewać od środka, podczas gdy pies dokazywał na śniegu, rozrzucając wokoło białe grudy i otrzepując z nosa biały pył. Och, fajnie byłoby być taką beztroską, pomyślała smutno Kara, gdy z oddali dobiegł ją odgłos silnika odrzutowego. Spojrzała w górę, próbując dostrzec coś przez grubą warstwę chmur. Gdzieś wysoko nad nią znajdował się samolot pełen ludzi, który leciał przez nocne niebo do nieznanego jej miejsca. Zamrugła, płatki śniegu przykleiły się do jej rzęs.

Ile by dała, żeby odlecieć.

Zapomnieć.

Ale już tego próbowała. Wycieczka do Europy lata temu. Nie pomogła. Zwiedzanie, wystawy, zamki, galerie sztuki i tłumy ludzi nie były w stanie sprawić, żeby nie wracała myślami do Zimnego Jeziora. Wieża Eiffla, Luwr, Notre Dame w Paryżu, Big Ben i Pałac Buckingham w Londynie, zamki nad Renem, willa nad jeziorem Como, pokój nad barem w Belfaście... zmieniły się teraz w odległe wspomnienie, a ból pozostał, poczucie winy trzymało się dobrze. Wszystkie przeprowadzki, które miała za sobą, do Portland z ciotką Faizą, potem do college'u w Kalifornii, następnie do Denver i w końcu do Baton Rouge, gdzie ukończyła studia na Uniwersytecie Stanowym Luizjany, nie pomogły jej pozbyć się wspomnień. Nowi przyjaciele, nowe miejsca, nowe początki. Wszystko na próżno.

Czy naprawdę sądziła, że uda jej się pokonać przeszłość?

Co za głupota.

A na ironię, jedyna praca, którą udało jej się zdobyć, była tu w Oregonie, w odległości nie większej niż godzina drogi od brzegu Zimnego Jeziora i domu, gdzie rozegrał się cały ten horror. Jej życie zatoczyło pełen krąg, dając jej możliwość „konfrontacji z przeszłością i swoimi demonami”, jak radzono jej od lat, ale z jakim skutkiem? Wciąż była jak tykająca bomba. I wiedziała, że raczej nic się nie zmieni do końca jej życia.

A dom, w którym dorastała? Ten w Portland, który odziedziczyła, czy też odziedziczy za niecałe dwa tygodnie? Obecnie zajmowała go ciotka Faiza, która wprowadziła się tam przed upływem miesiąca od tragedii. W sądzie oświadczyła, że Kara potrzebuje „równowagi”, „znanego domu”, „miejsca, gdzie będzie mogła się zakotwiczyć”. Okazało się jednak, że stary dom w West Hills nie jest jej domem, stał się miejscem, którego unikała, posunęła się nawet do tego, że zamieszkała z Merrittem Margrove'em i jego drugą żoną, żeby nie przebywać w tym wielkim domostwie z widokiem na miasto, w miejscu, które zamieszkiwały duchy przeszłości. Chociaż krwawa masakra rozegrała się prawie sto kilometrów od domu na wzgórzu z niesamowitym widokiem, nigdy nie czuła się tam jak u siebie. Nie po tym, co się stało. Poczuła, że ścisną jej gardło, oczy płoną na wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa, które zostało zakończone przez szaleńca w górach w piwni wigilijny wieczór.

– Oj, odczep się od siebie – zażądała na głos i zauważyła, że osuszyła kieliszek. Czas na drugi. I na zakończenie tej żalostnej imprezy. W końcu kto powiedział, że te wspomnienia były aż tak szczęśliwe? To, co sama pamiętała, było niewyraźne, miało dziury, wszystkie te nostalgiczne momenty składały się z małych przebłysków, może nawet snów pozszywanych do kupy, lecz wciąż niepełnych. Teraz nie chciała o tym myśleć.

– Chodź, Raps! – zawołała psa.

Weszła do środka, Rapsodia wbiegła za nią, otrząsając futro ze śniegu i wody.

– Proszę bardzo. Czyste podłogi są przereklamowane. – Zamknąwszy drzwi, Kara zdjęła płaszcz i szalik, zawiesiła je przy tylnych drzwiach, po czym rozpięła kozaki i zostawiła je przy stojaku na parasole. – Obiadek? – zapytała i nakarmiła psa, zanim dołała sobie wina do kieliszka.

Przed pójściem do sypialni na górze popatrzyła na zegarek. Dopiero po szóstej.

– Może być – stwierdziła, po czym zdjęła džinsy i sweter i przebrała się w ulubioną, obszerną piżamę.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, wyglądała blado i wątko w za dużej co najmniej o rozmiar flanelowej piżamie, a zęby miała przebarwione od czerwonego wina.

– Żalostne – skomentowała swój wygląd. Podczas gdy większość dwudziestoośmiolatek szykowała się teraz na wieczorne wyjście, ona zamykała się w domu. Próbowwała imprezować, chodziła do klubów, spotykała się z ludźmi w swoim wieku, ale od ukończenia studiów nie za bardzo interesował ją taki tryb życia. Zapewne także i przez to nie wyszło jej z Bradem. Ale powodów było wię-

cej.

Wróciła na dół, napełniła kieliszek i gdy w salonie zerknęła na regał z książkami obok kominka, zobaczyła jedno ze zdjęć przedstawiających ich dwoje. Stali razem na tle palm i trzymali kieliszki z szampanem, za nimi zachodziło słońce Florydy. Szkło było pęknięte od ich ostatniej kłótni, lecz Kara uznała, że fotografia powinna zostać na widoku, wraz z pęknięciem, mimo że przypomina jej pękający lód na Zimnym Jeziorze przed wieloma laty.

Nie myśl o tym. Zamknęła się na ten ciąg myśli.

I na Brada.

Jak to mówią, był historią. Włączyła kominek gazowy, siadła na kanapie i poklepała miejsce obok siebie, żeby przywołać Rapsodię. Pies przyjął zaproszenie. Bezmyślnie włączyła telewizor, płaski ekran zawieszony nad kominkiem. Z przyzwyczajenia zaczęła przerzucać kanały, telezakupy, gotowanie, remonty, jakieś Gator Busters i Real Gold Diggers aż znalazła wiadomości, w których głównym tematem była Masakra nad Zimnym Jeziorem, przywołana ponownie ze względu na cofnięcie wyroku i zwolnienie z więzienia Jonasa McIntyre'a.

– Cudownie – wymamrotała, słuchając dziennikarza przytaczającego dobrze znane fakty i patrząc na wyświetlane na ekranie zdjęcia jej rodziny i domku w górach. – Po prostu... cudownie.

Dziennikarz opowiadał o wydarzeniach tamtej krwawej nocy.

W skrócie przedstawiało się to tak:

Zamordowano cztery osoby: Samuela McIntyre'a i jego żonę, Zeldę McIntyre, oraz dwoje ich dzieci, Samuela McIntyre'a juniora i Donnera Robinsona. Na miejscu śmierć poniósł także detektyw Edmund Tate, policjant, który spędzał urlop w pobliskim domu i któremu udało się uratować Karę McIntyre, najmłodszą córkę Samuela i Zeldy.

Zaginiona: Marlie Robinson, córka Zeldy McIntyre i jej pierwszego męża, Waltera Robinsona. Marlie nie widziano od tamtej nocy.

Drugi syn Samuela McIntyre'a, Jonas, cudem przeżył atak, chociaż był poważnie ranny, po czym został oskarżony i skazany za popełnienie tej odrażającej zbrodni.

Teraz, dzięki nowym informacjom, wyrok został uchylony. Jonas miał zostać zwolniony z więzienia po odsiedzeniu za kratkami niemal dwudziestu lat, ponad połowy swojego życia. Jonas, powiedział dziennikarz, zawsze twierdził, że jest niewinny.

Policja ponownie otwiera tę sprawę.

I liczy na informacje od widzów.

– W tej chwili – dodał prowadzący, zerkając w dół na biurko, by gwałtownie podnieść głowę – dotarły do nas najświeższe wieści w sprawie. Właśnie się dowiedzieliśmy, że Jonas McIntyre został zwolniony dziś po południu. Nasza reporterka znajduje się pod więzieniem... Marilyn?

– Co? – wyszeptała Kara, patrząc w ekran, na którym dziennikarka, opatulona w czerwoną kurtkę narciarską z logo stacji na jednym z ramion, stała, mrużąc oczy w sypiącym śniegu. Za nią wznosiły się surowe mury więzienia Banhoff.

Kara wpatrywała się w ekran, w wielką, betonową konstrukcję, w której przebywali najgorsi przestępcy w historii Oregonu. Była tam, odwiedzała Jonasa, widziała wieżyczki strażnicze i drut kolczasty na szczycie potężnych murów. Jonas wyszedł? Już? I nikt jej nie zawiadomił?

Nikt poza czerwonym paskiem informacyjnym ze słowami: JONAS MCINTYRE SKAZANY W MASAKRZE NAD ZIMNYM JEZIOREM WŁAŚNIE ZOSTAŁ ZWOLNIONY Z WIĘZIENIA.

ROZDZIAŁ 4

O Boże!

Poczuła słabość w kolanach.

Dziennikarka coś mówiła, a Kara starała się skupić.

– Dokładnie tak, Elliocie, przed chwilą dowiedzieliśmy się, że Jonas McIntyre dziś po południu opuścił więzienie. Wcześniej informowano, że miał zostać zwolniony pod koniec tygodnia, na razie nie wiemy, dlaczego nastąpiła zmiana, ale...

Reszta wypowiedzi złała się w niezrozumiały szum.

Kara gapiła się w ekran, nie widząc studia, reporterki ani nawet więzienia, nie słysząc, co mówią. Pograżyła się w sieci obrazów z tej lodowatej, okropnej nocy. Jej umysł skupił się na tym, co zapamiętała: czerwonych i niebieskich świateł pojazdów policyjnych odbijających się w śniegu. Jonasię, zakrwawionym i nieprzytomnym, niesionym na noszach do karetki. Swoich własnych szczękających zębach, mokrych włosach i niemal zamrożonej skórze, gdy policjantka owijała ją ręcznikiem. Gliniarzach – niezliczonej ich liczbie otaczającej dom. Żółtej taśmie policyjnej, której koniec łopotał pod nisko zwieszonymi gałęziami ośnieżonej jodły.

Doznała szoku, ale nie była ranna, powiedziała lekarka z izby przyjęć miłej, mocno zbudowanej kobiecie z opieki społecznej, która miała na głowie ręcznie dzierganą czapkę i pachniała lawendą. Ciotka Faiza szybko pojawiła się na posterunku policji z zaczerwienioną twarzą. Starła się nie płakać, ale na próżno. Drżąc i szlochając, mocno tuliła otępiałą i cichą Karę.

Kara zamrugała, poczuła, że po jej policzkach płyną łzy. Otarła je ze złością.

Jonas był wolny?

Jak to możliwe, że nie dowiedziała się wcześniej?

Ach, tak? Ilu telefonów nie odebrałaś? Ile wiadomości skasowałaś?

Bezwiednie napiła się z kieliszka. Zauważyła, że drży, wino mocno się kołysało.

Uspokój się. Wyszedł. I co?

Chyba nie sądzisz, że jest zabójcą, prawda?

Przygryzła wargę.

Och, Kara. Okłamywałaś się przez cały ten czas?

– Zamknij się! – powiedziała, wstała, rozlewając merlota, i podeszła do zlewu, by wylać resztę wina.

Wyjrzała przez okno na ciemną noc i zobaczyła nie tylko odbicie telewizora na szkle, lecz także swoje odbicie: twarz bladą jak śmierć, wielkie, zapadnięte oczy i policzki.

Kogo próbowała okłamać?

Nie ciotkę Faizę. Nie dr Zhou. Nawet nie siebie, jeśli miała być szczerą. Była wciąż tą samą przerażoną dziewczynką, którą zamknięto na strychu dwadzieścia lat wcześniej, dziewczynką, która była świadkiem krwawych następstw zbrodni popełnionej na swojej rodzinie.

Chociaż sądzono jedynie Jonasa, Kara czuła się tak, jakby i ją osądzano.

To było dawno temu, a mimo to tak niedawno, że miała wrażenie, iż może wyciągnąć rękę i dotknąć wspomnień. Jakby to było wczoraj.

Ośmioletnia dziewczynka siedziała na twardym krześle na miejscu świadka, taka zabłąkana. Przerażona. Bała się, że powie coś nie tak. Przygotowywano ją, mówiono, że jest bystra, „starsza niż jej lata” według ciotki Fai, ale i tak...

Sędzia, czarnoskóra kobieta w czarnej todze i okularach bez oprawek, siedziała nad nią, bystrym spojrzeniem oceniała adwokatów zadających pytania. Kara ledwie je rozumiała, ale znała na nie odpowiedzi, została przygotowana na udzielenie na nie odpowiedzi. Zbliżyli się do niej, uśmiechali, pozornie wyglądali przyjaźnie, jakby tylko byli ciekawi, ale ona wiedziała swoje. Instynktownie. Wyczuwała mroczne motywacje w ich pytaniach. Pamiętała, że zmuszała się do patrzenia im w oczy, do zachowywania spokoju, chociaż jej palce mimowolnie ocierały się o siebie.

Teraz, dwadzieścia lat później, Kara próbowała pozbyć się wrażenia, że została zapędzona w pułapkę na tym miejscu świadka, pragnęła zostawić to za sobą i skupić się na ekranie telewizora.

Jako osoba dorosła wiedziała o wiele więcej o tym, co tam się stało, i rozumiała, że ta wstrząśnięta ośmiolatka została zmanipulowana przez oskarżycieli, przez adwokatów i własną ciotkę.

Dosłownie przez każdego.

Sięgnęła po pusty kieliszek stojący w zlewie, ale rozmyśliła się i wróciła przed telewizor. Cofnęła program do początku, do miejsca, gdy reporterka stała przed bramą więzienia. Niczym zahipnotyzowana patrzyła, jak kobieta w kurtce kończy wypowiedź i rozłącza się ze studium.

– Oddaję ci głos, Elliocie – powiedziała, płatki śniegu osiadały na jej włosach, za nią wznosiło się więzienie.

Karę skręcało w żołądku.

Więzienie Banhoff było domem Jonasa przez całe jego dorosłe życie.

Zawibrował jej telefon, więc oderwała wzrok od telewizora, żeby sprawdzić, kto dzwoni. Pojawiło się imię ciotki Faizy. Znowu.

– Super. – Nie była w nastroju na rozmowę z kobietą, która ją wychowała, kobietę tak inną od mamy jak dzień od nocy. Trudno uwierzyć, że były siostrami.

– Uparta jak osioł – powiedziała kiedyś o niej mama, zapalając papierosa na szerokim ganku za domem w mieście. – I zdeterminowana. Wiesz co, Kara, nawet nie próbuj namawiać jej do zmiany zdania. Szkoda się męczyć. – Głęboko zaciągnęła się papierosem, po czym wypuściła dym i zamachała ręką. – Próbowałam ostrzec ją przed Rogerem, ale czy chciała słuchać? Do licha, nie. – Mama pałac, ściągnęła brwi. Nigdy nie lubiła „wujka” Rogera, chłopaka Faizy. Kara wtedy jej nie rozumiała. Wówczas Roger był wysoki i szczupły jak tata, ale miał gęste, brązowe włosy i bladoniebieskie oczy, które lśniły na tle jego wiecznej opalenizny, podczas gdy tata miał czarne, lekko kręcone włosy i jasnobrażowe oczy, które potrafiły przejrzeć każdego na wylot i dotrzeć do samego serca. Ale potem Kara zamieszkała z Faizą i Rogerem, spędziła z nimi lata dziecięce i częściowo nastoletnie. I ujrzała Rogera takim, jakim był naprawdę – mężczyzną, który nie mógł się utrzymać w żadnej pracy, z wielkim apetytem na życie i, jak podejrzewała, jeszcze większymi sekretami.

Telefon zadzwonił ponownie w jej ręce, więc Kara wróciła do terażniejszości i zgrzytając zębami, powiedziała:

– Faiza.

– O, jesteś! Dzwonię całe popołudnie!

– Tak, przepraszam. Właśnie oglądałam wiadomości. Czy Jonas naprawdę wyszedł z więzienia?

– A niby dlaczego tak się do dobijam do ciebie? – zapytała oskarżycielsko Faiza. – Dlaczego nie odbierałaś?

– Byłam zajęta.

– Co robiłaś? – zapytała podejrzliwie. – Co było tak ważne, że nie mogłaś odebrać ani odpisać?

A jakie to ma znaczenie? Jonas wyszedł na wolność! Mimo to odpowiedziała:

– Pracowałam. – Nie do końca prawda, ale...

Faiza prychnęła cicho. Miała bardziej miedziany odcień blondu niż mama, czesała swoje kręcone i mocno lakierowane włosy w taki sposób, żeby okalały jej twarz, na którą zawsze nakładała ekstremalny makijaż, jak nazywała go mama.

– Nigdy nie wyrosła z ultraglamu lat osiemdziesiątych – wyjawiała jej matka. – Gdyby Faiza postawiła na swoim, nosiłaby kręcone włosy do ramion z grzywką i džinsowe kurtki z wielkimi poduszkami na ramionach. – W zasadzie niewiele się zmieniła przez lata.

– Pracowałam – powtórzyła powątpiewająco ciotka.

Kara wiedziała, że Faiza nie traktuje poważnie jej pracy nauczycielki zatrudnianej na zastępstwa. Wystarczająco często powtarzała, że to nie jest zajęcie dla kobiety przed trzydziestką. Trudno. Kara po ukończeniu college’u stwierdziła, że nie nadaje się do uczenia w podstawówce; szkoda tylko, że uświadomiła sobie ten przykry fakt, dopiero gdy zaczęła pracę w szkole i gdy już skończyła studia, czego Faiza również nie potrafiła zrozumieć.

– Dlaczego nie zmieniłaś kierunku? – pytała setki razy.

– No dlaczego? – Kara zawsze odpyskowywała, ale nigdy nie wyjaśniała, że chciała skończyć studia najszybciej jak się dało. Był to jeden z warunków, by mogła odziedziczyć część przypadającego jej spadku po rodzicach, wobec tego uwinęła się z tym w trzy lata, nie cztery, bo nie nada-

wała się do studenckiego życia. Zaszylała się w pokoju w akademiku, potem w mieszkaniu, i zakupała, bo nie potrafiła dać się ponieść imprezowemu stylowi życia na kampusie. A nawet zapisała się na dodatkowe zajęcia i kolejny rok, by zrobić magisterium. Kolejny punkt do spełnienia, by zdobyć spadek zgodnie z wytycznymi w testamentach rodziców.

Ale to nie była pora, żeby o tym rozmyślać. Jej brat wyszedł z za krat.

– A więc Jonas... gdzie on jest?

– Nie wiadomo. Jak na razie. Ale na pewno się pojawi. I to nie w porę.

– Ale...

– Słuchaj, zapewne dowiedziałabyś się pierwsza, gdybyś odebrała ten cholerny telefon. –

Faiza traciła cierpliwość. – Na pewno widziałas, że dzwoniłam i że nagrywałam wiadomości. Czemu nie przeczytałaś moich pieprzonych esemesów!

– Miałam dziś kilka spotkań. – To przynajmniej nie było kłamstwem. Przed dr Zhou Kara odwiedziła swojego księgowego i dowiedziała się, jak bardzo skurczył się jej niegdyś okazały majątek powierniczy.

Tak, to był wspański dzień.

Ścisnęło ją w żołądku, wstała z kanapy i z nieodłączną Rapsodią u boku poszła do kuchni, żeby nalać sobie duży kieliszek wina. Nie dla niej porcje restauracyjne, nie kiedy rozmawia z Faizą.

– Próbowalam cię poinformować, ostrzec cię, że Jonas wychodzi – mówiła Faiza.

– Wiedziałam, że mają go wypuścić. Trzeba by mieszkać gdzieś w Mongolii, żeby nie wiedzieć – warknęła Kara.

Faiza zignorowała sarkazm w jej tonie.

– Mówię o tym, co stało się dzisiaj.

– Sądziłam, że to się miało stać w przyszłym tygodniu.

– Ja też... ale okazało się, że coś się zmieniło. Kto wie? Teraz jest wolnym człowiekiem, ten twój brat przyrodni – stwierdziła zdęgotowana, jakby słowa miały gorzki posmak. – I uwierz, że miał tupet, naprawdę miał tupet, żeby do mnie zadzwonić. Do siostry twojej matki. Ten pieprzony morderca... – Zamilkła, a Kara usłyszała, że robi głęboki wdech. – To znaczy wiem, że był, w sensie jest twoim bratem.

– Który twierdzi, że jest niewinny.

Po drugiej stronie rozległo się prychnięcie.

– Podobno wszyscy tak mówią.

Kara sączyła wino, gdy ciotka dodała łagodnym tonem:

– Chciał numer do ciebie.

– Słucham? – Kara się zachłysnęła, wylała czerwony płyn na piżamę i podłogę w kuchni. – Nie dałaś mu – wybełkotała. Nie była gotowa na konfrontację z Jonaszem bez grubej ściany więzienia pomiędzy nimi.

Cisza.

– Faiza?

– A co miałam zrobić? – zapytała retorycznie ciotka. – I tak by go zdobył.

– Nie chcę z nim rozmawiać.

– A kto chce? – Ciocia Fai, jak Kara nazywała ją w dzieciństwie, miała skruszony głos. –

Dobrze już, dobrze. Przepraszam. Ale wiesz, tak czy inaczej będziesz musiała się z nim zmierzyć. I z tym, co zrobił. To on stoi za tym, co się stało.

– Nie wierzę w to.

– Nigdy nie wierzyłaś, ale mówię poważnie. Chociaż wyszedł, bo policja coś spieprzyła, Jonas McIntyre jest szalonym zabójcą.

– Jest twoim siostrzeńcem.

– Nie, kochanie. Nie jestem z nim w żaden sposób spokrewniona. Moja siostra przez osiem lat była żoną jego ojca, ale ja nigdy nie lubiłam tego dziecka. Nigdy. Zawsze wydawało mi się, że coś jest z nim nie tak. Słuchaj, muszę kończyć, chciałam cię tylko ostrzec.

– Czekał... – Nagle Kara zapragnęła wyciągnąć od ciotki więcej informacji.

– Naprawdę nie mogę, Roger czeka na mnie w aucie. O Chryste. Właśnie zatrąbił tym cholernym klaksonem! – Jej głos dobiegał stłumiony. – Idę, już idę, wstrzymaj te cholerne konie – powiedziała, a do telefonu rzuciła: – Do usłyszenia. Muszę lecieć.

Zanim Kara zdążyła zaprotestować, Faiza się rozłączyła.

Wilgotnym papierowym ręcznikiem Kara wytarła wino z podłogi, osuszyła plamy na piżamie i ponownie dołała sobie z butelki, która była już prawie pusta i wciąż stała koło leżącej na blacie gazety.

Kara wzdrygnęła się, patrząc na pierwszą stronę. Artykuł zamieszczony nad zdjęciem dotyczył potwornych morderstw sprzed dwudziestu lat. Zilustrowano go zdjęciami, na największym był dom w górach w nocy, gdy rozegrała się tragedia, ponieważ na zamrożonej ziemi wkoło budynku uwijało się mnóstwo policjantów. Druga fotografia była policyjnym zdjęciem Jonasa, który pośpiesznie wpatrywał się w obiektyw, ciemne, przyklepane włosy miał odgarnięte z twarzy, wyglądał jak okrutne wcielenie pogromcy całej rodziny. Ostatnie zdjęcie sprawiło, że Karę ścisnęło za gardło, ponieważ patrzyła na znajomą fotografię z wesela mamy i taty. Wysoki pan młody był otoczony swoimi chłopcami w smokingach i z gładko zaczesanymi czarnymi włosami. Z jednej strony panny młodej stał jej jasnowłosy syn w smokingu i jego młodsza siostra w długiej, srebrnej sukni i włosami blond upiętymi na czubku głowy. Panna młoda była ubrana w lejącą się suknię w kolorze kości słoniowej, która ukrywała niewielki ciężowy brzusek. Tak, pomyślała Kara, ona też była na ślubie, bo ten brzusek stał się przyczyną pośpiesznie wziętych rozwodów z poprzednimi partnerami rodziców.

Popatrzyła na zdjęcie, przebiegła wzrokiem artykuł, w tym czasie plamy na jej piżamie wyschły, po czym wyrzuciła gazetę do śmieci.

Nie musiała czytać o Masakrze nad Zimnym Jeziorem.

Pech sprawił, że sama ją przeżyła.

– Ja pierdołę! – Wesley Tate rzucił telefon na fotel po drugiej stronie pokoju. Trzy razy zadzwonił na numer, który dostał do Kary McIntyre, za każdym razem połączył się z pocztą głosową, która prosiła o pozostawienie numeru. Zrobił to dwukrotnie. Ale już dość. Musiał być jakiś inny sposób, żeby się z nią skontaktować.

Weź się w garść, przykazał sobie, podszedł do okna i pomiędzy drzewami ujrzał jezioro – pokryte lodem, jak wtedy.

A więc Kara McIntyre go unikała? No i co?

Przecież nie była to żadna nowość.

Unikała go i praktycznie przez całe swoje życie odcinała się od całego cholernego świata.

A teraz miałyby nagle się otworzyć, tylko dlatego, że jej brat został zwolniony po dwudziestu latach odsiadki? Zgodzić się na wywiad?

– W dupie ci się poprzewracało.

Nie miał jej tego za złe.

Horror tamtej nocy na pewno nie dał się zapomnieć przez te wszystkie lata. On sam był jego częścią.

Wyobraził sobie ojca, który zajmował się swoimi sprawami, gdy nagle jego uwagę przyciągnęły jakieś hałasy dochodzące z sąsiedniej posesji.

Jeśli Kara cokolwiek wiedziała, nawet jeśli coś pozostało w jej podświadomości, nie miał jak jej o to spytać. Nie otworzy się przed nim. Nie mógł jej o to winić.

Czy chciałby, żeby ktoś grzebał w jego życiu po tym, jak przeżył Masakrę nad Zimnym Jeziorem, tragedię, która dotknęła wszystkich członków jej rodziny?

Czy chciałby ponownie przeżywać horror tamtej nocy?

Czy chciałby przypominać sobie proces, podczas którego jej zeznanie pograżyło brata i wtrąciło go za kratki, być może na całe życie?

Czy chciałby stanąć twarzą w twarz z rzeźbionym bratem?

Przenigdy!

Ale nie zamierzał się poddawać. Jeśli dla niego będzie musiała ponownie przejść przez swoje własne piekło, cóż, jak to mówią, tak to już jest.

Historia to historia.

A poza tym, dla niego to było coś więcej.

Dotyczyła go osobiście, bo jego ojciec oddał życie, żeby uratować oszalałe ze strachu dziecko Samuela i Zeldy McIntyre'ów.

Tate uznał, że Kara jest jego dłużniczką.

A niech to.

Pamiętał ją, gdy była dzieckiem, jej długie ręce i nogi, rozczochrane włosy, ale nawet wtedy przez niewinność dzieciństwa przebijał jej charakter. Raz się zakradła blisko niego i kryjąc się w cieniu drzew, podglądała, jak rzucał kamieniami do wody, robiąc kaczki. Zauważył ją.

– Chcesz spróbować? – zapytał i spodziewał się, że ucieknie, jak spłoszony faun. Ale ona wyszła z cienia, podniosła gładki, okrągły kamyk, odrzuciła rękę do tyłu, zrobiła zamach, poruszając nadgarstkiem i puściła kamień, który zaczął odbijać się od srebrzystej powierzchni. Dziesięć razy, woda zafalowała, pojawiły się kręgi małych fal w miejscach dotkniętych przez kamień. Dwie karolinki zakwakały i zamachały skrzydłami, po czym wzbily się wysoko w letnie niebo.

– Ładnie, dobra jesteś – przyznał, bo nie był w stanie ukryć zaskoczenia.

– Czyli jaka? – Uniosła buntowniczo jedną brew. – Ładna czy dobra?

– Słucham?

– Jestem ładna – stwierdziła. – I jestem dobra. Lepsza od ciebie.

Rany.

Przewierciwszy go surowym, znaczącym spojrzeniem, oddaliła się, zostawiając go oniemiałego z wrażenia. Ile wtedy miała – siedem czy osiem lat?

Rozwinięta przedwcześnie. Starsza, niż wskazywałyby jej wiek, za sprawą tego całego starszego rodzeństwa. Zapewne wiedziała takie rzeczy, jakich nie powinien wiedzieć żaden siedmiolatek. Nawet zanim stała się świadkiem następstw zbrodni popełnionej na jej rodzinie.

Poszedł do kuchni, ze starej lodówki wyjął butelkę piwa, zostawił uchylone drzwiczki i rozejrzał się po salonie, takim samym, jak przed laty, wciąż widać tu było ślady bytności ojca. Nad kominkiem koło rogów jelenia, którego zastrzelił z łuku, wisiało zdjęcie przedstawiające całą rodzinę, a w krótkim korytarzu prowadzącym do sypialni trójwymiarowa ramka z kolekcją naszywek, wstążek i medali, które Edmund Tate zdobył przez lata służby w piechocie morskiej. *Prawdziwy bohater*, pomyślał Wesley, wychodząc na ganek za domem, gdzie deski podłogowe zaczynały próchnieć, a zimowe powietrze cięło jak nóż. Właśnie na tym ganku stał jego ojciec wiele lat temu. Edmund palił papierosa, kiedy usłyszał jakieś zamieszanie w sąsiednim domu, więc udał się sprawdzić, co to, i znalazł spanikowaną dziewczynkę pośrodku rzezi, w której zginęła jej rodzina.

Wesley miał wtedy jedenaście lat, był wystarczająco duży, by zafascynował go ten horror, ale na tyle mały, żeby obwiniać ofiarę i, jak wszyscy inni, dość bezbronny, by odczuć stratę ojca, który umarł pomagając innym. Edmund Tate nie był wtedy na służbie. A mimo to poświęcił życie dla tej dziewczynki, wbiegł na łódź, który popękał i załamał się pod jego ciężarem. Edmundowi udało się ją uratować, wyciągnął ją, choć krzyczała, szarpała się i zachłystywała lodowatą wodą, po czym doznał zawału serca i padł na zaśnieżony brzeg.

Gdy teraz Wesley o tym myślał, z całej siły zaciskał szczęki, mrużył oczy; jątrzył się w nim gniew tłumiony przez dwadzieścia lat. Nigdy nie udało mu się pożegnać z ojcem. Edmund w zasadzie nic nie mówił, gdy wkładano go do karetki, która z rykiem odjechała do najbliższego szpitala, gdzie po przyjeździe stwierdzono śmierć Edmunda Tate'a, który stał się jeszcze jedną ofiarą krwawej masakry.

Nawet teraz, niemal całe życie później, Wesley czuł, że boli go serce i zaciskają się jego zęby. Został obrabowany z ojca, którego tak dobrze zapamiętał. Edmund był dużym człowiekiem z nadwagą i palaczem, ale miał tylko czterdzieści siedem lat, kiedy po raz ostatni zanurzył się w lodowatych wodach jeziora.

Dłonie Tate'a zacisnęły się na butelce. Patrzył na oblodzone jezioro, jego gładką powierzchnię rozciągającą się na kilkaset metrów, chociaż dzisiaj widok nieco zasłaniał padający śnieg. Domy na przeciwległym brzegu nie były widoczne, żadne światła nie przenikały przez szepczący biały woal. Przechylił butelkę i pociągnął długi łyk, zimny wiatr szumiał w drzewach i podrywał zamarznięte śnieżynki.

To cholerne jezioro.

Jako dziecko uwielbiał tu przyjeżdżać z rodzicami i młodszą siostrą. To był jego azyl, schronienie z dala od miasta, miejsce eksploracji, czas gdy cała rodzina żyła ze sobą blisko, bo ojciec pracował zaledwie kilkanaście kilometrów stąd. Łowił ryby ze starego doku, polował w okolicznych lasach, grał z ojcem w kosza jeden na jednego, rzucając piłką do zardzewiałej obręczy na słupku wbitym w żwir. Ile razy staruszek pozwalał mu wygrać?

Oczywiście to wszystko zdarzyło się przed nocą, która wszystko zmieniła, pomyślał, drżąc na odzianych w same skarpety stopach. Jego miłość do tego miejsca przerodziła się w nienawiść – w mgnieniu oka azył zmienił się w piekło.

– Życie nie jest sprawiedliwe – przypominała mu mama, kiedy się skarżył. – Umarł, robiąc to, co kochał: chroniąc innych. – Oczywiście Selma Tate też była zdruzgotana, kryła się przed dziećmi ze swoim zgorzknieniem, dumnie stała w lodowatym deszczu na pogrzebie męża i zmuszała się do uśmiechu, kiedy wręczano jej flagę, jako że Edmund służył w piechocie morskiej, z nim został glina i poślubił swoją sympatię z liceum.

Jednak późno w nocy Wes słyszał, że mama płacze u siebie, głośniejsz niż mająca ją zagłuszyć muzyka country. Gdy leżał na łóżku piętrowym w swoim pokoju, słyszał jej szloch przez cienkie ściany i drzwi mieszkania.

Potańczał i odwrócił się w stronę posiadłości McIntyre'ów, ale zobaczył tylko ciemny las wyłaniający się spomiędzy wirujących płatków śniegu. W ciągu dnia widać było kawałek dachu między czubkami sosen i jodeł, a kiedy zachodziło słońce, dawało się zobaczyć błysk promieni słonecznych odbijających się od starych szyb w oknach na najwyższym piętrze, na strychu, gdzie zamknęto Karę.

Teraz jednak było ciemno.

Wszystko skrywało się w cieniu.

Śnieg padał miękko, nieprzejrzysta warstwa pokrywała próchniejące gonty i popękane szkło.

Boże, nienawidził tego miejsca.

Nie wątpił, że Kara McIntyre czuje to samo.

ROZDZIAŁ 5

Detektyw Cole Thomas był wkurzony.

Wręcz wściekły.

Bo jakże to tak, że ten morderca, Jonas McIntyre, wyszedł z więzienia? Ni chuja. McIntyre był najgorszą kanalią, jaka kiedykolwiek pojawiła się w hrabstwie Hatfield, i powinien siedzieć do końca swojego zasranego życia. Ale nie. System ponownie dał dupy.

– Sukinsyn – wymamrotał pod nosem, spojrzął na monitor komputera na biurku, puścił wiązkę przekleństw, po czym usłyszał kroki swojej partnerki.

– Dobry dzień? – zapytała, wkładając rękę do rękawa grubej kurtki narciarskiej i zatrzymując się przed jego gabinetem. Wydział powoli szykował się na noc, zostało tylko kilku oficerów ze zmiany dziennej, zjawiali się ci, którzy zaczynali wieczorem.

Gdzieś w pokoju socjalnym zabrzmiał śmiech, a jeszcze dalej dźwięk trzaskania ciężkich drzwi.

– Tak, najlepszy – warknął Thomas, odstawiając kubek z kawą na biurko. – Zajebisty.

Aramis Johnson cierpko się uśmiechnęła i pokręciła głową, czarne włosy uczesane w kok lśniły w ostrym górnym świetle. Wysoka i szczupła, miała wyraziste rysy i nieskazitelną skórę w kolorze mokki – *mogłaby być modelką*, pomyślał nie po raz pierwszy. Ale Johnson była gliną. I musiał niechętnie przyznać, że bardzo dobrą. Tym cudnym, prawie czarnym, oczom niewiele umykało. Nie wiedział, dlaczego zatrudniła się w policji, ale podejrzewał, że mogło to mieć coś wspólnego z jej dzieckiem wymagającym szczególnej opieki, które chyba nie miało ojca, a przynajmniej nikt o nim nic nie wiedział.

– Niech zgadnę: nie cieszy cię zwolnienie Jonasa McIntyre’a.

– Chyba jesteś detektywem.

– Wyluzuj. – Posłała mu uśmiech. Przez otwarte drzwi gabinetu zobaczył, że korytarzem idzie dwóch krawężników pochłoniętych cichą rozmową, wyższy podrapał się po głowie, po czym poprawił czapkę na krótko ostrzyżonych włosach.

– Wyluzuj? Serio? Kiedy zabójca całej rodziny chodzi wolno... nie, czekaj – podniósł palec – dodajmy jeszcze, że zabójca skazany. – Zadzwoił telefon na biurku Thomasa. Rozpoznał numer. Nie odebrał. Po chwili zawibrowała jego komórka. Ten sam numer. Zignorował go.

– Ukrywasz się? – zaciekała się Johnson, opierając się biodrem o jego biurko. – Nie odbierzesz?

– To dziennikarka.

– Zna twój numer na komórkę?

– Tak. Jakoś udało jej się go zdobyć.

– Jakoś? – powtórzyła Johnson, podejrzliwie unosząc brew. – Kobieta?

– Tak. – Oczywiście wiedział jak. Nie chciał o tym mówić. Sheila Keegan mogła ustawić się w kolejce i porozmawiać z rzecznikiem prasowym policji jak inni ludzie z telewizji i prasy. Po to właśnie utworzono to stanowisko, prawda? Żeby zajmować się mediami.

O wiele lepiej dla detektywów, którzy przekroczyli tę niewidzialną granicę profesjonalizmu i pozwolili zbliżyć się dziennikarce. Postanowił o tym nie myśleć. Powrócił do Jonasa McIntyre’a, który, w opinii Thomasa, był bezwzględny zabójcą mającym na sumieniu śmierć całej swojej rodziny. Przerzucił kartki w aktach, teczki i strony były pożółkłe i wydzielaly zapach minionych lat.

– Wiesz, że to wszystko masz w komputerze – zauważyła Aramis.

– Tak, znalazłem to. – Wysunął brodę w stronę monitora, gdzie wyświetlało się policyjne zdjęcie Jonasa McIntyre’a: wychudzonego osiemnastolatka z zapadniętymi, ciemnymi jak noc oczami, rozczochranymi włosami i bladą skórą. Pomiędzy rzadkim zarostem widać było nieliczne ślady po trądziku. O wiele bardziej rzucało się w oczy jego nastawienie przejawiające się w zacisniętych szczękach i rzucających wyzwania ustach. Okrutnych, wąskich wargach.

– Co motywuje takiego dzieciaka? – zapytała, patrząc na monitor.

– Nie wiem. To, co wyznał swojemu psychiatrze, jest informacją poufną. Podobnie jak roz-

mowy z adwokatem, więc pozostają nam tylko domysły.

– Jest niebezpieczny?

– Kto wie. – Spojrzał na nią ze swojego miejsca przy biurku. – Nastolatek, który morduje prawie całą rodzinę? Sądziś, że się zmienił po spędzeniu połowy życia w celi ze skazanymi?

Wzruszyła ramionami.

– Odnalazł Boga.

– Jak oni wszyscy.

– Oooh. Nie bądź taki surowy – powiedziała Johnson.

– Surowy? Zastanawiam się dlaczego. Ten facet – Thomas postukał palcem wskazującym w portret na ekranie – posiekał mieczem całą swoją cholerną rodzinę. Ojca, macochę, brata i brata przyrodniego.

– Nie całą.

– No dobra, jedna dziewczynka przeżyła.

– A druga zaginęła. Marlie, co nie? – Aramis podniosła akta i przewertowała ich zawartość. – Ile miała...? O, jest. Siedemnaście lat. Jezu.

– Przyrodnia siostra. – Thomas odwrócił się od komputera, oderwał wzrok od martwego spojrzenia Jonasa McIntyre'a. – To była rodzina w stylu *Brady Bunch*. Ojciec, Sam, gdy brał ślub, miał już dwoje dzieci. Sama juniora i Jonasa. Zelta była jego trzecią żoną. Pierwszą była sympatia ze szkoły średniej...

– Leona.

– Tak, właśnie. Mieli syna, którego nazwali na cześć Sama, i dziecko, które zmarło, jak miało dwa latka. Dziewczynka. Betsy.

– Oj. Czy tej rodzinie kiedykolwiek dobrze się wiodło? – zapytała Johnson, marszcząc brwi.

– Od tamtej pory już nie, o ile mi wiadomo. – Nie musiał zaglądać do akt. Zdążył przyswoić informacje na temat rodziny Sama seniora. – Małżeństwo zaczęło się sypać po stracie dziecka, a Sam nawiązał romans z Natalie, która później została żoną numer dwa.

– Zanim rozwiódł się z numerem jeden?

– Zdaje się, że taki miał modus operandi. Za każdym razem.

– Auć – skwitowała. – To raczej nie podobało się jego byłym.

– Zapewne nie.

– A Jonas? Miał go z drugą żoną?

– Tak, Jonas jest dzieckiem Natalie. – Nawet gdy wymawiał imię zabójcy, czuł niesmak w ustach.

– Co się stało z poprzednimi paniami McIntyre? – Johnson wzięła do ręki zniszczoną teczkę.

– Chyba ponownie wyszły za mąż.

– Obie?

– Nie dam sobie ręki uciąć.

– A więc Zelta Donner Robinson była numerem trzy. – Johnson przeglądała zatechłe strony w teczce, szybko czytała zawarte tam notatki, opierając się biodrem o skraj biurka, a nad nimi dudniły rury starego pieca. – I wniosła do małżeństwa swoje dzieci.

– Była matką Marlie i Donnera Robinsonów.

– Oraz Kary, jedyne ich wspólne dziecko. – Zerknęła znad teczki, a on skinął głową.

– Owszem. Pierwszym mężem Zeldy był Walter Robinson.

– Jak przyjął fakt, że został wymieniony na nowszy model?

Thomas wzruszył ramionami.

– Chyba mniej więcej tak jak były żony Samuela. O ile mi wiadomo, wszyscy się dogadywali.

– Dogadywali? – powtórzyła. – Twierdzisz, że nie sprawiali kłopotów, byli serdeczni, chociaż w wolnym czasie się nie spotykali, nie jeździli razem na wakacje i nie spędzali wspólnie żadnych świąt?

– Aha. – Na wzmiankę o świątach znowu pomyślał o tej ostatniej, krwawej Gwiazdce, ale nie musiał o tym mówić. Podejrzewał, że Johnson nadaje na tych samych falach.

Przerzuciła jeszcze kilka stron.

– W tej pozlepianej rodzinie wszystkie dzieciaki były w podobnym wieku. Miały po naście lat.

– Oprócz najmłodszej córki – przypomniał.

– Tej, która niby była zamknięta na strychu.

– Właśnie – potwierdził, przypominając sobie małą dziewczynkę na miejscu świadka, jej jasne loki, duże oczy i wymizerowane policzki. Kara odpowiadała na każde pytanie cichym głosem, przygryzała wargę, więc cała sala sądowa była pod wrażeniem. W sali rozpraw było cicho jak w grobie, nie szeleściły kartki, nikt nie szurał nogami, gdy drobna dziewczynka cienkim głosem opowiadała o tym, co widziała, wypytywana przez prokuratora okręgowego. Bładolica Kara patrzyła z drżącą brodą na Jonasa, jakby miała zaraz się rozsypać, i desperacko pragnęła jego przebaczenia. Cole Thomas siedział w drugim rzędzie, był wówczas młodym gliną, który wierzył w to, że do więzienia trafiają tylko źli ludzie, że system nigdy nie zawodzi.

Teraz, po latach, nie był już tego taki pewien.

Johnson nadal czytała.

– Kara twierdziła, że jej starsza siostra zamknęła ją na drugim piętrze, jej udało się jakoś wydostać, a kiedy to się stało, natknęła się na ciała swoich bliskich. – Aramis ściągnęła brwi. – Powiedziała, że według niej intruz wrócił do domu, więc uciekła przez kuchnię, wybiegła przez tylne drzwi i ścieżką pognęła nad jezioro. Próbowwała przejść przez lód, ale ten się pod nią załamał, a intruz, przed którym uciekała, okazał się policjantem, który przyszedł sprawdzić, co to za krzyki dobiegają z ich domu.

– Edmund Tate. Nie był na służbie. Kiedyś służył w piechocie. Typ bohatera – potwierdził Thomas. – Uratował tę małą.

– A jego powalił rozległy zawał serca, który zakończył się śmiercią.

Johnson powoli przechadzała się przed biurkiem, przyswajając informacje ze starych akt, trybiki w jej głowie intensywnie się obracały.

– Aha. Mimo wysiłków ratowników Edmund był martwy, gdy dotarli do szpitala.

– Boże święty. – Pokręciła głową, jej ciemne włosy lśniły w świetle lampy. Spojrzała na niego swoimi przenikliwymi, niemal czarnymi oczami. – A więc nie było intruza?

– Żadnego nie znaleziono.

Aramis dotknęła palcami krzyżyka, przerzucając strony raportów.

– Kara zawsze twierdziła, że jej brat jest niewinny.

– Ale nikt tego nie kupił.

– Ze względu na jej zeznania? – Zmrużyła oczy i przygryzła wargę.

– Tak, taka zagwozdka. To, co widziała i co zeznała, nie współgrało z tym, co czuła i sądziła o bracie.

– Być może po prostu nie mogła uwierzyć w to, że jej brat mógł być tak brutalny i agresywny.

– I że był mordercą.

– A i owszem. – Wypuściła krzyżyk i się zatrzymała. – Jego odciski znajdowały się na broni użytej na miejscu zbrodni.

– Aha. – Thomas rozparł się na krześle, które aż zaskrzypiało w ramach protestu. – Widzisz tu jakiś motyw?

– Zazdrość – oświadczyła, jeszcze bardziej marszcząc czoło.

– O starszego przybranego brata. Donnera.

– Jezu. Testosteron w najgorszej postaci – wymamrotała, przeciągle wdychając. – A więc Donner zadawał się z dziewczyną Jonasa?

– Najwidoczniej.

– Jak bardzo się zadawał?

– Bardzo.

Jedna z jej brwi się uniosła.

– Niech zgadnę: Jonasowi się to nie podobało.

– Dziwisz się?

– Boże Przenajświętszy... – Zabrzmiało to jak modlitwa, ledwie słyszalna na tle szumu w rurach i rozmów w korytarzu.

Thomas wiedział, co jego partnerka czyta, ponieważ całe akta znał prawie na pamięć; gdy przrzuciła strony, w jego głowie odtwarzał się zapisany na nich tekst:

Jonas McIntyre, który cudem przeżył napaść, zapewnia, że jest niewinny i nie popełnił morderstw, które są mu przypisywane. Tak, po przyjeździe policji przyznał, że zdjął miecz wiszący na ścianie w jego pokoju. Jonas twierdził, że „się wyglupiał” z bronią wcześniej tego dnia i zostawił ją na podłodze swojego pokoju. Według Jonasa, Marlie przechodziła koło jego sypialni i widziała, co robił. To dlatego jego odciski palców znajdowały się na całej rękojeści. Oczywiście, dziewczyna jak na złość musiała zaginać, więc nie mogła tego potwierdzić.

Opowiadając o tej nocy, Jonas utrzymywał, że wieczorem znowu był w swoim pokoju, gdy usłyszał, że coś się dzieje w salonie. Jakieś „zamieszanie”, jak to nazwał podczas jedynej rozmowy z policją, zanim został na dobre uciszony przez swoich prawników. Jonas powiedział policjantom, że „wyczuł, że dzieje się coś złego”, wobec czego zabrał ze sobą miecz i poszedł sprawdzić, co to za hałasy, ponieważ, jak wyznał, chciał przestraszyć swoich starszych braci, jeśli to oni coś knuli, lub odpędzić intruza, „złego faceta”, gdyby okazało się, że w ciemności czai się włamywacz. Właśnie tak było. I wtedy rozpętało się piekło. Jonas wystraszył się intruza, zamachnął się ciężką bronią, ale nie trafił w cel, bo ten się odsunął. Wobec czego miecz trafił w kominek i odłupał kawałek jego obudowy. Intruz wykorzystał szansę i go zranił. Pociął i pozbawił przytomności. Kiedy się ocknął, jego rodzina już nie żyła, Kara krzyczała, a mężczyzna, którego nie znał, prawdopodobnie zabójca, jak sądził, gonił ją po domu.

Kiedy na miejsce przybyły służby, natychmiast skupiły się na Jonasie. Jego opowieść nie brzmiała przekonująco, później odkryli też, że odciski na rękojeści należały wyłącznie do niego.

Jeśli chodzi o motyw, Johnson miała nosa. Utrzymywano, że Jonas McIntyre był potwornie wściekły na rodziców za to, że go uziemili – wcześniej w tym samym tygodniu został zatrzymany przez policję za wdanie się w bójkę z przybranym bratem, Donnerem Robinsonem. Rodzice nie wnieśli oskarżenia, ale Donner, podobnie jak Jonas, dostał szlaban.

Kiepsko to wyglądało. Jonas, przeżywający trudny okres, agresywny osiemnastolatek był wkurzony, tłumił gniew w dniach poprzedzających bójkę z Donnerem, więc postanowił zabić ojca i macochę, a także przybranego brata, który przespał się z Lacey Higgins. Niezależnie od tego, czy Jonas chciał tylko postraszyć Donnera, czy też naprawdę zamierzał zrobić mu krzywdę, sprawy potoczyły się bardzo źle, morderczo źle, i Jonas w przypływie furii zabił wszystkich, którzy weszli do pokoju w Wigilię. Przeżył tylko on i Kara, natomiast Marlie rozplynęła się w powietrzu.

Policja uznała, że morderstwa Sama seniora i Zeldy McIntyre’ów mogły zostać popełnione z premedytacją.

Jonas mógł ich zaszlachtować, gdy tylko zasnęli, zanim zapolował na Donnera – a przynajmniej tak brzmiała wersja oskarżenia. Dlaczego bowiem się nie obudzili, nawet będąc pod wpływem, skoro w domu panował nieziemski hałas i chaos?

Później, po autopsji wykryto w laboratorium, że oboje mieli we krwi wielkie ilości valium. To była jedna z wielu części tej historii, która nie pasowała według Thomasa. Jacy rodzice zażywają wielkie ilości silnego leku nasennego w Wigilię?

Dominowała teoria, że Sam junior próbował zapobiec masakrze, ale został brutalnie zabity. Marlie także była ofiarą, na miejscu znaleziono jej krew. Policja przyjęła, że Donner Robinson miał być główną ofiarą, ze względu na rozległe obrażenia – jego szyja została zmasakrowana, poza tym na nim skupiał się gniew Jonasa. Sam junior nie miał tyle ran, ale przecięto jego tętnicę udową i się wykrwawił, prawdopodobnie stanął na drodze Jonasa, który już nie panował nad sobą, więc zabił brata w szale. Tak, Jonas sam odniósł pewne obrażenia, ale nie zagrażały jego życiu. Prokurator przedstawił to jasno, wobec czego obrona nie mogła tego zakwestionować ani dostatecznie zaciemnić obrazu.

Chociaż Jonas przysięgł, że Marlie widziała go z bronią, gdy tego dnia przechodziła koło jego pokoju, dziewczyna zaginęła i nigdy nie została odnaleziona, jej krew zidentyfikowano dzięki DNA pobranemu z włosów na szczotce, która została w domu. Jonas był naprawdę ranny, ale według eksperta powołanego przez prokuratora mógł sam się okaleczyć.

– Nie wierzę, że go skazano – powiedziała Johnson, zamykając akta. – Opowiedzieli się za tym wszyscy przysięgli?

– Przesądziły jego akta z sądu dla nieletnich.

– Jak to?

– Powaga przestępstwa. Fakt, że akta nigdy nie zostały wyczyszczone. Pewne informacje pozostały poufne, ale zarzuty przeniknęły do mediów. Wcześniej odnotowano na jego koncie dwa incydenty. A potem jeszcze była ta bójka z Donnerem, gdy skończył osiemnaście lat. Jonas wyjął wtedy nóż.

– Zaatakował brata?

– Przede wszystkim mu groził, ale w szamotaninie Donner został skaleczony w przedramię, to nie była głęboka rana, trzeba było jednak założyć szwy, nie wyglądało to dobrze, więc Zelda wybrała numer alarmowy. – Thomas na nią spojrzał. – To wydarzyło się niecały tydzień przed masakrą.

– Jasny gwint. – Westchnęła i pokręciła głową, gdy przez otwarte drzwi dobiegły ich głosy i śmiechy z korytarza.

– Punktem zwrotnym podczas procesu była ówczesna dziewczyna Jonasa.

– Lacey Higgins. Widziałam. – Długim palcem postukała w teczkę.

– Jasne. – Dopił zimną już kawę, po czym zgniótł papierowy kubek i wrzucił go do kosza stojącego obok szafki na akta. Pamiętał Lacey składającą zeznania. Była ubrana na białą. Błada z sarnimi oczami, wyglądała jak dziewczica. Wszystko to było częścią teatru rozgrywającego się w sali sądowej. Na miejscu świadka Lacey przez większość czasu miała spuszczone wzrok, ale przyznała, że przespała się z bratem Jonasa, Donnerem.

Zeznała, że kiedy Jonas się dowiedział, zjawił się w domu jej rodziców w Portland.

– Groził pani? – zapytała prokurator, wysoka kobieta z gładkimi, jasnymi włosami i ostrymi rysami twarzy.

– Tak – odpowiedziała cicho.

– Co powiedział?

Lacey przygryzła wargę, po czym wyszeptwała:

– Że mnie zabije.

– Że panią zabije?

– I każdego... z kim byłam. – Lacey głośno przełknęła ślinę. Poprawiła kołnierzyk swojej białej sukienki.

– Jak dokładnie brzmiały jego słowa?

– Yy... że... że jak mnie kiedykolwiek przyłapie na... yy... no wie pani... – Przełknęła i przygryzła dolną wargę.

– Jeśli kiedykolwiek przyłapie panią na czym?

Lacey zrobiła głęboki wdech.

– Jeśli kiedykolwiek przyłapie mnie z kimś innym, na przykład, na zdradzie, to, hm, mnie zabije.

– Tak dokładnie brzmiały jego słowa?

Lacey na chwilę podniosła wzrok, jej szczupłe ramiona się napięły, ciemne oczy nagle zrobiły się zimne, gdy spojrzała na drugą stronę sali, w miejsce, gdzie obok Merritta Margrove'a siedział Jonas McIntyre w garniturze i pod krawatem. Odchrząknęła, po czym przemówiła.

– Powiedział: „Jeśli kiedykolwiek przyłapię cię, jak się z kimś pieprzysz, wezmę siekiere i najpierw zabiję jego, a potem ciebie. Żebyś widziała, jak umiera, zanim sama pójdziesz do piekła”.

Jedna z przysięgłych, kobieta w różowym spodniu z trwałą na białych włosach, głośno wciągnęła powietrze. Inni przysięgli siedzieli poważni z zaciśniętymi ustami, szczupły mężczyzna patrzył gniewnie zza rogowych okularów, czterdziestokilkuletnia kobieta pobladła.

Cytat przytoczony przez Lacey wraz z zeznaniem Kary i aktami przemocy Jonasa z przeszłości przypieczętowały jego los i od tej pory trafiały do każdego artykułu w gazecie, książki, filmu true crime, bloga czy podcastu. Chociaż rany Jonasa były prawdziwe i ukazano je ławie przysięgłych na rysunku poglądowym, świadkowie powołani przez prokuratora twierdzili, że takie obrażenia mógł sobie zadać własnoręcznie, poza tym wyglądały blado w porównaniu z odrażającym miejscem zbrodni i posiekanymi ciałami zmarłych. Krew splamiła dywany, płynęła po podłodze, lśniła na kafelkach koło kominka, rozchlapała się na drewnie leżącym w skrzynce, nawet na gałęziach przewróconej choinki. W dwóch pokojach leżały martwe ciała, dowód brutalnej masakry

i barbarzyńskiego ataku. Członkowie jego rodziny zostali wyrżnięci w pień. Gwałtowny charakter Jonasa kilka razy dał o sobie znać w sali rozpraw, co też mu nie pomogło, a jego wcześniejsze wyroki skazujące stały się gwoździem do trumny.

– A więc prokurator naprawdę uważał, że Jonas zdołał się sam pociąć mieczem? – Powątpiewała. – Jego rany...

– Były powierzchowne. Na rękach, przedramionach i jednej nodze. Specjalista od broni pokazał w sądzie, jak mogło do tego dojść w walce.

Przerzuciła kilka stron i znalazła właściwy dokument.

– W pierwszym zeznaniu Jonas twierdził, że intruz go pchnął, a on uderzył się w głowę i na chwilę stracił przytomność. – Zerknęła znad wyświechtanej teczki. – Ale nikt w to nie uwierzył?

– Nikt ważny. Na przykład przysięgli. Ani gliny. Nawet jego rodzina oprócz młodszej siostry.

– Kto zeznawał przeciw niemu? – Westchnąwszy ponownie, zamknęła teczkę.

– Nikt nie wie na pewno, co tam się wydarzyło tamtej nocy, a Jonas nie pomógł sobie, wstrzymując się od zeznań. Jego rany wyglądały, jakby zostały zadane tą samą bronią, a na ostrzu znaleziono krew wszystkich ofiar, nawet Jonasa. – Thomas pomasażował się dłonią po karku, próbując przypomnieć sobie szczegóły. – Jego obrońca, Merritt Margrove, doradził mu, żeby odmówił zeznań.

– Sądził, że Jonas może się pograżyć?

– Zapewne. McIntyre był w szoku. Nic dziwnego. Złożywszy pierwsze zeznanie, praktycznie już z nikim nie rozmawiał przed procesem. Założę się, że prawnik sądził, że go nie skażą ze względu na wiek i odniesione obrażenia.

– Ale skazali. – Wyprostowała się i zapięła kurtkę na suwak, podczas gdy z korytarza dobiegł ich wybuch śmiechu. – Sądzisz, że dobrze zrobili?

– Bez wątplenia. – Na biurku zawibrowała komórka. Zerknął na numer. Sheila. Znowu. Nie odebrał.

– A co, według ciebie, stało się z tą drugą siostrą? – zapytała Aramis. – Tą starszą. Marlie.

– To – powiedział, sięgając po kurtkę i wkładając ręce w rękawy – jest pytanie za milion dolarów, co nie?

– Ani śladu od tamtej pory?

– Nie.

Johnson była sceptyczna.

– Nic a nic?

– Aha. I nie odnaleziono żadnych szczątków.

Sprawdził, czy w kieszeni ma kluczyki, po czym wyłączył światło i wyszedł na korytarz, gdzie od lat pięćdziesiątych leżał ten sam zażółcony teraz parkiet i zalegał kumulowany przez dziesięciolecia odór papierosów, potu i starej kawy, którego nie dało się zamaskować żadną ilością lizolu o zapachu sosny. Zamykając za sobą drzwi, Thomas dodał:

– Na miejscu zbrodni znaleziono trochę jej krwi. Niedużo, ale musiała być ranna.

– DNA się zgadzało?

– Tak. – Zerknął na Johnson, jej silną szczękę, czarne włosy lśniące w świetle mrugającej świetlówki w korytarzu. – Oczywiście przez pierwsze sześć miesięcy po morderstwach była „widywana” tu i ówdzie, ale niczego nie potwierdzono. Odbieraliśmy wiele telefonów, ale z czasem ich liczba się zmniejszyła. – Zeszli po schodach gęsiego, aby umożliwić wejście na górę mundurowym i oficerom w cywilu oraz pracownikom administracyjnym i gościom.

Przy wykrywaczu metalu przed bocznym wyjściem dodał:

– Wielu z dzwoniących to świry, które chciały zyskać rozgłos.

– Jak zawsze.

– Kilku wyglądało na obiecujących. Wiesz, ludzie, którym wydawało się, że ją rozpoznali. Ale nic konkretnego z tego nie wyszło.

Ramieniem pchnął drzwi zewnętrzne, po czym poczuł uderzenie lodowatego grudniowego powietrza pędzącego przez ulice; pomiędzy budynkami wirował śnieg, a samochody, ciężarówki i furgonetki poruszały się wolno pod światłami ulicznych latarni. Na rogu zatrzymał się autobus, beknął spalinami pod latarnią, a pasażerowie w grubych płaszczach, czapkach i zimowych butach

wsiedli do przycupniętego giganta. Kobieta biegnąca w stronę autobusu, mijając Thomasa, zahaczyła parasolką o jego rękaw.

– Oj, przepraszam, przepraszam, przepraszam – powiedziała, nie patrząc w jego stronę, po czym pomachała do kierowcy złożoną już parasolką.

Na należącym do komisariatu parkingu Johnson nacisnęła guzik pilota przy kluczykach, następnie sprawdziła wiadomości. Zacisnęła usta, czytając esemesa, podczas gdy jej SUV, honda CR-V zamrugła światłami, które odbiły się od zasypany śniegu na krawędzi parkingu.

– Co teraz? – zapytała, wracając myślami do Masakry McIntyre'ów. – Nadal uważasz, że to Jonas McIntyre zabił swoją rodzinę?

– Zaszlachtował.

– Okej, zaszlachtował, a teraz wyszedł na wolność. Drugi raz nie można go o to oskarżyć. Nie zostanie skazany ponownie.

– Nie za żadne z tych morderstw.

Otworzyła drzwi SUV-a i siadła za kierownicą.

– Czekaj. – Odwróciła się. – Sądzisz, że zrobi coś... znowu zabije?

– Tego nie powiedziałem.

– A więc...? – Przeciągnęła to słowo.

– Poczekamy, zobaczymy. Okaze się, czy naprawdę odnalazł Jezusa.

Jej telefon znowu zawibrował, wymamrotała coś do siebie, wyjęła go z kieszeni i westchnęła tak głęboko, że przed jej ustami pojawiła się mgła. Płatki przylepiały się do jej czarnych włosów.

– Wszystko w porządku? – zapytał Thomas, a ona lekko wysunęła brodę.

– Jasne.

– Na pewno?

– Powiedziałam, że tak. A co z Jonaszem McIntyre'em? Najwyraźniej nie kupujesz jego nowo odnalezionej duchowości?

Spojrzał na nią, śnieg zbierał się na jego ramionach, usłyszał w oddali jadący autobus.

– Prawda jest taka, że według mnie nie ma szans, żeby Jonas McIntyre znajdował się na drodze do zbawienia. Nie ma na to najmniejszych szans.

ROZDZIAŁ 6

Nie mógł odpuścić.

Wesley Tate odgarniał śnieg z krótkiej ścieżki prowadzącej do przerobionego magazynu, w którym miał mieszkanie, ale myślami krążył wokół Masakry nad Zimnym Jeziorem i Jonasa McIntyre'a, który, jak się zdawało, znowu był wolnym człowiekiem. Co prawda nie dostał rozgrzeszenia za brutalne morderstwo rodziny, ale przynajmniej nie siedział już za kratkami. Bardziej przyłożył się do roboty, szeroka, płaska łopata szorowała po cemencie. Ciężko oddychał, jego oddech widoczny był w ciemności, a myśli krążyły wokół sceny zbrodni sprzed dwudziestu jeden lat. Starał się wyeliminować siebie z tej sytuacji, próbował ignorować fakt, że jego ojciec oddał życie, ratując Karę McIntyre, ale oczywiście okazało się to niemożliwe.

Kolejne pchnięcie szpadla, odrzucenie śniegu do małego ogródka przy ścieżce. I kolejne myśli o tej sprawie. Zacisnął szczęki, zaczynał się pocić pod flanelową koszulą, rękawiczkami i kamizelką, ale nie ustawał, wyteżał mięśnie, podczas gdy jego umysł krążył wokół najświeższych informacji.

Adwokatowi Marrittowi Margrove'owi w końcu udało się znaleźć sposób na wyciągnięcie swojego klienta. Według tego, co Tate przeczytał, prawnik znalazł kogoś, jakiegoś glinę z nagle ożywionymi wyrzutami sumienia, który po latach przyznał, że na miejscu zbrodni mieli problem z dowodami. W zamieszanu mordercza broń, stary miecz z ubiegłego wieku, zaginął na ponad czterdzieści minut.

Tate zadzwonił do tego gliny, Randalla Isleya, obecnie emeryta, który mieszkał w Omaha, lecz Isley nie odebrał. Tate zostawił mu wiadomość.

Dołączył także do fanpage'a na Facebooku poświęconego Jonasowi McIntyre'owi. Użył fałszywego nazwiska – nie widział powodu, by dokładać swoje prawdziwe dane do legionu fanów Jonasa. Byli takimi fanatykami, że dodaliby dwa do dwóch, gdyby zalogował się nazwiskiem jednej z ofiar, które tamtej nocy straciły życie.

Tak czy inaczej, stanowili dziwną grupę przekonaną o niewinności Jonasa, zamieszczali swoje przemyślenia oraz linki z prośbą o datki na zrzutkę pod nazwą Uwolnić Jonasa McIntyre'a, która nie osiągnęła jeszcze limitu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale była już blisko.

O co w tym chodziło?

Na obu stronach pojawiały się nazwiska trzech kobiet, które przyjęły rolę liderek lub po prostu były najaktywniejsze: Brenda Crawley, Simone Hardesty i Mia Long. Był tam też dość aktywny facet. Aiden Cross robił w sieci dużo hałasu na temat sprawiedliwości w sensie ogólnym i w kontekście sprawy Jonasa, ale sprawdzwszy profil Aideny, Tate stwierdził, że facet angażuje się w ponad dziesięć spraw antyrządowych.

Jaki był ich związek z McIntyre'em?

Kobiety najwyraźniej miały kontakt z obiektem swoich zabiegów, jako że cała trójka pisała o tym, co Jonas sądzi o swoim zwolnieniu, o tej okropnej nocy, kiedy znalazł zabitych członków rodziny i sam o mało co nie umarł, a także kto, według niego, był odpowiedzialny za tę przerażającą zbrodnię. Cross stał z boku; nigdy nie komentował przemyśleń Jonasa McIntyre'a, ale zawsze go wspierał. To wydawało się nieco dziwne. Ale chyba wszystko takie było?

Tate stworzył fejkowe konto jako Jessica Smith, rozwiedziona trzydziestolatka bez dzieci, pracująca jako projektantka stron internetowych, która angażuje się w różne sprawy, w tym tę Jonasa McIntyre'a. Kupił w sieci zdjęcie trzydziestokilkuletniej kobiety i zamieścił je w profilu Jessiki. Wyglądała przeciętnie, na głowie miała kapelusz i szal, które zasłaniały większość jej twarzy, a jej imię i nazwisko były najpowszechniej występującymi wśród osób w jej wieku. Na fanpage'u była obserwatorką, pozyskiwała informacje, ale sama żadnych nie udostępniała.

Grupa z entuzjazmem przyjęła uwolnienie Jonasa.

Kilka osób w komentarzach wyraziło nadzieję, że się z nim spotkają.

Wielu z tych, którzy często się udzielali, twierdziło, że nie tylko jest niewinny i niesłusznie skazany, lecz także „atrakcyjny”.

Jedna z kobiet porównała jego fizjonomię do Jezusa na krzyżu, tej wersji Syna Bożego reproduktowanej na niezliczonych obrazach, w którą wierzą biali ludzie, ale poza krótką bródką i długimi, brązowymi włosami Tate nie widział żadnego podobieństwa.

Ludzie jednak widzieli to, co chcieli zobaczyć.

Jedna osoba w grupie go zaintrygowała. Nazywała się Hailey Brown. Rzadko udzielała się w sekcji komentarzy i była jedną z tysięcy osób na stronie, lecz strona ta pozwalała mu podejrzeć, kto jest w danej chwili obecny. Ludzi, którzy zdawali się wciąż zalogowani na fanpage'u Ratujmy Jonasa McIntyre'a, było mniej niż pięćdziesiąt. Sprawdził ich wszystkich, zastanawiając się, dlaczego się tak angażują. Większość z tych wiecznie obecnych online, jak Aiden Cross, Simone Hardesty, Branda Crawley i Mia Long dało się łatwo znaleźć i zweryfikować, że naprawdę istnieją. Kilka osób z początku uznał za szemrane, ale drogą eliminacji trwającej tygodnie i miesiące stwierdził, że kilkadziesiąt profili nie ma żadnych związków z innymi medialnymi sprawami dotyczącymi wolności i sprawiedliwości społecznej, więc je też sprawdził. Jednak Hailey Brown z Modesto w Kalifornii była inna. Poszukiwania w sieci potwierdziły, że jej zdjęcie profilowe jest stockowe. Wielokrotnie weryfikował jej tożsamość w sieci, ale nigdzie nie mógł namierzyć Hailey Brown, która pasowała do informacji, do których się dokopał. Miała pospolite nazwisko. Pseudonim. Tak mu podpowiadała intuicja.

Ale przecież jej fejkowa tożsamość nic nie znaczyła.

Czyż i on, podobnie jak ona, nie podawał się za kogoś innego?

Ale dlaczego? Dręczyło go to pytanie.

Jeszcze dwa razy zamachnął się łopata i krótkie dojście do ogromnego budynku zostało oczyszczone. Stał i oparł się na łopacie, patrzył, jak jakiś nastolatek w narciarskim ubraniu, ze słuchawkami dousznymi pod czapką, jedzie po ulicy na desce. Dzieciak przeskoczył nad kupką śniegu na rogu i pomknął w dół wzgórza z zawrotną prędkością.

Tate wziął łopatę pod pachę i wszedł do przedsiionka. Otupeł śnieg z butów, po czym wszedł na górę do swojego loftu na najwyższym piętrze, gdzie miał okna od podłogi do sufitu. Znalazłszy się u siebie, zostawił buty pod wieszakiem w korytarzu i zdjął kamizelkę. W kuchni otworzył piwo, upił łyk, po czym opadł na swój ulubiony fotel przed telewizorem – już włączonym na kanał nadający wiadomości.

Zrobił sobie przerwę od sprawy, która dręczyła go przez większość dorosłego życia. A w zasadzie odkąd miał jedenaście lat. Cholerna rzecz, stracić ojca w taki sposób. Jego matka ponownie wyszła za mąż kilka lat po tragedii, a jej nowy mąż, Darwin Williams, był dość przyzwoitym facetem. Kolejnym gliną, teraz już na emeryturze. Wcielił się w rolę ojca bez większych problemów, dobrze sobie radził zwłaszcza z młodszą siostrą Wesleya, która uwielbiała swojego „tatkę”. Wesley to jednak inna historia, zawsze porównywał Darvina do swojego ojca. Oczywiście za każdym razem Darwin wypadał blade, śmiertelnik naprzeciw męczennika i świętego.

Wobec czego ich relacja nie do końca była udana.

Gdy się nad tym zastanowić, nigdy nie będzie.

Faiza Donner siedziała w swoim mercedesie SL450, kabrioletcie, który był mało praktyczny zimą w Oregonie, ale ona zawsze pragnęła mieć ten model i zaledwie trzy miesiące wcześniej postanowiła go sobie sprawić. *Czemu nie?* – zadawała sobie pytanie, chociaż znała wszystkie powody, dla których wzięcie tego auta w leasing mogło okazać się błędem.

Teraz parkowała na zataczającym koło podjeździe i patrzyła na budynek, który przez prawie dwadzieścia lat nazywała domem, olbrzymi pseudoelżbietański gmach na West Hills. Dawno, dawno temu dom jej siostry Zeldy.

Och, jakże Faiza jej wtedy zazdrościła tego domu, łodzi, samochodów, wycieczek, górskiej „chatki” na Mount Hood – nawet ten dom był posiadłością – „drugiego domu” Zeldy. Ale najbardziej Faiza zazdrościła siostrze tego, że była matką, nie raz, lecz trzy razy, nie licząc przybranych dzieci.

Ale potem... cóż, los się odmienił, nieprawdaż? Opuściła szybę od strony kierowcy w swoim eleganckim aucie, po czym zapaliła papierosa, ostatniego parlamenta, cicho przeklęła, bo trzy lata wcześniej udało jej się rzucić palenie, a teraz wypaliła paczkę, którą trzymała w schowku na rękawiczki na wypadek wielkiego wzburzenia.

Czyli na teraz.

Głęboko się zaciągnęła, spojrzała na dom przystrojony świątecznymi lampkami, które oświetlały zakamarki dachu. Girlandy z cedru migotały małymi lampeczkami i okalały szerokie, podwójne drzwi, na których wisiały dwa identyczne wieńce z czerwonymi kokardami i gałązkami ostrokrzewu. Światła paliły się też w środku, nawet zakręcający podjazd lśnił w miękkim świetle umieszczonych wzdłuż niego lampek, odbijających się na śniegu.

Jak z obrazka.

Niedługo wszystko zniknie, zostanie jej wydarte, bo Jonas wyszedł z więzienia, a Kara za dwa tygodnie osiągnie ten szczególny wiek, który zdawał się oddalony o wieczność, kiedy Faiza stała się jej opiekunką.

Ależ to był radosny dzień.

Wkrótce po tym, jak sąd ustanowił ją opiekunem prawnym, Faiza i Roger oraz ich zwierzęta zajęli ten dom jak swój z Karą w roli ich niedoszłego dziecka i oczywiście przejęli także wszelkie źródła dochodu. *Było cudownie* – stwierdziła, paląc i walcząc z napływającymi łzami na myśl o tym, że wszystko, na co tak ciężko zapracowała, zniknie jak płatki topniejące jej na dłoni. To niesprawiedliwe.

Myślała o tym, co straci, w tym także ukochanego, czerwonego mercedesa. Wydmuchała dym za okno i pożałowała, że nie posłuchała tego naglącego głosu w głowie, który przypominał jej o kończącym się czasie, o tym, że wszystko, co tak bardzo kochała, zostanie jej odebrane.

Gdyby tylko nie pozwoliła Rogerowi wchodzić sobie na głowę, ale przecież on zawsze taki był.

Jego mantra: „Nic się nie martw. Jakoś to będzie” pomagała jej pozbyć się wyrzutów sumienia, ale oczywiście niczego nie zmieniła.

– Do dupy – powiedziała, zaciągając się ponownie, po czym wyrzuciła niedopałek przez otwarte okno. Patrzyła, jak żarzący się pet zatacza łuk w powietrzu i spada na pokryte śniegiem azalie, by po chwili zgasnąć. Pogrzebała w schowku i znalazła pudełko miętówek, wytrząsnęła dwie pastylki i wsadziła je do ust. Potem spojrzała na swoje odbicie w lusterku. Włosy miała rozjaśnione na platynowy blond, a cerę wciąż bez skazy, ciężko pracowała, żeby tak wyglądać, ale niebieskie oczy były podkrążone, a w ich spojrzeniu dało się zauważyć dręczące ją zmartwienie.

– Weź się w garść – przykazała sobie. – Wykaraskałaś się z gorszych kłopotów. – To była prawda. Nie chciała wracać myślami do dawnych lat, gdy kiepsko jej się wiodło, podczas gdy Zelda wiodła swoje urokliwe życie. Zelda młodo wyszła za mąż, miała dwoje dzieci z Walterem Robinsonem, potem wdała się w romans z Samuelem McIntyre'em i zaszła w ciążę. Zelda zawsze twierdziła, że to była wpadka, że nie planowała trzeciej ciąży, ale Faiza nigdy jej nie uwierzyła. Według niej ciąża została zaplanowana, a Zelda, wciąż zamężna z Walterem, chciała znaleźć sposób na wyplątanie się z tego związku, dziecko zaś dawało jej ku temu okazję.

Sprytnie.

Faiza ani trochę nie winiła siostry.

Poza tym Walter Robinson był ciulem, człowiekiem, który wszystko postrzegał w białych lub czarnych barwach, chociaż wszyscy wiedzą, że świat ma wiele odcieni szarości. Walter i Faiza nigdy się nie dogadywali, więc cieszyła się, że zniknął z jej życia.

Ale sprawy nie ułożyły się tak, jak wszyscy się spodziewali.

– No i trudno – mruknęła pod nosem, zapuściła silnik i otworzyła zdalnie sterowane drzwi do garażu. Auto zamruczało, gdy je parkowała na zwykłym miejscu, obok wielkiego pick-upa należącego do Rogera, dodge'a RAM TRX, który ledwie mieścił się w swojej zatoczce.

Znalazłszy się w domu, usłyszała muzykę gitarową i poczuła piżmowy zapach marihuany dochodzące ze studia Rogera, pokoju na tyłach domu, który niegdyś należał do Samuela McIntyre'a.

Faiza zastała go na starej oliwkowozielonej sofie, jedynym meblu, którego nie wymieniła. Obcas obutej stopy spoczywał na ławie obok notatników i nabazgrozonych na nich nut rozłożonych wokół szklanego bonga. Roger podniósł wzrok i przestał grać.

– Cześć, laska – przywitał się z uśmiechem, widząc ją w szerokim holu tuż przed otwartymi drzwiami. – Zastanawiałem się, kiedy wrócisz.

– Korki – skłamała, nie wdając się w szczegóły, bo przecież przez pół godziny siedziała przed domem, patrzyła na niego i przeżywała jego utratę.

Nie drażył tematu, ponownie skupił się na gitarze, a ona nie po raz pierwszy zauważyła, że jego niegdyś bujne, brązowe włosy zaczynają siwieć, a pociągła twarz pokrywa się zmarszczkami innymi niż kurze łapki, jasne oczy natomiast kryją się za obwisłymi powiekami. Dawniej był przystojny, nieco nieokrzesany i twardy jak skała, ale skapcaniał na starość.

Zabrzdąkał i znowu podniósł wzrok.

– Usiądź. – Poklepał nierówne siedzisko koło siebie. – Pracuję nad nową piosenką. – Nic nowego, ale usiadła i słuchała, jak brzdąkał strunami i mruczał jakąś niewpadającą w ucho melodię. – Nie mam jeszcze tekstu. Może będziesz moją muzą.

– Może – odparła. – Ale musimy porozmawiać. Mamy problem.

– Jaki?

– Wiesz, że wypuścili Jonasa.

– Mmm, tak. Pech.

– Coś więcej niż pech. Bo Kara niedługo osiągnie ten wiek – przypomniała mu, poirytowana, że niewystarczająco przejmuje się tą kolosalną zmianą. – Bardzo niedługo.

Zaplumkał jakąś nutę.

– No i?

– Będziemy musieli się wyprowadzić.

– Nie sądzę. – Zagrał akord, specjalnie fałszując, po czym odstawił gitarę na podłogę koło sofy.

– Mówię poważnie, Roger.

– Och, przestań, kochanie. Łatwiej utrzymać coś, gdy się to posiada.

– Powiedz to w sądzie.

– Okej. – Uśmiechnął się i puścił do niej oko. – W sensie ty powiesz.

– O, nie. Nie jestem w nastroju. – Oparła się o wytartą poduszkę. – Zresztą myślałam już o tym. Margrove napracował się nad zwolnieniem Jonasa. Drugi raz nie można go sądzić za to samo przestępstwo. Jest wolny jak ptak, a więc będzie dochodził swoich praw do spadku. Całego. A nawet więcej.

– Ale dopiero co wyszedł, niedługo coś spieprzy i znowu wróci do pierdła. Nie? – Ponownie puścił oko, co zaczęło ją już wkurzać. – To nie potrwa długo. Dzieciak ma charakterek. Nigdy nad sobą nie panował.

– Już nie jest dzieckiem, ale to prawda, że szybciej działa, niż myśli – potwierdziła, bo zawsze uznawała Jonasa za aroganckiego i agresywnego. Był okrutnym nastolatkiem, wręcz nieokiełznanym. Wątpiła w to, że zmienił się w więzieniu, mimo tego, co sądzili jego idiotyczni fani w Internecie. – Bóg mi świadkiem, że nigdy go nie lubiłam – wyznała, próbując znaleźć sposób na to, żeby nie musieć zmieniać stylu życia, do którego przywykła. – Ale dopóki znowu nie trafi za kratki lub... niech Bóg broni, umrze, ma prawo do swojej części spadku, w którego skład wchodzi ten dom i chatka w górach, a gdyby poszedł z tym do sądu, zapewne odebrałyby nam wszystko, co mamy.

– Nie, wątpię. – Spojrzał chytrze. – Tak się nie stanie.

– Według mnie to możliwe. – Skrzyżowała ręce na piersi, naciągając szwy drogiej marynarki. Kaszmirowe dzieło Prady było warte małą fortunę. Nie, pomyślała, nie jest gotowa na to, by wszystko stracić. Jeszcze nie. I jeśli uda jej się znaleźć jakiś sposób na zatrzymanie tego, do czego przywykła, kupi nową sofę, żeby to uczcić – coś ze skóry, może nawet rozkładaną, w perłowoszarzym kolorze. Ale najpierw należy powstrzymać to, co nieuniknione.

Roger skubnął się w dolną wargę, jak zawsze, gdy obracał w głowie jakiś szczególnie drażliwy problem. Najwyraźniej on również nie był gotów na to, by zrezygnować z tego wszystkiego.

W końcu przemówił:

– Znajdziemy jakiś sposób.

– Jaki?

– Coś wymyślisz – powiedział, potakując, jakby zgadzał się ze sobą. – Zawsze ci się udaje. – Następnie sięgnął po bongo, zaciągnął się i wstrzymał oddech. Kiedy wreszcie uwolnił dym, ten wił się pomiędzy jego zębami i dziąsłami, gdy rozciągnął usta w uśmiechu, który przypominał jej minę cholernego kota z disnejowskiego filmu. Sięgnął po gitarę i objął szyjkę szorstkimi palcami. – Wiesz o tym, kochanie, prawda? Zawsze znajdujesz jakiś sposób.

Wino uderzyło Karze do głowy.

I to mocno.

Była pijana, ale kręciła się po kuchni i szukała czegoś, czegokolwiek, do jedzenia. Nienawidziła gotować, rzadko miała jakieś konkrety w lodówce, więc zdecydowała się na krakersy – na opakowaniu widniał napis „Artesian” – oraz jakiś ser bez opakowania, więc nie wiedziała jaki, bo z tydzień temu przełożyła go do foliowego woreczka z suwakiem.

To nie miało znaczenia.

Nada się.

Po odkrojeniu i wyrzuceniu kawałka, który pokrył się pleśnią, odkroiła trzy inne, wzięła dwa razy tyle krakersów na talerz i poszła do jadalni, gdzie stał jej otwarty laptop. Teraz, gdy zadziało wino, a ona nieco się rozluźniła, wrzuciła swoje dane do wyszukiwarki i znalazła kilkadziesiąt zdjęć z dzieciństwa oraz kilka bardziej współczesnych. Jej niesława przemijała. Do teraz.

Zmieniła się z niezdarnej siedmiolatki ze zbyt dużymi zębami oraz aureolą niesfornych jasných loków w szczupłą nastolatkę z jasnobrązowymi włosami, na których rozprostowanie poświęcała długie godziny. Były też zdjęcia, na których miała czarne ubrania, włosy ufarbowane na ciemny heban, grubą kreskę zrobioną eyelinerem i wiele warstw tuszu do rzęs, które kontrastowały z bladą cerą uzyskaną za pomocą bardzo jasnego podkładu. Jej ubrania wyglądały jak łachmany założone wielowarstwowo. Na szczęście wyrosła już z ukrywania się przed światem w postaci gotki.

Teraz, chociaż dekowała się w swoim domu, a raczej chatce na przedmieściach, często za spuszczone roletami i zamkniętymi okiennicami, przynajmniej potrafiła wtopić się w tłum, brązowe włosy czesała w kok, a za cały makijaż służyła jej nierzucająca się w oczy szminka i odrobina tuszu do rzęs. To wystarczało.

Zerknęła przez ramię na okna, zobaczyła, że rolety są do połowy podniesione, więc szybko podeszła i szczelnie zamknęła wszystkie trzy.

To była fobia, wiedziała o tym, ale miała wrażenie, że ktoś ją ciągle podgląda, obserwuje ją, kryjąc się w cieniu, szykuje się do ataku, gdy tylko stanie do niego plecami.

– Kretynka – powiedziała na głos, ale zaraz wzruszyła ramionami, jakby fizycznie strącała z siebie niechciane spojrzenie. – Weź się w garść.

Zjadła trochę sera i krakersów, po czym zadzwoniła do Merritta Margrove’a, prawnika, który bronił Jonasa. Był wtedy sławnym adwokatem i wziął tę sprawę, żeby wzmocnić swoją już i tak wysoką pozycję, ale przegrał i Jonas z rękami zakutymi w kajdanki został wyprowadzony z sali rozpraw do więzienia. Pomimo obietnic i apelacji Margrove’a już tam pozostał. Ta sprawa była punktem zwrotnym dla adwokata, pierwszą z wielu porażek, po których nigdy już się nie otrząsnął. Trzy razy się żenił, otaczała go atmosfera skandalu, był przykładem bystrego, młodego prawnika z przenikliwym umysłem, ciętym językiem i wieloma powodami do dumy.

Kara czekała, słuchając nagrania na poczcie głosowej, po czym zostawiła wiadomość z prośbą, by Marritt do niej oddzwonił.

Nie powinna myśleć o tej tragedii; powinna o niej zapomnieć. Ale nie mogła. Nigdy nie potrafiła zapomnieć ani przebaczyć. A teraz Jonas był znowu wolnym człowiekiem, więc nie dało się nie spoglądać w przeszłość.

Wracać do tamtej nocy.

Tej okropnej, mrocznej, krwawej nocy.

Widziała w sieci zdjęcia, nawet czarno-białe fotografie zrobione na miejscu przestępstwa: leżące ciała, przekrzywiona choinka, otwarty kominek i plamy krwi wszędzie wokół.

Oczywiście odnaleziono narzędzie zbrodni, miecz, który wisiał nad łóżkiem Jonasa, zabytek z wojny hiszpańsko-amerykańskiej, który, jak teraz wiedziała, nosił jeden z jej krewnych, jakiś pra-pra – pra wujek czy ktoś taki. Nie pamiętała, ile było tych „pra”, wino też nie pomagało. Ta myśl natchnęła ją do nalania sobie „ostatniego kieliszka”, z którego sączyła wolno, czytając artykuły o tamtej Wigilii, kiedy tak bezlitośnie unicestwiono jej rodzinę.

Wyglądało na to, że miecz przyczynił się do wypuszczenia Jonasa z więzienia. Margrove nigdy nie porzucił swojego klienta, nawet po pierwotnej porażce.

Prokuratorzy byli nieprzejednani, mieli pewność, że Jonas, drugi, zbuntowany syn Samuela McIntyre’a seniora, jest zabójcą. Jonas wpasowywał się w profil: nastolatek, który zawsze stawał okoniem, samotnik, który miał problemy z prawem. Osiemnastolatek z dziewczyną i problemem z nadmierną agresją. Jonas McIntyre „stracił panowanie nad sobą”, asystent prokuratora wyjaśnił

prawniczym językiem, że było to załamanie nerwowe, które przerodziło się w tragiczną eksplozję agresji. Jonas zabił swoją rodzinę, ale akt ten nie miał cech zaplanowanego morderstwa popełnionego z premedytacją, lecz ze względu na nagły wybuch złości przybrał chaotyczną formę. A rany, które odniósł? Mogły wynikać z tego, że jedna z ofiar się broniła, lub też zadał je sobie sam. Prokurator okręgowy dowodził szczegółowo, że Jonas był lekkoatletą i gimnastykiem, więc mógł się pociąć sam.

Mimo to ława przysięgłych nie była do końca przekonana, przeważyło to, że odciski palców Jonasa znajdowały się na całym mieczu, który nie tylko miał ponad sto lat, lecz także posłużył jako mordercza broń.

Teraz jednak ten kluczowy dowód został podważony.

Policjant, który pracował na miejscu zbrodni, Randall Isley, przyznał, że zaliczyli wtedy wpadkę, bo rzeczony miecz został zagubiony w całym tym zamieszeniu i przez czterdzieści pięć minut nie było wiadomo, gdzie się znajduje, skoro więc doszło do rażącego naruszenia przepisów dotyczących cennych dowodów, fakt ten został ukryty przez zwierzchników.

Isley przeszedł już na emeryturę i złożył oświadczenie pod przysięgą w obecności Margrove'a, który udał się z nim do sędziego.

W rezultacie Jonas został zwolniony po odbyciu zaledwie części kary.

Kara poczuła, że zaczyna boleć ją głowa. Pomasowała skronie, ze swojego miejsca zobaczyła, że w kuchni Rapsodia wpatruje się w drzwi prowadzące na tyły domu. Nie ruszała się, po prostu patrzyła, jakby mogła przejrzeć drzwi na wylot.

– Co?

Pies cicho zawarczał.

Karę ścisnęło w sercu.

– O Boże.

Nagle zaszcło jej w gardle, odsunęła krzesło i weszła do kuchni.

– Przestań – rozkazała.

Rapsodia ani drgnęła.

Jedynie zjeżyła sierść na karku.

Karze skoczyło ciśnienie, przysunęła się do okna i wyjrzała przez rolety. Podwórze wyglądało tak jak wtedy, gdy ostatnio na nie patrzyła. Było puste. Nic się nie zmieniło. Noc była spokojna. Cicha. Padał lekki śnieżek. Powoli wypuściła powietrze, cofnęła się i położyła dłoń na włączniku światła, wyłączyła lampę, mając nadzieję, że dzięki temu już jej nie będzie widać. Na zewnątrz nadal nie było nic nowego.

– Nie strasz mnie – zwróciła się do psa, ale cały czas zerkała na podwórze.

Czyżby coś się poruszyło przy żywopłocie? W rogu podwórza zaszeleściły liście wawrzynu, czy na linii płotu w jednym miejscu śnieg był naruszony? Czy przy żywopłocie były odciski stóp, ścieżka wydeptana przez kogoś, teraz przykryta śniegiem? A może to tylko wytwory jej zbyt bujnej wyobraźni?

Przełknęła strach. Nikogo nie było za domem. Nikt jej nie obserwował. Żadnych śladów stóp, tylko miejsce obok płotu, gdzie ziemia się zapadła pod zaśnieżonymi krzakami. Zasunęła roletę nad zlewem, Rapsodia zaskomlała, a Kara rozpoczęła swoją cowieczorną rundę z liczeniem drzwi i upewnianiem się, że wszystkie są zamknięte na klucz. Od garażu do kuchni.

– Jeden. – Tylne drzwi w kuchni. – Dwa. – Przeszła z jadalni do salonu, a stamtąd do drzwi frontowych. – Trzy. – Pilotem wyłączyła ogień i zagwizdała na psa, po czym weszła na górę, gdzie pod spadzistym dachem znajdowała się jej sypialnia. Skośny sufit oraz stara, sosnowa podłoga mieściły zaledwie podwójne łóżko.

Przytulne i znajome.

Bezpieczne.

Nie włączała światła, lecz podeszła do okna i ponownie wyjrzała na zaśnieżone podwórze. Lód ściał poidło dla ptaków, śnieg przykrył donice, w których zwiędły ostatnie letnie pelargonie, śnieg był naruszony tylko w miejscach, gdzie wcześniej biegła Rapsodia.

Nie ujrzała żadnej ciemnej postaci kryjącej się w cieniu, żadnego zabójcy w krzakach.

Mimo to zaciągnęła rolety, po czym włączyła lampkę przy łóżku, a pies, opuściwszy swoje miejsce przy tylnych drzwiach, hałaśliwie wbiegł po schodach i wszedł do sypialni.

– No dobra, gotowa na spanko? – zapytała Rapsodię, która już wskoczyła na łóżko.

Kara zamknęła drzwi sypialni i zasunęła zasuwkę, którą sama tu zainstalowała.

– Cztery – powiedziała i chociaż piżamę miała poplamioną winem, weszła pod kołdrę.

Pomyślała o tabletkach nasennych trzymanyh w górnej szufladzie szafki nocnej, ale zamiast nich podniosła z podłogi książkę. Literatura faktu. O konfrontowaniu się ze swoimi demonami i sile kobiet.

Nudna. Napuszona. Działała na nią nasennie.

Ale nie teraz.

Czytała przez pół godziny, odłożyła książkę na bok i podciągnęła kołdrę pod brodę, następnie zamknęła oczy, mając nadzieję, że nadejdzie sen, i cicho modląc się o to, żeby nie przyszedł razem z koszmarami.

Nie wyłączyła światła, ale w końcu odpłynęła.

W jej mózgu zaryczał koszmar senny, wielka, brzydka bestia, przed którą nie było ucieczki.

Znowu miała siedem lat, otworzyła drzwi strychu, biegła na dół po schodach, które wciąż zakręcały, tworząc spiralę, i słyszała muzykę – jakąś kolędę. Grała cicho, oprócz niej do jej uszu docierały strzępki rozmowy. Ojciec się z kimś kłócił. Trzaskały drzwi. Mama krzyczała. Marlie ostrzegała ją, że ma być cicho i zostać na strychu. Kara biegła coraz szybciej, cały czas na dół niekończącej się klatki schodowej, jej bosc stopy ślizgały się na wilgotnej podłodze, palce rąk muskały pokrytą czymś śliskim barierkę.

– Mamo! – zawołała. – Tato... – Jej głos tłumili głośnie huki, krzyk, pisk i ta piosenka, kolęda odbijająca się głośnym echem oraz bicie zegara.

Bim, bam, bom.

Zdjęła rękę z poręczy.

Była czerwona od krwi.

A stopy? One też były czerwone, ślizgały się na krwi skapującej po stopniach.

– Mamo! – krzyknęła, chociaż w jej głowie grała ta okropna kolęda i bicie zegara.

Nad dzieciątka snem...

– Mamo!

Kara otworzyła oczy.

Serce dudniło w jej piersi.

Plecy miała mokre od potu.

Zamrugwała, okazało się, że jest we własnej sypialni.

– O Boże – wyszeptwała, siadając w zmiętej pościeli. Koszmar był taki prawdziwy. Jak zwykle. Jak za każdym, cholernym, razem.

Zaschło jej w gardle, ale przełknęła ślinę i pomyślała, że zadzwoni do doktor Zhou, po czym natychmiast odrzuciła ten pomysł. To był sen. I co z tego? Nie po raz pierwszy i nie ostatni w jej podświadomości pojawiła się scena z nocy masakry.

Z wysiłkiem wstała, dudniło jej w głowie, gdy szła do łazienki, gdzie zatrzymała się przy umywalce, odkręciła kran i pochyliła się, żeby się napić, po czym ochlapała twarz zimną wodą.

Zakręcając kran, zerknęła w lustro. Wyglądała potwornie. Włosy bezładnie okalały jej bladą twarz i ramiona, brązowe oczy wyglądały jak zapadnięte i nawiedzone, jej kości policzkowe były zbyt wydatne. Woda kapiała jej z brody, więc zdjęła ręcznik z uchwytu i wytarła twarz.

Weź się w garść. Na miłość boską, Kara, weź się w garść.

Położyła ręcznik na szafce i wróciła do sypialni, gdzie cicho pochrapywała Rapsodia, a cyfrowy zegar wyświetlał czas.

2.57. Czy uda jej się znowu zasnąć? Raczej nie. Podeszła do okna. Spojrzała w ciemność.

Śnieg przestał padać, utworzył grubą warstwę lśniąca w słabym świetle dochodzącym z jej okna. Zadrzała, włożyła więc szlafrok frotté, który leżał na krześle wraz z innymi pogniecionymi ubraniami. Mocno zawiązała pasek, po czym usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach.

To musi się skończyć.

Ta tortura.

Musi być jakiś sposób, żeby to zakończyć.

Może, kiedy uwolnienie Jonasa przestanie odgrywać tak wielką rolę, stanie się kolejną zapomnianą historią, a w mediach pojawi się jakaś inna tragedia, uda jej się zostawić to wszystko za

sobą.

Aha, na pewno.

Jakie są szanse?

– Zamknij się – powiedziała, mając nadzieję, że uciszy ten okropny głos w swojej głowie, ten, który przypominał jej, że nigdy nie będzie normalna, zawsze będzie nosić etykietę dziwaczki, zawsze będą ją postrzegać jako osobę, która przeżyła niewyobrażalną tragedię.

Zawibrował jej telefon, zamruczał gdzieś w zmiętoszonej pościeli.

Odrzuciła kołdrę i znalazła komórkę zaplątaną w prześcieradło.

Wiadomość.

Od nieznanego numeru.

Kara ją przeczytała i zjeżyły się jej włoski na karku. Telefon spadł na podłogę, ale wylądował ekranem do góry.

Na wyświetlaczu widniało:

Ona żyje.

ROZDZIAŁ 7

Kara odskoczyła od łóżka, potknęła się na butach i przytrzymała się ściany. Kto? Kto żył?

To tylko kolejny głupi dowcip.

Od razu pomyślała o Jonasie. Wyszedł z więzienia, prawda? Czy to on napisał do niej w środku nocy?

Nieosiągalne.

Drżąc w środku, wróciła do łóżka, podniosła telefon i zauważyła wiadomość głosową z tego samego numeru, rozmowę, której nie odebrała, bo spała.

W sensie, że odpłynęłaś, co nie?

Ignorując głupie sumienie, wzięła telefon do ręki i odsłuchiwała nagranie z poczty głosowej.

Przez kilka sekund tylko cisza, jakieś odgłosy z otoczenia. Może wiatr? Powietrze naokoło jadącego samochodu? Ciężki oddech?

Głośno przełknęła ślinę i odsunęła od siebie gnające myśli, gdy w słuchawce rozległ się głos.

– Ona żyje – powiedział chropawym szeptem.

Czy to mężczyzna?

Kobieta?

Nie da się stwierdzić.

Klik!

Ktokolwiek to był, zaraz się rozłączył.

Godzinę później przyszedł esemes.

Z głośno bijącym sercem, odpisała.

Kto żyje?

Czekała.

Minutę. Dwie. Po trzech znowu napisała.

Kim jesteś?

Pociła się, chociaż w pokoju było zimno. Oprócz cichego pochrapywania Rapsodii słyszała też cichy chrobot włączonego grzejnika i dudnienie pulsu w swoich uszach.

Żadnej odpowiedzi.

Spojrzała na zegarek. 3.17.

Ze ściśniętym żołądkiem wybrała ten numer, przyłożyła telefon do ucha i zamknęła oczy. Jeden sygnał, dwa, trzy... żadnej poczty głosowej, na której mogłaby się nagrać. Tylko sygnał łączenia rozbrzmiewający w nieskończoność.

Wyobraziła sobie osobę po drugiej stronie, patrzącą na dzwoniący telefon, ale nie odbierającą połączenia.

Zmarszczyła brwi.

Dlaczego?

To Jonas. Wiesz o tym. Wyszedł i ciągle jest na ciebie zły, więc tak się z tobą bawi. Przygotuj się, Karo, to nie będzie przyjemne.

– Nie – wyszeptała i się rozłączyła. Leżąc na łóżku z głową wspartą na poduszkach, patrzyła się tępo w ścianę, na której wisiało zdjęcie przedstawiające jej całą rodzinę, zastygłą w czasie. Wszyscy byli w chatce, a mama uparła się, żeby na zewnątrz, przy jeziorze, zapozowali do rodzinnego zdjęcia, które zrobił wynajęty zawodowy fotograf.

Miało przedstawiać tę patchworkową rodzinę jako szczęśliwą. Normalną. Chociaż taka nie była. Ani nie mogła być.

Zamrugła, żeby pozbyć się łez, po czym przyjrzała się zdjęciu, które znała na pamięć.

W letni dzień cała rodzina oblegała powalone drzewo, a za nią rozciągało się jezioro.

Mama stała za Donnerem i Marlie, którzy siedzieli obok siebie na omszałym pniu. Tata trzymał dłonie na ramionach obu swoich synów, lewą rękę swobodnie na Samie juniorze, palce prawej zaciskał nad łokciem Jonasa. Kara siedziała pośrodku, pomiędzy Jonasem i Marlie, wszyscy uśmie-

chali się do aparatu oblatni światłem zachodzącego słońca. Wszyscy oprócz Jonasa. Nawet wtedy był poważny, mrużył oczy pod kępą bujnych włosów, zaciskał usta, a ręce założył na piersi. Wyglądał, jakby wolał być wszędzie, byle nie tutaj.

Ponownie spojrzała na swoją jedyną siostrę. Co wiedziała Marlie? Dlaczego jej ubrania leżały schludnie złożone na skraju łóżka, skoro nigdy nie była szczególnie porządnicka? Dlaczego zabrała Karę na strych? Bała się. Odchodziła od zmysłów. A mimo to nie ukryła się z Karą na ciemnym poddaszu. Obiecywała, że wróci.

Ale nie wróciła.

Nigdy.

Kara miała guł w gardle, poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Co się stało z jej siostrą? Czy coś gorszego niż z braćmi? Pamiętała, jak powoli schodziła po schodach, strach niemal paraliżował jej ruchy, palcami sunęła po poręczach, docierała do niej cicha kolęda...

– Przestań! – krzyknęła, poczuła dudnienie pulsu w czaszce. To jakieś szaleństwo! Nie mogła tego znowu robić. – *Nie* jesteś ofiarą. Przeżyłaś. Pamiętaj. *Nie* jesteś ofiarą.

Drżąc, zeszła z łóżka, zdjęła fotografię ze ściany i włożyła ją obrazkiem do dołu do najniższej szuflady, pod rzadko zakładane stare bluzy. Przecież nigdy nie lubiła tego zdjęcia. Zawsze było bolesnym wspomnieniem życia sprzed tragedii, ale ciotka Faiza upierała się, żeby je zatrzymała.

– Pewnego dnia ucieszysz się, że je masz – mówiła.

– Ale nie dzisiaj – skomentowała na głos swoje myśli, po czym pomyślała: „i nigdy więcej”, gdy jej komórka, leżąca na łóżku, gdzie ją zostawiła, zaczęła dzwonić.

Błyskawicznie znalazła się przy niej. Znowu nieznan numer.

– Kto mówi? – zapytała po odebraniu.

Ponownie szmer powietrza.

– Kim jesteś? – dopytywała głośniejszym głosem i uświadomiła sobie, że cała się trzęsie. Od stóp do głów.

– Ona żyje. – Ten sam szept i odpowiedź.

– Kto? Kto żyje? – Marlie? Czy ta osoba mówiła o Marlie? Bo o kim?

Żadnej reakcji.

– Marlie? Mówisz o Marlie? – wypytywała Kara milczącego rozmówcę. – Kim, do cholery, jesteś? – zapytała, nie potrafiąc ukryć paniki w głosie.

Nic.

– Dlaczego to robisz? Kim...?

Rozmowa została zakończona.

– Boże. – Wpatrywała się w ekran. Kto to był?

Jonas.

To nie może być zbieg okoliczności, że wiadomości i telefony zaczęły się tej nocy, niecałe dwadzieścia cztery godziny, odkąd wyszedł z więzienia.

Zaschło jej w ustach.

Trzęsły jej się ręce.

Powiedziała sobie, że nie ma się czego bać z jego strony, ale potem przypomniało jej się to, co zeznawała, jak prawniczka z upiętymi jasnymi włosami i intensywnie niebieskimi oczami zadawała jej pytania, jak przeinaczała jej słowa, przez co Karze wydawało się, że Jonas naprawdę zabił swoją rodzinę. Przypomniała sobie też, jak na nią patrzył, gdy zajmowała miejsce dla świadka, wbił w nią wzrok i zaciskał zęby. Odpowiadając na pytania, skubała papierową chusteczkę, skręcała delikatny papier, aż się rozpadł w jej spoconych dłoniach, kiedy opisywała, jak zeszła po schodach na dół, weszła do salonu i sypialni rodziców, grozę, gdy odkryła ciała, i to, że tylko Jonas przeżył.

Co gorsza, mężczyzna siedzący za Jonaszem, Merritt Margrove, próbował zmienić jej opowieść, zasugerować, że ktoś inny, być może nawet sama Marlie, zaszlachtowała rodzinę, stawiał takie pytania, które siały zwątpienie wśród przysięgłych, byle tylko oczyścić swojego klienta.

Wszystko to do niej wróciło niczym horror rozgrywający się naokoło w jej głowie.

– Przestań! – Tupnęła nogą i zacisnęła pięści.

Rapsodia podniosła łeb i zaniepokojona zaszczekała. Jej bystre oczy spojrzały na Karę.

– Przepraszam. – *Uspokój się. Uspokój się, do jasnej cholery!* Zrobiła głęboki wdech, pogłaskała psa, który zamerdzał ogonem i ziewnął, pokazując różowy język, czarne wargi i ostre, białe

zęby, po czym ponownie przymknął powieki. – Już dobrze – powiedziała, ale nie wierzyła w to choćby przez sekundę.

Wzięła komórkę, siadła na łóżku i wybrała numer Merritta Margrove'a, ale od razu została przerwana na pocztę głosową. A czego się spodziewała? Że siedział przy komputerze, pracował i trzymał przy sobie telefon? Na miłość boską, była 3.36 w nocy.

Świetnie.

– Tu Kara – rzuciła po sygnale. – Czy jest z tobą Jonas? Wiesz, gdzie jest? Oddzwoń. – Rozłączyła się, po czym zabrała telefon i znowu przeszła się po domu, licząc drzwi i sprawdzając, czy są zamknięte, na końcu zasunęła zasuwę w sypialni.

Klik!

Merritt Margrove otworzył zapuchnięte oko.

Co to, do cholery, było?

Nietypowy dźwięk.

Dwa razy zamrugał, by przyzwyczaić wzrok do upiornego światła rzucanego przez telewizor. Dudniło mu w głowie, bolał go kark od leżenia na futonie w nienaturalnej pozycji. Z jękiem usiadł i zapatrzył się w nadawany nocą film z lat czterdziestych, *Upadłego anioła*, który właśnie rozpoczął się po reklamach.

Potarł oczy i skupił się na niemal pustej szklaneczce szkockiej stojącej przy stosie notatek, jego włączonym iMacu, komórce i wypełnionej popielniczce. Na ladzie oddzielającej kuchnię od pokoju leżała niedojedzona pizza pepperoni, nadal wydzielając zapach pikantnego sosu pomidorowego i prawie spalonego sera. Tutaj, w przyczepie, mógł oddawać się wszystkim swoim złym skłonnościom, nie mając nad sobą czujnej żony straszącej go rakiem płuc, rozedmą czy cholesterolem. Celeste na pewno wiedziała, co robił. Ile razy słyszał jej śpiewkę: „Kiedy kota nie ma, myszy harcują”?

– Za dużo razy – powiedział, przekręcił głowę, aż strzeliło mu w karku. Powinien iść do łóżka. Stracił wątek w filmie, nie był w stanie dłużej pracować. A burza na zewnątrz jeszcze przybrała na sile, wiatr szalał w kanionie i pomiędzy sosnami. Zerknął na notatki, świeżo wydrukowane strony, które, miał nadzieję, były warte fortunę. Jego przemyślenia na temat Masakry Rodziny McIntyre'ów oraz fakt, że nawet po tak wielu latach udało mu się wyciągnąć Jonasa McIntyre'a, powinny być sporo warte. Możliwe, że wręcz ogromny majątek. Wyobraził sobie umowę na napisanie książki, a może nawet filmu czy serialu o tej przerażającej zbrodni. O tak, opublikowano już kilka książek, ale nie z jego przemyśleniami, nie zawierały wywiadów z niesłusznie oskarżonym mężczyzną ani tajemnic, o których wiedział Margrove.

Poczuł przyływ energii, jakiego nie doświadczył od lat. Książka musiała stać się bestsellerem, a film hitem. Znowu odbuduje swoją karierę.

Merritt V. Margrove wrócił, kochanie.

Albo niedługo wróci. Bardzo niedługo.

Pierwszy, trudny krok, czyli wyciągnięcie Jonasa, został już wykonany, chociaż zajęło mu to dwadzieścia, cholernych, lat.

Sięgnął po zapalniczkę i paczkę cameli leżące na stoliku. Zapalając papierosa, Margrove popuścił wodze wyobraźni. Widział swoją przyszłość – trasę promocyjną książki, wywiady w telewizji i dla gazet. W wywiadach będzie opowiadał o tajemnicach swojego zawodu związanych ze sprawą, o tym, jak rozpracował system sądowiczy i odkrył potworny błąd w łańcuchu dowodowym dotyczący narzędzia zbrodni. To doprowadzi do tego, jak dzięki nieustępliwości i ciężkiej pracy oczyścił swojego klienta. Tak, zabrało mu to prawie dwadzieścia lat, ale Jonas wciąż był młody, jeszcze przed czterdziestką, i miał dziesiątki, nie, setki fanów. Jonas o tym wiedział. To on aktywnie prowadził jego stronę i konta w mediach społecznościowych, pragnąc, by Jonas nigdy nie zniknął z oczu, pomagało to, że chłopak wyrósł na adonisa. No może nieco przesadził, ale był przystojny w taki niepokojący, mroczny sposób, który fascynował dziewczyny i kobiety.

Tak, będzie cudownie.

Zaciągnął się, odchylił w tył i wydmuchał kółeczka dymu w stronę sufitu tego starego, rozpadającego się domu na kółkach. Wszystko się zmieni. Nie będzie musiał się chować przed Celeste. O nie. W zasadzie pozbędzie się Celeste. Żona zachodziła mu za skórę. Uwielbiała zdrowe jedzenie – coś, co nazywała „czystym jedzeniem” i co nie zawierało niczego, co sam lubił. Żadnej woło-

winy. Żadnych nachosów. Ani pizzy. Alkohol? Zapomnij! Papierosy? Równoznaczne z trucizną! Celeste nie znosiła ich zapachu, chociaż kiedy ją poznał, paliła jak smok. Jak to mówiła jego matka: „Nie ma nic gorszego niż nawrócony grzesznik”. Amen. Celeste była jego trzecią i, jak się zarzekał, ostatnią żoną, dwadzieścia lat od niego młodszą fryzjerką, która ostatnio stała się zbyt poważna, interesowała ją joga, zielona herbata i oszukany hamburger. Jak „czyste” było sztuczne mięso?

Na ekranie telewizora znowu zaczęły się reklamy, tym razem zachwalali Cialis – preparat na potencję – więc oglądał uważniej. Ostatnio jego kutas nie był sobą, nie był tak wrażliwy i twardy jak w najlepszym okresie jego życia. Winił za to Celeste. Nie miała cierpliwości albo była zmęczona, albo... miała inną wymówkę.

Klik.

Znowu usłyszał ten dźwięk. Ponad głosem prezentera, który mówił mu, jak wprowadzić do swojego życia nieco pikanterii, oraz świstem wiatru pomiędzy drzewami.

Co to, do cholery, było?

Nikt nie wiedział, że tu jest.

Rany, nikt nie miał pojęcia o tym miejscu.

Tylko Celeste.

No i Jonas. Ale to było oczywiste.

Mimo to... podniósł kij bejsbolowy, ten, który na wszelki wypadek trzymał blisko drzwi frontowych. Przez większość swojego dorosłego życia był adwokatem i miał do czynienia z okropnymi ludźmi, wobec tego zawsze trzymał w pobliżu kij marki Louisville Slugger.

Włączył światło i przemierzył krótki korytarz prowadzący do sypialni.

Pusto.

Zatrzymał się i wciągnął nosem powietrze. Czyżby wyczuł wiatr? Przeciąg przebijający się ponad ciepło wydobywające się ze starego ogrzewania podłogowego? To nic – tu po prostu wszędzie były przeciągi.

Mimo to poczuł mrowienie na karku.

Ostrzeżenie.

Ale nic nie widział.

Nic nie słyszał.

– Za dużo wody. – Zaśmiał się. W łazience zabawił dłużej, żeby się wysikać, i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Rzednące włosy były dość długie, by związać je w kucyk, policzki miał obwisłe mimo liftingu, któremu poddał się piętnaście lat wcześniej, pod cienką skórą widać było żyłki.

Dawniej, jako przystojny, elegancko ubrany, poszukiwany prawnik, mógł żądać wygórowanych stawek, za które wykonywał doskonałą pracę. W tamtych czasach miał sześciu asystentów na każde zawołanie i trzy olśniewające pracownice, które nigdy mu się nie opierały. Celebryci wzywali go, żeby zajmował się ich grzeszkami. Co to były za czasy.

Przepadły.

Dawno minęły.

Ale może, może wróć, a on wszystko naprawi. Zrobi sobie lifting podbródka i szyi, może zagęści włosy, które trochę zrzedły na czubku głowy, i wróci do gry.

Ponownie.

Szedł właśnie do salonu, żeby wszystko powyłączać i pójść spać, kiedy zauważył, że nad piecykiem zgasło światło.

Przecież wcześniej się świeciło... a może już je wyłączył? Może stara żarówka wreszcie się przepaliła.

Czekał.

Nic się nie poruszało.

Na starość, a raczej pod koniec wieku średniego, zaczynał mieć paranoję. Musiał myśleć o przyszłości. Zostawił kij koło krzesła, w zasięgu ręki, następnie skończył szkocką i pomyślał, że już pora na ostatni dymek, więc zapalił papierosa i zaczął układać zapiski mimo bólu głowy, który zaczął się od skroni.

Poczuł coś dziwnego.

Powietrze się poruszyło.

Ponownie zerknął w stronę kuchni.

Czyżby zostawił schowek na miotły otwarty? Cholera, nie. Kiedy ostatni raz sięgał po miotłę czy mopa...

Poczuł lufę pistoletu wciskającą mu się w tył głowy – śmiercionośny dotyk zimnej stali na jego rzadkich włosach. Co?

Zamarł.

Upuścił papierosa na dywan.

Niemal stracił kontrolę nad pęcherzem.

– Nie ruszaj się – zabrzmiął rozkaz.

Klik.

Dźwięk odbezpieczanego pistoletu.

Ślina wyschła w ustach Margrove'a. Prawie zsiakał się w majtki.

– C-co chce...?

– Zamknij się!

Tak zrobił.

Próbował myśleć mimo coraz większej paniki. Kto to jest, do cholery? Dlaczego się tu znalazł lub znalazła? O co chodzi z tą pieprzoną bronią?

– Ja-ja nie mam pieniędzy.

– Zamknij się.

Cholera, cholera, cholera, cholera! Margrove próbował myśleć, znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Już wcześniej zdarzało mu się być w opałach. Wiele razy. Ale nigdy w ciągu pięćdziesięciu dziewięciu lat swojego życia nie miał lufy pistoletu przystawionej do potylicy. *Myśl, Margrove, myśl. Jakoś się z tego wyplącz. Musi być jakiś sposób. Może to tylko rabunek. Ktoś, jakiś włóczęga, zobaczył światła przyczepy w zamieci śnieżnej...*

To skąd broń?

Spokojnie. Dasz radę.

Spanikowany, z głośno walącym sercem, zerknął na kij bejsbolowy. Za daleko. A gdyby się poruszył? O cholera!

Musiał się stąd wydostać. Szybko. Musiał uciec.

Zzzzt!

Kurwa, co to było? Świszczący dźwięk przypominał odgłos paska szybko wyciąganego ze szlufek lub...

Kątem oka dojrzał stal. Ostry metal, który zniekształcony odbijał się w ekranie telewizora.

Jezu Chryste, facet miał nóż? Wyjął z pochwy pierdolony nóż? Skoro i tak trzymał pistolet przy głowie Merritta? Po jaką cholere...

O kurwa!

Ostrze opadło.

Szybko.

Od jednego jego ucha do drugiego, zanim zdążył się poruszyć.

Cienka stal przecięła skórę, mięśnie i chrząstki.

Trysnęła krew, gęsta i czerwona.

Zaskoczony Margrove padł na kolana. Dławił się, próbował złapać powietrze, gulgotał i kaszłał, wiedział, że tonie we własnej krwi. Przez sekundę się chwiał, po czym padł głową na podłogę. Zdążył jeszcze uświadomić sobie, że umiera. Został zamordowany. Otworzył szeroko oczy, chcąc ujrzeć tego okrutnego sukinsyna, który to zrobił.

Ale jego wzrok zatrzymał się na telewizorze.

Przez ostatnie sekundy życia Merritt Margrove, gdy wykrwawiał się na stary dywan, czując niewielki ból i jeszcze mniejszy żal, oglądał napisy końcowe czarno-białego filmu, które powoli leciały na ekranie.

ROZDZIAŁ 8

Karę łupało w głowie, ale zeszła na dół, żeby wypuścić psa na wciąż ciemne podwórko, po czym wcisnęła przycisk w ekspresie do kawy stojącym w kuchni na blacie, ignorując pieczenie oczu oraz narastający u podstawy czaszki ból.

Margrove nie oddzwonił, ale nic dziwnego, bo było jeszcze przed siódmą rano i większość świata dopiero się budziła. Ziewając, zerknęła przez okno wychodzące przed dom i w szparze żaluzji ujrzała latarnie uliczne rzucające mglisty blask i lekki śnieżek padający z czarnego nieba, walczącego z nadchodzącym świtem.

Wydawało jej się, że nie zmrużyła oka przez resztę nocy, ale godziny upłynęły szybko, więc musiała się zdrzemnąć. W kredensie nad zlewem znalazła fiolkę ibuprofenu i wytrząsnęła z niej ostatnią tabletkę.

Ekspres zapyrkotał i wypuścił parę, a następnie porcję espresso, do którego dodała pokaźną ilość baileysa.

Na nerwy. Małego „klinika”, jak kiedyś powiedział tata, kiedy nie miała jeszcze pojęcia, o czym mowa.

Wsadziła tabletkę do ust i popiła ją gorącą kawą z wkładką, telewizor głośno nadawał relację o uwolnieniu Jonasa, co wciąż stanowiło najważniejszą informację.

Gdzie przebywał?

Dlaczego się z nią nie skontaktował?

Co ważniejsze, dlaczego wciąż się torturowała, skoro już teraz miała łeb jak sklep? Znalazła pilota i wyłączyła rozpromienioną reporterkę brylującą na ekranie.

– Lepiej – mruknęła, sącząc płyn z dużego kubka i mając nadzieję, że ból głowy zniknie.

Otworzyła drzwi, do kuchni wpadła Rapsodia; energicznie merdając ogonem i uderzając nim w szafkę, czekała, aż Kara nasypie suchą karmę do jej pustej miski.

Po prysznicu, ubrana, lekko pomalowana, ze słuszną porcją kropli Visine w oczach, uznała, że czeka już zbyt długo. Musiała spotkać się z Jonasem, a żeby to uczynić, musiała rozmówić się z jego adwokatem, który mieszkał za rzeką.

Uznała, że wczorajszy nocny telefon był tylko głupim żartem. Wszystko wskazywało na to, że Jonas jest nowym człowiekiem, więc z pewnością zadzwoniłby normalnie, prawda? Miał już jej numer, dostał go od ciotki Faizy. Przecież by do niej zadzwonił, zamiast w środku nocy bawić się w jakieś nedorzeczne dowcipy rodem ze szkoły średniej? A może był aż tak okrutny?

Wobec tego dzwoniącym musiał być ktoś inny, ktoś, kto chciał napędzić jej stracha. Ale kto? Niewiele osób dysponowało jej numerem. I co z tego? Nie była do końca anonimowa, istniały sposoby, że znaleźć tego rodzaju informacje w sieci. Nie, to nie Jonas zadzwonił do niej, ale jakiś człowiek z jej przeszłości. Ktoś zazdrosny i wkurzony próbował wyprowadzić ją z równowagi, zostawiając dziwną wiadomość w środku nocy.

– Przywyknij do tego – doradziła sobie, kończąc kawę i sięgając po kurtkę. – Niedługo wrócę – powiedziała do Rapsodii, która podbiegła do drzwi, sądząc, że pójdą pobiegać. Poczucie winy pojawiło się w wypełnionym bólem mózgu Kary. – Później – obiecała. Najpierw musiała dopaść Margrove’a i dowiedzieć się, jak może skontaktować się z Jonasem.

Dlaczego?

Nie odpowiedziała na to pytanie, ponieważ nie miała dobrego wytłumaczenia. Owszem, był jej bratem, członkiem rodziny, ale nigdy nie odpisywał na jej listy, dwukrotnie nie zgodził się na spotkanie, gdy skończywszy osiemnaście lat, pojechała do Banhoff. Wysokie, betonowe mury więzienia, drut kolczasty i uzbrojeni strażnicy z kamiennymi twarzami przekonali ją, że nigdy nie chciałaby zostać uwięziona, zastanawiała się też, jak Jonasowi udało się przeżyć tam tak długo i nie oszaleć.

Może Jonasowi niewiele brakowało do szaleństwa. Bo chłopak, który zabił swoją całą rodzinę, już tę granicę przekroczył.

A teraz wyszedł.

To dobrze?

Czy źle?

Uznała, że musi to ustalić.

– Nie zrobił tego – przypomniała sobie, po czym wzięła kluczyki i torebkę i udała się do garażu. Nacisnęła przycisk otwierania drzwi i siadła za kółkiem. Gdy drzwi z hałasem się otworzyły, zapuściła silnik SUV-a cherokee. Położyła dłonie na zimnej kierownicy.

Zawibrował jej telefon, więc spojrzała na wyświetlacz. Brak nazwiska. Brak numeru.

– Zapomnij – powiedziała na głos, jej oddech zmieniał się w parę, po czym wrzuciła bieg wsteczny i dała gazu, bo śnieg zebrał się na podjeździe. Jeep ruszył do tyłu, podskakiwał na oblodzonym podłożu, zaczynała się szarówka.

– Hej! – zawołał ktoś za nią.

Lup!

Kątem oka zobaczyła jakiegoś mężczyznę zeskakującego z podjazdu do ogrodu.

Jezu!

Potrąciła go?

Co? Nie!

Wcisnęła hamulec.

– Nie. O, nie. O Boże! – wyszeptała, zatrzymując jeepa.

Otworzyła drzwi. Wybiegła z auta, modląc się, żeby mężczyzna był żywy. Obiegła tył samochodu, ślizgała się, panika paraliżowała jej umysł.

Leżał na podjeździe, częściowo przykryty kilkunastoma centymetrami lodowatego, białego puchu. W dzinsach, ciepłej kurtce i wysokich butach. Twarz okoloną ciemnymi włosami miał zwróconą na bok.

Nie ruszał się.

Prawie się porzygała. Boże, nie żyje?

– Hej! – krzyknęła. – Hej! – Opadła na kolana, chciała sprawdzić mu puls, bo nigdzie nie widziała krwi.

Z jękiem przewrócił się na plecy, zamrugał, spojrzał na nią błękitnymi oczami.

– Czy... nic ci nie jest?

– Aha. – Uniósł głowę, śnieg przyłgął do jego niemal czarnych włosów.

– Hej... nie... Nie! Nie powinieneś się ruszać.

Jego głowa ponownie opadła w zagłębienie w śniegu.

– Wow.

O Boże, o Boże, o Boże! Przełknęła ślinę, sięgnęła po komórkę, żeby wezwać karetkę, ale zostawiła ją razem z torebką na przednim siedzeniu. Zerknęła w dół ulicy, zobaczyła, że jest pusto, nikt nie wyszedł z domu, jedyną oznaką życia był rudy, pręgowany kot idący powoli po śniegu zalegającym na podwórzu, ostrożnie unosząc każdą łapę, aż dotarł do sedana zaparkowanego na chodniku i wszedł pod auto. Poza tym było spokojnie, latarnie jeszcze się świeciły, w kilku oknach paliły się światła, na niektórych domach wisiały włączone światełka choinkowe.

Usiadł. Otarł twarz dłonią w rękawiczce.

– Zaczekaj. – Wyciągnęła rękę, wnętrzem dłoni do góry i z rozszerzonymi palcami. Niezdarnie się cofnęła, wciąż spoglądając na pustą ulicę, gdzie spodziewała się znaleźć pomoc. Ale nikogo nie było. Jedynie kot. – Nie ruszaj się, tylko... tylko, czekaj – rozkazała. – Wezwę karetkę.

– Nie – jęknął. – Nic mi nie jest... – Skrzywił się. – Daj mi chwilę.

– Co? Nie!

– Potrzebuję chwili.

– Ale...

Podniósł palec, a ona z ulgą przyjęła to, że jest przytomny, wydaje się mówić do rzeczy i może się ruszać, że nie zśniał... i wygląda normalnie. Na śniegu nie było czerwonych plam. Nadal nie potrafiła znieść ich widoku.

– Powiedziałem, żebyś dała mi chwilę – powtórzył. Położył się na plecach, spojrzał w niebo, gdzie poranne światło przebijało przez leniwie poruszające się chmury. Wypuścił powietrze z płuc. – Nic mi nie jest. Wszystko... będzie dobrze.

Czyżby? Nie powinien skonsultować się z lekarzem? A przynajmniej z ratownikiem me-

dycznym? Może ma jakieś wewnętrzne obrażenia?

Zrobiła kilka kroków w tył, w stronę otwartych drzwi swojego jeepa.

– Chyba powinniśmy wezwać kogoś, kto...

– Przestań! – warknął. A potem spokojniej dodał: – Słuchaj, nic mi nie jest. Naprawdę. – Na potwierdzenie swoich słów ukląkł, po czym się podniósł. Dzięki Bogu, mógł sam wstać. Nawet się nie zataczał.

Mimo to wciąż była spanikowana, w żyłach krążyła jej adrenalina, w głowie myśli o horrorze, którego mogła być sprawczynią. Mogła go zabić. Trwale okaleczyć. Nawet teraz mógł mieć obrażenia niewidoczne gołym okiem albo... albo...

Wtedy go rozpoznała.

Psiakrew.

– Rany – powiedział, zerkając na nią. Po raz pierwszy ujrzała całą jego twarz i pomyślała, że wygląda podobnie. Prawie czarne włosy opadały mu na czoło, pod gęstymi brwiami kryły się te błękitne oczy. Orli nos, a pod dwu- lub trzydniowym zarostem silna szczęka i... O, cholera.

Zamarło jej serce.

Poczuła przypływ gniewu.

Wesley Pierdzielony Tate. Cholerny dziennikarz. Syn Edmunda Tate'a, policjanta, który wyciągnął ją z jeziora wiele lat temu, człowieka, przed którym uciekała, gdyż myślała, że to potwór mający na sumieniu całą jej rodzinę. Najeżyła się i spytała:

– Co tu robisz?

Istotnie, chyba nic mu się nie stało. Ale go potrąciła. Słyszała i poczuła uderzenie.

Prawda?

– Nie odpowiadałaś na moje wiadomości głosowe i esemesy.

– No i co? Wdarłeś się na mój teren? Węszyłeś tutaj? Na miłość boską, mogłam cię zabić!

Dała dużego susa.

– Czekaj. Prawie mnie przejechałaś!

– Prawie.

– Było blisko i mnie potrąciłaś.

– Czyżby? – Nie była przekonana. Czy naprawdę zahaczyła o niego jeepem? Powaliła go na ziemię? A może to był tylko podskok na wybojach ze śniegu? Czyżby ją nabierał? Udawał, że został potrącony? Ale słyszała uderzenie błotnikiem, a przynajmniej muśnięcie jego ciała. A może nie? Może uderzył w bok samochodu pięścią, wyskoczył w górę i upadł na ziemię? Czy ta teoria była naciągana? Czy próbował wywieść ją w pole?

Po co? Dla cholernego wywiadu? Serio? Jeśli tak, to było chore.

– Przyszedłeś ze mną porozmawiać?

– Owszem.

– Ale nie odpowiadałam na twoje wiadomości i esemesy. – Nie była w stanie pozbyć się podejrzliwości.

– Sądziłem, że uda mi się cię przekonać – wyznał z uśmiechem, w ciemnym zaroście błysnęły białe zęby.

No super, teraz próbował ją oczarować. Naprawdę wydawało mu się, że może z nią flirtować?

– Sądziłeś, że uda cię się „mnie przekonać”? Udając, że cię przejechałam. Taki był plan?

– Słucham? – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Nie!

– Ale miałaś nadzieję, że ze mną porozmawiasz i udzielę ci wywiadu.

– No tak, ale...

– Ale nic. – Zmierzyła go wzrokiem: długie nogi, szerokie ramiona i dumna postawa. – Nie jesteś pierwszym, który próbuje mnie omamić. Wielu próbowało. Po co? Żeby usłyszeć „prawdę”? Tak? Nie! Każdy z was próbował zarobić na mojej historii, mojej traumie, tragedii, która dotknęła moją rodzinę. – Słyszała, że znowu się nakręca, kipiała kumulowaną przez lata frustracją. – Ukazało się wiele artykułów, tak wiele, że straciłam rachubę, a także kilka książek oraz program true crime, który puszczali w kablówce rok czy dwa po morderstwach. – Podeszła do niego, buzował w niej gniew. – Wiem, że znowu interesujecie się tą historią. Bo zbliża się dwudziesta rocznica, więc w kablówce odświeżyli ten program, znowu można go obejrzeć przez całą dobę, idealny na

święta? Czyż to nie jest to, co chcecie oglądać w sezonie świątecznym? Zasiąść przed telewizorem z dziećmi i dużą miską popcornu.

– Wyluzuj, nie o to mi chodzi.

– Nie? – Przekrzywiła głowę, nie wierzyła mu. Poczowała zimny podmuch wiatru szarpiący jej włosami. – A o co, Wesleyu Tate? – zapytała, po czym uniosła palec, jakby właśnie wpadła na pewien pomysł. – O, jasne, masz inną perspektywę, prawda? Bardziej osobistą, bo był tam twój tata i umarł, ratując tę żalosną, przerażoną dziewczynkę z jeziora, po tym, jak sam śmiertelnie ją przeraził!

– Wow – szepnął.

– Tak, wow. – Zrobiła głęboki wdech, po czym powoli wypuściła powietrze, próbując opanować kotłujące się w niej emocje. Spojrzała na ulicę, gdzie jakiś starszy facet w pizamie w paski, szlafroku i rogowych okularach stał koło kosza na śmieci przy swoim garażu i nie odrywał od nich wzroku. Wścibski sąsiad wtrącający się w nie swoje sprawy to ostatnie, czego było jej potrzeba. Odwróciła się do Tate'a, który wciąż się na nią gapił. – Nic ci nie jest, tak? A więc żegnaj.

– Potrąciłaś mnie.

– Stałeś na moim podjeździe. I nie potrąciłem.

– Szedłem na przód domu.

– Na skróty za garażem? Na miłość boską, nie słyszałeś, że drzwi garażu się podnoszą, że zapuszczam silnik?

– Krzyczałem – bronił się.

Czyżby? Tak. Tuż przed hukiem i podskokiem samochodu. Spojrzała na tylny zderzak. Ani zadrapania, cholerne drzwi nadal piszczwały.

– Bzdura – powiedziała, wracając do jeepa. Sięgnęła do stacyjki i wyłączyła silnik. – Niby gdzie cię uderzyłam? – zapytała, mrużąc oczy i zamykając drzwi auta. – W biodro?

– Tak.

– Ale nie za mocno.

– Mówiłem już, że próbowałem uskoczyć ci z drogi.

– No, mówiłeś. – Przypomniała sobie uderzenie i jego skok w bok. Udawany. Była tego pewna. – Nie potrąciłam cię.

– No sto procent potrąciłaś.

– Nie sądzę.

Tate z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Gdybyś nie patrzyła w telefon...

– Słucham? – Przerwała mu. – Nie wierzę. – Teraz to ona pokręciła głową i dodała: – Naprawdę sądziłeś, że ta sztuczka wprawi mnie w poczucie winy i skłoni do rozmowy z tobą?

– No nie. To jakieś szaleństwo.

– Cóż, czyż nie tak o mnie mówią? Że w dzieciństwie przeżyłam taką traumę, że nigdy nie dojdę do siebie? Że każdego dnia jestem na skraju załamania nerwowego? Że nie można mi zaufać... – Nagle zamilkła; wiedziała, że pozwoliła sobie na zbyt wiele. – Pracujesz dla gazety?

– Jestem wolnym strzelcem.

– Aha. Rozumiem. A skoro już „potrąciłam” cię jeepem, sądzisz, że z poczucia winy zgodzę się udzielić ci wywiadu. Być może na wyłączność.

Zerknęła na ulicę i zobaczyła, że sąsiad ze szpakowatymi, rozwichrzonymi włosami nadal stoi w kapciach i się gapi. Dupa blada, czyżby sięgał do kieszeni szlafroka, żeby wyjąć komórkę i zrobić zdjęcie?

– Możesz przynajmniej ze mną porozmawiać – odezwał się Tate.

– Słucham? – Ponownie skupiła uwagę na dziennikarzu. – Upadłeś na głowę? Po co miałabym z tobą rozmawiać?

Miał tupet, żeby ponownie się uśmiechnąć, unosząc jedną stronę ust.

– Naprawdę prawie mnie zabiłaś.

– Bo stałeś mi na drodze! Chryste Panie, zaplanowałeś to? Miałeś nadzieję, że cię potrącę, a potem zgodzę się na wywiad? – zapytała, nie mogła przestać o tym myśleć. Przecież to istne wariactwo.

– Oczywiście, że nie. Wypadłaś z garażu, jak zbliżałem się do twojego domu.

– To najgorsza wymówka, jaką słyszałam – powiedziała, a ból, który próbowała opanować, wygrywał teraz bezlitosny rytm w jej mózgu. – Idź już sobie. Nie będzie żadnego wywiadu. Jeśli... jeśli doznałeś jakichś poważnych obrażeń, możesz skontaktować się z moim prawnikiem. Z mojej strony to koniec. – Z furią dopadła jeepa, wsiadła do środka, szarpnęła dźwignię biegów i wbiła wsteczny. – Co za idiota! – wysapała z niedowierzaniem.

Tate nadal stał na skraju podjazdu. A nich sobie tak stoi cały dzień, jeśli chce. Było bardzo zimno. Wcisnęła guzik pilota, żeby zamknąć drzwi garażu, cały czas mając świadomość, że dziennikarz znajduje się kilka kroków dalej i uważnie się jej przygląda. Kiedy drzwi się w końcu zamknęły, sprawdziła tylne lusterko i wycofała auto, zostawiając go na zaśnieżonym chodniku. Sąsiad natomiast właśnie wchodził do swojego domu.

Dobrze. Może zrobił zdjęcie.

Może nie.

To nie miało znaczenia, przetrzymała gorsze rzeczy. Dużo gorsze.

Zacisnęła palce na kierownicy i myślała o tym dziennikarzu.

Wesley Tate miał tupet. Wielki.

Ale przecież też wtedy stracił ojca. Nie tylko ty zaznałaś straty tamtej nocy. Pamiętaj. Edmund Tate umarł, bo ratował cię.

Poczuła te same wyrzuty sumienia, co zawsze, gdy myślała o policjancie po służbie, który tamtej nocy gonił ją po zaśnieżonym lesie. Dotarła do końca ulicy, zwolniła przed znakiem stopu na rogu i po raz ostatni spojrzała na swój podjazd. Tate nadal tam był, patrzył za nią, stał na rozstawionych nogach, ręce założył na piersi i nie spuszczał z niej wzroku.

Cóż, niech sobie patrzy, ile chce.

I niech wymyśla szalone sposoby na to, żeby zmusić ją do mówienia.

To mu się nie uda.

Żadnych wywiadów.

Nie dla Wesleya Tate'a ani żadnego z dziesiątków innych, którzy do niej wydzwaniali. Mimo że jej brat właśnie wyszedł z więzienia, ta część jej życia już się SKOŃCZYŁA.

ROZDZIAŁ 9

Tracił ją.

Tate myślał szybko, zaczął iść jeszcze szybciej.

Będzie musiał to dobrze rozegrać, więc trochę utykał, jakby bolała go noga. Pochylił się, żeby pomasować kolano, i zerknął na tył jej samochodu wspinającego się na wzgórze.

Dostrzegł światła hamowania.

Może ogarnęły ją wątpliwości. Chyba widziała go w bocznym lusterku? Gdy SUV zniknął za wzniesieniem, mężczyzna się wyprostował. Stracił ją.

– Niech to szlag. – Szedł dalej, gdy usłyszał warkot silnika dobiegający z przecznicy za nim, obejrzał się przez ramię i ujrzał przód czerwonego jeepa wyłaniający się zza żywopłotu.

Jej SUV.

Wyjeżdżał zza rogu za nim. Objechała kwartał ulic.

Poczuł, że jego usta rozciągają się w uśmiechu, ale szybko się opanował i przywołał na twarz grymas bólu.

Szedł dalej, widocznie kulejąc.

Usłyszał, że jeep się zbliża i zwalnia. Opuściła szybę od strony kierowcy.

– A więc jednak coś ci dolega? – zapytała.

– Nic mi nie będzie. – To przynajmniej nie było kłamstwem. Szedł dalej, ale widział ją kątem oka.

Ściągnęła brwi ponad oprawkami okularów przeciwsłonecznych.

– Jesteś pewien? W sensie... może powinieneś udać się do lekarza.

– Powiedziałem, że...

– Wiem, co powiedziałeś, ale kulejesz.

– Rozchodzi się.

– Co, co cholery, tu robiłeś? Gdzie twój samochód?

Był na to przygotowany. Czas pomieszać fakty z fikcją.

– Zamierzałem się z tobą spotkać, ale nie chciałem wzbudzać zainteresowania twoją osobą.

Na przykład wścibskich sąsiadów czy dziennikarzy.

– Innych dziennikarzy – przypomniała mu, jadąc koło niego, ledwie tocząc się do przodu i rozmawiając z nim przez otwarte okno.

– Właśnie. No więc zaparkowałem kilka przecznic stąd, uznałem, że spacerek dobrze mi zrobi.

– I mogłeś mnie podglądać – domyśliła się.

Zatrzymał się. Spojrzał na nią przez zmrużone powieki.

– Tak, chodziło mi też o to. Ale naprawdę sądziłem i nadal sądzę, że możemy sobie pomóc nawzajem.

– Nie mam pojęcia jak.

– A więc nie ma o czym mówić. – Ruszył przed siebie, po czym gwałtownie wciągnął powietrze, udał, że ugina się pod nim kolano, ale wznowił marsz.

– Och, na miłość boską, wsiadaj – powiedziała. – Podwiozę cię do samochodu. Gdzie stoi?

– Kilka przecznic stąd. Nic mi nie będzie.

– Wsiadaj, Tate! – rozkazała, a on uznał, że to jego szansa.

Dopiął swego. Gdyby opierał się dłużej, mogłaby odjechać, a on nie mógł zaryzykować szansy na rozmowę z nią, na przekonanie jej, by mu zaufała. Wobec tego kulejąc, obszedł jeepa, trzymając dłoń na karoserii, dotarł na stronę pasażera i wsiadł.

Widziała, jak szybko to zrobił.

– Naprawdę sądziłeś, że znowu cię potracę? – zapytała, gdy zamykał za sobą drzwi.

– Słucham?

– Patrzyłeś na mnie przez cały czas, gdy wsiadałeś – oburzyła się. – Jakbyś podejrzewał, że dodam gazu. Miałaś taką minę, jakbyś był gotów uskoczyć mi z drogi.

– Winisz mnie o to?

Przewróciła oczami.

– Chodzi o to, co stało się wcześniej? Chyba już ci wyjaśniłam, że to był wypadek. – Wbiła bieg w jeepie.

– A był?

– Oczywiście! To znaczy z mojej strony. Wciąż nie jestem przekonana, że nie udajesz. – Po wątpiewająco uniosła brew, zerknęła na jego zgięte kolano, gdy SUV znów ruszył. – I wiesz co? Nie kupuję twojego kuśtykania. – Zanim zaoponował, dodała: – A więc, gdzie zaparkowałaś?

Wskazał kciukiem na wschód.

– Koło Winchester. Na parkingu przy starym kościele. Chyba luterańskim.

– Aha. – Na następnym skrzyżowaniu skręciła w prawo. – Więc może mi powiesz, dlaczego chciałaś się ze mną spotkać? O, czekaj, niech zgadnę! Chcesz wywiad na wyłączność z dziewczynką, która przeżyła Masakrę Rodziny McIntyre’ów.

– Myślałem, że już to ustaliliśmy.

– Zróbmy to jeszcze raz, wyjaśnijmy to sobie. – Znowu zmierzyła go wzrokiem, nie ukrywając, że jest wkurzona.

– To proste. Ty i ja mamy unikatowe spojrzenie na to, co stało się tamtej nocy, i oboje doznaliśmy straty. Sądzę, że nie tylko mógłbym napisać rozstrzygający artykuł o masakrze, lecz także, gdybyśmy połączyli siły, moglibyśmy dowiedzieć się, co też się tam naprawdę wydarzyło. Szczegóły są niejasne, a my wtedy byliśmy dziećmi, oboje uważamy, że sprawiedliwości nigdy nie stało się zadość, prawda? Ty nie wierzysz, że Jonas zabił twoją rodzinę. Nadal uważasz, że był tam ktoś z zewnątrz. Tak mówiłaś. A ja chciałbym się dowiedzieć, co naprawdę się stało, nie tylko żeby zaspokoić ciekawość, lecz także dlatego, że mój ojciec też tam umarł.

Zacisnęła usta, jej poczucie winy odbijało się w jej oczach.

– No i chodzi o pieniądze – zauważyła, gdy w polu widzenia pojawiło się wzgórze, na którym stał kościół, wysoka wieża wznosiła się ponad otaczające go drzewa z bezlistnymi gałęziami, czarnymi kończynami sięgającymi nieba, jakby w błagalnym geście.

– Tak. – Nie ma co kłamać. – Chodzi też o pieniądze. – Pomasażował się po karku. – Moglibyśmy podpisać umowę i...

– Nie jestem zainteresowana. – Zwolniła przed ostatnim skrzyżowaniem, po czym wjechała na oblodzony parking koło białego kościółka z klepek z szerokim gankiem, zamkniętymi podwójnymi drzwiami i witrażami w oknach.

Na jego SUV-ie zebrała się warstwa śniegu, przykrywała przednią szybę. Założył ray-bany i próbował wymyślić jakiś powód, by przeciągnąć ją na swoją stronę, ale żadnego nie znalazł. Kara wjechała na prawie pusty parking i zatrzymała się koło jego auta.

– Myślę, że dobrze by nam się razem pracowało – powiedział w końcu.

– No jasne – zadrwiła. – Nawet świetnie. Po prostu... zajebicie! – Nie próbowała ukrywać sarkazmu przenikającego jej słowa. Gdy jeep się zatrzymał, dodała: – Jesteśmy na miejscu. – Wskażała drzwi pasażera.

– Mówię poważnie.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie mówisz. – Pochyliła się nad nim, jej ciało emanowało ciepłem, piersiami otarła mu się o nogi, po czym otworzyła jego drzwi i wpuściła do środka lodowate powietrze. – Tutaj wysiadasz – poinstruowała go, prostując się z zarumienionymi policzkami. – Natychmiast.

– Kara...

– *Natychmiast!*

Zrozumiał i wysiadł z jeepa. Tym razem nawet nie próbował udawać bólu. I tak go przejrzała. Zatrzymał się, przez sekundę zwlekał z zamknięciem drzwi.

– Po prostu chcę odkryć prawdę, Kara. Sądziłem, że może ty też, ale chyba się myliłem.

Zatrzasnął drzwi, zanim zdążyła odpowiedzieć, wszedł do swojej toyoty RAV4, zapuścił silnik, wycofał, dodał gazu i wyjechał z parkingu. Zerknął w tylne lusterko, na którym wisiały nieśmiertelniki jego ojca – pamiątka po człowieku, który oddał swoje życie za Karę McIntyre – i zobaczył, że nie zrobiła nic, żeby stąd wyjechać.

Dobrze.

Może się nad tym zastanawia.
Może w głębi serca faktycznie chce poznać prawdę.
Miał wielką nadzieję, że tak.
Kawa nie była wystarczająco mocna.
Nie na dłuższą metę.

Detektyw Thomas dopił resztki z kubka i uznał, że tego ranka po prostu nie ma takiej ilości kofeiny, która mogłaby dodać mu energii. Chyba zawsze tak było, pomyślał, ale potrzebował jakiegoś impulsu. Zwłaszcza dzisiaj. Zostawił kubek na blacie w kuchni, poszedł do łazienki, gdzie otworzył szafkę na leki i wyjął do połowy pełną fiolkę modafinilu. Potrzymał ją w dłoni, nim odkręcił korek i wysypał jedną tabletkę. Zamykając drzwi szafki, ujrzał w lustrze swoje odbicie. Czerwone oczy, głębokie kurze łapki w kącikach, rozczochrane włosy, które wyglądały na bardziej matowe niż wczoraj, nieogolony zarost i spięta szczęka. Wyglądał, jakby imprezował przez całą noc.

Prawie.
Poszedł spać o drugiej w nocy.
Zasnął przed trzecią.
Wstał o szóstej czterdzieści pięć.
Super.

Zwykle tak się nie zachowywał. Najczęściej wstawał wcześniej i ćwiczył, ale nie dzisiaj. Naruszył narzuconą samemu sobie rutynę po raz pierwszy od wielu tygodni.

Lek został nabyty legalnie. Na receptę. Ale miał już trzy lata. Był na bezsenność. Thomas zacisnął zęby, gdy przypomniał sobie lekarkę, kobietę w białym kitlu z miłym uśmiechem, Hinduskę z pochodzenia, co wyrażało się ciemnymi oczami, kruczoczarnymi włosami i lekkim obcym akcentem.

– To pomoże panu przetrwać dzień – powiedziała uprzejmie, wypisując mu receptę. – Gdy sprawy się ułożą, a pan znowu zacznie spać, wtedy proszę je odstawić.

Problem polegał na tym, że sprawy nigdy się nie ułożyły.
Zastanawiał się, czy kiedykolwiek się ułożą.

Połknął tabletkę, wszedł pod prysznic i puścił zimną wodę. Doznał szoku. Pomogło. Lodowate igielki atakowały jego ciało i wpływały między włosy. Powoli zwiększył temperaturę i po pięciu minutach czuł się w pełni rozbudzony, więc mógł zacząć dzień. Ubrał się, wyjął z sejfów służbową broń i ruszył do wyjścia, kiedy zauważył swoje hantle i ławkę koło bieżni, na którą wczoraj wieczorem rzucił kurtkę. *Dziś wieczorem*, obiecał sobie i wyszedł, czując ukłucie wyrzutów sumienia, gdy opuścił mieszkanie i udał się na schody.

W mniej niż dwie minuty znalazł się w swoim SUV-ie, włączył się do ruchu. Kupił potrójne espresso i bułkę z parówką w okienku dla zmotoryzowanych, gdzie osiemnastoletnia baristka z niedbałym kokiem, promiennym uśmiechem i tatuażem na jednej ręce przedstawiającym pnącą różę, podała mu śniadanie w białej torebce, życząc „miłego dnia”, uśmiechając się zbyt szeroko jak na tę godzinę.

– Wzajemnie – odpowiedział odruchowo, powtarzając banał.

Piętnaście minut później siedział przy biurku na komisariacie, gdzie wciąż jeszcze panowała cisza, która wkrótce miała dobiec końca. Dochodziła pora, kiedy zmieniała się obsada, ci z dziennej zmiany zastępowali personel, który pełnił służbę w nocy.

Zawibrował jego telefon.
Zerknął i poznał numer Sheili.

Rany.

Odebrał.

– Cześć.

– Sądziłam, że mnie unikasz – powiedziała ze śmiechem.

– Możliwe. – Zobaczył ją jak na dłoni z tymi wyraźnie brązowymi oczami, bladą, piegowatą cerą i dziką szopą rudych włosów, których nie dało się ujarzmić. Chociaż miała czterdzieści lat, wyglądała na o dziesięć lat młodszą i utrzymywała się w formie dzięki intensywnym treningom fitnessu, których pozazdrościłoby jej wojsko.

– Słuchaj, pomyślałam, że mógłbyś mi opowiedzieć o Masakrze Rodziny McIntyre'ów. No wiesz, skoro Jonas McIntyre wyszedł na wolność, to co zamierzacie zrobić w wydziale?

Dobre pytanie, pomyślał.

– W sensie, czy zamierzacie szukać prawdziwego zabójcy?

– Zakładasz, że Jonas McIntyre nie jest winny?

– Wyszedł na wolność.

– Dzięki kruczkom prawnym.

– Bo gliniarze spieprzyli sprawę – stwierdziła.

Thomas z trudem panował nad sobą. Bo miała rację. Najwyraźniej popełniono jakiś błąd podczas zbierania dowodów. Fakt ten wprowadził w ruch wsteczny wolno obracające się żarna sprawiedliwości. Ale przecież Jonas McIntyre nie stał się całkiem niewinny, nie w przekonaniu Thomasa. Jasne, nie można go sądzić za te same zbrodnie, bo nie dopuszcza do tego prawodawstwo, ale jakie szanse na to, że znowu nie wejdzie na ścieżkę przestępstwa ma człowiek taki jak McIntyre, zabijający z zimną krwią, który ponad połowę życia spędził w więzieniu z innymi skazanymi? Szanse były zerowe.

– Czy wydział otwiera ponownie tę sprawę? – naciskała.

– Słuchaj, Sheila, niczego jeszcze nie wiem, a nawet gdybym wiedział...

– Wiem, wiem. Nie powiedziałaś. Zasady i inne głupoty.

– Tak, głupoty.

– Po prostu sądziłam, że dam ci szansę na zabranie głosu i opowiedzenie, co zamierzacie zrobić. Już rozmawiałam z innymi ludźmi, którzy mają coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Czyli z kim?

– Z innymi źródłami. Świadkami.

Podpuszczała go. Wiedział o tym, ale i tak zapytał:

– Z kim?

Roześmiała się.

– Wy nazywacie ich „stronami zainteresowanymi”.

– Sheila?

– Oglądaj wiadomości o jedenastej – odpowiedziała. Czy to była zakamuflowana groźba? Z nią nigdy nie wiadomo.

Z jej głosu zniknęła beztroska nuta.

– Masz u mnie dług, Cole.

No właśnie. Przysługa, o którą musiała się kiedyś upomnieć.

Zacisnął szczękę.

– Wydawało mi się, że już go spłaciłem.

Parsknęła śmiechem, ale nie było w nim ani śladu rozbawienia. Tylko smutek. Dawniej śmiała się spontanicznie, kiedy flirtowała, chichotała i roztaczała cholerny seksapil. Wtedy, gdy zaprosiła go na rozbierane szachy, co skończyło się tym, że siedział nagusieńki w jej jadalni, podczas gdy ona pozbyła się tylko bransoletki i wiszących kolczyków. Albo wtedy, gdy rozmawiali o problemach świata oraz subtelnym różnicach w smaku pomiędzy piwami warzonymi przez oregońskie małe browary. A teraz ten szorstki śmiech i mordercze nastawienie. Wiedział, że będzie uderzała w czułe miejsca, żeby tylko dorwać się do tej historii. Stąd wzmianka o przysłudze.

– Gdzie jest teraz Jonas?

– Nie wiem.

– Ale ktoś wie. Wyszedł z więzienia... Ile, osiemnaście godzin temu? Nie mów mi, że gliny go nie obserwują.

Pewnie miała rację.

– Jeśli tak, ja nie jestem wtajemniczony.

– Jeszcze.

Przyszedł kolejny e-mail. Od komisarza. Jego przełożonego.

– Ja pierdołę, Cole, kto ma wiedzieć, jak nie ty?

Następne dobre pytanie. Odczytał maila. Komisarz Gleason chciał się z nim spotkać za piętnaście minut.

– Jak się dowiesz, będę wdzięczna, jeśli dasz mi cynk – powiedziała.

– Nie mogę tego zrobić.

– Ależ możesz. Nie po raz pierwszy złamiesz zasady.

– Nic nie wiem – zapewnił. – Jeśli chcesz więcej...

– Oj, nie – przerwała mu. – Nawet nie myśl, że dam się odesłać do rzecznika prasowego. Nie tym razem, Cole. Teraz potrzebuję czegoś więcej niż pustych słów w oficjalnym komunikacie.

– Powtarzam, że nic nie mam.

– Ale jesteś starszym detektywem. Pracujesz w wydziale zabójstw. I nie mów mi, że to stara czy zamknięta sprawa. Daj sobie spokój. Jak już mówiłam, obejrzyj dzisiaj wiadomości. Mogą cię zainteresować.

Po czym się rozłączyła, w chwili gdy zjawiała się Johnson.

Zdejmując kurtkę, powiedziała:

– Właśnie przechodziłam koło biurka Lorny. Komisarz chce się z nami widzieć za dziesięć minut.

Lorna Driscoll była sekretarką komisarza.

– Widziałem. Dostałem maila. – Wysunął brodę w stronę monitora, po czym spojrzął na zegarek.

Stała i obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, czemu pytasz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Wyglądasz niewyraźnie, jakbyś miał coś na głowie.

– Co?

– Oj, sam się prosisz. – Zmarszczyła brwi nad ciemnymi, tryskającymi humorem oczami. – Mogłabym wymyślić kilka rzeczy, ale niech strzeżę. – Zarzuciła kurtkę przez ramię. – Jonas McIntyre.

Spojrzał na nią znacząco, ale ona już kierowała się w stronę biurka. Patrząc, jak się oddala, zastanawiał się nad nią. Aramis Johnson miała w sobie jakąś głębię. Ale była tajemnicza. Sądził, że po prostu jest skrytą osobą, ale może chodziło o coś innego. Może coś ukrywała.

Nie chciał zapuszczać się w tę nieuczęszczaną, zakazaną ścieżkę. Była policjantką. Została prześwietlona. Była oddana wydziałowi. Prawda była taka, że to on stawał się wypalony po latach służby, co było niebezpieczne, bo podejrzewał każdego, kogo spotkał.

Nawet własną partnerkę.

Niedorzeczność, powiedział sobie, wstając od biurka; bał się własnego cienia.

Nieważne jak próbowałby stłumić swoje wątpliwości, cały czas znajdowały sposób, by do niego wracać, niczym chwasty, które zaplątały się między ziarno na żyznej glebie.

Musiał sobie z nimi jakoś poradzić.

Ale będzie uważał na to, co robi. Johnson, jak wszyscy inni w jego życiu, będzie musiała zasłużyć na jego zaufanie.

ROZDZIAŁ 10

Kilka minut później Thomas natknął się na Johnson przed drzwiami do oszklonego gabinetu komisarza. Lorna, kapryśna kobieta koło sześćdziesiątki z kwaśną miną i okularami bez oprawek, przywołała ich gestem.

Komisarz wskazał im dwa krzesła stojące naprzeciw jego starego, metalowego biurka i od razu przeszedł do rzeczy. Co było w jego stylu. Był małomówny, cenił etykę zawodową i nie miał cierpliwości do bzdur. Pracował w wydziale od ponad trzydziestu lat, niedawno został dziadkiem i z oddaniem kibicował koszykarzom z Portland Trail Blazers. Był łysy i gładko ogolony, zawsze chodził w pogniecionych spodniach, ale buty miał wypolerowane na wysoki połysk. W swoim asceetycznym gabinecie trzymał kilka pamiątek związanych z koszykówką, dwa zdjęcia – jedno przedstawiało go z żoną na plaży na tle palm, na drugim były dwa bobasy w śpiochach w paski i mikołajowych czapeczkach, wszędzie unosił się lekki zapach niedawno wypalonego papierosa. Miał prawie dwa metry wzrostu, co, kiedy uznawał to za konieczne, wykorzystywał jako formę zastraszania i chociaż od czasów studiów przybrał około dwudziestu kilogramów, ciągle należało się z nim liczyć. Wiedział o tym i skwapliwie to wykorzystywał.

– No to do rzeczy. – Na czubek wąskiego nosa założył okulary do czytania. – Rozumiem, że jesteście na bieżąco ze sprawą McIntyre’a? – Zerknął na nich.

– Tak jest – powiedziała Johnson, a Thomas potaknął.

– Oczywiście, że tak. Chyba każdy się nią interesuje? Cały cholerny świat. Już zaczęli do mnie wydzwaniać, a Norah zorganizuje konferencję prasową. – Westchnął i pokręcił głową. – Chyba będziemy musieli zachować pozory. – Popatrzył ponad okularami. – Według mnie to strata czasu. Pracowałem przy tej sprawie, jak wiecie.

– Widziałem twoje nazwisko w aktach – przyznał Thomas, a Johnson tylko przytaknęła bezgłośnie.

– Najgorsze, co widziałem. A wiele się naoglądałem w ciągu dwudziestu ośmiu lat na służbie. Wypadki samochodowe, katastrofy, wypadki na polowaniu, ale... taka rodzina. Wszyscy zaszlachtowani na śmierć... – Zaciśnął usta i znów pokręcił głową. – Według mnie sprawa została rozwiązana, podejrzany znaleziony, aresztowany i skazany wiele lat temu. Śledztwo zakończone. – Przygryzł dolną wargę i zmrużył oczy. – A przynajmniej tak sądziłem. Ale teraz... góra chce, żebym je wznowił. Głównie pod publiczność i dlatego, że wtedy tak daliśmy ciała. To dla nas kosztowna antyreklama, co nie?

Ponownie sprawdził, czy się z nim zgadzają.

– Dobrze. No więc, wznawiamy. Ty – wskazał Thomasa – je prowadzisz. Wkurza mnie, że tak się stało, ale co zrobisz? Media i opinia publiczna domagają się, żebyśmy znaleźli innego zabójcę, a to... cóż, powiedzmy to głośno, najprawdopodobniej jest niemożliwe. Mamy winnego i o tym wiemy. – Skinął głową, potakując sobie. – Ale zachowajmy pozory. Mam na myśli, że przeglądamy wszystko. Sprawdzamy dowody, zeznania, raporty z autopsji, zdjęcia, cokolwiek... przeczyszcie to dokładnie. Przesłuchajcie świadków, jeśli jeszcze żyją, a jak się wyprowadzili, to ich sprowadźcie.

– Ale nie sądzisz, że się dokopujemy do czegoś? – zapytała Johnson.

– W sensie, że czegoś nowego? – Gleason zmarszczył brwi. – Nie, do niczego ważnego. Popełniono błąd podczas zabezpieczania broni. Co nie oznacza, że przyskrzyniliśmy złego gościa. – Westchnął z niesmakiem. – Przecież sprawa nie została w pełni zamknięta, prawda? Nadal nie odnaleziono tej dziewczyny, siostry, yy, Marilee... – Sprawdził na monitorze komputera. – Nie. Marilee. Właśnie. Co, do cholery, się z nią stało?

Thomas przez większość ostatniej nocy zastanawiał się nad tym samym.

– Znajdźmy ją. A raczej jej szczątki. – Gleason ponownie na nich spojrzął. – I znowu jest to mało możliwe. Jak szukanie wiatru w polu. Wiem. Ale technologia poszła do przodu przez dwadzieścia lat. Kto wie? Może coś się znajdzie. – Miał na myśli kości. Szkielet. A przynajmniej jego część. Wszyscy wiedzieli, o czym mowa.

– Może – przyznał Thomas, chociaż w to wątpił.
– Żyją jeszcze jacyś inni podejrzani? – zapytał komisarz.
– Chyba tak – odparł Thomas.
– Sprawdźcie ich. – Gleason zacisnęła usta i przeglądała informacje. – Media nas ukrzyżują; będą mówić, że przyjęliśmy myślenie tunelowe i skupiliśmy się na Jonasie McIntyrze.

– Nieprawda – zaproponował Thomas. – I nikt nie mówi, że on tego nie zrobił, wyszedł z więzienia z powodu luki w łańcuchu dowodowym. Według mnie jest winny.

– Cieszę się, że masz otwartą głowę – powiedział z przekąsem Gleason, a wtedy zawibrował jego telefon. Komisarz zerknął na wyświetlacz. Zignorował wiadomość.

– Jest jak jest. – Thomas był nieporuszony. – Fakty to fakty.

– Tak, jasne. Wiem, ale... – Gleason kiwał głową – musimy mieć kryte tyłki. – Zerknął ponad szklami okularów. – Bez jego odcisków palców na mieczu sprawa przeciwko McIntyre'owi nie miała punktu zaczepienia. W końcu on też był ofiarą.

Właśnie to zawsze uwierało Thomasa i wprowadzało pięć procent zwątpienia. Jonas McIntyre sam odniósł rany, rany, które mógł sam sobie zadać, ale czy tak było? Czy był aż tak zdesperowany? Tak rozjuszony?

– Czy ktokolwiek sprawdził, kto skorzystał finansowo na tych śmierciach? Może ten partner? Jak mu było?

– Silas Dean. Był tam tamtego dnia. Krążyły plotki, że rozmówił się z Samuelem seniorem, ale jedynymi osobami, które o tym mówiły, byli Jonas McIntyre, który próbował odepchnąć od siebie podejrzenia, i sam Dean.

– A ta mała dziewczynka? – Gleason przenosił wzrok z jednego detektywa na drugiego.

Thomas pokiwał głową.

– Chyba potwierdziła. Ale miała tylko siedem lat, wkrótce miała skończyć osiem.

– Zeznała: „Tatuś krzychał na pana Deana”. Merritt Margrove strasznie się do tego przychylił w sądzie, ale oskarżenie udowodniło, że Dean był w domu kilka godzin przed atakiem i miał alibi. Poza tym nie był uwzględniony w testamencie, nie było też żadnego ubezpieczenia, na którym by skorzystał.

– Wobec tego, co się stało z częścią interesu należąca do McIntyre'a?

– Dean ją wykupił. Transakcja została przeprowadzona przez pełnomocnika do spraw majątkowych.

– Merritta Margrove'a – domyślił się Gleason, zerkając przez okno. – Sprawdźcie to. Zobaczcie, co tam się wydarzyło. – Znowu pochylił się w ich stronę, jego krzesło głośno zakrzy-piało. – Zakładam, że dzieci wszystko odziedziczyły?

– Tak jest – potwierdziła Johnson.

– Jego i jej? – dopytywał Gleason, odchylając się na krzesło. – Wszystkie, czyli, ile ich było? Sześcioro, nie, pięcioro, prawda? Wszyscy po równo? Nie było różnic pomiędzy jej a jego dziećmi?

Thomas potaknął.

– W przypadku, że oboje rodzice nie żyją.

– Wobec tego spadek przypadł Jonasowi i Karze McIntyre'om – stwierdził Gleason.

– Było jednak pewne zastrzeżenie – wyjaśniła Johnson. – Jeśli któreś zostało prawomocnie skazane lub miało do czynienia z narkotykami, wypadało z testamentu, przynajmniej na jakiś czas. Wobec czego, dopóki Jonas był w więzieniu, nie mógł dostać spadku.

– A Kara była za młoda. Osiągnięte wymagany wiek za kilka tygodni – uściśliła Johnson. – Czy to zbieg okoliczności? Gdy ona ma dostać spadek, jej jedyny żyjący brat wychodzi z więzienia.

– Nie lubię zbiegów okoliczności – powiedział Gleason, bębniąc palcem w biurko. – Gdyby umarła cała rodzina, łącznie z dziećmi, kto by dziedziczył?

– Samuel McIntyre nie miał rodzeństwa, a jego rodzice nie żyją, ale jego żona miała, a raczej ma, siostrę, Faizę Donner.

– Która została opiekunką prawną Kary? – zapytał komisarz i zmarszczył brwi po zerknięciu na telefon, który ponownie zadzwonił. Z irytacją wciągnął powietrze przez zęby. – Cholerne gówna, nigdy nie dają ci spokoju.

– Faiza miała alibi – wtrącił Thomas, wracając do Masakry Rodziny McIntyre'ów. – Razem

z chłopakiem mieli przyjechać do chatki w górach na wigilijną kolację, ale odwołali przyjazd. Chodziło o to, że chłopak, Roger Sweeney, nie był tam mile widziany. Jakieś sprawy rodzinne, chociaż Faiza chodziła z Rogerem od lat, nigdy się nie pobrali. Faiza i Roger wzajemnie dali sobie alibi.

– I wszyscy już uważali, że Jonas McIntyre był zabójcą – dodała Johnson.

Jakby tego nie sprawdzili dokładnie.

– Był. Jest. To się nie zmieniło – rzucił Thomas.

Wysunęła brodę.

– Ale sprawa się zmieniła – zaproponowała. – Dowód, na którym się opierała, miecz, równie dobrze mógłby nie istnieć.

Miała rację, ale niepokoiło go, że trochę grała pod publiczność i go zawstydziała.

– Udało mi się dodzwonić do żony Randalla Isleya. Chciałam z nim porozmawiać o tym, co wie i dlaczego dopiero teraz zgłosił problem z łańcuchem dowodowym dotyczącym miecza, ale chyba nie uda nam się z nim rozmówić. Isley jest na intensywnej terapii w Omaha. Zastoinowa niewydolność serca. Żona nie jest pewna, czy z tego wyjdzie.

– Słucham? – zdziwił się Thomas. Dlaczego mu nie powiedziała?

– Jezu. – Komisarz gwałtownie wciągnął powietrze. – Boże, fatalnie. Pracowałem z Randym. Dobry glina. Przyzwoity chłop. Nasze dzieci chodziły do tej samej szkoły. – Zmarszczył brwi i pomasażował się po karku, musiał się pozbierać.

– Poprosiłam też o kolejne badania DNA – oświadczyła Johnson. – Z włosów i próbek krwi zebranych na miejscu, niedopałków papierosów, szklanek i tak dalej. Zakładam, że te testy stały się dokładniejsze przez dwadzieścia lat. Może coś znajdziemy.

– Dobrze zrobiłaś – mruknął Gleason.

– Powiedziałam, że mają się pośpieszyć – dodała Johnson.

– Świetnie. Sprawdzajcie wszystko. – Gleason poruszył palcem, wskazując oboje detektywów. – Naprawdę wszystko.

– Dobrze – zapewnił Thomas, nie kryjąc irytacji. – Dobrze.

– I namierzcie siostrę. Marlie. Porozmawiajcie z tą byłą dziewczyną, która zeznawała na procesie, i młodszą z córek, Karą, oraz jej opiekunką.

– Faizą Donner – podpowiedziała Johnson.

– Właśnie, a skoro już przy tym jesteśmy, sprawdźcie, co mają do powiedzenia wszystkie byłe żony i mężowie zamordowanej pary. Wiem, że dzieci miały odziedziczyć miliony, ale uważam, że Johnson ma rację. – Skinął głową w stronę partnerki Thomasa, która miała dość przyzwoitości, żeby przynajmniej się nie uśmiechać. – Zapewne wielu ludzi chciało położyć łapę na tej fortunie. – Kiedy Thomas zaczął oponować, Gleason podniósł swoją dużą dłoń. – Wiem. Znaleźliśmy już winnego. Zgadzam się. Po prostu sprawdźcie inne możliwości. Zapewne do niczego nie doprowadzą lub wskażą na Jonasa McIntyre'a, ale udowodnijcie to.

– Ponownie – powiedział Thomas do dźwięku silnika przejeżdżającej ulicą ciężarówki, która po chwili zahamowała. – Chcesz, żebyśmy ponownie to udowodnili.

– Tak. – Komisarz potaknął. – I owszem, nie można go ponownie skazać za to samo przestępstwo, ale przynajmniej odsiedział dwadzieścia lat wyroku, więc wydziałowi nie da się niczego zarzucić, bo kryliśmy wszystkie bazy.

– Chyba tyłki – skwitował Thomas. Na ulicy znowu rozległ się hałas, tym razem rytmiczne popiskiwanie cofającej ciężarówki.

– I to ma być nasz cel? Zachowanie pozorów? – zapytała Johnson, gdy na ulicy zrobiło się cicho.

– Jeden z wielu. – Gleason posłał im chłodny uśmiech. – Jonas McIntyre ma rzeszę fanów. A oni mogą narobić dużo hałasu. – Jego usta się wygięły, jakby według niego zadanie, do którego ich oddelegowywał, było największą stratą czasu na świecie. – A co ważniejsze, są wyborcami. Zarówno szeryf, jak i prokurator okręgowy ponownie startują w wyborach w przyszłym roku, więc robimy, co musimy. – Z westchnieniem odchylił się na krześle, które aż pod nim zajęczało. – To nie oznacza, że odpuszczamy sobie inne rzeczy. Boże, nie. Po prostu bierzemy na siebie kolejny obowiązek, bo tak trzeba. Sprawa jest na topie, ale nie możemy ignorować innych śledztw. Tyle chociaż, że na razie jest spokojnie. Niewiele się dzieje, prawda? Żadnych zabójstw od Święta Pracy. I napaści też nie było zbyt wielu. – Wzruszył szerokimi ramionami. – Zła wiadomość jest taka, że

niedługo święta, co oznacza, że rodziny i znajomi będą się spotykać, świętować przy drinkach i dobrze się bawić. Zawsze okazuje się, że wzrasta wtedy liczba samobójstw i zabójstw. Podobno na skutek stresu związanego z Bożym Narodzeniem. – Spojrzał w okno, na szare niebo. – W rezultacie oznacza to, że musimy więcej pracować. A więc – uśmiechnął się niewesoło – wesołych świąt.

Adwokat nie odbierał.

Jej wiadomości – osiem z tą, którą napisała wczoraj po wypuszczeniu Jonasa – pozostały bez odpowiedzi.

Podjechała pod budynek z czerwonej cegły, gdzie mieściło się jego biuro. Parking nie został odśnieżony, wobec czego zostawiła auto po drugiej stronie ulicy, następnie po raz trzeci tego ranka wybrała numer Merritta Margrove'a. Od razu połączyła się z pocztą głosową. Znowu.

– Super – wymamrotała, chociaż nie było super. Ani trochę.

Otworzyła drzwi jeepa, poczekała, aż przejadą samochody, i przebiegła przez ulicę, lekko ślizgając się na zamrożonej kałuży przy krawężniku.

Chociaż Kara wiedziała, że na niewiele się to zda, złapała za klamkę. Zamknięte na klucz. Załomotała głośno, stojąc pod zszarganą markizą, ale nikt się nie zjawił, żaden pracownik z nielicznych biur w budynku ani dozorca. Wszędzie cicho i ciemno. Widocznie nie wszystkie biura były wynajęte, w oknie stał duży szyld z napisem NA WYNAJEM, który potwierdzał jej domysły. Ponownie zapukała, po czym zauważyła dzwonek i go nacisnęła, ale nic się nie wydarzyło, więc zaczęła podejrzewać, że dzwonek nie działa.

Podobnie jak ludzie pracujący w tym budynku.

Wszystko się posypało.

Jak mój prawnik, pomyślała, drżąc z zimna.

Chociaż Margrove był kiedyś sławny, znany w całym kraju, został praktycznie zapomniany, albo stracił powodzenie na skutek podejmowanego ryzyka, albo zmarnował je w inny sposób, jego celebryci kategorii B i C dawno się wycofali z życia publicznego, niczym karaluchy uciekające przed światłem. Po porażce poniesionej w sprawie Jonasa McIntyre'a kariera Margrove'a zaczęła podupadać, co w połączeniu z nieudanymi małżeństwami, jeszcze gorszymi inwestycjami i ekstrawaganckim stylem życia doprowadziło go do stanu, w którym przypominał wydmuszkę dawnego siebie, małomiasteczkowego prawnika walczącego o klientów.

– Smuteczek – powiedziała na głos, ale Margrove nie był jedyną ofiarą pecha po morderstwie popełnionym na jej rodzinie. Jeszcze jeden pechowiec na szlaku złej karmy, który rozpoczął się od Masakry Rodziny McIntyre'ów.

Kara nie chciała się teraz nad tym zastanawiać, nie sądziła, że mogłoby to przynieść coś dobrego. Siedzenie tutaj i czekanie nie miało sensu, więc wróciła do samochodu i przekreśliła kluczyk. Co teraz? Bębniąc palcami o kierownicę, zerknęła w tylne lusterko i zauważyła swoje odbicie: była błada, nadal miała czerwone oczy i zmatowiałe, nieokiełznane brązowe włosy. Szybko zawróciła, wykorzystując sytuację na drodze, po czym kupiła dużą kawę w okienku przy centrum handlowym, zatrzymała się na północnym końcu parkingu i czekała. Nie trwało to długo. Za dziesięć dziewiąt wypatrzyła Celeste, żonę Merritta, która przyjechała starszym modelem corvetty. Celeste wysiadła z czarnego auta, na jednym ramieniu miała wielką koralową torbę, blond włosy z różowymi pasemkami podpięła wysoko na czubku głowy, ciało miała szczupłe i sprężyste, co podkreślał krótki płaszczyk, czarne legginsy i kozaki nad kolano. Zamknąwszy auto pilotem, z kluczykami i telefonem w jednej ręce i dużą butelką wody w drugiej, ruszyła w stronę salonu Allure i weszła do środka.

Kara podążyła za nią, weszła w chwili, gdy włączyły się światła, a Celeste, która już zdjęła płaszcz, odwracała kartkę z napisem OTWARTE, ZAPRASZAMY BEZ KONIECZNOŚCI UMAMIENIA WIZYTY znajdującą się na drzwiach na poziomie oczu.

– O, dzień dobry – powiedziała. – Przykro mi. Mam umówioną klientkę na dziewiątą... Och. – Jej promienny uśmiech zniknął, gdy spotkały się ich spojrzenia. – Kara. – Celeste weszła. – Kara McIntyre. Boże święty. Słyszałam, że dzwoniłaś do mojego męża. – Podeszła do małego ekspresu do kawy stojącego w kącie, w pobliżu drzwi oznaczonych jako TOALETA ze znacznikiem informującym, że mogą z niej korzystać osoby obu płci.

– Merritt nie oddzwonił.

Wzruszając ramionami, Celeste wyjęła szklany dzbanek z ekspresu i wylała resztki wczoraj-

szej kawy do jednej z umywalek pod przeciwległą ścianą. Pomiędzy lustrami zawieszonymi nad każdą z nich znajdowały się półki wypełnione produktami do pielęgnacji włosów i skóry, świeczkami, herbatkami ziołowymi; zapachy kwiatowe mieszały się ze smrodem wczorajszej kawy.

– Wiem o tym. Ale mamy umowę, mój drogi mąż nie miesza się w moje sprawy, a ja w jego. – Podniosła wzrok, napełniwszy dzbanek z kranu nad umywalką. – To się nazywa, że dajemy sobie przestrzeń. Tak się dzieje w małżeństwach. Jeśli pytasz mnie o zdanie, to według mnie jest to konieczność.

– Wczoraj wypuścili Jonasa.

– Słyszałam.

Nic nowego. Wszyscy, którzy oglądali wiadomości lub czytali poranną gazetę, zapoznali się z faktem, że sprawca Masakry Rodziny McIntyre'ów jest obecnie wolnym człowiekiem.

– Czy Jonas dzwonił do Merritta? Albo się z nim spotkał?

– Ponownie: nie mam pojęcia. – Wyrzuciła kawę wraz z rozmokłym filtrem do kosza otwieranego pedalem, po czym wyjęła z szafki opakowanie z mieloną kawą, odmierzyła łyżką odpowiednią ilość i wsypała ją do nowego filtra. Wcisnęła przycisk i ekspres zabulgotał. – Raczej ci nie pomogę, Kara. I naprawdę to moje miejsce pracy. Źle się czuję, rozmawiając z tobą o... no wiesz, o *tym*, co się stało. Moi klienci by tego nie rozumieli.

– W salonie piękności zawsze wszyscy plotkują.

– Nie kiedy... – Zawahała się, ale buntowniczo wysunęła podbródek. – No dobrze, powiem to. Nie w obecności ofiary. To, sama wiesz, sprawia, że historia nabiera realizmu. I staje się dołująca.

Niestety, Kara o tym wiedziała. Może nawet rozumiała, ale teraz miała własną misję.

– Czy Merritt jest w domu? Mogę podjechać do waszego mieszkania...

– Nie! – warknęła Celeste z irytacją. Spokojniej dodała: – Nie ma go tam.

Kara czekała, widziała zdenerwowanie Celeste. Kobieta miała perfekcyjny makijaż, idealną skórę bez żadnych niedoskonałości, jasny cień do powiek, wyczesane brwi nad niemożliwie gęstymi rzęsami i pełne, błyszczące wargi pociągnięte odrobiną szminki. Ale białka jej oczu pokryte były siecią czerwonych żyłek, jej broda lekko drżała.

– No dobrze, masz prawo wiedzieć. Martwię się o niego. Ostatnio... miał obsesję.

– Na punkcie Jonasa?

Machnęła ręką z paznokciami w kolorze fioletu.

– Na punkcie całej tej cholernej sprawy. Od lat przy niej harował. Od lat. Jeszcze zanim go poznałam, a teraz nadeszła pora na spełnienie marzeń i... cóż, zadekował się w swojej przyczepie.

– Przyczepie? – Co Celeste miała na myśli?

– W domu na kółkach, który odziedziczył po wujku. Ale nie takim nowoczesnym. Zabiłabym, żeby taki mieć. Ten nasz jest stary. Do dupy, jeśli mam być szczerą. Znajduje się na Mount Hood. Przy Sawtooth Road. – Zmarszczyła wypielęgnowane brwi. – Dzwonię do niego od wczoraj, ale nie odbiera. Sama wiesz. Ciebie też olał?

– Tak jakby.

– Co za człowiek. – Pokręciła głową. Zapach świeżo zaparzonej kawy wypełnił niewielkie wnętrze. – No bo jak to tak nie odbierać telefonu od żony? Psiakość! Wkurza mnie. Podejrzewam, że nie jest tam sam, co nie? Tak robi, gdy zaangażuje się w jakiś projekt lub potrzebuje czasu tylko dla siebie. – W powietrzu zrobiła znak cudzysłowu. – A on od zawsze ma obsesję na punkcie tego, co stało się z twoją rodziną i tym twoim bratem. – Westchnęła i z wieszaka przy drzwiach od zplecza zdjęła czarny fartuszek. – W ogóle o sobie nie dba. Nic a nic. Gdyby nie ja, umarłby wiele lat temu. – Posłała Karze znaczące spojrzenie. – Gdybym o niego nie dbała, to wiesz co? Katastrofa. W ogóle nie ćwiczy. Źle się odżywia. Próbowалаm zapisać go na jogę i przekonać do zdrowszego trybu życia, ale się nie da. Jest taki uparty. Tak się trzyma swoich przyzwyczajęń. Pije i pali za moimi plecami. – Przewróciła oczami. – Wydaje mu się, że nie śmierdzi na kilometr. Jakby nie wiedział, kogo poślubił. Mam powonienie psa myśliwskiego. Na miłość boską, czy ten człowiek sądzi, że jestem idiotką? – Spojrzała przez szklaną witrynę. – Oho, przyszła moja klientka. W samą porę: dziesięć minut spóźnienia.

Kara obejrzała się przez ramię i zobaczyła cadillaca wjeżdżającego na jedno z miejsc przed sklepem, podczas gdy Celeste zakładała fartuszek z czarnego plastiku, który osłonił jej tunikę.

– Słuchaj, naprawdę nic więcej nie wiem. Przez cały dzień mam klientkę za klientką, a o dziesiątej przychodzą inni styliści. – Jej oczy wyrażały niepokój. – Nie mogę sobie pozwolić, by ktoś rozpoznał... Czekaj. Proszę. – Sięgnęła do małego, płaskiego naczynia stojącego koło jej stanowiska pracy, wyjęła wizytówkę i podała ją Karze. – Tu masz mój numer komórki. Możesz zadzwonić – powiedziała, gdy drzwi się otworzyły, zadzwonił dzwonek nad nimi i do środka wtoczyła się pulchna kobieta po pięćdziesiątce.

– Przepraszam za spóźnienie, Celeste! – Brakowało jej tchu. – O, dzięki Bogu masz kawę! – Uwolniła się z szala, odwiesiła go razem z długim płaszczem na wieszaku koło stolika i westchnęła. – Nie uwierzysz, jaki miałam poranek! Koszmar! Chuck i dzieci! Mówię ci, koszmar za dnia! – Już nalewała sobie kawy z wypełnionego do połowy dzbanka i nie zaszczyliła Kary ani jednym spojrzeniem. W sumie dobrze, bo zdjęcie Kary pokazywano w gazetach i w wiadomościach, a ona nie miała nastroju na rozmowę o Masakrze Rodziny McIntyre’ów z Panią Dziewiątą, która wychlapała trochę kawy, syczącej teraz na gorącej podstawie dzbanka.

Kara zrozumiała, o co chodziło Celeste. Pchnęła drzwi i wyszła na zimno, ale wsiadając za kierownicę jeepa, nie mogła przestać myśleć, że klientka Celeste nie miała pojęcia, czym jest prawdziwy koszmar.

Niestety, Kara wiedziała.

ROZDZIAŁ 11

Zawalił sprawę.

Wesley Tate miał wielką szansę na załatwienie sobie wywiadu z Karą McIntyre, ale dał ciała. Skończył burrito, które zamówił na śniadanie w kafejce na rogu, odsunął krzesło, włożył kurtkę narciarską i wyszedł na dwór na zimno, przez cały czas chłuszcząc się w duchu. Powinien był podejść ją z innej strony, pomyślał, dołączając do strumienia pieszych maszerujących raźnie pod markizami sklepów i wydychających kłęby pary.

Gdy Tate przeszedł przez ulicę, minął dwie nastolatki okutane w ciepłe płaszcze, czapki i rękawiczki. Jedna jadła pączka, okruchy przywarły do jej pomalowanych błyszczkiem ust, druga pochłonięta była telefonem, idąc, wpatrywała się w mały ekran i umiejętnie omijała ludzi spieszących w przeciwną stronę. Obie dziewczyny miały czerwone nosy i policzki zarumienione od zimna, chociaż zachowywały się tak, jakby nie miały pojęcia, jaka jest temperatura.

Było mroźnie. Przez kanion do miasta wpadał wiatr ze wschodu, smagał zamarzniętą rzekę, tworzył na niej czapy śnieżne, następnie wdzierał się na ulice Whimstick, łomotał w okna starych budynków stojących na nabrzeżu. Miasto zostało wzniesione w zakolu rzeki, pierwsze budynki powstały koło 1840 roku w okolicach wąskiego mostu wykorzystywanego przez konie ciągnące wozy. W ciągu prawie dwóch wieków populacja Whimstick stale rosła, budynki zajmowały tereny na przyległych wzgórzach aż dotarły do miejsca, gdzie rzeka zakręcała, jak nie do końca zwinięty wąż.

Rodzina Tate'a mieszkała tu od czterech pokoleń. Uznał, że to wystarczająco długo, i ukończywszy szkołę, przyrzekł sobie, że się wyprowadzi i będzie żył gdzie indziej, najpierw w Kalifornii, gdzie studiował, a potem? Kto to wiedział. Wtedy jedyne, co brał za pewnik, to fakt, że nigdy tu nie wróci.

Mylił się.

Potwornie się mylił.

To by było tyle z idealistycznych marzeń i nastoletnich deklaracji, pomyślał, skręcając za róg w pobliżu miejsca, gdzie kiedyś stał mały sklep spożywczy, a teraz sprzedawano antyki i „mało używane” meble. Ominął mężczyznę spacerującego z psem, jakąś mieszanką beagle'a, który obwąchiwał każde pęknięcie i szczelinę w fasadzie budynku.

Tate niegdyś fantazjował, że w tym wieku będzie słynnym fotoreporterem, jeżdżącym do wszystkich ważnych miejsc na świecie i piszącym o wojnach, przewrotach wojskowych i juntach. Albo, jeśli to się nie uda, zostanie sprawozdawcą sportowym.

Zamiast tego został dziennikarzem śledczym i wrócił do Whimstick, kiedy zadzwoniła do niego siostra i poinformowała go, że ich matka potrzebuje pomocy. Miała wypadek samochodowy, w którym pogruchotała sobie miednicę i złamała obie nogi, jednocześnie starała się opiekować ojczymem. Trzy lata przed jej poważnym wypadkiem u Darvina zdiagnozowano demencję, więc trzeba było jej pomóc. W tamtym czasie jego siostra pracowała na dwóch etatach, miała dziecko poniżej drugiego roku życia i była w separacji z tym przegrywem, swoim mężem.

To było dziesięć lat temu.

Teraz wciąż mieszkał w przerobionym na mieszkanie magazynie z nietuzinkowym widokiem na rzekę.

Znalazłszy się w swoim lofcie, zdjął kurtkę i zawiesił ją na wieszaku, który służył mu za szafę. Mieszkanie było surowe, miało betonowe ściany, wysokie okna i rury poprowadzone na wierzchu. Umeblował je sofą, kanapą i dywanikiem, które kupił na wyprzedaży garażowej, kiedy wrócił do Oregonu. Stół służył mu za biurko. Kupił stare z nóżkami w kształcie szponów na pchlim targu razem z szafą na dokumenty, która tak naprawdę była starą szafką pod telewizor z lat pięćdziesiątych wykonaną z wytrzymałego jasnego drewna, teraz pozbawioną telewizora i sprzętu grającego, które dawniej zajmowały środek.

Miał łóżko, stało w kącie, oraz telewizor z płaskim ekranem, który zdominował jedną ze ścian. I to wszystko. Kiedy wynajął ten loft, sądził, że zostanie tu tylko na chwilę. Jak na razie się mylił.

Podobnie jak w wielu innych kwestiach.

Włącznie z próbą uzyskania wywiadu od Kary McIntyre.

– Idiota – zbeształ się, siadł na krzesło i przysunął je bliżej monitora, dużego ekranu podłączonego do laptopa. Odsunął na bok notesy, wycinki z gazet i wydrukowane raporty leżące na blacie.

Tate'owi głupio się wydawało, że jeśli uda mu się porozmawiać z Karą McIntyre osobiście, jeśli znajdzie sposób, by mu zaufała, namówi ją na udzielenie sobie wywiadu. Nie tylko chciał się dowiedzieć prawdy i ujawnić, co naprawdę zaszło w noc masakry, lecz także planował, że napisze na ten temat książkę, opowiedzianą z perspektywy syna jednej z ofiar. Poglądy Kary na temat tych wydarzeń, jako że była głównym świadkiem oraz dzieckiem w tamtym czasie, sprawiłyby, że historia nabrałaby charakteru relacji „dzieci, które przeżyły”.

Oczywiście, że mu nie zaufała, ale uznał, że mógłby zyskać jej zaufanie, gdyby tylko dała mu szansę.

Wobec tego rozegrał to jak potrafił.

Udał, że został ranny.

W ułamku sekundy, gdy cofała, podjął decyzję, uderzył w bok jeepa pięścią, po czym rzucił się na zaspeę śniegu.

Wymyślił i zrealizował ten podstęp w ciągu jednej chwili.

Ale ona go przejrzała.

Powiedziała mu o tym, wioząc go na parking, gdzie zostawił SUV-a.

Teraz więc nie wrócił nawet do punktu wyjścia. Znajdował się na poziomie minus jeden.

– Idiota – powtórzył. Z obrażeń miał jedynie zranioną męską dumę. Powinien był po prostu podejść do drzwi frontowych. Taki był plan. A potem, kiedy zobaczył, że drzwi do garażu zaczynają się podnosić, postanowił wykorzystać sytuację i poniósł spektakularną porażkę.

Będzie musiał postępować rozważnie.

I być może przyda mu się pomoc.

Ze strony kogoś z wojskowym wykształceniem, kogoś, kto był geniuszem technicznym, potrafił mu pomóc i miał odpowiednie kontakty, żeby zdobyć niedostępne dla niego informacje.

A on znał takiego człowieka.

Wyjmując komórkę z kieszeni, zastanowił się ponownie nad tym pomysłem, po czym uznał, że ma już dość odbijania się od drzwi. Minęło dwadzieścia lat. A on znowu utknął w tym cholerym mieście. Jonas Jebany McIntyre był na wolności. A rywalizacja o tę historię, jego historię, przybrała na sile.

Czas na ciężką artylerię.

O ile tylko będzie używana w ukryciu.

Wyświetlił listę kontaktów, znalazł numer i czekał na połączenie.

Jadąc przez góry, Kara zerknęła na zegarek – prawie wpół do jedenastej – tuż przed tym, jak znalazła Sawtooth Road, wąską dróżkę biegnącą wśród gęsto rosnących jodeł i sosen. Jedynie koleiny i wypłowieciały, oblodzony znak wskazywał na to, że dawniej była to stara droga używana przed drwali, przecinająca drogę lokalną. Widoczność była słaba, gdy jeep wjechał wyżej na górę, grube płatki śniegu wirowały w powietrzu, prawie jak podczas śnieżycy.

Na kolana narzuciła koc, bo cholerne ogrzewanie padło na dobre, a ona nie zajęła się jego naprawą. Teraz za to płaciła, bo odmrażacz dmuchający zimnym powietrzem nie był w stanie usunąć całej pary osiadającej na przedniej szybie. Przecierając zaparowaną szybę ręką w rękawiczce, próbowała znaleźć domek Merritta. Domek na kółkach, jak powiedziała Celeste.

Wyteżając wzrok, sunęła po śladach opon, wypatrywała skrzynek pocztowych lub nazw domków ukrytych za drzewami i zaroślami. Zauważyła kilka z nich, wszystkie wyglądały na niezamieszkałe. Nie parkowały przy nich żadne pojazdy, śnieg wokół nich był nienaruszony, z kominów nie wydobywał się dym, były to zwykłe, stare domki, surowe i ponure, z zamkniętymi okiennicami i zaspami śniegu na zapomnianych sągach drewna.

Dobre miejsce, żeby zniknąć, pomyślała. Wiatr się wzmaczał, jęczał, szarpał gałęziami. Kara miała nerwy napięte jak struny.

Bez sensu.

Przypomniała sobie, że Merritt był kiedyś jej sprzymierzeńcem, i chociaż jego obecna żona

nie miała dla niej czasu, jego druga małżonka, Helen, była jej bliska, stała się dla niej autorytetem, matkowała jej bardziej, niż mogłoby przyjść do głowy ciotce Faizie. Merritt też jej pomagał, nawet gdy jego własne życie i kariera poleciały w dół, zwłaszcza po nagłej śmierci Helen, która stała się ofiarą rzadkiego wirusa.

Więc dlaczego tak się denerwowała?

Ze względu na Jonasa.

Wiesz, że Merritt znał sekrety Jonasa. Był jego adwokatem.

Ścisnęło ją w żołądku, gdy jej umysł podążył w stronę, której nigdy sama by nie wybrała. Co naprawdę wiedział prawnik? Czy Jonas wyznał mu prawdę, a może spreparował kłamstwo?

Jaka była prawda?

Pomyślała o Wesleyu Tacie, który oskarżył ją o to, że nigdy nie chciała dowiedzieć się, co naprawdę zaszło tamtej potwornej nocy, ale to nie była prawda. Chciała. To dlatego jechała przez góry, pragnąc znaleźć Margrove'a.

Jeśli chodzi o Tate'a, chciała go spuścić na drzewo. Pamiętała go jako chłopca, ale w niczym nie przypominał pulchnego, piegowatego dzieciaka z dzikimi, nieokiełznanymi włosami, okularami i aparatem na zębach. Nie, teraz był dorosły. Ciemne włosy, ostre rysy i dołeczek, którego wcześniej nie zauważyła. Okulary zastąpił lustrzankami, zęby miał proste i białe, niezręczna chłopięca niewinność ustąpiła hardości wyrażającej się kształtem szczęki oraz wyraźnie zarysowanymi kącikami cienkich ust.

Głupio, że zauważyła, a nawet zapamiętała to, że pochyliła się nad nim, sięgając do drzwi pasażera i poczuła na szyi jego ciepły oddech, aż mocniej zabiło jej serce.

Nie myśl teraz o nim. Nie jest tego wart. Jesteś nakręcona, bo wypuścili Jonasa, a Tate przypomina ci o tamtej nocy. To tylko adrenalina, nic więcej. Masz na głowie ważniejsze sprawy. Pamiętaj tamtą noc i co się wtedy stało. Tate się myli. Bardzo myli. Naprawdę zależy ci na poznaniu prawdy, nieważne jakim kosztem!

Przygryzła wargę, skręcając nieco za szybko, aż tył auta poślizgnął się na oblodzonym terenie, po czym wyprostowała buksujące koła.

Serce podskoczyło jej do gardła, więc trochę zwolniła i wróciła myślami do Wigilii sprzed lat. Co się stało z Marlie? Skąd wiedziała, że musi chronić młodszą siostrę? Dlaczego jej ubrania leżały na łóżku, jakby zamierzała wyjechać? Dlaczego, do cholery, była taka przestraszona? Czy miała coś wspólnego z tą rzezią?

– Nie – wyszeptała Kara, nie chciała wierzyć w to, co tak wielu insynuowało w artykułach, rekonstrukcjach zdarzeń w telewizji, a ostatnio na blogach i grupach na Facebooku poświęconych morderstwom.

Ale ktoś wiedział.

A ona musiała poznać prawdę.

Zacisnęła palce na kierownicy, mijała ośnieżone wysokie jodły z uginającymi się gałęziami.

Kara zawsze podejrzewała, że Jonas lub Merritt, albo obaj, wiedzieli więcej na temat zniknięcia jej siostry, ale nie miała na to żadnego dowodu.

Znowu ogarnia cię paranoja.

– Czyżby? Więc dlaczego Jonas się nie odezwał? – zapytała na głos.

Może się odezwał. Może to on wysłał ci wieczorem wiadomość, w której zasugerował, że Marlie żyje.

– Jeśli chodziło o Marlie – dodała.

A o kogo innego?

Jeep się zakołysał, opony znowu wpadły w poślizg, uświadomiła sobie, że jedzie po krótkim, wąskim moście wiszącym nad zamarzniętym strumieniem.

Za nim droga ciągnęła się dalej.

Dokąd prowadziła? Zmrużyła oczy, próbując coś wypatrzeć w padającym śniegu.

Za ostrym zakretem ujrzała domek, który lepsze dni miał już za sobą. Stał w gaju jodłowym, na jego dachu leżały igły i śnieg, nad frontowymi drzwiami znad krawędzi nawisu niczym kryształowe sztylety zwisały lodowe sople. Kara nie zauważyłaby tego domu, gdyby pomiędzy drzewami nie dostrzegła śladów opon na świeżym śniegu oraz wgniecionego czerwonego zderzaka.

– No proszę – powiedziała, rozpoznając nie najnowsze BMW Margrove'a. Samochód led-

wie było widać, bo podobnie jak domek był częściowo ukryty pod śniegiem.

Zacisnąwszy mocno palce na kierownicy, próbowała zignorować lęk, ale miejsce było tak odizolowane od świata, że się zawahała. Zaparkowała koło starej beemki, zgasiła silnik i zbierała się na odwagę. Margrove oczywiście nie ucieszy się na jej widok; unikał jej, chociaż, według Celeste, wiedział, że próbuje się z nim skontaktować. Czując, że opuszcza ją odwaga, zerknęła na schowek na rękawiczki, otworzyła go, przesunęła instrukcję obsługi i pudełko chusteczek i znalazła dwie samolotowe miniaturki wódki.

– Odwaga w płynie.

Zdjęła rękawiczki i bez namysłu otworzyła jedną buteleczkę, wypila alkohol, poczuła znajome pieczenie w gardle i ciepło w żołądku. Powtórzyła proces, zakręciła puste buteleczki, wrzuciła je do schowka, po czym go zamknęła.

Patrzac na zniszczony domek na kółkach, przygryzła wargi i ponownie włożyła rękawiczki.

– Skoro góra nie chciała przyjść do Mahometa, to... – Otworzyła drzwi auta i wyszła w zamieć.

Ścieżka do wejścia była przykryta grubą warstwą śniegu, wydeptany szlak prowadził bezpośrednio do BMW, chociaż teraz był przykryty kilkunastoma centymetrami świeżego opadu. Kara doszła nią do dwóch schodków i zadaszonego półpiętra, skonstruowanych z byle jak oheblowanych, poszarzałych desek. Drzwi były zamknięte, ale na obrzeżu okna, gdzie nie sięgały rolety, zobaczyła migoczące niebieskie światło.

Wcisnęła dzwonek.

Nic nie usłyszała, więc uznała, że dzwonek jest zepsuty.

Drżąc, zapukała.

Poczekwała chwilę, szczerzej okutała się płaszczem i otupała śnieg z butów. Dalej nie słyszała kroków dochodzących ze środka.

– No, szybko – mruknęła, po czym znowu zapukała, tym razem głośniejsze. – Merritt? – zawołała przez rdzewiejące, metalowe drzwi. – To ja. Kara.

Wciąż nic.

Spał? Cóż, tym gorzej dla niego. Czas wstawać!

– Merritt? – Załomotała.

Cisza w środku.

– No, dalej. Zaraz zamarznę. – Chociaż procenty dawały o sobie znać, nie była wstawiona; zapewne nie wypila nawet dość, żeby wygładzić nierówne krawędzie w umyśle. Najprawdopodobniej był to zły pomysł.

– Kolejny – skrzytkowała się, ponownie uderzając w drzwi. Miała tego po dziurki w nosie. Zamarzanie na rozwalających się schodach nie spełniało jej wyobrażeń o tym poranku.

Złapała za cholerną klamkę.

Łatwo przekręciła ją dłonią. Jakby została naoliwiona.

Dobrze.

Pchnęła drzwi do środka, nie rozległo się ani jedno skrzypnięcie.

– Merritt? – powtórzyła, rozglądając się po wnętrzu, jej wzrok przyzwyczajał się do panującej w środku ciemności. Owiało ją ciepłe powietrze o zapachu dymu papierosowego i alkoholu. Nic dziwnego, że Merritt się nie odzywał. Zapewne nawalił się wczoraj wieczorem.

Nie po raz pierwszy będzie musiała postawić go na nogi po popijawie.

On również wiele razy wyświadczył ci tę samą przysługę.

– Racja – odpowiedziała nagłacemu głosowi w swojej głowie. Weszła do środka i usłyszała ściszy dźwięk telewizora rzucającego dziwne, niebieskawe światło.

– Merritt? – spróbowała ponownie, czując na kręgosłupie ukłucie strachu. Przez chwilę sądziła, że słyszy kroki.

Biegące.

Na zewnątrz.

Ale gdy stanęła i wytężyła słuch, starając się usłyszeć coś poza szybkim biciem własnego serca, okazało się, że wszędzie panuje cisza.

Oprócz telewizora. Dźwięk musiał pochodzić stamtąd.

Zrobiła kolejny krok.

Stała gwałtownie.

Zamarła.

– O Boże.

Najpierw zauważyła ciemne plamy na dywanie.

Potem Merritta Margrove'a. Zaklinowanego pomiędzy futonem a ławą. Krzyknęła i odskoczyła, nie odrywając wzroku od nieruchomego ciała. Leżał na brudnym, zielonym dywanie, miał bladą twarz i czerwoną ranę przecinającą gardło od ucha do ucha.

– Nie – wyszeptała, cofając się. – Nie, och, nie.... Nie!

Czy była szansa, że jeszcze żyje?

Nie – to niemożliwe.

Był bardzo... nieżywy.

Jego skóra w miejscach, gdzie nie została opryskana krwią, miała biały kolor, oczy zastygły utkwione w jednym punkcie, z jego płuc nie wydostawał się oddech, w gardle ani w ranie nic nie bulgotało.

Nie. Nie. Nie!

Jej żołądek wywrócił się na drugą stronę.

Oddychając szybko i głęboko, cofnęła się do drzwi.

Nie możesz go tak zostawić! Musisz sprawdzić. Przecież może jeszcze żyć.

– Nie może – wyszeptała na głos, ale zmusiła się do podejścia bliżej, jej but poślizgnął się na krwi, gdy wyciągnęła rękę w stronę nieruchomego ciała i lekko się pochylała. Na szyi nie znalazła miejsca, które mogłaby dotknąć, więc sięgnęła po jego rękę i sprawdziła nieistniejący puls na zimnym, tak zimnym nadgarstku.

Nic.

Oczywiście.

Puściła jego palce i odskoczyła, ale wciąż nie odrywała wzroku od martwego ciała mężczyzny, którego znała, *zamordowanego* prawnika, którego darzyła zaufaniem.

Czy ktoś tu przyszedł i podciął mu gardło?

Dlaczego?

Jonas!

Oczywiście, że to ma coś wspólnego z wypuszczeniem jej brata!

Cała zadrżała, ścisnęło ją w żołądku. Przed jej oczami pojawiły się obrazy z Wigilii sprzed dwudziestu lat. Ostre, bolesne odłamki wspomnień, lśniąca i poszczerbiona niczym kawałki szkła, wszystkie splamione krwią. Mama. Tatuś. W swoich łóżkach, czerwone plamy na pościeli, ich oczy otwarte i wpatrujące się w przestrzeń. A w salonie ciała jej braci, leżące przed dogasającym kominem, ich niewidzące oczy szeroko otwarte, ciała pokryte taką samą ciemną czerwienią, przewrócona choinka, muzyka, zapętlona ta sama piosenka.

Dławiąc się, wycofała się przez otwarte drzwi. W chwili, gdy wyszła na schodki, nie była w stanie dłużej utrzymać zawartości żołądka. Przechyliwszy się przez próchniejącą barierkę, zwróciła wszystko, co zjadła, na śnieg obok ganku wyrzygiwała żółć i wódkę.

Merritt nie żył.

Został zamordowany.

A zabójca...?

Nerwowo się rozejrzała, z szaleńczo bijącym sercem spojrzała na otaczający ją las, poczuła pocałunek zimnego wiatru na policzkach.

Czyżby usłyszała kroki? Czy mignął jej jakiś cień biegnący za sosnami?

O Jezu.

W panice, szybko oddychając, rozejrzała się po lesie, wyęzając wzrok, żeby przebić się przez zasłonę ze śniegu, serce dudniło jej ze strachu, gdy ujrzała cienie za drzewami.

Czy tu był?

Obserwował?

Krył się, czekając na właściwy moment, i patrzył na nią, zaciskając palce na długim, zakrwawionym nożu?

Czy to był nóż?

A może maczeta?

Albo zabytkowy miecz, tak jak wcześniej?

Wycofywała się, strach skwierczał w jej żyłach. Jedną ręką próbowała wymacać w kieszeni kluczyki. Musiała stąd odjechać. Natychmiast musiała uciekać! Potykając się, zeszła ze schodków.

Potem ruszyła biegiem.

Przez zasy śniegu.

Zimne powietrze chłostało jej twarz.

Śnieg ją oślepiał.

Strach napędzał do przyspieszenia kroku.

Tak jak kiedyś.

ROZDZIAŁ 12

Palcami w rękawiczce Kara złapała klamkę jeepa, stłumiła krzyk i wgramoliła się do środka. Gdy silnik odpalił, dodała gazu, zawróciła jak szalona, po czym wrzuciła bieg i odjechała. Była przerażona, cała się trzęsła, przed oczami wciąż miała Merritta leżącego we własnej krwi oraz kalejdoskop żywych obrazów przedstawiających jej zamordowaną rodzinę. Mamę. Tatę. Donnera. Sama juniora. Wszyscy nie żyli. Leżeli we krwi. Czerwień opryskała ściany. Poplamiła dywan. Rozmazała się na poręczach schodów. A teraz Merritt...

– Och... och... nie... nie!

Weź się w garść. Na miłość boską, Kara, uspokój się!

Ale nie mogła.

Drżała, dyszała ciężko i odchodziła od zmysłów. Gałęzie drzew drapały boki jej SUV-a, z piskiem sunęły po szybach, a opony się ślizgały, gdy kręciła kierownicą i auto wpadało w poślizg na lodzie.

Uspokój się. Uspokój się, do cholery.

Opanuj się wreszcie!

W panice, wciąż odtwarzając w myślach horror, którego była świadkiem, jechała na pamięć, wciskała gaz, gdzie wyjeżdżone koleiny biegły prosto, hamowała na zakrętach i czuła, że cała karoseria się trzęsie, gdy wjeżdżała w koleiny, nie zdejmując nogi z gazu.

Pomyślała o Celeste, która w salonie twierdziła, że mąż ją ignoruje. A nie że nie żyje. *Że został zamordowany!*

– Nie... – Zamrugwała. Po twarzy płynęły jej łzy. Zbyt szybko skręciła i z poślizgiem wpadła na mostek, tylne koła zarzuciło. Nie przejęła się tym, po prostu jechała, jakby ścigał ją sam szatan.

Musisz do kogoś zadzwonić. Na policję. Poinformować ich. Lub do Celeste. Boże drogi, Kara, zabójca wciąż może być w tym domku. Czyż nie usłyszałaś tam kogoś?

– O Boże, o Boże... – Czy miała tu połączenie z internetem? A zasięg? Podniosła telefon wciąż leżący na miejscu pasażera. Przed jeepem pojawiło się drzewo, więc ostro szarpnęła kierownicą. Komórka spadła na podłogę! Za daleko.

Cholera.

Wtedy wpadła na inny pomysł.

– Zadzwoń pod dziewięć jeden jeden! – wrzasnęła w stronę deski rozdzielczej i modliła się o połączenie, bo śnieg sypał coraz gęstszy, aż musiała zmienić prędkość wycieraczek.

Usłyszała sygnał połączenia.

Dzięki Bogu.

– Dziewięćset jedenaście. W czym mogę...

– On nie żyje. Wydaje mi się... Wiem, że nie żyje. Wszędzie jest krew. – Tak jak wtedy! – O Jezu! – wymamrotała pod nosem, potem, biorąc się w garść, spokojniej dodała: – Proszę posłuchać. Chcę... Chcę zgłosić morderstwo. Wygląda to na cholerne morderstwo! Merritt Margrove, prawnik, jest ofiarą. Ktoś go zabił. To znaczy, tak to wygląda. Wyślijcie kogoś!

– Proszę pani? Czy mogę prosić o pani nazwisko i adres?

– Słucham? Nie. To znaczy, teraz prowadzę.

– Jak się pani nazywa?

– Kara McIntyre i jestem na Sawtooth Road i... o kurde! – Droga skręciła, więc musiała odbić kierownicą, żeby nie uderzyć w odłamaną gałąź, która częściowo spadła na drogę.

– A więc zgłasza pani morderstwo na Sawtooth Road?

– Tak! Tak! – Czy ta kobieta była upośledzona? – Nie znam dokładnego adresu, ale to stało się w jego domu. Domu Margrove'a. Leży po... po... och... – Straciła poczucie kierunku przez ciągle padający śnieg. – Chyba po wschodniej stronie Sawtooth Road, Merritt Margrove, ten zabity, ofiara, jest właścicielem tego domu.

– Proszę się nie rozłączać i zostać na miejscu zdarzenia.

– Nie ma mnie tam! Jasne? Nie słyszała pani? Właśnie odjeżdżam i nie zamierzam tam wra-

cać. Ani mi się śni!

– Pani McIntyre...

Kara miała gonitwę myśli, wyteęzała wzrok, żeby zobaczyć coś przez zaparowaną szybę, wycieraczki dawały z siebie wszystko.

– Proszę wysłać pomoc! Po prostu wyślijcie pomoc!

– Gdyby mogła pani...

– Nie! – Rozłączyła się i dodała gazu, koła się ślizgały, ledwie słyszała warkot silnika jeepa, bo zagłuszał go łomot jej serca. Nie ma mowy, żeby siedziała tu w śniegu razem z martwym człowiekiem leżącym we własnej krwi i mordercą na wolności i czekała na policję, ratowników medycznych i innych, którzy się zjawią. Nigdy więcej!

Znowu pomyślała o bracie.

To musiało zdarzyć się z powodu Jonasa. Musiało.

Bo teraz był wolnym człowiekiem.

W przeciwnym razie byłby to cholernie wielki zbieg okoliczności.

A gdzie on się, do diabła, podziewał? Zacisnęła palce na kierownicy, czuła dudnienie pulsu.

Dlaczego się z nią nie skontaktował?

Ukrywał się, unikał mediów czy...?

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy to możliwe, że spotkał się z Margrove'em i sprawy wymknęły się spod kontroli...

– Nie! – Jej krzyk wypełnił wnętrze jeepa. Zawsze wierzyła w Jonasa i teraz nie przestanie. Nawet jeśli Merritt, podobnie jak jej rodzina, został zamordowany za pomocą noża. Komuś udało się podejść na tyle blisko, by rozplątać mu gardło.

Przełknęła ślinę.

Ktoś, kogo znał?

A może... ktoś związany z morderstwem jej rodziny? Ktoś, kto uaktywnił się po uwolnieniu Jonasa z całym tym rozgłosem i zainteresowaniem mediów.

Myślami wróciła do Marlie.

Co wiedziała tamtej nocy?

Czy była w to zamieszana?

Dlaczego, na miłość boską, zaprowadziła Karę na strych?

Przyczepiło się do niej to samo stare pytanie, które nawiedzało ją przez całe życie. Pamiętała, że została obudzona. Na łóżku Marlie leżały złożone ubrania. Pamiętała dźwięk kolędy oraz bicie zegara odmierzającego ostatnie sekundy ich życia.

Słowa Marlie rozbrzmiały w jej głowie:

„Muszę sprawdzić, czy jest bezpiecznie... Coś złego... dzieje się coś złego, Kara”.

– Gdzie jesteś? – zapytała na głos, jakby siostra siedziała na miejscu pasażera. – Co się stało? – Przełknęła gulę w gardle, przypominając sobie nocną wiadomość. Dwa proste słowa:

Ona żyje.

Marlie. Ten, kto to przysłał, miał na myśli Marlie. Prawda?

Na podłodze rozdzwonił się telefon, ale go zignorowała. Jechała dalej. Dotarła do głównej drogi, która została już odśnieżona, i w końcu wypuściła powietrze z płuc. Powoli wjechała na pas i dogoniła białe subaru, które wolno jechało po odśnieżonej drodze, która znowu zaczęła robić się biała, bo cholerstwo ciągle padało z szarego nieba.

Kara się denerwowała, droga opadała serpentyną, zgodnie z naturalnym biegiem rzeki w dole. Zalesione góry wznosiły się po stronie pasażera, droga była tu węższa niż latem ze względu na zalegający na poboczu śnieg. Szczyty jodeł i sosen oszukańczo wznosiły się nad zaspami, bo drzewa rosły w dole kanionu i miały po trzydzieści metrów wysokości.

Siedząc jak na szpilkach, wpatrywała się w tylne światła subaru, mrugające czerwienią przez zasłonę ze śniegu. Telefon zadzwonił ponownie, więc tym razem zerknęła na ekran wyświetlający się na desce.

Nieznany numer. Ale wcisnęła przycisk na kierownicy i odebrała.

– Słucham?

– Kara McIntyre? Tu detektyw Cole Thomas.

– Dzięki Bogu!

– Gdzie pani jest?

– Prowadzę. Jestem jakąś godzinę, może trochę więcej, za miastem.

– Nic pani nie jest?

Czy kiedykolwiek nic jej nie było?

– Nic? Żartujesz sobie? Właśnie znalazłam trupa, na miłość boską! Ofiarę morderstwa! Znajomego z gardłem rozplatanym od ucha do ucha. – Wypuściła powietrze i zaszlochała. – Jak to się mówi? Jakbym miała *déjà vu*. – Nie mogła powstrzymać łez ani opanować trzęsących się dłoni. Mocniej złapała kierownicę.

– Myślę, że powinna pani zjechać na pobocze. Przyślemy kogoś.

– Nie... zapomnij. – Nikogo nie chciała widzieć. I powoli się uspokajała. Im dalej znajdowała się od domku Margrove'a, tym bardziej się kontrolowała. A przynajmniej wmawiała sobie, że tak jest, gdy jedną ręką ocierała łzy. – Nie wrócę tam.

– Muszę z panią porozmawiać. Twarzą w twarz. O tym, co się stało i co pani zobaczyła.

– Widziałam martwe ciało. Ciało Merritta. – Przed oczami znowu pojawił się zakrwawiony Margrove, wzdrygnęła się, ten przerażający obraz wypalił się w jej mózgu.

– I nic więcej?

– Nie! Tylko... tylko jego.

– Co pani tam robiła? Skontaktował się z panią?

– Nie... nie, szukałam Jonasa i pomyślałam, że Merritt może wiedzieć, gdzie on jest, ale nie odpowiadał na moje telefony i wiadomości, wobec czego namierzyłam jego żonę i ona mi powiedziała o tym miejscu w górach. Znalazłam go, gdy tam przyjechałam. – Jej głos się załamał, pociągnęła nosem. – I tyle. Koniec opowieści. – Znowu płakała, łzy spływały po jej twarzy, przez co prawie nic nie widziała. – Było tak jak wtedy – wyznała, gwałtownie łykając powietrze. – Jak w tamte święta. – Zamrugła, próbowała się skupić, ale w głowie wirowały jej obrazy. Leżący, martwy Donner, którego krew plamiła dywan pod pochyloną choinką; Sam junior koło kominka, gdzie wciąż tlił się żar; Jonas patrzący w górę i chrypiący: „Sprowadź pomoc” oraz grająca *Cicha noc*.

– Kara! – Głos Thomasa wyrwał ją z zamyślenia i wtedy zauważyła, że zjechała na przeciwny pas. Prawie stanęło jej serce. – Kara, niech pani zjedzie z drogi! – rozkazał detektyw.

Szarpnęła kierownicę. Za mocno. Prawie zjechała z urwiska po drugiej stronie szosy. Puściła gaz, jeep wyrównał, waliło jej serce, ścisnęło ją w gardle.

– Wysyłam zastępcę...

– Nie. – Pokręciła głową, jakby mógł ją zobaczyć. – Nie, nie, wszystko w porządku – skłamała, odzyskując kontrolę nad pojazdem. Chciała tylko znaleźć się w domu. Nieważne, jak irracjonalne było to pragnienie, nie zamierzała czekać przy drodze na jakichś policjantów. Co by zrobili? Zabrali ją ze sobą? Zawieźli na komisariat i zadali pierdylion pytań? Kazali jej zostawić jeepa pośrodku niczego? Nie ma mowy. Cholera jasna! – Nic mi nie będzie.

Po drugiej stronie połączenia zapadła cisza, a w tej ciszy usłyszała pierwsze syreny, zbliżały się do niej, wjeżdżały pod górę tą samą drogą.

– Wraca pani prosto do domu?

– Tak.

– Zajrzę do pani, gdy sprawdzę miejsce zdarzenia.

Uświadomiła sobie, że jadące przed nią subaru zniknęło za zakrętem, już nie widziała jego tylnych świateł. Kiedy to się stało? Gdzie? Była tak pochłonięta rozmową, że...

Z naprzeciwka pojawił się inny pojazd, jego przednie światła rozświetlały padający śnieg. Pick-up z górą w typie kampera. Wlekł się.

– Jeśli tylko nie każesz mi tam wracać. Do domku – negocjowała z Thomasem. – Bo nie wrócę. Nie mogę. I nie zamierzam słuchać wykładu o tym, że powinnam była tam zostać z ciałem. On nie żyje. Sprawdziłam. Chociaż wiedziałam, że nie żyje, to sprawdziłam, czy ma puls. Nie mogłam sprawdzić pulsu na szyi, bo miał rozcięte gardło. – Stłumiła szloch, przypomniała sobie potworną ranę, makabryczny, czerwony uśmiech.

– Sądzę, że powinna pani znaleźć jakieś miejsce i...

– Powiedziałam, że nie! – odparła stanowczo, ręce bolały ją od zaciskania ich na kierownicy. – Możesz przyjechać do mojego domu. Tak będzie... dobrze. – Będzie musiało być. Kara zakończyła połączenie i jechała dalej, szybko i spokojnie, nawet nie mrugnęła okiem, kiedy w prze-

ciwną stronę przejechały trzy radiowozy na sygnale, ich koguty oświetlały śnieg na niebiesko i czerwono.

Dopiero wtedy wypuściła powietrze.

Dopiero wtedy usłyszała szelest, jakieś poruszenie w samochodzie.

Co?

Serce jej zamarło.

Nerwowo spojrzała w tylne lusterko.

O Boże święty.

W lusterku ujrzała więcej niż jedną parę oczu. Ta druga, ciemna i głęboko osadzona, patrzyła na nią w odbiciu.

ROZDZIAŁ 13

Spotkali się w parku w pobliżu wodospadu, podobnie jak w przeszłości. Chociaż to było wiele lat temu.

Tutaj, gdzie rzeka spływała z urwiska, woda rozpryskiwała się w powietrzu, po czym wpadała do wzburzonego nurtu poniżej. Chmury na niebie zaczęły się rozstępować, słońce przebijało się przez cienką zasłonę i odbijało od śniegu zalegającego grubą warstwą na gałęziach i ściółce leśnej.

Tate zauważył pick-upa Connella, który właśnie wjechał na prawie pusty parking przy punkcie widokowym i zajął miejsce na samym końcu. Kilka sekund później Connell wyszedł z auta i ruszył w stronę Tate'a.

Tate wyszedł na ścieżkę, wspiął się na niewielkie wzniesienie, z którego woda, lodowato szara, z hukiem spływała po skałach i opadała w dół. Rozproszone krople mieszały się z padającym śniegiem, panował duży hałas.

Tam dogonił go Connell. Miał sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, ubrany był w dżinsy, trapery i puchową kurtkę. Większość jego brązowych włosów kryła czapka bejsbolowa, okulary przeciwsłoneczne zasłaniały oczy. Na brodzie miał kilkudniowy zarost. Jak zawsze od razu przeszedł do rzeczy.

– No dobra, o co chodzi? – zapytał bez żadnych wstępów. Szli obok siebie, ścieżka wiła się pomiędzy wysokimi zaroślami z opadającymi, pokrytymi śniegiem gałęziami.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Do obserwacji?

– Tak.

Connell zerknął na niego.

– Wiesz, że zamknąłem biznes.

– Słyszałem. – Ale Tate nie był przekonany.

– Służę teraz Bogu i państwu, pomagam tym, którzy... mieli mniej szczęścia.

– Serio?

– Serio. – Skinął głową. – Zająłem się rannymi żołnierzami, weteranami wracającymi do Stanów.

– Wobec tego porzuciłeś obserwację.

Connell się uśmiechnął.

– Porzuciłem spacer po cienkiej linii oddzielającej to, co zgodne z prawem, od tego, co jest poza nim. Balansowanie stało się zbyt niebezpieczne. Poza tym nadeszła pora, żebym dał sobie trochę luzu.

– Skoro tak twierdzisz.

– Taka jest prawda.

– W porządku.

Ogłuszający huk wodospadu wypełnił ciszę. Connell podszedł do skalnej ściany, którą wzmocniono i podniesiono za pomocą stalowych słupków. Przechylił się przez barierkę, jakby przyglądał się płynącej w dole rzece.

– A więc nie złamię prawa?

– Słuchaj, umowa taka jak zawsze. Żadnych pytań.

– Właśnie unikasz pytań.

– To twoja sprawa, jak wykonujesz swoją pracę.

– Pracę? – Prychnął rozbawiony. – Interes? Czy ty mnie w ogóle nie słuchałeś? Czyż nie powiedziałem, że już z tym skończyłem?

Tate potaknął.

– Słyszałem. Powiedzmy, że to dla większego dobra, w porządku?

– A więc to nic osobistego? – Connell nie potrafił wyzbyć się zwątpienia. Znał Tate'a, znał go od lat. Ich ojcowie pracowali razem w policji i chociaż Connell był po pięćdziesiątce, prawie

o pokolenie starszy od Tate'a, znali się, gdy Tate był dzieckiem, i ponownie nawiązali kontakt kilka lat temu.

– To nie jest osobista zemsta. Tak?

– Nie. – To była prawda. W większości.

– Ale jest w tym jakiś osobisty element – podsumował Connell, a Tate nie oponował. Nie mógł. Connell od razu by go przejrzał. Nie tylko byli na tyle blisko z sobą, że potrafił czytać w Tacie jak w książce, lecz do tego Connell był bystry, prawdopodobnie miał IQ geniusza i potrafił posługiwać się mózgiem. Te umiejętności zapewne zostały doszlifowane przez CIA lub Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, chociaż Connell nigdy o tym nie mówił. Niemniej jednak Tate potrzebował tych jego atutów. Co najważniejsze, Connell miał znajomości i potrafił trzymać gębę na kłódkę.

– No to przejdźmy do konkretów. Czego chcesz, Wes? Domyślam się, że ma to związek z uwolnieniem Jonasa McIntyre'a. – Zatrzymał się w miejscu, gdzie ścieżka zakręcała z powrotem nad rzekę, tuż nad wodospadem, i spojrzał na Tate'a bystrymi piwnymi oczami. Jakby czekał na jego kłamstwo.

– Muszę dowiedzieć się więcej o tamtej nocy.

– Co? Wiesz więcej niż inni... Może nawet od glin. – Connell ściągnął brwi nad nosem. – Kiedyś już pomogłem ci w tej sprawie.

– Minęło dwadzieścia lat. Wiele się zmieniło. Metody są dokładniejsze. Testy DNA, kamery, pliki cyfrowe. Faceci, którzy siedzieli od lat, wychodzą na wolność dzięki nowym technikom. W podobny sposób namierza się przestępców, jeśli można znaleźć ich DNA w systemie. Poprawia się jakość starych nagrań z kamer. Same kamery i mikrofony są małe i mogą nagrać dźwięk i obraz z niesamowitych odległości, pliki cyfrowe można dodać lub zmienić elektronicznie... No, sam wiesz. Mogę mnożyć przykłady.

– A więc czego chcesz?

– Twojej ekspertyzy – odparł Tate.

Connell miał unikatową wiedzę, którą chłonał niczym gąbka, od czasów studenckich, kiedy pracował w sklepach sprzedających sprzęt elektroniczny, poprzez pracę na stanowisku specjalisty do spraw komunikacji dla firmy dostarczającej telewizję kablową aż po własną działalność specjalisty od cyberbezpieczeństwa.

Connell zmrużył oczy, gdy odwrócili się tyłem do stoku i ruszyli w dół.

– Mówiłem ci...

– Wiem, wiem. Zrozum, Jonas McIntyre wyszedł z więzienia ze względów proceduralnych.

– Czytałem o tym.

– No to wiesz – stwierdził Tate. – Przysięga, że nikogo nie zabił, ale wszyscy wiemy, że każdy skazany upiera się przy swojej niewinności. A teraz my... ty... masz szansę wykazać, co naprawdę stało się tamtej nocy.

– Hackując? Łamiąc prawo?

– Pomyśl o tym jak o służeniu ludzkości, sprawiedliwości lub jedynie własnej ciekawości. Zawsze mówiłeś, że chcesz wiedzieć, co naprawdę tam się wydarzyło. Masz teraz okazję, by się dowiedzieć.

Connell zastanowił się nad tym, gdy ponownie zatrzymali się przy punkcie widokowym. Patrzył na lodowatą wodę spływającą po skalistej krawędzi klifu, unoszące się w powietrzu kropelki tworzyły mgłę, w której odbijały się zimowe promienie słoneczne.

– Masakra Rodziny McIntyre'ów jest najgorszą zbrodnią, jaka wydarzyła się w tych okolicach na przestrzeni wielu lat. Zawsze otaczała ją atmosfera tajemniczości. I zła. Nawet kiedy Jonas McIntyre trafił za kratki, wciąż było mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Tamtej nocy pięć osób straciło życie, w tym mój stary kumpel. Może sześc, bo nikt nie wie, co stało się z Marlie Robinson. Może od dawna nie żyje. Zapewne tak właśnie jest. Ale dopytaj jej ojca, Waltera Robinsona, jeśli uda ci się go namierzyć. Ostatnio jak sprawdzałem, mieszkał w Seaside. Przeprowadził się tam jakoś po procesie Jonasa.

– Okej. Tak zrobię – zgodził się Connell.

– A co z pozostałymi ludźmi, którzy przebywali w domu tamtej nocy? Jej chłopak, Chad Atwater? Zobacz, czy uda ci się go znaleźć.

– Nie wiesz, gdzie przebywa?

– Wiem, że wyprowadził się dwa lata po tej tragedii – wyjaśnił Tate. Podniósł wzrok i spojrział Connellowi w oczy. – Media by mu nie odpuściły.

– W sensie, że ty?

– W sensie media w ogóle, wtedy byłem jeszcze dzieckiem. – Tate pomyślał o wszystkich ludziach, którzy byli blisko tej rodziny. – Kolejną osobą jest Silas Dean, był partnerem biznesowym Sama seniora. Chyba poznali się w wojsku, potem współpracowali przez wiele lat, zanim wszystko się zepsuło. Dean był tam wcześniej tego dnia. Posprzeczali się. Kłócili się o zagospodarowanie jakiegoś terenu. Silas chciał kupić nieruchomość, a Sam senior był stanowczo przeciwny. No i doszło do sprzeczki.

– W Wigilię? – zapytał Connell.

– Tak, ale przed wieczorem, a Silas Dean miał silny temperament. Sześć miesięcy wcześniej zostało wniesione przeciwko niemu oskarżenie o przemoc domową. Przez żonę. Wtedy plotkowano, że schodzili się i rozchodzili.

Connell uniósł brwi.

– Sprawa nigdy nie trafiła do sądu.

– Dlaczego? Dlaczego żona się wycofała?

Tate wygiął usta.

– Ta sama śpiewka co zawsze. Przeprosił. Przysiągł, że nigdy więcej nie podniesie na nią ręki. Że to był wypadek. Że za dużo wypił..

– Ona może coś wiedzieć. – Connell snuł przypuszczenia, kiwając głową, jakby zastanawiał się nad podejrzanymi i świadkami, ludźmi, którzy mogli zapomnieć, co widzieli lub słyszeli. Osobą, którą skłamała.

– Byli małżonkowie ofiar też. Mówiono, że ani poprzednie żony Sama seniora, a miał dwie, nie były zachwycone, że związał się z Zeldą, ani poprzedni mąż Zeldy, że wyszła za Sama.

– Robinson.

– Tak, ojciec Marlie i Donnera. Wcześniej tego dnia ściał się z Zeldą. – Tate wsiadł na swojego konika, wymieniał wszystkich ludzi, którzy odegrali jakąś rolę w tragedii, która została nazwana Masakrą Rodziny McIntyre'ów. – I nie zapominajmy o siostrze Zeldy, Faizie, oraz jej chłopaku... jak mu tam... – Pstryknął palcami, żeby pobudzić pamięć. – Roger Sweeney! Właśnie. Muzyk. Chyba gra w jakimś zespole, który koncertuje na Zachodnim Wybrzeżu. Droga ciocia Faiza i naciągacz, jej chłopak, nie tracili czasu i od razu wprowadzili się do posiadłości jej zmarłej siostry. Słyszałem plotki, że zawsze była zazdrosna o Zeldę, a zwłaszcza o jej pieniądze.

Connell patrzył na niego, miał coś powiedzieć, ale się powstrzymał, bo Tate nadawał dalej, na tyle głośno, że można go było usłyszeć pomimo ryku wodospadu.

– Do tego byli jeszcze ludzie, którzy zajmowali się tym domem. Samuel McIntyre zatrudniał ogrodników, pokojówki i kucharza, chociaż nikt z nich nie przebywał w „górkim domku” tamtego wieczoru. – Zrobił znak cudzysłowu przy słowie „domek”, bo była to raczej rezydencja. – Mogli coś zobaczyć, podsłuchać lub ktoś mógł im się zwierzyć.

– Ale wszyscy zostali przesłuchani przez policję.

– Aha. Przez tych samych gliniarzy, którzy kłamali i mataczyli w sprawie dowodów? Co powiedział Randall Isley?

– Racja. Mówimy o nim „Randy”. Tak sobie myślę, że być może uda się odświeżyć mu pamięć i przypomni sobie jeszcze jakieś szczegóły, o których wcześniej zapomniał, gdy składał zeznania.

– Skoro mowa o zeznaniach. Wszystkie z nich słyszałeś, prawda? Czytałeś transkrypcje?

– Tak. Jedno z nich zawsze nie dawało mi spokoju.

– Tylko jedno? To Kary McIntyre?

– Nie, była za młoda. Tak, to, co powiedziała, zostało wyreżyserowane i przećwiczone z nią wcześniej, ale mnie się nie spodobało to, co, zeznała Lacey Higgins, dziewczyna Jonasa, która prześpała się z jego bratem.

– Przybranym.

– Fakt. – Tate podrapał się po odrastającym na brodzie zarostku. – O co jej chodziło? – Przypomniał sobie, jak z fałszywą skromnością wyznała, że jej chłopak chciał zabić siekierą jej kochankę, a potem ją samą. – Sprawdź ją.

– A ty nie sprawdziłeś?

– Pracuję nad tym. Ale na nic się nie natknąłem – przyznał Tate, nie kryjąc frustracji. – Lacey Higgins jest mężatką. Ma dzieci. Wydaje się uczciwa i praworządna, ale jeśli możesz, pogrzeb głębiej.

– Naprawdę sądzisz, że uda ci się dowiedzieć czegoś więcej po tylu latach? – Connell podszedł do barierki, zamyślił się i zabębnił w nią palcami w rękawicze. – O tym, co stało się w tamtej rezydencji, napisano kilka książek, nakręcono odcinki serialu true crime. Słyszałem nawet, że ktoś pracuje teraz nad podcastem, jako że wkrótce przypada dwudziesta rocznica popełnienia tej zbrodni, kompania produkcyjna, która pierwsza wyemitowała o tym materiał, także chce powrócić do tej historii.

– To może nam pomóc. Skoro McIntyre jest teraz wolnym człowiekiem, ludzie, którzy byli w to zamieszani, świadkowie, którzy złożyli zeznania i ci, którzy ich nie złożyli, pewnie wrócą pamięcią do tej sprawy i mogą sobie przypomnieć coś, o czym zapomnieli lub o co nie zostali zapytani podczas procesu.

– Trochę naciągane.

– Ja w to wierzę.

Connell przytaknął.

– Dobrze, więc czego chcesz? Mam namierzyć tych ludzi? Zadać im pytania czy tylko ich obserwować i dać im ogon? Nadajnik GPS? Coś w tym stylu?

– Co ci się uda. – Tate oparł się biodrami o barierkę. – Rozejrzyj się. Zobacz, do czego uda ci się dokopać. Może znajdziesz coś, co nie pasuje.

– Na przykład, co stało się z Marlie Robinson?

– Zwłaszcza to – powiedział Tate, przypominając sobie starszą siostrę Kary, która rozplynęła się w powietrzu. – Według mnie to ona jest kluczem.

Wayne Connell zmarszczył brwi, na daszku jego czapki z logiem drużyny Padres zebrał się śnieg.

– W jakim sensie nie pasuje? W billingach telefonicznych, wyciągach bankowych? Danych komputerowych? Mailach?

– Już mówiłem, żebyś zrobił to po swojemu. Nic nielegalnego ani nic, z czym poczułbyś się niekomfortowo, dobrze? Rozumiesz? Nie chcesz być częścią tego planu? Może uda się na nowo otworzyć sprawę sprzed dwudziestu lat?

Connell prychnął.

– Nie próbuj mydlić mi oczu, Wes. Rozumiem, o co ci chodzi. – Odwrócił się tyłem do widoku, a twarzą do przyjaciela. – Chcesz sprawiedliwości dla swojego ojca. To normalne. Zajmę się tym, w porządku, ale niczego nie obiecuję i, tak jak mówiłem, nie będę łamał prawa. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Tate uznał, że sam będzie musiał zająć się tym, co nielegalne. – I jeszcze coś.

– Tak?

– Sprawdź, czy uda ci się namierzyć pewną kobietę, Hailey Brown z Modesto w Kalifornii. To może być fałszywe nazwisko. Lub panieńskie. Używa go w sieci na stronie zrzeszającej fanów Jonasa. Przyjrzyj się jej. Sądzę, że te dane są fejkowe.

– Mówimy o igle w stogu siana. Imię i nazwisko są bardzo popularne.

– Wiem, ale ona może nam się przydać.

– Dlaczego?

– Takie mam przeczucie.

– Super – parsknął Connell. – Coś jeszcze?

– Na razie nic mi nie przychodzi do głowy.

– Dobrze. – Poprawił czapkę i ruszył w stronę parkingu, ale zatrzymał się po kilku krokach, jakby nagle olśniła go jakaś myśl. – Tate? – zawołał przez ramię.

– Tak?

– Uważaj na siebie. – Przez chwilę patrzył mu w oczy. – Zemsta, obsesja, czy jak tam to nazywasz, może pożreć cię żywcem. Nie pozwól jej na to.

– Skoro tak twierdzisz.

– I nie rób niczego głupiego.

Za późno, pomyślał Tate. *Za późno, do cholery.*

Przyglądał się, jak Connell znika w śniegu, niczym duch rozplywający się w zasłonie z białych płatków.

Tate uśmiechnął się do siebie. Nasunął okulary przeciwsłoneczne na nos.

Mimo rezerwy, Connell połknął przynętę.

Czy to możliwe, że Connell zasłaniał się retoryką czynienia dobra, ale tak naprawdę poczuł się zaintrygowany? Skuszony. Niczego nie pragnął bardziej, niż rozwiązać tę zagadkę – nie zważając na środki, którymi dotrze do celu. Tak, definitywnie opowiadał się po stronie sprawiedliwości, ale sprawa go zaciekała.

Włożył ręce głęboko do kieszeni i wpatrywał się w spadającą wodę, która toczyła się po wygładzonych kamieniach leżących pod jej powierzchnią.

Wayne Connell może jeszcze o tym nie wiedział, ale już połknął haczyk.

ROZDZIAŁ 14

– Jonas? – wyszeptła Kara, strach odcinał jej oddech.

Jej serce biło szaleńczo w klatce piersiowej, płuca się nie rozciągały. Przerazenie zsuwało się w dół kręgosłupa, gdy zjeżdżała ze stromego wzgórza, które wznosiło się zaraz za poboczem od strony pasażera, z drugiej rozciągał się kanion, przed sobą miała dwie wąskie ścieżki wyłobione w ubitym śniegu i lodzie.

Jej brat jechał z nią jeepem? Były skazaniec, jej brat?

Ukrył się na tylnym siedzeniu, jak bohaterowie w głupich horrorach?

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy ma broń. Pistolet albo nóż, albo... albo... Boże, to, czym podcięto gardło Merrittowi. Starając się nie panikować, Kara jednym okiem obserwowała jezdnię, drugim Jonasa, który siedział za nią.

– Jedź, Kara – rozkazał.

– Co ty, do cholery, tu robisz? – Kierownicę trzymała w morderczym uścisku, próbując nie stracić panowania nad autem. Przełęcz była niebezpieczna. Wąska. Wycięta w stoku góry, z jednej strony miała skały, z drugiej głęboką przepaść. To, co oddzielało jej jeepa od tej ciemnej, ziejącej otchłani, to kawałek oblodzonego chodnika, niska barierka i szczyty gigantycznych jodeł, których gałęzie lśniły od lodu. Musiała prowadzić. Musiała utrzymać samochód na drodze, ale ogarniała ją panika, jej puls przyspieszył, w ustach miała sucho, myśli desperacko zataczały kręgi. To się nie dzieje! Merritt na pewno żyje, na pewno nie ma podciętego gardła. Jonas nie może...

Przestań. Weź się w garść. To wszystko dzieje się naprawdę. Pogódź się z tym, Kara.

– Co ja tu robię? – powtórzył Jonas. – A jak sądzisz? O, cholera. – Zniknął jej z oczu.

Drugim pasem przejechał kolejny radiowóz z włączonym kogutem i syreną, minęli się o kilka centymetrów.

Kara gwałtownie wciągnęła powietrze, jej serce załomotało, dźwięk syreny brzmiał coraz ciszej.

Ponownie zerknęła w lusterko.

– Ukrywasz się przed policją?

– Tak, do cholery. Byłaś w przyczepie Margrove’a. Widziałaś go. Słyszałem, że dzwonisz po gliny. Co, według ciebie, by zrobili, gdyby odkryli, że tam byłem? Dopiero co wyszedłem z więzienia, a mój adwokat zostaje zabity. Zamordowany. – Spojrzał jej w oczy w lusterku. – I powiem wprost. Nie zabiłem go. Wiem, że tak właśnie myślisz, ale to nie ja. – Westchnął. – Sukinsyn. Jebany sukinsyn. To jakiś koszmar. W końcu wyszedłem. W końcu i od razu... kurwa!

– Merritt nie żyje – przypomniała mu. – Nie chodzi o ciebie!

– Czyżby? Ej, patrz na drogę!

– Patrzę. – Lekko zwolniła, bo droga była nierówna, zrobiło się bardziej stromo. – Śmiertelnie mnie wystraszyłeś!

– Nic na to nie poradzę.

– Oczywiście, że mogłeś temu zaradzić! Nie musiałeś nagle wyskakiwać w moim samochodzie jak jakiś oprawca z horroru, na miłość boską.

– Oprawca – powtórzył, a ona natychmiast pożałowała swoich słów.

– Wiesz, co mam na myśli. – Wciąż próbowała się uspokoić, opanować szalejący puls, lecz w jej krwi wciąż krążyła adrenalina i wzmagał się jej gniew. – Gdzie byłeś, Jonas? – zapytała, zerkając w lusterko. – Dlaczego, do cholery, byłeś u Margrove’a? Czemu nie powiedziałeś mi, że tam jesteś?

– Margrove chciał się ze mną zobaczyć w dyskretnym miejscu. Wiesz, na osobności.

– Na odludziu? Dlaczego?

– Żeby media się nie zwiedziały.

Wyjęła wzrok, żeby lepiej widzieć przez przednią szybę, poprawiła odmrażanie, wiatrak chodził głośno. Jeśli Jonas mówił prawdę, brzmiało to sensownie. Margrove mógłby mieć problem ze znalezieniem bardziej dyskretnego miejsca. Nawet teraz na drodze praktycznie nie było żadnych

pojazdów, panowała cisza, lecz mimo to...

Jakby czytając w jej myślach, Jonas wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem.

– Nie wierzysz mi.

– Nie wiem, w co wierzyć. – I to była najszczerza prawda.

– Nie zabiłem go – powtórzył Jonas na tylnym siedzeniu. – Bo tak myślisz, nie?

Otworzyła usta, ale zanim zdołała zadać mu kolejne pytanie, on jeszcze raz powiedział:

– Nie zabiłem go, rozumiesz? Był martwy, gdy tam dotarłem.

– A kiedy to było?

– Około dziesiątej, jakieś piętnaście minut przed tobą. Tak jak mówiłem, mieliśmy się tam spotkać.

Nie wierz mi, nie wierz mi, to kłamca! Wiesz, że jest kłamcą. A jeśli jednak zabił Merritta? Kto potwierdzi, że nie? Tylko Jonas, a on siedział w więzieniu za zamordowanie swojej rodziny, zgadza się? Bronił go, ale zawsze miałaś wątpliwości. Kto by nie miał? Skazała go ława przysięgłych. Pamiętaj o tym!

– Spotkać? – powtórzyła, jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

– Tak, na miłość boską. Przecież jest... był moim adwokatem. Nie najlepszym, jeśli o to chodzi. Dlaczego znalezienie gliniarza, który przyznał, że policja spieprzyła sprawę, zabrało mu aż dwadzieścia lat, połowę mojego cholernego życia? Co? Dlaczego nie mógł go znaleźć przed procesem lub jakoś po nim? Zrozum, Margrove nie był święty. Zarabiał na tym, i to nieźle. – Fakt. Wiedziała o tym. Czyż pieniądze nie pochodziły z masy spadkowej? – Margrove i twoja ciotka nieźle się obłowili, co nie?

– Nie wiem.

Prychnął.

– Masz wkrótce odziedziczyć spadek, dobrze myśle? Jego większość. Na twoim miejscu bym na to nie liczył. Przepadło.

– Skąd ty to możesz wiedzieć?

– Staram się trzymać rękę na pulsie. A skoro wyszedłem, mój wyrok został anulowany, sam też jestem spadkobiercą. Sprawdziłem to.

– Jak? Byłeś...

– Zamknięty? Za kratami? Odcięty od świata? – zachnął się. – Są sposoby, Kara, uwierz mi. – Jonas się zagotował. – Powinnaś była pilnować pieniędzy.

– Miałam osiem lat! – Padał taki gęsty śnieg, że musiała zwiększyć szybkość działania wycieraczek.

– No tak... no więc cię wykorzystali. Nas. – Stukając palcami w skraj szyby, zapytał: – Co się stało z domem? Dalej tam mieszkasz?

– Nie... och, nie. – Energicznie pokręciła głową, zauważyła przed sobą zakręt, więc zwolniła, jeep lekko się zakołysał. – Mam swój dom.

– Szczęściara.

– Jonas...

– A więc dom został sprzedany?

– Nie... Nie dało się. – Wjechała w zakręt, poczuła, że opony trochę się ślizgają. – Nie było takiej opcji zgodnie z zasadami zarządu powierniczego.

– No i?

– Mieszka tam ciotka Faiza.

– Co! Faiza? Cholera! – Wypuścił powietrze z płuc. – Kurwa, żartujesz sobie?

– Myślałam, że trzymałeś rękę na pulsie.

– Podejrzewam, że Margrove miał swoje powody, żeby ukryć przede mną ten fakt. – Patrzył spode łba, wciąż rytmicznie stukając w szybę. – Zastanawiam się, co jeszcze zataił. Ile wydoił z masy spadkowej? – Spojrzała na niego w lusterku, miał zaciśnięte wargi. – Chcę go dostać.

– To znaczy? Chcesz dostać dom?

– Chyba mi się należy. On i wiele więcej.

– Skoro tak twierdzisz.

Nerwowe stukanie stało się szybsze, miała wrażenie, że wewnątrz pojazdu się skurczyło.

– Słuchaj, lepiej, żebyś wiedziała i żeby nie było rozczarowań. Nie powinnaś oczekiwać du-

żego majątku, kiedy otrzymasz spadek. Jestem przekonany, że Faiza, nasza kochająca ciotka, i ten pojeb Margrove niewiele zostawili.

Jej żołądek się zacisnął na skutek kierunku, w którym zdążyła ta rozmowa.

– Nie wiem, czego się spodziewać.

– Jak mówiłem, ja biorę dom. Nieważne, kogo będę musiał podać do sądu.

– Ciotkę Fai, owszem, ale Margrove...

– Był niekompetentnym klaunem. Przebrzmiałym klaunem! – powiedział Jonas z naciśnięciem. – Tyle lat... *lat* zajęło mu wyciągnięcie mnie z więzienia. Kiedy Randall, ten gliniarz z wyrzutami sumienia, który nakablował na pozostałych, znajdował się pod cholernym nosem Margrove'a. – Jonas z frustracji walnął pięścią w podłokietnik. – Przez pół jebanego życia siedziałem w pace, bo był aż tak niekompetentny! Jezu Chryste, czy można być gorszym partaczem?

– Nie porzucił cię – stwierdziła, chociaż argumenty Jonasa nie były pozbawione podstaw, a nawet mocno ją dotknęły i sprawiły, że musiała przewartościować swoje poglądy. Kolejny zakręt w drodze w dół wzgórza, w świetle przednich reflektorów wirowały płatki śniegu.

– Bo nikt inny go nie chciał. No i jak się okazuje, dlatego że czerpał zyski z masy spadkowej. Powinienem być wiedzieć. Cholera, źle, że mu zaufałem.

Nie podobało jej się, dokąd zmierza ta wymiana zdań.

– Sądziłam, że stałeś się religijny, że znalazłeś Boga czy coś w tym stylu, gdy siedziałeś w więzieniu.

Posłał jej spojrzenie w lustrze.

– Bo tak jest.

– Nie wydaje mi się. Nie nadstawiasz drugiego policzka.

– Nie słuchałaś mnie? – warknął. – *Dwadzieścia* jebanych lat. Przekonaj się, jak to jest, zanim zaczniesz osądzać.

Zamyśliła się. Jonas był wściekły, twardy i, tak, wystraszony. Podobnie jak ona po znalezieniu ciała, ale nie widziała w nim uduchowionego, spokojnego człowieka, jakim podobno się stał. Minęła znak ostrzegający przed stromym zjazdem i dłonie zaczęły jej się pocić na kierownicy.

– Jak się dostałeś do Margrove'a?

– Ktoś mnie podwiózł.

– Kto?

Zawahał się, po czym posłał jej niechętne spojrzenie w lusterku, twarz miał w cieniu.

– Mia.

– Kto... kim jest Mia? – To Jonas miał dziewczynę?

– Kimś, komu zależy. – Zirytował się. – W przeciwieństwie do wszystkich pozostałych.

Wiedziała, kogo ma na myśli. Nie tylko ją i Margrove'a. Jonas czuł się całkiem opuszczony; słyszała o tym od prawnika. Jego matka, druga żona taty, Natalie, wyprowadziła się stąd niedługo po morderstwach i aresztowaniu jej jedyne go syna. Kara nie wiedziała, co się z nią stało. Natomiast Lacey Higgins, dziewczyna, z którą Jonas chodził, kiedy doszło do masakry, i którą nakrył na tym, że puszczała się z Donnerem, złożyła pogrążające go zeznania i nigdy więcej się do niego nie odezwała. Przynajmniej tak kiedyś powiedział Margrove do swojej żony, gdy Kara spędzała weekend u nich w domu. Zakradła się do kuchni po coś do picia, a Margrove z żoną siedzieli w salonie, grał telewizor, palił się ogień w kominku.

– Dzieciak czuje się zupełnie osamotniony. Nawet własna matka go nie odwiedza. A ta jego dziewczyna? – Margrove westchnął z odrazą. – Najpierw pieprzy się z jego przybranym bratem, a potem składa takie zeznania.

– Rzeczywiście kiepsko to zabrzmiało – przyznała jego żona.

– Wiem, wiem, ale on był tylko wkurzonym dzieciakiem.

– Wkurzonym dzieciakiem, który już wcześniej miał problemy z prawem. Czyż nie złamał ręki koledze ze szkoły, kiedy się siłowali?

– To był wypadek – oburzył się Margrove.

– Może, ale przecież wdał się w bójkę z Donnerem Robinsonem zaledwie tydzień przed masakrą.

– Jak to bracia – westchnął.

– Przyszywani bracia – przypomniała mu. – Buzujące hormony, za dużo testosteronu. Jak ty

to mówisz? „Tryskający energią”?

Cisza.

– Jeśli mnie spytasz...

– Nie pytam.

– Tym gorzej, bo i tak to usłyszysz. Jonas McIntyre wzniósł to na wyższy poziom. Ja o tym wiem. I ty o tym wiesz. Wiedział o tym sędzia i ława przysięgłych. Nie winiłabym Lacey Higgins za to, że chciała się na nim wybić, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Ponownie Margrove prychnął, a gdy pogłośnił pilotem dźwięk kolejnego odcinka *Prawa i porządku*, Kara na paluszkach weszła na schody z podwędzoną butelką coli.

Teraz jednak jechała przez cholerną śnieżycę, wioząc Jonasa, który prawdopodobnie był uzbrojony i niewątpliwie niebezpieczny, dosłownie dało się wyczuć jego wściekłość rozlewającą się po zaciemnionym wnętrzu jeepa. Uznała to za surrealistyczne przeżycie, jechała przez ciemność, nad nią górowały drzewa, wiatr świstał i zagłuszał równy warkot silnika, a Jonas lśnił w bursztynowym świetle.

Zaciskała palce na kierownicy.

– A więc tej dziewczynie, Mii, niby na tobie zależy – powiedziała. – Tak po prostu wysadziła cię w lesie w samym środku śnieżycy?

– Bo tak chciałem – upierał się Jonas. – Kazałem jej odjechać. Wysadziła mnie przy domu. Chciała zostać, ale się nie zgodziłem. – Szeptem dodał: – Tak, nie jest taka jak Lacey! – Tak wymówił imię swojej byłej, że zabrzmiało jak splunięcie.

– Mia to twoja dziewczyna?

– Czy to ma znaczenie? Na miłość boską, Kara. Nie widziałaś Merritta? Ktoś go zaszlachtował. Kto wie, kto będzie następny? Ja? Ty?

Spojrzała w lusterko i w jego oczach ujrzała coś więcej niż gniew, zauważyła jakieś głębsze emocje, jednocześnie poczuła ukłucie niepokoju i włoski unoszące się na jej karku. Co tak naprawdę robił Jonas? Jak bardzo był niebezpieczny? O co mu chodziło?

Tate dostał swoją szansę.

I to dużą.

Musiał się pospieszyć.

Złapał za klamkę drzwi prowadzących do starego, ceglanego budynku na skraju miasta, ale tak jak się spodziewał, ani drgnęła. Zamknięte na klucz.

Zapukał i zerknął na markizę wiszącą nad wejściem, sprawdzając, czy zamontowano kamerę na krokwi obciążonej z farby, ale zobaczył tylko stare ptasie gniazdo. Tak, była kamera, ale z doświadczenia wiedział, że to atrapa, jaką można kupić w sieci, żeby odstraszyć niechcianych gości.

Nikt nie otwierał.

Nie dochodziły do niego żadne oznaki życia toczącego się w środku budynku, gdzie Merritt Margrove miał swoje biuro.

Dobrze.

Chociaż było wczesne popołudnie, na niebie cały czas wisiały szare chmury i padał śnieg, który dawał mu pewną osłonę. Niewielką, ale zawsze coś. Nie mógł czekać na zapadnięcie zmroku. Zamierzał wejść do środka i wyjść.

Do otwarcia frontowych drzwi użył wytrychów, wślizgnął się do środka zatęchłego, starego budynku i czekał, na wypadek gdyby ktoś jednak tu był, ale nikt się nie pojawił. Dobrze.

Cicho przeszedł przez pustą recepcję, na buty założył jednorazowe ochraniacze i oczywiście włożył też przylegające do skóry rękawiczki.

Cały napięty, włączył aplikację z latarką w telefonie i szybko skierował się na korytarz prowadzący do biura Merritta Margrove’a. Ponownie podłubał chwilę przy prostym zamku, wszedł do środka i zostawił za sobą lekko uchylone drzwi. Zatrzymał się, przez moment nasłuchiwał, ale nic nie usłyszał oprócz dźwięków wydawanych przez stary piec, który miał za zadanie utrzymanie temperatury powyżej zera, oraz od czasu do czasu przejeżdżający na zewnątrz samochód.

Miejsce pracy Margrove’a było nieduże, na ścianach miało tanie panele, było tu jedno okno, wielkie biurko, dwa wypłowiałe fotele dla klientów i regały wypełnione zakurzonymi tomami, które wyglądały tak, jakby nikt ich od lat nie dotykał. W powietrzu wisiał zapach starego dymu papiero-

sowego. Na jednej ścianie powieszono tanie ramki z fotografiami przedstawiającymi Margrove'a w czasach świetności, kiedy pozował z celebrytami klasy B, z których wielu już nie żyło. Na jednym, zrobionym na polu golfowym, Margrove trzymał kij i stał w otoczeniu czwórki ludzi w czapkach golfowych i krzykliwych strojach; na innym siedział przy stole w restauracji, przed nim stały do połowy wypełnione kieliszki i tace, towarzyszyła mu piękna kobieta, którą Tate rozpoznał, ale nie potrafił przypomnieć sobie jej nazwiska, jakaś aktorka grająca w filmach obecnie uznawanych za klasykę. Na ścianie za biurkiem dumnie wyeksponowano różne dyplomy potwierdzające osiągnięcia naukowe i certyfikaty.

Ale miejsce wydawało się nieużywane.

Opuszczone.

Puste biuro niegdyś rozchwytywanego prawnika, który popadł w zapomnienie za sprawą złych wyborów napędzanych alkoholem, rozwodem i hazardem. A sprawa, która przyniosła mu największą sławę i zapewne infamię? Obrona Jonasa McIntyre'a oskarżonego o zamordowanie swojej rodziny. Nie miało znaczenia to, że Jonas został uznany winnym, Margrove na krótki czas przykuł uwagę mediów. A w ciągu swoich „piętnastu minut sławy” był błyskotliwą, charyzmatyczną gwiazdą przed implozją.

Bóg z nim.

Z tym już koniec.

Po pierwsze Tate sprawdził szafki na akta stojące rzędem przy ścianie koło drzwi niczym metalowe żołnierzyki. Wszystkie zamknięte na klucz.

Żadnych zaskoczeń.

Następnie Tate podszedł do potężnego biurka Margrove'a z szeroką, wyeksploatowaną podkładką, odsunął zniszczone krzesło i zerknął na zegarek. Nie miał wiele czasu. Wieści o śmierci prawnika już się rozchodziły. Usłyszał o niej od jednego ze swoich źródeł, zastępcy szeryfa, który zbliżał się do emerytury i kiedyś pracował z ojcem Tate'a.

Włączył komputer.

Ekran się zaświecił i od razu zażądał hasła.

Nie zdziwiło go to, sprawdził szuflady biurka. Na szczęście wszystkie otwierały się bez przeszkód. W wąskiej szufladzie pośrodku nie było nic oprócz ołówków, długopisów, spinaczy, dwóch par nożyczek, gumek recepturek, trzech zapalniczek i otwartej paczki papierosów, z której wyjęto kilka sztuk.

Żadnych kluczy ani haseł.

– Cholera – zaklął pod nosem.

W drugiej szufladzie znalazł torbę na siłownię z ubraniami na zmianę, które były tak rzadko używane, że zebrał się na niej kurz, poza tym papier i inne materiały biurowe oraz na wpół opróżnioną butelkę irlandzkiej whiskey, ale nie było tam kluczy ani niczego ważnego. Nie chciał włamywać się do szafek z aktami, chociaż potrafił to zrobić, nie mógł też ukraść komputera, więc znalazł się w kropce.

Margrove był jednak ze starej szkoły, dorastał i ukończył szkołę oraz studia prawnicze przed rozpowszechnieniem się komputerów i Internetu. W ostatnich latach nie miał sekretarki, asystentki ani nikogo do pomocy. Był sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Starym, zdezelowanym okrętem, choć niegdyś posiadał tętniącą życiem firmę, w której uwijali się pracownicy gotowi wykonywać jego polecenia, młodszy wspólnicy i pomocnicy ze znajomością nowoczesnych technologii odbębniający nudne, codzienne zadania w biurach położonych w centrum Portland.

Czy zdany na siebie, uzależniony od alkoholu, starzejący się facet ufałby sobie, że zapamięta hasła?

Może.

A może nie.

Zaświecił pod biurko, gdzie zwykle stało krzesło, i szukał listy haseł przyklepionej gdzieś od spodu. Jedyne, co znalazł, to mosiężna tabliczka z nazwą producenta, CAL – MEBLE NA ZAMÓWIENIE, oraz zdanie Z DUMĄ PRODUKUJEMY W OREGONIE OD 1966 ROKU. Pod wpływem impulsu dotknął tabliczki, która się poruszyła, panel się otworzył i stał się szeroką, drewnianą tacką na zawiasie, która się blokowała i dzięki temu powstawał dodatkowy blat. Tate spodziewał się, że znajdzie jakąś listę z poufnymi informacjami, nazwiskami klientów, telefonami przyklepioną

do gładkiej powierzchni, coś, co Margrove chciał mieć pod ręką, gdy pracował przy komputerze.

Ale znowu mu się nie poszczęściło.

Może starszek był bystrzejszy, niż się Tate'owi wydawało.

Wypróbował kilka haseł – łatwe sekwencje numeryczne, słowo HASŁO, kombinację inicjałów Margrove'a i dat na certyfikatach wiszących na ścianach, ale wszystko na próżno.

– Do dupy.

Bez sensu.

Uznał, że to włamanie należy przypisać do kategorii Obszczekiwanie Niewłaściwego Drzewa, kiedy pomyślał o ukrytej tacce i o tym, że biurko zostało „dumnie” wyprodukowane na zamówienie. Skoro miało ukryty panel, to może był on jednym z wielu?

Ponownie przeszukał szuflady biurka.

I ponownie niczego nie znalazł.

Już miał się poddać, uznać, że to szukanie wiatru w polu, kiedy jego wzrok padł na podkładkę. Na dużym blacie wydawała się mała, uświadomił sobie, że długa szuflada pośrodku biurka nie jest tak głęboka jak samo biurko, chociaż po stronie klienta nie było dodatkowego miejsca.

Czyżby taki projekt? Albo...

Wyjął boczną i środkową szufladę.

Boczna była o jakieś piętnaście centymetrów dłuższa.

Dlaczego?

Poświecił sobie latarką z komórki, ponownie sprawdził środkową szufladę, odsunął na bok paczkę papierosów i w tylnym rogu odkrył małe, metalowe zagłębienie.

Nawet w ostrym świetle było ledwie widoczne.

Tate wsadził tam rękę i je przycisnął.

Nic.

– Do kur...

Spróbował ponownie. Mocniej. Wepchnął w dziurkę czubek palca wskazującego w rękawicze.

Klik.

Szuflada wysunęła się jeszcze o piętnaście centymetrów i ukazała długą i wąską przegródkę, w której leżał nie tylko mały, skórzany notes lecz także kilka przenośnych pamięci. Wszystko ukryte.

Tate wahał się przez chwilę.

Usłyszał silnik ciężarówki i przez uchylone drzwi ujrzał światła samochodu.

Napiął każdy mięsień ciała.

Czy ktoś go zauważył? A może kamera, co do której nie miał wątpliwości, że jest atrapą, była prawdziwa? A może w budynku ukryto małą kamerę, której nie zauważył?

To już nie miało znaczenia.

Usłyszał, że silnik gaśnie.

Tate bez zastanowienia wyjął wszystko z małej przegródki i wepchnął pendrive'y oraz notes do kieszeni. Usłyszał, że drzwi samochodu trzaskają, potem z zewnątrz doszedł go cichy głos, jakby ktoś rozmawiał przez telefon w pobliżu drzwi.

Cholera.

Nie chciał zostać złapany.

Jeśli policja znajdzie coś podejrzanego, z całą pewnością zacznie przeglądać nagrania z kamer bezpieczeństwa zamontowanych na tym budynku i w okolicy, ale musiał podjąć to ryzyko.

Tak, przekroczył granicę moralną, etyczną i prawną, ale nie zamierzał się wycofywać.

Usłyszał klucz obracający się w zamku, zapewne w drzwiach frontowych.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Cholera!

Szybko zamknął drzwi biura i podszedł do okna, uniósł dolną połówkę, wyjął siatkę przeciw owadom i wyszedł na zewnątrz. Zamknął za sobą okno, opadło z cichym stuknięciem. Zostawił siatkę w zamrzniętych krzakach, by ostrożnie stawiając stopy i zostawiając za sobą ślady, które, miał nadzieję przykryje śnieg, udać się na tyły budynku, skąd wyszedł na biegnącą za nim ulicę. Stamtąd miał już blisko do pozostawionego w okolicy SUV-a. Gdy wsiadł do samochodu, zdjął rękę

kawiczki, uruchomił silnik i wycieraczkami zmiotł śnieg leżący na szybie.

Odjeżdżając, wiedział, że to zapewne kwestia czasu, kiedy policja weźmie go na celownik i domyśli się, że to on włamał się do biura Margrove'a, więc musiał pracować szybko, zrobić zdjęcia kartkom w notesie prawnika i rzucić na dysk informacje z pendrive'ów, a następnie, być może, zwrócić skradzione przedmioty – jeśli tylko mu się to uda.

Zwalniając przed czerwonym światłem, pomyślał o zamkniętych szafkach na dokumenty w biurze Margrove'a i pożałował, że nie miał czasu do nich zajrzeć.

Może innego dnia, zadumał się, a gdy światło się zmieniło, dodał gazu.

Jak na jeden dzień złamał już wystarczająco dużo zasad.

ROZDZIAŁ 15

Na podłodze zawibrował telefon Kary.

Wciąż zbulwersowana spojrzała na ekran. Rozpoznała numer.

– To ciotka Faiza.

– Czego, do cholery, chce?

– Możemy się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób – odparła Kara, patrząc na telefon. – Mogę odebrać...

– Nie, kurwa.

Pochyliła się, żeby podnieść komórkę, ale wtedy jeep wjechał na pobocze. Lód zachrobotał w drzwi kierowcy. Pod kołami zachrzęścił żużel.

Jonas rzucił się do przodu, wsunął ciało pomiędzy przednie fotele, wyciągnął rękę i złapał telefon.

– Hej! – krzyknął, gdy jeep podskoczył w koleinie. – Patrz na drogę! – rozkazał i uderzył się w głowę, wracając na swoje miejsce. – Jezu! Możesz oddzwonić później.

Wjechała z powrotem na środek odśnieżonego pasa.

– I nie używaj zestawu głośnomówiącego. Dobrze?

Ponownie spojrzała na niego w tylnym lusterku. Masował się po głowie.

– Zapomnij o tym, kurwa, i prowadź – rzucił.

– Nie jestem twoim kierowcą! – Wkurzyła się nagle, jej emocje dotarły do punktu krytycznego, miała wrażenie, że zaraz przepalą jej się bezpieczniki. – Masz mi powiedzieć, co planowaliście z Margrove'em, dlaczego ukryłeś się w moim cholernym samochodzie i dlaczego nie odezwałeś się do mnie, odkąd cię wypuścili!

– A więc teraz chcesz wiedzieć, co zamierzałem? Niewiarygodne. – Usiadł wygodniej i pokręcił głową. – Gdzie byłaś, Kara? Gdzie byłaś przez ostatnie dwadzieścia pierdolonych lat?

– Czekaj... słucham? – Dlaczego ta rozmowa potoczyła się w ten sposób?

Za oknem rozciągał się zimowy krajobraz, a Jonas nie mógł się powstrzymać i gadał dalej.

– Mógłbym policzyć wszystkie twoje wizyty w więzieniu na palcach jednej ręki, i to nawet gdybym stracił trzy z nich! – Był wkurzony. Rozgniewany. – Ile razy przyszłaś? Hej? Dwa. Dwadzieścia pieprzonych lat w więzieniu, a ty przychodzisz dwa razy w towarzystwie tej dziwaczki swojej ciotki. I to jakieś milion lat temu.

– Była moją opiekunką.

– Sądziłem, że Margrove.

– To... to się zmieniło. – Pomyślała o samotnych latach z ciotką Faizą i o tym, jak uciekła do domu Margrove'a w Sellwood. I jak Merritt i jego druga żona sprawili, że czuła się bezpieczna. Zadbana.

– O rany. – Zdegustowany Jonas parsknął śmiechem. – Zapomnij o tym! Prowadź!

– Przyjechałam. Do więzienia. Ale nie chciałeś mnie widzieć!

– Raz, nie, nie, dwa razy – stwierdził i zerknął w boczną szybę. – Cholerne dwa razy. Zajebicie! I nigdy potem już się nie pokazałaś – powiedział to szyderczo, a ona poczuła ukłucie winy w sercu.

Nie dawaj sobą manipulować. Nie możesz mu ufać. NIE możesz. Był manipulantem, zanim trafił do więzienia, słyszałaś, że Donner i Marlie tak o nim mówili, więc nie pozwól, żeby cię omamili.

Czy był zabójcą? Zabijającym z zimną krwią? Czy naprawdę podciął gardło Merrittowi tak jak Donnerowi? Zjazd stał się bardziej stromy, wcisnęła hamulec, poczuła, że jeep trochę się ślizga na lodzie, który utworzył się pod śniegiem.

– Jonas, przykro mi, jeśli...

– Przestań, dobrze? Po prostu... przestań. Za późno na przeprosiny i wcale mi na nich nie zależy. Założę się, że to samo usłyszę od mojej cholernej matki. Ona też postawiła na mnie krzyżyk.

– Ja nigdy tego nie zrobiłam.

– Powiedziałem: przestań! Cholera. – Wypuścił powietrze przez nos. – Po prostu prowadź. Zawieź mnie na osiemdziesiątą czwartą. – Patrzył przez boczne okno, wytarł parę i przyglądał się mroźnemu krajobrazowi, jakby próbował się zorientować w terenie.

– Na międzystanową osiemdziesiątkęczwórkę?

– No. Chyba tak powiedziałem? Na zachód od The Dalles jest postój dla ciężarówek. Nazywa się Przystań u Hala. Możesz mnie tam wysadzić.

– Nie dam rady. Przejechaliśmy zjazd.

– Jest jeszcze jeden. Skręć na północ na Krebs's Corners.

– Gdzie?

– Parę kilometrów stąd na zachód. To droga lokalna.

– Przecina ją? – Przestało jej się to podobać.

– Nieco skręca, ale tak.

– Jest odśnieżona?

– Skąd, do diabła, mam wiedzieć?

Zmierzyła go wzrokiem w lusterku.

– Wydaje się, że wiesz cholernie dużo.

– Wciąż za mało. – Wypuścił powietrze z płuc. – Jedź, Kara, masz napęd na cztery koła. To dla ciebie bułka z masłem.

Ani trochę nie była to „bułka z masłem”.

– Wyjaśnijmy coś sobie: chcesz, żebym cię tam zostawiła? Chociaż znajdowałaś się na miejscu morderstwa? – Zastanawiała się nad kolejnymi krokami, była pewna, że to, co robi jej brat, jest nielegalne, a to, co sama robiła, było niemal tak samo złe. – Nie mogę. Mam się spotkać z policją.

– Zaraz po tym, jak wysadzisz mnie w Przystani u Hala.

– I tak się dowiedzą.

– Nie, jeśli ty im nie powiesz – zauważył.

– To nie takie proste.

– A rozmowa z gliniarzami już tak? Zastanów się, Kara. Spójrz na to z mojej perspektywy.

Ona jednak myślała, że najprawdopodobniej ma broń. Czy naprawdę by jej użył? Przeciwno własnej siostrze? Potem przypomniała sobie poszarzałą twarz Merritta oraz makabryczną, czerwoną ranę na jego gardle. Horror tamtej nocy w górach. Ławę przysięgłych uznającą Jonasa McIntyre'a winnym popełnienia kilku morderstw. Przełknęła ślinę, zacisnęła palce na kierownicy, nerwy miała napięte do granic możliwości. Co wiedziała o swoim przyrodnim bracie? Nie umiała sobie nawet wyobrazić, co przeszedł przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Wszyscy policjanci będą chcieli mnie posłać do więzienia tak jak wcześniej. Czy w ogóle rozważali inne scenariusze?

– Myślę...

– Nie – przerwał jej, był tak zły, że niemal tryskał śliną. – Nie rozważali. Jak wiesz, było mnóstwo innych podejrzanych. Marlie zniknęła, co nie? A co z Chadem? „Miłością jej życia”? Chłopak wcale nie wydawał się taki załamany tym, że zniknęła. Jestem przekonany, że na boku miał jakąś inną laskę.

– Inną? – Kara nie wierzyła. – Marlie była taka w nim zakochana.

– Tak, ale dziewczyna, która była jego „przyjaciółką”... Pamiętasz ją? Dała mu alibi. A potem się z nią ożenił.

– Racja.

– Sądziś, że to się stało po tej nocy? Przestań, Kara. Dorośnij, kurwa!

– Ale... ale ona wtedy była tylko dzieckiem.

– Miała czternaście lat.

– Pobrali się wiele lat później – zauważyła, próbując sobie przypomnieć.

– Wow, co za naiwność. – Nie dowierzał własnym uszom. – A co powiesz na to? – nakręcał się, ignorując argumenty Kary. – Może Walter Robinson? Wiesz, że nienawidził ojca za to, że ukradł mu żonę. Tata i Zelda mieli gorący romans za plecami Waltera, a tata zrobił jej dziecko, czyli ciebie. Poza tym Walter był w wojsku, umiałby użyć miecza.

– Ale ty go nie widziałaś?

– Nie na tyle, żeby go zidentyfikować – odparł, posługując się tą samą linią obrony, co w sądzie, gdzie twierdził, że widział intruza jedynie przez chwilę w ciemności, że był zamaskowany, więc mimo starań nie potrafił zidentyfikować napastnika, który jakoś dorwał się do miecza i nie zostawił na nim odcisków palców, zapewne dlatego że przez cały czas miał rękawiczki. – Gliniarze w ogóle nie przyjrżeli się Silasowi Deanowi. Tata go wykiwał, a przynajmniej tamten tak się zarzekał. Pokłócili się. Wcześniej tego dnia widziałem, jak na siebie wrzeszczą.

Kara też. Dean był niski, łysy oprócz wianuszka kruczoczarnych włosów i nosił okulary w grubej rogowej oprawie. Kara widziała ojca, o dobre piętnaście centymetrów wyższego od Deana, który odprowadzał go do drzwi.

– Daj temu spokój, Silas. To już się dokonało.

– I kosztowało nas tysiące. *Mnie* kosztowało tysiące.

– Stara historia.

– Jesteś skurwielem, McIntyre. Wiedziałeś, jak to się skończy, i jeszcze tego pożałujesz. Postaram się o to – rzucił Silas.

– On... on wyszedł – przypomniała Kara. Sąd dowiedział się o groźbach Silasa, ale mężczyzna miał dobre alibi i przysięgł, że pojechał do domu i ochłonał.

– Tak, racja, wiem. – Jonas skrzywił się z niesmakiem. – Ale mógł wrócić! To byłoby mądre zagranie, bo już wcześniej zostawił odciski palców. – Jonas coraz bardziej się irytował, tłumiony przez lata gniew zaczynał znajdować ujście. – A kto powiedział, że to był facet? Może to Marlie?

– Słucham? – Teraz to już chwycił się brzytwy.

– Więc dlaczego, do cholery, uciekła, co? Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałaś?

– Nie, to niemożliwe – stwierdziła Kara, jednym okiem patrząc na drogę, drugim w lusterko, w którym widziała ciemną sylwetkę. – Marlie nigdy by...

– Nie wiesz tego! Była mściwa, Kara, i mnie nie lubiła, poza tym była wściekła na tatę i Zeldę, którzy nie przepadali za Chadem. Tata nawet zapłacił Chadowi, żeby z nią zerwał. Wiedziałas o tym? Założę się, że nie!

– Nie. – Czy to możliwe, czy Jonas wymyślał jakieś niestworzone teorie, gdy siedział za kratkami?

– I nie zapominajmy o Natalie. – Gotował się z wściekłości, z pogrążonego w ciemności tylnego siedzenia wręcz emanowała furia. Za oknem rozciągał się zaśniewany krajobraz, opony szumiały na oblodzonym gruncie.

– Twoja matka – zaczęła Kara, nie wierząc własnym uszom. – Myślisz, że twoja mama...?

– Czemu nie?

– Przede wszystkim, bo miała alibi.

– Ale mogła kogoś wynająć. Pałała nienawiścią do Zeldy, która zakradła się za jej plecami i miała z tatą gorący romans. To było dokładnie to samo, co ojciec zrobił swojej pierwszej żonie. Skoro jednak ojciec ją zdradził, nigdy mu nie wybaczyła, a nawet wdała się w krótki i namiętny romans z Walterem Robinsonem, wiedziałas o tym? Dwoje porzuconych małżonków pocieszało się nawzajem. Boże, co za zjebany dramat.

Wszystko, co mówił, miało ją zaszokować, więc odniosło skutek. Przez lata sama poskładała do kupy większość tej historii dotyczącej tragicznej nocy, czytała książki i artykuły, widziała nakręcony dla telewizji odcinek z cyklu prawdziwych zbrodni. Oczywiście nie znała całej prawdy, nikt jej nie znał, ale mimo to nie kupowała zakręconych, złośliwych teorii Jonasa.

– Ten romans do niczego nie doprowadził. Był to tylko sposób na zemstę na tacie za związanie się z Zeldą – dodał. – Więc umarł szybką śmiercią.

To zabrzmiało fałszywie.

– Ale według ciebie twoja własna matka mogła wynająć morderców i pozwolić, by cała wina spadła na ciebie? Żebyś trafił do więzienia? – Bzdury.

– Wiesz, jaka ona jest. Wszystko kręci się wokół niej. Słońce, księżyc i gwiazdy wirują wokół Natalie. W dupie ma innych. Mnie też. – Brzydko się roześmiał.

– Ale jesteś jej synem.

– Przestała się mną przejmować kilka lat wcześniej. Podczas rozwodu. To dlatego zamieszkałem z ojcem. Nie wydawało ci się dziwne, że nie mieszkam z mamą? – zapytał z takim jadem, że

Kara poczuła gęsią skórkę. – To był jej wybór.

– Broniła cię – zaoponowała Kara, przypominając sobie nagranie przedstawiające zalaną łzami Natalie po aresztowaniu jej syna.

– Wszystko na pokaz.

Przypomniała sobie także, że Walter Robinson udzielał wywiadu dziennikarzom z telewizji i zadenuncjował Jonasa, twierdząc, że zabił jego jedyne dziecko, syna Donnera i przyczynił się do zaginięcia jego córki.

– To diabelskie nasienie – stwierdził Walter, gładko ogolony, wysoki mężczyzna o szerokich barach. Nawet nie mrugnął okiem, stał wyprostowany jak żołnierz i patrzył prosto w obiektyw kamery. – Wie, co tam się stało, ale nie chce powiedzieć. Żeby chronić własną, żalostną, tchórzliwą skórę. – Zmrużył oczy i zwrócił się bezpośrednio do Jonasa, jakby ten mógł go usłyszeć. – Co tam się stało, ty morderco? Co, do licha, stało się z moją córką?

Kara pomyślała o Merritcie leżącym we własnej krwi. W głębi serca nie wierzyła, że Jonas go zabił, ale tak naprawdę nie wiedziała, do czego jest zdolny. Uznała, że nakręcanie go, wydobywanie z niego całej tej nagromadzonej przez dwadzieścia lat złości może być niebezpieczne. Musiała obniżyć napięcie, wobec czego zmieniła temat.

– Co jest na tym parkingu dla ciężarówek?

– Mówiłem ci: prowadź.

– Do...?

– Dokądkolwiek – warknął. – I nie pierdziel znowu, że musisz porozmawiać z psami.

– Znajdą cię. Będą myśleli, że uciekłeś.

– Bo uciekam.

– Ale musisz z nimi porozmawiać – naciskała, patrząc mu w oczy. – Wytłumaczyć im, po co byłeś w domku Margrove'a.

– Na pewno to zrobię – rzucił sarkastycznie, jego zimny i zabójczy uśmiech pojawił się w lusterku. – To ma u mnie najwyższy priorytet.

– Musisz to wyjaśnić.

– Co wyjaśnić? Że miałem się tam z nim spotkać? Byliśmy umówieni. A gdy się zjawiłem, on już nie żył, miał szyję rozchlastaną od ucha do ucha?

– Tak!

– Na pewno mi uwierzą. – Prychnął z niedowierzaniem, a Kara nieco za szybko wjechała w pierwszą część zakrętu. Dała po hamulcach i poczuła, że tyłem jeepa zarzuca, po czym koła się prostują. – Rany, przecież nawet ty mi nie wierzysz.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale jej przerwał, pochylił się do przodu, aż poczuła na włosach jego oddech.

– Nie zabiłem go. Rozumiesz? Nie zabiłem. Nie żył już, gdy tam przyjechałem. Zapukałem. Nie otwierał. Pomyślałem, że się upił albo coś; to u niego normalka. Zobaczyłem, że gra telewizor i że drzwi są otwarte, więc wszedłem do środka. Podobnie jak ty. I znalazłem go na podłodze. Już nie żył.

Zerknęła w lusterko, bo zadzwoniła komórka. Nie jej. Jonasa. Już sprawił sobie telefon? I ktoś do niego dzwonił? Kto? Widziała, jak odbiera, i pomyślała o wiadomości, którą dostała z nieznanego numeru. **Ona żyje.** Czy to Jonas?

– Cześć. Tak... Jadę – starał się mówić ściszym głosem. – Tak, tak, wiem... Słuchaj, to długa historia. Powiem ci, kiedy... – Zerknął w górę i zobaczył, że Kara mu się przygląda, zaczerwienił się ze złości, po czym na jego obliczu pojawił się wyraz przerażenia. – Patrz na cholerną drogę! – wrzasnął. – Ja pierdolę, Kara, patrz na cholerną drogę!

Kątem oka zauważyła jelenia wychodzącego z lasu. Zatrzymał się, trwał nieruchomo przez ułamek sekundy w zaspie śniegu na skraju drogi. Gotowy do skoku.

– Nie, nie...!

Nagły ruch. Skoczył, zobaczyła tylko niewyraźny zarys brązowej sierści, duże oczy, długie nogi i poroże.

– Nie, nie!

Wbiła w podłogę pedał hamulca.

Jeleń wylądował tuż przed nią.

Krzyknęła.

Mocno skręciła kierownicę.

Jeep zaczął się obracać.

Zwierzę przeskoczyło na drugi pas.

– Kurwa! – przeklął Jonas na tylnym siedzeniu. – Kara! Oszalałaś?

Jeep wciąż się okręcał, prawie jak w zwolnionym tempie.

O Boże, Boże, Boże! Kara drżała, dudnił jej puls, palce zaciskały się na kierownicy, próbowała zjechać z przeciwległego pasa, gdzie tuż za niską barierą rozciągała się przepaść, na której dnie był wąwóz z rzeką.

– Odzyskaj kontrolę! – panikował Jonas. – Skręć koła, skręć jebane koła!

Przez przednią szybę ujrzała ciężarówkę z naczepą. Wielkiego potwora jadącego wprost na nich.

– O, nie! – Zwolniła hamulec, w nadziei, że ma dość czasu, żeby zjechać ciężarówce z pasa.

– Cholera, cholera, cholera! – krzyczał Jonas. – Kara! Na bok!

Zbliżały się do nich przednie światła, dwoje dużych, lśniących oczu.

Kierowca zatrąbił.

Długo i głośno.

Dźwięk odbił się echem w lesie.

Jeep nadal się kręcił i nie reagował.

Spanikowana, spróbowała skręcić w prawo, żeby zjechać na swój pas.

– Kara! – Jonas przerzucił przednią część ciała do przodu. Szturchnął ją.

Dłonie ześlizgnęły się jej z kierownicy, gdy mocniej na nią naparł.

– Uważaj! – wrzasnęła.

Złapał kierownicę.

– Nie... zwariowałaś?

– Kurwa. – Pochylił się nad nią i szarpnął kierownicę. Wisiał nad deską rozdzielczą.

– Nie! – krzyczała, widząc jedynie tańczące płatki śniegu i czując zimny strach. To nie tak miało być!

Nadjeżdżający pojazd znowu zatrąbił.

Przerażenie ścisnęło ją za serce.

Za blisko! Ciężarówka była za blisko!

O Boże, tak cholernie blisko.

Jeep obracał się dziko, więc wpatrując się w zasłoneżony ze śniegu, mocno nastąpiła na hamulec, niemal na nim stanęła.

Musieli się zatrzymać, znaleźć jakiś sposób...

Jezu, czy to przedni zderzak ciężarówki tuż przed nimi?

Kierowca siedzący w potężnym pojeździe był biały na twarzy i kręcił kierownicę.

– Z drogi! – krzyczał Jonas, jakby facet mógł go usłyszeć. – Zjeżdżaj z pieprzonej drogi!

Za późno!

Zderzą się!

Kierowca wciąż trąbił i skręcał kierownicę.

– Choooolera! – wrzasnął Jonas.

Kara się przygotowała.

Krzyknęła.

Osiemnastokółowiec wpadł na śnieg, który zebrał się na skraju drogi. Góra naczepy zahaczyła o najniższe gałęzie drzew, lód pękał, konary się łamały, śnieg, igły, odłamki drzew fruwały nad ciężarówką i sypały się na drogę. Tir z piskiem opon sunął jakby w zwolnionym tempie, minęła ich kabina, ale cherokee wciąż był poza ich kontrolą, tylna część ciężarówki zachybotwała się.

– Kurwa! – Jonas jeszcze mocniej szarpnął kierownicę.

Jeep drgnął, zbliżył się do krawędzi drogi i wtedy tylna część naczepy zahaczyła o zderzak SUV-a.

Samochód zaczął się obracać jeszcze szybciej i coraz bardziej przysuwał się do zasp śniegu leżących na skraju jezdnii oraz kanionu tuż za nimi.

– Trzymaj się! – krzyknął Jonas, gdy SUV przeleciał przez zaspę, wzniosła się chmura ze

śniegu i lodu. Koła oderwały się od podłoża, a jeep wpadł w otchłań.

Pękały gałęzie i drapały w metal.

Opony wylądowały na ziemi, pojazdem wstrząsnęło.

Przed nimi wyrosła potężna jodła.

– Kara, uważaj...

Łup!

Jeepem zarzuciło, gdy wjechał w drzewo, metal się wgniół i zajęczał.

Wybuchły poduszki powietrzne.

Szkło obsypało jej włosy.

Poczuła zimno.

Jonas krzyczał z bólu, ale nie mogła się ruszyć, nie mogła myśleć.

Jej oczy się zamknęły, z oddali słyszała trąbienie klaksonu wielkiej ciężarówki. Dźwięk był równy i żałobny, pieśń żałobna na jedną nutę, zagłuszająca jęki jej brata.

– Jonas... – próbowała powiedzieć, ale głos ją zawiódł. Umrze. Tutaj na zaśnieżonym zboczu. Jakby udało jej się znaleźć telefon i zadzwonić... pomyślała, ale sekundę później wszystko pochłonęła ciemność.

ROZDZIAŁ 16

– Uwierzyłbyś? – zapytała Johnson, gdy worek z ciałem Merritta Margrove’a znalazł się w ambulansie. – Komisarz w końcu daje ci sprawę, która dręczyła cię od lat, a głównemu świadkowi, przekłętemu adwokatowi człowieka skazanego za tę zbrodnię, ktoś podrzyna gardło, zanim uda ci się z nim porozmawiać. Co za ironia losu!

– Albo sprzyjająca okoliczność – stwierdził Thomas, przyglądając się domkowi, w którym prawnik stracił życie. Miejsce zapewne jeszcze niedawno wyglądało spokojnie, podstarzała przyczepa stojąca w zaśnieżonym lesie, teraz roilo się tam od policjantów, pojazdów parkujących pomiędzy drzewami, dookoła rozciągnięto żółtą taśmę i zakłócono panującą tu sielankę. W domku doszło do krwawej zbrodni, zespoły techników i lekarzy już zakończyły swoje działania w środku i na zewnątrz. Na razie śnieg nadal padał i przykrywał wszelkie ślady stóp i opon.

I było zimno jak w psiarni.

Mimo długiej kurtki, czapki i rękawiczek czuł ziąb, ostry wiatr smagał go po twarzy.

Johnson jakby tego nie zauważała, przyglądała się okolicy i odprowadziła wzrokiem odjeżdżającą karetkę. Pomiędzy nimi panowało napięcie od spotkania w biurze Gleasona, kiedy odniósł wrażenie, że jego własna partnerka ma przed nim tajemnice. W korytarzu odbyli rozmowę, oznajmił jej, że przekroczyła granicę, że albo tworzą zespół na równych prawach, razem pracują i dzielą się ze sobą informacjami, albo się rozstają.

Johnson nie wyglądała na skruszoną, gdy szli przez zatłoczony korytarz, potrącani przez policjantów zmierzających w przeciwnym kierunku, posłała mu jedynie zdziwione spojrzenie.

– Jesteśmy zespołem – odparła, omijając roślinę doniczkową w recepcji. – Dzielimy się informacjami, ale to nie znaczy, że mamy sobie zaglądać przez ramię. Rozumiem, że powinnam była ci powiedzieć, że poprosiłam o nowe badania DNA. Sądziłam, że mi ufasz.

– Po prostu musimy pracować razem.

– Chciałam pokazać, że działam sprawnie. To chyba dobra cecha, co nie? Żebyśmy nie kręcili się w miejscu.

– Ale nic mi o tym nie wspomniałaś.

– Och, Chryste, Thomas, niczego przed tobą nie ukrywam! Jezu! Po prostu tak wiele się dzieje, zostaliśmy wezwani do szefa, zanim zdążyłam ci powiedzieć. – Westchnęła. – Przestań się dąsać. Rozwiążmy tę cholerną sprawę. Razem, jak partnerzy.

– Niczego bardziej nie pragnę.

– Czyżby? – Zanim zdążył zareagować, sama otworzyła drzwi prowadzące na zewnątrz, wpuszczając do środka zimne powietrze. – A więc otwórzcie głowy. Ty i Gleason. Może się okazać, że Jonas McIntyre nie jest zabójcą.

– Nie było cię wtedy tutaj.

– Istotnie – potwierdziła. – Mam świeżą perspektywę. Pewnie dlatego postanowiono, że zostaniemy partnerami.

– Tylko znowu nie kop pode mną dołków.

– Auć. Dołków? Serio? Czyżby przemawiała zraniona męska duma? – Dotarła do jego SUV-a. – Wow.

I wtedy, zanim dojechali do domu Kary McIntyre, żeby ją przesłuchać, Thomas otrzymał wezwanie od dyspozytora z informacją, że Kara zadzwoniła na numer alarmowy. Ostatecznie znaleźli się w sekretnym domku górskim Margrove’a. Zajęło im to więcej czasu, niż sądzili, bo na głównej drodze doszło do wypadku i zrobił się korek, więc skierowano ich na boczną drogę, która dawno już nie była odśnieżana.

Zgodnie z tym, co zgłosiła Kara McIntyre, prawnik został zamordowany, poderżnięto mu gardło i wykrwawił się pomiędzy ławą a kanapą. Na futonie tlił się papieros, na szczęście nie doszło do pożaru, telewizor wciąż cicho grał, na stole stała prawie pusta butelka szkockiej oraz popielniczka wypełniona petami, papierowy talerz z niedojedzonym, niemal spalonym brzegiem pizzy.

Ale brakowało kilku rzeczy.

Ważnych rzeczy.

Krew ochlapała ławę, na okularach, tacy, szklance i butelce, zatłuszczonym papierowym talerzu i nawet na długopisie były rozbryzgi krwi. Ale na blacie były miejsca niepobrudzone krwią, prostokątna plama wielkości laptopa, mniejsza, gdzie wcześniej zapewne leżał telefon Margrove'a, i większa, co do której nie mieli pewności. Po notesie? Jakimś notatniku, z którego wcześniej wyrwano kilka kartek? Może.

Nie został obrabowany.

Na palcu miał obrączkę oraz jeszcze jakiś sygnet, prawdopodobnie z brylantami, w kieszeni parki wiszącej na wieszaku przy drzwiach wciąż tkwił jego portfel. W sypialni stał mały sejf, który nie został naruszony. Był zamknięty, ale nie na klucz, w środku znajdował się naładowany pistolet i torebka z marihuaną, ale nie było żadnych osobistych dokumentów.

– Sądziś, że to robota Jonasa McIntyre'a?

Zawahał się. Dłonią pomasaował kark.

– Nie jestem pewien. Ale wydaje się to nieco zbyt proste. Tak, zabito kogoś będącego blisko McIntyre'a, narzędziem zbrodni był jakiś nóż tak jak wcześniej, ale mam wrażenie, że to zostało wyreżyserowane. Przede wszystkim, po co Jonas McIntyre miałby zabijać swojego prawnika? W końcu facet jako jedyny go nie opuścił, pracował przez dziesięciolecia, żeby go wyciągnąć, więc jaki był sens go zabijać?

– Żeby wyładować swój gniew?

– Nie wiem. – Thomas tego nie kupował. – Mówi się, że Jonas McIntyre jest teraz nowym człowiekiem, odnalazł Boga i takie tam.

– Może udawał.

– Może. – Ale to się nie kleiło Thomasowi i najprawdopodobniej także Johnson. Po prostu odgrywała rolę adwokata diabła.

– A jak McIntyre się tu znalazł? Miał współnika? Kierowcę?

– Gdzie jest teraz?

– Dobrze pytanie.

– Nie ma śladu włamania – przypomniała mu. – Albo znał napastnika, albo ten go zaskoczył.

– Jeśli go znał, nie zaproponował mu drinka. Mamy jedną szklankę. I został zaatakowany od tyłu.

Drzwi wejściowe, które otwierały się bezpośrednio na część mieszkalną, i tylne drzwi znajdujące się w kuchni nie były zamknięte na klucz. Okna były pozamykane, ale to w łazience nie zostało zamknięte na zatrask i wydawało się zepsute. Tylko w dwóch oknach były ekrany z siatką, ale oba wystrzępione. Kiepskie zabezpieczenia. Dominowała teoria, że zabójca wszedł przez kuchenne drzwi, kiedy Margrove drzemał lub był w łazience albo jego uwagę pochłaniało co innego, potem poczekał na okazję, żeby podejść do niego od tyłu i szybko go zabić, jako że nie znaleziono żadnych dowodów na to, że doszło do walki. Margrove nie miał czasu, żeby się bronić. Jego broń leżała w sejfie, a w pokoju miał kij bejsbolowy dosłownie w zasięgu ręki. Wobec czego zabójca działał szybko. Czas śmierci według lekarza przypadał na wczesne godziny poranne.

Przygryzł dolną wargę, zmrużywszy oczy, patrzył na mobilny domek z rozklekotanym ganikiem i próchniejącą barierką. Co Margrove tu robił? Czy znał swojego zabójcę? Myśli Thomasa cały czas wracały do Jonasa McIntyre'a, ale dlaczego miałby zabijać prawnika, który ciężko pracował, żeby go wyciągnąć z więzienia? Wiedziałyby, że zostanie podejrzanym numer jeden.

To byłoby głupie posunięcie.

Jedna cecha, której nie można przypisać Jonasowi McIntyre'owi?

Głupota.

Zanim zamordował swoją rodzinę, ubiegał się o przyjęcie na Stanford, alma mater swojego ojca. Jego wyniki matury, wstępny esej i średnia ze szkoły średniej nie pozostawiały wątpliwości, że jest inteligentnym nastolatkiem, ale to było, zanim zaczęły się jego problemy z prawem, zanim okazało się, że jest okrutnym zabójcą.

Thomas wierzył, że w tamte święta osiemnastoletniego Jonasa McIntyre'a napędzały nastoletnia adrenalina i zazdrość. To, co zaczęło się od kłótni, zmieniło się w krwawą masakrę, bo nikt nie był w stanie go powstrzymać. Żądza krwi. Testosteron i adrenalina podsycaly jego furię. Ale

pozostawało kilka pytań.

Po co miałyby zabijać rodziców?

Ponieważ ukarali go za wcześniejszą bójkę? Dali mu szlaban?

Bo byli świadkami przestępstwa?

Nigdy nie potrafił znaleźć przekonującej odpowiedzi.

I co stało się z Marlie? Dlaczego nigdy na nią nie natrafiono? Dlaczego jej ubrania leżały poskładane, a łóżko nie zostało pościelone do spania?

No i Kara. Uratowana przez swoją zaginioną starszą siostrę. Dziewczynka, której zeznania przekręcano, jak chciano, żeby posłać jej brata do więzienia.

Cała sprawa została zmanipulowana. Nie żeby Thomas nie wierzył, że Jonas McIntyre był winny jak diabli. Dzieciak był porywczy, narwany i brutalny. Zabił swoich braci. Byli skłóceni i sprawy tak eskalowały, że wymknęły się spod kontroli.

Ale co z rodzicami?

Wyglądało na to, że zostali zabici jako pierwsi, ponieważ Jonas został znaleziony ranny w salonie ze swoim bratem i bratem przyszywanym.

– Hej! – Johnson przerwała tok jego myśli. Szła w jego stronę, wkładając telefon do tylnej kieszeni spodni. – Właśnie dzwonili z centrali. Wiesz, dlaczego zamknęli autostradę i skierowali nas na objazd? Okazuje się, że doszło do poważnego wypadku.

– Tak? – Tyle to sami wiedzieli.

– Nie znam szczegółów, ale jakaś ciężarówka wpadła w poślizg i potrafiła inny pojazd. Kilka godzin temu. Jeepa zarejestrowanego na nazwisko Kary McIntyre.

– Jacyś poszkodowani?

– Kierowca ciężarówki – powiedziała, unosząc palec w rękawiczkę. – Następnie kierująca jeepem, zidentyfikowana jako Kara McIntyre. – Kolejny palec wystrzelił w górę, a Thomasa ścisnęło w żołądku. – Wiozła pasażera. Mężczyznę, wypadł z pojazdu.

– Słucham?

Trzeci palec dołączył do dwóch pozostałych.

– Ofiary śmiertelne? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

– Jeszcze nie, ale może się to zmienić. Nie są w najlepszym stanie, choć w sumie mieli szczęście. Kim jest facet jadący z Karą? – zapytała. – Nie ma dokumentów. Jest posiniaczony i pobijany, ale jakimś cudem jego stan nie jest krytyczny, przynajmniej na tę chwilę.

Thomas poczuł, że zna odpowiedź na to pytanie, i aż go zmroziło.

– Kim jest?

– Nie mają pewności. Wciąż jest nieprzytomny.

Wyczytał odpowiedź w jej oczach.

– Sadzą, że to może być Jonas McIntyre?

– Tak obstawiają. Pasuje wzrost i budowa ciała. Jego twarz można było sobie obejrzeć wszędzie w mediach społecznościowych i telewizji. Ale facet, który wypadł z jeepa głową do przodu, nie prezentuje się najlepiej, twarz ma posiniaczoną i podrapaną, poturbowany tak, że stracił przytomność. Jak mówiłam, cud, że przeżył i nie musi leżeć na intensywnej terapii.

– Słyszałem, że odnalazł religię. Wygląda na to, że Bóg nad nim czuwał.

– Albo miał szczęście. Jakkolwiek jest, dopóki nie pobiorą mu odcisków albo nie odzyska przytomności i powie, kim jest, lub zrobi to Kara, nie chcę o niczym przesądzać.

– To Jonas. – Thomas miał pewność. – Cholera jasna. – Spojrzał na domek, przy którym wciąż uwijali się technicy. – Musi być w to zamieszany.

– Na to wygląda – przyznała.

Ruszył do swojego SUV-a, ale wtedy znowu rozdzwonił się jej telefon.

– Czekaj – poprosiła i odebrała, nagle przybrała poważną minę. – Cholera. – Powoli wypuściła powietrze i pokręciła głową. – Wiedziałam. Po prostu wiedziałam!!

Thomas przystanął, w kanonie dał wiatr, strząsał śnieg i lód z gałęzi otaczających ich drzew, zimno przenikało aż do kości.

– Tak, tak, dobrze. Wiem... do zobaczenia w szpitalu, będziemy najszybciej jak się da – obiecała Johnson i się rozłączyła.

– Co tam? – zapytał, bojąc się odpowiedzi.

– Kłamałam – wyznała ze smutkiem, wkładając komórkę do kieszeni. – Powiedziałam ci, że nie było poważnie rannych w wypadku. Cóż, to się właśnie zmieniło. U jednej z ofiar doszło do zatrzymania pracy serca w drodze do szpitala, ale udało im się go ustabilizować. Jak na razie. Ale nie wygląda to dobrze.

Kara podniosła ciężkie powieki.

Przygaszone światła.

Ściszone głosy.

Próbowała się skupić, ale na próżno.

Jedyne, co wiedziała, to to, że leży w łóżku. Wąskim.

– ...kiedy się obudzi, zostanie wypisana – mówił jakiś przyjemny żeński głos. – Wszystkie parametry ma w normie.

– Mimo rany na głowie i wstrząśnienia mózgu.

Wstrząśnienia?

– Oprócz tego doznała kilku innych obrażeń i ma siniaka w miejscu, gdzie był pas bezpieczeństwa. – Jakiś bardziej szorstki głos. – To będzie bolało.

Rozmawiały o niej. Ponownie próbowała się obudzić.

– Budzi się – wyszeptał jeden z głosów, należący do starszej kobiety. Jakaś niewyraźna postać zbliżyła się do łóżka. – Kara? – powiedziała trochę głośniejsz. – Pani McIntyre?

Kara nie mogła odpowiedzieć.

Próbowała. Poruszyła ustami, ale jej język nie chciał współpracować i nie umiała uformować oddechu, by powstały słowa.

– Jest pani w szpitalu. W Whimstick General. – Ten sam starszy głos. – Pani McIntyre?

Ale Kara odpłynęła.

Nie dbała o to, gdzie jest ani kim jest natrętna kobieta dotykająca jej ramienia.

Szpital?

Czy jest ranna?

Poczuła ciepło otaczającej ją ciemności i chociaż nie wiedziała dlaczego, czuła wdzięczność za zasłonę niewiedzy i zapomnienia. Sen, wcześniej tak ulotny, teraz wziął ją w posiadanie i otulił pustą, pozbawioną marzeń sennych mgłą.

A potem znowu.

Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, ile czasu minęło, odkąd odpłynęła.

Jednak fragmenty wspomnień z wypadku wróciły do niej nieproszone, przebiły się przez otaczającą ją mgłę, niczym odłamki szkła, wbiły się w jej mózg, najpierw w jednym miejscu, potem w innych. Bolesne obrazy, które sprawiły, że się skrzywiła.

Prowadziła samochód.

O Boże, czy wcześniej piła coś?

Duża ciężarówka, ryczący potwór z włączonymi światłami jechała prosto na nią. Na nich.

Cholera! Ktoś z nią był.

Jonas! Tak, tak, schował się na tylnym siedzeniu! Wyskoczył nagle jak jakiś pajac z pudełka.

A potem wirowali, szaleńczo kręcili się na drodze, zbliżając się do krawędzi urwiska.

Krzyczeli!

Pisk rozrywanego metalu!

Pękające szkło. Spadające na nią.

Grube gałęzie przebijające się przez przednią szybę!

Na samo wspomnienie przyspieszyło jej serce.

A może to wszystko było snem? O Boże, miała nadzieję, że to tylko sen, że to – szpital – było tylko złym koszmarem.

Zamrugła. Rozejrzała się wokół. Próbowała oczyścić umysł, myśleć racjonalnie, zorientować się, gdzie jest.

Pomieszczenie było niewielkie, słabo oświetlone, ale czyste, nad łóżkiem pochylały się dwie kobiety, słychać było ciche, rytmiczne dźwięki jakiegoś czujnika.

Straciła nadzieję. To działa się naprawdę.

– Znowu się budzi – powiedziała kobieta, zapewne pielęgniarka. – Pani McIntyre? Kara, jak

się pani czuje?

– Moja głowa – wyszeptała.

– Miała pani wypadek – wyjaśniła młodsza pielęgniarka. Kara zamrugała, DANI RUTGERS zobaczyła na plakietce przypiętej do fartucha kobiety. Z całą pewnością znajdowała się w sali szpitalnej, były z nią dwie pielęgniarki. Starsza, z siwiejącymi brązowymi włosami, obserwowała monitory, podczas gdy z nią rozmawiała drobna dwudziestokilkulatka z krótkimi, ciemnymi włosami i zbyt dużymi czerwonymi okularami – Dani Rutgers. – Ma pani kilka ran i zadrapań, dużego siniaka od pasa bezpieczeństwa i uraz głowy.

– Głowy...? – Potem przypomniała sobie, że uderzyła w gałąź, która przebiła szybę.

– Wstrząs mózgu – dodała starsza pielęgniarka. Kara podniosła rękę, lekko się skrzywiła, bo zabolęło ją ramię, po czym delikatnie dotknęła zabandażowanego czoła. – Sześć szwów. – Starsza była lakoniczna.

Siostra Rutgers dodała:

– Ale badanie tomografem nie wykazało żadnych pęknięć czaszki.

– Jak dobrze pójdzie, nie będzie pani potrzebowała nawet operacji plastycznej – zauważyła starsza z uśmiechem, który nie obejmował jej oczu.

W tej chwili operacja plastyczna była ostatnią rzeczą, jaką Kara się przejmowała. Dochodziła do siebie, stawała się coraz czujniejsza.

– Zajrzę do doktor Ortegi i powiem, że się obudziła – oznajmiła starsza i ruszyła do wyjścia. – Będzie można wezwać policję.

Policję?

Młodsza pielęgniarka również odwróciła się od łóżka, ale Kara złapała ją za rękę. Trzymała mocno mimo kroplówki wpiętej w nadgarstek.

– Dlaczego policja chce ze mną rozmawiać?

– Nie wiem – odparła Rutgers, a starsza z kobiet prychnęła. Wychodząc, wymamrotała pod nosem: – Może chcą wiedzieć, kto zamordował tego prawnika, co tam robiłaś i dlaczego wiozłaś byłego więźnia. – Zerknęła przez ramię i spojrzała przez szparę między drzwiami a futryną, jakby chciała sprawdzić, czy wiadomość dotarła do Kary.

Dotarła.

Drzwi jednak się zamknęły, nim Kara zdołała odpowiedzieć; zirytowała się, miała milion pytań.

– Mój brat – powiedziała naraz, zanim młodsza pielęgniarka również opuściła salę. – Jechał ze mną. Jonas McIntyre. Co z nim? – O Boże, a jeśli Jonas zginął w wypadku?

– Naprawdę nie mogę omawiać stanu innego pacjenta.

– A więc jest tutaj. – I najwyraźniej żyje. Kara poczuła ulgę. – Chcę się z nim zobaczyć.

– To... to niemożliwe – rzuciła pielęgniarka, patrząc przyjaźnie.

– Dlaczego nie?

– Cóż, po pierwsze musi pani zostać w łóżku, dopóki nie dostanie pani wypisu.

– A kiedy to będzie?

– Nie wiem dokładnie. Ze względu na uraz głowy doktor Ortega chce panią zostawić na noc.

– Nie mogę zostać. Mam psa.

– Może pani do kogoś zadzwonić. Jest tu telefon. – Wskazała na tacę leżącą koło łóżka Kary.

– Nie mam nikogo.

Pomiędzy oczami pielęgniarki pojawiły się małe zmarszczki, częściowo zakryte przez oprawki okularów.

– A może pani ciotka? Dzwoniła i pytała, czy może panią odwiedzić.

Faiza. O Boże. Nie. Ogarnęło ją zniechęcenie. Nie da rady. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie pytań, a raczej oskarżeń ze strony ciotki, która rościła sobie prawo do miana jej opiekunki, ale w zasadzie zrzekła się wszelkich praw na rzecz Merritta Margrove'a.

– Gdzie mój telefon? – zapytała.

– Nie przywieźli pani z telefonem.

Oczywiście, że nie. Został w jeepie.

– A torebka? – zapytała, domyślając się odpowiedzi.

– Też nie.

Nie musiała pytać, co się z nią stało. Wezwano policję, więc bez wątpienia skonfiskowali samochód i odprowadzili go na jakiś swój parking. Jej rzeczy osobiste znajdowały się w posiadaniu policjantów lub na parkingu.

– Chcę stąd wyjść.

– Nie może pani.

Chciała się odgryźć i powiedzieć „aha, tylko patrz”, ale ugryzła się w język. Tę pielęgniarkę wciąż miała po swojej stronie, a przynajmniej tak jej się wydawało, więc nie powinna ryzykować, że wezwie kogoś innego. Wiedziała, że będzie musiała porozmawiać z policją – Boże drogi, czyż nie rozmawiała z nimi przez całe życie? – ale teraz chciała tylko sprawdzić, jak czuje się Jonas. Pomyślała o Merrittcie Margrovie, który leżał w kałuży własnej krwi wsiąkającej w stary dywan w przyczepie. Jonas też tam był i jeszcze jakaś dziewczyna... Boże, jak miała na imię? Bolała ją głowa, gdy próbowała sobie przypomnieć. Jakaś Mia lub... czy Jonas w ogóle wymówił jej...

Kara gwałtownie usiadła, poczuła ukłucie bólu w szyi, ale postanowiła je zignorować.

– Gdzie jest moje ubranie?

– W szafce, ale już mówiłam, że nie może pani wyjść. Nie bez zgody lekarza.

– Sądzę, że mogę. Podpiszę wypis na własne życzenie. Czy jak to się nazywa. – Przesunęła się na skraj łóżka, poczuła, że napina się wężyk kroplówki. Krzywiąc się, oderwała plaster, który zabezpieczał wkłucie.

– Co pani robi!

– Powiedziałam, że wychodzę, więc to... – Uniosła rękę. – Musi zostać usunięte i... – Podniosła wzrok i wskazała palcem monitor wyświetlający jakieś dane nad jej łóżkiem. – Także to, jeśli jestem do tego podpisana. Proszę to ode mnie odczepić!

– Nie może pani tak...

Kara wyjęła igłę wystającą z jej ręki.

– Nie! Proszę przestać! Dobrze już, dobrze! Niech pani nie szarpie. Może pani zrobić sobie krzywdę. Boże drogi, oszalała pani?

– To pani słowa.

Kręcąc głową i zaciskając usta, Rutgers szybko usunęła wenflon, po czym odczepiła elektrody monitorujące akcję serca.

– To dobrze, że doktor Ortega kazała panią odłączyć – stwierdziła lodowatym tonem, zniknęło jej pozytywne nastawienie. – Mimo to chce jeszcze panią zobaczyć.

– Po co?

– Takie są przepisy.

Kara nie miała czasu na biurokrację. Pomyślała o Jonasie, który być może właśnie umierał w pokoju obok. Ponownie przypomniała sobie Merritta Margrove'a, leżącego na zielonym dywanie mokrym od jego krwi. W głębi serca poczuła, że został zabity w związku z uwolnieniem Jonasa. W przeciwnym razie byłby to zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

Czy zabójca wiedział, że Jonas się tam wybiera?

Czy Jonas był również celem dla mordercy, czy za bardzo naciągała fakty? Dlaczego w ogóle wierzyła bratu? Najbardziej prawdopodobny scenariusz był taki, że Jonas poderznął Marrittowi gardło. Ale dlaczego? I dlaczego zakradł się potem do jej auta? To nie miało sensu. A ona nie czuła się bezpieczna. W sumie nigdy się nie czuła, ale teraz niebezpieczeństwo, które czaiło się gdzieś na obrzeżach jej życia, zaczęło się zbliżać. Miała wrażenie, że w szpitalu jest szczególnie łatwym celem. Jeśli w wiadomościach jeszcze nie podano, że znalazła się w szpitalu, bo kierowała samochodem, który uległ wypadkowi, to niedługo ten news pójdzie w świat. To tylko kwestia czasu. W gardle zaschło jej jeszcze bardziej, poczuła, że zbliża się atak klaustrofobii.

A pielęgniarka jedynie powtarzała, że musi tu zostać, i nie chciała zdradzić, co dzieje się z Jonaszem.

– Gdzie mój brat? – zapytała. – W której jest sali?

– Nie mogę powiedzieć – odparła pielęgniarka.

– Ale przeżył? Wyjdzie z tego?

– Naprawdę nie mogę opowiadać o stanie innych pacjentów. – Zabandażowała miejsce na

nadgarstku Kary, gdzie wcześniej tkwił wenflon.

– A ten drugi kierowca? – dopytywała Kara, przypominając sobie przebieg wypadku, pędzącą na nich potężną ciężarówkę i coraz większy chromowany zderzak. – Z ciężarówki?

Pielęgniarka zacisnęła zęby i wyrzuciła do kosza opakowanie po bandażu.

– On też tu jest? – Karę ze strachu aż ścisnęło w żołądku. – W szpitalu?

Rutgers pokręciła głową.

– Nie ma go tutaj – wyszeptała.

– Ale gdzieś jest. W innym szpitalu?

Oczy Rutgers ukryte za okularami w czerwonych oprawkach pociemniały.

– W Portland.

– Czy... czy wyjdzie z tego?

– Czy wyjdzie? – powtórzyła. – Za wcześnie, żeby wyrokować.

– To znaczy?

– To, co znaczy. Co do reszty, obowiązuje mnie tajemnica.

– O Boże. – Kara wypuściła powietrze, przez chwilę poczuła bezsilność. Najwyraźniej kierowca ciężarówki był poważnie ranny i chociaż pielęgniarka niewiele wyjawiała, rokowania były kiepskie.

Zakłuło ją w sercu.

Nie miała na to słów.

Nic nie mogła powiedzieć.

Nie знаła kierowcy, połączył ich los, który sprawił, że mężczyzna siedział za kierownicą osiemnastokółowca w tamtych krytycznych sekundach. W jednej chwili pojawiło się wiele pytań, najnowsze dotyczyły mężczyzny, którego życie wisiało na włosku. Czy jest żonaty? Czy ma dzieci? Boże, jak się nazywa? Bolało ją serce, poczucie winy załęgło się w umyśle.

Przepływały przez nią gwałtowne uczucia, poczucie winy, złość, smutek, ale wysiłkiem woli udało jej się je od siebie odepchnąć. Musiała myśleć składowo. Musiała działać. Będzie jeszcze czas na odpowiedzi, żalobę i samooskarżanie się. Teraz musiała zignorować to, co podpowiadało jej sumienie, i postarać się skupić. Na Jonasie.

– Naprawdę muszę zobaczyć brata – powtórzyła. Musiała się przekonać, jak się czuje, i zadać mu milion pytań. Co robił w górskim domku Margrove'a? Jakie miał plany? Kim jest ta Mia? Jak ma zamiar odebrać dom ciotce Faizie? Czy wie coś na temat telefonu i wiadomości, którą otrzymała? Czy chodziło w nich o Marlie? Ale przede wszystkim musiała dowiedzieć się, co wiedział o tej nocy, kiedy zabito ich rodzinę. Wyszedł z więzienia, nie może zostać ponownie skazany za to samo, więc może w końcu powie prawdę.

Gdyby tylko mogła z nim porozmawiać.

– O ile wiem, jestem najbliższą krewną Jonasa McIntyre'a, więc z pewnością ktoś może udzielić mi informacji o jego stanie.

– Będzie pani musiała porozmawiać z jego lekarzem.

– Ale... nie leży na intensywnej terapii? Przeżyje? – zapytała.

Pielęgniarka rozważała swoje opcje.

– Słyszałam, że jego obrażenia nie zagrażają życiu.

– Dobrze. – Kara poczuła ulgę. – A więc mogę się z nim zobaczyć – stwierdziła, zaczęła ją boleć głowa.

– Decyzja należy do lekarza. – Rutgers zerknęła na swój telefon. – Chyba ma pani szczęście. Doktor Ortega zaraz tu przyjdzie i omówi możliwość pani wypisu.

– Wreszcie. – Kara opadła na poduszki. – Może do niej dotrze, że nie żartuję. Muszę stąd wyjść.

– Dam jej znać. – Dzięki Bogu, pielęgniarka zaczęła rozumieć, że mówiła poważnie. Nie rozumiała jednak, że Kara wykorzysta każdą możliwość, żeby się stąd wydostać.

Jedyne, czego potrzebowała, to żeby ktoś ją podwiózł.

ROZDZIAŁ 17

W salonie Allure aż buzowało od rozmów, gdy Johnson i Thomas weszli do środka. Na trzech z czterech foteli przy ścianie siedziały klientki, w powietrzu unosił się szczypiący zapach farby do włosów. Krzesło manikiurzystki przy małym stoliku stało puste, w lampach lśniły kolorowe buteleczki z lakierami.

Pierwsza fryzjerka podcinała siwe włosy starszej kobiecie, druga nakładała jakąś papkę na włosy, które potem zawijała w kawałki folii aluminiowej. Rewir Celeste Margrove znajdował się w tyle salonu. Przyjmowała zapłatę od klientki, która opowiadała o swoich planach na święta i obgadywała „koszmarną” rodzinę swojej szwagierki.

– Mówię ci, nie wiem, jak to przeżyję. – Trzydziestokilkulatka z pasemkami w jasnych włosach i w okularach z barwionymi szklami potakiwała ruchem głowy, ale zerknęła nerwowo na policjantów, gdy podawała Celeste swoją kartę kredytową. – Proszę, dolicz sobie napiwek taki jak zawsze. – Machnęła ręką. – Piętnaście procent.

– Zrobione – powiedziała Celeste, ale musiała jeszcze kilka razy przejechać kartą po terminalu, nim zakończyła transakcję. – Zadzwoń, gdy będziesz chciała się umówić na kolejną wizytę.

– Po Nowym Roku – odparła klientka z blond pasemkami i w kolorowych okularach, po czym zdjęła z wieszaka gruby płaszcz, włożyła rękawiczki wyjęte z kieszeni i wyszła z salonu.

Dwie pozostałe klientki i ich stylistki patrzyły na detektywów odbijających się w lustrach ponad umywalkami. Rozmowy ucichły, w końcu dało się usłyszeć smooth jazz płynący z głośników zamontowanych wysoko na ścianie. Fryzjerki przerwały pracę.

Takie wrażenie na ludziach wywiera pojawienie się policji – nieważne, czy winnych czy niewinnych. Wszyscy zamierają. Przystają nakładać farbę. Urywają się rozmowy.

Thomas i Johnson podeszli do ostatniego stanowiska, gdzie Celeste również zamilkła i zaczęła się w nich wpatrywać.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytała.

– Pani Celeste Margrove? – zapytał Thomas cicho. – Detektyw Thomas, a to moja partnerka, detektyw Johnson. – Pokazali odznaki.

– Czy coś się stało? – Zmienił się jej wyraz twarzy, była zaniepokojona.

– Chodzi o pani męża – wyjaśniła Johnson. – Merritta.

– Boże. – Celeste natychmiast zbladła, w jej oczach pojawiły się łzy. – Nie... o, nie, nie, nie – wyszeptała, kręcąc głową.

– Czy możemy gdzieś porozmawiać na osobności? – zapytał Thomas.

– O Boże. Jezu, nie – szeptała dalej, łzy popłynęły po jej policzkach, tusz rozmazał się pod oczami. – Wiedziałam, po prostu wiedziałam. Coś mu się stało. Coś okropnego. Wyjdzie z tego? Jest w szpitalu? Tak? – Drżała jej broda, najbliżej stojąca stylistka odłożyła nożyczki na blat i podeszła, żeby objąć koleżankę.

– Może powinniście wejść na zaplecze – zaproponowała druga. Była ładną kobietą, miała pasemka we włosach, zatroskane niebieskie oczy i miły uśmiech. – Roxanne i ja zajmiemy się wszystkim.

– Ale... ale ja mam jeszcze klientów. Belwę... yy, panią Hightower, a potem... Boże, chyba Heidi Willis lub...

– Damy radę – uspokoiła ją Roxanne, kobieta, która nakładała folię aluminiową. Była po pięćdziesiątce, miała białe włosy i emanowała wdziękiem. Popatrzyła na Celeste. – Mówię serio, Celeste. Ogarniemy wszystko z Donną. – Wykrzesła empatyczny uśmiech i spojrzała na drugą stylistkę. – Ja przełożę ją na inny termin. Jakoś... na przyszły tydzień. Inne też. Zapisywały się przez stronę.

Celeste ciężko opadła plecami na oparcie krzesła.

– Możecie porozmawiać tam. – Donna gestem zaprosiła policjantów, otwierając drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU. Celeste nie protestowała, więc Donna wprowadziła ich do małego pomieszczenia wypełnionego pralkami, suszarkami, koszami z poskładanymi ręcznikami, pudełkami z produktami do włosów. Przy tylnych drzwiach stał dzbanek z kawą i dwa składane krzesła, były tam też jeszcze jedne drzwi ze znacznikiem wskazującym na damsko-męską toaletę. – Jesteśmy w pobliżu, gdybyś nas potrzebowała. – Spojrzała na Celeste. – Dobrze?

– Tak. Nic... nic mi nie będzie. – Ale Celeste i tak oparła się o suszarkę. – Co się stało? Gdzie jest Merritt? – zapytała, gdy Donna wróciła do salonu i dyskretnie zamknęła za sobą drzwi.

– Przykro nam z powodu pani straty – powiedziała Johnson.

– Przykro... Z powodu... – Celeste była zdezorientowana.

– Odszedł – wtrącił łagodnie Thomas.

– Odszedł? – powtórzyła, ale już rozumiała. Widać było po jej twarzy. – To znaczy, że zniknął czy... że nie żyje? Twierdźcie, że nie został ranny, że nie miał zawału i nie leży w szpitalu i...

– Znalezione go dzisiaj w domku w górach – wyjaśniła Johnson. – Został zamordowany.

– Och. – Gwałtownie wciągnęła powietrze, z jej twarzy zniknęły resztki koloru. – Zamordowany?

Wtedy do niej dotarło. Zdawało się, że cała zapada się w sobie, kiedy padła na krzesło i krzyknęła jak ranne zwierzę.

– Oooooooooo... Nie, nie, nie! – Łzy zalały jej oczy, otarła je wierzchem dłoni. – Cholera. – Pociągała nosem. – Wiedziałam, że stanie się coś takiego – zawyła. Koło dzbanka znalazła pudełko chusteczek. Wyjęła jedną i wydmuchała nos. – Ile razy powtarzałam Merrittowi, żeby dał sobie spokój, że sprawa Jonasa McIntyre'a go zabije? He? Ile razy? – Zawzięcie ocierała oczy chusteczką.

– Sądzi pani, że zabił go ktoś związany z tą sprawą?

– A kto inny? Żył i oddychał tą sprawą przez dwadzieścia pieprzonych lat.

– Miał innych klientów – zauważył Thomas, ale ona machnęła ręką, jakby opędzała się od natrętnej muchy. – Stara historia. Muszę go zobaczyć. Gdzie jest? O Boże drogi.

Thomasowi przypomniało się, w jakim stanie jest ciało, poszarpany czerwony uśmiech na jego szyi.

– Został zabrany do kostnicy.

– Więc pojedźmy tam. – Dostrzegła wahanie w oczach Thomasa. – Co mu się stało? Został... Jak został zabity?

– Poderżnięto mu gardło.

Znowu głośno wciągnęła powietrze, uniosła dłoń do ust.

– Kto robi coś takiego? – Ponownie jej twarz skurczyła się w odruchu obrzydzenia przemieszanym ze smutkiem i strachem.

– Właśnie tego chcemy się dowiedzieć – odezwała się Johnson. – Czy pani mąż miał jakichś wrogów?

– Jedyne związanych z tą sprawą.

– Będziemy potrzebować listy nazwisk.

– Dobrze. Możecie zacząć od Natalie McIntyre – powiedziała. – A nie, czekajcie, zmieniła nazwisko. Natalie, och, jak jej tam. – Wciągnęła powietrze i strzeliła palcami. – Natalie Brizard. Właśnie. Takie wyszukane francuskie nazwisko. Jej panięskie. Nieważne. Jeśli chodzi o Natalię, to zadzierała Merritta telefonami i wskazówkami. To było dziwne, co nie? – Celeste spojrzała na nich, najwyraźniej coraz bardziej przekonywała się do swojego pomysłu. – Wcale nie chodziło jej o syna, jeśli wiecie, co mam na myśli. Nigdy go nie odwiedziła. Zaraz po procesie z kimś się związała. Według mnie wydzwaniała do Merritta, bo chodziło jej o pieniądze. Kiedy Sam umarł, zostawił mnóstwo kapitału. Akcje, obligacje, nieruchomości, udziały w szybach naftowych czy platformach wiertniczych, a kiedy rozwiodła się z Samem, uważała, że została źle potraktowana. „Jałmużna”. Tak powiedziała Merrittowi.

– Sądzi pani, że mogła zabić pani męża? – zapytał Thomas, mając w pamięci brutalność tej zbrodni.

– Och. Nie. – W końcu się pozbierała. Potarła oczy. – Pytaliście o wrogów, pomiędzy Natalie i Merritem nie było miłości. Był prawnikiem Samuela podczas rozwodu, ale nie, nie sądzę, że mogłaby... Że jest zdolna... – Celeste nie była w stanie skończyć zdania. – Mówiliście, że Merritta przewieziono do kostnicy. Muszę go zobaczyć.

– Najpierw pojedźmy do waszego mieszkania – zaproponował Thomas. – Musimy przesukać rzeczy Merritta, rozejrzeć się za jakimiś wskazówkami. Tam będziemy kontynuować naszą rozmowę. Radziłbym, żeby pani nie spieszyła się z oglądaniem ciała.

– Jest tak źle?

– Niezbyt przyjemnie – potwierdziła Johnson.

Celeste ściągnęła usta i się zamyśliła.

– Dobrze. Roxanne i Donna zajmą się moimi klientkami. Mają ich numery. Jeśli chodzi o wskazówki w domu, to powodzenia. Merritt trzymał wszystko w formie cyfrowej, w telefonie, na laptopie i na iPadzie. Ale wszystko zabrał ze sobą. W domu niczego nie ma oprócz starych, starsieńkich akt na strychu.

– A komputer stacjonarny? – zapytała Johnson.

– Nie, pozbył się go wiele lat temu. – Uchyliła drzwi i wystawiła głowę do salonu, odbyła szybką rozmowę z Donną, po czym włożyła kurtkę i wzięła dużą koralową torbę. Otworzyła zasuwę w tylnych drzwiach i powiedziała: – Wyjdźmy tędy. Nie chcę, by ktoś zobaczył mnie w takim stanie.

– Może pani prowadzić? – zatroszczyła się Johnson, gdy w ich twarze uderzył ziąb.

– Tak, dam radę. – I rzeczywiście tak się zdawało. Chociaż załamała się, gdy usłyszała wiadomość, teraz już się pozbierała, raźnie maszerowała po ośnieżonej ścieżce w butach na wysokich obcasach, a w jej oczach pojawił się błysk determinacji. Zrzuciła na głowę kaptur. – To wina Jonasa McIntyre’a. – Jej oddech zmieniał się w parę. Szybkim tempem zbliżali się do narożnika długiego budynku, ciągle padał śnieg i smagał ich zimny wiatr. – Wcześniej była tu jego siostra... O Boże. – Zatrzymała się jak wryta na rogu. – Kara. Rano chciała odwiedzić Merritta.

Johnson zatrzymała się koło niej.

– To ona do nas zadzwoniła.

– Słucham? Kara? Nic dziwnego, skoro chciała wiedzieć, gdzie przebywa. Czy... nic jej się nie stało?

– Jest w szpitalu. – Thomas sprawdził telefon, w nadziei że znajdzie tam informację, że Kara się ocknęła. Chciał z nią porozmawiać, jako że to ona zgłosiła morderstwo Merritta Margrove’a. Co jeszcze wiedziała? Co wiedział Jonas McIntyre i dlaczego tam był? Czy to możliwe, że zabił Margrove’a? To nie miało sensu. Mimo to obecność Jonasa w rozbitym samochodzie Kary była dużym zbiegiem okoliczności.

Celeste znowu wyglądała na zszokowaną, jej zaczerwienione oczy zrobiły się okrągłe, gdy weszli na pustawy parking.

– Kara też została zaatakowana? A może wdała się w bójkę z Merrittem? – Jej wyskubane brwi niemal się złączyły pośrodku czoła, gdy gwałtownie wciągnęła powietrze. – O cholera. Czy to ona go zabiła? – Znowu zaczęła panikować, na samą myśl ogarniało ją przerażenie.

– Miała wypadek – szybko wyjaśnił Thomas – po tym, jak do nas zadzwoniła ze zgłoszeniem. Nie wiemy, co się stało. Musimy najpierw z nią porozmawiać.

Celeste potaknęła, ale nie wyglądała na przekonaną, westchnęła i spojrzała w niebo, jakby czekała na boską interwencję.

– Jak to mówią, z deszczu pod rynnę, a ze śniegu? Chyba jeszcze gorzej. – Przełykając łzy, zanurzyła rękę w dużej torebce i wyjęła kluczyki.

W tej samej chwili zawibrowała komórka Thomasa. Mrużąc oczy w śniegu, odczytał, że ma wiadomość od zastępcy ze szpitala. Kara McIntyre odzyskała przytomność. Odpisał, że będzie tam za godzinę.

– Pojadę z panią i po drodze powiem, co wiemy – zaproponowała Johnson.

– Dobrze. Chcę wszystko wiedzieć. – Gdy dotarli do frontowej części budynku, wcisnęła przycisk na pilocie. Ładna, czarna corvetta zamrugła światłami i zapiszczała.

Thomas odciągnął Johnson na bok.

– Kara McIntyre się wybudziła. Spotkamy się u Margrove’ów, kiedy z nią porozmawiam. Nie chcę, żeby znowu straciła przytomność, zanim wyciągnę z niej szczegóły.

Johnson potaknęła, po czym dogoniła Celeste.

– Mogę prowadzić – zaoferowała.

– Och, jasne – zadrwiła Celeste, kręcąc głową. Stała po stronie kierowcy i otworzyła drzwi. – Za żadne skarby. Może pani jechać jako pasażerka. – Celeste wysunęła brodę i wskazała miejsce obok kierowcy w swoim sportowym aucie. – Nikt poza mną nie prowadzi mojego cacka.

ROZDZIAŁ 18

Whimstick General to dom wariatów.

Można się było tego spodziewać.

Tate zaparkował dwie przecznice dalej, bo bliżej wszystkie parkingi były pełne. Kiedy zatrzymał swoją RAV4 koło oblodzonego krawężnika, jeszcze raz sprawdził informację na telefonie, przejrzał wiadomość oraz media społecznościowe piszące o wypuszczeniu Jonasa McIntyre'a.

Więści o morderstwie Merritta Margrove'a oraz poważnym wypadku w górach nie tylko odbiły się echem w lokalnych restauracjach, kawiarniach i sklepach w Whimstick, lecz także z prędkością światła przedostały się do mediów. Strony fanowskie poświęcone byłemu więźniowi zalały posty wyrażające niepokój, ślące „modlitwy”, „dobre wibracje” oraz emotikony i memy ze smutnymi buźkami, sercami i złożonymi do modlitwy dłońmi. Najwyraźniej w pobliżu szpitala Whimstick General zorganizowano już czuwanie, w którym uczestniczyli najaktywniejsi z fanów Jonasa mieszkający w okolicy.

Portale informacyjne aż wrzały i na wyścigi zamieszczały informacje o wypadku, w którym poszkodowanymi byli McIntyre i jego siostra, chociaż na temat kierowcy drugiego pojazdu wypowiadano się powściągliwie. Wypadek okazał się na tyle sensacyjny, że pisano o nim na całym północnym zachodzie. Bóg tylko wiedział, jak daleko się rozprzestrzeni.

Zapewne na cały kraj i oczywiście stanie się wiralem.

Dobra wiadomość była taka, że Kara McIntyre, która prowadziła jeepa, nie została poważnie ranna. Dzięki Bogu. Chociaż ledwie ją znał, jakaś część niego uznała, że jest intrygująca. Tak, chciał przeprowadzić z nią wywiad i potrzebował jej pomocy w dążeniu do prawdy, ale chodziło mu jeszcze o coś. O coś, o czym wolał nie mówić.

Co do jej brata, wiedziano tylko, że Jonas McIntyre przeżył.

Tate miał taką nadzieję.

I jeszcze ufał, że ten sukinsyn jest na tyle przytomny, żeby udzielić ostatniego wywiadu.

Najlepiej przekonać się o tym od razu.

Sprawdził godzinę. 16.48. Doskonale, właśnie zmienia się personel.

Chociaż niektóre pielęgniarki pracowały na dyżurach dziesięcio- lub dwunastogodzinnych, większość personelu, pracownicy administracyjni i im podobni, w tym niektórzy lekarze i pielęgniarki, pracowali od ósmej do siedemnastej. Zabrał niewielką torbę, którą spakował przed wyjściem z domu, po czym zamknął samochód i ruszył przez zaśnieżone chodniki do Whimstick General.

Pod przeszkłonymi drzwiami automatycznymi zgromadziło się około czterdziestu, może pięćdziesięciu ludzi, powstrzymywał ich napakowany ochroniarz i prowizoryczna barykada, niektórzy negocjowali, chcąc wejść do środka.

W budynku dużo się działo. Przez duże szklane okna Tate wypatrzył pacjentów na wózkach lub chodzących o kulach, którym asystowali bliscy. Westybul z długimi kanapami i fotelami rozstawionymi pomiędzy roślinami w doniczkach oraz małymi stolikami był pełen; informację, recepcję i okienko z wypisami otaczali ludzie. Wydawało mu się, że zauważył tam osoby, które znał z sieci, tych, którzy domagali się wypuszczenia Jonasa, członków jego internetowego fanclubu, ale nie miał pewności.

Jako że nie chciał mieszać się z tłumem, ruszył w stronę wejścia do izby przyjęć dla nagłych wypadków, znajdującego się na przeciwległym końcu budynku. Tam też był ochroniarz, drugi stał na zewnątrz pod portykiem i pilnował, by nikt nie blokował drogi dla pojazdów uprzywilejowanych.

Tate szybko przemierzał wybetonowaną ścieżkę, która otaczała budynek. Chociaż niedawno została odśnieżona, już przykryła ją cienka warstwa puchu, na rosnących obok krzakach i trawie oddzielającej piesze ścieżki śniegu było już bardzo dużo.

Dobrze znał ten szpital. Nie tylko przywieziono tutaj jego ojca, który umarł, zanim rozsunęły się przed nim drzwi do izby przyjęć, lecz przebywał tu także sam Tate na skutek różnych obra-

żeń, których doznał jako dzieciak – skręcił kostkę w wypadku rowerowym, złamał rękę, gdy spadł z drzewa, wycinano mu tutaj wyrostek robaczkowy. Ale to nie wtedy poznał różne zakamarki Whimstick General. Nie. Dopiero później, gdy wrócił do miasta, żeby pomóc matce, zgłębił tajniki szpitala.

Nie tylko woził matkę na wózku inwalidzkim po lśniących podłogach, od których odbijały się świetlówki wiszące w korytarzach, lecz także spędził wiele godzin, błąkając się po szpitalu. W czasie długich pobytów Selmy Tate na oddziale oraz niezliczonych wizyt, podczas których wykonywano badania lub poddawano ją rehabilitacji, Wesley odkrył skróty, ukryte windy, tylne schody i połączenia pomiędzy kliniką, laboratoriami, kafeterią, szatnią i oddziałem rehabilitacyjnym. Namierzył nawet pomieszczenia techniczne i kostnicę w piwnicy, poznał też położenie magazynów, w których pod kluczem przechowywano sprzęt i zapasy. Miał dużo czasu na eksplorację, więc go wykorzystał. Kiedyś sprawdził też plan szpitala. Najstarszy budynek miał osiemdziesiąt lat, w latach sześćdziesiątych dobudowano do niego południowe skrzydło, a pod koniec lat osiemdziesiątych północne, co przyczyniło się do galimatiasu i powstania dziwnych ciągów komunikacyjnych oraz rzadko używanych zakamarków. Wesley Tate znał większość z nich, a teraz postanowił wykorzystać swoją wiedzę. W przeciwnym razie zostałby odcięty od Kary McIntyre i jej brata. Wiedział o tym. A to, ich tragedia, było jego historią. *Jego*. Jego ojciec umarł, ratując Karę. Wobec tego była mu winna sławę i rozgłos.

Jako że znał szpital jak własną kieszeń, wszedł przez boczne wejście, które otwierało się na hol prowadzący do skrzydła, gdzie znajdowały się kliniki, po czym skręcił w korytarz łączący się z oddziałem chirurgicznym. Skręciwszy w kolejny korytarz, minął kilka sal operacyjnych i doszedł do skrzydła, w którym mieściły się windy, a za nimi kafejka. Piętro niżej znajdowała się kostnica, dwa piętra powyżej przeznaczone były na sale dla pacjentów. Kara McIntyre musiała być na jednym z tych pięter. Jej przyrodni brat także, ale podejrzewał, że w bardziej odizolowanym miejscu. Nie sądził, żeby znalezienie Jonasa nastęrczyło mu trudności; przy jego drzwiach zapewne będzie czuwać strażnik, bo z pewnością był głównym podejrzanym o morderstwo Merritta Margrove'a, chociaż według Tate'a nie miało to sensu. O wiele trudniej będzie namierzyć Karę, ale stwierdził, że zdoła to zrobić.

Zszedł do piwnicy i znalazł niezamkniętą szafę pomiędzy halą techniczną a kostnicą. Wyjął stamtąd fartuch, a z torby podrobiony identyfikator, szybko się przebrał i opuścił piwnicę, wiedząc, że powinien unikać głównych korytarzy. O ile mu było wiadomo, zamontowano tam kamery w pobliżu wind i przy każdym wejściu do budynku, ale nie sądził, żeby monitorowano je przez całą dobę, uznał też, że ze względu na koszty oraz prawa pacjenta pozostałe części szpitala nie są pod nadzorem kamer.

Nie miał jednak stuprocentowej pewności.

Szedł pewnym krokiem, jakby miał prawo przebywać w tym miejscu, przeszedł przez drzwi z tabliczką TYLKO DLA PERSONELU, po czym, biorąc po dwa stopnie naraz, wszedł na górę tylnymi schodami. Na drugim piętrze otworzył drzwi i zerknął na korytarz. Tak jak się spodziewał, wypatrzył policjanta w mundurze, który siedział na krześle koło drzwi sali znajdującej się na końcu. Gliniarz miał jakieś dwadzieścia pięć lat i nie odrywał wzroku od swojej komórki.

Nie dało się go obejść.

Tate cofnął się na klatkę schodową i zszedł na pierwsze piętro, gdzie spodziewał się znaleźć Karę. Wszedł na korytarz, mając świadomość, że na suficie zamontowano kamery. Wiedział, że jest spore prawdopodobieństwo, że zostanie nakryty, ale miał nadzieję, że stanie się to dopiero za jakiś czas, więc nadal szedł pewnym krokiem, sprawdzając coś na podkładce z dokumentami i unikając patrzenia w kamery oraz w oczy innym ludziom. Nie mógł jednak znaleźć sali, w której leżała Kara, więc wrócił na klatkę schodową, skierował się w stronę kafeterii, gdzie, jak wiedział, zwykle można znaleźć dużą grupę personelu, kupił sobie napój gazowany i kanapkę, po czym zajął pusty stolik koło grupy pracowników szpitala. Siedząc tyłem do nich, udawał, że zajmuje się telefonem i gazetą zabraną z innego stolika, i przysłuchiwał się ich rozmowie.

Jako że Jonas McIntyre był we wszystkich mediach, Tate miał pewność, że usłyszy coś na jego temat. I rzeczywiście, nie minęło dużo czasu.

– Co za zamieszanie – powiedział jeden z pielęgniarzy. Jego głos był dobrze słyszalny mimo rozmów w tle i postukiwania sztućców. – Tego nam tylko potrzeba, chaosu w pracy. – Tate

kątem oka patrzył na niego i pozostałe osoby przy stoliku. Pielęgniarz odgryzł kawałek jabłka. Mężczyzna był wysoki i szczupły, nosił okulary z drucianymi oprawkami, miał zakola i kręcone, siwe włosy oraz opaleniznę, mimo że w północnej części Zachodniego Wybrzeża był środek zimy.

– Wszystko się uspokoi – odparła jedna z kobiet, odgarniając grzywkę z oczu. Była niskim rudzielcem z piegami na rumianych policzkach. Właśnie otwierała małą paczkę chipsów.

– Nie, jeśli ten cyrk ma coś do powiedzenia. Wydzwaniamy do szpitala, odkąd rozeszły się wieści.

– Jaki cyrk? – Trzecia kobieta, według Tate’a dobrze po trzydziestce, z sarnimi oczami i rzadkimi, brązowymi włosami uczesanymi w kucyk, zajadała sałatkę i popijała z dużego kubka jakiś ciemny napój gazowany.

– Chyba fani. – Pielęgniarz znowu zjadł kawałek jabłka.

– Słucham? – Rudowłosa zmarszczyła nos. – Fani?

– No serio. Chyba z Internetu. Ta grupa ludzi, głównie kobiet, uważa, że został niesłusznie oskarżony i skazany, i próbuje obalić jego wyrok. Od lat. Prawdziwe świry, jak na moje oko. Ten gość zadźgał całą swoją rodzinę.

– Aha. – Cienki Kucyk dalej rozprawiał się z kupką zieleniny polaną gęstym sosem. – Niesłusznie uwięziony.

– Właśnie. Niech powiedzą to temu zabitemu prawnikowi i temu nieszczęsnemu kierowcy ciężarówki, który walczy o życie. – Ugryzł kęs jabłka i rozparł się na plastikowym krześle. – Według mnie, wszystko, co się stało, jest jego winą.

– Oprócz śmierci jego rodziny – zauważyła rudowłosa, gdy pielęgniarz wrzucił ogryzek do stojącego obok kosza na śmieci, a rumiana pielęgniarka z kucykiem wyławiała z miski zwiędłą sałatkę.

– Ale obciach – ciągnęła rudowłosa. – Moim zdaniem nie powinni go wypuszczać z więzienia.

– Wielu ludzi się z tobą zgodzi. – Pielęgniarz pokiwał głową, wyjmując z opakowania wykałaczkę i wkładając ją do ust. – Oprócz fanklubu. Oni chcą go widzieć na wolności. Uważają, że tak jest sprawiedliwie.

– Dajcie spokój. – Ruda zgmiotła torebkę po chipsach. – Niech to powiedzą rodzinie McIntyre’ów.

– Oho. Muszę iść, mam dyżur – powiedziała nagle pielęgniarka z kucykiem. Wsadziła do ust ostatni kęs sałaty, po czym zabrała swoją tacę, odsunęła krzesło i niemal wepchnęła je na Tate’a. – Przepraszam – rzuciła, nie patrząc nawet w jego stronę.

– Przerwa kończy się za dziesięć minut – zauważył pielęgniarz, stukając palcem w zegarek.

– Wiem, ale muszę zadzwonić do opiekunki. – Kobieta z kucykiem wyjęła telefon. – Problemy w starej hacjendzie. – Przewracając oczami, wrzuciła resztkę posiłku do śmietnika. – Właśnie wysłała do mnie trzecią wiadomość. Jake jest coraz bardziej przeziębiony. Nie puściłam go dzisiaj do szkoły, a teraz marudzi. – Skrzywiła się. – Poza tym – pochyliła się i wyszeptała: – *muszę zapalić*. Nie mów Darlene, dobrze? Jest już na mnie cięta.

Roześmiał się.

– Pójdę z tobą. Próbuję rzucić, ale sama wiesz... – Razem ruszyli do wyjścia.

– Do zobaczenia za chwilę – mruknęła rudowłosa, ale nawet nie podniosła wzroku znad telefonu.

Tate poczuł się jak na widelcu, gdy zauważył dwie kamery obejmujące całą stołówkę, w której ludzie siedzieli przy plastikowych stolikach, rozmawiali, jedli, czytali lub gapili się w laptopy i telefony. Udało mu się podsłuchać fragmenty rozmów przebijające przez postukiwanie tac i szuranie butami, ale jeśli ktoś rozmawiał o wypadku w górach lub owianym złą sławą pacjentem, nie zdołał go usłyszeć.

Rozprawiał się z jedzeniem na tacy, gdy zauważył dwóch ochroniarzy przepychających się przez kolejkę po dietetyczne napoje i jakieś przekąski. Jeden był niski i korpulentny, drugi, nieco wyższy, miał wygląd kulturysty, koszulka opinała mu się na ramionach i robił hardą minę.

Tate zwlekał jeszcze kilka minut, po czym wstał, gdy ochroniarze zasiedli przy stole po drugiej stronie pomieszczenia. Miał nadzieję, że nie wygląda podejrzanie, gdy rozdziela śmieci do oddzielnych kubków przy śmietniku. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, ale przeszedł pomiędzy sto-

łami i zajął miejsce w pobliżu, sprzątnąwszy z blatu pozostawione przez kogoś śmieci.

Nikt tego chyba nie zauważył, bo stołówka zaczęła wypełniać się ludźmi z tacami w rękach; zapach ziół włoskich mieszał się z silnym aromatem ryby. Na grillu skwierczały burgery, a klienci głośno podawali swoje zamówienia, żeby przekrzyczeć panujący tu harmider.

Tate wyjął telefon i udawał, że pisze wiadomość, ale kątem oka przyglądał się ochroniarzom.

Trafił na żyłę złota.

– Wiem, to cholerny cyrk na kółkach – powiedział niższy. Był łysy, glaca lśniła mu w świetle lamp, trzydniowy, rudawy zarost pokrywał brodę, przed sobą na tacy miał pączka w czekoladzie i butelkę z różowawym napojem witaminowym. – Według mnie w ogóle nie powinni byli wypuszczać tego złamasza.

Tate powstrzymał uśmiech. Mężczyźni na pewno rozmawiali o Jonasie McIntyrze.

– Ale wypuścili i teraz jest tutaj. – Kulturysta wgrzył się w kanapkę z szynką na żytnim chlebie. – Ale już niedługo.

– Tak sądzisz? Ktoś tak mówi? – Ten z zarostem otworzył butelkę i upił łyk różowego napoju.

– Tak. Chociaż nie miał zapiętego pasa, tak szczęśliwie wypadł z auta, że złamał tylko żebro lub dwa, rozciął głowę czy coś takiego i tyle. Ma szczęście sukinsyn. Lepiej by było, jakby się przekręcił w tym wypadku. Dostałby za swoje za to, co zrobił rodzinie. Więzienie to dla niego za mało. – Popił kolejny kęs łykiem dietetycznej pepsi. – Moim zdaniem powinien zdechnąć lub zostać warzywem.

– Rany...

– Stan by na tym zaoszczędził, gdyby kopnął w kalendarz. – Chyba zorientował się, że mówi za głośno, bo rozejrzał się wokół i otarł musztardę z brody.

– A ta pasażerka, kobieta na pierwszym?

– Jego siostra? – upewnił się kulturysta, marszcząc brwi, aż utworzyły jedną prostą linię.

– Tak, ona.

– Uraz głowy.

– Co wiesz o niej?

– Dużo.

– Skąd? Jak to?

– Czytam, człowieku, czytam. Ty też powinienes.

– Też czytam.

– Dział sportowy się nie liczy. – Kulturysta pociągnął duży łyk z puszki. – I oglądałem wszystkie programy dokumentalne o tej sprawie. Wiesz, że mój stary pracował w wydziale, gdy do tego doszło, był jednym z pierwszych na miejscu i widział tę krwawą jatkę. Mówił tylko o tym przez kilka tygodni. – Pokiwał głową sam do siebie i ugryzł ogórka konserwowego. – No więc interesowałem się tym. A ta kobieta w sali dwa-trzy-cztery? – Popukał palcem po blacie i dodał: – Zaufaj mi. Jest stuknięta.

– Skoro tak twierdzisz.

– Nie tylko ja. Wszędzie o tym przeczytasz. Wówczas to była wielka sprawa, teraz może nawet większa, bo jest jeszcze Internet. Tak czy siak, zginął wtedy policjant, ratując życie tej małej. Mój ojciec się wtedy wpienił. Straszliwie. – Zjadł już ponad połowę kanapki. – Wiesz co, ten gliniarz, który wtedy umarł, był tam na wakacjach z rodziną. Nawet nie był na służbie. Ale musiał iść pomóc, co nie? Miał to we krwi.

Tate zamarł.

Stołówka jakby się zmniejszyła, rozmowy przycichły, a on jeszcze bardziej wycężył słuch.

– Aż tak?

– Aha. Nazywał się Tate. Niektórzy gliniarze, którzy pracowali potem na miejscu, zbierając dowody i inne takie, twierdzili, że coś zobaczył.

– W sensie, że zobaczył coś poza tą dziewczynką, która prawie utonęła?

– No tak. Przebiegł przez dom, widział te ciała... Człowieku, to musiało być coś. Masakra w chuj. Potem wybiegł, ruszył za tym dzieckiem na łód i wpadł do wody. – Ugryzł wielki kęs kanapki i rozejrzał się wokół, jego spojrzenie przesunęło się po Tacie. Ciszej dodał: – Ten policjant.

Tate? Powiedział coś ratownikowi, gdy wkładali go do karetki.

Tate wstrzymał oddech. Wyteżał słuch. Chociaż już wcześniej o tym słyszał. Mówili o jego ojcu.

– Co powiedział?

– Ratownik nie był pewien, ale brzmiało to jakby fi lub fia... może fii, fy, fo, fam... albo coś w tym stylu. Kto wie? Zapewne nic nie znaczyło. Facet pewnie majaczył. Był już jedną nogą na tamtym świecie. Doznał rozległego zawału i chyba nie wiedział, co mówi. – W trzech kęsach rozprawił się z resztą kanapki, podczas gdy jego partner dopił resztkę różowego napoju.

Tate przypomniał sobie opowieści o śmierci ojca. Nawet teraz czuł znajome klucie w piersi na to wspomnienie. Zerknął na faceta. Zobaczył plakietkę z jego nazwiskiem: LESTER ALLEN.

– Hej, będziesz to jadł? – Allen kulturysta patrzył na talerz kolegi.

– Słucham? Pączka? Kurde, no jasne, że zjem. – Na dowód odgryzł kawałek czekoladowego ciasta, po czym oblizał brązową posypkę z ust. – Jeśli chcesz, stań w cholernej kolejce i sobie kup.

– Nie, nie chcę. Za dużo kalorii, same węglowodany. Cukier i tłuszcze trans.

– Co z tego?

Allen jednym haustem dopił napój, po czym zgniótł puszkę w potężnej dłoni. Wtedy zadzwoniła jego komórka. Zerknął na wyświetlacz i się skrzywił.

– Musimy iść – powiedział ciszej.

– Po co? – Jego partner wsunął pączka do ust.

– Nie wiem dokładnie. Ale coś wykryli na kamerach.

– Założę się, że ten idiotyczny fanklub. Mówię ci, to te babki, które myślą, że McIntyre jest jakimś kolejnym wcieleniem Jezusa. Są walnięte. I wściekłe.

– Nie wiem, ale to raczej nie zamieszki. Kapitan chce, żebyśmy przyszli i to sprawdzili.

– Cholera.

Tate poczuł, że ściska go w środku, siedział tyłem do nich, gdy się zbierali, odsunęli krzesła i wyszli głównym wyjściem, zostawiwszy tace. Może wezwanie dotyczyło kogoś innego, a może nie. Nie mógł ryzykować. Nie chciał zostać zdemaskowany. Z trudem panując nad nerwami, odczekał chwilę, choć cenne minuty uciekały. Nie miał zbyt wiele czasu. Nie tylko został już przyłapany, lecz do tego w stołówce były kamery. Jeśli Lester Allen był aż takim znawcą Masakry Rodziny McIntyre'ów, jak twierdził, mógł rozpoznać Wesleya jako syna Edmunda. Tate nie chciał teraz zostać zdemaskowany.

Zgarnął telefon i ruszył do bocznych drzwi; nieustannie odwracał głowę od kamer i nadchodzących z naprzeciwka ludzi. Doszedł do klatki schodowej i wszedł na pierwsze piętro. We krwi krążyła mu adrenalina, cały czas był czujny, gdy wyszedł na korytarz, który był pusty, stał tam tylko wózek ekipy sprzątającej. Poruszał się szybko i zastanawiał, czy Allen i jego partner przyglądają mu się z jakiegoś miejsca, w którym stoją monitory wyświetlające obraz z kamer w budynku.

Wyszedł za róg i koło wind niemal wpadł na sanitariusza pchającego wózek z jakimś starszakiem. Udając, że rozmawia przez telefon, pochylił głowę i wyminął ich, rzucając spojrzenie przez ramię, by upewnić się, że wchodzi do windy. Na szczęście nikt z niej nie wysiadł.

Znalazł drzwi z numerem 234, zatrzymał się przed nimi i słuchał, czy dochodzą zza nich jakieś głosy, ale niczego nie usłyszał, więc je pchnął i wszedł do środka.

ROZDZIAŁ 19

Kara spodziewała się lekarki.

Albo cholerne policji.

A kto przyszedł? Wesley Pieprzony Tate. Ubrany w fartuch, na miłość boską. Jakby, no jasne, pracował w szpitalu.

– Powinam była się domyślić – powiedziała, nie potrafiąc ukryć rozczarowania. – Co tutaj robisz?

– Szukam ciebie.

– Mnie? Po co? Nie możesz tu przebywać.

– Wszystko dobrze.

– Z pewnością nic nie jest dobrze!

Uniósł rękę, jakby podejrzewał, że Kara zacznie krzyczeć.

– Czego chcesz? Och, czekaj, niech zgadnę. Wywiadu. – Westchnęła z irytacją. – Po prostu w to nie wierzę!

Nie zaprzeczył, ale zapytał:

– Jak się czujesz?

– A jak wyglądam? – warknęła na niego, jakby był tępy. – Jestem w cholernym szpitalu! A ty nie przyszedłeś tu w przebraniu, żeby pytać mnie o zdrowie. Na miłość boską, Tate, nie jestem idiotką.

– Nigdy tak nie myślałem.

– No i super. A skoro pytasz, przeżyję. – Jej złość nieco ustąpiła, gdy na jego twarzy ujrzała prawdziwą troskę. Oczywiście nie wierzyła w nią ani przez chwilę. I nie miała czasu na cze gadki. Prędzej czy później przyjdzie jakiś prawdziwy pracownik szpitala, pielęgniarka lub lekarz, i udzieli jej potrzebnych informacji, a może nawet udzieli pomocy.

– Słuchaj – zaczął. – Wiem, że bywam nachalny.

– To coś więcej niż nachalność.

– Okej, ale nie tylko ty straciłaś członków rodziny tamtej nocy. Mój tata też nie przeżył.

Poczuła stare, znajome ukłucie żalu, ale postanowiła, że nie pozwoli sobie na słabość.

– I co z tego? Próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy, żebym ci pomogła? – Zanim odpowiedział, buntowniczo wysunęła szczękę. – Nie ma mowy. Przykro mi z powodu twojej straty i tego, że twój ojciec zginął, próbując mnie uratować. – Ilekroć zbyt długo i intensywnie myślała o Edmundzie Tacie, o tym, jak przed nim uciekała, jak upadła na śnieg, jak policjant, którego wzięła za potwora, poświęcił się dla niej i uratował jej życie, musiała walczyć z napływem silnych emocji. Przełknęła gulę, która pojawiła się w jej gardle.

– Nie tylko próbował. Ocalił ci życie.

Patrzył na nią intensywnie niebieskimi oczami. Odwróciła wzrok o sekundę za późno, poczucie winy zdążyło chwycić ją za serce tak mocno, że nie mogła oddychać, poczuła, że mącą się jej myśli. Odchrząknęła, zanim ponownie spojrzała mu w oczy.

– Wiesz, gdzie jest mój brat? Pielęgniarka powiedziała, że jest w szpitalu, ale nie mam pojęcia, w jakim jest stanie.

– Jest na drugim piętrze. Pilnują go.

Po raz pierwszy, odkąd się ocknęła, poczuła ulgę.

– Na intensywnej terapii?

– Nie... nie sądzę. Podśledzałem rozmowę ochroniarzy. Nic nie wskazywało na to, że obrażenia Jonasa zagrażają jego życiu. Przynajmniej tak mówili. Wspominali o połamanych żebrach i obrażeniach głowy... nie, nie, „lekkich” obrażeniach, cokolwiek to znaczy.

– Nikt mi nic nie mówi – poskarżyła się tonem pełnym frustracji. – Zachowują się, jakby chodziło o moje dobro, ale sądzę, że to policja kazała im ukrywać to przede mną.

– Rozmawiałaś już z policją?

– Jeszcze nie. Ale mam wrażenie, że stałam się podejrzaną.

– Albo że coś wiesz.
– Nie wiem! Jonas ukrył się w moim samochodzie, nawet nie wiedziałam, że tam jest.
– W domku Merritta w górach – uściślił Tate.
– Tak, właśnie tam... – Zamknęła usta. Zdradziła już więcej, niż zamierzała, ale w tej chwili stanowił dla niej jedyne źródło informacji, był jej jedynym sprzymierzeńcem. – Słuchaj, zakładam, że wiesz o Merrittcie Margrovie? Że nie żyje? Że został zamordowany?
– Cały świat o tym wie.
– To dobrze. – Boże, co za bałagan. – Wiesz coś o Jonasie?
– Nie za wiele. Tylko że go pilnują, a ochroniarze sądzą, że może mieć złamane żebro i jakiś uraz głowy, ale szybko z tego wyjdzie.
– Rozumiem. – Ulga, którą poczuła, gdy dowiedziała się, że jej brat żyje, zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. – Chcę go zobaczyć.
– Ty i reszta świata.
– Włącznie z tobą?
– Jak najbardziej.
– To chodźmy. – Podniosła się i skrzywiła, gdy kark przeszył jej nagły ból. – Auć.
– Może prze myśl to jeszcze – zaproponował z troską. – To nie jest dobry pomysł.
– Och, a jaki jest dobry? Bieganie po szpitalu w fartuchu? – warknęła, po czym znowu oparła się na poduszkach. Czuła coraz większą frustrację. – Czy to... – wyciągnęła palec i zakręciła nim w powietrzu, wskazując jego ubiór – według ciebie jest przebraniem?
– Tymczasowo.
– Rozumiem.
– A więc pojechałaś w góry do Margrove’a i co? Już nie żył, jak przyjechałaś?
– Widocznie weszło mi to w zwyczaj – przyznała, przypominając sobie horror krwawej Wigilii.

Nie idź tą drogą. Przestań!

Tate przerwał jej myśli.

– A Jonas tam był... w domu Margrove’a?

– Nie w domu. Chyba już mówiłam, że był w moim... Ej, czekaj! Co to ma znaczyć? – Umilkła, zanim zdążyła odpowiedzieć na jego kolejne pytania. Wesley Tate nie był przyjacielem ani powiernikiem, z pewnością nie był kimś, komu mogła zaufać.

– Mam tylko kilka pytań.

– Kilka?

– No dobrze, dużo.

Zmrużyła oczy. Wydawał się mówić szczerze, ale wszyscy chyba byli tacy sami. Już dawno temu przejedli jej się dziennikarze.

– Nie odpowiem na żadne z nich. Chyba wcześniej wyraziłam się jasno.

– Wtedy prawie mnie przejechałaś.

– Więc uważasz, że jestem twoją dłużniczką, tak? Chociaż jestem przekonana, że sam skoczyłeś na mój samochód. Wyjaśnijmy to sobie.

Ponownie przerzuciła nogi przez krawędź łóżka i zagryzła zęby, czując falę bólu.

– Ostatnio miałaś problemy za kółkiem.

Przed oczami pojawiły jej się migawki wspomnień z wypadku – wielkie opony wpadające w poślizg, składająca się przyczepa ciężarówki, poruszająca się jak wahadło na oblodzonej górskiej drodze.

– Pech – powiedziała i przemilczała obawę o zdrowie kierowcy drugiego auta.

Przez chwilę myślała o dwóch małych buteleczkach wódki, którą wypila dla animuszu, zanim odkryła ciało Margrove’a. Alkohol w połączeniu ze złą pogodą i bratem, który śmiertelnie ją wystraszył. Nie chciała o tych sprawach rozmawiać z policją. Nie teraz. Najpierw musiała porozmawiać z Jonasem.

– Muszę się stąd wydostać – oświadczyła nagle, zastanawiając się, czy może znaleźć w nim sprzymierzeńca. – Pomożesz mi? Podwieziesz mnie?

Zawahał się.

– Teraz?

Z zewnątrz dochodziły odgłosy kroków.

Kara czekała bez ruchu, jej puls wyskoczył w górę, gdy Tate wszedł głębiej do pomieszczenia i stanął koło okna. Kroki zwolniły.

Jezu.

Spanikowana patrzyła na Tate'a, ale kroki wyminęły drzwi i oddaliły się poza zasięg jej słuchu.

– Teraz – potwierdziła i westchnęła. Nie było czasu do stracenia, za chwilę ktoś naprawdę mógł wejść do pokoju. Szybko, żeby się nie rozmyślić, zeszła z łóżka i bosymi stopami dotknęła podłogi. – Pewnie się zastanawiasz, co za to dostaniesz? – zapytała, podejrzewając, że właśnie o tym myśli. – Ty pomożesz mi się stąd wydostać, a ja może z tobą porozmawiam. Odpowiem na niektóre z twoich cholernych pytań.

– Może?

– Jeszcze mi nie pomogłeś, co nie? Ale gdy się postarasz, to jasne, na pewno odpowiem. – Nie o takim pomocniku marzyła, ale w tej chwili nie miała żadnego wyboru. To musiało jej wystarczyć. Jak na razie. – No dobra, masz ten wywiad, na którym ci tak zależy. – Widziała niedowierzanie na jego twarzy, jakby próbował ją rozgryźć, przekonać się, czy mówi prawdę. – Nie patrz tak na mnie. Nie chodzi mi tylko o podwózkę, będziesz musiał bardziej się wykazać.

– Ten przysłowiowy haczyk? – zapytał.

– Możesz tak to nazywać, jeśli musisz, ale liczę na to, że się podzielisz.

– Podzielę? – powtórzył.

– Chcę poznać wszystko, czego dowiesz się o Margrovie i o przeszłości, tej nocy, gdy zabito moją rodzinę, o procesie, o podejrzanych i o tym, co stało się z moją siostrą. – Spojrzała na niego wymownie, po czym wstała z łóżka. Zastanawiała się, czy powiedzieć mu o anonimowej wiadomości, ale szybko się rozmyśliła. Nie była gotowa, żeby w pełni mu zaufać. Jeszcze nie. – To nie będzie wymiana jednokierunkowa, prawda?

– Prawda. – Ale nie był przekonany. Niemniej jednak nie miała innych opcji, więc postanowiła zaryzykować i mu zaufać. Choćby na chwilę. – Dobrze. No to chodźmy. – Zdrową ręką przytrzymała rozchylające się poły koszuli.

– Lekarze się na to zgadzają?

– Oczywiście, że nie. Ale ja mam to gdzieś. – Uniosła brwi. – Założę się, że lekarka, personel szpitalny i ochrona nie zgadzają się też z tym, że udajesz pracownika szpitala. – Nie odpowiedział, więc dodała: – Czyżbym się myliła?

Nadał nic nie mówić. Nie musiał. Zamiast tego zapytał:

– Możesz chodzić?

– Tak, dam radę. Uszkodziłam mięsień karku, mam kilka siniaków tam, gdzie wybuchła poduszka powietrzna, i zmaltretowane ramię, ale nic poważnego mi nie dolega.

– A głowa? – Wskazał bandaż.

– Tylko guz. Zatrzymali mnie tutaj, żeby zrobić jakieś dodatkowe badania, które miały potwierdzić, że nic mi nie jest.

Zawahał się, zmrużył oczy, jakby jej nie wierzył.

– Nie mamy dużo czasu – przypomniała mu.

– Dobrze. Pójdę po samochód.

– Nie. Czekaj. Jeszcze jedno.

Zatrzymał się.

– Najpierw chcę zobaczyć brata. Zanim wyjedziemy. Muszę porozmawiać z Jonasem.

– Nie jestem w stanie tego zorganizować. – Pokręcił głową. – Mówiłem ci, pilnują go.

– Zrozumiałam, ale... – Zastanowiła się. – Potrzebujemy tylko czegoś, co odciągnie strażnika.

– Czegoś, co rozproszy jego uwagę? – Nie kupował tego. – To nie jest film szpiegowski – rzucił.

– Zabawne, że ty to mówisz – zauważyła, przypomniawszy sobie niemal identyczną myśl, gdy Jonas pojawił się na tylnym siedzeniu jej samochodu. – Wiesz, sam latasz po szpitalu w przebraniu.

Zacisnął usta.

Spodziewała się, że nadal będzie oponował, ale nie, tylko skinął głową.

– Dobrze. Ale się pospiesz. Jestem przekonany, że już mnie zauważyli.

– Świetnie. – Jej plan naprawdę działał. – Ty pójdziesz i odciągniesz strażnika, a ja dołączę do ciebie. Gdzie zaparkowałeś? Mam nadzieję, że nie na parkingu.

– Pięć czy sześć przecznic dalej. Na Washington Street pomiędzy Pine i Larch. Koło starego kościoła katolickiego, tego, który służy za miejsce spotkań i przyjęć. Nie tego, który stoi przy kolejnej przecznicy.

– Co ty masz z tym parkowaniem koło kościołów?

– Zawsze jest tam miejsce – wyjaśnił i puścił do niej oko. – Poza tym są święta.

– Bardzo śmieszne. – Nie. Ona z pewnością nie czuła radości o tej porze roku. – Nie powinni pękać w szwach? No wiesz, ze względu na święta?

– Nie przed weekendem. Wiesz, gdzie jest ten kościół?

– Tak, tak! Wiem. – Przypomniała sobie to miejsce, ceglane ściany, trzy wieże i maswerkowe okna. – Będę tam za piętnaście minut.

– Za dziesięć.

– Dobrze.

Podszedł do drzwi.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Tak – odparła, widząc pytanie w oczach Tate'a. Ktoś zabił Merritta Margrove'a, według niej nie był to Jonas. Więc kto? I dlaczego? Ktoś do niej dzwonił i sugerował, że Marlie żyje. – Przrzekam, że mówię poważnie. Śmiertelnie poważnie.

– Do licha, co tu się dzieje? – Thomas, wychodząc ze służbowego SUV-a, spojrzął na główne wejście do szpitala, gdzie, mimo mrozu, zebrał się tłum. Przed drzwiami stało około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu osób w grubych kurtkach i płaszczach, wełnianych czapkach i rękawiczkach, nausznikach i kozakach, głównie kobiety po trzydziestce i czterdziestce, niektóre z plecakami, inne z wózkami, wiele z transparentami o takiej treści:

UWOLNIĆ JONASA!

Czyż nie jest już wolny?

KTO JEST PRAWDZIWYM ZABÓJCĄ?

Cóż, skoro nie McIntyre, to kto wie?

GDZIE JEST MARLIE?

Dobre pytanie.

SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA JONASA!

Och, dajcie spokój!

W padającym śniegu skandowały i krzyczały, niektóre klęczały, modląc się, podczas gdy kilku ochroniarzy próbowało zaprowadzić wśród nich porządek przed budynkiem. Kobieta z jasnymi dreadami krzyczała:

– Chcemy go zobaczyć! Sprawiedliwość dla Jonasa!

Inna, z tatuażami na obu rękach i szopą czarnych włosów, pomimo zimna ubrana tylko w koszulkę z krótkim rękawem i kamizelkę, wykrzykiwała:

– Uwolnić Jonasa! Uwolnić Jonasa!

Skandowanie nie ustawało, stawało się coraz głośniejsze; jakaś trzydziestokilkulatka z ciemnymi włosami związanymi w kucyk, która wyglądała jak matka kibicująca na meczu piłki nożnej, zawołała:

– Chcemy Jonasa!

– Tak! – dołączył inny głos, a tłum ruszył naprzód, fala ludzi w wełnianych czapkach, szalikach, zimowych kurtkach i butach próbowała z krzykiem wdrzeć się do środka.

– Fani Jonasa McIntyre'a – powiedziała Johnson, przypatrując się tłumowi.

– Domyśliłem się.

– Jak widać ma ich od groma, dzięki Internetowi nie tylko w kraju, lecz na całym świecie.

– Niech to szlag. – Thomasowi nie mieściło się to w głowie. Facet zabijał z zimną krwią, był wcieleniem zła, dopuścił się krwawej masakry na swojej rodzinie.

– Fanklub na Facebooku zwołał ich w tym miejscu – wyjaśniła Johnson. – I na Twitterze. I na innych stronach, takich jak TikTok i Instagram. Tam, gdzie wszelkie teorie konspiracyjne wy-

mykają się spod kontroli.

– Na przykład jakie? – zapytał, zamykając pilotem SUV-a. Ruszyli przez rozemocjonowany tłum ludzi otaczający główne wejście do szpitala. Niektórzy zachowywali się spokojnie, inni byli rozzłoszczeni, kilku bardzo głośno krzychało. Ci krzyżący znajdowali się bliżej drzwi do szpitala, gapie natomiast trzymali się z tyłu. Na zatłoczonym parkingu zjawiała się już furgonetka stacji telewizyjnej z Portland.

Nadal sypał śnieg. Małe płatki wirowały i tańczyły na wietrze, przylepiały się do czapek i włosów, topiły na czerwonych twarzach.

– Jedna z teorii głosi, że Jonas jest przetrzymywany w jakimś tajnym miejscu na rozkaz rządu.

– Słucham? – Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– No wiesz, to są właśnie teorie konspiracyjne. Rząd nas okłamuje.

– W takim sensie jak na temat Roswell, Nowego Meksyku i UFO?

– Albo w sprawie zamachu na JFK – dodała Johnson. – Mówi się, że zamierza się wydostać z tego pokoju i z nimi porozmawiać.

– Z tego tajnego miejsca? – zapytał, unosząc brew.

Potaknęła.

– Pamiętaj, niektórzy fani uważają, że jest jakimś duchowym prorokiem, bogiem, czy kimś w ten deseń.

– Nie wyjdzie do nich. Może i jest duchowym bogiem, ale pilnuje go policjant.

– Nieważne. Wierzą w to, w co chcą wierzyć.

Thomas tego nie pojmował. Przyglądał się tłumowi.

– Skoro przypisują mu cechy boskie, to dlaczego nie wyszedł z więzienia przez dwadzieścia lat?

– Ponieważ tak postanowił?

– O cholera, co za świry. – Zbliżał się do szpitala, Johnson szła z nim ramię w ramię.

– Dla większości tak. Ale niektórzy z jego wyznawców sądzą...

– Wyznawców? – Zerknął na nią, w chwili gdy próbowali się wbić w hordę ludzi przeważnie nagrywających całe zdarzenie telefonami komórkowymi lub kamerami.

– Wyznawcy. Fani. Jeden pies. Sądzą, że zwolnienie Jonasa z więzienia jest niczym Drugie Przyjście. – Johnson musiała krzyżeć, żeby ją usłyszał. Samochody na ulicy koło parkingu zwalniały, zjawiało się coraz więcej pojazdów, coraz więcej kobiet przekraczało pas otaczający parking i dołączało do tłumu.

– Och, na miłość boską – wymamrotał.

– Aha, one właśnie tak myślą!

I wtedy je zobaczył – transparenty z cytatami z Biblii oraz wizerunki Chrystusa i Jonasa.

– To chore!

– To nie zawsze musi znaczyć to, co według ciebie znaczy.

– Wiesz, co mam na myśli – odgryzł się.

Johnson pokręciła głową, skandowanie nie cichło, tłum robił się coraz głośniejszy.

– Tak tylko mówię.

– Hej! – Jeden z ochroniarzy, przysadzisty czarnoskóry mężczyzna z plaketką identyfikującą go jako Bertranda Mullinsa, powstrzymywał tłum, gdy Thomas i Johnson przeciskali się przez falujące masy. – Jesteście z policji? – zapytał Mullins. Pocił się mimo mrozu. – Pomożecie nam tutaj?

– Przyszliśmy zobaczyć się z Jonasem McIntyre'em.

– Wy i reszta cholernego świata. Hej, hej, hej! – Odwrócił się do chudej kobiety z rozjaśnionymi włosami, która próbowała się precyzyjnie obok niego. – Proszę pani, to wejście tylko dla pacjentów.

– Wobec tego jestem pacjentką – rzuciła i zmierzyła go płonącym spojrzeniem.

– Nie sądzę – odparł Mullins.

– Czymś się naćpała – stwierdziła Johnson.

Mullins zajął się chudą kobietą, tymczasem zjawili się dwaj inni ochroniarze, jeden tak napakowany, że mundur opinał mu się na plecach i bicepsach, drugi niższy, pełen wigoru, z rzadką

rudą bródką. Wyszli bocznymi drzwiami i zaczęli odpychać napierających ludzi. Większy rozmawiał przez radio, niższy stanął pomiędzy budynkiem a trzema kobietami niosącymi transparenty. Thomasa ktoś popchnął.

– Wezwaliście policję? – zapytał Mullinsa.

– Dziesięć minut temu. Ale widać, że wam się nie spieszy!

Thomas pokręcił głową.

– Nie odebraliśmy wezwania. Hej... – Poczul, że ktoś mu wbija łokieć w plecy, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z facetem we flanelowej kurtce, który przepychał się koło niego, lecz nie mógł przebić się przez tłum na przodzie. – Proszę odejść. Natychmiast.

– Co? Kto dał panu prawo mówienia mi, co mam robić? – Gładko ogolony facet o wychudzonej twarzy i w okularach w drucianej oprawie patrzył na niego z góry.

Nie podziałało.

– Detektyw Cole Thomas. – Wyjął swoją legitymację. – Policja Hrabstwa Hatfield. Proponuję, żeby się pan stąd oddalił.

Facet błogo się uśmiechnął.

– Słucham tylko rozkazów Boga – powiedział pogardliwie. – Tylko Boga. A wy – wskazał ochroniarzy – powinniście zostawić nas w spokoju. Wiem, co mogę, a czego nie mogę robić. – Do jego wyćwiczonej pobożności wkradła się hardość. – O ile mi wiadomo, wolność zgromadzeń wciąż obowiązuje w tym kraju!

Thomas zbliżył się do niego, zmrużył oczy i powiedział poważnie:

– Proszę pana o odejście. Grzecznie proszę. To jednak może się zmienić.

– A ja mówię, żeby się pan odwalił. – Cała jego łagodność gdzieś się ulotniła. – Znam swoje prawa. – Napiął mięśnie i przez chwilę Thomas myślał, że facet może zamachnąć się do ciosu. Proszę bardzo. Nie mógł się doczekać bójki.

Widocznie Thomas emanował tym pragnieniem, bo cios nie padł. Zamiast tego pobożny jełop splunął na ziemię u stóp policjanta, po czym szybko obrócił się na pięcie i ruszył prosto na pulchną kobietę. Potrącił ją, a ona krzyknęła:

– Uwważaj, durniu. – Trzymała żółty transparent z imieniem Jonasa w otoczeniu wielu małych krzyży.

Thomas chciał gonić beczelnego dupka.

– Odsuść – poradziła mu Johnson, przytrzymując go za łokieć.

– Z Whimstick jedzie wsparcie – powiedział Mullins, musiał przekrzyczeć harmider, ale cały czas nie spuszczał z oczu tłumu. – Jest tu kilku policjantów, więc może uda nam się pozbyć choć części z nich. Jeśli odejdą liderzy, reszta może też się poddać.

– Jacy policjanci? – zapytał Thomas. – Tutaj... w szpitalu?

– Tak, kilku.

Thomas poczuł ucisk w żołądku. O ile wiedział, jedyni policjanci w szpitalu mieli za zadanie pilnować Jonasa.

Mullins wyciągał szyję, żeby zobaczyć coś ponad czapkami na głowach.

– Więc gdzie, do cholery, jest to wsparcie? Dupa błada! – Jakaś kobieta w długim płaszczu i z grzechoczącymi na nadgarstku bransoletkami próbowała przepchnąć się koło Mullinsa. – Hej, proszę pani. Może pani zawróci i uda się do domu?

– Pieprz się! – Splunęła i pchała się dalej.

– Niech to...

– A ci policjanci na miejscu? – zapytał Thomas, próbując odzyskać uwagę Mullinsa. – Po co tu przyjechali?

– Dostali zadanie. Mają pilnować McIntyre'a.

– Cholera. – Thomas zauważył, że Johnson trzyma komórkę przy uchu, drugie zatyka palcem i podaje instrukcje rozmówcy, by natychmiast przysłało wsparcie do szpitala Whimstick General. – No tak. Natychmiast! Zaraz dojdzie tu do zamieszek!

Nie myliła się. Nastroje panujące w tłumie zmieniały się z oczekiwania poprzez niecierpliwość aż po bunt. To było coś więcej niż gniew. Energia wibrowała i falowała, pulsowała w zimowym powietrzu. Zobaczył kilku mundurowych wychodzących z windy i spieszących do wyjścia. Rozpoznał ich. To byli policjanci oddelegowani do pilnowania Jonasa McIntyre'a.

Kurwa! Wszystko nie tak. Poczul się jak pionek.

– Musimy rozpędzić tę demonstrację – rzucił do Johnson, w chwili gdy powietrze rozdarł dźwięk syreny.

– Kawaleria – stwierdziła, gdy dźwięk syren się wzmógł.

– Gliny! Ktoś wezwał gliny! – krzyknęła kobieta w żółtym berecie.

Inna kobieta, w dzinsach i długiej kamizelce, wrzasnęła:

– Jonas nadchodzi! Idzie się z nami spotkać!

– Skąd wiesz?

Rozpromieniona, obejmowała dłonią kubek z kawą.

– Przed chwilą rozmawiałam z lekarzem, który powiedział, że właśnie prowadzą Jonasa na dół. Tutaj. Żeby się z nami spotkał.

– Nie chce mi się wierzyć – stwierdził jakiś niedowiarek, a Thomas zauważył, że z furgonetki wysiada ekipa filmowa oraz dziennikarka z Channel 3. Sheila Keegan w grubej, czerwonej kurtce narciarskiej ze śniegiem w kręconych włosach rozglądała się wokół, po czym ruszyła w stronę tłumu, a kamerzysta podążył za nią. On też miał czerwoną kurtkę Channel 3, a na ramieniu dźwigał dużą kamerę.

– Nadchodzi. Jonas nadchodzi! – zawołał ktoś inny.

W tym momencie dziennikarka podniosła wzrok i skupiła spojrzenie na kobiecie w kamizelce.

Pierwsza z kobiet skinęła głową, błyszczały jej oczy i brakowało tchu.

– Przed chwilą dowiedziałam się od lekarza: on nadchodzi!

– To niemożliwe – skwitował Mullins. – Facet jest na lekach. Ten McIntyre. – Podniósł rękę, gdy tłum runął do przodu. – Nikt nie wejdzie, jeśli nie jest pacjentem Whimstick General i...

– On nadchodzi! Nadchodzi! – krzyknęło jeszcze kilka kobiet, napierając na drzwi.

Ki diabeł? Dlaczego ludzie sądzą, że Jonas został wypisany? Zmrużył oczy i spojrzał na otaczające go twarze, wszystkie zarumienione i rozochoczone, na ekipę telewizyjną, która próbowała się rozstawić, na parę starszych ludzi kulącą się koło samochodu na parkingu, wszyscy chcieli wejść do szpitala oprócz... Zerknął na stażystę spieszącego w przeciwną stronę, wciąż w fartuchu z zarzuconą na wierzch kurtką, który pospiesznie przemierzał parking.

Coś mu w nim nie pasowało.

Nie wiedział co dokładnie, ale tak podpowiadał mu instynkt.

– Zaraz wracam – powiedział do Johnson i ruszył przez tłum, szedł coraz szybciej, ale miał wrażenie, że ludzi stojących mu na drodze cały czas przybywa. Stażysta zatrzymał się na chwilę i powiedział coś do kobiety w czarnym, ciepłym płaszczu, która momentalnie się rozpromieniła.

– Nadchodzi! – krzyknęła, unosząc kubek z kawą z pobliskiego sklepu. – Jonas schodzi na dół! – Podbiegła bliżej wejścia z uśmiechem na twarzy.

– Sukinsyn. – Thomas próbował dogonić stażystę, ale tłum rzucił się w przeciwną stronę.

– Hej, Thomas, musisz nam tu pomóc! – przywoływał go Mullins.

– Pomogę. – Ale właśnie w tej chwili jakaś zdeterminowana fanka, drobny rudzielec, zamachnęła się swoim transparentem, żeby utorować sobie drogę do drzwi, przepchnęła się koło Mullinsa i wbiegła do środka. – Jo-nas! Jo-nas! – skandowała.

– Jezu Chryste! – Ochroniarz od razu połączył się przez radio. Jego partnerka próbowała zasłonić drzwi, ale została bezceremonialnie powalona na ziemię. Tłum napał, przedarł się przez pierwsze szklane drzwi, przytrzymał je otwarte, by więcej osób mogło wejść na teren recepcji.

Ludzie rzucili się do przodu, niektórzy przechodzili ponad nią, inni się o nią potykali.

– O, cholera. Nie wyciągaj broni! – rozkazał Mullins, patrząc na leżącą partnerkę i próbując się do niej dostać. – Nie wyciągaj broni!

Ale ona już sięgała do kabury, więc Thomas, który był bliżej, przepchnął się do przodu.

– Nie – powiedział spokojnie, kładąc dłoń na jej dłoni, zanim wyjęła pistolet. Odczytał z identyfikatora, jak się nazywa: MADGE PETROSKI. – Chodź. – Podał jej rękę, wtedy poczuł pchnięcie, ale udało mu się utrzymać na nogach.

– Cofnąć się! – Pomógł jej wstać. – Nic ci nie jest?

– Tak mi się wydaje. – Nie. – Jej ciemne oczy błysnęły, gdy rozejrzała się wokół. – Co za powalone świry! Wariaci – wymamrotała, jej wściekłość była wręcz namacalna. Nie miał jej tego

za złe. Petroski miała rację. Tłum był rozochocony, zachowywał się jak rozjuszona, ruchoma kurtyna. Ludzie byli nakręcení, przekonani, że zaraz zobaczą swojego ukochanego idola. Cholerne go mordercę, gwiazdę dla tych oszalałych kobiet będących na różnych etapach życia. Przyjrzał się twarzom.

– Robi się gorąco.

– Już jest gorąco. – Ale syreny były już coraz bliżej.

– Detektywie! Thomas! – krzyknęła jakaś kobieta. – Cole! Cole Thomas! Mogę z tobą porozmawiać? – Sheila Keegan wymachiwała ręką, próbując zwrócić na siebie jego uwagę, obok niej stał kamerzysta.

Thomas się zdenerwował. Nie miał czasu na udzielanie wywiadu.

– Tylko kilka słów. – Próbowała do niego podejść, ale ignorował ją, szukając stażysty, który niemal biegiem oddalał się od szpitala, jakby czym prędzej chciał się stąd wydostać.

Może po prostu się śpieszy, bo jest spóźniony. Albo mu zimno.

Za późno, żeby się o tym przekonać. Facet już zniknął. Pochłonęła go noc.

Thomas powstrzymał się od przekleństwa. Spieszący się stażysta nie pasował do tego miejsca, a Thomas z doświadczenia wiedział, że to zły znak. Kim, do licha, był? Gdy odwrócił się w stronę szpitala, kątem oka zauważył czerwoną kurtkę Sheili Keegan i na myśl przyszły mu szpitalne kamery. Może znajdzie twarz stażysty na nagraniach. Jeśli facet okaże się czysty, to tym lepiej, jeśli nie, być może uda się go zidentyfikować.

Po raz pierwszy tego dnia Thomas pozwolił sobie na uśmiech.

Ale tylko w duchu.

ROZDZIAŁ 20

Tate dotrzymał słowa.

Kara nie miała pojęcia, jak mu się to udało, ale przed pokojem Jonasa nikogo nie było. Składane krzeselko stało puste, na oparciu wisiała kurtka, a na podłodze zostało porzucone kolorowe czasopismo i papierowy kubek z resztką kawy.

Nie czekała.

Wiedziała, że nie ma zbyt dużo czasu. Zużyła cenne sekundy na ubieranie się we własne rzeczy, które znalazła w szafie w swojej sali.

Potem, prawie nie oddychając, przemknęła niezauważona koło pokoju pielęgniarek. Tylko jedna z nich siedziała przy biurku ze słuchawkami na uszach, plecami do Kary, i była pochłonięta rozmową telefoniczną, energicznie kiwała głową, wpatrując się w monitor komputera i rozmawiając o jakimś pacjencie. Poruszając głową, jednocześnie nawijała na palec kosmyk długich, ciemnych włosów i przypatrywała się jakimś tabelkom.

Kara weszła do sali szpitalnej i zastała brata leżącego na wznak na łóżku, oczy miał do połowy zamknięte, jedną stronę głowy zabandażowaną, pod oczami siniaki. Zamrugał jak w zwolnionym tempie, ściągnął ciemne brwi, jak gdyby próbował skupić na niej wzrok. Powoli oblizał usta, jakby sprawiało mu to ogromny trud.

– Kara? – Mówił zachrypłym tonem. Ledwie go było słychać.

– Cześć. To ja.

Z ciała wystawały mu różne rurki, tuż obok był stojak na kroplówkę. Nad łóżkiem wisiał monitor, na czarnym ekranie wyświetlały się dane o działaniu jego organizmu oraz wykres bicia serca. Nad zarostem skóra Jonasa miała ziemisty kolor.

– Ja.. ja.. – Z wysiłkiem przeniósł wzrok na okno, gdzie niebo przybrało ciemną, ponurą barwę, nadchodził wieczór, wciąż padał śnieg i zbierał się na parapecie. Aparatura przy łóżku cicho zapiszczała. – Ja... muszę... stąd wyjść.

Popatrzyła na rurki i kabelki, bandaże, bledność jego skóry i mętny wzrok, wsłuchiwała się w ciche popiskiwanie sprzętu medycznego.

– Chyba nie zdołam ci pomóc. – Podeszła bliżej chorego. – Musisz wyzdrowieć. Wylizać się z ran.

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Po kształcie szczęki poznała, że jest zły, że bezgłośnie oponuje. Gdy się odezwał, miał chrapliwy głos.

– Będą chcieli mi to przyklepać. Nigdy mnie nie wypuszczą. – Napięły się mięśnie jego żuchwy. – Ale... ja tego nie zrobiłem. Nie zabiłem Merritta, nie zabiłem taty, Sama i... O cholera. – Zaciśnęła usta i zmrużyła oczy. – To ty mnie pogrążyłaś – rzucił, a ona aż skuliła się, słysząc jego oskarżenie. – Twoje zeznanie.

Chciała się bronić, powiedzieć, że szczerze odpowiadała na pytania prokuratora, że jej słowa zostały wypaczone, ponieważ zarzucono ją pytaniami, a gdy siedziała na miejscu świadka, miała tylko osiem lat, ale się powstrzymała. Próbowała mu to wyjaśnić wiele lat temu, ale Jonas nie chciał słuchać jej wyjaśnień i usprawiedliwień. Jego mina wyraźnie wskazywała na to, że jego nastawienie się nie zmieniło. A wręcz jeszcze bardziej utwierdził się w swoim przekonaniu.

Z korytarza dobiegł turkot wózka i Kara aż podskoczyła.

Niedługo, bardzo niedługo odkryją nieobecność policjanta albo sam powróci na swoje miejsce, a Kara zostanie uwięziona w pokoju Jonasa. Czas się kończył.

– Czy Merritt mówił ci, że ktoś mu zagraża?

Jonas tylko patrzył.

– Co masz na myśli?

– Kto mógł go zabić?

– Nie wiem. Miał innych klientów. Może jeden z nich lub... – Uniósł rękę, ale po chwili pozwolił jej opaść. – Ktoś wkurzony. Nie wiem.

– Ale to musi się jakoś łączyć, co nie? Z tym, co stało się tamtej nocy w naszym domu. To dlatego chciał się z tobą spotkać.

– Może.

– To byłby zbyt duży zbieg okoliczności, że w dniu, kiedy cię wypuszczono, ktoś zabija Merritta. Dlaczego? Czy on coś wiedział? Co ci przekazał? Po co chciał się spotkać?

– Nie mówił. Nie miał okazji.

– Ale miałeś swoje powody, by tam pojechać – zauważyła, przypomniał sobie, że według Jonasa Merritt razem z ciotką Faizą doili pieniądze z masy spadkowej. – Chciałeś się z nim rozmówić, prawda? Chciałeś sprawdzić, czy zostały jakieś środki.

– Tak.

– Skąd... Skąd wiedziałeś, że może ich nie być?

– Czasem Margrove rzucał jakieś drobne uwagi. Nic wprost, raczej wzmianki o tym, jak drogie jest prowadzenie tej sprawy, ile pieniędzy pochłania twoja edukacja, że niektóre inwestycje zupełnie nie wypaliły. Chciałem sam to sprawdzić. Oczekiwałem, że przedstawi mi kompletną listę wydatków i kosztów poniesionych przez niego przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Wiedział o tym?

– Tak, próbował zmieniać temat, mówił, że powinienem być wdzięczny, że wyszedłem, i takie tam. – Znowu się nakręcał, a ona usłyszała hałasy za drzwiami. Głosy. Rozejrzała się wokół, szukając jakiejś kryjówki. Nic nie znalazła. Już miała uciekać, kiedy głosy się oddaliły. Nerwy miała napięte do granic możliwości.

– Dobra, muszę iść – rzuciła szybko, robiąc krok w stronę drzwi, gdy coś jeszcze przyszło jej do głowy. Zatrzymała się i odwróciła. – Miałeś jakieś wieści od Marlie?

– Słucham? – wyszeptał i powoli pokręcił głową leżącą na poduszce. – Marlie? Nie...

Czemu pytasz?

– Dostałam wiadomość i ktoś do mnie dzwonił. To było dziwne. Poprzedniej nocy. Brzmiało tak jakby... Chodzi o to, że pomyślałam, że to ona.

– Jakiś głupi dowcip.

– Może.

– Co powiedziała?

– Ona żyje.

– Tylko tyle?

– Tak.

– Ona żyje – powtórzył. – Wobec tego nie była to Marlie, bo ujęłyby to inaczej, prawda? Powiedziałyby na przykład: „Ja żyję”. A nie, że ona żyje.

– Myślałam o tym.

– Może ta osoba, która dzwoniła, nie mówiła o Marlie.

– To o kim?

– Nie wiem – przyznał, wierząc się w łóżku i krzywiąc z bólu. – Ty mi powiedz.

– Nie umiem – odparła. – Myślałam, że może coś o tym wiesz.

– Ja? – Jego spojrzenie nabrało ostrości, gdy pojął. – Dlaczego? Och, czekaj. Rozumiem już! Sądzisz, że to ja zostawiłem ci tę wiadomość? Bo mnie wypuścili z więzienia? Sądzisz, że bałbym się z tobą w taki chory sposób, tak? Kurwa mać, odwal się ode mnie.

Ponownie Kara usłyszała hałas za drzwiami, kroki się zbliżały. Zamarła bez ruchu. A jeśli policjant wrócił? Jak się wytłumaczy? A jeśli to pielęgniarka lub lekarz idą sprawdzić, co u Jonasa? Nie mogli jej nakryć w tym pokoju. Nie chciała zostać nakryta. Jeszcze nie. W każdej chwili ktoś mógł zobaczyć, że w jej pokoju zostało puste łóżko, a jeśli tak się stanie, rozpoczną poszukiwania od sali, w której leży Jonas. Wyraźnie zapowiedziała, że chce go zobaczyć, w obecności personelu medycznego. To był błąd.

A co z policją? Pielęgniarka powiedziała jej, że mieli tu wrócić i zadać jej pytania. Czas się skończył.

– Wrócę – obiecała, ale on chyba nie słuchał, znowu spał. Ostrożnie uchyliła drzwi, wyjrzała na korytarz i wymknęła się z pokoju. Minęła puste krzesło, mężczyznę na wózku jadącego korytarzem oraz półokrągłe stanowisko pielęgniarek, gdzie siedziała ta sama kobieta, nadal odwrócona do niej tyłem.

Kara poruszała się bezszelestnie, dotarła do wind, gdy pielęgniarka odłożyła telefon i zerknęła przez ramię. Jej spojrzenie padło na Karę i szybko wstała.

– Czy mogę pani pomóc? – zapytała, marszcząc brwi.

Kara zamarała.

W duchu modliła się, żeby drzwi windy już się otworzyły. Pielęgniarka odsunęła krzesło, wstała i zdjęła zestaw słuchawkowy, po czym obeszła biurko z telefonem w ręce.

– Na tym piętrze nie ma możliwości odwiedzin o tej porze.

Kara próbowała szybko wymyślić jakieś kłamstwo, ale wiedziała, że zostanie nakryta.

– Już sobie idę.

Cichy dzwonek zasygnalizował przyjazd windy. Dzięki Bogu!

– Co pani tu robiła? – zapytała pielęgniarka, gdy z pokoju pacjenta wyszedł wysoki pielęgniarz. Miał sylwetkę zapaśnika i zatroskaną minę.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Chciałam zobaczyć brata.

– Ale pani sama chyba jest pacjentką – zauważyła kobieta.

Bandaż! Kara zapomniała o opatrunkach przykrywających jej szwy. Dupa błada!

– Brata? A kim on jest? – Pielęgniarka zerknęła w głąb korytarza, gdzie przy drzwiach pokoju Jonasa stało puste krzesło, ale wtedy drzwi windy się otworzyły i Kara z bijącym głośno sercem weszła do środka. – Niech pani poczeka...

Za późno. Kara wcisnęła guzik parteru, po czym przycisk zamykania drzwi. Pielęgniarka była już blisko i przystawiła telefon do ucha.

Na szczęście drzwi się zamknęły i winda zaczęła jechać w dół. Kara widziała jednak, że kobieta do kogoś zadzwoniła, może ze względu na nią, może nie, ale nie chciała mieć do czynienia z zaalarmowaną przez nią osobą. Lekarzem albo administratorem szpitala, a na pewno nie z ochroną ani tym bardziej z policją. Pomyślała, że zatrzyma windę na pierwszym piętrze i skorzysta ze schodów, ale było już za późno. Może będzie miała dość czasu, żeby...

Zatrzymała się na parterze, drzwi się otworzyły na korytarz. Kara zdarła opatrunek z głowy i zaczesła włosy, żeby zakryć stłuczoną część czoła. Wyszła z windy, jednym okiem obserwując drugie drzwi i klatkę schodową, na wypadek gdyby ludzie z drugiego piętra podążyli za nią.

W recepcji rozgrywały się dantejskie sceny: głośne rozmowy, krzyki, kroki, jakieś skandowanie. O Jonasiu. O Boże. Zerknęła w tamtą stronę, zobaczyła tłum ludzi złożony głównie z kobiet w większości dobiegających czterdziestki, niektóre były z dziećmi, inne miały ręcznie wykonane transparenty, wszystkie dotyczące uwolnienia Jonasa.

W ten sposób Wesley Tate zajął policjantów.

Ochroniarze i policjanci próbowali opanować hałas, podczas gdy mężczyzna w ciemnym garniturze – zapewne ktoś z administracji – rozmawiał z dziennikarką w czerwonej kurtce, z włosami mokrymi od topniejącego śniegu. Obok niej stał kamerzysta. Policjanci próbowali wyprowadzić ludzi na zewnątrz, więc Kara skorzystała z nadarzającej się okazji i weszła pomiędzy postawną kobietę w butach na obcasach, w wełnianym płaszczu i z wysoko upiętymi włosami oraz niższą, pulchniejszą panią z kucykiem, w dżinsach i trampkach.

Z duszą na ramieniu unikała kontaktu wzrokowego z ochroniarzem, który wyprowadzał ich grupę przez otwarte drzwi.

Była już prawie wolna.

Gdy wyszła na zewnątrz, zimne powietrze uderzyło ją w policzki, lecz nie zwalniała, idąc po betonowym chodniku pokrytym udeptanym śniegiem. Okrążyła tłum czekający przed szerokimi drzwiami, złożony z kobiet trzymających transparenty. Nie pozwolono im wejść do środka, więc skandowały.

O Jonasiu.

To jakieś wariactwo. Cyrk na kółkach.

Ekipy telewizyjne rozłożyły się wokół szpitala, parkowało tam kilka białych furgonetek oznaczonych logami różnych stacji z Waszyngtonu i Oregonu, zauważyła też kilku freelancerów pracujących dla konkurujących ze sobą gazet, którzy próbowali dostać się do środka, ale zderzali się z ochroniarzem, który najwyraźniej miał za zadanie kontrolę nad tłumem, jako że wejście było oddzielone kordonem.

Kara przyjrzała się zebrany.

Tyle twarzy.

Kilku mężczyzn pomiędzy tłumami kobiet, wiele grup po dwie lub trzy osoby.

Co tu, do licha, robili?

Wtedy ją zobaczyła: jakaś kobieta stała sama koło rzędu wysokich okien. Blond włosy z pasemkami widać było tylko w okolicach karku, ponieważ miała na głowie czerwoną czapkę w białe śnieżynki. Jedną rękę trzymała w kieszeni czarnego, długiego do kostek płaszcza, wokół szyi miała luźno zawiązany szalik, okulary z przyciemnionymi szklami na nosie. Mimo to Kara rozpoznała łuk jej kości policzkowych i ostry kąt szczęki. Na jej brodzie dostrzegła też dołeczek, który pamiętała sprzed lat, bo jako dziecko dotykała go paluszkami. Ale chodziło jeszcze o coś, zapewne o fakt, że twarz miała ukrytą pod grubą warstwą makijażu, który rzucał się w oczy nawet z takiej odległości.

– Marlie – wyszeptała Kara, ścisnęła ją w żołądku, przyspieszył jej oddech. Czy to dzieje się naprawdę? Po takim czasie?

Kara zatrzymała się w pół kroku.

– Uważaj! – zawołała jakaś kobieta idąca za nią, nim wpadła jej na plecy i obie poślizgnęły się na pokrytym lodem betonie, po czym prawie wylądowały na rudowłosej mamie pchającej spacerówkę.

– Co do...? – zdenerwowała się młoda matka, której dziecko uderzyło w płacz, ale Kara już odzyskała równowagę.

– Przepraszam – powiedziała szybko i wyminęła kobietę z wózkiem.

– Uważaj, jak leziesz! – Rudowłosa pochyliła się nad spacerówką. – Już dobrze, dobrze – zagruchała, wyjmując dziecko.

Kara nie zwracała na nią uwagi, wzrokiem przeczesywała tłum, szukała czerwonej czapki, ale wiele osób miało podobne, a kobieta, którą widziała wcześniej, gdzieś zniknęła.

A może wydawało ci się, że ją widziałas.

Ignorując wątpliwości, wyminęła kilka grupek, odwracając głowę od kamer i policjantów, aż dotarła do miejsca, w którym stała tamta. Teraz były tam dwie nastolatki w różowych bluzach i nausznikach. Pozowały przed szpitalem i uśmiechały się do telefonów trzymany w wyciągniętych rękach, robiąc serie selfiaków.

Nastolatki? Tutaj?

Przecież nie było ich jeszcze na świecie, gdy Jonas popadł w niełaskę. Ale nie było tu Marlie. Nie widziała też, by oddalała się stąd jakaś blondynka w czerwonej czapce w śnieżynki.

– Do dupy. – Idąc zygzakiem od jednej pobudzonej grupy ludzi do kolejnej, rozglądała się za kobietą, która tak bardzo przypominała jej zaginioną siostrę.

Przywidziało ci się.

Wszystko przez tę dziwną wiadomość i telefon oraz zwolnienie Jonasa z więzienia. Twój umysł płata ci figle, Kara, to tylko siła sugestii. Nic więcej.

Ale nie była przekonana i powoli obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, wyęzając wzrok i patrząc na twarze.

Była tutaj!

Marlie była dokładnie w tym miejscu.

Nadawca wiadomości i dzwoniący miał rację.

Ona żyła!

– Kara? – usłyszała jakiś ostry głos. – Kara McIntyre?

Kara się załamała na widok dziennikarki. Energiczna, uśmiechnięta kobieta w czerwonej kurtce z logo Channel 3 nadchodziła wraz z kamerzystą niosącym sprzęt na ramieniu.

– Kara McIntyre? – powtórzył ktoś inny. – Czy to nie ten dzieciak, który został zamknięty na strychu? Siostra Jonasa McIntyre'a?

– O Boże. – Kara zaczęła panikować.

– Czy poświęci nam pani minutę? – zapytała kobieta, Sheila Keegan, serdecznie uśmiechając się od ucha do ucha.

Odpowiedź brzmiała: „nie”.

Definitywne i stanowcze NIE.

– Przepraszam. – Kara ruszyła przed siebie. Ale pojawiło się więcej ludzi. Zanim jeszcze zwrócono na nią uwagę. Zanim stała się newsem.

– Jest tu Kara McIntyre? – usłyszała, oddalając się szybkim krokiem, rozglądając się wokół i omijając dobrze oświetlone miejsca. Śnieg ją zasłaniał, gdy próbowała stopić się z tłumem.

Wiedziała, że jest już spóźniona. Tate mógł już odjechać, a ona musiała zorientować się, w którą stronę jedzie się do niej do domu, jako że jej zgnieciony SUV zapewne został odholowany gdzieś na policyjny parking. I tak nie mogłaby nim jechać, bo został z niego wrak.

Nie chciała się teraz tym przejmować, bo właśnie skierowała się w stronę bocznej uliczki, na której lód pokrył zaparkowane auta, śnieg utworzył grubą warstwę na ich maskach i dachach. Pod dachami domów migotały światelka choinkowe, oświetlały też żywopłoty przykryte kołderką ze śniegu.

Święta.

Najbardziej znienawidzona przez nią część roku.

Nikogo tu nie było.

Ludzie siedzieli w swoich przytulnych domach, na ulicy było pusto, nie toczyło się tu żadne życie.

Była tylko ona, szła energicznym krokiem, jej buty stukwały nierówno po zaśnieżonym chodniku. A mimo to nie czuła się sama. Przeszył ją dreszcz, bo wyczuła, że ktoś ją obserwuje, może nawet za nią idzie.

Weź się w garść. Po prostu miałaś kilka trudnych dni. Masz nerwy na wierzchu i wyczulone wszystkie zmysły, to wszystko. Zawsze o tej porze roku jesteś wyjątkowo spięta.

Okres świąteczny zawsze był najgorszy.

W tym roku będzie jeszcze gorzej.

Minęło dwadzieścia lat.

Kamień milowy.

„Rocznica” Masakry Rodziny McIntyre’ów. Już wcześniej były plany, żeby znowu pogrzebać w sprawie. W telewizji ponownie wyświetlono programy o tej brutalnej tragedii, wznowiono książki, w gazetach pojawiły się artykuły, ludzi znowu ogarnęło szaleństwo na punkcie świątecznego horroru z biedną, małą Karą McIntyre w roli bohaterki tragicznej.

– Pieprzenie – mruknęła pod nosem, jej oddech zmienił się w parę, gdy wypatrzyła krzywo stojącego bałwana w pobliżu ganku udekorowanego nadmuchiwanym Mikołajem z workiem, z którego wysypywały się prezenty. Gdy go mijała, Mikołaj jakby ożył.

– Ho, ho, ho! Wesołych świąt! – zawołał, kołysząc lekko torbą z prezentami, bo uszło z niego już sporo powietrza.

– O Jezu! – Kara dosłownie aż podskoczyła.

Przez chwilę sądziła, że to nagłe ożywienie było okrutnym żartem, że ktoś włączył tę okropną figurkę. Ale nie, co prawda serce prawie wyskoczyło jej z piersi i doleciało do stratosfery, lecz uświadomiła sobie, że weszła w zasięg jakiejś ukrytej kamery i niechcący uruchomiła czujnik ruchu, który włączył starego Mikołaja. Mimo to, patrząc na jego błyszczącą buzię, poczuła dotknięcie strachu, które niczym wąż pełzło w dół jej pleców. Namalowane oczy wydawały się niepokojąco okrągłe i wpatrujące się w nią pożądliwie, czerwone usta pod wymalowaną brodą uśmiechały się fałszywie, pokazując zęby. Jak podły klaun w domu strachów.

To znowu sprawka twojej wyobraźni.

Nic więcej!

Najpierw myślisz, że widziałaś swoją dawno zaginioną siostrę, teraz uważasz, że ktoś z tobą pogrywa.

Po prostu się opanuj.

Ale przyspieszyła kroku. Jeszcze tylko dwie przecznice. Modliła się, żeby Tate tam na nią czekał.

Chociaż głośno biło jej serce, wydawało jej się, że słyszy kroki.

Ciche, ale równe, stłumione przez śnieg, lecz wciąż idące za nią.

Obejrzała się przez ramię.

Wyteńczyła wzrok, by coś dostrzec przez sypiący śnieg.

Nic.

A potem to usłyszała.

– Ho, ho, ho! Wesołych świąt! – wypowiedziane tym samym automatycznym głosem.

O Boże drogi.

ROZDZIAŁ 21

Karze prawie stanęło serce.

Odwróciła się i wbiła wzrok w zasłonę z płatków śniegu nieustannie padających z nocnego nieba.

Oddychała płytko jak przerażony królik.

Czy ktoś za nią szedł?

Czy dostrzegła jakiś ruch, cień szybko znikający pomiędzy dwoma zaparkowanymi, zamarniętymi pojazdami zbierającymi śnieg przed domem z potwornym plastikowym Mikołajem?

Nie pozwól, by kontrolę nad tobą przejął strach.

To wszystko dzieje się w twojej głowie.

Co mówi doktor Zhou? „Oddychaj. Myśl o czymś miłym. Uznaj wyższość ducha nad materią. Skonfrontuj się ze swoim strachem”.

Ale milczący teraz Mikołaj znowu się napompował, w nocnej ciszy słychać było hałas jego pompki. Coś lub ktoś uruchomił wykrywacz ruchu.

– Cholera!

Nie mogła marnować czasu na zastanawianie się nad tym.

Tylko dwie przecznice do przykościelnego parkingu.

Z dudniącym sercem zaczęła biec. Coraz szybciej; trochę się ślizgała na śniegu, łapczywie łykała powietrze.

To się dzieje tylko w twojej głowie, Kara, tylko w głowie! Nie dbała o to. Nie była dość silna, żeby się odwrócić i poczekać, aż serce wróci do normalnego tempa lub ktoś naprawdę na nią napadnie. Nie zamierzała ryzykować.

Tup, tup, tup! Jej stopy wygrywały szaleńczą melodię, napędzało je bicie jej serca.

Mknęła przez wąską, pustą ulicę.

Tup, tup, tup!

Nie wiedziała, czy to jej wyobraźnia, czy ktoś naprawdę ją śledzi, ale biegiem zbliżała się do ostatniego zakrętu i modliła się, żeby Tate tam na nią czekał. Żeby jeszcze nie odjechał. Żeby...

Wypadła za róg i na parkingu pod starym kościołem zobaczyła jeden samochód, czarną toyotę RAV4.

Tate siedział za kierownicą, jego twarz oświetlał jakiś ekran, z którego czytał.

Chyba zauważył ją kątem oka, bo podniósł głowę i popatrzył, jak biegnie przez parking i dopada jego SUV-a.

– Jedźmy – powiedziała, wsiadając do ciepłego wnętrza i zatraskując za sobą drzwi. – Ruszaj!

– Problemy? – zapytał, marszcząc brwi.

– Sama nie wiem. Po prostu spadajmy stąd.

– Dobrze. – Odłożył iPada, po czym zerknąwszy w lusterka, wyjechał z pustego parkingu.

Kara wytarła parę z bocznej szyby, żeby mieć lepszy widok na ulicę. Niczego nie zauważyła. Okolica była spokojna, nikt nie czał się w zaroślach ani nie chował za latarnią. Powoli wypuściła powietrze.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Pomyślała o Marlie i o kobiecie, którą jeszcze kilka sekund temu brała za swoją zaginioną siostrę.

– Widziałam tylko dziwnego Mikołaja.

– Dziwnego? – Zwolnił przed znakiem stopu. – Mikołaja?

– Nieważne. Stał przy jednym z tych świątecznie ozdobionych domów. Był nadmuchiwany. Przestraszyłam się, ale już w porządku. – W toyocie czuła się bezpieczniej, świeciła deska rozdzielcza, ciepłe powietrze wydobywało się z nawiewów, drzwi i okna były szczelnie zamknięte.

Tate nie miał już na sobie szpitalnego fartucha, przebrał się w dżinsy, koszulę i kurtkę ze skóry.

– Dokąd? – zapytał.

– Najpierw do mnie do domu.

– Może tam być policja.

– Nie uciekam przed policją.

– Chcesz z nimi rozmawiać?

– Nie, jeszcze nie.

– Mogą tam też być dziennikarze.

– Jadę z dziennikarzem – odparła z przekąsem. Drgnął kącik jego ust, pod cieniem zarostu ukazał się dołeczek. Tate miał rozczochrane włosy, a kiedy na nią spojrział, w jego oczach pojawiło się rozbawienie, jakby według niego ta sytuacja była zabawna.

– Prawda, i to z najlepszym.

– Z pewnością najskromniejszym. – Po chwili jednak spowaźniała. – Słuchaj, muszę zatrzymać się koło domu. Pospiesz się. Muszę nakarmić psa i zabrać trochę ubrań.

– Możesz napytać sobie biedy – stwierdził.

– Większej niż teraz?

– Nie, chyba nie. – Roześmiał się.

– Chyba nie. – Założyła ręce na piersi, opadła plecami na siedzenie i popatrzyła przez szybę.

– Z tyłu jest koc – oznajmił i zanim zdążyła zaprotestować, wyciągnął cienki śpiwór, po czym rzucił go jej na kolana, prowadząc jedną ręką. Na szczęście na drogach nie było wiele aut. Mimo to wzdrygnęła się, kiedy nadjeżdżający z naprzeciwka samochód wjechał na środkową linię. Wciąż była przewrażliwiona po wypadku, który zdarzył się tak niedawno i miał tak gwałtowny przebieg.

– Co wiadomo o kierowcy ciężarówki? – zapytała, podciągając śpiwór pod brodę i wachając ulotny zapach dymu z ogniska i stęchlizny. – O tym facecie, który jechał z naprzeciwka. – Oczami wyobraźni widziała zbliżający się gigantyczny zderzak, słyszała trzask pękającego szkła, zginięcie metalu.

– Jest na intensywnej terapii w Portland.

– Przeżyje?

Zawahał się.

– Nie wiadomo.

– Może nie – powiedziała cicho i ponownie przetarła szybę od strony pasażera, bo znowu zdążyła zaparować. Kara nie pamiętała wszystkich szczegółów tego okropnego wypadku, ale czuła odpowiedzialność za życie tego mężczyzny.

– Może nie. – Mówił poważnie, jego twarz widoczna była w świetle padającym z deski rozdzielczej.

– Boże, ale okropnie. – Przełknęła ślinę, próbując pozbyć się fali poczucia winy. Mniejsza o powód, nie powinna była prowadzić tak nieodpowiedzialnie, tak bez kontroli, zaraz po tym, jak doznała szoku na widok zabitego Margrove'a i Jonasa na jej tylnym siedzeniu. Gdyby tylko została na miejscu i czekała na przyjazd policji, tak jak jej sugerowano, kierowca ciężarówki cieszyłby się zdrowiem.

Czyżby? Jakie były szanse na to, że mogłabyś poczekać na przyjazd policji, Kara? Jonas już ukrywał się w twoim samochodzie. Nie pozwoliłby na to. Kazałby ci zawieźć się na postój dla ciężarówek przy autostradzie lub zabrał ci jeepa.

Nie mogła dać się zdominować tym myślom. Odchrząknęła i wskazała wciąż świecącego się iPada Tate'a.

– Co jeszcze wiesz o kierowcy? Sądzę, że już go prześwietliłeś.

Tate zwolnił na czerwonym, odczekał, aż jadące prostopadle pojazdy przejechały przez skrzyżowanie.

– Nazywa się Sven Aaronsen. Mieszka w Boise. Posiada dwie ciężarówki, tę, którą prowadził, i jeszcze jedną. Ma czterdzieści siedem lat, rozwiedziony, dorosła córka, która w zeszłym roku wyszła za mąż. Kilka razy siedział, dziesięć lat temu za przemoc domową i za jazdę pod wpływem cztery lata później.

– I nadal jest kierowcą ciężarówki? – zdziwiła się.

– Samozatrudniony. Tak jak mówiłem, ma firmę. Zatrudnia jeszcze jednego kierowcę.

Zrobiło jej się niedobrze. Opadła z sił. Oparła się o szybę.

– Zabierz mnie do domu – poprosiła.

– Jesteś pewna? Może tam być policja.

– Niech sobie będzie. – Zerknęła na niego, gdy przejeżdżali koło szpitala, widziała radiowozy, migające koguty, kilku policjantów, którzy próbowali rozpędzić coraz większy tłum fanów Jonasa, którzy sądzą, że był jakimś newage’owym mesjaszem.

– To twoja robota? – Pokazała palcem wzburzony tłum ciągnący się aż do portyku szpitala.

– Przyszli z własnej woli. Improvizowałem. Podpuściłem kilka osób, powiedziałem im, że Jonas zaraz do nich zejdzie, żeby się przywitać.

– Wyjdzie z sali? – Nie wierzyła.

– Najlepsze, co mi przyszło do głowy. Na szczęście niektórzy to kupili. – Skręcił za róg i ruszył w stronę jej domu. – Zadziałało, co nie?

– Całkiem dobrze.

Kiedy dotarli pod jej dom, kazała mu zaparkować ulicę wcześniej.

– Wróć za pięć, może dziesięć minut. Jeśli nie, to możesz odjechać.

Następnie przeszła kilkanaście metrów i tylnymi drzwiami dostała się do domu. Rapsodia oszalała na jej widok.

– Wiem, wiem, przepraszam – mruknęła Kara, zastanawiając się nad tym, że czuje potrzebę usprawiedliwiania się przed psem, który kręcił bączki u jej stóp. Wypuściła go na dwór, po czym nałożyła mu jedzenia do miski i sprawdziła wodę. Gdy Rapsodia wróciła, Kara zamknęła za nią drzwi i weszła na górę. Głowa bolała ją coraz bardziej, musiała wziąć prysznic. Ale nie miała na to czasu. Nie chciała mieć do czynienia z policją, jeszcze nie, a była pewna, że zjawią się tutaj za parę chwil.

Puls skakał jej przy każdym hałasie, ale szybko zapakowała trochę ubrań do torby. Wtedy usłyszała wchodzącego na górę psa.

– Ty też jedziesz – oświadczyła i wrzuciwszy do torby kosmetyczkę, szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów, zatrzymała się przy szafce z lekami, znalazła buteleczkę Aleve i bez popijania połknęła dwie żelowe kapsułki. Potem dołożyła buteleczkę do torby, zasunęła suwak i zbiegła po schodach, zatrzymała się tylko po to, żeby założyć płaszcz i kozaki, zabrać smycz Rapsodii wiszącą koło spiżarni i przypiąć ją do jej obroży.

Dziesięć sekund później zamknęła za sobą tylne drzwi i po swoich śladach wróciła w miejsce, gdzie koło pokrytego śniegiem żywopłotu stała czarna toyota Tate’a.

– Widzisz? – zapytał, gdy wsiadła z psem. Wskazał palcem furgonetkę zaparkowaną dalej na ulicy.

– Tak? – Usiadła na miejscu pasażera; Rapsodia położyła się u jej stóp.

– Fotograf. Freelancer.

– Skąd wiesz? – Zapięła pas i spojrzała na furgonetkę.

– Pracował dla mnie.

– Aha. – Posłała mu podejrzliwe spojrzenie. – Fantastycznie.

– Ale teraz nie pracuje. Wynajął go ktoś inny albo na własną rękę próbuje zrobić jakieś foty, żeby potem je opchnąć. – Wrzucił bieg i odjechał. – Pojawił się jako pierwszy.

– Ty byłeś pierwszy – przypomniała mu.

– Nie będę oponował.

Miał jednak rację. Niedługo koło jej domu pojawią się tłumy policjantów, dziennikarzy i fotografów. Wszyscy będą mieć miliony pytań, na których większość nie będzie chciała odpowiedzieć. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Gdy mijali furgonetkę, zauważyła mężczyznę w czapce z daszkiem gapiącego się na jej dom, wiedziała więc, że gdyby została w domu, musiałaby zmierzyć się z napływem mediów. Reporterzy biwakowaliby na jej podwórku, fotografowie celowałiby w nią obiektywami aparatów, sąsiedzi i ciekawscy nagrywaliby ją telefonami, zjawiłaby się też policja. Kara musiałaby z nimi porozmawiać, ale jeszcze nie była na to gotowa.

– Możesz zawieźć mnie do hotelu na Wheeler Street – powiedziała, po czym spojrzała na Rapsodię i poklepała ją po łbie. – To znaczy, jeśli można tam zatrzymać się z psem.

– Nie wiesz?

– Nie i nie mam telefonu... czekaj. – Zajrzała do torebki i wyjęła iPada. – To wystarczy... –

Jechali w stronę centrum, gdy otworzyła stronę hotelu. – Nie. Nie można z psem, poza tym nie mają wolnych pokoi.

– Już prawie święta. Wszystko porezerwowane. – Podkreślił ogrzewanie, wiatraczek zrobił się głośniejszy, ale do środka napłynęło więcej ciepłego powietrza.

– Jest jeszcze jeden, ten motel na wschodzie miasta... – Znalazła motel o nazwie Słodki Sen, otworzyła stronę i odkryła, że owszem, mają darmowe wi-fi, śniadanie kontynentalne i zwierzęta są tam mile widziane, ale nie ma wolnych pokoi. – Tam też nie ma nic wolnego. Kurde.

– To może pojedziesz do domu ciotki?

– Do Faizy? – zdziwiła się i pokręciła głową na myśl o siostrze matki.

– Może więc do jakiejś kuzynki? Przyjaciółki?

– Nie mieszkają tu żadni moi kuzyni i... nie mam przyjaciółek. – To było smutne, ale prawdziwe. Nigdy z nikim się nie zaprzyjaźniła, miała tylko znajome, które poznała w szkole, dziewczyny, które zafascynowały się nią ze względu na przeżytą przez nią traumę, złą sławę, która się z tym łączyła, jakby była jakąś tragiczną, zhańbioną celebrytką. I nigdy nie pracowała w jednym miejscu na tyle długo, żeby z kimś się zakolegować, żeby poczuć na tyle silną sympatię do jakiegoś współpracownika, by stał się jej przyjacielem, któremu mogłaby zaufać, opowiedzieć o swoich nadziejach, obawach, marzeniach i koszmarach. Być może stało się to dlatego, że nauczyła się rezerwy, trzymania ludzi i pytań na dystans albo też ludzie unikali dziewczyny, która przeżyła krwawą jatkę, w której zginęła cała jej rodzina.

– Yy, nie ma nikogo takiego – przyznała, czując współczucie dla siebie samej. Odchrząknęła, oczyszczając gardło i umysł, po czym odsunęła od siebie to żalosne uczucie; już dawno się nauczyła, że uzalanie się nad sobą przynosi jeszcze bardziej opłakane skutki. – Z pewnością coś znajdę – powiedziała i ponownie skupiła się na iPadzie.

– Dobrze. – Zwolnił przed zakrętem, po czym zaryzykował propozycję. – Możesz zatrzymać się u mnie.

– Słucham? U ciebie? Nie! – Kręcąc głową, wyszukała kolejny motel, ale niczego nie znalazła w mieście. – Boże, nie. To nie jest dobry pomysł, ale... ale dziękuję. – Zerkała na niego kątem oka. A może? Nie. – Być może znajdę coś przy osiemdziesiątej czwartej.

– Zapomnij. Część międzystanowej jest wyłączona z ruchu.

– Co? – Popatrzyła na niego. – Jak to wyłączona?

– Mhm. Zamknęli część drogi. Ze względu na opady. Wąwóz jest nieprzejezdny.

– Żartujesz sobie. – Ale z jego miny wywnioskowała, że nie żartował, wiedziała też, że czasami zimą, gdy rozszalała się burza śnieżna, padał marznący deszcz, droga była pokryta lodem i śniegiem, zamykano niebezpieczny odcinek ciągnący się nad wąwozem, w którym płynęła Kolumbia.

Zerknął na iPada.

– Sprawdź w Google „warunki na drodze”.

Sprawdziła. Oczywiście miał rację.

– O cholera.

– Słuchaj. Możesz przewaletować u mnie, dopóki czegoś nie znajdziemy. Żaden problem. – Posłał jej uśmiech, pierwszy prawdziwy, jaki widziała, białe zęby błysnęły w ciemnym wnętrzu samochodu, jego twarz częściowo oświetlały lampki z deski rozdzielczej. – No i masz szczęście. Mam wolny pokój i toleruję psy.

– Bardzo śmieszne.

– No – zgodził się, spoważniał. Wjechał w boczną drogę, która łączyła się z ulicą biegnącą równoległe do rzeki. – Tak sądziłem.

Dosłownie trzeba było zgody Kongresu, żeby Thomas i Johnson mogli wejść do sali Jonasa McIntyre’a, a kiedy się tam dostali, pacjent był małowówny i odmówił składania zeznań.

– Chcemy tylko wiedzieć, co pan robił w domu Merritta Margrove’a – wyjaśnił Thomas, ale McIntyre, jeśli w ogóle ich słyszał, nie powiedział ani słowa. Ani razu nie spojrzął im w oczy i mieli wrażenie, że jest w stanie bliskim śpiączki, gdy tak leżał w łóżku podłączony do szpitalnego sprzętu.

Tylko udawał.

Według personelu, Jonas McIntyre rozmawiał z pielęgniarkami i, jak się zdawało, także

z siostrą. Okazało się, że Kara McIntyre opuściła szpital wbrew zaleceniom lekarskim, oddaliła się w pośpiechu, kilka pielęgniarek na tym piętrze widziało, jak wchodzi do windy, zapewne po tym, jak odbyła rozmowę z bratem, kiedy oddelegowany do pilnowania go policjant został wezwany do pomocy przy opanowaniu tłumu, który chciał się wedrzeć do środka.

Wszystko to wyglądało podejrzanie, a Thomasa dręczyło przecucie, że został wykiwany. Jeszcze tylko nie wiedział jak.

Spróbował po raz ostatni.

– Słuchaj, McIntyre, chcemy jedynie się dowiedzieć, co robiłeś w przyczepie Margrove’a. Co tam widziałeś. Kogo widziałeś. I przede wszystkim, po co tam przyjechałeś. Proste odpowiedzi.

Żadnej reakcji.

Jedynie błysk w jego oku.

Lekko zamrugał.

Thomas z frustracji zazgrzytał zębami. Jonas go słyszał. Wiedział o tym, ale facet, chociaż leżał obolały w szpitalu, nie chciał puścić pary z ust. Dwadzieścia lat w więzieniu nauczyło go, jak ukrywać emocje i jak je kontrolować.

Thomas zerknął ponad łóżkiem na Johnson, która pokręciła głową, potwierdzając, że ta bitwa jest przegrana. Miała rację. Wiedział o tym, ale strasznie go to wkurzyło.

– No dobrze, chodźmy – rzucił i ruszył do drzwi. W korytarzu strażnik wdał się w dyskusję z filigranową kobietą po trzydziestce z włosami w dwóch kolorach, które sięgały do połowy jej pleców. Miała wydatne usta i jasnoniebieskie oczy, które ciskały błyskawice.

– Mówiłam panu, jestem jego dziewczyną! – powiedziała, odrzucając włosy przez ramię. – Muszę go zobaczyć.

Ale policjant, który już został zrugany za wcześniejsze opuszczenie posterunku, nie chciał jej ulec.

– Nikt nie może się z nim zobaczyć.

– W zasadzie jestem jego najbliższą osobą!

W ich stronę zmierzała pielęgniarka.

– Nie możemy się na to zgodzić – wyjaśniła. – Pacjent musi odpoczywać.

– „Pacjent” jest moim chłopakiem, o ile mi wiadomo nie został aresztowany, więc chcę go zobaczyć. Jest wolnym człowiekiem. – Była ubrana w czarne rajstopy, ciężkie buty w stylu wojskowym, sweter, który ledwie sięgał dołu jej pleców, dżinsową kurtkę i duży naszyjnik z drewnianych koralików i drewnianego krzyża, który wyglądał jak różaniec. Może to był różaniec. Thomas nie potrafił tego stwierdzić.

Przedstawił się.

– Twierdzi pani, że jest dziewczyną Jonasa? – zapytał. – Jak się pani nazywa?

– Mia. – Założyła ręce na piersi i wysunęła brodę, cała jej postawa wyrażała bunt. – Mia Long. Chcę się zobaczyć z Jonasem.

– To niemożliwe.

– Jakie prawo mi tego zabrania? – dopytywała.

– Przepisy szpitalne – wtrąciła pielęgniarka.

– Oraz jurysdykcja hrabstwa – dodał Thomas.

– Więęc to tak? – Zmrużyła obrysowane kreską i grubą warstwą tuszu oczy i wycelowała w Thomasa palec z czarnym lakierem na paznokciu. – Znowu go aresztujecie? Przecież dopiero co wyszedł. Jest wolnym człowiekiem. Nie możecie znowu go aresztować. Nie za, cóż, wiecie, za to, co stało się dwadzieścia lat temu.

– Próbowaliśmy z nim porozmawiać. Nie jest aresztowany – wyjaśnił.

– Ale przed jego pokojem stoi policjant i nikomu nie pozwala go zobaczyć. Nawet mnie. – Wysunęła brodę do przodu, zrobiła krok, nadal oskarżycielsko celując palcem. – To wy zastawiliście na niego pułapkę, aresztowaliście go i skazaliście. Przez was spędził dwadzieścia lat życia, dwadzieścia pieprzonych lat, połowę życia za kratkami z mordercami, gwałcicielami i przestępcami. – Była tak rozemocjonowana, że aż się trzęsła. – Doznał tam przemocy. Wiedzieliście o tym? Tak? – Nie czekała na odpowiedź. – Jonas McIntyre był niemal dzieckiem, kiedy trafił do więzienia. Cierpiał. Naprawdę cierpiał. Przez lata. A teraz... teraz próbujecie znowu go posadzić na pod-

stawie jakichś wydumanych zarzutów! Nie zgadzam się na to. Tysiące ludzi wie, że to był przekręt, bo policji nie chciało się szukać sprawcy, więc oskarżono go o przestępstwa, których nie popełnił. Nie zgadzamy się z tym i nie spoczniemy, dopóki nie zostanie oczyszczony.

– Proszę się uspokoić – odparła Johnson. – Nikt o nic nie oskarża Jonasa. Próbujemy się tylko dowiedzieć, co stało się w domku Merritta Margrove’a w górach.

– Była tam pani? – zapytał Thomas, dodając dwa do dwóch i spojrzął w jej płonące gniewem oczy.

Zamrugła. To ją zbiło z tropu.

– Nie, tylko go podwiozłam.

– A potem?

– Kazał mi czekać, aż zadzwoni, więc czekałam, a wtedy... wtedy powiedział, że z kimś jedzie i że możemy się spotkać na parkingu dla ciężarówek przy osiemdziesiątej czwartej. W Przy-stani u Hala, tuż za The Dalles.

– Pojechała tam pani? – zapytała Johnson. – Ten odcinek drogi jest zamknięty.

– Tak! Hej... O co chodzi? – rzuciła Mia, już mniej pewna swego. – To było zanim zamknęto drogę i nic nie wiem o tym, co się stało w tamtym domku. Zawiozłam tam Jonasa, wysiadł z samochodu, a ja odjechałam. Koniec historii.

– Czy Jonas coś mówił? – zapytał Thomas. – O Margrovie? Po co jechał do niego?

– Nie, tylko tyle, że mają się tam spotkać. – Nagle się zaniepokoiła.

Johnson spojrzała na dziewczynę.

– A wtedy gdy zadzwonił, żeby powiedzieć, że ktoś go podwiezie? Że nie musi pani po niego przyjeżdżać?

– To ja zadzwoniłam – wyjaśniła. – Zaczęłam się niepokoić. Byłam w Kreb’s Corners na parkingu dla ciężarówek i ludzie zaczęli mówić, że zamkną drogę, więc chciałam sprawdzić, co u niego.

– I co było, jak pani zadzwoniła? – naciskał Thomas.

Mia przestąpiła z nogi na nogę.

– Miałam wrażenie, że jest spanikowany, jakby zasapany i... – Wydęła usta i przygryzła wargę. – O co chodzi? Potrzebuję prawnika?

– Co się tutaj dzieje? – zapytała poirytowana pielęgniarka. – To szpital, nie pokój przesłuchań. Proszę przenieść się z tym gdzie indziej. Mamy tu pacjentów...

– Zasapany i? Jaki? – wcięła się Johnson, ignorując blondwłosą pielęgniarkę i wbijając wzrok w Mię.

Thomas zwrócił się do pielęgniarki.

– Już tu kończymy, chcieliśmy tylko zadać kilka pytań. – A do Mii powiedział: – Jeśli pani chce, może wezwać prawnika.

Mia spojrzała spode łba, jakby policjanci i pielęgniarka byli jej zaprzysięgłymi wrogami.

– Nie odpowiem już na żadne pytania, dopóki nie zobaczę Jonasa.

– To niemożliwe – oświadczyła pielęgniarka. – Żadnych gości. I kropka.

– Ale oni byli w jego pokoju! – zajęczała Mia, wskazując policjantów.

– Bo mają do tego prawo. – Pielęgniarka coraz bardziej się denerwowała, do tego zaczął dzwonić telefon na stanowisku dla personelu. – Może zechcieliby państwo przenieść tę rozmowę poza szpitalny korytarz? – Uniosła brwi ponad oprawki zbyt dużych okularów. – Są tu spokojniejsze miejsca, nawet sale konferencyjne...

– Albo na komisariat – wtrąciła Johnson, najwyraźniej zmęczona teatrykiem odstawianym przez Mię. – Możemy jechać.

– Słucham? – Mia nagle pobladła. – Nie... Nie, to się nie dzieje.

– Ale musicie już stąd iść – zdecydowała pielęgniarka. Spojrzała na Thomasa. – W tej chwili.

– Nigdzie nie idę, dopóki nie zobaczę Jonasa. – Mia stanęła koło wind z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Dobrze. – Pielęgniarka miała jej serdecznie dość, cały czas dzwonił telefon. – Już wezwałam ochronę, zaraz się tu zjawi i wyprowadzi panią z budynku.

– Ale to budynek publiczny.

– Prywatny i, być może pani nie uwierzy, przede wszystkim zajmujemy się zdrowiem naszych pacjentów, także pani chłopaka, więc dalej, proszę stąd iść. – Wyglądała spokojnie, jej głos brzmiał bardzo stanowczo. – Inni pacjenci mnie potrzebują. – Powiedziawszy to, podeszła do półokrągłego stanowiska i podniosła słuchawkę, ani na moment nie spuszczając z oczu małej grupy. Tymczasem winda zadzwoniła i otworzyły się drzwi. – Drugie piętro. Tu Evelyn Mathers. Proszę chwilę poczekać.

Z windy wyszła ochroniarka Madge Petroski, ta sama, której Thomas pomógł wstać piętnaście minut wcześniej. Petroski miała zaciśnięte usta, spięte mięśnie, wyglądała jak wilk polujący na kulejącego, osłabionego jelenia.

– Co tu się dzieje? – zapytała. Ani trochę się nie rozluźniła na widok Thomasa.

– Trzeba wyprowadzić panią Long – odpowiedział Thomas. A do pielęgniarki rzucił: – Wychodzimy, ale gdyby pojawił się jakiś problem – pošłał znaczące spojrzenie w stronę policjanta pilnującego wejścia do pokoju McIntyre’a – proszę nas poinformować.

– Dobrze. – Pielęgniarka skinęła głową z poważną miną.

Ochroniarka zwróciła się do Mii.

– Proszę za mną. – Zanim jednak zdołała ją wziąć pod rękę, młodsza z kobiet weszła do otwartej windy.

– Dzięki. Wrócimy tutaj – powiedziała Johnson do pielęgniarki.

– Wspaniale – odpowiedziała tamta z uśmiechem zimnym niczym powiew wiatru znad bieguny. – Wprost... cudownie. – Po czym skupiła się znowu na słuchawce.

– Zawsze wywierasz takie wrażenie na ludziach, których poznajesz? – zapytała Johnson. – Co za niesamowita umiejętność zjednywania sobie wrogów, gdziekolwiek pójdiesz.

– Taki mam talent – przyznał Thomas, gdy czekali na drugą windę, przepuściwszy pielęgniarkę pchającego na wózku starszego mężczyznę. – Prawdziwe błogosławieństwo.

ROZDZIAŁ 22

Kara sprawdziła zamek w drzwiach łazienki w mieszkaniu Tate'a, po czym weszła do ciasnej kabiny prysznicowej. Wcześniej odkręciła gorącą wodę, która zaparowała niewielkie pomieszczenie zajmujące kąt jego loftu. Cienkie jak igiełki strumienie wody doskonale rozluźniały jej napięte mięśnie, które nie zaznały ulgi, odkąd odkryła ciało Merritta i omal nie doznała ataku serca, gdy w samochodzie pojawił się jej brat. Potem przydarzył jej się wypadek, po którym ocknęła się w szpitalu, skąd uciekła i teraz była... była sama, naga, w domu mężczyzny, którego prawie nie znała i nie darzyła zaufaniem.

Świetnie, Kara. To co teraz? Utknąłeś tu bez telefonu, samochodu ani cholernego przyjaciela, do którego mogłabyś zadzwonić. Masz tylko ciotkę Faizę.

– Nie! – powiedziała na głos i aż się przestraszyła. *Cóż, wobec tego policję. Musisz z nimi porozmawiać, wyjaśnić, jak znalazłaś ciało Merritta, jak Jonas ukrył się w jeepie i jak ciężarówka jadąca z naprzeciwka wpadła w poślizg.*

Zamrugnęła. Pomyślała o kierowcy ciężarówki i zakłuło ją w sercu. Wiedziała, że wypadek nie zdarzył się z jej winy, a Jonas poprze ją w tej kwestii, ale był byłym więźniem, wszyscy uważali, że jest kłamcą i mordercą, więc nie do końca nadawał się na świadka, poza tym we wraku walały się buteleczki po wódce, które sugerowały, że mogła być pod wpływem alkoholu.

Z pewnością jednak zbadali jej krew, gdy była w szpitalu... Boże, to wszystko było takie skomplikowane.

– Hej! – Usłyszała głośnie pukanie do drzwi. – Wszystko z tobą w porządku? – zawołał Tate, stojąc po drugiej stronie cienkiej ściany.

– Tak, tak, chwileczkę. – Użyła jego szamponu, spieniła go i spłukała, potem nałożyła odżywkę, która miała stanowczo męski zapach, ale w sumie kogo to obchodziło? Na pewno nie ją i nie Wesleya Tate'a.

Poruszała ramionami i szyją, lekko się skrzywiła, bo wciąż czuła ból, i napomniała samą siebie, żeby mieć się przed nim na baczności. Owszem, podburzył fanów w szpitalu, żeby mogła uciec, ale wciąż był tym samym facetem, który stanął jej na drodze, gdy wycofywała z podjazdu, żeby tylko wyłudzić od niej wywiad na wyłączność. Zakręciła wodę, rury cicho zapiszczały, i przypomniała sobie o tym ważnym fakcie. Och, pewnie, był czarujący i pomocny, był też przystojny w ten szorstki sposób, jakby w ogóle nie przywiązywał do tego wagi, ale to nie wszystko. Teraz jej to nie satysfakcjonowało. Zawsze interesowała się zupełnie nieodpowiednimi facetami. W sprawach sercowych postępowała w taki nierozważny sposób, co zapewne jakoś wiązało się z tą cholerną tragedią, której doświadczyła.

Doktor Zhou nie określała tego w ten sposób, ale nie trzeba było psychologa, żeby połączyć kropki.

Nie zamierzała zdawać się na niego. O, nie.

Za nic w świecie tu nie zostanie, chociaż zgodziła się zatrzymać tu na chwilę, żeby wziąć prysznic, przebrać się i pozbierać myśli. Tate był, jak to mówią, portem, do którego zawinęła podczas sztormu.

Tymczasowym portem, upomniała się, susząc włosy ręcznikiem, który dostała od niego. Potem, wytarłszy parę z lustra zawieszono nad małą, praktyczną umywalką, sprawdziła szwy na głowie. Skóra wokół nich wciąż bolała, ale przeżyje, mogła zrobić przedziałek i przykryć strup, który prawdopodobnie zaczął się już tworzyć. Makijaż dobrze robi jej twarzy, ale miała też długiego siniaka ciągnącego się od ramienia w dół klatki piersiowej, którego zawdzięczała pasowi bezpieczeństwa.

Zejdzie dopiero za kilka tygodni.

Nie mogła nic z nim zrobić i nie miała czasu, żeby o tym myśleć, założyła więc świeże dżinsy i obszerną bluzę. Następnie szybko osuszywszy włosy ręcznikiem, wyszła na bosaka z łazienki i znalazła się w dużym pokoju z wysokim sufitem, rurami biegnącymi po wierzchu i oknami, które zajmowały całą jedną ścianę, ukazując zabójczy widok na zakręt rzeki.

Ponownie przypomniła sobie, że nie może tu zostać. Absolutnie nie. To tylko szybki przystanek na drodze, w którym ma nadzieję poukładać myśli i zebrać się na odwagę, żeby porozmawiać z policją.

Jak będzie gotowa.

Kiedykolwiek, do licha, miałyby to nastąpić.

Rapsodia jednak już się zadomowiła, znalazła sobie miejsce na porządnie zasłanym łóżku Tate'a przykrytym granatową kołdrą.

Susząc włosy, Kara pomyślała o swoim niezasłanym łóżku z pogniecioną kołdrą, butelkami wina stojącymi na stoliku nocnym w przytulnej, lecz zabałaganionej sypialni. Ten duży, surowy pokój stanowił jej całkowite przeciwieństwo.

Tate'owi chyba nie przeszkadzało to, że pies poprzesuwał jego poduszki, zanim zwinął się na łóżku i obserwował go przy pracy. Zdjął kurtkę i flanelową koszulę, ale ciągle miał na sobie czarną koszulkę z długim rękawem i džinsy. Włosy miał w nieładzie. Pochylał się nad stołem z telefonem przy uchu, wpatrywał się w ekran otwartego laptopa i przesuwał wzrokiem po tekście wyświetlonym na monitorze.

Nie odrywał od niego wzroku, chociaż musiał wyczuć, że weszła do pokoju, bo wolną ręką przywołał ją do aneksu kuchennego, gdzie zauważyła ekspres do kawy i kapsułki z różnymi smakami i rodzajami kawy, herbaty i gorącej czekolady.

Ale nigdzie nie widziała otwartej butelki wina.

Na barze ani jednej butelki wódki czy whiskey koło wiaderka z lodem i mikserem do drinków.

Powiedziała sobie, że nie musi pić, ale jakiś cichy głosik w jej głowie twierdził, że jest kłamczuchą.

Tylko odrobinę, namawiał.

No, dalej.

Coś na ukojenie nerwów.

Nic poważnego.

Niemniej jednak nigdzie nie było ani śladu alkoholu, chociaż rozejrzała się ponownie, przebiegła wzrokiem półki i blaty, zastanawiając się, gdzie, o ile miał jakiś alkohol, może go trzymać. Jako że nie za bardzo mogła grzebać mu w szafkach, postanowiła zrobić sobie czarną kawę. Nastawiając uszu, wzięła kubek, wybrała najsilniejszą mieszankę kawy i wcisnęła przycisk. Woda zabulgotała, buchnęła para i do kubka poleciał wrzątek. Wtedy usłyszała, że Tate kończy rozmowę.

– Tak, dobrze... wyślij mi adres i numery telefonów... Uda się... Pojedziemy do domu Margrove'a... Wiem, ale dzwoniłem. Ma kopie. Cyfrowe... yhy... nie martw się; nie jest największą fanką policji. – Cisza. Po chwili: – Tak, dobrze. Upewnij się, że adresy są aktualne. Tak... dziś wieczorem. Musimy działać tak szybko jak się da... Co? – Cisza. – Dobrze, dobrze. Zaczynaj od tych żyjących. Najlepiej spotkaj się z nimi.

Ekspres ucichł. Zabrała kubek i ostrożnie skosztowała kawy, burczało jej w brzuchu. Boże, kiedy ostatnio coś jadła? Przypomniła sobie wino z serem i krakersami z poprzedniego wieczoru.

Miała wrażenie, że minął wiek.

Tate nadal rozmawiał.

– No właśnie. Potwierdź tych, którzy się wyprowadzili... Proszę? – Długa cisza, kiedy Tate słuchał swojego rozmówcy, po czym wyjął długopis z kubka na przybory piśmiennicze i coś zanotował na już zapełnionej stronie notesu z żółtymi kartkami. – Tak, rozumiem. – Potakując, wydarł kartkę i wsadził ją do kieszeni. – Okej. Informuj mnie.

Rozłączył się i obrócił się razem z krzesłem w jej stronę.

– Lepiej?

– Odrobinę.

– Boli?

– Da się wytrzymać.

– Mam ibuprofen – oznajmił.

– Nie trzeba. Naprawdę.

Powiedz mu, że chcesz piwo lub kieliszek wina.

– Jesteś głodna? – Jakby usłyszał jej wcześniejsze myśli.

– Czy to takie oczywiste?

Uśmiechnął się.

– Może. W każdym razie ja padam z głodu. Zjedzmy coś!

– Jasne, chętnie zjem, ale najbardziej zależy mi na telefonie, przynajmniej jakimś tymczasowym, na kartę, dopóki nie odzyskam swojego. Poza tym muszę wynająć samochód.

– Najlepiej to załatwić przez firmę ubezpieczeniową.

Już o tym myślała.

– Pewnie tak, ale potrzebuję czterech kółek najszybciej jak się da.

– Masz dowód? Będziesz go potrzebować.

Jęknęła.

– Znowu...

– Został na policji?

– Właśnie.

– Aha. – Zmarszczył brwi. – Cóż, zacznijmy od początku. Zamówiłem już jedzenie. Z rodzinnej restauracji w pobliżu.

– Świetnie.

– Możemy się zatrzymać przy sklepie, żebyś kupiła telefon, ale jestem przekonany, że będziesz potrzebowała dowodu.

– Cholera.

Wstał.

– Policja powinna oddać ci komórkę, ale czy ci się to podoba, czy nie, prędej lub później będziesz musiała z nimi porozmawiać i odzyskać swoje rzeczy. Prawo jazdy? Kluczyki?

– Wolę później. – Wsadziła nos do kubka z kawą i pociągnęła duży łyk. Nie chciała nawet myśleć o przesłuchaniu przez policję, odpowiadaniu na pytanie za pytaniem o Merritta. O przeszłość. O wszystko.

– Jeśli chcesz odzyskać swoją własność i zająć się załatwianiem nowego auta, to jest najszybszy sposób.

– Wiem, wiem. – Powiedziała już sobie to, co wtedy, gdy myła włosy pod prysznicem. – Potrzebuję trochę więcej czasu.

– Z naciskiem na „trochę” – podsumował. W tej chwili ktoś zadzwonił do drzwi, więc zbiegł na dół.

Ledwie zniknął, podeszła do jego komputera. Dotknęła klawisza, żeby uaktywnić ekran – wygaszacz ekranu i żądanie hasła. Oczywiście. Zerknęła na zapiski w notesie, pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to imiona:

Marlie

Donner

Samuel

Zelda

Jonas

Sam junior

Kara

Nie tylko te członków jej rodziny.

Były tam też inne z nią związane oraz z tą brutalną, potworną nocą. Przejrzała listę i zobaczyła notatki na temat siostry swojej mamy, Faizy, i jej chłopaka, muzyka. Ponadto znajdowali się na niej byli małżonkowie jej rodziców, Lacey Higgins i Chad Atwater, w którym kochała się Marlie.

I to jak.

Bez pamięci.

Kara pamiętała.

– Jest taki... taki cudowny, Misiaczkę – zwierzała jej się Marlie w Święto Dziękczynienia, które spędzały w domu w mieście. Znajdował się w West Hills w Portland. Rezydencja McIntyre'ów zajmowała niemal osiemset metrów kwadratowych łądu i wznosiła się pomiędzy drzewami na wzgórzu. Ich ogromny dom, który mama ciągle urządzała, stał tak, że tył trzypiętrowej posiadłości z rzędami okien, z których według taty rozciągał się widok „wart milion dolarów”, wychodził na

płynącą w oddali rzekę Willamette. Za miastem Mount Hood, poszarpany szczyt wznoszący się nad pasmem górskim, w letnie poranki był skąpany w blasku wschodzącego za nim słońca.

W to Święto Dziękczynienia wieczór był pogodny, na niebie migotało milion gwiazd, przez drzewa otaczające posiadłość widać było światła miasta.

Siostry wyszły na zewnątrz, umykając przed harmidrem panującym w domu: szaloną grą w Rzyko, w którą grali chłopcy, oraz kłótnią toczoną przez mamę i jej siostrę, która eskalowała przez cały wieczór i wybuchła przy pitych po kolacji drinkach.

Nic nie mówiąc, ciocia Faiza przyprowadziła na rodzinny obiad swojego najnowszego chłopaka. Mama była zdruzgotana „niewdzięcznością i arogancją” Faizy i dała to siostrze do zrozumienia. Prowokacyjna i „uparta jak osioł” Faiza pozostała niewzruszona, a wręcz zadowolona z siebie, gdy przedstawiała Rogera Sweeneya, walczącego o uznanie gitarzystę z lokalnego zespołu. Twarz mamy zastygła w kamiennym uśmiechu, jej oczy wyrażały wzburzenie. Roger niewiele mówił, ale cały czas się rozglądał i oceniał swoimi głęboko osadzonymi, wyblakłymi niebieskimi oczami. W jego wyglądzie uwagę przykuwał haczykowany nos i cienkie usta otoczone starannie przyciętą bródką i wąsami. W jednym uchu miał kolczyk, włosy, które spał w kucyk w tyle głowy, już zaczynały mu siwieć, a na obu środkowych palcach miał wytatuowaną głowę wilka. Chociaż niewiele mówił, Kara czuła, że Roger czerpie przyjemność z tego, że mama kipi ze złości, a tata próbuje ją ugłaskać, uśmiechając się sztucznie i przygotowując drinki.

– Wyjdźmy stąd! – powiedziała Marlie, przemykając przez rozsuwane drzwi. Kara chętnie podążyła za siostrą.

Wielki dom pachnący pieczonym indykiem, ciastem dyniowym i dymem papierosowym wydawał się klaustrofobicznym miejscem ze względu na kipiące tam emocje.

– Boże, ależ są żałośni – wymamrotała Marlie pod nosem, zamykając za nimi drzwi. Na dworze było zimno, lekki wietrzyk szeleścił w koronach drzew. Podrywał suche liście, które tańczyły na ścieżce przecinającej podwórko i prowadzącej do basenu przykrytego na zimę dużą plancką.

Marlie ujęła dłoń Kary i odciągnęła ją dalej od domu, gdzie światło rzucane przez okna oświetlało skrawki ziemi.

– Mogę ci zdradzić sekret? – zapytała szeptem, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Pewnie. – Kara uwielbiała sekrety.

– Ale musisz obiecać, że nikomu nie powiesz.

– Przysięgam – powiedziała uroczyście Kara, ciesząc się, że starsza siostra chce jej się z czegoś zwierzyć.

– Z ręką na sercu?

– Z ręką na sercu. – Kara położyła dłoń na piersi. – Oczywiście.

– Dobrze.

– Jaki to sekret?

– Wyjdę za niego – oświadczyła Marlie, pochylając się nad Karą. – Wyjdę za Chada! – Wyprostowała się, objęła się ramionami i zawirowała, dobrze ją było widać na tle światła na horyzoncie.

– Naprawdę?

– Naprawdę! – Marlie zatrzymała się, podniosła Karę i wirowały razem na trawie ściętej mrozem. Marlie szczęśliwa, Kara rozchichotana. – Będę panią Chadową Atwater! – Zatrzymała się, kręciło jej się w głowie, drżały jej nogi. Obie padły na trawę, Marlie sapła, gdy wpatrywały się w nocne niebo, na którym migotały niezliczone gwiazdy.

– Mam cię tak nazywać? – zapytała Kara.

– Pani Atwater? – roześmiała się Marlie. – Nie, po prostu mów na mnie Marlie, a ja będę ciebie nazywać Misiaczką. Tak ja teraz. To się nie zmieni, dobrze?

– Aha. – Kara poczuła się lepiej.

– Dobra dziewczynka. – Marlie ponownie ujęła jej dłoń. – Och, Kara, będziemy tacy szczęśliwi.

– Ale ciągle będziesz z nami mieszkać? – upewniła się Kara.

– Nie. – Marlie spoważniała. – Ale będę blisko. Zadbam o to. Chcielibyśmy zamieszkać na farmie lub ranchu z psami i końmi – rozmarzyła się.

Zawsze była typem sportowca i uwielbiała zwierzęta prawie tak samo jak rywalizację. Żeby nie odstawać od braci i udowodnić im, że jest tak dobra jak oni i że dziewczyny w niczym nie są gorsze od chłopaków, uprawiała łuczniczo i strzelanie do celu.

– W zasadzie jestem lepsza od wszystkich braci – zwierzyła się Karze tydzień wcześniej. – Ale oni nigdy tego nie przyznają.

Teraz, patrząc w gwiazdy, Marlie dorzuciła:

– Może pojedziemy nad jezioro, może mama i tata pozwolą nam tam zamieszkać. Tak czy inaczej będzie suuuper.

Karze nie podobało się to, że miałyby zamieszkać tak daleko w domku w górach, ale Marlie nie zauważyła, że młodsza siostra zmarkotniała.

– Pamiętaj: to nasz sekret. Dobrze? Nie możesz nikomu o tym powiedzieć. Ani mamie, ani tacie, ani Jonasowi, ani Donnerowi, ani Samowi, nikomu!

Więc Kara nie powiedziała.

Aż do teraz.

Poczuła smutek na myśl o utraconej siostrze, z którą była bliżej niż z własną matką. A teraz dostawała wiadomości na jej temat.

Tego nie wiesz. Wiadomości tekstowa i głosowa brzmiały „Ona żyje”. To ty uznałaś, że osoba, która się z tobą kontaktuje, ma na myśli Marlie. To naciągane, Kara. Bardzo naciągane.

Ale kto inny?

Ponownie spojrzała na notatki i imiona wypisane przez Tate’a. Na żółtej kartce był Silas Dean, biznesowy partner jej ojca, a także byli mężowie i żony jej rodziców. Leona i Natalie, żony ojca Kary, i Walter Robinson były męż jej matki. Tyle małżeństw, tyle imion. Każde z własną historią.

Znajdowała się tam również Marlie. Która niby miała żyć. Czy powinna powiedzieć Tate’owi o tej wiadomości? Czy może mu zaufać i zdradzić, że wydaje jej się, że ktoś ją śledzi? Ta myśl sprawiła, że podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Ulice były niemal puste, rzeka wyglądała jak ciemna wstęga z białymi plamami odbijającymi światło latarni ulicznych stojących na brzegu.

Przez chwilę pomyślała, że ktoś może na nią patrzeć, widać było jej całą sylwetkę skapaną w świetle. Przeszły ją ciarki i cofnęła się o krok.

Boże, naprawdę potrzebowała drinka.

Przełknęła swój strach, w duchu chłuszcząc się za paranoidalne myśli, wydawało jej się, że słyszy jakieś głosy dochodzące z dołu. Dziwne, ale zrobiło jej się lepiej na duchu, gdy usłyszała, że Tate rozmawia z dostawcą.

Dziś wieczorem nie była sama.

Ale on w zasadzie jest obcym człowiekiem, Kara. I ma swój cel. To dziennikarz, który pragnie twojej historii, syn człowieka, który stracił życie, gdy cię ratował. Nie możesz mu ufać, nie w pełni. Nie odsłoń się za bardzo.

Czując niepokój, podeszła do jego biurka i rozłożonych na nim papierów. Ponownie spojrzała na listę ludzi powiązanych z tragedią jej rodziny. Zauważyła strzałki i jakieś notatki poczynione drobnym pismem na marginesach, słowa i wyrażenia, których nie była w stanie odcyfrować, ale imię Jonasa kilkakrotnie było wzięte w kółko, a strzałki łączyły je z Lacey Higgins i Donnerem.

Lacey.

Kara opuszką palca wskazującego dotknęła jej imienia na papierze.

Co z Lacey?

Nie była już dziewczyną, przypomniała sobie, chociaż wciąż pamiętała Lacey jako nastolatkę, siedemnastolatkę w dziewiczo białej sukience, a jej najsławniejsza wypowiedź o Jonasie wciąż wypalała jej mózg.

„Powiedział: Jeśli kiedykolwiek przyłapię cię, jak się z kimś pieprzysz, wezmę siekiere i najpierw zabiję jego, a potem ciebie. Żebyś widziała, jak umiera, zanim sama pójdziesz do piekła”.

Dostała gęziej skórki. Czy Jonas naprawdę wygłosił tę okropną, przerażającą groźbę? A może Lacey kłamała? Wówczas wszyscy wierzyli tej spokojnej, wielkookiej dziewczynie, która siedziała wyprostowana na miejscu świadka.

Przygryzła wargę, cały czas dotykając palcem imienia Lacey. Próbowwała sobie przypomnieć, jaki był jej brat przed nocą, kiedy wszyscy członkowie jej rodziny zostali brutalnie zamordowani. Na pewno był zapalczywy. Pełen gniewu. Nawet Natalie, jego własna matka, mówiła, że jest mieszańką „szczochów i octu z dużą domieszką nastoletnich hormonów”.

Kara na pewno tego dnia widziała Jonasa z mieczem. Pamiętała, że podglądała go przez uchylone drzwi do jego pokoju. Był ubrany w dżinsy i bluzę z kapturem, gdy z łatwością wymachiwał starą, ciężką bronią. Z natury miał atletyczną sylwetkę, poza tym odkąd Kara pamiętała, ćwiczył sporty walki. Wobec tego ciał mieczem powietrze, wirował, wskakiwał bosymi stopami na nieposłane łóżko. Stojąc na materacu, wymachiwał bronią z tak zaciekłą miną, jakby walczył z niewidzialnym wrogiem.

Zły, sprawiający kłopoty nastolatek, którego ława przysięgłych uznała za przepelnionego furją zabójcę, osiemnastolatek napędzany adrenaliną i testosteronem, który poszatkował braci, ojca i macochę. Jak tysiąc razy wcześniej Kara wróciła myślami do tamtej nocy, do rozsypanych kawałków makabrycznej i krwawej układanki, których za nic w świecie nie potrafiła złożyć do kupy.

Dlaczego Marlie ją obudziła? Czy bała się, że zabójca przyjdzie po jej młodszą siostrzyczkę? Skąd wiedziała? Czy Marlie była jakoś powiązana z tym atakiem? Dlaczego zniknęła? Co się z nią stało?

Czy był tam intruz, jak twierdził Jonas?

Jeśli tak, to kto?

Dlaczego policjanci go nie znaleźli? Czyż nie było tam niczego, włosa, naskórka czy krwi, co można by poddać testom DNA i stwierdzić, że nie należało do żadnego członka rodziny? Pamiętała krew rozmazaną na ścianach, syczący ogień, który płonął na czerwono i odbijał się od ciemnych kałuż krwi, kilka świątecznych skarpet na podłodze, gdy miecz zahaczył o półkę nad kominkiem i zerwał ozdoby.

Ale przede wszystkim pamiętała swoich braci, zakrwawionych i nieruchomych, leżących z otwartymi ustami i oczami utkwionymi w jeden punkt, ich ciała rozciągnięte na perskim dywanie. Tylko Jonas się poruszył, żył, mógł przez jedną pełną napięcia chwilę skupić się na niej. Stała jak wryta w korytarzu, serce jej dudniło, przestrach ją otumaniał, umysł krzyczał: *Nie, nie, nie!*

Zakrwawiony i osłabiony powoli wsparł się na łokciu.

– Sprowadź pomoc... Biegnij! – wychrypiał słabym głosem, podczas gdy do pokoju wdarł się podmuch zimnego powietrza, płomienie w kominku przygasły, a w drzwiach pojawiła się ogromna, zacieniona postać.

– Znalazłaś coś ciekawego? – Wystraszył ją głos Tate’a.

Podskoczyła, wychlapała kawę z kubka na biurko i notes. Wstrząsające wspomnienie uleciało.

– Cholera! – Pospiesznie zaczęła szukać czegoś do wytarcia śladów po kawie.

– Już! – Tate wziął papierowy ręcznik, przemierzył pomieszczenie w trzech długich krokach i szybko osuszył namokły i poplamiony papier.

– Przepraszam.

– Nie ma za co.

Zobaczyła, że gdy wycierał biurko, w drugiej ręce trzymał papierową torbę.

– O rany!

– To tylko moje luźne przemyślenia – powiedział, zerkając na zniszczone zapiski. – Wszystko mam w komputerze. Nic się nie stało. Nie przejmuj się. – Podniósł wzrok i wrzucił brudny ręcznik do kosza na śmieci. – Na szczęście mam fotograficzną pamięć.

– Serio? – To ją zastanowiło.

– Nie. – Uśmiechnął się pod nosem. – Chciałbym. Na pewno byłoby mi łatwiej.

– A więc jesteś kłamcą – odparła, unosząc jedną brew.

– Tylko kiedy muszę. – Otworzył torbę i wyjął kanapki. – Chciałem poprawić ci nastrój.

– Nie sądzę.

– No dobrze, to wobec tego czuj się źle. – Wzruszył ramionami. – A tymczasem coś zjedzmy. Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu. – Uprzątnął część blatu. – Nie jest to może pięciogwiazdkowa restauracja, ale musi wystarczyć. Tuńczyk czy bekon z sałatą i pomidorem?

– Tuńczyk. – Burczało jej w brzuchu, gdy odwijala kanapkę i próbowała sobie przypomnieć,

kiedy ostatnio jadła. Ser, krakersy i butelka wina wczoraj wieczorem? Kilka łyków baileysa na śniadanie? Co prawda nie miała czasu na jedzenie, ale nic dziwnego, że zwykła kanapka tak bosko jej smakowała. Prawie zaczęła wdychać do koperku.

Rapsodia oczywiście podeszła do stołu i węszyła, prosząco położyła po sobie brązowe, miękkie uszka. Kara pokręciła głową, ale zauważyła, że Tate odrywa kawałek bekonu i podaje go psu. Rapsodia chwyciła kasek i szybko go przełknęła.

– Stanowczo zabraniam karmienia psa przy stole – zaprotestowała Kara, ocierając palce.

– Znasz mnie, zawsze łamię zasady – odparł z uśmiechem.

Przypomniała sobie, jak wyglądał za młodu. Opadające na oczy włosy, niezgrabna sylwetka. Nieśmiały uśmiech i zbyt duże zęby; oczy nad piegowatym nosem, zezujące w letnim słońcu; chłopak, który był trochę zbuntowany, jak słyszała, chociaż mógł czyścić buty Jonasowi.

Tate po trzydziestce zmężniał. Nabrał ciała. Jego niebieskie oczy miały bardziej intensywny kolor, włosy mu pociemniały i stały się prawie czarne, meszek na policzkach zmienił się w cień poważnego zarostu. Był przystojniejszy, niż mogłaby przypuszczać. Ale przecież to nie miało najmniejszego znaczenia.

– No więc wiesz, że musisz porozmawiać z policją? – zapytał.

Doszła do tego samego wniosku.

– Tak. Ale jutro. Dziś wieczorem nie dam rady spotkać się z nimi ani z ciotką Faizą.

– Z ciotką też?

– Żeby się nie martwiła, jeśli nie znajdzie mnie w szpitalu. – Westchnęła. – Mamy skomplikowane relacje. – Pomyślała o tym, co zasugerował Jonas, że ciocia Fai interesowała się dziećmi siostry tylko dlatego, że wiązały się z nimi pieniądze. Nie chciała jednak zgłębiać trudnych relacji, które miała z rodziną, więc zmieniła temat. – Mieszkasz tu sam?

– Tak. Tylko ja. – Odchylił się na krześle. – Kiedyś miałem psa i kilka razy kota, ale za często wyjeżdżam.

– Byłeś żonaty?

Zobaczyła, że unosi się kącik jego ust.

– Raz rozważałem, ale nie. – Pokręcił głową, ciemne włosy lśniły w świetle wiszącej lampy. – Nigdy nie było właściwej pory ani właściwej kobiety. – Zgniółł paperek po kanapce. – A ty? – zapytał.

– Domyślam się, że wiesz o mnie wszystko. – Wskazała komputer i jego odręczne notatki, jednocześnie zauważyła, że pomieszczenie z wysokimi sufitami i oknami ma w sobie ciepło, którego na pierwszy rzut oka nie dostrzegła. Mimo surowych ścian i zbieraniny mebli loft charakteryzowały komfort i atmosfera, którą uznała za dziwnie przytulną.

Nawet o tym nie myśl, Kara. Nie i kropka. To kłopoty, nic więcej.

– Wiem tylko to, co mogłem znaleźć w aktach sądowych – odparł Tate, otwierając paczuszkę chipsów. – Większość rzeczy znalazłem w Internecie.

– Większość rzeczy w Internecie to śmieci. Plotki. Opinie. Nawet film nagrany przez telewizję tamtej nocy wcale nie był aż tak zgodny z prawdą. Dużo szumu i insynuacji.

– Oglądałaś go?

– Tak. – *Mniej więcej raz w roku, żeby tego ponownie doświadczyć. Żeby nigdy nie zapomnieć.* Jakby to w ogóle było możliwe. – A więc mnie wygooglowałeś? – zapytała.

– I to jak, ale nie znalazłem aktów ślubu ani orzeczeń o rozwodzie. Ogłoszeń o zaręczynach też nie.

– No więc już wiesz – odparła, nie rozgadując się o swoim życiu uczuciowym, chociaż od razu przed oczami stanęła jej arogancka twarz Brada.

Brad odszedł, nie kryjąc wzburzenia, bo nie wierzył, że miałyby dość odwagi, żeby go wyrzucić.

– Jesteś wariatką, wiesz o tym, co nie? – powiedział, kiedy kazała mu się wynosić. Pakował swoje wypłowiałe džinsy, koszulki polo i bluzy z kapturem razem z ukochanym bongo i statuetkami zdobytymi w liceum i na studiach, które otrzymał za wyniki w grze w piłkę nożną. – Pieprzona wariatka!

– Przynajmniej cię nie zdradzam – odgryzła się i rzuciła w niego korkami, gdy wychodził przez drzwi frontowe.

– Może powinnaś – krzyknął. – Może to by ci pomogło. – Wsiadł do starego hatchbacka i z piskiem opon wyjechał z podjazdu, niemal potrącając dzieciaka na rowerze.

Krzyżyk na drogę!

Teraz Tate się na nią gapił.

Wyjmując chipsa ze swojej paczki, poczuła, że powinna to wyjaśnić.

– Jestem inna niż ty.

– Naprawdę? – Zmarszczył brwi.

– Tak. Ty zastanawiałeś się nad małżeństwem i podjąłeś decyzję, żeby się nie żenić.

Pochylił się nad blatem, żeby nie uronić ani jednego słowa.

– Prawda.

– Ja raz zastanawiałam się nad psem – powiedziała, tłumiąc uśmiech i dziwiąc się, że się z nim droczy. Co jej odbiło?

– Tak?

– W przeciwieństwie do ciebie, zdecydowałam się i poszłam do schroniska, zobaczyłam Rapsodię i, jak to mówią, to była miłość od pierwszego wejrzenia.

– Doświadczyłaś czegoś takiego wcześniej? – Teraz to on się przekomarzał, nieznacznie unosząc kąciki ust. Boże, czy on z nią flirtuje? Czy to się właśnie dzieje? Jeśli tak, musi to skończyć. Przerwać tę zbyt poufałą rozmowę.

– Nigdy – odparła lodowato. – A więc... pracujemy razem czy jak?

– Sądziłem, że to już przyklepane.

– Okej.

– Wobec tego przypieczętujemy umowę. – Poszedł do kuchni, otworzył szafkę nad lodówką i wyjął butelkę czerwonego wina, caberneta z winnicy w Waszyngtonie. Znała tę etykietkę.

W ciągu kilku sekund otworzył butelkę i postawił ją na stole razem z dwoma kieliszkami.

– Chyba musi chwilę pooddychać.

– Albo i nie.

– No dobra. – Nalał im po kieliszku, po czym stuknął się z nią. Bukiet szedł do głowy, gdy obracała kieliszek w palcach, patrząc pożądliwie na wino powoli spływające po szkle.

Następnie, pomimo że w jej głowie rozdzwoniły się wszystkie dzwonki ostrzegawcze, dobiła umowy. Zastanawiając się, czy właśnie podpisała cyrograf z diabłem, Kara upiła łyk wina i stwierdziła, że w tej chwili ma to gdzieś.

Całkiem jej to wisało.

ROZDZIAŁ 23

– A więc teraz jest zaginiona – stwierdziła Johnson, gdy czekali na schodkach prowadzących do frontowych drzwi domu Kary McIntyre. Johnson stała na palcach, próbując zajrzeć przez małe okienko, ale zdobiona szyba była praktycznie nieprzejrzysta. Thomas zadzwonił, potem załomotał w drzwi, a nawet zawołał, ale nie doczekali się żadnej odpowiedzi.

– Nie ma jej w domu – odezwał się jakiś kobiecy głos, a gdy się odwrócił, ujrzał Sheilę Keegan idącą po zaśnieżonym trawniku. – Dzwoniłam do niej, próbowałam złapać ją w szpitalu, potem czekałam koło domu. Więc zakładam, że zatrzymała się u jakiejś przyjaciółki albo kogoś takiego.

– Albo kogoś takiego – powtórzył Thomas i spojrzął na ulicę, gdzie pod latarnią stała biała furgonetka stacji telewizyjnej.

– Wszyscy inni już odjechali, Cole – wyjaśniła, podchodząc bliżej. Twarz ocieniał jej kaptur służbowej kurtki, ale mimo to widział zarys jej szczęki i obrys pełnych ust.

– Kto jeszcze tu był? – zapytała Johnson, a Thomas miał wrażenie, że jego partnerka patrzy oceniająco.

Sheila jak zawsze zachowywała się zbyt poufale, podejrzewał, że robiła to celowo, uśmiechała się z fałszywą skromnością i znacząco unosiła brwi, przypominając mu tym samym, że dawniej byli ze sobą blisko, że przez kilka miesięcy sypiali w jednym łóżku, aż podzieliła się z nim swoim źródłem informacji, za co wciąż miał u niej „dług”.

– Głównie wolni strzelcy, ale przez chwilę kręcił się tutaj też ktoś z lokalnej gazety. Podejrzewam, że niektórzy jeszcze tu wrócą. I pojawią się kolejni, gdy znowu otworzą autostradę. W Portland panuje zamieszanie... jak zawsze podczas burzy śnieżnej... ale stacje już obmyślają, jak przysłać na miejsce swoje ekipy. To za duża historia, więc tak łatwo nie odpuszczą.

Miała rację.

– A więc to prawda, że Kara McIntyre nie zaczekała nawet na wypis ze szpitala? Czy naprawdę tak po prostu sobie wyszła, mijając ochroniarzy, chociaż Whimstick General jest podobno świetnie zabezpieczony?

– Wiesz, że nie mogę o tym mówić – rzucił z irytacją, bo wpadł tu na nią i jego nowa partnerka przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Och, przestań, Cole. A co z Jonaszem? Moje źródła mówią, że ma już nowego prawnika i też próbuje wypisać się ze szpitala.

– Będziesz musiała go o to zapytać.

Ściągnęła usta.

– Otwieracie ponownie sprawę Masakry Rodziny McIntyre’ów?

– Badamy sprawę śmierci Merritta Margrove’a. – Uznał, że to bezpieczna odpowiedź.

Wszyscy już o tym wiedzieli.

– Wiem. Macie jakichś podejrzanych?

– Znasz mnie, Sheila. – Uśmiechnął się. – Każdy jest podejrzany.

– Nie cwaniakuj – rzuciła, a on kątem oka dostrzegł, że Johnson wzrokiem pyta, co się, do cholery, dzieje. – Odsłuchałam nagranie z linii alarmowej, nawet nie pytaj, skąd je miałam, ale wiem, że Kara McIntyre zgłosiła morderstwo. Czy to się stało, zanim spotkała się z bratem?

– Nie mogę komentować toczącej się sprawy.

– Bo uwierzę – skwitowała. – A co z wypadkiem? Jak do niego doszło?

– Ciągle nad tym pracujemy.

– Dlaczego zarówno Kara McIntyre, jak i Jonas McIntyre, który dopiero co wyszedł z więzienia, znaleźli się w domku Merritta Margrove’a na Mount Hood?

– Jak mówiłem, wciąż prowadzimy śledztwo. – Co było prawdą. Ale to było skomplikowane. Jonas był klientem Merritta, jego rozmowy z prawnikiem były poufne.

– Czy śmierć Merritta Margrove’a ma związek ze zwolnieniem Jonasa McIntyre’a z więzienia Banhoff? – zapytała i zamachała ręką w rękawiczce w stronę furgonetki stojącej na ulicy. – Czy

jest podejrzany?

– Badamy różne wątki.

– Och, przestań, Cole. – Była sfrustrowana, niemal wkurzona. – A Kara McIntyre? Czy jest w to zamieszana? Po co tam pojechała? Miała się tam spotkać z bratem?

Ponownie energicznie zamachała i otworzyły się drzwi furgonetki, z których wysiadł potężny kamerzysta. Na ramieniu niósł kamerę, drugą rękę razem z komórką trzymał przy uchu. Zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył w ich stronę.

– Nie mogę tego komentować.

– I nie wiesz, gdzie jest Kara McIntyre? – zapytała.

– Nie.

– A więc tak po prostu wyszła ze szpitala? Jak? Czy jej samochód nie został poważnie uszkodzony?

– Nie wiem.

Sheila zmrużyła oczy obwiedzione gęstymi rzęsami. Rzuciła przez ramię:

– Carl, możesz nas tu nakręcić? – Potem zwróciła się do Johnson, która właśnie wkładała telefon do kieszeni kurtki. – A więc wzięła Ubera lub Lyft, a może podwiózł ją ktoś znajomy?

– Nie wiemy.

Zadzwoił telefon Thomasa, więc odebrał.

– Detektyw Cole Thomas. – Zamilkł, zmarszczył brwi i zerknął na Johnson. – Chodź, musimy jechać.

– Słucham? – Sheila przeszła go wzrokiem. – Co się dzieje? Kto do ciebie dzwonił?

– Sprawa służbowa – odparł i wrócili do samochodu.

– Czyli co? Czy to ma coś wspólnego z Jonasem McIntyre'em? Albo Karą? – zawołała za nim dziennikarka, a kamerzysta nadal ich nagrywał. – No oczywiście, że ma, w przeciwnym razie byście tu nie przyjeżdżali.

Szedł dalej, pilotem otworzył auto. Chevy zamrugał światłami i zapiszczał.

– Co-le! – krzyknęła Sheila, z frustracji rozciągając jego imię na dwie sylaby. – Pamiętaj...

– Tak, tak, wiem. Jestem twoim dłużnikiem. Już mówiłaś. Zrozumiałem.

– Nie chcesz, żebym...

Groźba zawisa w powietrzu, a on się odwrócił.

– Nie chcę, żebyś mnie straszyla. Nie uda ci się. – Przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, po czym dodał: – Powinnaś o tym wiedzieć.

Otworzyła usta, a potem znów je zamknęła i wyszeptała coś do kamerzysty.

Thomas i Johnson wsiedli do tahoe.

Gdy ruszył, Johnson złapała drzwi pasażera, zatrzasnęła je i zapięła pas.

– Dzięki! – Jechał po wznoszącej się drodze, reflektory oświetlały płatki wciąż sypiącego śniegu.

Wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że nigdy nie przestaniesz.

– I zadzwoniłaś. Żeby mnie od niej uwolnić.

– To był najprostszy sposób, żeby wypłatać się z szemranej rozmowy. – Zerknęła na niego, gdy zwolnił przed znakiem stopu i przepuścił dużą ciężarówkę rozpryskującą żwir na niedawno odśnieżoną ulicę. – Słuchaj. Nie wiem, co było między nią a tobą, i nie chcę wiedzieć. To nie moja sprawa. Ale muszę powiedzieć, że ta kobieta, Sheila Keegan, tak? To wstrętny babsztyl – dokończyła.

Żebyś wiedziała, pomyślał Thomas, kierując się w stronę komisariatu, nie ma słów, by ją opisać.

Tate zastanawiał się, czy popełnia największy błąd w swoim życiu. Ruszył przez ciemny pokój do łóżka, w którym, z psem zwiniętym w kłębek, spała już Kara McIntyre. Brązowe włosy rozrzucone miała na poduszce. Razem wypili butelkę wina i otworzyliby następną, gdyby ją miał. Zaproponowała nawet, że zejdzie na dół do sklepu i kupi kolejną, ale górę wziął rozsądek – jego rozsądek – i poprzestali na jednej. Nie chciał tego przyznać nawet przed sobą samym, ale gdy patrzył, jak powoli oddycha, jak jej rzęsy rzucają cień na policzek, rozważał otwarcie butelki Crown Royal, którą dostał od siostry na urodziny. Widząc jednak, że Kara jest wykończona i wciąż nie w pełni

zdrowa, oparł się pokusie.

Kto wie, co by się stało? Czy bardziej by się przed nim otworzyła, zdradziła mu sekrety ukrywane przez dwadzieścia lat? A on, czy przestałby się opierać i ją pocałował? Zastanawiał się. Kilka razy przyłapał ją na tym, że patrzyła na niego w niewiarygodnie seksowny sposób, ale był na tyle trzeźwy, żeby nie popełnić tego błędu.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Przekonał ją, żeby położyła się w jego łóżku, podczas gdy on ułożył się na ulubionym fotelu, ale sen nie chciał do niego przyjść, więc przestał udawać, że śpi, około wpół do piątej, długo przed świtem. Wobec tego przerzucił na dysk zawartość pendrive'ów, które znalazł w biurze Merritta Margrove'a.

Miał nadzieję, że znajdzie jakieś nowe, przełomowe informacje, ale jak dotąd na nic takiego się nie natknął. Porobił jednak notatki i chciał przesłuchać wszystkich związanych z Masakrą. Ktokolwiek zabił Margrove'a, miał ku temu jakiś powód.

Czy umarł dlatego, że w końcu udało mu się wyciągnąć Jonasa McIntyre'a z więzienia?

Oparł się plecami o fotel i zerknął na kobietę śpiącą w jego łóżku. Czy dowiedział się o niej czegoś innego niż to, co przeczytał na jej temat? Już zaczął zmieniać o niej zdanie. Po Masakrze Kara została umieszczona pod opieką swojej ciotki, chociaż Faiza i jej młodsza siostra, Zelda, nigdy nie były ze sobą szczególnie blisko. Faiza nie miała swoich dzieci, ale z determinacją ubiegała się o opiekę zastępczą nad siostrzenicą, więc Tate zastanawiał się, czy ta nagła troska ze strony ciotki nie była związana raczej z fortuną należącą się jej podopiecznej niż z samą dziewczynką. I chociaż Kara spędziła większość czasu z Merritem i jego żoną, to małżeństwo nigdy nie było solidne, więc Faiza położyła kres dalszemu zacieśnianiu kontaktów, dopóki Kara nie osiągnęła pełnoletności. Przez cały czas Faiza i jej stały chłopak Roger Sweeney mieszkali w domu należącym do rodziny McIntyre'ów w West Hills w Portland i, o ile wiedział, Faiza sprawowała kontrolę nad spadkiem Kary.

To jednak miało się zmienić. Według testamentu jej rodziców, który Tate znalazł w aktach Margrove'a, Kara niedługo miała osiągnąć właściwy wiek, żeby go odziedziczyć. Cóż, Kara i Jonas, jako że tylko te dzieci Samuela McIntyre'a dożyły właściwego wieku.

Potań brodę i się zamyślił. Czy to możliwe, że zabójstwo Merritta Margrove'a nie miało aż tak wiele wspólnego z wypuszczeniem Jonasa z więzienia, a bardziej wiązało się z osiągnięciem przez Karę wieku, w którym mogła ubiegać się o swój spadek?

Czy to dlatego zabito Margrove'a?

A może w ogóle nie miał racji?

Kara się poruszyła, odwróciła i otworzyła jedno oko.

– Która godzina? – zapytała, ziewając.

– Piąta.

– Oj. Za wcześnie. – Przewróciła się na drugi bok, pies też zmienił pozycję, ale zaprotestował warknięciem, po czym znowu się ułożył. W tej chwili na biurku zawibrowała komórka Tate'a i na ekranie wyświetliło się nazwisko Connella. Zerknął na Karę zakopaną pod kołdrą, zabrał telefon i pospieszył na dół, gdzie wyszedł na korytarz, żeby jej nie przeszkadzać.

– Cześć – odebrał. – Co tam?

– Dzwonię, żeby cię wprowadzić w to, co znalazłem. Sprawdziłem ludzi związanych z Masakrą. Dokładnie sprawdziłem.

– I?

– Mam kilka ciekawostek.

– Takich jak?

– Kilku z nich było notowanych. Najpierw ówczesny chłopak starszej siostry, Chad Atwater. Trudno uwierzyć, ale dziadek przyłapał go na kradzieży, tyle że oczywiście odstąpiono od oskarżenia. Lekki przeciwbólowy, broń dziadka i trochę gotówki. Potem, mniej więcej w tym samym czasie, został oskarżony przez innego nastolatka o napaść w szkole. Obaj byli wtedy nieletni, więc akta są niedostępne, ale dogrzebałem się informacji, że Chad był agresorem i poszło o dziewczynę. Prawdopodobnie byli przyjaciółmi i pobili się w związku z dziewczyną, którą, tak się składa, była Marlie Robinson.

Tate zamyślił się. Wiedział, że chłopak miał jakieś problemy, gdy był nastolatkiem, ale

który chłopak kończy szkołę bez żadnych burd na koncie?

– Chodziło też o prochy, głównie sterydy, i alkohol, doszło do „przepychanki”, jak określili to ojciec Chada, ale Chad dotąd tłukł głową tego drugiego o kierownicę swojego mustanga, aż chłopak musiał mieć założone szwy i operację plastyczną. Tym razem też mu się upiekło, rodzice poręczyli za niego i od tej pory nie szukał guza.

Oparł się o ścianę w korytarzu i patrzył przez oszklone drzwi na budzący się dzień. Nigdy tak naprawdę nie brał pod uwagę Atwatera.

– Dlaczego miałby zamordować całą rodzinę?

– Nie wiem. Nie będę spekulował. Podaję ci fakty. Ale to nie wszystko o Atwaterze. Miał dziewczynę na boku.

– Więc wpadł w szal, gdy ktoś uderzał do Marlie, a sam w tym czasie spotykał się z inną.

– Byli wtedy nastolatkami, cóż mogę powiedzieć? – skwitował Connell. – Nazywała się Brittllynn Cadella. Miała wtedy zaledwie czternaście lat. Teraz to pani Brittllynn Atwater.

O tym Tate nie miał pojęcia.

– Czy Marlie Robinson wiedziała, że jej chłopak kręci z kimś na boku?

– Nie wygląda na to.

– Aha.

– Mam coś jeszcze – powiedział Connell. – Kolejnego szemranego typu. Rogera Sweeneya.

Chłopaka ciotuni.

– Co z nim?

– On też był notowany. Po pierwsze został dyscyplinarnie usunięty z piechoty morskiej. Podczas bójki w barze wyjął nóż i poważnie kogoś pociął. Pięć lat później znowu popadł w konflikt z prawem. W Nashville. Nie dogadywał się z członkami swojego zespołu. Oskarżył jednego z nich o kradzież i zaczęli się kłócić. Doszło do rękoczynów, Roger wyjął nóż, poranił faceta, mógł posunąć się dalej, ale trzeci członek trio go powstrzymał. Miał pistolet.

– A więc zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, skoro gościu wyjął pistolet podczas bójki z nożem.

Connell prychnął.

– Ostatecznie nikomu nie postawiono zarzutów. Jakoś się dogadali, ale Roger wyleciał z zespołu. Wtedy właśnie przeniósł się do Portland i spiknął z Faizą Donner.

– Ale po co miałby zabijać rodzinę?

– Rabunek, który wymknął się spod kontroli? Bo go nie lubili? Faiza chciała dostać część majątku? Ponownie tylko zgaduję, bo nie mam żadnych dowodów na poparcie którejkolwiek z tych tez. Po prostu analizuję informacje. Ciągłe sprawdzam Silasa Deana, partnera biznesowego Samuela, oraz byłych: Waltera Robinsona, Leonę McIntyre i Natalie Brizard.

Tate naprawdę nie potrafił sobie wyobrazić kobiety unoszącej ten stary miecz i zabijającej całą rodzinę, więc wyraził swoje wątpliwości na głos.

– Staram się być dokładny – wyjaśnił Connell. – A kobiety mają dobrą pamięć, lubią się mścić i mogą mieć współników.

Racja, pomyślał Tate. Wtedy usłyszał kroki na górze.

– Weź na przykład – ciągnął Connell – taką Leonę McIntyre, dziewczynę Samuela od czasów studiów i żonę numer jeden. Oskarżała męża o śmierć ich dziecka, a potem straciła prawa rodzicielskie do jedyne go syna, Sama juniora, ponieważ Sam senior uważał, że jest walnięta. Z pewnością wynikało to z depresji, ale Leona zawsze twierdziła, że jej mąż i jego druga żona, Natalie, zrujnowali jej życie. Nigdy się nie pozbięrała.

– Byłoby trudno.

– Też tak sędzę. Ale nigdy ponownie nie wyszła za mąż i stała się odludkiem. Potem, kilka lat później, kiedy Sam opuścił Natalie, swoją drugą żonę, dla Zeldy, Leona miała być w siódmym niebie.

– Skąd o tym wiesz?

– Od jej starego przyjaciela, który znał Leonę i Samuela podczas studiów. Znalazłem ją na Facebooku, bardzo chętnie ze mną rozmawiała. No więc kiedy Leona usłyszała, że Samuel puścił kantem Natalie, powiedziała: „Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy, pamięta nawet o sukach, które rozbiły cudzą rodzinę”.

– Nie ma możliwości, żeby Leona zabiła swojego syna, Sama juniora – zaprotestował Tate, bo już wcześniej doszedł do takich wniosków. – Donner też zginął tamtej nocy. Z tego powodu nie brano pod uwagę Waltera Robinsona. Był świetnym ojcem i kochał swoje dzieci. Korzystając z prawa zagwarantowanego weteranom, poszedł do szkoły. Został elektrykiem. Ale tego dnia był w tamtym domu i wdał się w kłótnię na temat sprawowania opieki nad dziećmi.

– Czy kiedykolwiek brałeś pod uwagę, że mogło być więcej zabójców?

– W sensie, że działali razem? – zapytał Tate.

– Tak. Albo ktoś, kto nie zamierzał zabijać wszystkich, ale mógł zostać zidentyfikowany, więc zamordował świadków?

Ponownie to nie był nowy trop, ale miał wady.

– Sam senior i jego żona byli już w łóżku. Spali. U obojga wykryto we krwi ślady środków nasennych. Byli martwi dla świata.

– Można tak rzec.

– Mało śmieszne – stwierdził Tate.

– Może to oni byli celem zabójcy, który nie spodziewał się, że inni jeszcze nie będą spać. Może ofiar miało być mniej, ale sprawy potoczyły się inaczej.

– Zostali zabici tym samym mieczem. Każde z nich. Na ostrzu znaleziono krew każdej z ofiar. Dwóch zabójców i jedno narzędzie?

– Powtórzę: tylko rzucam pomysły. Jest jeszcze kilka rzeczy, w których chcę pogrzebać. Alibi i motywy, domyślam się, że należy uważniej przyjrzeć się wątkowi związanemu z pieniędzmi. Samuel McIntyre w chwili śmierci był zamożnym człowiekiem. Ludzie tracą perspektywę, a ich kompas moralny wariuje, gdy chodzi o forszę.

– Ale żeby zabić całą cholerną rodzinę? – Patrząc na starszy model forda escape, który podjechał pod front budynku, Tate zauważył, że kierowca wyrzuca przez okno gazetę. Spadła na ośnieżony chodnik przed drzwiami, w chwili gdy kierowca escape'a dodał gazu i odjechał.

– Jak inaczej można dostać fortunę, którą nie trzeba się dzielić?

– Jestem przekonany, że policja już to zbadła. Bo ja tak.

– Czekaj, czekaj. Przed chwilą mówiłeś, że trudno ci uwierzyć w to, że ktoś zamordował cały klan dla pieniędzy. Nie zgadzam się z tym. Ale pożyjemy, zobaczymy. Tymczasem wysłałam ci informacje, które zdobyłem, zaszyfrowane, możesz je sobie jeszcze przejrzeć.

Tate wiedział, że na pewno to zrobi i porówna je z danymi, które zebrał przez lata, a także z tym, co znalazł na pendrive'ach Margrove'a.

– Ja idę ryc dalej – powiedział Connell i już miał się rozłączyć.

– A co z Marlie? – zapytał Tate.

Connell głośno westchnął.

– Jak na razie nic. Ale wciąż szukam.

– Dobrze.

– Szukałem też Hailey Brown w Modesto – dodał.

– I co?

– Żadna z kobiet, które namierzyłem w okolicy, nie pasuje do profilu w sieci kobiety, która obserwuje facebookowy fanpage Jonasa McIntyre'a.

Tate już o tym wiedział, bo sam sprawdzał swój nick, Jessicę Smith. Na forach uczestnicy ekscytowali się zwolnieniem i hospitalizacją i już krzyczeli, że Jonas nie mógł zabić prawnika, który wreszcie zdołał go wyciągnąć na wolność, że policja na pewno będzie chciała go zrobić w to zabójstwo.

Setki fanów komentowało i lajkowało posty, ale wielu nie reagowało, a w tej grupie była Hailey Brown z Modesto.

Tate usłyszał stuknięcie na górze, uznał, że to pies Kary zeskoczył z łóżka.

– Muszę kończyć. – Zakończył połączenie i podniósł gazetę z ziemi przed domem.

Kiedy wszedł na górę do swojego loftu, Kara już nie spała, włosy miała w nieładzie i minę daleką od przyjaznej, gdy tak stała koło ekspresu do kawy w koszulce do kolan i z psem czuwającym u jej stóp.

– Musisz wiedzieć, że to o wiecele za wcześniej dla mnie – marudziła. – Nawet jak uczę, nie wstaję przed szóstą. – Czekala, aż kawa spłynie do jej kubka. – Jestem nauczycielką na zastępstwo.

– Wiem.

– Oczywiście, że wiesz. Wiesz o mnie wszystko.

– Nie wszystko.

– Ale się dowiesz. A przynajmniej masz taką nadzieję. – Posłała mu znaczące spojrzenie, po czym podniosła kubek i podmuchała na wrzątek.

Tate patrzył, jak wydyma usta, a następnie upija łyk kawy. Patrzyła na niego ponad naczyniem.

– Skoro jesteś już ubrany, to może wyprowadzisz Rapsodię?

– Z przyjemnością – odparł.

– A potem, jak już się ogarnę, może podwiózłbyś mnie na komisariat.

Uniósł brew.

– Nic nie mów. Miałam czas, żeby to przemyśleć. Czy mi się podoba, czy nie, a nie podoba mi się wcale, muszę z nimi porozmawiać, wyjaśnić, co się stało. Ponadto naprawdę potrzebuję telefonu i dowodu, żebym mogła się komunikować z ludźmi i przemieszczać. Nie mogę tu siedzieć i polegać na tobie, na miłość boską.

– Nie? – Poczł, że uniósł się kącik jego ust.

Zmroziła go spojrzeniem.

– Nie. – Jednak też się uśmiechnęła. Zaledwie na ułamek sekundy, ale i tak trudno mu było trwać przy decyzji, że nie może w pełni jej zaufać.

ROZDZIAŁ 24

W ciemności Chad zbliżył się do łóżka i wysunął szufladę szafki nocnej. Nie chciał budzić Brittlynn, nie chciał się kłócić. Zerknąwszy przez ramię, zobaczył, że jego żona leży tyłem do niego i równo oddycha, śpi głęboko jak stary piec i podobnie jak on pochrapuje w równym rytmie. Liczył na ten hałas w tle.

Dobrze.

Zegarek przy łóżku wyświetlał niebieskie cyfry: 3.57. Ale Britt nie obudzi się jeszcze przez trzy godziny, a on w tym czasie zdąży się oddalić, znajdzie się w stanie Waszyngton, a może w Idaho. Celem było wydostanie się z kraju.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Musi.

Palcami musnął skórzaną pochwę noża myśliwskiego, a potem gładką rękojeść pistoletu, ukochanego małego rugera 9 mm, kieszonkowej broni charakteryzującej się niesamowitą celnością. Wyjął cały arsenał, ponownie zerknął na śpiącą żonę. Potem boso pospieszył do łazienki, gdzie na wieszaku koło drzwi zostawił ubranie – tak jak zawsze. Szybko się ubrał w spodnie narciarskie, sweter i kamizelkę, które włożył na bieliznę termiczną, poklepał się po kieszeniach, żeby sprawdzić, czy ma kluczyki i trzy dodatkowe magazynki do pistoletu. Zostawił komórkę. Specjalnie. Nie ufał Britt, być może wgrała mu jakąś aplikację śledzącą, a on musiał zniknąć.

Naprawdę zniknąć.

Bezgłośnie wszedł do drugiej sypialni.

Wyjął z garderoby już spakowaną torbę, następnie odsunął nigdy nieużywane narty, na dół zlokalizował luźną klepkę w podłodze. Łatwo dało się ją wysunąć, do środka od razu wdarł się poduch zimna i zapach ziemi. Wsadził rękę w szparę pod podłogą garderoby, chwilę pogrzebał i znalazł paczuszkę opakowaną w plastik i oklejona taśmą. Nerwy miał napięte do granic możliwości, ostrożnie wyjął zawiniątko, po czym cicho zasłonił otwór i odstawił narty na miejsce. Żeby Britt nie znalazła jego tajnego schowka. Na wszelki wypadek.

Wciąż klęcząc, poświecił latarką na grubym plastiku i zobaczył zwitek pieniędzy, telefon na kartę, kilka małych woreczków z ziołem, którą będzie mógł spieniężyć w stanach, gdzie marycha jest nielegalna.

Niewiele tego.

Ale będzie musiało wystarczyć.

Wsadził zawiniątko do kieszeni kamizelki.

Poczuł jakieś łaskotanie na nodze.

Zamarł.

Co to?

Ponownie.

Niemal stanęło mu serce.

Wszystkie mięśnie jego ciała zareagowały, zanim zrozumiał swój błąd. Kot! Cholera! Cholerny kot Britt, Jasper, zakradł się po cichu do pokoju i ocierał się grzbietem o jego łydki. Z ulgą i irytacją Chad bezceremonialnie odepchnął sierściucha i wstał, a wtedy zabłysło światło i skąpało w jasności niewielki pokój wyłożony sosnową boazerią.

W drzwiach stała Brittlynn.

– Co, do cholery, robisz? – zapytała. – Boże, jesteś ubrany i zakradasz się jak... – Jej wzrok padł na torbę, leżącą na starym, mosiężnym łóżku po babci przykrytym ręcznie szytą narzutą.

– A jak sądzisz?

– Jakbyś odchodził – stwierdziła oskarżycielskim tonem. Jej rude włosy sterczały w każdą stronę, wciąż była zaspana i stała w za dużej, pogniecionej koszulce, starej pamiątce z koncertu U2, w której zawsze sypiała.

Chad miał nadzieję, że wymknie się bez słowa i uniknie jej pytań. Zwykle spała jak zabita. Ale nie dziś.

– Dlaczego się obudziłaś?
– Musiałam siku. Co to wszystko znaczy? – Wysunęła brodę, wokół oczu skórę miała ciemną od niezmytego tuszu. – Co się dzieje, Chad?
– A jak ci się wydaje? – Zasuwał zamek w torbie.
– Wyjeżdżasz. – Oskarżenie. – Ponownie. – Chwila zastanowienia. – Beze mnie.
– Tylko na kilka dni.
– Ile to „kilka”?
– Nie wiem jeszcze. – Próbował się uśmiechnąć, ale nie potrafił.
– Nie zamierzałaś mi powiedzieć. – W jej oczach pojawił się ogień. – Chciałaś wymknąć się w środku nocy i odejść. Cholera, nie wierzę! Chad!
– Oczywiście, że chciałem ci powiedzieć – skłamał, próbując rozbroić tykającą bombę. – Tylko wolałem cię nie budzić.
– Więc jak zamierzałaś to zrobić? Zostawić mi pieprzoną karteczkę na kuchennym stole? Zaczynał się denerwować. Nie miał czasu na słowne przepychanki.
– Ja... nie wiem, Britta. Muszę iść.
– A co z pracą?
– Załatwione. Lance potrzebował dodatkowej zmiany. Cienko u niego z forszą.
– U nas też. Kurwa, co ty sobie myślisz?
– Wróc do łóżka, dobrze? Wszystko ogarnąłem.
– Co? Co ogarnąłeś? – zapytała, a on założył torbę na ramię i przeszedł obok niej. – Co tu się dzieje, Chad?! – krzyczała, wpadając za nim do kuchni.
Zatrzymał się przy tylnych drzwiach i włożył buty.
– Nie odchodź.
– Muszę.
– Dlaczego? – Wtedy ją olśniło i przewróciła oczami. – Chodzi o Jonasa McIntyre’a. – Włączyła światło, blask lampy uwypuklił plamy i ubytki w pomarańczowym laminacie mebli koło kuchenki.
– Wyszedł.
– Jest w szpitalu. Chyba nie sądzisz, że stanowi zagrożenie.
– Muszę spadać. – Zasznurował buty. Kot wskoczył na blat, a Brittlynn wzięła go na ręce. – Naprawdę uważasz, że Jonas McIntyre będzie na ciebie polował? Myślałam, że już to obgadaliśmy.
– Nie on mnie martwi.
Nie była przekonana.
– Kiedyś powiedziałaś, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie, będzie chciał cię dorwać.
– To nie problem. – Zdjął z haczyka przy drzwiach starego winchestera należącego do jego dziadka. – Tylko gliny. Będą szukać kozła ofiarnego.
– Po co? Już zostałaś oczyszczony z zarzutów o morderstwa dokonane w górach. – W uśmiechu uniosła kącik ust, a jej zielone oczy zalśniły złem, co fascynowało go od pierwszego razu, gdy ją zobaczył. – Dam ci alibi.
Powoli, niemal zmysłowo, głaskała kota.
– A co z tym prawnikiem, Margrove’em?
– Nie byłeś w to zamieszany. – Utkwiła w nim spojrzenie. Przestała głaskać Jaspiera. – Prawda?
– Och, super, teraz we mnie wątpisz, tak? Odwal się ode mnie. Mówię tylko, że ta jego przyczepa stoi jakieś trzy kilometry stąd w linii prostej. Będą węszyć. Już dzwonili do pracy, co nie? Ktoś poprosił Teda, żeby sprawdził, kiedy byłem na zmianie.
– I co? – Wzruszyła ramionami, aż koszulka prowokacyjnie zjechała jej z jednej strony, co uznał za absolutnie nie do odparcia. Wiedziała o tym, bo podeszła do niego, patrząc na niego namiętnie. – Powiem, że byłeś ze mną przez całą noc.
Kuszące. Ona też była kusząca. Wiedziała o tym. Właśnie taka była, zmienna, w jednej chwili gorąca, w następnej zimna jak lód, słodka, ciepła i seksowna, dopóki nie dźgnęła cię w plecy. Podsycała jego zainteresowanie sobą, co zauważył już dawno temu. Zawsze go zaskakiwała. I intrygowała. Nawet jako dziewczyna, ledwie nastolatka, Brittlynn bywała niebezpieczna, co uznawał za fascynujące.

Dzisiaj jednak nie za bardzo mu się to podobało. A jej plan, że skłamię, by go kryć, mógł nie wypalić. Mógł się posypać. Jak dotąd trzymała jego stronę przez dwadzieścia cholernych lat. Ale była wówczas zdesperowaną czternastolatką, dziewczynką, a teraz jest kobietą po trzydziestce, ma własny rozum i własne cele.

Nie chciał jej wkurzać.

– Słuchaj, muszę to zrobić.

– Co zrobić? Uciekać? – Oskarżycielsko wydeła usta i złożyła je w dzióbek.

– Nazywaj to sobie jak chcesz.

– A jeśli zjawi się tu policja? – zapytała, gdy położył dłoń na klamce. – Co mam powiedzieć?

– Powiedz prawdę: nie wiesz, dokąd pojechałem ani kiedy wrócę.

– A jeśli będą pytać o tę noc, gdy zabito tamtych ludzi?

– Nie sądzę, że chcesz to zrobić – stwierdził. – Byłaś wtedy dzieckiem, ale teraz już nie jesteś, więc możesz zostać uznana za współwinną.

– Ale przysiągłeś, że nikogo nie zabiłeś – zaproponowała, zrobiła wielkie oczy na myśl o tym, że może być współwinną morderstwa. Jej mina wyrażała targające nią wątpliwości.

– Wrócę – obiecał i pocałował ją w skroń. A potem wyszedł; gdy zatrzęsął za sobą drzwi, kłamstwo wciąż wisiało w powietrzu pomiędzy nimi.

Noc była krótka. Za krótka.

W prowizorycznej siłowni w garażu Thomas pedałowal na rowerku stacjonarnym, jakby od tego zależało jego życie, coraz szybciej i szybciej. Ciężko oddychał i pocił się jak świnia, ale nie zwalniał, dopóki nie zaczęły protestować obolałe mięśnie. Wokół szyi miał ręcznik i wpatrywał się w płaski ekran zamontowany nad ławką do ćwiczeń. Ale nie oglądał wiadomości, bo prezenterzy i reporterzy nadawali tylko o nadchodzącej burzy śnieżnej i warunkach drogowych. Po prostu lubił słuchać czegoś poza szumem rowerka i dudnieniem serca. Jego myśli obracały się tak szybko jak koła. Dawał z siebie wszystko, pompował nogami coraz mocniej, koła kręciły się jak szalone, ale on nie zmierzał do żadnego celu. Podobnie jak w tej przeklętej sprawie, pomyślał.

Ślęczał nad starymi aktami do późnej nocy, robił notatki, próbował połączyć morderstwo Merritta Margrove'a z masakrą, do której doszło dwadzieścia lat wcześniej. Zawsze wierzył w winę Jonasa McIntyre'a, sądził, że chłopak zaszlachtował rodzinę w ataku szału i zasługiwał na to, by zgnieć w więzieniu. Teraz jednak pojawiły się pewne wątpliwości.

Sprawa nie dawała mu spokoju. Zwykle spał jak kamień, ale kiedy jakaś sprawa go dręczyła tak jak ta, jego podświadomość zawsze przeszkadzała mu w spaniu i płała figle. Zeszłej nocy Thomas spędził pięć niespokojnych godzin na przewracaniu się w łóżku, śnił bardzo wyraziste sny. Pojawiały się w nich martwe ciała, brutalnie okaleczone, spływające krwią, które wyrwały go z drzemki. W końcu przestał zmuszać się do spania, włożył dres i próbował przegnać demony w domowej siłowni, która tak naprawdę była miejscem parkingowym dla drugiego samochodu, dawniej zajmowało je auto Daphne.

Podczas czterdziestopięciominutowego treningu na rowerku dowiedział się, że drużyna Portland Trail Blazers przegrała trzeci mecz z rzędu, plany budowy nowego mostu na I-5 pomiędzy Portland w kierunku południowym i Vancouver w stanie Waszyngton, w północnym zostały ponownie zablokowane, zbliżała się kolejna burza śnieżna z zamieciaми, która miała przynieść białe święta w prawie całym stanie.

Gdy na ekranie pojawiła się reklama lokalnego dealera samochodowego, Thomas dobił do zaplanowanych czterdziestu pięciu minut i zszedł z rowerka. Otarł twarz i położył się koło pieca na macie.

Niczego tu nie zmieniał przez jakiś czas, dopóki nie dowiedział się, że Daphne wyjeżdża do Austin w Teksasie, żeby zamieszkać z facetem poznanym w sieci. Potem uznał, że nie zniesie pustki w garażu, gdzie na podłodze wciąż były ślady po oleju z jej auta. Pustka stale mu uświadamiała, co stracił.

Thomas nie chciał o tym myśleć, więc skończył serię ćwiczeń, robiąc pięćdziesiąt skrętów, sto pompek, a potem deskę do chwili, gdy cały zaczął drżeć. Następnie otarł pot z twarzy. Stracił Daphne, przypomniał sobie. W zasadzie prawda była taka, że praktycznie wypchnął ją za drzwi. Oskarżyła go, że praca jest jego kochanką, powiedziała, że nie może konkurować z jego obsesją na

punkcie pracy i ma dość starań. W oczach miała łzy, on również, gdy w sierpniowy poranek trzy lata temu dodała gazu i wyjechała hondą z garażu.

Nie obejrzała się za siebie.

Wciąż pamiętał żar wiszący nad podjazdem, liście roślinek, które zasadziła dwa lata wcześniej, już uschły i spadły, trawnik zrobił się brązowy. Stał na ganku przed domem i słyszał, jak zamykają się drzwi garażu, opadają z kliknięciem, gdy wyrzuciła pilota do bramy przez okno swojego auta. Spadł na asfalt, po czym potoczył się po ulicy, podczas gdy ona skręcała za róg i zniknęła z jego życia.

Zły na siebie, na nią i na cały świat, poniósł pogruchotanego pilota.

A potem czekał.

Dzwonił.

Nie odbierała.

Nie odpowiadała na wiadomości i maile.

Od wspólnego znajomego dowiedział się, że poznała w sieci jakiegoś faceta z Austin. Kiedy wakacje się skończyły, w końcu zaakceptował fakt, że już nie wróci, i kupił sobie rowerek stacjonarny, złożył go w garażu i używał niemal każdego dnia.

Dokupił maty na podłogę, gruszkę bokserską, a nawet duży worek do boksowania, który zawiesił w kącie, i stworzył siłownię dla jednej osoby, co, jak uznał, było lepsze niż papierosy, czarna kawa, whiskey i bezduszny seks na jedną noc, chociaż od czasu do czasu korzystał także i z tych atrakcji. Tak poznał Sheilę Keegan. Na samą myśl o niej się uśmiechał. Błyskotliwa, seksowna, zabawna, Sheila pomogła mu wyjść z narzuconej sobie izolacji i dojść do siebie po Daphne. Ich trwający sześć miesięcy romans był namiętny i burzliwy.

I zapewne był błędem. Ale co zrobić.

Ostatnim nabytkiem był telewizor, który teraz pokazywał szpital Whimstick General. Mimo zimna panującego w zimowy ranek wciąż stała tam garstka najbardziej żarliwych fanów Jonasa. Krzyczeli i trzymali transparenty, a Sheila Keegan w swojej czerwonej kurtce z profesjonalnym uśmiechem przeprowadzała wywiad z Mią Long, która stała w wypłowiałej kurtce dżinsowej, jasne oczy miała obwiedzione grubą warstwą tuszu i buntowniczo wysuwała brodę, jak wtedy, gdy z nią rozmawiał.

– Co ma pani nadzieję osiągnąć? – zapytała Sheila.

– Sprawiedliwość – odparła Mia z powagą, patrząc w kamerę. – Przez dwadzieścia lat Jonas McIntyre siedział w więzieniu za zbrodnie, których nie popełnił, zbrodnie, których padł ofiarą.

– Ale jest już na wolności.

– I nigdy nie odzyska tych lat, prawda? – Błysnęła oczami. – Poświęcił połowę swojego życia, podczas gdy prawdziwy zabójca żył na wolności, więc nie spoczniemy, dopóki Jonas McIntyre nie zostanie oczyszczony z wszelkich zarzutów. – Krzyczała teraz, kilka osób stojących w pobliżu dołączyło do niej. Zaczęli skandować i podnosić slogany, co było dość marnym widowiskiem w porównaniu z tłumem z poprzedniego dnia.

– Czy sprawiedliwość ma cenę? – zapytała Sheila. – Słyszałam, że Jonas McIntyre zamierza pozwać hrabstwo na trzydzieści milionów dolarów.

Mia wyduła usta w cynicznym uśmiechu.

– Wolność jest bezcenna.

– Te słowa padły tutaj, pod szpitalem Whimstick General, gdzie Jonas McIntyre dochodzi do siebie po wypadku samochodowym, który wydarzył się po tym, gdy rzekomo odwiedził Merritta Margrove'a w jego domu w górach, kilka godzin po śmierci Margrove'a, która według władz nie nastąpiła z przyczyn naturalnych. Margrove, który niegdyś był prawnikiem celebrytów, stał się sławny na cały kraj, kiedy dwadzieścia lat temu bronił Jonasa McIntyre'a w procesie w sprawie Masakry Rodziny McIntyre'ów, w której wymordowano niemal całą rodzinę. Tragedia wciąż owiana jest tajemnicą, ponieważ jedno z dzieci, nastolatka Marlie Robinson, zaginęła tamtej nocy i do tej pory jej losy są nieznanne. – Sheila pokrótce streściła przebieg morderstw, a na ekranie pojawiły się zdjęcia rodziny oraz migawki z miejsca zbrodni. Kiedy ponownie jej twarz wypełniła kadr, nadal stała przed szpitalnym budynkiem. – Śledztwo w sprawie zabójstwa Merritta Margrove'a trwa i jeśli są państwo w posiadaniu jakichś informacji, proszę zgłosić się do władz lokalnych. – Na dole ekranu pojawił się numer i adres mailowy wydziału. Sheila się uśmiechnęła i po-

wiedziała: – Oddaję ci głos, Ned.

Thomas wyłączył telewizor i po dwóch schodkach wszedł do pralni, która łączyła jego dom z garażem.

Rozebrał się, wrzucił spodnie do przepelnionego kosza na pranie, przeszedł przez dom nagi, gdy znalazł się w łazience, wziął prysznic, ogolił się i ubrał do pracy.

W mieście wciąż było spokojnie, panował niewielki ruch, pług śnieżny zbierał śnieg i lód z ulic, od usypanych przez niego zasp odbijały się świąteczne światełka.

Przy biurku znalazł się godzinę przed początkiem swojej zmiany, więc wykorzystał czas, gdy mógł być sam ze swoimi myślami, zanim wszędzie zapanuje chaos. Przez prawie godzinę telefony, faksy i drukarki praktycznie były cicho, a jego toku myślenia nie przerywały kroki, szuranie butów, fragmenty rozmów i śmiech.

Wcześniej poprosił jednego z informatyków o stworzenie postarzonego portretu Marlie Robinson, teraz gapił się na obrazek przedstawiający piękną kobietę o owalnej twarzy obramowanej kręconymi, jasnymi włosami, z dużymi, okrągłymi, niebieskimi oczami i długim, prostym nosem. Kobietę, która poza dołeczkiem w brodzie wyglądała jak swoja matka, Zelda McIntyre.

– Co się z tobą stało? – zapytał obraz na monitorze, chociaż uważał, że cała robota z postarzaniem zdjęcia pójdzie na marne. Sądził, że Marlie Robinson umarła tamtej nocy lub wkrótce potem. Ślady jej krwi znaleziono na miejscu zbrodni, dopasowali ją do niej dzięki porównaniu z DNA włosów znalezionych na jej szczotce. Krwi nie było tyle, by uznać ją za poważnie ranną, chyba że ją zatamowała i jakoś uciekła.

Ale jakie było prawdopodobieństwo, że tak się stało?

Bezmyślnie podniósł ołówek i postukał końcówką z gumką w biurko, rozmyślając nad różnymi możliwościami.

Czy Marlie wymknęła się i uciekła po zamknięciu Kary na strychu? Czy ścigał ją zabójca, lekko zranił w domu, a potem dobił gdzie indziej? Jeśli tak, Jonas McIntyre, który sam był ranny, nie mógł zabić swojej przybranej siostry.

Thomas obracał ołówek w palcach. Czy to możliwe? Przez dwadzieścia lat wierzył, że McIntyre jest zabójcą. Czy policja i on sam się mylili?

Jeśli Marlie Robinson nie żyła, to gdzie, do licha, było jej ciało? Czy ekipy poszukiwawcze z psami zgubiły jej trop, a ona rozłożyła się w lesie, ciało i kości rozwlekły dzikie zwierzęta? A może jakoś przeżyła?

Cały czas wracał do tych samych pytań, które go dręczyły, ilekroć myślał o tej tragedii: dlaczego Marlie Robinson ukryła siostrę? Dlaczego sama nie została na strychu, żeby się uratować? W jaki sposób Marlie była w to zamieszana? Czy Jonas McIntyre lub inny zabójca darował jej życie? Dlaczego?

Czy Jonas McIntyre mówił prawdę przez te wszystkie lata? Czy naprawdę był niewinny?

Thomasowi trudno było w to uwierzyć, więc ponownie przejrzał zeznanie Jonasa. Jego opowieść nigdy się nie zmieniła, nigdy się nie zawahał: tak, wcześniej „bawił się” mieczem, a wcześniej w tamtym tygodniu wdał się w bójkę z Donnerem o Lacey Higgins, ale tamtej nocy nie zabił braci i rodziców. Był w salonie, kiedy intruz wszedł do domu i zaatakował go od tyłu. Ranny Jonas stracił wtedy przytomność. Gdy się ocknął, w pokoju była Kara; kazał jej uciekać, wezwać pomoc, a potem znowu zemdleć. Nie potrafił zidentyfikować zabójcy. Nie widział twarzy mordercy. Jonas zakładał, że napastnik miał rękawiczki, stąd na mieczu były tylko jego odciski palców. Przysięgał, że nie miał pojęcia, dlaczego ktokolwiek chciałby zabić prawie całą jego rodzinę, i nie wiedział, co stało się z Marlie Robinson, jego przybraną siostrą. Uznał, że Kara przeżyła, ponieważ była ukryta, a on przeżył, bo zabójca uznał, że już nie żyje.

Thomas odchylił się na krzesło, aż zatrzeszczało.

To się nie składało do kupy.

A teraz, gdy Jonasa wreszcie wypuszczono na podstawie nowych zeznań, jego prawnik został zabity. Natomiast facet, który zmienił swoją wersję na temat zabezpieczenia dowodu w formie miecza tamtej feralnej nocy, Randall Isley, jedną nogą był na tamtym świecie w szpitalu w Nebrasce oddalonym o dwa i pół tysiąca kilometrów stąd.

Jak to się cholernie dobrze złożyło.

Odłożył ołówek do kubka, poszedł do stołówki, gdzie w szklanym dzbanku znalazł resztki

wczorajszej kawy, więc wybrał puszkę dietetycznej coli z automatu w korytarzu. Coś mu umykało, coś ważnego. Pochłonięty myślami, ledwie zauważył, że zaczęła pojawiać się dzienna zmiana, rozbrzmiały głosy, zaczęła się krzątanina. Sącząc napój z puszki, ominął kilku mundurowych zmierzających do szatni, po czym znowu usiadł przy biurku.

Co to było?

Jak to się łączyło ze śmiercią Merritta Margrove'a?

Jonas McIntyre był oczywistym podejrzanym. Nie tylko został skazany za kilka zabójstw popełnionych dwadzieścia lat wcześniej, ale pierwszego dnia po wyjściu z więzienia odwiedził Margrove'a, a prawnik, który wtedy nie potrafił przekonać ławy przysięgłych do uznania Jonasa McIntyre niewinnym, skończył z podejrzanym gardłem.

Podobnie jak Donner Robinson.

Zemsta? Czy Jonas spędził połowę swojego życia, kipiąc ze złości i obwiniając swojego adwokata o to, że nie udało mu się wybronić go od więzienia?

A może upozorowanie?

Thomas znowu pociągnął łyk z puszki.

Czy to możliwe, że przyskrzynili nie tego gościa?

Otworzył zdjęcia z miejsca zbrodni, skupił się na tym, w jakich pozycjach leżały ciała i na ranach zadanych im tym samym, zabytkowym mieczem. Zelda i Sam senior mieli podejrzięte gardła, od ucha do ucha, podobnie jak Donner Robinson. Sam junior doznał ran ciętych tułowia i nóg, wykrwawił się z tętnicy udowej w prawej nodze. Rany Jonasa były głównie powierzchowne, chociaż lewą łydkę miał przeciętą do kości, zapewne upadając, uderzył się w głowę i doznał wstrząsu mózgu. No i jeszcze Marlie.

Obok kominka i na choince znaleziono kilka kropel jej krwi.

Ale nie umarła.

Nie tam.

Nie wtedy.

Thomas przeszukał Internet, przejrzał wiadomości na portalach. Widział oficerów ze swojego wydziału, obecnie w większości na emeryturze, dużo młodszego Randalla Isleya i Archera Gleasona, wówczas zastępców szeryfa, których kamera nagrała z oddali. Gleason, wysoki jak teraz, wyróżniał się spośród innych, ale miał wtedy gęste włosy i wyrzeźbioną sylwetkę. Na jednym ujęciu rozmawiał z Isleyem, obaj mieli ponure miny i stali obok pojazdu ratowników zaparkowanego koło bramy wjazdowej na teren górskiej posiadłości rodziny McIntyre'ów.

Następnie obejrzał filmik, na którym Walter Robinson apelował o bezpieczny powrót córki. Miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, kanciaste ramiona i silną szczękę, zaciskał usta, błagając o życie swojej córki.

– Proszę – mówił, patrząc prosto w obiektyw kamery. – Jeśli znacie miejsce pobytu Marlie, zadzwońcie na policję. – Przełknął ślinę tuż przed tym, jak zdjęcie zaginionej pojawiło się na ekranie. Na jednym z nich Marlie pozowała jak na szkolnym zdjęciu. Jasne włosy opadały jej na ramiona, oczy jej lśniły, jej...

Zamurowało go, zatrzymał nagranie.

Widział ją.

Cholera jasna, widział ją.

Wyświetlił postarzone zdjęcie i ponownie olśniło go, że całkiem niedawno widział tę kobietę, całą i zdrową.

Na miłość boską, czy ona naprawdę żyje?

ROZDZIAŁ 25

– Gdzieś ty się podziewała? Odchodziłam od zmysłów! Myślałam, że oszaleję z niepokoju, Kara. Naprawdę tak myślałam! A ty sobie wychodzisz ze szpitala bez zgody lekarza? Na miłość boską, coś ty sobie myślała? – Faiza była spięta. – To twój nowy numer telefonu?

– Nie – odparła szybko Kara. Korzystała z telefonu Tate’a. Zadzwoiła z niego do ciotki, ale oczywiście Faiza nie odebrała. Wobec tego nagrała jej wiadomość i wysłała esemesa i po kilku minutach ciotka oddzwoniła. – Jestem u przyjaciela. To jego numer.

Siedząc na skraju łóżka Tate’a, jedną ręką trzymała telefon, drugą głaskała Rapsodię. Ramię i szyja dzisiaj ją pobolevały, a szwy na czole trochę ciągnęły, ale udało jej się ubrać. Postanowiła, że zadzwoni do Faizy, zanim uda się do biura szeryfa i porozmawia z detektywami.

– Jego numer? – powtórzyła ciotka. – Co to za przyjaciel?

Nie chciała o tym mówić.

– Nieważne. Mam ze sobą Rapsodię i zamierzam porozmawiać z policją i odzyskać swoją komórkę.

– A potem?

To było skomplikowanie.

– Muszę pogadać z firmą ubezpieczeniową i postarać się o samochód zastępczy.

– Co z twoim bratem? – zapytała z odrazą ciotka. – Słyszałam, że Jonas wynajął prawnika, w sensie, że nowego prawnika, i zamierza złożyć pozew.

– Nowego prawnika?

– Ten stary przecież nie żyje – zauważyła Faiza. – Moim zdaniem on jest w to zamieszany!

– Tego nie możesz wiedzieć.

– Był tam, prawda? Jest niebezpieczny, Kara. Zawsze taki był.

– Ale żeby od razu zatrudniać nowego prawnika? Chyba jeszcze jest w szpitalu? Jak mógł wynająć nowego adwokata?

– Nie wiem na pewno, ale wydaje się, że ma ten swój fanklub w Internecie i że to oni jakoś zadziałali. Widziałam, jak czatowali, bo tak się to chyba nazywa?

– Czekaj, należysz do fanklubu na Facebooku? – To było do niej niepodobne.

– Żeby być na bieżąco!

Jak brzmiał ten cytat z *Ojca chrzestnego*? „Przyjaciół trzymaj blisko, ale jeszcze bliżej swoich wrogów”. Ciocia Fai wprowadziła w życie tę maksymę.

– Według mnie Jonas nigdy nie powinien opuścić więzienia – perorowała. – W tym tkwi problem. Gdyby nie cały ten szal i presja na to, żeby go wypuścić, wciąż byłby pod kluczem i nic z tego by się nie stało. Merritt wciąż by żył, a ty, ty nie miałabyś tego okropnego wypadku i ten biedny kierowca ciężarówki nie leżałby w szpitalu! – Westchnęła przejmująco. – Sama wiesz, że twoja mama nigdy go nie lubiła.

– Jonasa? – Kara rzeczywiście wiedziała. Słyszała kłótnię rodziców nawet tamtej nocy po tym, jak zjawił się Silas Dean i doszło do konfrontacji z tatą, po której, jak powiedziała mama, „padł w jeden z tych nastrojów”. Zrobiło się jeszcze gorzej, gdy przyjechał Walter Robinson i zagroził odebraniem mamie praw rodzicielskich. Kłócili się w sypialni, ale Kara podsłuchiwała, jak krzyczeli coś o Jonasie i Donnerze, mama mówiła, że Jonasa dzieli krok od zostania kryminalistą, że zawsze coś knuje i sądzi, że nikt nie ma o tym pojęcia, robi Bóg wie co – albo pieprzy wszystko, co się rusza, albo bierze narkotyki, albo jest członkiem gangu. Mama powiedziała tacie, że Jonas powinien pójść do jakiejś szkoły wojskowej, żeby go tam „naprostowali”, zanim wpakuje się w prawdziwe kłopoty. Tata natomiast twierdził, że Donner zawsze prowokował Jonasa, że to Donner, nie Jonas, jest problemem. Potem tata zauważył, że Kara podsłuchuje w korytarzu, i zamknął drzwi, i gdy jedli kolację, rodzice już się nie kłócili. Wciąż byli na siebie źli, mama zachowywała się uprzejmie, lecz chłodno, ważyła słowa, podczas gdy tata był coraz bardziej wycofany i za dużo wypił. Ponownie.

– Zelda powiedziała mi, że był... jak to ujęła? „Niesubordynowany. Poza kontrolą”. Tak

właśnie się wyraziła, wydaje mi się, że nazwała go nawet maniakiem po tym, jak zaatakował Donnera. Był jej dumą i radością, jak wiesz. Oczkiem w głowie. Walter chciał jej odebrać chłopaka, kiedy się rozstali, lecz Zelda mu na to nie pozwoliła. O nie.

– Walter poszedł z tym do sądu? – zapytała Kara.

– O, tak.

– Chciał Donnera?

– Mhm.

– A co z Marlie?

– Och, ją też chciał, mogę się założyć, że tak, ale Zelda nie mogła się na to zgodzić, a dzięki pieniądzom Samuela Walter nie miał szans na otrzymanie praw do opieki nad dziećmi. Wiedział, że Marlie będzie chciała zostać z Zeldą, ale sądził, że uda mu się namówić Donnera, żeby zamieszkał z nim. Oczywiście, to było niemożliwe. – Prychnęła. – Nie zrozum mnie źle, Walter to dobry człowiek. Służył krajowi, ciężko pracuje i dobrze sobie radzi jako elektryk, zajął się też elektroniką, ale w porównaniu do twojego ojca? Nie miał szans. – Westchnęła. – To były dobre dzieci. Nie tacy jak chłopaki Sama. Och, ten starszy, nazwany na cześć ojca, był w chyba porządku, ale Jonas. Wredny. Zepsuty do szpiku kości.

Faiza zawsze obwiniała Jonasa o morderstwa, ale teraz się w to nie zagłębiała. Zamiast tego nagle zmieniła temat.

– A więc wracasz do domu?

Dom dla Faizy oznaczał posiadłość w West Hills, rezydencję, gdzie Kara spędziła pierwsze osiem lat swojego życia, gdzie po zabójstwach zamieszkała Faiza z Rogerem, miejsce, skąd Kara się wyprowadziła, wybierając mieszkanie z Merrittem Margrove'em i jego drugą żoną, Helen. Kara unikała wielkiej, ostentacyjnej posiadłości w stylu Tudorów z oszalamiającym widokiem na miasto.

– Nie, Faiza. Mieszkam tutaj – przyznała. – W Whimstick. I niedługo wrócę do swojego domu.

– Och, Kara, tu jest twój dom – zaproponowała ciotka. – To twoje miejsce.

Nigdy. Kara nigdy tam nie wróci.

– A niedługo... po twoich urodzinach, staniesz się jego właścicielką.

– Na spółkę z Jonasem – dodała lakonicznie, a Faiza aż głośno wciągnęła powietrze.

– Nie, jeśli znowu trafi do więzienia. W testamencie jest wyraźnie napisane, że żadne z dzieci Samuela nie może po nim dziedziczyć, jeśli bierze narkotyki lub jest w więzieniu.

Kara nie była zaskoczona, że ciotka zna na pamięć szczegóły testamentu, bo chociaż jako dziecko tego nie rozumiała, później uświadomiła sobie, że Faiza z pomocą Rogera Sweeneya podkradała jej masę spadkową, podobnie jak, według Jonasa, robił to Merritt Margrove. Wszystko to było gorzką pigułką do przełknięcia.

– Chcę się z tobą spotkać – powiedziała nagle Faiza, głos miała wyraźnie pogodniejszy. – Może zorganizuję ci przyjęcie urodzinowe?

– Słucham? Nie! Mówisz poważnie? – To ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała Kara. – Nie.

– Nie zaszkodziłoby ci trochę rozrywki, Kara. Mnie też, nie wspominając o Rogerze!

– Zapomnij – zgasiła ją Kara. – Muszę lecieć. Chciałam ci dać znać, że nic mi nie jest. Muszę już oddać telefon. – I zanim Faiza zdążyła zaprotestować, zakończyła połączenie, po czym uznała, że musi się napić.

Thomas ponownie przejrzał zeznania, zrobił kilka notatek i zanim zjawiała się Johnson wraz z innymi współpracownikami i zaczęło świtać, Thomas zlokalizował Chada Atwatera, który pracował jako instruktor narciarstwa na Mount Hood. Silas Dean natomiast miał świra na punkcie nart, zimowe miesiące spędzał w Scottsdale w Arizonie, na przedmieściach Phoenix, a letnie w Bend, największym mieście w środkowym Oregonie. Spodziewał się, że Dean jest teraz na południu, ale zadzwonił i okazało się, że przebywa w okolicy, wrócił do Oregonu, żeby spędzić święta z synem i wnukami, którzy mieszkali w Hood River. Silas był już tutaj od tygodnia i chociaż Bend znajdowało się w centralnej części stanu, nie było to aż tak daleko od domku Margrove'a, zaledwie dwie godziny w zależności od warunków na drodze.

To dawało pewne możliwości.

Thomas był gotów do działania.

Johnson ledwie siadła przy biurku, kiedy oświadczył:

– Jadę do szpitala, potem chcę zobaczyć biuro Margrove’a. Następnie zamierzam porozmawiać z Silasem Deanem, Faizą Donner i Chadem Atwaterem. Jak dotąd nie udało mi się wypłoszyć z kryjówki Kary McIntyre, ale jeśli ją zlokalizujemy, trafia na szczyt listy.

– Oho... czekaj chwilę. Nawet jeszcze nie wypięłam kawy – powiedziała Johnson, tłumiąc ziewnięcie. Nie była skowronkiem, Thomas o tym wiedział, ale wiedział też, że bierze nadgodziny; często pracowała do późnego wieczora, dopasowując czas pracy do zajęć syna.

– Kupimy po drodze.

– Dobrze. Daj mi dziesięć minut, żebym sprawdziła maile.

– Jasne.

Spotkali się na parkingu, Thomas zasiadł za kierownicą. Niebo miało stalowy odcień, gdy włączył się do ruchu i zatrzymał przy budce z kawą na wynos pięć przecznic od Whimstick General. Zanim zaparkował na szpitalnym parkingu, Johnson była już w połowie swojej latte i miała o wiele lepszy nastój.

Gdy weszli na drugie piętro, przy wejściu do pokoju Jonasa przywitał ich strażnik.

– W środku jest jego adwokat – rzucił.

– Jego prawnik nie żyje – odparła Johnson.

– Nie Margrove. Ma nowego. Kobieta.

– Już? – zdziwiła się. – Szybki jest.

– Jak powiedziałem, jest w jego pokoju. – Strażnik wskazał kciukiem drzwi. – Prawdziwa modliszka.

Johnson się spięła.

– Doprawdy?

– Przepraszam – pokajał się strażnik – ale... taka jest. Nie pozwala mu z nikim rozmawiać.

Thomas nie czekał, po prostu wszedł przez otwarte drzwi do pomieszczenia, gdzie na szpitalnym łóżku leżał Jonas McIntyre z cieniem zarostu na zapadniętej twarzy, kilkoma siniakami i głową wspartą na odrobinę uniesionym zagłówku. W nadgarstku miał wenflon łączący go z kropłówką, z boku monitor wyświetlał wskazania jego organizmu.

Obok niego stała szczupła kobieta po czterdziestce w czarnym żakiecie, różowej bluzce i butach na obcasach. Miała ostre rysy twarzy, okulary bez oprawek i krótkie jasne włosy. Gdy Thomas podszedł do nich, uniosła wzrok, a uśmiech przeznaczony dla Jonasa zastygł na jej ustach w lodowatym grymasie.

– To prywatny pokój.

Thomas wyjął odznakę i zaczął się przedstawiać.

– Detektyw Cole Thomas, a to detektyw...

– Nie interesuje mnie, kim państwo są, mój klient jest pacjentem tego szpitala i nie udziela żadnych wywiadów. Nie rozmawia z prasą, policją i nikim innym.

– A pani to...? – zapytała Johnson.

– Alex Rousseau. – Wsadziła rękę do kieszeni marynarki i wyjęła nieskazitelną wizytówkę, którą podała Thomasowi. – Nie Alexis. Nie Alexandra. Po prostu Alex.

– Jest pani z Los Angeles? – zainteresowała się Johnson, zerkając na wizytówkę trzymaną przez Thomasa.

– Mam biuro w Portland.

– Musimy zadać pani klientowi kilka pytań na temat zabójstwa jego poprzedniego adwokata.

– W odpowiednim czasie – odparła. – Jak państwo widzą, pan McIntyre jest wciąż pod opieką lekarzy.

– W porządku – zachrypiął Jonas.

– O, nie. – Pokręciła głową. – Odradzam rozmowę z policją, dopóki...

– Chcę mieć to już z sobą – zaoponował, patrząc na Thomasa, po czym przycisnął guzik i zagłówek jego łóżka uniósł się do pozycji siedzącej. – Chcę złożyć zeznanie. Żadnych pytań. – Zerknął na prawniczkę, która z dezaprobatą zacisnęła usta, ale szorstko skinęła głową.

– Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Merritta Margrove’a. Byliśmy umówieni na spotkanie o dziesiątej rano. To Margrove wybrał miejsce i czas, bo chciał spotkać się na osobności. Podwiozła mnie Mia Long, moja przyjaciółka, wysiadłem i kazałem jej odjechać. Tak zrobiła. Zapuka-

łem. Żadnej reakcji. Wszedłem do środka, a Merritt leżał na dywanie koło sofy. Już nie żył. Miał poderżnięte gardło. Zamierzałem wyjść, gdy usłyszałem nadjeżdżający samochód. To była moja siostra. Gdy weszła do domku, ja wyszedłem i ukryłem się na tylnym siedzeniu jej auta. Zjeżdżała z góry, gdy się ujawniłem. Kilka minut później o mało nie zderzyła się z jeleniem, a potem nastąpił wypadek. Oboje widzieliśmy nadjeżdżającą ciężarówkę, więc zahamowała. Następnie obudziłem się tutaj. – Chwila ciszy. – To wszystko, co chciałem powiedzieć.

– Mimo to mamy pytania – odparła Johnson.

Alex Rousseau pokiwała głową.

– Na pewno macie. Możecie zadać je później. Mój klient dochodzi do siebie, jest pod opieką lekarzy. Jego zdrowie jest w tej chwili najważniejsze, więc do czasu aż zostanie wypisany, nic więcej nie powie. Macie szczęście, że złożył zeznania.

Thomas miał ochotę się postawić, zaznaczyć swój autorytet, ale zawsze wierzył, że uda mu się złapać więcej much na miód niż na ocet, a śledztwo pójdzie lepiej, jeśli Jonas McIntyre będzie współpracował, niż gdyby miał stawać okoniem.

– Dobrze. – Thomas znalazł swoją wizytówkę i podał ją prawnicze.

– Poczekaj chwilę – rzuciła Johnson, która nie chciała się jeszcze poddawać. – Reprezentujemy władzę. Co może nam pan powiedzieć na temat masakry?

– Słucham? Co? – Na szyi Alex Rousseau pojawiły się żyły, gdy cedziła słowa: – Mój klient nie będzie odnosił się do tej sprawy. Został niewinny.

– Nie został niewinny – sprzeciwiła się Johnson z błyskiem w oku. – Ale skoro nie może być ponownie sądzony za te zabójstwa, to dlaczego nie chce wyznać prawdy o tym, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy?

– Nie odpowiadaj. – Rousseau posłała Jonasowi ostrzegawcze spojrzenie. Następnie popatrzyła na Johnson. – Wyjdźcie. Natychmiast. Oboje. Dziękujemy za państwa czas i zainteresowanie, ale pan McIntyre musi odpocząć.

– Moja partnerka ma rację – stwierdził Thomas. – To my tu sprawujemy władzę, ale... – Zerknął znacząco na Johnson, zanim dodał: – Damy panu McIntyre'owi czas na dojście do zdrowia.

– Dziękuję. – Rousseau posłała Johnson ostatnie, wzgardliwe spojrzenie.

Thomas wyszedł z pokoju, policjantka niechętnie ruszyła za nim.

Na szczęście eksplodowała, dopiero gdy znaleźli się w windzie jadącej na dół.

– O co w tym, do cholery, chodziło? – zapytała, oczami miotając błyskawice. – Mieliśmy okazję, a ty spartaczyłeś. Po prostu wyszedłeś! Wiesz, co ona robi, prawda? Ta „po prostu Alex” Rousseau? – zapytała, robiąc palcami znak cudzysłowu. – Wywiezie gdzieś naszego głównego świadka i go ukryje! Gdzieś w Malibu czy w Brentwood albo w jakimś innym miejscu w Los Angeles. Mówię ci, że wzięła tę sprawę tylko dlatego, żeby brylować przed kamerami.

– Może.

– A więc straciliśmy świadka. I co teraz?

– Wezwanie do stawienia. I nie sądzę, żeby Rousseau chciała go zabrać do innego stanu.

– Tego nie wiesz! – Johnson naprawdę się zirytowała. – A co nam da wezwanie, skoro nie będziemy mogli znaleźć cholernego gnoja? – Ze złości aż poniosła rękę. – Jezu, Thomas, czy to nie ty sądziłeś, że Jonas McIntyre jest winny wymordowania swojej przeklętej rodziny?

– Ja.

– Więc...?

Winda zatrzymała się na parterze.

– Czasami trzeba przeczekać.

– Och, jasne – odparła, gdy drzwi się otworzyły i musieli wyminąć starszego mężczyznę z chodzikiem. – Dwadzieścia lat to jeszcze za mało.

– Tak jakby – skwitował, nie chcąc nawet myśleć o tym, że popełnił błąd taktyczny, pozwalając się wymknąć Jonasowi McIntyre'owi.

Musiał zdać się na swój instynkt.

ROZDZIAŁ 26

Detektywi czekali w pokoju przesłuchań.

Kara wyobrażała sobie, że zostanie umieszczona w małym, przypominającym celę pomieszczeniu z lustrem weneckim, ukrytymi kamerami, niewidocznymi oczami obserwującymi każdy jej ruch, szukającymi niuansów, które mogą nie zgadzać się z tym, co powiedziała policjantom. Myślała, że lampy będą rzucać ostre światło, a cała procedura ją wykończy. Słyszała o dobrym i złym policjancie, i spodziewała się, że zostanie wzięta w krzyżowy ogień pytań, detektywi ją zdominują, stłamszą, by mówić rzeczy po ich myśli.

Okazało się, że naogładała się zbyt wielu filmów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Została zaprowadzona do pokoju pomalowanego na jasnoszary kolor. Na środku stał stół z czterema krzesłami, na jednej ścianie pod sufitem ciągnął się rząd okien, naprzeciwko wisiały dwa rzędy oprawionych zdjęć policjantów w mundurach.

Czekało na nią dwoje funkcjonariuszy.

Ścisnęło ją w żołądku. Starła się stłumić podenerwowanie. Nienawykła do zadawania się z ludźmi, od lat unikała kontaktu z policją. Mimo to przysła.

Szybko się sobie przedstawili, uściśnięto ręce, zaproponowano jej miejsce naprzeciwko detektywów Cole'a Thomasa i Aramis Johnson. Postawiono przed nią butelkę wody, papierowy kubek i dzbanek kawy.

Thomas, wysoki mężczyzna w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, granatowym, sportowym płaszczu i dość eleganckich spodniach był bardziej zrelaksowany niż jego partnerka. Był szczupły, ogolony, szpakowate włosy miał ścięte na krótko. Złote oczy lśniły intensywnie, choć były głęboko osadzone. Oczy łowcy. Wytropią nawet małe żyjątka w ciemnym lesie.

Johnson, jego partnerka, była atrakcyjną, wysoką kobietą. Emanowała z niej pewność siebie kogoś, kto urodził się piękny, ale musiał walczyć o każdą cząstkę szacunku, na który zasługuje. Uśmiechała się sztywno, miała kręcone włosy spięte w schludny koczek, wydatne kości policzkowe i oczy tak ciemne, że wydawały się czarne.

Karze zaproponowano kawę i wodę, napój gazowany, jeśli miała ochotę, powiedziano jej, że rozmowa będzie nagrywana, i przesłuchanie się rozpoczęło.

– Szukaliśmy pani – zaczął Thomas.

– Wiem. Zatrzymałam się u przyjaciela. – Nie rozwinęła tematu, bo zaczęła w niej kiełkować nadzieja, że szybko stąd wyjdzie. To miejsce było zbyt instytucjonalne, ściany za wysokie, a gliniarze sprawiali, że jej niepokój się wzmacniał.

– Jakiego przyjaciela? – zapytała Johnson.

– Czy to ważne? Mój dom był oblężony, wszędzie pełno dziennikarzy! Potrzebowałam czasu, żeby się pozbierać.

– Mogła pani zadzwonić – zauważyła.

– Nie miałam telefonu. Został w jeepie. Wiecie o tym. Na pewno go macie. I moją torebkę. – Czyżby próbowali ją wpuścić na minę?

– Mamy – przyznał Thomas. – Może pani odebrać swoje rzeczy, jak skończymy. Trzeba będzie podpisać odbiór.

– Dobrze.

– Czy ten przyjaciel nie ma telefonu? – drażyła Johnson. – Nie mogła pani z niego skorzystać?

– Mogłam – zgodziła się i poczuła, jak spinają się mięśnie jej pleców. Starła się zachować spokój. – Jak już mówiłam, potrzebowałam czasu.

Johnson chyba chciała drażyć dalej, ale Thomas jej przerwał.

– Może opowie pani, co się stało? Dlaczego pojechała pani do domu Merritta Margrove'a w górach?

– Szukałam go – wyjaśniła. – Zszokowało mnie, że mój brat Jonas został zwolniony z więzienia, i chciałam o tym porozmawiać, wobec tego dzwoniłam do niego. Nie odbierał, więc zaczę-

łam go szukać. Nie było go w biurze, ale Celeste, jego żona, powiedziała, że pojechał do domku w górach.

Kara, wciąż próbując opanować zdenerwowanie, wyjaśniła, jak odszukała to miejsce, jak weszła do środka i znalazła prawnika, który już nie żył i leżał w kałuży własnej krwi.

– Spanikowałam – przyznała. – Naprawdę spanikowałam, gdy go tam zobaczyłam. – Wstrząsnął nią dreszcz.

– I co pani zrobiła? – zapytał Thomas.

– Odjechałam. – Wyjaśniła, że musiała się stamtąd oddalić, że ruszyła na zachód w stronę miasta i wybrała numer alarmowy 911. – A potem... – Zrobiła głęboki wdech. – A potem na tylnym siedzeniu pojawił się Jonas, wyskoczył jak w jakimś głupim filmie. Prawie dostałam zawału. – Opowiedziała, że o mały włos uniknęła zderzenia z jeleniem, a potem o wypadku z udziałem ciężarówki, która wpadła w poślizg na wąskiej drodze. – Jedyne, co pamiętam, to zderzak ciężarówki i to, że próbowałam skręcić, by uniknąć kolizji. Nie pamiętam uderzenia, nawet nie pamiętam samego wypadku i drogi do szpitala. Kiedy się ocknęłam, leżałam w łóżku, miałam szwy na głowie i byłam cała obolała, zwłaszcza na ramieniu. Od pielęgniarek dowiedziałam się, że Jonas też jest w szpitalu, a kierowca ciężarówki został odwieziony do Portland.

– Czy porozmawiała pani z Jonasem? – zapytała Johnson. – W samochodzie?

– Wtedy, kiedy śmiertelnie mnie przestraszył? Tak, rozmawialiśmy. Oczywiście, że tak. Zdenerwował mnie. – Streściła ich rozmowę. Powiedziała, jaka była spięta i że Jonas też był podminowany. Przysiągł, że na miejsce przywiozła go dziewczyna o imieniu Mia i że nie zabił Margrove'a, że kiedy przyjechał, prawnik już nie żył. Schował się w jeepie, ponieważ spanikował i nie miał jak się wydostać z domu Merritta. Chciał, żeby Kara zawiozła go na parking dla ciężarówek w pobliżu The Dalles.

– Wyjaśnił pani, dlaczego tam przyjechał?

– Powiedział, że był umówiony z Merrittem, a kiedy się zjawił, Merritt już był... był martwy. – Zadrzała, przypomniawszy sobie prawnika leżącego na starym dywaniku. – To było okropne. – Zniżyła głos.

– Czy widziała pani jeszcze kogoś? Kiedy pani przyjechała? – zapytał Thomas.

– Nie, nie widziałam nawet Jonasa.

– Ale nie zaczekała pani na policję – stwierdziła Johnson.

– Nie – odparła Kara. – Nie mogłam tam zostać.

– Piła pani wcześniej? – dopytywała Johnson, a Kara przypomniała sobie małe buteleczki wódki, które bez wątplenia znaleźli w aucie.

– Tego ranka? Nie. Ale piłam poprzedniego wieczoru.

– I wsiadła pani za kierownicę?

– Przecież nie byłam pijana. – Pokręciła głową. W uszach jej dudniło. Musiała się stąd wydostać!

Johnson odrobinę zmrużyła oczy, ale nie drążyła.

– Co może nam pani powiedzieć o nocy, gdy doszło do masakry?

Kara spodziewała się tego pytania.

– Nic poza tym, co już powiedziałam. Macie moje zeznanie na piśmie i wszystko, co mówiłam w sądzie.

Thomas potaknął, ale Johnson nie zamierzała odpuścić.

– Była pani tylko dzieckiem. W pani pamięci były dziury.

– To się nie zmieniło – odparła Kara.

Johnson przekrzywiła głowę, co było przyjaznym sposobem wyrażenia, że nie do końca jej wierzy.

– Na pewno przez te lata miała pani czas, żeby o tym pomyśleć. I zakładam, że dużo pani myślała. Przeczytała pani akta, widziała film w telewizji, zapewne weszła na fora na ten temat. Coś mogło pobudzić pani pamięć.

– Nic nie pobudziło – odparła stanowczo. Przywołała wspomnienia o tej strasznej, nieszczęsnej nocy, tak jak je zapamiętała, od chwili gdy Marlie zamknęła ją na strychu, następnie przerażenie związane z odkryciem zamordowanych domowników, intruza w drzwiach i ucieczkę do lasu, podczas której wydawało jej się, że goni ją zakrwawiona rodzina, zarwanie się lodu i wpadnięcie do

ciemnego, lodowatego jeziora. – Potem się ocknęłam i dowiedziałam, że facet, który mnie gonił, nazywał się Edmund Tate i że umarł, ratując mi życie.

Ani Thomas, ani Johnson jej nie przerywali, gdy się zamyśliła, pokój przesłuchań rozplynał się przed jej oczami, a ona znowu była siedmioletnim dzieckiem, które stało się świadkiem wydarzenia na zawsze zmieniającego jej życie. Zalały ją wspomnienia, niektóre krystalicznie wyraźne, inne mgliste i nieprzejrzyste, ale wszystko tak prawdziwe, że gdy opowiadała swoją historię, czuła, że ma na rękach gęsią skórkę.

– Niektóre fragmenty są niewyraźne, nawet teraz – przyznała. – Byli jacyś policjanci i pracownicy opieki społecznej... – Drżąc, patrzyła przed siebie, zamruwała, żeby powrócić do teraźniejszości.

Zadali jej jeszcze kilka pytań, kazali powtarzać odpowiedzi, sprawdzali każdy szczegół, aż miała wrażenie, że zaraz oszaleje. Musiała to skończyć.

– To chyba wszystko – oznajmiła, odsuwając krzesło. – Naprawdę nie mam już nic do dodania.

Johnson chciała zaprotestować, ale Thomas uniósł rękę.

– Dziękuję. Myślę, że mamy to, czego potrzebujemy.

– Ale możemy jeszcze do pani zadzwonić. Jeśli coś się pani przypomni, proszę o kontakt.

O, nie. Ale powstrzymała się od reakcji.

– Macie moje rzeczy. Chciałabym odzyskać torebkę i telefon.

Thomas skinął głową.

– Owszem, mamy. Oczywiście, może je pani odebrać.

– Przyniosę je. – Johnson odsunęła krzesło.

– Będzie pani musiała wypełnić formularz – dodał Thomas.

– A co z moim jeepem?

– Jeszcze z nim nie skończyliśmy. Gdy procedury dobiegną końca, będzie pani mogła ubiegać się o jego zwrot i załatwić formalności związane z odholowaniem pojazdu i ubezpieczeniem. Zajmie to dzień lub dwa.

Johnson wróciła z dokumentem i przezroczystą torbą foliową. Widać było jej telefon i torebkę, a także okulary przeciwsłoneczne, buteleczkę żelu do odkażania dłoni, parasolkę, latarkę i dwie puste buteleczki po wódce. Kara poczuła, że ściska ją w żołądku na ich widok, ale nic nie powiedziała, tylko sprawdzwszy zawartość torebki, podpisała formularz.

Wyjęła komórkę, włączyła ją i sięgnęła po płaszcz.

– Co z kierowcą ciężarówki? – zapytała, gdy telefon się uruchomił. – Svenem Aaronsenem? Wiecie, jak się czuje?

– Trzyma się. – Thomas otworzył drzwi i poprowadził ją przez korytarz.

– Dzięki Bogu. – Aż do tej chwili Kara nie uświadamiała sobie, jak bardzo się o niego martwiła. – Przeżyje?

– Wiem jedynie, że został przeniesiony z oddziału intensywnej terapii. Krok we właściwą stronę.

Zamruwała, zaskoczyły ją łzy, które pojawiły się w jej oczach.

– To dobrze – wyszeptwała. W tej chwili jej telefon zaczął sygnalizować, że ma jakieś wiadomości w skrzynce głosowej i nowe esemesy. Trzy razy pojawiło się imię Faizy, potem wiadomość tekstowa z nieznanego numeru:

Ona żyje.

Ugięły się pod nią kolana. Wystawiła rękę, żeby oprzeć się o ścianę, a Thomas ujął ją za łokieć.

– Hej – powiedział, lecz ona miała wzrok utkwiony w wyświetlaczu telefonu. Sprawdziła, kiedy przyszła wiadomość. O drugiej trzydzieści siedem w nocy. – Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie wiem – odparła, gardło miała ściśnięte i walczyła ze zbliżającym się atakiem paniki.

– Co się dzieje? – Johnson zrównała się z nimi i w jej głosie słychać było zdenerwowanie.

– Już po raz drugi dostałam taką wiadomość – wyznała Kara, gdy obok nich przeszedł policjant w zimowym ubraniu. – Drugi raz. I ktoś do mnie zadzwonił z nieznanego numeru.

– Jaką wiadomość? – zapytała Johnson.

– Wydaje mi się... Wydaje mi się, że dotyczy mojej siostry – przyznała, dochodząc do siebie i czując, że się rumieni na myśl, że zareagowała tak gwałtownie.

Johnson spojrzała na jej telefon, a Thomas puścił jej rękę. Kłamstwo nie miało sensu. Policja mogła zażądać wykazu połączeń z jej telefonu, gdyby dobrowolnie ich do niego nie dopuściła. Przygryzła wargę i wzięła się w garść.

– Ktoś do mnie pisze, że Marlie żyje.

ROZDZIAŁ 27

Tate czekał.

Zaparkował na ulicy naprzeciw długiego, niskiego budynku wydziału szeryfa i siedział w toyocie. Sączył zimną już kawę kupioną na wynos dwie przecznice wcześniej i spoglądał na budynek, w którym przesłuchiowano Karę. Chociaż miał dużo na głowie – rozmawiał przez telefon, odpowiadał na maile, przeszukiwał Internet, to co dziesięć minut sprawdzał czas. Była w środku już ponad godzinę, więc zaczął się niecierpliwić, włączał i wyłączał silnik, żeby się ogrzać, bo znowu zaczął padać śnieg, duże, puchate płatki topiły się na masce SUV-a. Z przyjemnością by jej towarzyszył podczas przesłuchania, ale powiedziała, że chce iść sama. Poza tym był pewien, że policjanci nie zgodziliby się na jego udział.

Siedząc tutaj, odbył kilka rozmów telefonicznych, między innymi z Silasem Deanem. Były partner biznesowy Samuela seniora wkurzył się na niego, że śmiał mu coś „insynuować”, i zagroził pozwem.

– Szmatławiec, dla którego pracujesz, i wszyscy związani z tą cholerną sprawą pożałujecie, jeśli zniszczycie mi reputację. Mówię serio. Mdl mi na samą myśl. Wystarczy, że związałem się zawodowo z Samuelem McIntyre'em, ten facet miał nasrane we łbie, proszę bardzo, możesz mnie zacytować, ale to wszystko. Nie znajdowałem się w pobliżu jego domu tamtej nocy i mam świadków, którzy to potwierdzą. – Następnie wymienił kilku członków rodziny, którzy mogli za niego poświadczyć. Tak samo za noc, gdy zabito Margrove'a. Alibi było cienkie, ale zostało sprawdzone.

Tate wykreślił Deana z listy podejrzanych.

Następnie wyświetlił kopię testamentu Merritta Margrove'a, którą znalazł zeskanowaną na jednym z dysków zabranych z biura nieboszczyka. Jak się spodziewał, wszystko, co posiadał, przypadało żonie z jednym wyjątkiem. Margrove wykupił ubezpieczenie na kwotę miliona dolarów. Beneficjentką była Kara McIntyre.

Dziwne.

A może nie.

Margrove od lat okradał masę spadkową, żył ze spadku Kary. Zarówno on, jak i Faiza Donner wystawiali rachunki, które były pokrywane ze spadku Kary i z całą pewnością niemiłosiernie zawyżali koszty swojej opieki. Faiza czerpała pełnymi garściami zawyżając opłaty ponoszone na opiekunki, prywatne szkoły, lekcje tańca, obozy jeździeckie, drogie wycieczki, swój własny czas, utrzymanie domu w Portland i domu w górach, i tak dalej. Rachunki wystawiane przez Margrove'a wydawały się niezwykle wysokie i wypisywał je przez dwadzieścia lat. Ponadto prawnik źle zainwestował pieniądze należne Karze ze spadku. Oprócz opieki nad Karą i opłatami za usługi prawne, Margrove oskubał ją za konsultacje prawnicze udzielane głównie Jonasowi McIntyre'owi oraz opłacał z konta Samuela McIntyre'a różne wydatki: podróże, posiłki, pokoje hotelowe, gdy próbował znaleźć sposób na uwolnienie Jonasa. Był tam też nowy samochód „przeznaczony dla Kary McIntyre”, kiedy skończyła szesnaście lat, chociaż cadillac nigdy nie został zarejestrowany na jej nazwisko.

Zarówno Faiza Donner, jak i Merritt Margrove wykiwali system i prawdopodobnie można by ich podać do sądu, założyć im sprawę cywilną lub nawet kryminalną.

Tate bębnił palcami po kierownicy. Wyglądało to tak, jakby razem roztrwonili fortunę. W zмовie ze sobą lub samodzielnie.

Margrove najwyraźniej miał poczucie winy i wykupił polisę ubezpieczeniową, ale po dwóch latach zadłużył się pod jej zastaw.

– Chciał dobrze, ale mu nie wyszło – mruknął pod nosem, po czym znowu uruchomił silnik.

Rozmyślał o tym, obserwując ruch na drodze, auta wjeżdżały i wyjeżdżały z parkingu, ludzie okutani w płaszcze, czapki, szaliki i kozaki wchodzili i wychodzili z budynków.

Zadzwoniła jego komórka, zobaczył, że to oddzwania Connell.

– Dostałeś moją wiadomość? – zapytał Tate, odbierając.

– Tak. Już ci streszczam – odpowiedział Connell. Z dźwięków w tle Tate wywnioskował, że

Connell prowadzi. – Sprawdziłem i masz rację, masa spadkowa została wydrenowana. Nieruchomość w West Hills jest zadłużona, są to wielkie pożyczki pod zastaw od prywatnych pożyczkodawców. Na wysoki procent. Kupa kasy.

– Ale posiadłość miała być dla dzieci – zauważył Tate, rejestrując kątem oka, że furgonetka firmy remontowej próbuje się wcisnąć na miejsce parkingowe przed nim.

– Merritt Margrove i Faiza Donner sprawowali kontrolę nad pieniędzmi. Miały przypaść dzieciom, które przeżyły. Jonas miał stracić swój udział, bo siedział w więzieniu, a Kara do tego roku była za młoda. To w ogóle było dziwne, bo zwykle granicą jest wiek dwudziestu pięciu lub trzydziestu lat, albo jakaś wielokrotność pięciu, ale z jakiegoś powodu jej rodzice wyznaczyli wiek dwudziestu ośmiu lat.

– To nie ma znaczenia – stwierdził Tate, ale miało, widział testament i w jednym z punktów napisano, że jeśli wszystkie dzieci McIntyre'ów umrą lub będą w więzieniu, masa spadkowa, po opłaceniu wszelkich kosztów, trafi do dalszych krewnych, w tym przypadku do Faizy Donner. Sam McIntyre nie miał rodzeństwa, a jego rodzice już nie żyli. Zelda miała tylko jedną żyjącą krewną.

Złe przeczucia, które miał, odkąd przeczytał testament, jedynie się nasiliły. Tymczasem furgonetka zatrzymała się na miejscu parkingowym, kierowca wysiadł, pobiegł na drugą stronę ulicy i wszedł do budynku, w którym mieściło się archiwum hrabstwa, połączone z wydziałem szeryfa w jeden kompleks.

– A dom w górach?

– Wystawiony na sprzedaż. Za oszałamiającą cenę. Niewielkie zainteresowanie. Kto chce płacić miliony za dom, w którym doszło do masakry?

– Może jakiś bogaty świr z makabrycznym poczuciem humoru. Ktoś, kto lubi szokować lub zbiera jakieś trofea, żeby móc się nimi przechwalać. Wiesz, taki gość, który ma więcej pieniędzy niż rozumu.

Connell parsknął śmiechem.

– Obaj znamy kilku takich. Jak na razie jednak nikt się nie zainteresował. Dom od lat próbuje sprzedać czterech różnych agentów, ale nie padła ani jedna oferta.

– Sprzeda się. Jeśli cena będzie lepsza.

– Wszystko się sprzeda. Muszę kończyć. Prowadzę. Zadzwoń później.

Connell zakończył rozmowę, a Tate napił się zimnej kawy, opuścił szybę i wylał resztki na ulicę, w chwili gdy mijął go samochód dostawczy wypuszczający kłęby spalin.

Zamknął okno, sprawdził godzinę i po raz setny zastanowił się, jak przebiega przesłuchanie. Kara upierała się, że da sobie radę, że nie ma nic do ukrycia i że zrobi wszystko, żeby pomóc policji ująć i postawić przed sądem mordercę Merritta Margrove'a.

Cały czas twierdziła, że Jonas nie jest zabójcą, broniła go, chociaż zabrała go ze sobą z górskiego domu prawnika.

– To nie ma sensu – protestowała zeszłego wieczoru, gdy Tate zasugerował, że ten dupek, jej brat, były skazaniec, może kłamać. – Dlaczego miałby zabić człowieka, który wyciągnął go z krat? I dlaczego miałby się ujawnić i wsiąść ze mną do samochodu?

– Chciał, żebyś go zabrała z miejsca zbrodni.

– Winisz go za to? – rzuciła. Byli w kuchni jego loftu. – Właśnie wyszedł z więzienia i nie nawidzi glin. No cóż, cholera jasna, ja też uciekłam. – Posłała mu wyzywające spojrzenie, a on chwycił się jej urodą. – Jonas nie miał na sobie krwi, Wes. Ani kropli. Czy nie miałby na sobie krwi Merritta, gdyby poderżnął mu gardło? – Dosłownie zadrzała. – Poza tym policja dość szybko by to stwierdziła, nieprawdaż? Mieli jego ubranie po wypadku. Wiedzą więc, że tego nie zrobił. – Zmarszczyła brwi i przyglądała się winu w kieliszku. – Wiem, że Jonas ma swoje za uszami. Jest zgorzkniały. Ale kto by nie był?

– Zakładasz, że jest niewinny.

– Nawet jeśli, to co? – zapytała i wychyliła kieliszek. – Dobrze już, dobrze, rozumiem. Jonas to oszust. Wiem o tym. Ta cała sprawa z jego religijnością jest szemrana. Nikt, kto naprawdę „odnalazł Jezusa” – powiedziała, robiąc w powietrzu znak cudzysłowu – nie byłby tak mściwy, chciwy i tak cholernie rozgniewany. Ale to nie oznacza, że jest zabójcą.

W tamtym momencie zmienił temat, a ona nałapała sobie nową porcję wina.

A dzisiaj rano nie chciała, by jej towarzyszył na komisariacie.

Tate zatrzymał się przed budynkiem i zaproponował:

– Mogę pójść z tobą...

– Już o tym mówiliśmy – rzuciła, założyła rękawiczki, po czym otworzyła drzwi od strony pasażera. – Nie musisz na mnie czekać. Dostanę z powrotem telefon albo gliny zawiozą mnie do domu.

– Został u mnie twój pies – przypomniał jej.

– Aha. Przecież wiesz, co mam na myśli.

– Wiem. I poczekam.

Spojrzała pytająco, jakby próbowała odszyfrować motywy, które nim kierowały – czy był dobrym człowiekiem, a może dziennikarzem stającym na rżęsach, żeby tylko spisać jej historię?

– Jest zimno.

– Nic mi nie będzie.

– Skoro tak twierdzisz. – Wysiadła, zamknęła za sobą drzwi, przepuściła samochody, po czym przebiegła przez ulicę. Patrzył na nią, na jej podskakujące włosy, z łatwością poruszające się nogi i kazał sobie nie zauważać, jaka jest seksowna. Te myśli nie miały prawa zaprzętać mu głowy, bo mogły wpędzić go w tarapaty. Mimo to nie był w stanie odwrócić od niej wzroku, gdy wchodziła po schodkach i znikwała w przeszklonym przedsionku. Widok zasłonił mu stary volkswagen vanagon, a kiedy przejechał, już jej nie było.

Poczuł ukłucie w sercu, które nie chciało minąć.

Niecałe pięć minut później zadzwoniła jego mama.

– Nie mów mi, że znowu badasz starą sprawę McIntyre’ów – powiedziała, gdy odebrał.

– Mnie też miło cię słyszeć, mammo.

– Nie wymądrzaj się – ucięła i znowu wróciła do swojej śpiewki. – Cholera, Wesley, nie możesz odpuścić? – Dosłownie czuł jej wściekłość.

Wiedziała, że nie może. Wiele razy już o tym dyskutowali.

– Widziałam w telewizji, że wypuścili Jonasa McIntyre’a i ten prawnik, który go wyciągnął, Merritt Margrove, został zabity. Wszędzie o tym trąbią. W gazecie, w radiu, telewizji, nawet na cholernym Facebooku! – Westchnęła przeciągle. – Dzisiaj rano dzwoniła do mnie jakaś dziennikarka. Ta Sheila Keegan. Strasznie upierdliwa. Była pierwsza, ale wiem, że za chwilę zjawią się inni. Już odbył się jakiś protest w sprawie Jonasa McIntyre’a. I chcą znowu odgrzebać tę starą sprawę. A ty... ty razem z nimi.

– To moja praca, mammo.

– Nie, Wesley, to twoja obsesja! – Zamilkła na chwilę, po czym mówiła już łagodniej: – Musisz dać sobie z tym spokój. Co się stało, to się nie odstanie. Nie odchodzę od zmysłów tylko dlatego, że Jonas McIntyre wyszedł z więzienia, wiesz, że nie, przykro mi, że nie żyje kolejna osoba, że została zabita, ale wszystko jest teraz w rękach Boga.

– Merritt Margrove został zamordowany. Nie sądzę, by Bóg miał z tym coś wspólnego. – Tate zapuścił silnik i podkręcił ogrzewanie, bo szyby zaczęły zaparowywać.

– Przecież nie o to mi chodzi – przypomniała mu mama. – Czyż nie poświęciłeś już tej sprawie dość czasu? Opuść, synu.

– Mam nowy trop – powiedział, odrywając wzrok od telefonu i patrząc przez zaparowaną szybę na drzwi komisariatu, z których wyszły dwie osoby i wsiadły do służbowego SUV-a.

– Zrozum, że skoro ja potrafiłam zostawić za sobą przeszłość, ty też dasz radę.

– Nie mogę tego zrobić. – I była to najszczerza prawda. Ta tragedia prześladowała go przez ponad połowę życia.

– Jesteś tak uparty jak ojciec. On mnie też nie słuchał. – Westchnęła z goryczą. – Nie sądzisz, że ta cała sprawa wyrządziła dość szkód w naszej rodzinie? I nadal wyrządza. Nieważne, czy Jonas McIntyre siedzi w więzieniu, czy jest na wolności, musisz żyć swoim życiem.

– Już to mówiłaś, mammo.

– Tak, tak. I jeszcze coś.

Przygotował się na cios.

– Bułeczki i przystawki.

– Słucham?

– Masz przynieść na świąteczny obiad.

– Czekaj...

– W ten weekend są święta, Wesley, będziemy je obchodzić. Jak powiedziałam, musimy żyć swoim życiem, a narodziny Pana są doskonałą okazją. Do zobaczenia. Kocham cię, Wesley.

– Ja ciebie też, mamo – rzucił mechanicznie, ale ona już się rozłączyła.

Oparł się o zagłówek i odtworzył w myślach tę rozmowę. Nie chodziło o to, że nie miała racji. Ale nie mógł odpuścić. Szukanie materiałów i pisanie książki nie tylko miało działanie katartryczne, ale także dawało odpowiedzi na pytania, które dręczyły go przez dwadzieścia lat.

Zacieśnienie więzi z Karą McIntyre nie zaszkodzi.

– Sądzi pani, że zaginiona siostra dzwoni i pisze do pani? – zapytała Johnson Karę, nie kryjąc zwątpienia. Nadal stali w korytarzu przed pokojem przesłuchań. Detektywi patrzyli na nią wyczekująco.

– Nie, nie sądzę, że to ona. To znaczy... nie. Dlaczego powiedziałaaby „ona żyje”, gdyby to Marlie dzwoniła, żeby poinformować mnie, że nic jej nie jest? Nie powiedziałaaby raczej „ja żyję”?

– Może żeby ukryć swoją tożsamość? – poddał Thomas. Mijał ich właśnie jakiś poważny policjant po pięćdziesiątce, wkładając czapkę.

– Przepraszam – wymamrotał, więc przysunęli się do ściany.

– No dobrze, wiem, że to się nie klei – przyznała Kara. – Ale mam przeczucie, że... – Nie dokończyła.

– Że co? – ponagliła ją Johnson.

Kara pokręciła głową i poczuła, że ciągną ją szwy.

– Chcę wierzyć, że Marlie żyje. – Zwerbalizowała to, odsłoniła swoje najskrytsze pragnienie przed policją, marzenie, którego trzymała się kurczowo przez dwadzieścia lat.

– Oczywiście, że tak – zapewnił Thomas, jakby ją rozumiał.

– Widuję ją, wiecie? – wyznała Kara i nerwowo zatarła ręce. – Czasem mogłabym przysiąc, że ją widzę, oczywiście okazuje się, że to ktoś obcy. Prawda jest taka, że nawet nie wiem, jak mogłaby wyglądać.

– Proszę za mną – powiedział Thomas i ruszył w głąb korytarza. – Chcę pani coś pokazać. – Na końcu holu, zanim dotarli do recepcji, skręcił kilka razy, aż doszli do oszklonego biura, jego biura, jak się domyśliła, gdy usiadł na wysiedzianym krześle i złapał myszkę leżącą na blacie. Szybko się zalogował, nie odrywając wzroku od monitora, znalazł właściwy plik i kliknął na niego. Otworzyło się zdjęcie.

Aż zabrakło jej tchu.

– Marlie – szepnęła, patrząc na kobietę na monitorze. – O Jezus.

– Postarzona za pomocą odpowiedniego programu.

Poczuła mrowienie na karku.

– Widziałam ją – wyszeptła, wracając myślami do grupy ludzi, która zebrała się pod szpitalem, i do kobiety w czerwonym szaliku i okularach z przyciemnionymi szklami. – Ona żyje.

ROZDZIAŁ 28

Alex Rousseau nie była zadowolona, gdy wjechała lexusem na parking ciężarówek, z dała od oświetlonej markizy i minimarketu, i zatrzymała się w cieniu parkujących tu tirów.

W zasadzie, gdy się nad tym zastanowić, była cholernie wpieniona.

– To nie jest dobry pomysł – powiedziała Jonasowi, który opuścił fotel pasażera niemal do pozycji leżącej i dąsał się przez całą drogę ze szpitala.

– Już to mówiłaś. Jakieś... och, nie wiem... milion razy.

– Jako twój adwokat...

– Rób, co mówię!

– Nie – warknęła. – Radzę ci przyjąć najlepszą strategię postępowania. W ramach prawa.

– Och, wypchaj się! – Wcisnął przycisk i elektrycznie sterowany fotel, szumiąc cicho, podniósł go do pozycji siedzącej. Na międzystanowej autostradzie mijały Przystań u Hala. Ciężarówki, pick-upy, furgonetki, SUV-y, sedany śmigwały po autostradzie, która ciągnęła się wzdłuż Kolumbii. Wcześniej droga była zamknięta ze względu na pogodę.

Teraz na niebie znowu zbierały się ciemne, groźne chmury, zaczynał sypać śnieg, ale to była tylko zapowiedź jeszcze gorszej pogody. W dorzeczu Kolumbii w ciągu dwunastu godzin znowu miała rozszaleć się burza śnieżna. Teraz jednak, przez co najmniej kilka godzin, droga była otwarta.

– Nie wiem, jak dogadywaliście się z Merrittem Margrove’em – powiedziała Alex swojemu nowemu klientowi. – Musisz jednak traktować mnie lepiej, zasługuję na większe poważanie.

– Poważanie – powtórzył drwiąco. – Wow, słowo za dwanaście dolarów.

– Czyżby? – Boże, co za kutas. Gdyby z Jonasem McIntyre’em nie wiązał się rozgłos i sława, kazałaby mu iść się utopić. Biorąc pod uwagę to, co stało się dwadzieścia lat temu, propozycja wydawała się właściwa. – Jako twój adwokat, radzę nie robić tego... co planujesz. – Jedyne, czego się od niego dowiedziała, to to, że potrzebuje dostać się na parking. Żeby spotkać się z „przyjacielem”.

Jonas kiwnął głową i spojrzał na nią.

– Kumam. – Następnie położył dłoń na klamce drzwi pasażera.

Spróbowała ponownie.

– Nie po to użyłam swoich wpływów w szpitalu, żebyś sobie poszedł ot tak.

– Wiem. – Krzywo się do niej uśmiechnął, otworzył drzwi, lekko się skrzywił, ale zignorował ból. Szum silników i kół na betonie zagłuszał ciche pikanie alarmu samochodowego, przypominającego o tym, że auto stoi na jałowym biegu i ma otwarte drzwi. – Bądźmy ze sobą szczerzy – powiedział, jego twarz oświetlała lampka w suficie lexusa oraz neony z pobliskiego minimarketu.

– Jesteśmy – warknęła, bo do środka wleciał smród spalin i poczuła smagnięcie zimnego wiatru. – Przynajmniej ja jestem.

– Tak, oczywiście. – W ogóle nie dbał o to, żeby ukryć zwątpienie i sceptycyzm. – Oboje wiemy, że chodzi ci o pieniądze, Alex, i o sławę. Więc nie ma znaczenia, czy wysiądę tutaj, czy też zrobię to, co chcesz, czy będę udawał, że jestem wzorowym pacjentem pod opieką jakiegoś chujowego lekarza. Cokolwiek zrobię, ty wygrywasz. Nieważne co, zawsze dostaniesz to, na czym ci zależy. Czas antenowy. Uwagę mediów. To może moim zdaniem pójść nawet na antenie ogólnokrajowej, jak myślisz? Więc przestań pieprzyć. Daj żyć. Muszę załatwić swoje sprawy.

– Nie jesteś w najlepszej formie.

Na jego zarośniętej twarzy pojawił się hardy, sarkastyczny uśmiech.

– A kto jest, Alex? Kto, do cholery, jest? – Wysiadł z samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Dupek – mruknęła pod nosem, podczas gdy on skulił ramiona i potruczał, lekko kulejąc, przez parking. Raz poślizgnął się na lodzie, ale udało mu się utrzymać równowagę.

Może powinna pójść za nim. Było dość prawdopodobne, że ucieknie, ponieważ policja zamierzała aresztować go za zamordowanie Margrove’a. To tylko kwestia czasu. Był na miejscu. Ofiara miała poderżnięte gardło, podobnie jak członkowie jego rodziny, którzy zginęli w Masakrze Rodziny McIntyre’ów nad Zimnym Jeziorem dwadzieścia lat temu.

O ile jej było wiadomo, w sprawie Margrove'a nie znaleziono narzędzia zbrodni, ale jaki był motyw? Jonas był porywczy, o jego wybuchach gniewu krążyły legendy, powiedział jej, że Margrove i jego ciotka wypompowali całą forszę z masy spadkowej. To wystarczający powód.

Widziała, że podszedł do małego sedana zaparkowanego na skraju placu.

Jonas wciąż był nieokrzesany, ale dobrze go ubrała, kupiła mu nowe dżinsy, bluzy i marynarki, nawet buty. Zaopatrzyła go też w telefon komórkowy na kartę i dała mu pieniądze w gotówce. Musiała być z nim w kontakcie i podliczy go za to, podobnie jak za swój czas, gdy tylko otrzyma choćby dolara ze spadku. Z tego, co zostało, powinien dostać swój udział, a potem na drodze sądowej wycisnąć z przyrodniej siostry, Faizy Donner i masy spadkowej Merritta Margrove'a to, co według Alexy słusznie mu się należało, choć było jedynie jałmużną. Największą kasę powinien dostać, kiedy wygra sprawę za niesłuszne uwięzienie. Planowała, że pozwie hrabstwo oraz stan, a dopiero się rozgrzewała. Będą też inni... Och, stały przed nimi nieskończone możliwości.

Jonas się mylił, gdy puścił jej jadovitą wiązanekę. Nie chodziło jej tylko o sławę, Alex Rousseau chciała i zamierzała zyskać także fortunę.

Jonas wszedł do gruchota i włączyły się reflektory sedana. Alex rozpoznała kierowcę: Mia Long. Żadnych niespodzianek. Mia była najzarliwszą i najgłośniejszą fanką. Alex zobaczyła nawet, że na lusterku wisi różaniec, migotał, dopóki drzwi się nie zamknęły i nie zgasło światło w środku.

Mia ruszyła.

Jej samochód wyjechał z parkingu i włączył się do ruchu na drodze dojazdowej.

Przez chwilę Alex zastanawiała się, czy pojechali gdzieś, żeby się migdalić, na długo wyczekiwany i wyidealizowany numer. Jeśli tak, zbliżenie zapewne będzie namiętne jak diabli. Chociaż Jonas dochodził jeszcze do siebie po wypadku, wyglądał na twardziela. Umięśniony. Seksowny. A może działo się tam coś innego? Miała nadzieję, że nie. Wrzuciła bieg i powiedziała sobie, że ma się nie martwić, po czym wyjechała na drogę, a następnie na autostradę.

Gdy przyspieszyła, włączyła wycieraczki.

Jonas miał rację, rozmyślała, wyprzedzając ciężarówkę, która rozpryskiwała stopiony śnieg. Jeśli narobi sobie kłopotów, stanie się jeszcze bardziej wartościowy.

W tej sytuacji nie było przegranych.

O ile wciąż będzie jej klientem.

Dodała gazu, jej LX 570 wyminął jakiś podrasowany samochód, jej opony śmigały po asfalcie, silnik łagodnie mruczał pod maską.

Jonas McIntyre mógł się wyrwać dziś wieczorem i pieprzyć się do utraty rozumu czy co tam mu grało w duszy.

Przecież wróci.

Alex i ostatni syn McIntyre'ów, który przeżył masakrę i był nieprzystosowany do życia w społeczeństwie, pasowali do siebie jak ulał.

Jonas potrzebował jej tak samo, jak ona jego.

Kara wsiadła do SUV-a Tate'a.

– Kupisz mi drinka? – zapytała.

– Nie ma jeszcze południa. Mówisz poważnie?

– Żartuję. Jedź. – Nie żartowała. Przebywanie z policjantami w pokoju przesłuchań było męczarnią. Nerwy miała napięte jak struny i nic by jej tak nie rozluźniło jak krwawa mary, mimoza lub cholerny kieliszek wina.

– Dokąd?

– Do ciebie po Rapsodię, a potem chyba powinnam wrócić do domu. – W kuchni czekały na nią wódka i wino, miała na nie nieodpartą ochotę.

Wjechał pomiędzy leniwie jadące samochody, po czym na nią spojrział.

– Jak poszło z policją?

– Jakoś poszło – odparła, gdy Tate zwołał przed czerwonym światłem. – Wiesz, nie byłam z tobą całkiem szczerą.

Nie wydawał się zaskoczony.

Super. To zapewne oznaczało, że on z nią też.

– Nie ufam dziennikarzom. Nie ufam mężczyznom, nikomu nie ufam, ponieważ mam syndrom odrzucenia i bla, bla, bla. Wyjaśniali mi to niezliczeni psychiatrzy.

– Okej. – Zwolnił, bo droga przed nimi była zakorkowana.
– No więc powiedziałam policji, że wydaje mi się, że widziałam Marlie w szpitalu i...
– Marlie? W tym szpitalu? – Zerknął na nią.
– Nie, w tłumie przed wejściem.
– Widziałaś...? – Nie skończył zdania, lecz posłał jej zatroskane spojrzenie. Podniosła telefon. – Dostałam go z powrotem i... cóż, do dupy, Tate. Ktoś do mnie dzwoni i wysyła dziwne wiadomości. Zaczęło się, gdy wypuścili Jonasa... albo jakoś tak, ale zanim pojechałam do domku Merritta, zanim go znalazłam z poderżniętym gardłem, przed wypadkiem, kiedy Jonas wyleciał przez szybę, i sądzę, że to Marlie. Ale coś tu nie pasuje, bo nie mówiłaby o sobie w trzeciej osobie, nie mówiłaby, że ona żyje, a ten policjant pokazał mi przerobione zdjęcie... – Zamilkła, dotarło do niej, że gada bzdury, że jest o krok od hiperwentylacji.

– Marlie? Sądzisz, że napisała do ciebie wiadomość?

– Tak! Powinam była powiedzieć ci wcześniej – przyznała. – Wiem, ale wszystko jest takie dziwne, wymknęło się spod kontroli...

– Ciii. Już dobrze – uspokoił ją Tate i zahamował przed światłami. Stał za brudnym, czarnym pick-upem z ładunkiem drewna na opał pod niebieską, łopoczącą plandeką. Dotknął jej ramienia. – Kiedy wrócimy, opowiesz mi o tym. Mogę zatrzymać się na kawę. Przed nami jest budka.

– Tylko jeśli dodają do niej szot baileysa lub irlandzkiej whiskey. – Spojrzała znacząco. – Nie żartuję. – A następnie odwróciła wzrok i popatrzyła na skrzyżowanie, na którym młoda kobieta jedną ręką popychała wózek, a drugą trzymała rączkę cztero- lub pięcioletniego chłopca. Zniknęli przed pick-upem, więc zerknęła na róg, gdzie stał przebrany Mikołaj i potrząsał dzwonkiem, zbierając datki. Do znudzenia krzyczał „wesołych świąt”, „niech Bóg cię błogosławi” i „ho, ho, ho”.

Rany boskie, nienawidziła tej pory roku.

Zamknawszy oczy, przykazała sobie, że musi jakoś przetrwać, że ma się wziąć w garść i coś zrobić.

Zanim dotarli do mieszkania Tate’a, uspokoiła się, pomogło też to, że zaraz po wejściu zrobił im po kawie i dołał do naparu solidną porcję baileysa. Bez whisky. Siedziała na kanapie z Rapsodią u boku, gdy podał jej kubek. Lekko drżały jej palce, gdy pociągnęła długi, uspokajający łyk.

Lepiej.

O wiele lepiej.

Ciepło kawy z dodatkiem alkoholu czyniło cuda i szybko poradziło sobie z jej roztrzęsieniem.

Drugi kubek przygotował dla siebie, po czym odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, żeby móc patrzeć na nią.

– No więc? Co to za kłamstwo? – zapytał, sącząc z kubka. – Mieliliśmy umowę. Działamy razem.

– Tak, tak. – Upiła kolejny łyk. Alkohol pomagał jej wyciszyć skołataną nerwy. Zeszło z niej napięcie, gdy opuściła komisariat, ale wciąż czuła zdenerwowanie i niepokój, czuła się jak zwierzę w klatce. Musiała się z niej wydostać. Uciec. Coś zrobić. – Jak mówiłam, dzwoniło do mnie – przyznała i znowu łyknęła kawy. Następnie odstawiła kubek, uznała, że jej palce odzyskały nieco spokoju, i odblokowała telefon. Przeskrolowała przez kilka połączeń od dziennikarzy i policji, po czym znalazła wiadomość na skrzynce głosowej nagraną przez kogoś mówiącego cienkim głosem: „Ona żyje”. – Zanim zapytasz, nie rozpoznaję tego głosu ani numeru.

– Pewnie jakiś numer na kartę.

– Jest tego więcej. – Pokazała mu esemesy, następnie wzięła kubek i wypila wszystko do dna, po czym oparła się o poduszki na sofie.

– Kto mógłby coś takiego zrobić?

– Nie wiem. – Wstała, zostawiła go ze swoim telefonem, przeszła do aneksu kuchennego, zaparzyła drugi kubek kawy i dodała pokaźną porcję alkoholu. Tymczasem Tate przeglądał esemesy w jej komórce.

Był tak tym pochłonięty, że poczuła oburzenie, że czyta jej prywatne wiadomości. Ruszyła w jego stronę, żeby odebrać telefon, po czym pomyślała: *W sumie czemu? Kogo to obchodzi? Nie ma tam żadnych osobistych spraw. A Merritt nie żyje. Został zabity.*

– Kim jest Brad? – zapytał.

Zamieszała kawę łyżeczką, którą zostawił na blacie.

– Mój ostatni chłopak.

– Nadal do ciebie pisze.

– Zapomniałam go zablokować. – Zmarszczyła brwi.

– Twoja ciocia Faiza chyba się martwi.

– Rozmawiałam z nią. – Czuła się już lepiej, ale nadal była poirytowana. Popijając z kubka, wróciła na kanapę.

– Opowiedz mi o przesłuchaniu – poprosił, oddając jej telefon.

Włożyła go do kieszeni, usiadła na skraju sofy i sącząc kawę, opowiedziała mu wszystko, co zapamiętała, zmuszając się do wyzbycia się wątpliwości co do jego osoby.

Potrzebowała sojusznika – nawet takiego, który mógł okazać się niegodny zaufania, takiego, który otwarcie przedstawiał swój cel i któremu zależało na dotarciu do prawdy. Czy ważne były jego motywy? Czy zamierzał napisać artykuł, w którym jeszcze bardziej obnażyłby ją przed światem, odarłby ją z... czego? Prywatności? Anonimowości? Dumy? Do diabła, wszystko to już się stało, a teraz, teraz istniała szansa, że Marlie żyje.

Opowiedziała mu wszystko, co pamiętała, o swoim życiu i o tym, co powiedziała policjantom. W jej historii oczywiście były luki, puste miejsca w jej pamięci, których nie potrafiła zapełnić, ale dosłownie obnażyła przed nim swoją duszę. Wyjaśniła, że detektyw Thomas pokazał jej zdjęcie przedstawiające postarzoną komputerowo Marlie.

– Wtedy wiedziała na pewno, że ją widziałam. W szpitalu. – Kara wpatrywała się w Tate'a, mając nadzieję, że mężczyzna jej uwierzy. – Próbowałam do niej podejść, ale zniknęła, zanim przecisnęłam się przez tłum.

– Znowu – uściślił. – Znowu zniknęła.

– Tak. – Upiła łyk kawy.

– Jesteś przekonana, że to była Marlie? – Nadal był sceptyczny.

– Oczywiście! – wykrzyknęła, aż Rapsodia podniosła głowę i zaszczekała oburzona. Zaczęło ogarniać ją zwątpienie. – W sensie, że tak mi się wydawało... zwłaszcza po tym, jak zobaczyłam zdjęcie Marlie... ale nie... nie jestem pewna. Nie na sto procent. Teraz to już niczego nie jestem pewna. Tamta kobieta wyglądała jak ona, naprawdę tak jak ona, ale była opatulona szalem, miała okulary z barwionymi szklami, więc potem pomyślałam, że mogło mi się przywidzieć. No bo po co miałyby tam się zjawić? Po takim czasie? Czy ukrywała się po to, żeby przeczekać i zobaczyć Jonasa? To nie miało sensu, a ja czasem wyobrażam sobie różne rzeczy.

– Na przykład co?

– Że ktoś mnie śledzi albo że ktoś obserwuje dom, takie tam. Cały czas jestem na skraju szaleństwa, wiesz? – Nie czekała na odpowiedź. – No więc po tym, jak zobaczyłam Marlie koło szpitala, powiedziałam sobie, że muszę uznać, że to kolejny wybryk Walniętej Kary McIntyre, ale potem detektyw Thomas pokazał mi przerobione zdjęcie. I teraz... teraz nie wiem, co mam myśleć. To naprawdę musi się skończyć. Zanim całkiem oszaleję.

– Nie jesteś szalona – uspokajał ją.

– Nie? – Uniosła brew.

– Nie.

– Powiedz to moim zszarganym nerwom i podziurawionej pamięci. – Dokończyła kawę i wyniosła pusty kubek do zlewu. Ignorując chęć wypicia kolejnego drinka, podeszła do okna i objęła się ramionami. Na zewnątrz ciągnęła się rzeka wpadająca do morza na skraju miasta. Ciemna i złowieszcza, odzwierciedlała jej myśli.

Tak wiele pytań bez odpowiedzi, tak wiele smutku.

Jak to mówiła doktor Zhou? Coś o tym, że należy zaakceptować strach, zanim się z nim skonfrontuje? Niełatwo to zrobić. Bała się przeszłości; śmiertelnie się jej bała, obawiała się tego, czego może się dowiedzieć.

A jednak nie mogła tak żyć ani minuty dłużej.

Mia nie posiadała się z radości.

Przywiozła Jonasa do swojego mieszkania, kawalerki w Gresham, która znajdowała się niedaleko autostrady i tylko dwadzieścia sześć minut od śródmieścia Portland. Mia to zmierzyła. Trochę kręciło jej się w głowie i denerwowała się, gdy Jonas rozglądał się po ciasnym lokum złożonym

z zagraconego salonu, małej kuchni, łazienki i niewielkiej sypialni. Pomyślała jednak, że skoro połowę życia spędził w małej celi, może mu wydawać się duże, a nawet przestronne mimo zastawionych blatów i stolika przysypanego stertą gazet, które zawierały artykuły o nim i jego uwolnieniu.

Chyba że patrzy na jej małe mieszkanko oczami obrzydliwie bogatego człowieka, który dorastał w rodzinie posiadającej dwie rezydencje, które mogłyby w całości pochłonąć jej własność.

– A więc tym się zajmujesz – powiedział, patrząc na artykuły z gazet. Następnie wziął jej iPada i przeskrolował stronę na Facebooku poświęconą sobie, gdzie znajdowało się wiele postów i komentarzy zamieszczonych przez jego fanów.

– To tylko część. Mamy wiele platform, nie tylko Facebooka. Jesteśmy na Twitterze, YouTube, na WhatsAppie i Instagramie oraz... cóż, przecież wiesz. Na wszystkich stronach. Gdziekolwiek możemy nagłośnić sprawę. – Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że nie słyszy dziecka płaczącego w mieszkaniu obok. Dzieciak cały czas wrzeszczał, miał kolkę lub bolało go coś innego, bo czasami Mia musiała włączać telewizor lub puszczać muzykę na maksa, żeby móc pozbiierać myśli. Wskazała ekran. – To wszystko o tobie – oznajmiła z dumą. – I o niesprawiedliwości, której doświadczyłeś.

– Dobrze. – Nadal przeglądał komentarze, czytał posty, marszczył brwi nad seksownymi, ciemnymi oczami. Niektórzy ludzie twierdzili, że przypomina Jezusa Chrystusa, a raczej amerykańskie wyobrażenie tego, jak mógł wyglądać Jezus, ale według Mii Jezus bardzo przypominał Jonasa. Tylko że Jonas był bardziej szorstki i o wiele seksowniejszy, na szczęście, bo nie wyobrażała sobie seksu z Jezusem. Za nic w świecie. A z Jonasem? Ależ owszem.

Sądziła, że rzuci się na nią, w chwili gdy zamkną się za nimi drzwi i gdy założy łańcuch. Wyobrażała sobie, że odwraca ją w swoją stronę i zbliża usta do jej ust, a potem będą się szamotać, zdzierać z siebie ubrania, po czym on ją podniesie i zanieś do sypialni. A wtedy... och, i tak dalej.

Ale nie zrobił tego.

W zasadzie niewiele się odzywał w drodze do jej mieszkania, a nawet bębnił palcami w szybę okna, jakby chciał, by czas szybciej minął, jakby na coś czekał. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że szyba w jej hondzie nie dosięga do dachu, więc gdy prowadziła, w środku hulał wiatr. Co gorsza, założyła wysokie kozaczki i krótką spódnicę, bo sądziła, że położy rękę na jej nodze w drodze do Gresham, ale on nawet tego nie zauważył. Dosłownie umierała z zimna, żeby pokazać mu kawałek nagiej skóry, a on zachowywał się, jakby był nieobecny duchem, prawie nic nie mówił i krążył myślami gdzieś daleko.

Cholera!

Miała nadzieję, że planuje uwodzicielski wieczór, ale trochę się wstydzi wchodzić z nią w kontakt fizyczny, ale... Oj, przestań, Mia. *Kogo szukujesz? Jonas McIntyre nie jest nieśmiały! Facet ma jaja ze stali.*

Prawda?

– Napijesz się czegoś? – zaproponowała, mając nadzieję, że przełamie lody i położy kres tej niezręcznej ciszy.

– Jasne. – Nie podniósł głowy znad iPada. W ogóle nie zwracał na nią uwagi. Jakby nie było jej w pokoju.

Kurwa!

Już miała się wkurzyć, ale poszedł za nią do kuchni i gdy otworzyła lodówkę i pochyliła się nad nią, zadbała o to, by dobrze ją widział. Jak miałby nie widzieć? W małej kuchni trudno było się odwrócić. A on stał w kącie pomiędzy kuchenką a zlewem.

Wyjęła dwa piwa, otworzyła je i podała butelkę Jonasowi, który wciąż jeszcze nie zdjął cholernej kurtki. Może powinna być odważniejsza. Na domiar złego dziecko za ścianą darło się coraz bardziej. Dzieciak nie był zaniedbywany, wiedziała o tym, bo wcześniej to sprawdziła, ale osiemnastomiesięczny bobas nie mógł wybrać gorszego momentu na atak kolki.

– Dzięki. – Beznamiętnie pociągnął łyk z butelki, po czym wrócił do części jadalnej, gdzie stał kupiony na pchlim targu stół. Zarzucił jedną nogę na wysokie krzesło i ponownie studiował zawartość jej iPada.

Niech to szlag.

Ogarniała ją desperacja.

– Coś ci pokażę – powiedziała łagodnym, seksownym tonem.

– Okej. – Ponownie skupił się na ekranie. Przestał skrolować post z zeszłego tygodnia i gapił się na komentarz, następnie kliknął imię osoby, która go zostawiła, a Mia umarła w środku, bo wyświetlił się profil Lacey Higgins Swift. Na zdjęciu obok Lacey znajdował się też wysoki mężczyzna z rzadkimi włosami, owczarek staroangielski i dwóch jasnowłosych chłopców w wieku około dwóch lat. Bliźniacy byli ubrani identycznie w czerwono-zielone piżamy w paski.

Mia miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

– Czy często zamieszcza posty? – zapytał Jonas. Wskazał palcem na iPada.

– Lacey?

– Tak.

Dlaczego, do cholery, pytał o swoją dawną dziewczynę? Szmata, która pieprzyła się z jego bratem, a potem zeznawała przeciwko niemu.

– Nie zwróciłam uwagi. – To było kłamstwo. Obserwowała byłą Jonasa, oczywiście, że tak. Lacey się wyprowadziła, poszła na studia, wyszła za męża, urodziła dzieci. Wiodła doskonałe życie gdzieś w Beaverton po zachodniej stronie rzeki Willamette, niedaleko od Portland, zaledwie kilka minut od posiadłości McIntyre’ów w West Hills. Mia o tym wiedziała. Na tym to wszystko polegało.

Pociągnął kolejny łyk piwa.

Mia, tłumiąc irytację, pochyliła się nad wysokim stołem.

– Chcę ci coś pokazać.

– Co? – Znowu odwracał się do tabletu.

– To. – Rozpięła sweter, pokazała dekolt, gdzie zaledwie miesiąc temu zrobiła sobie nowy tatuaż. Pod obojczykiem widniał napis: Uwolnić Jonasa.

Uniósł jedną brew.

– Fajny.

– Zrobiłam go dla ciebie.

– Domyślam się. – Zobaczyła cień uśmiechu na pokrytej zarostem twarzy. – Fajny.

Fajny? Jaja sobie robisz?

Oderwał wzrok od wypadających z przezroczystego stanika piersi.

– Słuchaj, Mia. Wyświadczysz mi przysługę?

– Przysługę? – powtórzyła.

– Tak, muszę załatwić pewną sprawę. Potrzebuję samochodu. Pomyślałem, że mógłbym pozyczyć twój.

– Chcesz wziąć mój samochód? – To ją zszokowało.

– Tak, skarbie, tylko na chwilę.

Skarbie? Nazwał ją skarbem? Jakby byli sobie bliscy?

– Po co?

– Muszę coś załatwić. No wiesz, długo siedziałem. Teraz potrzebuję samochodu. – Wzruszył ramionami, a ona już szukała kluczyków w kieszeni.

– Podwiozę cię – zaproponowała. – Dokąd zechcesz.

– Nie martw się. Dam radę sam. – Wyjął kluczyki z jej dłoni. – To coś, co muszę zrobić sam. – Już szedł, a wręcz truchtał, lekko kulejąc, do drzwi wyjściowych. – Wróć.

– Kiedy?

– Nie wiem. – Otworzył drzwi i nawet nie obejrzał się przez ramię. – Kurwa, nie wiem.

Dopiero gdy Mia dokończyła piwo i wróciła do kuchni, żeby odstawić butelki do zlewu, zauważyła brak noża. Mówiła sobie, że ma zwidy, ale nie, im uważniej patrzyła, tym większą miała pewność, że w bloku stojącym koło kuchenki nie ma jednego noża – dostała ten zestaw od mamy i teraz nie ulegało wątpliwości, że brakuje w nim największego noża. Rozejrzała się wokół, zajrzała do szuflady, jej serce zmieniło się w kawał lodu. Zniknął. Nóż do mięsa, którego ojciec używał do porcjowania indyka w każde Święto Dziękczynienia, zniknął, jego miejsce w bloku świeciło pustką.

ROZDZIAŁ 29

– Nasz ptaszek odleciał – powiedziała Johnson, wchodząc po południu do biura Thomasa.

Wisiał na telefonie, właśnie kończył rozmowę z lekarzem. Podniósł palec, uciszając Johnson, i słuchał tego, co już wiedział: Margrove zmarł na skutek utraty krwi z rany, która przerwała tętnicę szyjną i uszkodziła żyłę z lewej strony szyi.

– Czekam na raport. Dzięki. – Następnie skierował uwagę na partnerkę. – Jaki ptaszek? – zapytał, ale chyba też już wiedział.

– Właśnie dzwonił policjant skierowany do pilnowania Jonasa McIntyre’a. Jego prawniczka, „po prostu Alex”, jak chce być nazywana, zrobiła swoje magiczne sztuczki i załatwiła w szpitalu, żeby go wypisali. Już jedzie do Portland. Użyła wymówki, że musi zostać zbadany przez „specjalistów”.

– Od czego?

– Kto wie? To przekręt! Według „anonimowego źródła” – powiedziała, robiąc znak cudzy-słowu. – Czyli kogoś z personelu. Zapewne pomocy pielęgniarzkiej. W szpitalu Whimstick General mówi się, że Jonas nie był aż tak bardzo poszkodowany. Lekarze i tak chcieli go dzisiaj wypisać. Jego prawniczka wkroczyła do akcji i rozplynęła się w powietrzu.

– Cholera.

– Też tak myślę. Jak tylko o tym usłyszał, wystosował wezwanie, ale było już za późno. Wkurza mnie to. – Usiadła na jednym z krzeseł dla gości.

– Portland nie jest daleko.

– Poza naszą jurysdykcją.

– Zabójstwo Margrove’a jest w naszej. Policja z Portland będzie współpracować.

– Skoro tak twierdzisz. – Nie była przekonana; głośno i przeciągle westchnęła. – Znalazłeś coś na Marlie Robinson?

– Jeszcze nie. – Pokręcił głową i poczuł, że marszczy brwi, patrząc na zdjęcia. – Ale przyjrzałem się niektórym ludziom spod szpitala i udało mi się ich dopasować do profili w sieci.

– No i?

– I nie ma tu nic niezwykłego, ci ludzie już wcześniej domagali się uwolnienia Jonasa.

– Tak jak Mia Long? – zapytała Aramis.

– Między innymi. McIntyre ma dość szalonych fanów. Brenda Crawley zawsze komentuje posty. To samo tyczy się Simone Hardesty, jest nawet facet, Aiden Cross. Sprawdziłem tych najbardziej aktywnych. Simone chodziła do szkoły z Jonaszem, podobnie jak Cross. Brenda angażuje się w każdą sprawę, jaka się napatoczy. – Odchylił się od monitora, na którym miał zdjęcia osób, o których mówił.

– Co zatem?

– No cóż, mamy dużo ludzi, którzy należą do grupy, ale nic nie mówią, być może już tam nawet nie zagląдают.

– Aha. A mamy jakiś morał?

– Drogą eliminacji wykluczyłem większość z nich, przynajmniej tych, którzy mieszkają w odległości osiemdziesięciu kilometrów. – Już miała zadać pytanie, więc kontynuował: – Jest taki program, który łączy osoby z adresami.

– Wielki Brat. – Spojrzała na niego. – Nie bez powodu mamy złą opinię.

– Powodem jest to, że potrzebujemy informacji. Chronić i służyć. Pamiętaj.

– Tak, tak, więc co znalazłeś? – Była tak zaintrygowana, że zesza z krzesła i stanęła bliżej monitora.

– Mam kilka zdjęć kobiety, którą opisała Kara. – Otworzył trzy grupowe ujęcia i podświetlił kobietę w długim płaszczu, szalu i przyciemnianych okularach, ale na większości ujęć odwracała się od obiektywu. – Jest podobieństwo.

– No może. – Pochyliła się bardziej, przyjrzała się zdjęciom i porównała je z postarzanym wizerunkiem. – Rzeczywiście.

– Miałem nadzieję, że zobaczę, jak wsiada do samochodu lub rozmawia z kimś, kto może ją znać, że znajdę jakieś powiązania. Kogoś, kto mógłby ją zidentyfikować.

– I co?

– Nic, ale jeśli dobrze się przyjrzyysz, stoi koło niej inna kobieta. Ta z rudymi włosami związanymi w kucyk. Nigdy nie są razem, ruda stoi w tle, ale gdziekolwiek się ruszy, ruda jest blisko.

Johnson wzruszyła ramionami.

– No i? – Wtedy właśnie za drzwiami rozdzwonił się telefon i ktoś rzucił: „Halo?”. Kroki się zbliżyły, a potem odeszły gdzieś dalej.

– Przyjrzyj się jej uważnie – zaproponował Thomas, powiększając zdjęcie.

Johnson się pochyliła.

– A teraz patrz na to. – Po drugiej stronie monitora wyświetlił zdjęcia zrobione dwadzieścia lat wcześniej osobom, które zeznawały w sądzie lub były przesłuchiwane w sprawie Masakry Rodziny McIntyre’ów. W końcu przestał skrolować i zatrzymał się na fotografii nastoletniej dziewczyny z twarzą wróżki i długimi, rudymi włosami z przedziałkiem na środku.

– Boże. – Johnson popatrzyła na Thomasa. – Brittllynn Cadella?

– Właśnie. Sekretna dziewczyna Chada Atwatera, z którą ostatecznie wziął ślub.

– Jego alibi. – Wyprostowała się i wbiła wzrok w monitor, gdzie znajdowało się zdjęcie sobowtóra Marlie.

Thomas poprawił kołnierzyk i powiedział:

– Nie mogę przestać myśleć o tym, co robiła na tym proteście. Mogłoby się wydawać, że chciałyby trzymać się jak najdalej od Jonasa McIntyre’a, gdzie się przyczaić.

– Najwidoczniej nie. Ona i Chad mieszkają w górach, niedaleko ośrodka narciarskiego, w którym on pracuje jako instruktor. Pojedźmy tam i sprawdźmy, co ma na swoją obronę.

– I na obronę Chada.

Thomas odsunął krzesło od biurka i zdjął kurtkę z haczyka przy drzwiach.

– Może tym razem sam zabierze głos w swojej sprawie.

Johnson się roześmiała.

– Dziesięć do jednego, że znowu da mu alibi.

– Jeśli go potrzebują. Nie wiem, co mogłoby ich łączyć ze śmiercią Margrove’a – przyznał, nie potrafiąc powiązać luźnych wątków.

– Chyba że Margrove wykopał coś, o czym nie wiemy, coś, co może obciążyć Chada winą za zbrodnię sprzed dwudziestu lat.

Zakładając kurtkę, Thomas uznał, że wzrasta jego frustracja, a jednocześnie ma wrażenie, że zbliżają się do jakiegoś rozwiązania, ale jeszcze nie potrafił wskazać, o co może chodzić.

– Nie rozumiem motywu. Ale jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Masz ochotę na wycieczkę w góry?

– Myślałam, że nigdy nie zaproponujesz.

Wychodzili z budynku, Thomas już trzymał w ręce kluczyki, gdy wpadli na sekretarkę Gleasona, Lornę Driscoll, która niosła dwie butelki wody do gabinetu szefa.

– Och, detektyw Johnson – powiedziała. – Komisarz Gleason pani szuka. – Rzut oka na Thomasa. – Pana też – dodała szybko i oddaliła się korytarzem.

– Co cię łączy z Gleasonem? – zapytał Thomas szeptem, gdy ruszyli za Lorną przez krótki korytarz.

– Wujkiem Archerem? – zapytała z błyskiem w oku.

– Nie jest twoim wujkiem.

– Nie, ale mamy wspólne zainteresowania – odparła, puszczając oko. – Następnie dodała: – Nie zrozum mnie źle. Znamy się z organizacji charytatywnej działającej na rzecz niepełnosprawnych dzieci. – Już się nie przekomarzała, ale nie rozwinęła tematu.

Gleason siedział przy swoim schludnym biurku, trofea sportowe nadal zajmowały należne im miejsce.

– Natknęłam się na nich w korytarzu, pomyślałam, że chce pan z nimi pomówić. – Lorna postawiła butelki na rogu biurka komisarza.

– Owszem. – Zerknął na zegarek. – Mam chwilę. Siadajcie, siadajcie. – Wskazał im krzesła, a Lorna wyszła z gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. – Nie mam teraz czasu na słuchanie raportów,

przełożymy to na jutro rano – oznajmił. – Oczekuję pełnego sprawozdania.

– Będzie – potaknęła Johnson.

Gleason otworzył butelkę z wodą i przeszedł do meritum.

– Rano rozmawiałem z Randym Isleyem. Odwaliłem kawał biurokracji, ale ostatecznie udało mi się zamienić z nim kilka słów przez telefon. – Pokręcił głową, łysina zalsniła w świetle wiszącej na suficie lampy. – Biedny facet. Nie wiem, czy przeżyje. – Gleason z troską zmarszczył czoło. – No więc przypomniał mi o czymś, co powinniście byli wyczytać w starych aktach.

– Coś przeoczono? – zapytała Johnson.

– Raczej wtedy nie przywiązywano do tego wagi. Kiedy doszło do masakry w domu McIntyre’ów, Isley i ja byliśmy wówczas zastępcami szeryfa. Byliśmy tam, gdy z jeziora wyciągnięto Edmunda Tate’a. Jedną nogą był już na tamtym świecie. – Gleason pociągnął duży łyk z butelki, po czym obrócił ją w dłoniach. – Próbowali coś wydobyć z dzieciaka, który darł się z całych sił. Mówię o tej dziewczynie, Karze McIntyre.

– Aha – potwierdziła Johnson, siedząc na skraju krzesła.

– Tate kaszlał, dławił się, to, co mówił, nie miało sensu.

Thomas czytał o tym w starych raportach.

– Nikt niczego nie był w stanie zrozumieć, oprócz jednego słowa, które powtarzał, dusząc się i bulgocząc: „przytrafi”. Cały czas to mówił. – Archer przygryzł dolną wargę i się zadumał, najpewniej wracając myślami do przeszłości. – Był zdeterminowany, by to przekazać. Dosłownie złaapał jednego z ratowników za kurtkę i podniósł się na noszach, żeby to powiedzieć. – Odchrząknął, zerknął na zegarek i odsunął krzesło. – Tyle dowiedziałem się od Isleya. No i jeszcze przypomniał, że spieprzyliśmy łańcuch dowodowy związany z bronią, ale już dotkliwie się o tym przekonaaliśmy. Niczego więcej się nie dowiedziałem oprócz tego, że Isley chce mi postawić drinka, gdy znowu się zobaczymy. Pamiętajcie, rano czekam na raport.

Następnie zostali wyprowadzeni z jego biura.

Idąc przez korytarz w stronę drzwi wychodzących na parking, Johnson powtórzyła:

– „Przytrafi”, oto wskazówka dla nas, po to zostaliśmy do niego wezwani? – A gdy Cole otworzył drzwi i przepuścił ją przodem, stwierdziła: – Nie musisz tego robić. – I wyszła na zewnątrz.

Poszedł za nią.

– Owszem, muszę. Stara szkoła. – Przeszli przez parking, ich buty chrzęściły na warstwie lodu, która utworzyła się na śniegu.

– Amen. – Wsiadła na miejsce pasażera. – A przy okazji, następnym razem ja prowadzę.

– A kto będzie wtedy sprawdzał wiadomości i Internet? Kto będzie śledził mapy i trzymał nos w komórce przez całą drogę?

– Wszyscy mamy silne strony.

– Moja to prowadzenie auta – odparł, a ona przewróciła oczami.

– No dobrze, mistrzu, a więc powiedz, o co chodzi z tym „przytrafi”?

– Zapewne o nic nie chodzi – odpowiedział. – Gleason po prostu chce wnieść coś do sprawy i pogadać ze starym kumplem przed jego śmiercią. Dzięki temu czuje się potrzebny. Wiesz, czuje się związany osobiście z tą sprawą, bo był na miejscu tamtej nocy.

– Tak, wiem. – Zamyśliła się, zębami przygryzła dolną wargę. – Ale jeśli facet wcale nie mówił „przytrafi”?

– Co masz na myśli? – Wyjechał z parkingu, a potem na drogę. Późnym popołudniem wszystkie pojazdy miały już włączone światła.

– Nie wiem, może powiedział, „przy Fai”.

– „Przy Fai”?

– Mógł mieć na myśli dziewczynkę. Karę. Jej ciotka chyba nazywa się Faiza Donner? Przecież Edmund Tate widział, że cała rodzina Kary McIntyre została zabita. Czyż nie wyratował jej z jeziora? Więc z pewnością przejmował się tym, co się z nią stanie. Może w ostatnich minutach życia nadal próbował ją ratować, więc powiedział „przy Fai” a może nawet „niech zostanie przy Fai”, a nie „przytrafi”. – Zerknęła na niego, bo właśnie zwolnił przy centrum handlowym na skraju miasta. – Być może jednak to nic nie znaczyło. Po prostu mającenie umierającego człowieka.

– Raczej tak – przyznał jej rację. Zastanawiał się, czy włączyć koguta, bo ruch był tak duży,

że ledwie się posuwali.

Jeden róg parkingu przy sklepie został odgradzony. Jakiś chór śpiewał tam kolędy. W pobliżu, na odgradzonym terenie, stała szopka. Aktorzy przebrani za Trzech Króli, Maryję i Józefa, a także pastuszek i co najmniej jeden anioł pochylali się nad żłóbkiem z przypominającą dziecko lalką symbolizującą małego Jezusa. W prowizorycznej stajence stał osioł z owcami. Osioł ryczał tak głośno, że zagłuszał chór.

Johnson opuściła szybę.

– Uwielbiam to. To takie amerykańskie – powiedziała. Usłyszeli ostatnie takty kolędy *God Rest Ye Merry Gentlemen*. – Nastraja mnie świątecznie.

– Bardziej niż rozwiązywanie zagadki krwawego morderstwa?

– Tak, odrobinę.

Udało mu się objechać zator z aut próbujących wjechać na parking przed sklepem i wyjechać z niego, gdy usłyszeli pierwsze nuty *Cichej nocy*. Johnson zasunęła szybę, a on przyspieszył. Thomas wciąż myślał o ostatnich słowach Edmunda Tate'a. Czy facet tak odpłynął tuż przed śmiercią, że nie wiedział, co mówi? Jego ostatnie słowa powinny brzmieć: „Wezwijcie moją żonę” albo „Pożegnajcie ode mnie rodzinę”. A nie „przytrafi”, jak twierdzili ratownicy medyczni.

Do diabła, co to miało znaczyć?

– To ostatni raz – przysięgła Brittlynn, przypominając sobie poprzednie razy, gdy Chad Atwater od niej odchodził. – Ostatni. Koniec z tym.

Tak naprawdę nie wierzyła, że ją zostawił, ale przyglądała się i nasłuchiwała, sądząc, że zmieni zdanie. Ale nie. Uruchomił starego pick-upa, silnik rzeźił jak zawsze, zanim zaskoczył, po czym zjechał z podjazdu, rozrzucając śnieg dużymi oponami.

– Gnojek – powiedziała. – Fiucina! – Poza tym to był jej cholerny wóz. Zarejestrowany na nią, pomyślała, patrząc na tylne światła mrugające na czerwono, nim zniknęły jej z oczu.

A więc koniec. *Prawdziwy koniec*.

Teraz dźwigała ostatnie rzeczy Chada, jego głupią deskę do snowboardu, której nigdy nie używał, jego ulubione bluzy z Oregon Ducks i cenną komórkę, którą zapewne zostawił celowo. Ona też zginie.

Wydeptała ścieżkę w śniegu ciągnącą się od tylnych drzwi do miejsca na ognisko. Przedmioty już się z niego przelewały – były tam ubrania, kije golfowe, sprzęt wędkarski, a nawet kronika szkolna i sportowa kurtka Chada. Następnie nasączyła wszystko płynem do rozpałki, który znalazła w garażu, po czym dorzuciła puchar zdobyty za jakieś osiągnięcia w drużynie futbolowej. Ogólnostanowe czy coś. Powinna pamiętać, bo zawsze się tym przechwalał.

Wystarczyło, że wypił kilka drinków, a już zaczynał gadać o dniach jebanej chwały w szkole średniej.

Ale ona już nigdy więcej nie będzie słuchać tej samej historii o finałowym przyłożeniu. Skończyła z Chadem Chujem Atwaterem i już dzwoniła do prawnika, na numer, który dostała od koleżanki mającej na koncie dwa rozwody i przymierzającej się do trzeciego. Brittlynn zamierzała ją wyprzedzić i złożyć pozew najszybciej jak się da. Ona i Chad to już historia!

Kiedy ten fiut wróci, pomyślała, dolewając jeszcze rozpałki na zielonego pluszowego aligatora, którego w zasadzie wygrał dla niej w rzucie obręczą na kijek na targach stanowych jakiś miliard lat temu, to będzie miał zajebistą niespodziankę.

Jeśli wróci.

Zawsze istniała możliwość, że tym razem odszedł na zawsze.

– No dobrze – powiedziała, gdy z nieba zaczęły sypać płatki śniegu. – Dobrze jak cholera. – Następnie dorzuciła pustą butelkę po podpałce na coraz większy stos rzeczy Chada. Użyła ulubionej, grawerowanej zapalniczki męża, którą odziedziczył po ojcu, i zapaliła papierosa znalezionego w zapomnianej paczce w kieszeni jego kamizelki wędkarskiej. Ostatnio paliła piętnaście lat temu, rzuciła na prośbę Chada, ale teraz, pomyślała, zaciągając się głęboko, mogłaby wrócić do nałogu. Była wolną kobietą, mogła robić, co chciała, po raz pierwszy w swoim gównianym, dorosłym życiu.

Z papierosem w ustach wyrwała ostatnią stronę pożółkłej gazety, następnie podpaliła papier koniuszkiem marlboro i patrzyła, jak gazeta szybko się zajmuje, płomienie obejmują sekcję nekrologów, „Whimstick Times” czernieje i się kurczy. Rzuciła płonąca pochodnię na stos rzeczy, który

sięgał jej do pasa. Wylądowała na ręcznie wydzierganym swetrze podarowanym Chadowi przez babcię przed jej śmiercią.

– Sorki, babciu – mruknęła Brittllynn, chociaż wcale nie było jej przykro. Ani trochę. Płyn do podpałki szybko zapłonął na swetrze, pojawiły się płomienie, z początku małe, i objęły wszystkie miejsca nasączone płynem. – Doskonale – wyszeptwała, dodając kolejne gazety i suche kawałki drewna do stosu. Słychać było trzask ognia, w powietrze wzbijał się gęsty dym.

Przez otwarte kuchenne drzwi wyszedł Jasper. Ostrożnie szedł po śniegu, przy każdym kroku otrzepując łapki.

Brittllynn wzięła go na ręce i szepnęła:

– Nie martw się. Jeszcze mamy siebie. – Poglaskała go po grzbiecie i jak urzeczona patrzyła w ogień, uśmiechała się coraz szerzej, policzki ogrzewał jej żar z ogniska, który topił padający śnieg. Z każdą chwilą snop ognia rósł, trzeszczał i poruszał się na wietrze zapowiadającym nadchodzącą burzę.

Cofnęła się, bo ogień był coraz intensywniejszy, odbijał się od okien domu. Wrzuciła do niego do połowy wypalonego papierosa i pomyślała, że już nigdy nie będzie musiała patrzeć, jak Chad obgryza paznokcie i spluwa nimi na podłogę, nie będzie musiała słuchać jego bekania i wachać pierdów, z których był tak dumny. Nigdy nie będzie musiała być zde gustowana faktem, że porzął cały talerz naleśników nasączonych syropem klonowym i rozgląda się za kolejnymi, zanim ona ugryzła pierwszy kęs. I jeszcze ten jego wkurzający zwyczaj rzucania bielizny gdzie popadnie i wchodzenia do domu w zabłoconych butach. Koniec z tym wszystkim.

Był świnią, pomyślała, głaszcząc Jaspера po futerku i patrząc w płomienie.

– Dość – powiedziała. Ten domek należał do niej – tak jakby. Wynajęli go od jej wuja, a on obiecał, że zapisze go jej po śmierci, żeby Chad nie miał do niego praw. I do niej.

Z trudem zdjęła pierścionki z palca. Platynową obrączkę i pierścionek zaręczynowy z małym diamentem. Wrzuciła je do ognia, nadal trzymając kota i patrząc na czarny dym unoszący się ponad szczyty zaśnieżonych jodeł otaczających dom.

Dwadzieścia lat! Dwadzieścia cholernych lat jej życia! Straconych! Przede wszystkim nie powinna była kłamać. Jeden błąd w wieku czternastu lat, kiedy co najwyżej groziło jej pół roku w zawiasach, zmienił na zawsze jej całe życie.

Jaką była idiotką! Imponował jej starszy chłopak, który już miał szalową dziewczynę. Bogatą laskę, która miała wszystko, czego Brittllynn nigdy nie mogła dostać, w tym Chada. Ale nie mogła winić siebie w wieku czternastu lat, bo czekała na niego, kłamała dla niego, miała wrażenie, że mogłaby oddać za niego życie.

Była za młoda, by wiedzieć, jaki to przegryw.

– Wesółych świąt, kutasie, gdziekolwiek jesteś!

W tym momencie Jasper zeszytywniał, napiął wszystkie mięśnie. Patrzył przez jej ramię i zaczął syczeć, obnażył ostre kły, uszy położył po sobie.

– Co...?

Wtedy wbił w nią pazury.

Odbiwszy się od niej, zeskoczył i schował się gdzieś pod domem.

Wystraszyła się. Wiedziała, co się stało, zanim obejrzała się przez ramię: Chad wrócił. Ach, pieprzyć to. Miała to gdzieś. Może spadać prosto do piekła.

Ale nie miała racji.

Zamarła.

To nie Chad.

Pomiędzy nią a domem stało dwoje ludzi. Mężczyzna i kobieta w grubych kurtkach i czapkach. Zanim facet wyjął odznakę, wiedziała, że to gliny.

Cholera!

Prawie się posikała.

– Pani Atwater – odezwała się kobieta. – Detektyw Cole Thomas i detektyw Aramis Johnson, chcielibyśmy z panią porozmawiać.

Walić to! Kto by się domyślił. Brittllynn wyprostowała się, odwróciła, żeby stawić czoła policjantom i, jak przypuszczała, konsekwencjom swojego postępowania. Kurwa mać!

– O...? – zapytała spokojnie, choć wcale się tak nie czuła.

– O Masakrze Rodziny McIntyre’ów i pani mężu – wyjaśnił mężczyzna. Był wysoki i poważny, miał zimne oczy drapieżnego ptaka. Kobieta miała ciemniejszy odcień skóry i oczy czarne jak węgiel. Ona również przybrała poważną, śmiertelnie poważną minę. – Chcielibyśmy porozmawiać z Chadem.

– Nie ma go tutaj – warknęła, mając nadzieję, że sobie pójdą. – Wyjechał rano – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Odszedł.

– Wie pani, dokąd się udał? – zapytała kobieta z aksamitnie miękkim głosem i twardym spojrzeniem.

– Nie, nie mówił. Odjechał przed świtem.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Pokłócili się państwo?

– Przepraszam, ale to chyba nie państwa sprawa? – zirytowała się.

Mężczyzna zbliżył się o krok.

– Niestety, także nasza. Badamy sprawę zabójstwa.

– Słucham? Jakiego zabójstwa? – Powietrze w płucach Brittlynn zamarzło. *Zabójstwa? O, cholera.* – I sądzicie, że Chad jest w nie zamieszany?

– Dlatego chcemy z nim porozmawiać.

– Spóźniliście się. Odjechał.

Wysoki glina, jak się nazywał? Cole czy jakoś tak? Spojrzał na ognisko i sposepniał jeszcze bardziej. Cholera, pewnie sądzi, że niszczy jakieś dowody. Chyba napytała sobie biedy. Dużej. Na miłość boską, prowadzą śledztwo w sprawie zabójstwa. Ścisnęło ją w żołądku i mimo niskiej temperatury zaczęła się pocić.

– To rzeczy Chada? – zapytał.

O Boże, ale namieszała.

– Niektóre.

Kobieta wyjęła telefon, przeskrolowała ekran, pewnie sprawdzała, czy można aresztować Brittlynn.

Przełknęła ślinę, w gardle miała sucho jak na pustyni.

– Ma komórkę?

Brittlynn potaknęła i poczuła, że pętla zaciska jej się na szyi.

– On... miał. Ale ją zostawił. – Spojrzała na ogień, gdzie płonęły rzeczy Chada, w tym komórka. – Jest tam... – Wysunęła brodę w stronę osmalonej masy.

Detektywi wymienili spojrzenia, kobieta się odwróciła, wybrała jakiś numer, cicho z kimś porozmawiała i zakończyła połączenie. Nie wyglądało to dobrze. Ani trochę.

Zdesperowana Brittlynn szybko myślała, co zrobić. Nagle wypaliła:

– Jeśli istnieje taki przepis, o którym wspominał mi Chad, że nie mogę zeznawać przeciw swojemu mężowi, to już nie ma problemu, bo niedługo się rozwodzę.

– Nie o to chodzi – zapewnił ją mężczyzna.

– Dobrze – powiedziała, oceniając swoją sytuację. Gliniarze nie byli głupi, a facet... Cole czy Thomas... patrzył na przedmioty idące właśnie z dymem. O, Boże, zapewne uważali, że jest w to zamieszana, nieważne, co im powie. Cholera! Przypomniała sobie, że ci ludzie nie są jej przyjaciółmi. Nie mogła im ufać. Gdy kobieta wsadziła telefon do kieszeni, Brittlynn zaczęła panikować. Mogli ją aresztować, prawda? Przełknęła ślinę, zmusiła się do zachowania spokoju, chociaż serce biło jej jak szalone. Widziała wystarczająco wiele odcinków *Prawa i porządku*, by znać swoje prawa. – Dobrze, odpowiem na pytania, ale chcę prawnika.

Nie pójdzie siedzieć za coś, co zrobił Chad. Nigdzie podczas pospiesznie branego ślubu nie przysięgała: „Przysięgam, że będę cię kochać, szanować, a do tego będę dla ciebie kłamać, brać na siebie twoje winy i pójdę za ciebie do cholernego więzienia”. O, nie, to się nie stanie.

– Nie ma problemu – odparł mężczyzna, choć kobieta niemal niedostrzegalnie wydeła usta.

– I jeszcze chcę dobić targu – dodała, wykorzystując chwilę przewagi. – Okej? I żebym nie wyszła na tym źle. Lepiej, żebym na tym zyskała, bo mam wam coś ciekawego do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 30

– Chyba chciałabym pojechać do domku w lesie – wyznała Kara niechętnie, patrząc przez okno w mieszkaniu Tate’a na zakręcającą rzekę wypływającą z miasta. W uszach zaszumiała jej krew, bo od razu wróciły obrazy z tamtej przerażającej nocy, wnętrzości ścisnęły jej się w ciasny węzeł.

Tate podniósł wzrok znad notatek. Siedział przy biurku, pies leżał u jego stóp, telewizor włączony był na kanał informacyjny. Przez większość dnia rozmawiali o przeszłości i teraźniejszości, jak się ze sobą łączą. Przeanalizowali przesłuchanie na komisariacie i omówili śmierć Merritta Margrove’a, wypuszczenie Jonasa z więzienia, możliwość pojawienia się Marlie i jak to wszystko się zazębia. Zrobili sobie przerwę tylko na kanapki i na wyprowadzenie psa, aż wreszcie Kara doszła do wniosku, że nigdy nie pozna wszystkich odpowiedzi, nigdy nie uda jej się wypełnić luk w pamięci i nigdy nie pogodzi się z przeszłością, by móc żyć normalnie. Uznała, że zaufa Tate’owi i nie będzie nic przed nim ukrywać.

– Sądziłem, że chcesz unikać tego miejsca – odparł.

– Bo tak jest. W sensie, że chciałam. Ale może dwadzieścia lat to wystarczająco długi czas. – Uśmiechnęła się smutno. Wiedziała, że nie będzie mogła zostać tu na zawsze, że nie może ukrywać się z psem z mieszkaniu Tate’a, choć czuła się tu bezpiecznie, i udawać, że to – horror z przeszłości – nigdy się nie wydarzyło. Znowu wyjrzała przez okno, ponad rzeką zobaczyła miasto rozciągnięte na jej brzegach, ludzi na ulicy pospiesznie idących po śniegu, okutanych w ciepłe ubrania, samochody z włączonymi światłami, zatrzymujące się przed skrzyżowaniem. Wszyscy ludzie żyli swoim życiem, nie czuli się zamknięci w klatce własnej paranoi.

Nawet patrząc na ludzi, rozglądała się i szukała tego, kto mógł ją obserwować. To musiało się skończyć.

– Już pora – stwierdziła, czując chęć na drinka, dwa lub... siedem. Popatrzyła na Tate’a i stłumiła pragnienie. – Ale na pewno nie pojedę sama.

– Oczywiście, że nie.

– Super. – Wypuściła powietrze z płuc. Musiała mu ufać. Potrzebowała sprzymierzeńca. Chociaż wiedziała, że zamierza napisać książkę na temat tej sprawy, postanowiła otworzyć się przed nim. Ktoś i tak ją napisze. Więc czemu nie Wesley Tate, chłopak, którego poznała jako dziecko, który przez nią stracił ojca, mężczyzna, którego uważała za atrakcyjnego? Miał podobne jak jej poczucie humoru i posunąłby się do wszystkiego, żeby poznać prawdę. Podczas gdy ona uciekała od przeszłości, izolowała się od świata, próbowała zaprzeczać, że jest jedyną osobą, która przeżyła okropną tragedię, która okaleczyła ją na zawsze, on stawiał czoła przeszłości bez żadnych zahamowań. Nie pogrążał się w bólu i przerażeniu, raczej z determinacją walczył, dokopywał się do prawdy, uciekał z okowów ich wspólnych doświadczeń.

Już pora, pomyślała, żeby się z tym rozprawić. Chociaż na samą myśl o powrocie do tamtego domu jej żołądek się kurczył. Zignorowała to. Okoliczności zmuszały ją do konfrontacji z przeszłością; musiała wykrzesać z siebie odwagę, by zdystansować się od paranoi.

Co, Kara? Nie, nie, nie! Nie możesz przekroczyć progu tego domu.

– Zbyt długo to odkładałam – przyznała, nie zwracając uwagi na niepokój, który załagał się w jej wnętrzu, nie słuchając tego okropnego głosu w głowie i nie chcąc ponownie stać się ofiarą jego jadowitego strachu. – Może gdy tam pojedę, pojedziemy, coś odblokuje się w mojej pamięci, uda mi się wypełnić luki.

Upadłaś na głowę?

To miejsce to siedlisko zła.

To tam zamordowano mamę i tatę.

Wszędzie krew. Pamiętasz? Pamiętasz krew?

I martwe ciała, przewróconą choinkę oraz muzykę, tę cholerną muzykę!

Czuła mrowienie na skórze, zrobiło jej się niedobrze.

Nie, Kara, nie rób tego. Jeszcze pożałujesz.

– Albo... – zaczęła, tłumiąc wymioty, choć żółć już paliła ją w gardle. Zaciśnęła zęby i zmusiła się do uśmiechu, chociaż czuła coraz większą panikę. – Albo jest taka możliwość, spora, że zupełnie mi odwali, no wiesz, dostanę ataku paniki lub kompletnie się załamie. – Z trudem przełknęła ślinę, odpychała od siebie narastający strach. – Co ty na to? Wchodzisz w to?

– Zawsze – odparł z uśmiechem, po czym wstał, podszedł do niej i dotknął jej ramienia. – Znasz mnie, McIntyre. Zawsze jestem chętny na atak szafu.

– Umowa stoi – powiedział prawnik siedzący koło Brittlynn Atwater po drugiej stronie stołu w pokoju przesłuchań w biurze szeryfa. Robert Cooke poprawił okulary. Był szczupłym mężczyzną z wymizerowaną twarzą, falującymi brązowymi włosami, ubierał się w drogie garnitury, roztaczał wokół siebie atmosferę rzeczowości. Na stoliku tuż obok urządzenia nagrywającego położył swój telefon z włączonym dyktafonem. Kamery zaczęły już nagrywanie.

– Dobrze. – Thomas pokiwał głową, czekał, nie do końca bowiem wierzył, że to, co żona Chada zamierza wyznać, będzie prawdą.

– No to zaczynajmy. – Brittlynn była zdenerwowana i bardzo blada. Przebrała się w czarne spodnie i biały sweter, miała lekki makijaż, rude włosy związała w luźny kok. Jej nastrój złagodniał tylko odrobinę. Poza tym żuła gumę, jakby od niej zależało jej życie.

Omówienie szczegółów ugody obrończej zajęło kilka godzin, ale prokurator okręgowy wyraził zgodę na wycofanie roszczeń związanych z postępowaniem Brittlynn Atwater w wieku czterech lat, jeśli teraz złoży nowe zeznania. Ze względu na powagę sprawy groziła jej kara odbycia prac społecznych, ale tak czy owak Brittlynn miało wszystko ujść na sucho.

– Dlaczego według pani Chad wyjechał? Mówił coś? Czy ma to coś wspólnego ze śmiercią Merritta Margrove'a?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie bezpośrednio. I żeby było jasne: Chad był ze mną tej nocy, gdy zabito prawnika. Całą noc. Wiem. Wstawałam na siku około drugiej trzydzieści i wtedy spał, położył się koło jedenastej po długim dniu lekcji na stoku dla dzieci, które akurat wtedy miały ferie. Nie miał z tym nic wspólnego. Ale był zdenerwowany, ponieważ wyszedł Jonas, a gdy Margrove został zabity, nie umiał znaleźć sobie miejsca.

– Dlaczego? – zapytała Johnson.

– Ze względu na to, co się stało. Dwadzieścia lat temu. – Przełknęła ślinę. – Przez masakrę. Thomas nie spuszczał jej z oka.

– W jakim sensie?

– Nie było mnie tam – przypomniała Brittlynn. – Wiecie o tym, prawda?

– Tak. Proszę powiedzieć, co pani wie – zaproponowała Johnson, popychając mikrofon bliżej rudowłosej kobiety.

– Byłam w domu, tak jak mówiłam, ale Chad tam poszedł. – Niespokojnie się wierciła i patrzyła z bólem w oczach. Żuła jak najęta. – Był umówiony z Marlie. Chyba mieli razem uciec. – Wzruszyła ramionami, jakby to jej nie ruszało, ale z jej kwaśnej miny Thomas wywnioskował, że wciąż ją to boli, i to bardzo. – Wydaje mi się, że chodziło im o to, żeby uciec i zamieszkać razem. Nie jestem pewna. Mama i ojczym Marlie nie lubili Chada. Oczywiście nie był „wystarczająco dobry”. – Pokazała w powietrzu cudzysłów. – Nie pozwalali mu przychodzić na spotkania rodzinne i tak dalej, więc... wymyślili ten plan, że on się zjawi i ją zabierze i wyjadą razem. No i... nie wiem dokładnie, czy Marlie o tym wiedziała, ale Chad zamierzał okraść staruszka. Marlie powiedziała mu kiedyś, gdzie Samuel, ten starszy, ojciec, nie Sam junior, trzyma plik pieniędzy. – Zamilkła, jakby zastanawiała się, jak ubrać w słowa dalszy ciąg, w zamyśleniu przerzucała gumę z jednej strony ust na drugą. – No i, yy, pojechał tam i czekał, ale jakoś nie kładli się spać. Było zimno, więc zakradł się do środka, wszedł do tylnego holu... Chyba jest tam jakiś składzik na miotły czy coś takiego, była tam jakaś skrytka czy coś takiego. To właśnie tam staruszek, Sam senior, trzymał gotówkę, gdy byli w górach. Marlie się o tym jakoś dowiedziała. No więc Chad miał problem ze znalezieniem tej tajnej skrytki, a kiedy mu się udało lub tylko wydawało mu się, że ją znalazł, okazało się, że jest pusta. Żadnej kasy. Nic. Albo Marlie go okłamała, albo Sam senior zmańdżał, albo ktoś go ubiegł. – Spojrzała na detektywów. – Chad się wkurzył i już miał wyjść, kiedy usłyszał krzyki. Wrzaski. Groźby. Zajrzał za róg do salonu i zobaczył Jonasa z mieczem. Machał nim jak szalony. Przewrócił choinkę i przywalił w półkę nad kominkiem. Chad mówił, że Jonas stracił rozum. Zupełnie mu odwaliło, ale nie był sam w pokoju. Był tam też Donner, a Jonas zapędził go w kąt i wy-

machiwał przed nim mieczem. Chad się przeraził. Mówił, że to wyglądało tak, jakby Jonasa opętał demon. Jedyne, czego chciał, to uciekać stamtąd gdzie pieprz rośnie. – Na chwilę zamilkła i przestała przeżuwać, potem dodała: – Chyba, tak sądzę, Jonas powiedział coś jakby: „Mówiłem ci, żebyś trzymał się od niej z daleka, złamasie! Mówiłem ci, co się stanie, że cię, kurwa, zabiję!”.

A więc dobrze zrobili, pomyślał Thomas. Policja aresztowała zabójcę, a ława przysięgłych go skazała. Poczul ulgę, że wszelkie wątpliwości co do tego, że Jonas McIntyre został niesłusznie skazany, okazały się fałszywe. W końcu. Na szczęście dupek spędził chociaż te dwadzieścia lat za kratkami. To już coś.

– Co się potem stało? – zapytał, próbując nie okazywać entuzjazmu.

– Zamachnął się pieprzonym mieczem i zranił Donnera. – Brittllynn zamknęła oczy. Zadrżała.

– Tak po prostu? – zapytała Johnson, marszcząc brwi.

– Tak, ale, yy, Chad się zdradził. Wydał jakiś dźwięk, wciągnął głośno powietrze czy coś takiego i Jonas go usłyszał, popatrzył na miejsce, gdzie Chad się chował, i go zobaczył. Chad miał rękawiczki, ale nie założył żadnej maski.

– Czy w tamtym momencie Donner jeszcze żył? – zapytała Johnson.

– Nie wiem. Chad też raczej nie wiedział na pewno, ponieważ Donner leżał na podłodze i krwawił. – Znowu szybko żuła gumę. – Więc tak, zabił go. Tak jak powiedziałam.

Siląc się na cierpliwość, Johnson zadała kolejne pytanie:

– Czy Donner Robinson krwawił z szyi? Czy Jonas poderżnął mu gardło?

– N-nie wiem. Nie było mnie tam. Pamiętajcie. Nie widziałam, co się stało. Chad nigdy o tym nie mówił. Tylko że wtedy rozpętało się piekło. Jonas ruszył w stronę Chada, a wtedy z góry zbiegł Sam junior, pewnie słyszał harmider, krzyk lub odgłos upadku. Chad zaczął uciekać. Był pewien, że Jonas popędzi za nim. Zabije go, bo był świadkiem. Nie czekał na Marlie i powiedział, że chociaż widział ją na półpiętrze, jak schodziła na dół, to po prostu stamtąd zwał. Najszybciej jak umiał. – Urwała na chwilę. Zrobiła głęboki wdech. – Ja, hm, yy, sądzę, że Marlie mogła pobic za nim.

– Marlie? – upewnił się Thomas, czując przyptyw adrenaliny. Miał przeczucie, że to, przynajmniej w pewnej części, było prawdą.

– A Chad na nią nie poczekał? – Johnson zmarszczyła brwi, nie kupowała tego. – Chociaż Jonas „oszalał” i „opętał go demon”? Przecież mieli plan, by się pobrać...

– Nie pobrać. Tego nie powiedziałam – zaoponowała Brittllynn.

A więc tu był pies pogrzebany.

– Przecież jej nie porzucił na zawsze – stwierdziła bez przekonania. – Opowiedział mi, że zaparkował jakieś półtora kilometra od domu, po drugiej stronie, żeby ukryć samochód. Była Wigilia, ludzie w niektórych domach jeszcze nie spali, więc musiał zwolnić i uważać. Nie chciał, żeby go ktokolwiek zobaczył.

– Ale nie zczekał na swoją dziewczynę – skwitowała Johnson.

– Nie wiem! Przecież unikał ludzi i psów, wszystkich, którzy jeszcze nie spali, więc i tak musiał zwolnić, przeczekać, żeby go nie zauważono, a przez to, jak mówił, stracił sporo czasu.

– Ile?

– Nie wiem. Nie pytałam – odparła Brittllynn. – Ale widział Marlie, widział, że ktoś ją goni.

– Zaraz, zaraz – przerwała jej Johnson. – Ma pani chyba na myśli Karę, tę ośmiolatkę.

– Nie, właśnie, że nie, widział Marlie.

– I nie próbował jej pomóc? – zapytał Thomas.

– Bał się jak cholera.

Johnson uniosła rękę.

– Mówi pani, że Chad widział Marlie, którą gonił Edmund Tate?

– Nie! Nie widział kto, tamten człowiek był cały na czarno i chyba miał jakąś maskę. Pytałam o to. Chad powiedział, że na pewno nie był to Edmund Tate, ten policjant, ponieważ Chad widział go, jak stał na ganku. Ktoś inny gonił Marlie.

– Kto? – zapytał Thomas.

– Mówiłam już, że nie widział. Za dużo drzew, ale widział, jak ten facet stoi na ganku i pali, bo w domku Tate’a paliło się światło, a końcówka papierosa jarzyła się na czerwono.

Czy to prawda? Thomas zerknął na Johnson.

– Był pewien? – zapytała policjantka.

– Będziecie musieli sami go o to zapytać, ale tak mi powiedział.

Kłamie? – zastanawiał się Thomas. A może to Chad okłamał ją? Czy był cień szansy, że Marlie Robinson przeżyła?

– W którą stronę uciekała? – zapytał. – Do jeziora? Czy w przeciwną?

– Nie wiem! – eksplodowała. – Przecież mówię, że mówił, że widział, jak ktoś gonił Marlie, ale nie wiem na pewno. Powtarzam, nie było mnie tam, ale chyba można założyć, że się nie mylił, bo od lat chodził z Marlie. Mieli... mieli się ku sobie. Wiedział, jak wygląda, co nie? A Kara, jej siostra, była dużo młodsza. Nawet w ciemności zauważyłby, że to dziecko.

Thomas pochylił się nad stołem.

– Czy Edmund Tate widział, że ktoś goni Marlie?

– Jezu! Nie wiem – warknęła. – Opowiadam wam, co widział Chad tamtej nocy. Może coś mu się pomieszało, bo był bardzo, bardzo spanikowany. Prawie oszalał ze strachu. Nigdy nie widziałam go takiego ani wcześniej, ani później. Mógł coś pomylić. Sami możecie go zapytać.

– Tak zrobimy – zapewniła ją Johnson.

– A co z rodzicami? Samem i Zeldą McIntyre'ami? – zapytał Thomas, wracając do wcześniejszych zdarzeń. Starał się ułożyć sobie wszystko po kolei, nie wrywać się naprzód. To była ich szansa, by dowiedzieć się, co naprawdę się wtedy stało. Jeśli Brittllynn nie kłamie i uda im się namierzyć Chada, będą mogli go przycisnąć, kto wie, co wtedy odkryją? – Kiedy rozpętało się piekło – przypomniał – gdzie wtedy byli rodzice? Nie spali jeszcze?

– Nie wiem. Nie sądzę. Chad nigdy nic o nich nie mówił. Tylko że kiedy wreszcie dotarł do samochodu, w sensie pick-upa, jechał jak wariat do mojego domu. Wszedł przez okno do mojego pokoju i cały czas drżał, a oczy miał jak spodki. Przysięgał, że nie zrobił nic ponad to, że próbował okraść staruszka.

– I stał się świadkiem morderstwa.

– Tak. – Żuła gumę wolniej. Przestała mówić i patrzyła na swojego prawnika.

Cooke posępnie skinął głową, dodając jej odwagi.

Brittllynn odezwała się szeptem.

– Wtedy Chad i ja zawarliśmy umowę.

– Jaką umowę? – zdziwiła się Johnson.

– Powiedziałam, że zeznam na policji, że był ze mną przez całą noc. Zatem nie zostanie oskarżony o usiłowanie kradzieży, a wtedy być może Jonas nie będzie chciał się na nim mścić. Rozumiecie?

– Zgodził się?

– Jasne. Potrzebował mnie. – Brittllynn aż się uśmiechnęła.

Johnson jednak drażyła dalej:

– A co Chad miał zrobić? Jaka była jego część umowy, skoro pani zgodziła się skłamać na jego korzyść?

Brittllynn odwróciła wzrok, zarumieniła się i wyglądała na zawstydzoną.

– Byłam wtedy dzieckiem. Zakochanym dzieckiem. Chad był dla mnie wszystkim. Przynajmniej jak miałam czternaście lat. – Czekali, aż wreszcie wyznała: – Obiecał, że się ze mną ożeni, jak tylko skończę osiemnaście lat. – Patrzyła przed siebie. – Musiał przysiąc, że zerwie z Marlie, że skłamie i powie, że nigdy nie zamierzał z nią uciekać, że w ogóle nie było go w pobliżu rezydencji, że wszystko sobie wymyśliła, gdyby kiedykolwiek składała wyjaśnienia lub została przesłuchana przez policję. Że... że to ona miała obsesję na jego punkcie, ale on kochał się we mnie.

– A to pani miała obsesję. – Johnson odchyliła się na krześle.

– Kochał mnie! – Brittllynn wskazała na siebie kciukiem. – Mnie. Nie ją. – Zamrugowała i gdy po jej policzku popłynęła łza, pociągając nosem, wytarła ją rękawem swetra.

– Nie była pani ciekawa, co się z nią stało? – zapytała Johnson, popychając w jej stronę pudełko chusteczek.

– Pewnie. Jak wszyscy. Na miłość boską, to była jakaś narodowa obsesja. – Wysunęła brodę do przodu, chociaż jej oczy wciąż lśniły od łez. Drżały jej dłonie. – Mnie nie obchodziło, co się z nią stało. Przynajmniej nie wtedy. Jedyne, co mnie interesowało, to Chad. – Głos jej zadrżał. –

Wygrałam.

Thomas przyglądał się reakcji Brittlynn.

– Wierzy pani w opowieść męża?

– Tak! – Znowu pociągnęła nosem. Zignorowała chusteczki. – No tak. Nie miał na sobie krwi, a kiedy czytałam o masakrze, dowiedziałam się, że była wszędzie wokół ofiar. Całe litry. Bał się, bał się jak cholera. Panikował, srał pod siebie ze strachu. Ale nie dlatego, że mógł być złapany i posadzony o zabicie całej rodziny. Nie, raczej prześladowało go to, co tam zobaczył. Nigdy nie lubił Jonasa, mówił mi, że jest „porabany”, właśnie tego słowa użył, a od tamtej nocy nie chciał mieć absolutnie nic wspólnego z rodziną McIntyre’ów. Nic.

– Zatem widział, jak Jonas McIntyre zabija Donnera Robinsona? – Thomas chciał mieć pewność. Wtedy wtrącił się prawnik.

– Moja klientka właśnie opowiedziała, co wie – zauważył Cooke.

– Nie... chyba nie. Tak mi się wydaje. Chad widział, że Jonas zaatakował Donnera... Zranił go. Mocno, chyba... – Brittlynn się zastanowiła. – Ale sama nie wiem. Mógł wciąż żyć lub się wykrwawiać... No, cholera, nie wiem. Nie jestem pewna, czy Chad wie. Nie był tam na tyle długo, żeby się przekonać.

– Ktoś poderzwał gardło Donnerowi Robinsonowi, od ucha do ucha – wyjaśniła Johnson, pochylając się do przodu. – Tego nie robi się ot tak.

Brittlynn posłała jej gniewne spojrzenie.

– Tylko opowiadam, co wiem od Chada! – Zwróciła się do prawnika. – Nic więcej nie wiem.

Thomas podniósł rękę, próbując ją uspokoić i przy okazji pokazać Johnson, żeby odpuściła. Potrzebowali wszystkich informacji, które mogli wydobyć z Brittlynn, więc lepiej było jej nie wkurzać.

– Czy Chad widział, jak Jonas zabija lub atakuje kogoś innego?

– Nie, nie. Pytałam o to. – Brittlynn kręciła głową, gumka ledwie trzymała jej długie włosy zwinięte w kok. – Widział to, o czym już mówiłam, że Jonas zaatakował Donnera, że zamachnął się na niego mieczem i go zranił, ale to wszystko. A przynajmniej nic więcej mi nie powiedział. Po tej pierwszej nocy, ilekroć podnosiłam temat, zawsze się zamykał w sobie. Nie chciał o tym rozmawiać. Wściekał się. Udawał, że to się nie stało.

– A więc skłamała pani dla niego? – uściśliła Johnson.

– Tak – wyszeptała.

– A on skłamał na policji, że nie był wtedy w górskiej rezydencji?

– Ile razy mam powtarzać! Tak! – wybuchła Brittlynn, rozszłościła się, podniosła głos. Wypłuła gumę na chusteczkę wyjętą z pudełka. – Oboje skłamałiśmy. To dlatego tu jestem. – Zawinęła gumę w papier i wrzuciła ją do stojącego w pobliżu kosza na śmieci. Potem dodała: – I żebyście wiedzieli... To, że zgodziłam się go kryć, żeby go zatrzymać przy sobie i żeby nie był z Marlie, było największą pomyłką w moim życiu. Największą! – Znowu spojrzała na prawnika. Tracili ją.

– A co z Marlie Robinson? – zapytał szybko Thomas.

– A co ma być? – warknęła Brittlynn. – Powiedziałam wam wszystko, co wiem!

– Wie pani, co się z nią stało? – zapytała Johnson, bo Britt nie mogła już usiedzieć na krześle. – A Chad?

– Jezu, nie – odparła ze złością. – Nigdy niczego więcej nie powiedział, tylko tyle, że widział ją tamtej nocy na schodach. A potem jak biegła. I uwierzcie mi, pytałam go o nią. Za każdym razem, gdy się kłóciliśmy.

– Dlaczego? – zdziwiła się Johnson. – Nadal się w niej kochał?

– Nie! Boże, nie! – zachnęła się Brittlynn i zacisnęła usta z niedowierzaniem. – Chyba już skończyliśmy? – Spojrzała na adwokata. – Nie mam nic więcej do dodania. Według mnie już skończyliśmy. – Odsunęła krzesło tak szybko, że nóżki głośno zaszurały po podłodze.

– Sądzę, że usłyszeliście państwo wszystko, czego potrzebujecie – zgodził się Cooke.

– Jeszcze jedno. Ma pani może pojęcie, gdzie może być Chad? – zapytał Thomas.

Stojąc już, pokręciła głową.

– Nie. To znaczy powtarzał często, że powinniśmy wyjechać i odwiedzić jego kuzyna w Montanie. Dziwna sprawa, bo wcześniej nigdy nic o nim nie mówił. Ale jakiś tydzień temu Chad

zapropował: „Odwiedzmy Wilsona”. Mówił też: „Naprawdę spodobałaby ci się Montana, Britt, powinniśmy odwiedzić Wilsona”. A raz nawet powiedział: „Sądzę, że powinniśmy na jakiś czas zatrzymać się u Wilsona, miesiąc lub trochę dłużej. Wyrwać się stąd”. A ja na to: „Oj, nie. Przecież mamy pracę”. Poza tym nigdy wcześniej nie chciał jechać do Wilsona. Ten facet to dupek. Tłukł Chada, gdy byli dziećmi, aż tu nagle ni z gruszki, ni z pietruszki, Chad chce jechać do Billings w Montanie.

– Ten kuzyn ma na imię Wilson?

– Tak, to jego imię. Wilson Atwater.

Johnson już podniosła iPada.

– A teraz wychodzę – oświadczyła Brittlynn. – Nic więcej nie wiem.

– Być może będziemy chcieli zadać pani jeszcze kilka pytań – uprzedził ją Thomas.

– Cóż, nie znam więcej odpowiedzi. Nic poza tym nie wiem – odparła, a następnie zwróciła się do adwokata: – Chodźmy.

Znalazła się za drzwiami, gdy Robert Cooke jeszcze zbierał swoje rzeczy i chował tablet do aktówki.

Thomas wyprowadził ich z budynku, a kiedy wrócił, zastał Johnson przy biurku.

– Namierzyłam Wilsona Atwatera w Billings w Montanie. Zadzwoiłam. Nie odebrał. Więc dałam znać lokalnej policji. Później powinni oddzwonić.

– A więc wierzysz w opowieść Brittlynn?

Johnson westchnęła.

– Minęło dwadzieścia lat, sporo czasu, wspomnienia się zatarły i pomieszały. Sądzę, że jest w niej sporo prawdy, ale mogła coś poprzekręcać, żeby zaspokoić swoje potrzeby psychologiczne. Na miłość boską, miała czternaście lat. Czternaście! Pomyśl, jaki byłeś w tym wieku? Ja byłam chora psychicznie. Nie odróżniałam prawej strony od lewej, ale wydawało mi się, że pozjadałam wszystkie rozumy. Jej opowieść jest podkoloryzowana, tak ją wówczas widziałam. Ale tak, sądzę, że mówiła prawdę, ale kto wie? Może coś z tego wyjdzie, gdy znajdziemy Chada Atwatera. – Usiadła na krześle. – Poza tym znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

Jonas przedzierał się przez śnieg z nożem w ręce.

Podobał mu się jego ciężar, to, jak palce leżą na rękojści.

To było przyjemne uczucie.

Dawało mu siłę i ochronę.

Znow mógł trzymać broń.

Porzucił gruchota Mii kilkaset metrów stąd, gdzieś koło opuszczonego górskiego domku. Jak na razie wystarczy. Nie będzie się ukrywał zbyt długo.

Bądź spokojny, ostrzegał go wewnętrzny głos. Nie rób niczego pochopnie. Nie chcesz wrócić do Banhoff!

Dwadzieścia lat w zamknięciu wystarczy, przypomniał sobie, truchając i zostawiając ślad na śniegu. Pochylał głowę, przechodząc pod nisko wiszącymi gałęziami jodeł i cedrów, na twarzy czuł chłodny powiew wiatru. Rozwiewał mu włosy, odmrażał czubki uszu.

Super.

Tak wyglądała wolność.

Nie chciał jej utracić.

Nawet ból w żebrach był tego wart.

Zatrzymał się, by zmówić szybką modlitwę. Zwrócił się w stronę Boga w Banhoff. Kapelan przekonał go, by spojrzeć w głąb siebie i znalazł dobro, by oddał się w ręce Pana. Uwierzył. Naprawdę uwierzył. Wiedział też, że Bóg zesłał go na ziemię, żeby zrobił to, co należy. Jego fani to doceniali, więc korzystał z tego.

Nie wyznał jednak, że czasem musi stać się aniołem zemsty. Naprawiać wszelkie zło.

Wobec tego parł przed siebie, nie zważając na zimno, niesiony na skrzydłach anioła.

Miał niedokończone sprawy.

Musiał się nimi zająć.

Dziś wieczorem.

ROZDZIAŁ 31

Faiza siedziała w swoim gabinecie w domu na West Hills i przeglądała posty na facebookowym fanpage'u Jonasa, ale nie znalazła niczego ciekawego, więc zamknęła stronę. Zastanawiała się, gdzie się podział ten wariat. Syn Samuela. Nie jej siostry Zeldy. Diabelskie nasienie. Jak by na to na to nie patrzeć. Tylko wyszedł z więzienia, a już na złamanie karku pędzi, by narobić sobie kolejnych, strasznych problemów. Nieważne, co myśleli o nim ci jego głupi fani. Dla nich był jakimś mesjaszem.

A nie diabłem wcielonym.

A co z Rogerem, hmm? Sądzisz, że jest taki niewinny?

Niemal słyszała głos Zeldy, radzący jej, żeby z nim zerwała.

– To frajer, Faiza. Czy miał kiedykolwiek prawdziwą pracę? He? I chyba siedział w więzieniu? Stać cię na kogoś lepszego. Patrz na mnie. Zmieniłam Waltera na Samuela. Bo nie bałam się odejść. Zostaw go, Faiza. Nie obchodzi mnie, jak bardzo kochasz Rogera, to tylko obibok. Pijawka! I leser!

Ale to nie była prawda.

Podniosła komórkę z blatu i wybrała numer Rogera, po czym odsunęła się z krzesłem od biurka.

Poczta głosowa.

Super. Gdzie go znowu nosi?

Z irytacją pokręciła głową, żeby rozluźnić napięte mięśnie, i pomyślała, że potrzebuje masażu. Do diaska, potrzebowała czegoś więcej niż masażu gorącymi kamieniami, musiała udać się na kurację do spa. Rozzłoszczona poszła do kuchni i ponownie wybrała numer partnera.

Tym razem także rozległ się sygnał i włączyła się poczta głosowa.

– Odbierz, odbierz! – powiedziała z telefonem przy uchu, patrząc przez okno na podwórkę, gdzie ukryte pod śniegiem lampy rzucały ciepłe światło. To powinien być czas spokoju. Błogości. Nie niepokoju, który trzymał ją w uścisku.

Wysunęła do przodu brodę i ponownie do niego napisała:

Zadzwoń.

Po raz szósty tego wieczoru.

Z rozmachem odłożyła komórkę na szafkę. Telefon przejechał po wypolerowanym marmurze i odbił się od płyty w tym samym stylu. Nie zwróciła na to uwagi, bo znowu skupiła się na podwórzu, gdzie na plandece nad basenem znowu zebrała się gruba warstwa śniegu. Niedobrze. Utrzymanie tego miejsca kosztowało coraz więcej, no i jeszcze te podatki. A co będzie w przyszłym tygodniu, gdy już nie uda jej się zaczerpnąć pieniędzy z masy spadkowej należącej do Kary? Co z nią się stanie? A z Rogerem?

– Niewdzięcznik – mruknęła, myśląc o nim, i znowu podniosła telefon.

Jeszcze raz do niego zadzwoniła.

Po raz enty połączyła się z pocztą głosową, więc wybrała numer kolejny raz.

– Nie olewaj mnie – powiedziała z telefonem przy uchu, po czym weszła do jego pokoju, otworzyła okno i wpuściła do środka chłodne grudniowe powietrze, wietrząc unoszący się wiecznie w pomieszczeniu zapach marihuany. Boże, nienawidziła tego. Ale chociaż kupowała Rogerowi jadalne zioło, on wolał palić. Ona nie widziała różnicy, on twierdził, że to nie to samo.

Oczywiście znowu poczta głosowa.

Wściekła się tak, że prawie rzuciła telefonem o ścianę, wypadła do salonu, gdzie stała choinka, jej ozdoby lśniły w miękkim świetle małych lampek oplatających gałęzie. Pokój oświetlały świece, zapach sosny i grzanego wina wypełniał perfekcyjny salon ze śnieżnobiałym dywanem na dębowej podłodze; nowa jasnoszara kanapa dopełniała fotele z kremowym obiciem i kamienny kominek sięgający wysokiego sufitu. W kącie stał fortepian, za nim w szybach okien migotały płomienie świec.

Jak z obrazka, pomyślała.

Dosłownie uwielbiała to miejsce.

Niedługo jednak będzie musiała się z nim pożegnać.

To dlatego Roger odszedł.

Bo znowu narzekała, że wszystko to straci. Siedział na swojej ulubionej, starej kanapie w pokoju muzycznym, podniósł głowę znad gitary, wypuścił z ust dym zioła i powiedział:

– Pogódź się z tym.

– Nie mogę – odparła. – Nic na to nie poradzę. Kara w przyszłym tygodniu kończy dwadzieścia osiem lat i nie ma znaczenia to, że Merritt Margrove nie żyje. Wynajmie innego prawnika, żeby przejrzał dokumenty, i dowie się, jaka jestem i co zrobiłam.

– Czyli? – zapytał tak beztrąsko, że miała ochotę udusić go struną od gitary.

– Czyli że nie ma pieniędzy! Nic nie zostało. Wiesz o tym. Margrove też wiedział, ale zamierzał trzymać gębę na kłódkę, bo sam czerpał z tej studni. Wystawiał nieziemsko wysokie rachunki. Pokazywałam ci. Pompował je do granic śmieszności, żeby tylko odbić sobie nieudane inwestycje i cholerne długi hazardowe.

– Nadal pozostaje nieruchomości – powiedział Roger, odkładając gitarę.

– Chcesz się wyprowadzić?

– Uspokój się, Faiza – zwrócił się do niej tym protekcyjnym, racjonalnym męskim głosem, jakby była wrzaskliwą, nieopanowaną babą. Co za ironia, skoro to ona zapewniała im wszystko, czego potrzebowali, każdą cholerną rzecz. – Mam na myśli dom w górach – wyjaśnił popularnym tonem. – Na pewno jest wart fortunę.

– To cholerny gorący kartofel. Poza tym Margrove zapożyczył się pod jego hipotekę. Chyba go nie straciliśmy, jeszcze nie, ale i tak nikt go nie chce. Nikt! – I wtedy wypaliła: – Nie rozumiesz, Roger? Wszystko, na co pracowaliśmy przez te wszystkie lata. To wszystko – wykonała szeroki gest, obejmując dom, przylegające do niego tereny i ich cały styl życia – niedługo zniknie! O tak! – Pstryknęła palcami. – A wiesz, co jest najgorsze? Że ten gnojek Jonas wyszedł z więzienia i będzie chciał dostać swoją część.

– Powiedzmy.

– To nie jest śmieszne, Roger. Spoważnij. Stracimy wszystko. I proszę, proszę, przestań mnie traktować protekcyjnie, dobrze? Nie mów mi, że dam sobie radę, bo nie dam. Nie tym razem. A skoro wyszedł ten psychol, będzie źle, Roger. Bardzo, bardzo źle.

Zmarszczył brwi, a ona spodziewała się, że pociągnie dym z bongy. Ale on wstał, zostawił gitarę na kanapie i wymamrotał:

– No cóż, skoro ty nie dasz rady, to sam się tym zajmę.

– A co to ma znaczyć? – zapytała z obawą.

Uśmiechnął się, oczy mu zalśniły w taki sposób, że jeszcze bardziej się zmartwiła, bo nie widziała go takiego do bardzo długiego czasu.

– Nie pytaj, bo i tak nie powiem. Im mniej wiesz, tym lepiej dla nas.

Jakby zmroziło ją od środka.

– Roger? Co zamierzasz?

– Ciii. – Położył palec na jej ustach.

– Roger...

– Wróć. – Odwrócił się i wychodząc, posłał jej chytry, porozumiewawczy uśmiešek. – To coś, co chciałem zrobić już od dawna.

– Przestań! – krzyknęła, teraz wystraszona nie na żarty.

Zarzucił na siebie skórzaną kurtkę i spojrzał na nią przez ramię.

– Co mam przestać?

Już miała powiedzieć: „Nie rób nikomu krzywdy”, ale zamiast tego z jej ust wydobyły się słowa:

– Nie rób niczego głupiego.

I teraz, kilka godzin później, czekała, zastanawiała się, gdzie się podział, co robi, i martwiła się i modliła, żeby znalazł jakiś sposób na to, żeby nie zmieniać stylu życia, jakim cieszyli się od dwudziestu lat. Miała nadzieję, że nie został zmuszony, by użyć przemocy.

Ale z Rogerem nigdy nie wiadomo.

Chad nie dotarł daleko.

Osiemdziesiąt kilometrów na wschód od Whimstick padł mu cholerny akumulator w gracie. Popęłnił błąd i zatrzymał się po paliwo i kanapkę w sklepie, a gdy z powrotem wsiadł do auta, stary dodge nie chciał ruszyć, pojawiło się znane rżenie, które po chwili przeszło w klik, klik, klik, ilekroć przekręcił kluczyk w stacyjce.

Stracił kilka godzin, czekając na pomoc drogową, po czym okazało się, że nie mają na stanie odpowiedniego akumulatora, więc musieli wysłać kogoś do Bend po taki, który zadziała z jego autem. Ostatecznie stracił większość dnia, popijał piwo w barze w mieście i w końcu wydał o wiele za dużo na nowy, cholerny akumulator. Zanim znowu ruszył w drogę, zrobiło się późne popołudnie.

A teraz był tutaj, zatrzymał się na zapomnianym odcinku drogi leśnej, którą mało kto jeździł, zaledwie czterdzieści kilometrów od miejsca, z którego wyjechał, popijał tanią whiskey, którą kupił, czekając na naprawę pojazdu.

Nie spodziewał się takich komplikacji, ale wiedział, że sobie poradzi. Pociągnął kolejny łyk, po czym wytarł usta rękawem. Jedna część jego planu wypaliła. Kiedy wyjechał wcześniej rano, ruszył na wschód. Zamierzał zasugerować glinom, że udaje się do Idaho lub Montany, żeby kupić sobie więcej czasu. Tak naprawdę zamierzał zawrócić. Ten punkt zrealizował. Widziało go wiele ludzi w mieście nie większej niż kropka na mapie, poza tym poopowiadał w kilku miejscach, że jedzie do Billings, gdzie mieszka jego kuzyn. Może nieco przedobrzył, ponieważ gdyby naprawdę jechał do środkowej Montany, to raczej zachowałby to dla siebie? Może. Ale policja połknie haczyk; był o tym przekonany. Wczoraj też zadzwonił do kuzyna i powiedział, że będzie przejeżdżał w pobliżu, no i zawsze tłumaczył Brittllynn, że gdyby musieli szybko zniknąć, najlepiej dojechać do Billings i tam wsiąść w samolot.

Sądził i miał nadzieję, że dobrze się zabezpieczył.

Prawda była taka, że zawsze zamierzał pojechać na północ przez Waszyngton i udać się do Kanady. Co nastąpi jutro – wyruszy przed świtem, znajdzie w jakiejś pipidowie auto zaparkowane na ulicy i ukradnie tablice rejestracyjne. Pewnie będzie musiał gdzieś porzucić swój samochód i przedostać się przez granicę autobusem, ale nad tym będzie łamał sobie głowę jutro.

Jeszcze miał czas.

Trochę go to martwiło, ale zaakceptował fakt, że Britt może go wydać.

Rany, będzie wkurzona, gdy nie wróci dzisiaj na noc.

Brittllynn była mądrą dziewczyną, zawsze umiała o sobie zadbać, więc domyślał się, że nic jej nie grozi, przynajmniej przez dzień czy dwa. Spodziewała się, że wróci z podkulonym ogonem, przeprosi i będą się kochać jak dzicy, zanim wszystko znowu zmieni się w gówno.

W przeszłości zawsze wracał, ilekroć tak się wkurzył na nią podczas kłótni, że musiał wyjść z domu.

Musiała być pewna, że tym razem też wróci.

Wobec czego miał czas, zanim wezwie gliny – o ile w ogóle się do tego posunie. Poza tym skłamała i będzie musiała brać pod uwagę ryzyko, że sama trafi do więzienia, a sądził, że nie popełni takiego błędu. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Pociągnął porządnie z butelki i stwierdził, że whiskey nie piecze go w przełyk, ogrzewała go tylko od środka i wprawiała w przyjemny nastrój. Bardzo przyjemny.

Będzie dobrze.

Musiał tylko chwilę się zdrzemnąć.

Dopiero zaczynało się ściemniać, w lesie zapadała noc. Prześpi się jakieś dwie, trzy godziny, po czym ruszy ponownie i nadrobi czas. Podąży ku wolności. Z dała od pracy. Od przeszłości. Od ciągłego oglądania się przez ramię. I tak, jeśli ma być ze sobą szczery, z dała od Britt. Zmieniła się w zimną jak kamień, upierdliwą sukę.

Upił jeszcze jeden duży łyk z butelki i okazało się, że opróżnił ją już do połowy. Cholera. Lepiej nie pić więcej, bo musi się obudzić za kilka godzin i być na tyle trzeźwy, żeby móc prowadzić. Nie mógł ryzykować i siadać za kółkiem, będąc pod wpływem. Niechętnie zamknął butelkę i odłożył ją na siedzenie pasażera, po czym rozłożył swój fotel najniżej jak się dało, podciągnął stary śpiwór pod brodę i patrzył na płatki śniegu spadające na przednią szybę.

Wsadził dłoń do kieszeni kurtki i wymacał mały pistolet, po czym zamknął oczy i obiecał sobie, że obudzi się długo przed nadejściem świtu. Musiał.

Po kilku minutach odpłynął w sen.

Nie słyszał nadejścia napastnika, który poruszał się bezszelestnie.

Nie wyczuł, że ktoś się zakrada.

Nie usłyszał cichego kliknięcia, gdy z podwozia usunięto małe urządzenie śledzące.

Pogrążony we śnie, w którym uprawiał niesamowity, odjazdowy seks z Marlie Robinson, nie poruszył się, kiedy kliknął zamek w drzwiach. Marlie była tak cholernie ponętna i...

Drzwi kierowcy stanęły otworem.

Do środka wpadło zimne powietrze i śnieg.

Co, do kurwy nędzy!!!

Chad otworzył oczy.

NIE!

Czyjeś ramię wsunęło się za jego kark. Ktoś odciągnął mu głowę do tyłu. Na gardle pojawiło się ostrze.

Zaczął krzyczeć, ale było za późno. Wiedział, że nikt go tutaj nie usłyszy.

W panice zaczął się miotać.

Walczył zaciekle, żeby się uwolnić.

Za późno. Napastnik był zbyt silny.

W chwili gdy jego palce dotknęły cyngla, ostrze przecięło mu gardło, z łatwością zagłębiając się w tkanki.

Szszszast!

Przez ułamek sekundy Chad widział rozpryskującą się krew, chlapiącą i kapiącą na ośnieżoną szybę.

ROZDZIAŁ 32

– Pamiętasz, jak mówiłam, że nasz ptaszek odfrunął? – zapytała Johnson, wchodząc do biura Thomasa.

– Tak? – Zerknął na nią i zobaczył irytację na jej twarzy. – Co się stało?

Było późne popołudnie, biura zaczynały się wyludniać, ludzie wymieniali się na stanowiskach, rozmawiali, szybko przemierzali korytarz.

– Jest coraz gorzej – stwierdziła. – Nie tylko odfrunął, ale wyprowadził się z cholernego gniazda. Właśnie rozmawiałam ze szpitalem w Portland, gdzie miał zostać zawieszony. Nigdy tam nie przyjechał. – Obeszła biurko Thomasa i stanęła przed nim. Założyła ręce na piersi, a jej zwykle spokojna twarz przybrała wyraz konsternacji. – Policja w Portland nic o tym nie wie, podobnie jak stanowi. Próbowalam dodzwonić się do naszej ulubionej adwokat Alex Rousseau, ale ona w tej chwili nie odbiera. Wygodnie, co nie?

– A więc Jonas McIntyre rozplynął się w powietrzu. – Thomas pokręcił głową. Właśnie jak sprawa zaczęła posuwać się naprzód.

– Na to wygląda.

– Wyjechał z Rousseau; musi wiedzieć, gdzie on jest.

– A dzięki zeznaniom Brittllynn Atwater wysforował się znowu na podejrzanego numer jeden.

– Osobę w kręgu zainteresowań – przypomniał jej.

– Do dupy z tym. A jeśli Rousseau wie, gdzie on jest? – Błysnęła ciemnymi oczami. – Jedźmy.

– Dobrze. Ale najpierw musisz spojrzeć na to. – Wskazał monitor komputera.

W tej chwili na korytarzu ktoś wybuchnął śmiechem. Spojrzawszy z wyrzutem na drzwi – kto ośmiela się mieć dobry humor w taki dzień? – obeszła biurko i stanęła za nim.

– Widziałam to – powiedziała, patrząc na ekran. – Przedstawia ludzi przed szpitalem, gdy w środku był Jonas, ten jego żałosny fanklub, jak tam się zwą. Na tym jest dziewczyna, która wygląda jak Marlie Robinson.

– Wiem. Ale patrz na to. – Thomas wyświetlił inne zdjęcie, ukazujące szerszą perspektywę tej samej grupy. Było na nim więcej ludzi, którzy wzięli udział w manifestacji. Na tym ujęciu na samym środku przodem stali oficer Mullins i szczupła kobieta z nadmiernie rozjaśnionymi włosami. Sobowtór Marlie Robinson załapał się z boku kadru.

– Aha. No i? – Wytężyła wzrok i pokazała palcem na kobietę w długim płaszczu i okularach z kolorowymi szklami. – Tu znowu nasza dziewczyna.

– Tak, a tutaj to chyba Kara. – Wskazał grupę po przekątnej zdjęcia, gdzie ze szpitala wychodziło kilka osób, wśród nich kobieta z ciemnymi włosami. Miała lekko odwróconą głowę, kamera nie uchwyciła całej jej twarzy, a sylwetkę zasłaniali inni ludzie, ale według Thomasa była Karą McIntyre.

– Wow. – Johnson też to zauważyła. – Były tak blisko siebie.

– A tutaj co widzisz? – Wskazał na wysokiego mężczyznę, częściowo zasłoniętego pnieniem drzewa. Widać było tylko daszek jego czapki i czubek nosa.

– Jakiś gościu.

– Tak, jakiś gościu, a na co patrzy?

Johnson się pochyliła, żeby lepiej się przyjrzeć. W powietrzu narysowała linię od czubka nosa mężczyzny przez tłum i doprowadziła ją do rzekomej Marlie. Większość ludzi patrzyła na drzwi szpitala, ale ten człowiek gapił się na kobietę w kolorowych okularach i długim, czarnym płaszczu.

– Rozpoznajesz go?

Pokręciła głową.

– Drzewo zasłania większość twarzy i jeszcze ten daszek czapki. – Wyprostowała się. – Ale może mamy jeszcze jakieś inne zdjęcie, zrobione pod innym kątem, albo nagranie z kamery bezpie-

czeństwa lub którejs z stacji telewizyjnych.

– Albo selfie? Zdjęcie zamieszczone w sieci przez jakiegoś uczestnika zgromadzenia.

Potaknęła.

– Zajmę się tym.

– A ja spróbuję namierzyć Alex Rousseau. Czy jej się to podoba, czy nie, będzie musiała nam powiedzieć, gdzie zadekowała swojego klienta zabójcę.

– Domniemanego zabójcę – rzuciła sarkastycznie Johnson, wychodząc z biura. – Pamiętaj: *domniemanego*. Jest niewinny, dopóki nie udowodnimy mu winy.

– Ponownie – mruknął pod nosem Thomas i zaczął myśleć, w jaki sposób ma, do cholery, obejść zakaz powtórnego pociągnięcia do odpowiedzialności i oskarżyć tego sukinsyna. Musiał istnieć jakiś sposób.

Przedzierając się przez śnieg, Jonas nie zwracał uwagi na ból, który utrzymywał się od czasu wypadku. Bywało gorzej. Bójki na spacerunku w więzieniu nie zdarzały się często, ale nie były niczym niezwykłym, raz dostał kosę w udo tuż obok tętnicy. Jakoś to wszystko przetrzymał, zhardział, ćwiczył, aż zmienił się w same mięśnie. Ból fizyczny nie był czymś, czego by nie zniósł. A ból emocjonalny? To coś gorszego, nieważne jak starasz się być pobożny. Nie do końca przekonywała go zasada nadstawiania drugiego policzka. Wolał to, co wyczytał w Starym Testamencie: „Oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę...”.

– Księga Wyjścia, rozdział dwudziesty pierwszy, werset dwudziesty czwarty – powiedział na głos.

Ile oczu byś stracił, gdyby kto inny wcielił w życie tę zasadę?

Uznał, że nie będzie się nad tym zastanawiał.

Maszerował dalej pomiędzy iglakami, których igły muskały go po twarzy; pomyślał o Lacey, o tym, jak go okłamała i zdradziła.

Myślał o swoim przybranym bracie pieprzającym jego dziewczynę.

Myślał o rodzicach, o tym, że wszyscy go porzucili i jak go ukarali.

Samuel senior nigdy nie wziął jego strony, chociaż wstawiał się za Samem juniorem, swoim pierworodnym i imiennikiem, doskonałym synem, który nigdy nie sprawiał poważnych problemów. A Natalie? Jego matka? Ta kobieta uciekła od niego. Założyła nową rodzinę, doskonałą rodzinę, w której nie było sprawiającego problemy, skandalizującego nastolatka. Wobec czego porzuciła swojego pierworodnego syna, jakby był śmieciem, rzadko go odwiedzała, praktycznie go nie uznawała i nigdy nie pomogła mu wyjść z tego piekła na ziemi o nazwie więzienie Banhoff.

Co to była za matka?

I jeszcze ten jego przyrodni brat, Sam junior. Sam, oczko w głowie ojca, nigdy nie poparł Jonasa. Ani razu.

– Jebany – warknął Jonas pod nosem, jego oddech zmienił się w parę.

No i jeszcze Kara.

Beznadziejny przypadek.

Jej wymówką do porzucenia go była młodość.

I pozwoliła, by cała ich fortuna została przeputana przez Merritta Margrove’a i jej ciotkę, tę przepelnioną jadem siostrę Zeldy. „Ciocię Fai”, jak ją nazywali, ale była zimną jak kamień suką, która mieszkała w *jego* domu z tym leserem, swoim chłopakiem. Wozili się wypasionymi brykami. Jeździli na zajebiste wakacje. Nosili drogie ciuchy i biżuterię. Jonas dowiedział się tego wszystkiego od Margrove’a, tego szui, który jedynie próbował ratować swój tyłek, bo sam również maczał w tym swoje lepkie palce i podkradał masę spadkową. Całe to gadanie o wydatkach – podatkach, opłatach, kosztach utrzymania, chesnym w szkołach... wszystko o kant dupy.

Przeszedł przez dziurę w płocie otaczającym stary dom, podobnie jak wtedy, kiedy był dzieckiem, następnie zbliżył się do podestu z tyłu domu, sięgnął ręką pod framugę drzwi, gdzie w małym zagłębieniu wiele lat temu ukrył klucz. Nie był to klucz do drzwi frontowych, nawet nie do drzwi na tyłach domu, lecz do zamka, który zabezpieczał wychodzące na zewnątrz drzwi osadzone w szafce koło kominka. To była jego tajna droga ucieczki, kiedy wymykał się z domu jako nastolatek. Problemem zawsze było składowane tam drewno, ale udawało mu się wchodzić i wychodzić, po prostu odkładał podpałkę i polana na swoje miejsce, więc nikt się niczego nie domyślił, a on nie został przyłapany.

Obszedł narożnik domu i zatrzymał się przed schodami na ganek. Wyteżył słuch, sprawdził, czy nikogo tu nie ma. Wiatr się wzmagał, poruszał gałęziami, szeptał w koronach drzew, ale poza tym nie widział i nie słyszał niczego. No bo kto miałby tu przebywać?

Przeszedł wzdłuż kamiennego muru, tylnej ściany kominka i stanął przed drzwiami prowadzącymi do skrytki. Użył klucza, otworzył zasuwkę i drzwiczki się otworzyły. Wszedł do środka i na czworakach przeciskał się przez ciasną, zakurzoną przestrzeń, pajęczyny wplątywały mu się we włosy, w dłonie wbijały drzazgi drewna jodłowego. Tłumiąc irytację, wyszedł na drugą stronę, znalazł się na podłodze salonu i rozejrzał po ponurym wnętrzu.

Jego żebra protestowały, czuł promieniujący od nich ból, ale nie roztkliwiał się nad sobą. Nie po to dotarł tak daleko, nie po to spędził tyle czasu za kratkami, żeby mogły powstrzymać go połamane żebra. Zaciśnął zęby i włączył latarkę, cienki, niebieskawy snop światła wydobył z ciemności szare kamienie, odklejając się tapetę i zakurzoną podłogę.

Tak to teraz wygląda.

Pamiętał krew. Strach. Przyływ adrenaliny. Ale przede wszystkim pamiętał miecz, jego ciężar. To, jaki był ostry. Sprawdził to, bo chciał dokonać jak największych spustoszeń.

Pamiętał też Donnera w blasku ognia, jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia, kiedy Jonas się zamachnął, a twarz wyrażała zaskoczenie i strach, kiedy ostrze po raz pierwszy dosięgło celu.

– Jonas! Do cholery! Odwaliło ci? – krzyczał, uskakując w stronę choinki. Krzyczał na całe gardło. – Przestań! Cholera! O Boże! Nieeee! Pomocy! Pomocy!

Ale to nie powstrzymało Jonasa, było za późno na pomoc i ten zdradziecki kutas poniósł śmierć, jego krew rozlewała się na dywan, a on upadł na kolana, a potem zwałił się z hukiem i uderzył głową w podłogę.

Na tym powinno się skończyć, pomyślał, przemierzając pokój. Przypomniawszy sobie jednak, że kiedy Donner padł, z łatwością wplótł dłoń we włosy tego kutasa, odciągnął jego głowę do tyłu i wykonał ostatecznie, przemyślane cięcie w poprzek jego szyi.

Teraz, poddając się impulsowi, Jonas wszedł po schodach na pierwsze piętro, przeszedł korytarzem i zatrzymał się na chwilę przed otwartymi drzwiami do swojego starego pokoju. Jakby to było wczoraj, odtworzył w pamięci wyćwiczone ciosy, które spadły na wypchanego orła wiszącego na ścianie. Jego głowa odpadła, a w powietrzu unosiły się pióra.

Uśmiechając się do siebie, Jonas podszedł do drzwi prowadzących na strych i poświecił latarką w górę wąskiej klatki schodowej. Lata temu ostatnio wchodził po tych zniszczonych stopniach, pomyślał, zamykając za sobą drzwi.

Znalazłszy się na najwyższym piętrze domu, poświecił latarką po przestronnym wnętrzu z wysokim, skośnym sufitem i popatrzył na belki. Właśnie tutaj ukrył kasę skradzioną z tajemnej skrytki staruszka. Nie wiedział, czy jeszcze tu jest, ale właśnie miał się o tym przekonać.

Tate wjechał na dróżkę prowadzącą do domku w górach należącego do jego rodziny. reflektory samochodu oświetliły wąski frontowy ganek i okna trzypokojowego budynku, w którym spędził większość letnich wakacji, gdy był dzieckiem. Wzniesiono go w latach trzydziestych, znajdował się niecałe czterysta metrów od rezydencji McIntyre'ów i jako dziecko Wes uwielbiał tu być. Aż do nocy, gdy jego ojciec oddał życie, żeby uratować spanikowaną dziewczynkę – tę dziewczynkę, pomyślał, zerkając na Karę, opartą o szybę jego SUV-a.

Nie zawiózł jej bezpośrednio do domu, w którym widziała następstwa morderstwa. Najpierw, żeby sprawdzić, czy będzie w stanie przebywać tak blisko miejsca, w którym przeżyła taką tragedię, przywiózł ją tutaj. Jak na razie dawała radę, stwierdził, chociaż z każdym kilometrem zbliżającym ich do gór stawała się mniej rozmowna.

– Nie musimy wchodzić do środka – powiedział, ale pokręciła głową.

– Chcę wejść. – Już otwierała drzwi samochodu i wychodziła na zewnątrz, gotowa zmierzyć się tak z zimmem, jak i prawdą.

– No dobrze. – Też wysiadł z toyoty.

Razem weszli na ganek, z kieszeni wyjął stare klucze ojca i otworzył drzwi. Obrzuciła spojrzeniem salon, niewielki pokój z pozapadaną kanapą, bujanym fotelem i rozkładaną małą sofą, które stały tu, odkąd Tate pamiętał. Włączył światło i zauważył, że jedna z żarówek się przepaliła, a w szklanym kloszu leży kilkanaście martwych owadów.

– Rzadko tu przyjeżdżamy – przyznał. – Mama ponownie wyszła za męża, ale nigdy nie czuła się komfortowo w miejscu, gdzie umarł tata. Moja siostra i jej dzieci starają się przyjeżdżać raz w roku, głównie po to, żeby tu posprzątać, coś ponaprawiać, ale to już nie to samo. Wszyscy mówimy, że przyjedziemy do domku „następnego lata”, ale nigdy nie dotrzymujemy słowa.

– Dlaczego go nie sprzedacie? – zapytała, ruszając w stronę kuchni.

– Mama nie potrafi się pozbyć tego domu – wyznał, przesuwając palcem po stole i zbierając kurz. – A moja siostra i ja uważamy, że nie powinniśmy. Cała rodzina trzyma się tego miejsca ze względu na tatę. – Przesunął wzrok na rzeczy, które należały do Edmunda Tate’a: fotografie, trofea myśliwskie, pamiątki z wojska, i poczuł klucie w sercu. – Tata je uwielbiał. – Ścisnęło go w gardle. – Wszyscy je uwielbialiśmy.

– Do czasu.

– Właśnie, do czasu. – Przeszedł przez dom, spojrzął na oszkloną ramkę z pamiątkami z wojska w korytarzu i coś mu zaświtało, ale nie potrafił jeszcze ująć tego w słowa. Gapił się na nieśmiertelnik na środku:

EDMUND W. TATE
PIECHOTA MORSKA
SEMPER FIDELIS

– Semper fi – powiedział na głos.

– Słucham? – Odwróciła się w jego stronę. – Co mówisz?

Zatkało go na chwilę.

– Semper fi – powtórzył. Wtedy poczuł jakby zwarcie nerwów, połączenie z nocą sprzed dwudziestu lat, gdy stracił ojca i na pewien czas stracił grunt pod nogami. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, gdy patrzył na ramkę pełną pamiątek. Co takiego podsłuchiwał w szpitalu, gdy strażnicy rozmawiali o ostatnich słowach wypowiedzianych przez jego ojca za życia?

– Nie był pewien, ale brzmiało to jakby fi lub fia... może fii, fy, fo, fam... albo coś w tym stylu.

Ale to nie tak. Edmund Tate nie mówił w malignie „fii-fy-fo-fam”, lecz „semper fi”, wyrażenie bliskie jego sercu, skrócone motto piechoty morskiej, tak jak wymawiano je na głos.

Ale co to znaczyło?

Dlaczego tata powtarzał to wyrażenie podczas ostatnich chwil swojego życia? Służył w piechocie, owszem, ale był także policjantem i raczej próbował powiedzieć ratownikom, co widział. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Wayne’a Connella. Gdy ten odebrał, Tate poprosił:

– Możesz sprawdzić wszystkich związanych z Masakrą McIntye’ów, którzy służyli w wojsku, zanim to się stało? Zwłaszcza w piechocie.

– Pewnie.

– Super. Później wyjaśnię. – Tate się rozłączył, poszedł do kuchni i otworzył drzwi na taras z tyłu domu, tam, gdzie jego ojciec po raz pierwszy usłyszał krzyki dochodzące z sąsiedniej posiadłości. Kara stała przy barierce, wzrok wbiła w jezioro, widoczne przez kurtynę śniegu.

– Przepraszam – powiedziała, słysząc, jak nadchodzi.

– Za co?

– Za to, że uciekałam przed twoim ojcem – odparła, a gdy stanął koło niej, zauważył, że ma łzy w oczach. – Byłam tak pochłonięta własnym smutkiem, bólem, przekłętą tragedią mojego dzieciństwa, że nigdy tak naprawdę nie zastanawiałam się nad tym, co przechodzili inni. Nie... skupiałam się tylko na sobie.

Położył rękę na jej ramionach.

– Miałaś siedem lat.

– A teraz mam prawie dwadzieścia osiem. Chyba czas dorosnąć. Masz rację. Ty tamtej nocy też straciłaś dzieciństwo.

Wziął ją w ramiona, przyciągnął do siebie, czuł przyływ energii, bo właśnie dokonał przełomu, wreszcie pozna odpowiedzi na pytania, które już zbyt długo pozostawały nieodkryte.

– Dowiemy się wszystkiego – obiecał. – Dowiemy się już dzisiaj wieczorem.

ROZDZIAŁ 33

Kara czuła serce w gardle, gdy patrzyła na rdzewiejącą bramę oświetloną reflektorami toyoty. Zaparkowali na początku dróżki prowadzącej do domu – jej domu – gdzie zaczął się ten cały horror.

Podczas krótkiej drogi z domku, w którym Tate spędzał wakacje jako dziecko, powiedział jej, że jest pewien, iż jego ojciec próbował przekazać coś, co widział tamtej nocy. Tate sądził, że Edmund Tate mógł przed śmiercią wyszeptać: „semper fi”.

– To musi być ktoś, kogo poznał w piechocie. Kogoś tam zobaczył – stwierdził Wes, mocno trzymając kierownicę; jego twarz wyglądała jak stalowa maska, a w głowie kręciły się trybiki. – Ktoś to sprawdza, ale jesteśmy blisko, Kara – zapewnił. – Bliżej niż kiedykolwiek.

A teraz znaleźli się u samych bram piekieł, pomyślała, mając przeczucie, że to, co mogą odkryć, będzie równie niepokojące jak przeszłość.

Niektóre tajemnice najlepiej zostawić w spokoju.

Zacisnęła dłonie, jej żołądek się skurczył, z trudem oddychała, gdy reflektory samochodu Tate’a skąpały starą, zardzewiałą bramę w niesamowitym świetle. Kara zapadła się w fotelu pasażera. To, co wcześniej, za dnia, wydawało się dobrym pomysłem, teraz zdawało się pomysłem całkowicie poronionym. Zupełnie bez sensu.

– Wszystko dobrze? – zapytał Tate, wyłączając silnik. Wokół nich zapadła noc, z nieba padały płatki śniegu, słyszała wiatr w pobliskim lesie.

– Czy kiedykolwiek jest dobrze? – odpowiedziała, czując kolejny ostrzegawczy dreszcz na plecach. – Nie, na pewno nie dobrze.

– Nie musimy tego robić.

– Czyżby? – Ignorując coraz silniejszy lęk, złapała za klamkę. – Nie przyjechaliśmy tutaj, żebym teraz stchórzyła. – Przygotowując się mentalnie na to, co miało nadejść, zmusiła się do otwarcia drzwi. Do toyoty wpadło zimne, arktyczne powietrze. – Przyjechaliśmy. Miejmy to już za sobą. – Wysiadła z SUV-a, jej buty zapadły się w głębokim śniegu. Zazgrzytała zębami. Dość, powiedziała sobie. Dość już się nacierpiała. Czas to zakończyć.

Zatrzasnęła za sobą drzwi i podeszła do bramy. Patrząc przez złowieszcze kraty, słyszała, jak Tate wysiada z auta, po czym zamyka je pilotem, dźwięk wydany przez mechanizm nie pasował do tego cichego, zamarzniętego lasu.

Co, do diabła, sobie myślała?

To błąd, Kara! Wracaj do loftu Tate’a. Zapomnij o tym. Wypij jeszcze jedną lufę. Wypij pięć. Nie musisz tu wracać. Tate też tak twierdzi.

Nie, musiała przez to przejść. *Musiała.*

Na bramie wciąż wisiała spłowiała tabliczka z biura nieruchomości, elektroniczny zamek już dawno musiał się poddać, ponieważ bramę zamykał teraz gruby, żelazny łańcuch.

Tate przyjechał przygotowany, zabrał plecak pełen narzędzi. Przeciął łańcuch specjalnymi nożycami i odciągnął jedną część bramy, szurając po wysokim na trzydzieści centymetrów śniegu, żeby Kara mogła przejść na drugą stronę.

Znalazłszy się na terenie posiadłości, ruszyła zakręcającą dróżką ciągnącą się pomiędzy wysokimi iglakami. Od razu przypomniała sobie, że jej mama wieszła światelka na grubych pniach, przewlekała setki małych lampek przez gałęzie i oświetlała dojście do starego domu.

Teraz nie było żadnych świateł.

Żadnych od długiego czasu.

– Jesteś pewna? – zatroszczył się Tate, doganiając ją.

– Już mówiłam: nie jestem pewna. Ale skoro tu przyjechaliśmy, to zróbmy to.

Do głowy przyszła jej rada doktor Zhou: „Skonfrontuj się ze swoimi lękami”, chociaż nie wiadomo, co jej psycholożka by o tym powiedziała, ponieważ przebywanie w miejscu, gdzie doszło do masakry, było z całą pewnością jej najgorszym i najmroczniejszym strachem. Gdy dotarli do ostatniego zakrętu, drzewa się rozstały i ukazały dom.

Dwa piętra zbudowane z pociemniałego ze starości cedru wznosiły się na polanie otoczonej wysokimi krzakami i sosnami. Szeroki taras na froncie otaczał cały parter, okna były zabite deskami, niektóre pomazane sprayem.

Kara zerknęła w górę, gdzie w rogu był pokój, który dzieliła z Marlie. Ścisnęło ją w żołądku na widok niegdyś majestatycznej, wręcz wspaniałej rezydencji. Mimo ciemności widziała, że dach ganku trochę się zapadł pod wpływem śniegu, a okładzina zewnętrznych ścian próchnieje w niektórych miejscach; widoczne były też ślady gryzoni. Większość okien na dole zabito, niektóre starymi płytami pilśniowymi również pomazanymi przez grafficiarzy.

– Zanim... zanim to się stało – wyszeptła – uwielbiałam to miejsce. Spędzaliśmy tu lato i wszyscy wydawali się... szczęśliwi. Chłopcy zawsze biegali po lesie, polowali, bawili się w wojnę, pływali w jeziorze, wiosłowali i uprawiali narciarstwo wodne. Marlie też. – Przygryzła wargę. – Ja byłam na to za mała, ale pływałam na łódce z tatą. A potem... tamtego roku przyjechaliśmy tu na święta. Zawsze przyjeżdżaliśmy, ale tym razem było inaczej – powiedziała, przypominając sobie niesnaski, buzujący gniew, to, że wszyscy byli podminowani. – Jonas i Donner byli skłóceni, a Sam junior się dąsał, bo Chad nie został zaproszony. Mama i tata postawili sprawę jasno, że w święta ma być tu tylko rodzina. Wykluczyli też tych, którzy nie mieli ślubu, więc ciocia Faiza zbojkotowała zaproszenie, skoro nie mogła przyjechać z Rogerem. – Kara znowu zerknęła na Tate'a. – Była naprawdę wkurzona. Cały czas powtarzała: „bliższa koszula ciału, Zelda” w tygodniach przed świętami, ale mama nie chciała ustąpić. Na pewno nie dla Rogera. Ale to było nie w porządku, bo... – wytężyła pamięć – wydaje mi się, że był tu Merritt. Nie widziałam go, przynajmniej nie pamiętam, że bym go widziała, i na pewno nie został na kolacji, ale... ale chyba widziałam jego samochód. – Czy na pewno? Próbowała wydobyć to z pamięci, czuła, że zaczyna ją boleć głowa, ale ruszyła w stronę budynku, przez miejsce, gdzie wszyscy zostawiali samochody, szeroki pas sięgający schodów.

– Po co Margrove miałby przyjeżdżać tu w święta? Miał swoją rodzinę.

– No właśnie – potaknęła. – Był wówczas żonaty z Helen – powiedziała, przypominając sobie kobietę, która pomagała w jej wychowaniu. – To była jego druga żona. Była... była super, ale nie cierpiała tego, że trwonił pieniądze na hazard i że miał inne kobiety na boku. Ale nie wiem, dlaczego tu przyjechał. Może na drinka, może ze względu na Jonasa, bo on zawsze miał problemy z prawem, wikłał się w bójki.

– Także w tę z Donnerem?

Dotarli do domu, Kara się zatrzymała, spojrzała na ciężkie dwuskrzydłowe drzwi, próbując znaleźć w sobie siłę, by przez nie przejść.

– To była poważna sprawa – przyznała. – Tak poważna, że Walter Robinson groził, że złoży pozew i będzie domagał się odebrania mamie praw do dzieci, chociaż byli już prawie dorośli. Być może tylko blefował, żeby się na niej odegrać i narobić jej kłopotów. Niemniej mama wychodziła z siebie.

– To wszystko wypłynęło na procesie – potwierdził Tate. – Jonas zagroził Donnerowi, powiedział, że go zabije. Tak zeznałaś.

– Tak, pamiętam. – W głowie jej się mieszało, kłótnie, które słyszała zza drzwi swojego pokoju, zlewały się w jedno. – Wiem. Usłyszałam to, będąc w swoim pokoju. Nie byłam na dole. – Zastanowiła się, od wewnątrz ogarniał ją chłód. – Ale, ale to nie wszystko. Po cichu wyszłam na korytarz – wyznała, rozmazane wspomnienia odrobinę się uleżały, ale wciąż nie wszystko było wyraźne. – Podeszłam do barierki nad foyer, Marlie też tam już była, patrzyła z góry na pokój na dole.

Wspomnienie, wciąż niekompletne, zaczęło do niej wracać.

– Wydaje mi się, że był tam jej ojciec. – Pamiętała, że wsadziła nos między tralki i patrzyła na dół. Widok trochę zasłaniał żyrandol, ale widziała pobladłą twarz mamy, która z oburzeniem patrzyła na swojego byłego męża.

– Nawet tak nie mów – rzuciła mama ze stężoną w gniewie twarzą. – Dzieci zostają ze mną. Tak się umówiliśmy, Walter, nie możesz wycofać się z umowy. To bzdury i ty o tym wiesz. Dzieci są za duże na coś takiego! Ale to nie ma znaczenia. Proszę bardzo. Uwierz mi, że pójdę do sądu, jeśli będziesz mnie nachodził, a stać mnie na najlepszych prawników.

– To niebezpieczne – zaoponował Walter, trzymał się prosto jak w wojsku, twarz miał zaczerwienioną, obnażył zęby. Wycelował palec w tatę i warknął: – Twój syn próbował zabić mojego.

Tata uniósł obie ręce.

– Och, przestań, Walt. To tylko nastolatki sprzeczące się o dziewczynę. Ty i ja też tacy byliśmy.

Walter zmrużył oczy.

– Byliśmy, Sam – powiedział i znowu spojrzał na mamę. – Byliśmy.

Mama oblała się rumieńcem i syknęła:

– Wynocha, Walter. Wynoś się z mojego domu, bo wezwę policję.

– Ach, tak? – Nie zrobiło to na nim wrażenia. – Wzywaj. Będą mogli zaaresztować jego chłopaka. – Wskazał brodą tatę. – To on jest problemem, Zeld. Dużym problemem. – Wycelował palec w tatę, jakby mierzył do niego z pistoletu. – Trzymaj swojego dzieciaka z dala od mojego syna.

– Albo?

– Albo pożałujesz. – Następnie wyszedł, trzaskając drzwiami z taką siłą, że zadrżał cały dom.

Kara wcześniej nie pamiętała szczegółów, ale kiedy Margrove zadawał jej pytania w sądzie, odpowiedziała, że pamięta, jak Walter kłócił się mamą i tatą, bo bał się o Donnera.

Prokurator przekręcił jej wypowiedź i sprawił, że zabrzmiała tak, jakby to Jonas był powodem złości Waltera i że jego groźby nie miały podstaw.

Marlie zobaczyła Karę kątem oka.

– Wracaj do pokoju, Misiaczk – poprosiła i zaprowadziła siostrzyczkę przez korytarz.

– Ale twój tata jest niedobry.

Marlie się pochyliła i pokręciła głową. Była blada, drżały jej usta.

– Dorośli wkurzają się jak małe dzieci.

Nigdy nie wypowiedziano mądrzejszych słów, pomyślała teraz Kara. Weszła po dwóch schodkach na taras i wspominając przeszłość, wyjaśniła Tate'owi:

– Walter wyszedł, ale Silas Dean, który był partnerem taty, też tam był. – Przełknęła ślinę. – Silas i tata wrzeszczeli na siebie w małym pokoju. Słyszałam ich z salonu – dorzuciła, przypominając sobie, jak partner Samuela wypadł stamtąd i odwrócił się na pięcie koło stojącego przy schodach zegara.

– Przysięgam, McIntyre. To jeszcze nie koniec. To, co zrobiłeś, mogło mnie zrujnować.

– To tylko zła inwestycja – powiedział tata, ale był rozgniewany, wzrokiem przewiercał mężczyznę. – Już koniec.

– Niemal mnie pogrążyła! – Dean był czerwony na twarzy, dosłownie pryskał śliną. – Pozwę cię i... odpłacę ci, Sam. Przysięgam, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię, upomnę się o swoje. Miej się na baczności, McIntyre.

– Odpuść, Silas. Już po wszystkim.

– Straciliśmy tysiące. *Moje* tysiące.

– Stara historia.

– Pojechało cię, McIntyre. Wiedziałeś, jak to się skończy, i pożałujesz. Zadbam o to – zagroził Silas.

Zadrżała na to wspomnienie, pomasaowała czoło, które wciąż było obolałe, zmusiła się do większego skupienia, by dotrzeć do rzeczy zakopanych głęboko w podświadomości.

– Chodziło o interesy taty, jakieś problemy z byłym partnerem, groźbę pozwu. – Zatrzęsła się. – Silas Dean był naprawdę wkurzony, gdy wychodził, słyszałam, jak przywalił w drzewo i widziałam wgnieciony zderzak. Ale... zapomniałam.

Tak jak wiele innych rzeczy.

– Czy Margrove mógł się zjawić, bo Dean groził twojemu ojcu?

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko jest możliwe. – I to była prawda. Zdobywszy się na odwagę, złapała klamkę, próbowała otworzyć drzwi. Były zamknięte na głucho.

– Nie sądziłaś chyba, że to będzie takie łatwe, co nie? – zapytał Tate.

– Nie, ale warto spróbować.

– Odsuń się. – Odstawił plecak na zakurzoną podłogę z desek, rozpiął go i wyjął dwie małe latarki. – Trzymaj. – Podał jej jedną z nich, po czym ponownie zajrzał do plecaka i wyjął małe,

czarne etui. – Świeć na zamek. – Zrobiła, o co ją prosił. Tate zdjął jedną rękawiczkę i trzymając latarkę w zębach, otworzył pudełko z wytrychami. – Przy okazji – powiedział, majstrując przy zamku, który po chwili kliknął – nie uważam tego za włamanie ani nieuprawnione wejście, skoro jesteś właścicielką tego miejsca.

– Super. To mnie niezwykle uspokaja – odparła z sarkazmem, podczas gdy on odłożył wytrychy i założył rękawiczkę.

Drżała, ale pchnęła drzwi, po czym wkroczyła w swoją przeszłość.

W środku poświeciła LED-ową latarką w górę imponującej klatki schodowej, omiotła szerokie schody na dole, półpiętro oraz barierkę zabezpieczającą na wyższym piętrze. Na odłożonej tapecie pojawił się cień rzucany przez tralki.

Ścisnęło ją w gardle.

Poczuła ciężar w piersi.

Przypomniała sobie, jak tamtej nocy schodziła po schodach przy dźwiękach Cichej nocy, kierując się w stronę mrugających światełek na choince.

Biegną wielce zadziwieni.

Zrobiło jej się zimno.

Za anielskim głosem pieni.

O Boże.

Jej wnętrzności wywróciły się na drugą stronę.

Zerkając na otwarte drzwi za swoimi plecami, pomyślała, że wybiegnie na zewnątrz, odetchnie świeżym powietrzem, umknie przed horrorem przeszłości. Po co tu przyjechała? Czy naprawdę sądziła, że uda jej się otworzyć podświadomość i pojawi się jakieś od dawna spychane wspomnienie, że uda jej się zmienić to, co się już stało?

Przeszłość była przeszłością.

Martwi już nie żyli.

Niczego nie mogła zmienić.

Stojący obok Tate omiatał światłem latarki zniszczoną podłogę foyer i salonu.

Kara powiodła wzrokiem po kwiatowym wzorze spłowiałego dywanu. Krew została wyczyszczona, podobnie w foyer i na schodach, ale widziała miejsca, gdzie wzór był mniej wyraźny i wyobraźnia podpowiedziała jej wygląd pokoju w przeszłości, migoczące światełka, zapadającą w pamięć muzykę, groteskowe, zakrwawione ciała jej braci, krew.

Gdzie się spełnił cud!

Gdzie się spełnił cud!

Zrobiło jej się niedobrze, wybiegła na zewnątrz, zbiegła ze schodków i zgięła się wpół. Zwymiotowała, oczy zaszyły jej łzami, wyrzuciła z siebie wszystko, co zjadła tego dnia.

– O Jezu. – Zamrugła i zobaczyła, że Tate stoi tuż obok.

– Naprawdę nie musimy tego robić.

– Wiem! – warknęła, plując, bo miała okropny smak w ustach, jej nos wypełnił się kwaśnym zapachem żółci. – Cały czas to powtarzasz, ale nie masz racji. – Splunęła jeszcze kilka razy. Pomóż mi, pomodliła się w duchu, po czym wyprostowała się, odetchnęła i posłała mu niechętnie spojrzenie. – Zapomnij, co widziałeś, i chodźmy. – Zebrawszy się na odwagę, weszła na ganek po dwóch schodkach.

Dzisiaj skonfrontuje się ze swoim lękiem.

Dzisiaj rozprawi się z przeszłością.

Dzisiaj, nieważne, jak to się stanie, ostatecznie i na zawsze pozbędzie się duchów przeszłości.

Kroki?

Głosy?

Jonas zamarł bez ruchu w ciemności strychu wielkiego domu nad jeziorem. Ręką w rękawicze sięgał właśnie w głąb starego sprzętu chyba jeszcze z 1963 roku. Był to podłużny, niezniszczalny mebel, który kiedyś służył nie tylko jako szafka pod telewizor z wypukłym ekranem, lecz także mieścił stereo z głęboko osadzonym talerzem obrotowym gramofonu i przegródkami na płyty. Nadal stało tam kilka zakurzonych płyt winylowych. Ten mebel należał do jego babci, miał obłe kształty i głośniki schowane za panelami pokrytymi cienką, złotą tkaniną. Okazał się doskonałą

skrytką.

Należało jedynie otworzyć pokrywę, sięgnąć do środka i odsunąć zamek, który zabezpieczał gramofon. Następnie gramofon unosił się na dużej sprężynie i wtedy można było położyć na nim płytę. Pod spodem zostawała pusta przestrzeń, ukryta nisza, gdzie dwadzieścia lat wcześniej schował grubą, brązową kopertę. Podejrzał, że już dawno zniknęła, odkryła ją policja po masakrze lub potem wandalę i squatterzy. Ale miał szczęście. Koperta w podobnym kolorze co okleina mebla nadal leżała schowana pod gramofonem.

To był powód do radości.

Alleluja! Alleluja, do cholery!

Ale gdy ją otworzył, żeby popatrzeć na dwadzieścia tysięcy dolarów w nowiutkich studolarnych banknotach, usłyszał kliknięcie zamka, skrzywienie drzwi, a następnie kroki i ciche głosy.

Cholera, cholera, cholera!

Nie wierzył w to.

Kto to mógł być?

I po co tu przyszedł?

Co za pech!

Co za pieprzony pech!

Jedyna droga ze strychu prowadziła przez wąską klatkę schodową i wychodziła na korytarz na piętrze. Miał dość przytomności umysłu, żeby zamknąć za sobą drzwi, ale teraz znalazł się w postrzasku. Zerknął w górę na okno znajdujące się na wysokości krokwi dachowych, gdzie dostrzegł oznaki bytowania sowy, białe odchody splamiły belki, a na podłodze leżały wypluwki. Okno było uchylone i gdyby udało mu się je otworzyć szerzej, mógłby się przez nie prześlizgnąć i... co? Spaść dwa piętra w dół? Czy pół metra śniegu, który zebrał się wokół domu, ochroni go przed złamaniem?

Wątpił.

Głosy stały się głośniejsze.

Szlag!

Wyteżył słuch, żeby podsłuchać, o czym mówią. Zastanawiał się, czy nie wymknąć się ze strychu i nie ukryć w którejś z sypialni na piętrze. Ze starego pokoju Kary na końcu korytarza mógłby opuścić się na dach ganku za domem, zsunąć się po nim i zeskoczyć na ziemię. Wówczas udałoby mu się uciec.

W przeciwnym razie go nakryją.

W przeciwnym razie...

Skrzyyyyp!

To jakaś deska, gdzieś w pobliżu.

Nie dwa piętra niżej.

Tu na strychu.

Ale to niemożliwe.

Jego krew zmieniła się w lód.

Oddychał płytko. Nasłuchiwał.

Nic poza gwałtownym biciem jego serca.

Zwolnij. Odbija ci. Byłeś już w gorszych sytuacjach. Pamiętasz Banhoff? Pozostałych więźniów? Strażników? Bójki? Weź się w garść, McIntyre, kurwa mać, nie panikuj.

Chciał się pomodlić, ale uznał, że przyjdzie na to czas później. Teraz miał problem, który należało rozwiązać i...

Cholera!

Czy poczuł ruch powietrza?

Sowa. Zerknął w górę, spodziewając się, że zobaczy szeroko rozłożone skrzydła ptaka, ale nie było tam żadnego zwierzęcia.

To jego wyobraźnia.

Nie, chwila!

Czyżby poczuł coś innego niż kurz i odchody?

Znajomy zapach ludzkiego potu? Kwaśny. Znajdujący się blisko. Pomyślał o więzieniu i smrodzie ćwiczących mężczyzn i znajomym zapachu ludzi napędzanych adrenaliną i strachem.

Napiął wszystkie mięśnie.

W tyle gardła poczuł kwaśny smak, sięgnął po nóż schowany pod kurtką, długie ostrze, które wyniósł z kuchni Mii Long.

Bezszelестnie zaczął się odwracać, kątem oka dostrzegł w ciemności błysk metalu.

Cholera.

Przyspieszył obrót. Uniósł broń.

Za późno!

Duża ręka w rękawiczce opadła na jego usta i wykręciła mu głowę.

Dziko wymachiwał nożem, ale nie mógł trafić.

Kimkolwiek był ten sukinsyn, trzymał go mocno.

Jonas walczył. Kopał. Próbował krzyczeć.

Nadal dźgał powietrze.

Nie, nie, nie! To się nie dzieje.

– Powinieneś być zostać w więzieniu, gdzie jest twoje miejsce – wyszeptał mu do ucha głos, zimny i przepełniony złością. Czuł gorący oddech na skórze.

Ogarnęło go przerażenie. Kto to?

– To za mojego syna! – wyszczał głos.

Koło oka błysnął mu nóż.

Cholera!!!

Nie!

Jonas poczuł czubek noża wbijający się w skórę pod szczęką.

– Nie – próbował krzyczeć, bezskutecznie starał się wyrwać.

Nóż poruszył się szybko po szyi. W jednej chwili było po Jonasie McIntyrze.

ROZDZIAŁ 34

Żołądek Kary jeszcze się nie uspokoił, nerwy miała napięte, gdy wraz z Tate'em poruszała się po ponurym domu. W środku było zimno, z otwartego schowka koło kominka wiał wiatr, pojemnik, w którym kiedyś ojciec trzymał drewno, teraz był pusty, zasuwka najwyraźniej już poddała się działaniu czasu.

– Zróbmy to i miejmy z głowy – zarządziła, obchodząc wkoło salon i wchodząc do jadalni. Pokój, w którym jej rodzina zbierała się podczas posiłków, pozwalając chłopcom na poszturchiwanie i śmiech, był teraz pusty i ciemny.

Kara pamiętała rodzinę siedzącą wokół stołu, dzwonienie sztućców, grające w tle kolędy, głęboki śmiech ojca, uśmiech mamy nad kieliszkiem szampana, który lśnił w przygaszonych światłach i blasku świec. Zapachy pieczonego indyka i szynki, cynamonu i kakao, które zawsze towarzyszyły im podczas zimowych wyjazdów w góry. Aż do tamtego wieczoru.

Łzy zapiekły ją w oczy, gdy spojrzała na długi stół, na którym kiedyś stały półmiski z kuku rydzą, fasolą szparagową, ziemniakami, sosem, indykiem, pieczoną wołowiną, szynką, dziczyzną, gdzie stały koszyczki z chlebem i miski z owocami. Gdzie panował radosny nastrój.

Teraz stół był wypaczony i zakurzony, leżały na nim padłe muchy, ćmy i inne owady. Z żyrandola zwisały pajęczyny, a kredens, dawno opróżniony ze świątecznej zastawy i sreber, był brudny, szklane szybki popękały, w tylnych panelach były powygryzane dziury, w jednym kącie leżało gniazdo wiewiórki lub szczura.

Czuła mrowienie na skórze, gdy weszła do kuchni. Ona też była obdarta do gołych ścian. Na magnetycznym pasku nad kuchenką z ośmioma palnikami nie wisały noże, za drzwiami kredensu zwisającymi krzywo na zepsutych zawiasach nie stały garnki ani patelnie, podłoga wyłożona czarnymi i białymi kafkami lepiła się od brudu. Kara wyszła na korytarz ciągnący się za schodami, prowadzący do pokoju taty.

Było tam pusto, wielkie biurko zniknęło, nie było na co patrzeć. Przeszła przez przeszklone drzwi i znowu znalazła się w foyer i ponownie spojrzała na salon.

– Słyszałam muzykę – powiedziała, bo zewsząd atakowały ją wspomnienia, które od dwudziestu lat czekały w ukryciu. – Zajrzałam do wszystkich sypialni. Ta Jonasa była w opłakanym stanie. Wisały tam stare trofea myśliwskie, głowa jelenia i orzeł, ale... on miał odciętą głowę, a w środku wyglądało tak, jakby przeszło tam tornado.

– Lub ktoś z mieczem narobił szkód? Ktoś, kto stracił rozum, bo zawładnął nim gniew?

– Tak – odpowiedziała potulnie, jakby znowu miała siedem lat. – Ktoś, kto przestał się kontrolować i... – Oblizwała usta. – Był żądny krwi. – W tym momencie znowu stała się dziewczynką idącą boso po chodniku, czującą lepką wilgoć wzdłuż barierki. – Wiedziałam, że coś jest nie tak, bardzo nie tak.

Przed oczami stanął jej salon, w stanie, w jakim widziała go wtedy.

– Widziałam ich – powiedziała szeptem. – Trzech chłopców. I... i całą tę krew. – Jej głos stał się chropowaty, na zewnątrz zajączkał wiatr. Nad ich głowami zatrzeszczały deski, stary dom osiadał lub protestował przeciwko ich najściu. – Sądziłam, że wszyscy nie żyją – ciągnęła. – A potem Jonas niczym zmartwychwstały uniósł się na łokciu i wykrztusił, żebym wezwała pomoc. Żebym uciekała. – Ruszyła do salonu, widziała go takim, jaki był wtedy, z powaloną choinką, żarzącym się kominkiem, połamaną półką nad nim i z mnóstwem krwi. Było tu tyle krwi. – „Uciekaj”, krzyczał – wyszeptała i spojrzała na drzwi. – W drzwiach stał ktoś potężny, niczym potwór, miał maskę na twarzy. Uciekałam, o Boże, przebiegłam przez salon, kuchnię i wypadłam na dwór tylnymi drzwiami. – Zrobiła dwa kroki, ale poczuła dotyk Tate'a na łokciu, więc zatrzymała się z dłonią na klamce.

– Nie musisz tam iść – przypomniał Tate, ale ona się wyrwała, już nie była dzieckiem, lecz znowu kobietą, rozglądającą się po starym domu, w którym zamordowano tak wiele osób, które kochała. Poczowała łzy na twarzy i zanim zorientowała się, co się dzieje, Tate wziął ją w ramiona. – Skończmy z tym. Natychmiast. To zły pomysł.

Przyłgnęła do niego, cała drżała, kolana się pod nią uginały, utrzymywała się w pionie tylko dzięki jego ramionom. Wahała się pomiędzy pragnieniem pozostania a chęcią ucieczki, zamknięcia za sobą drzwi i odejścia stąd raz na zawsze.

– Już dobrze.

– Nie jest dobrze, Wes. Ty o tym wiesz i ja wiem. Nigdy nie będzie dobrze. Nigdy.

– Mamy go! – wykrzyknęła Johnson, wchodząc do biura Thomasa. Położyła na biurku kilka fotografii dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Przedstawiały różne ujęcia ludzi tłoczących się koło szpitala, gdy Jonas był pacjentem Whimstick General.

– Szybka jesteś.

– Koleś z działu technicznego pomógł mi z programem rozpoznającym twarze, więc udało nam się porównać wszystkich, którzy byli związani z dawną sprawą, z ludźmi sprzed szpitala. Okazało się to dość łatwe. – Była dumna z siebie. – Ściągnęłam dużo zdjęć z Internetu, z facebookowego fanpage’a, gdzie pojawia się dużo wielbicieli Jonasa, jeśli tak można ich nazwać. Jego fani zamieścili tam selfie i zdjęcia zrobione tamtego wieczoru. To dlatego mam tak wiele różnych ujęć i perspektyw. Patrz.

Thomas pochylił się nad nimi, a Johnson wyjaśniała:

– Chodzi o to, znajdowało się tam kilku naszych podejrzanych. – Przesunęła zdjęcia po blacie. – Zaczniemy od drogiej „cioci Fai”. – Wskazała Faizę Donner, która stała daleko od Rogera Sweeneya, rozdzielało ich morze ludzi, więc wydawało im się, że Faiza nie wiedziała, że Sweeney tam jest, a on też nie wiedział o jej obecności.

– A teraz patrz tutaj. – Na fotografii zobaczył ponownie Brittlynn Atwater, rozpoznał też Sheilę Keegan, która trzymała mikrofon, stojąc koło Mii Long. – W tym miejscu. – Johnson dotknęła innego wydruku, z mężczyzną w czapce z daszkiem, który stał pod drzewem i patrzył na kobietę w długim płaszczu, przypominającą Marlie Robinson. Na tym zdjęciu, zrobionym z przeciwnej strony niż to pierwsze, facet nadal trzymał się z dala od tłumu, ale teraz znajdował się przed drzewem, więc widać było jego twarz.

Walter Robinson.

Patrzył na kobietę, która była sobowtórem jego zaginionej córki.

I ani trochę nie był zaskoczony.

– Co, do cholery, tam robił? – zapytał Thomas, w jego głowie obracały się trybiki. Walter Robinson? Po co dołączył do tłumu kibicującemu Jonasowi McIntyre’owi i gapił się na swoją córkę lub jej sobowtóra?

– Sprawdź, co ma na czapce.

Pokazała mu powiększony wydruk twarzy i czapki Waltera. Nie była to bejsbolówka, jak sądził, lecz czapka z logo piechoty morskiej.

– Nie „przytrafi”, tylko „semper fi” – powiedział na głos.

Johnson potaknęła i uśmiechnęła się z goryczą, podczas gdy on odsunął krzesło i sięgnął po kurtkę.

– Semper fi. Walter był w korpusie piechoty.

– Podobnie jak Edmund Tate. Zakładam, że się znali, a Tate rozpoznał, że to Walter ściga Karę.

– Sądziłem, że napastnik był zamaskowany.

– Mógł zdjąć maskę, gdy ruszył w pościg. – W jego wyobraźni rozegrała się scena, przerażona siedmiolatka ucieka przez las. Potężny mężczyzna biegnie za nią. Policjant na ganku słyszy krzyki i rozpoznaje napastnika. – Tate nie gonił Kary. – Thomas włożył broń do kabury na pasku. – To był Walter.

– Tate po prostu włączył się w pościg, przebiegł przez swoje podwórko i wbiegł na łód – uzupełniła Johnson.

– A co stało się z Walterem? Dlaczego się wycofał? Bo zobaczył Tate’a? – zapytał na głos Thomas, układał to sobie w głowie.

– Możliwe. Albo po prostu chciał stamtąd spadać. Być może uznał, że najlepiej znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, zanim ktoś się zjawi.

– Zadzwoń na posterunek w Seaside – poprosił Thomas. W tym momencie włączył się stary piec w komisariacie. – Niech mają oko na Robinsona, dopóki nie dostaniemy nakazu.

– Jasne – odparła Johnson, lekko zmrużyła oczy z zadowolenia. – Mój były szwagier jest tam policjantem. Mamy dobre układy. Jest blisko z moim synem. Już do niego napisałam. Ma mi dać znać, gdzie podziewa się ten sukinsyn.

Thomas powinien czuć podniecenie i skok adrenaliny, które zawsze pojawiały się przed aresztowaniem i zamknięciem sprawy, ale coś mu tu nie pasowało. Walter Robinson na pewno był zamieszany, ale niektóre rzeczy nie miały sensu.

Dlaczego miałyby pojawiać się w domu McIntyre'ów w Wigilię i zabić całą rodzinę, łącznie z własnym synem?

Co się stało z jego córką Marlie, która według Brittllynn Atwater miała tej nocy uciec z Chadem?

Gdzie, do licha, podziewał się Chad Atwater? Dlaczego uciekł?

– Coś tu śmierdzi – zauważył.

– W jakim sensie? Mamy go!

– Może.

Johnson obejrzała się przez ramię, podczas gdy Thomas zaczął uderzać w klawisze komputera. Ponownie otworzył akta Waltera Robinsona, ale czuł niepokój, czytając informacje, miał wrażenie, że kręci się w miejscu.

Musiał się ruszyć, wyjść z biura. Coś zrobić. Tak jak Johnson.

Ale nie mógł sobie pozwolić na aresztowanie nie tego człowieka.

Przeczytał zgromadzone informacje. Robinson wciąż mieszkał w Seaside, gdzie pracował jako elektryk. Miał własną działalność. Służył w piechocie morskiej, gdzie był medykiem, a po zwolnieniu ze służby poślubił Zeldę Donner. Mieli dwoje dzieci, chłopca o imieniu Donner, nazwanego na cześć rodziny Zeldy, i córkę, Marlie. Zelda i Walter wzięli rozwód i Zeldę, która była już w ciąży z Karą, poślubiła Samuela McIntyre'a, który też już był ojcem dwóch synów, swojego imiennika Sama i Jonasa, wielkiej niewiadomej.

Nigdy jednak nie miał żadnych problemów z prawem. Nie miał nic na koncie oprócz mandatów za parkowanie i grzywny za kłusownictwo – poza sezonem polował na jelenie.

– To nasz poszukiwany! – upierała się Johnson.

– Tak, ale coś mi się tu nie trzyma kupy.

– Sprowadzimy go na przesłuchanie, trochę go postraszymy, damy mu szansę opowiedzenia swojej historii od początku. Przekonamy się, co ma do powiedzenia.

– Sprawdźmy, co znajdziemy u niego w domu, a potem wystąpimy o nakaz aresztowania.

Byli blisko, ale duża część tej sprawy nie miała sensu. Przyjrzał się zdjęciom przyniesionym przez Johnson, tłumowi, Walterowi Robinsonowi i dziewczynie, która mogła być jego córką. Gdzie, do cholery, się podziewała?

– Dobrze. Zadzwoń na komisariat w Seaside – oświadczyła Johnson i wyszła, on tymczasem patrzył na nagranie, na którym Walter Robinson przed kamerami telewizyjnymi prosił o informacje na temat swojej zaginionej córki. Wyglądał na wstrząśniętego, ale przecież właśnie stracił syna. Czy tylko grał? Czy był zimnym jak kamień zabójcą, który dobrze się maskował? Thomas podniósł ołówek i postukał końcówką z gumką w biurko. Coś mu umykało, coś ważnego, ale co?

Rozdzwoniła się jego komórka, przerwała mu tok myślenia.

– Cole Thomas – przyjął połączenie.

– Tak... tu, yy, Mia Long. Spotkaliśmy się w szpitalu.

– Pamiętam.

– Ja, yy, Boże – zawahała się. – Wydaje mi się, yy...

– Czy coś się stało? – Czekał w napięciu.

– Nie wiem – odparła, była spięta. – To znaczy chyba nie powinnam z tym dzwonić, ale Jonas... zabrał mój samochód. Nie chodzi o to, że go ukradł. Pożyczyłam mu go, a on odjechał kilka godzin temu i nie odbiera ani nie odpowiada na wiadomości... O cholera. Martwię się.

– Sądzi pani, że coś mu się stało? – Przynajmniej wreszcie wiedzieli, gdzie był.

– Nie wiem. Ale dopiero co wyszedł ze szpitala i dawno nie prowadził samochodu, więc...

Och, zapomnijmy o tym. Niech pan zapomni, że dzwoniłam. To był błąd. Przepraszam. Nic mu nie jest. Wszystko w porządku! – Rozłączyła się, a kiedy próbował oddzwonić, nie odbierała.

Kilka sekund później otworzył dane, które podała podczas wyrabiania prawa jazdy, i znalazł

markę, model i numer rejestracyjny jej samochodu, po czym wystosował komunikat do wszystkich jednostek, żeby rozglądali się za jej piętnastoletnią hondą accord. Następnie zabrał kurtkę i broń. Szukał powodu, by wstać i wyjść, a telefon od Mii Long wydawał się doskonałym pretekstem; jej mieszkanie natomiast wydawało się doskonałym miejscem na początek. Dopóki nie dostaną informacji z komisariatu w Seaside.

Kiedy podszedł do biurka Johnson, jego partnerka rozmawiała przez telefon i wpatrywała się w ekran komputera. Musiała słyszeć, że się zbliża, ponieważ podniosła rękę i słuchała swojego rozmówcy, podczas gdy on przestępował z nogi na nogę.

– Tak, dzięki – rzuciła, pokiwała głową i zerknęła przez ramię. – Powiedz, co zastałeś, jak wejdiesz do środka. – Rozłączyła się i odwróciła na obrotowym krześle. – To ten mój były szwagier – wyjaśniła. – Waltera Robinsona nie ma w domu i nie odbiera telefonu, a jedyny zarejestrowany na niego to numer jego firmy: Robinson Electric. To dziwne, bo ten telefon to jego narzędzie pracy, dzwonią na niego klienci. Poczta głosowa jest pełna. Wejdą do środka. Obserwują jego dom na podstawie prawdopodobnego motywu. – Już miał o coś zapytać, kiedy dodała: – Nie ma czasu na nakaz.

– Oby tylko nie spieprzyli oskarżenia.

– Nie spieprzą. – Spojrzała na jego kurtkę. – Wybierasz się gdzieś?

– Do Mii Long, po drodze mam zamiar zadzwonić do Alex Rousseau.

– Ponieważ?

– Był tam Jonas McIntyre.

– Czekaj. – Wypuściła powietrze z płuc. – Niech zgadnę. Znowu zaginął.

– Tak, ale tym razem zabrał samochód Mii Long. Już wystosowałem informację do patroli.

Kara zadrżała, gdy weszła do sypialni rodziców i usłyszała wiatr uderzający w szyby. Pusty stelaż łóżka zepchnięto pod ścianę. Przez pęknięcie w oknie do środka wpadała woda, ciekła po ścianie, przez co odchodziła z niej farba, a podłoga się wypaczyła.

To tutaj znaleźiono mamę i tatę, oboje leżeli w łóżku, oboje nie żyli. Ten, kto ich zabił, musiał działać szybko, poderżnął im gardła i nie napotkał oporu. Na szczęście. Miała cichą nadzieję, że pigułki nasenne, które zażyli, były na tyle silne, że pozbawiły ich czucia i nie mieli świadomości, że zostali zaatakowani i zabici.

Znowu buntował się jej żołądek.

Chciała biec, uciekać jak najdalej od tego starego domu z jego sekretami i horrorami. Zamiast tego oparła się o framugę drzwi i powiedziała do Tate'a:

– To nie działa. – Przypomniała sobie kilka nowych fragmentów, migawek wspomnień, ale to, co pojawiło się przed oczami jej wyobraźni, to, co na zawsze wypaliło się w jej pamięci, to zmarli. Myślała o nich jako o *swoich* zmarłych. Rodzinie, którą utraciła.

Nie, nie utraciła.

Rodzinie, która brutalnie została jej odebrana.

Tate położył dłoń na jej ramieniu.

– Jeśli chcesz...

– Przestań! Nie powtarzaj tego, Tate. Nawet o tym nie myśl. Nie chcę stąd iść, tak samo jak nie chcę tu być, ale uporajmy się z tym.

– Będę podążał twoim śladem.

– Dobrze – rzuciła ze złością. Miał rację. W drodze postanowili, że się włamią i odtworzą wydarzenia z nocy, gdy doszło do ataku. Jeśli Kara to przetrzyma, przeżyje na nowo potworne wydarzenia i o nich opowie, zrelacjonuje mu, co zapamiętała, co czuła, co odbierała zmysłami. – Daj mi chwilę.

– Okej.

Kara zamknęła oczy, była zdeterminowana, żeby dokonać przełomu, żeby przypomnieć sobie wszystko.

A jeśli jej się uda, to co wtedy?

Wysunęła szczękę i wyrwała się z objęć Tate'a.

– No już.

Nie chciała, żeby cokolwiek ją rozpraszało, ani skrzywienie osiadającego domu, ani wzmagający się wiatr, ani stukanie okien, ani bicie własnego serca i dudnienie pulsu w mózgu, ostrzega-

jące, że za bardzo zbliża się do jeszcze większego horroru, że z każdym krokiem przybliża się do niebezpieczeństwa.

Poszła do swojej sypialni i poświeciła latarką na sufit i na przeciwległą ścianę.

– Tutaj to się zaczęło dla mnie. – Miała sucho w ustach. Jej łóżko zostało pozbawione pościeli, materac chyba eksplodował, przez rozerwaną powłokę wypadał wypełniacz, ale nadal stało w tym samym miejscu, przy ścianie, zagłówek pod oknem, przez które nocą patrzyła na gwiazdy. Łóżko Marlie zostało przepchnięte na drugi koniec pokoju, stało przed szafą, materac był nieknięty, ale poplamiony i miał brudnoszary kolor.

Przypomniała sobie Marlie, desperację w jej tonie.

– Siostra kazała mi być cicho – powiedziała na głos. – Chyba mnie obudziła, nie chciałam wstawać, ale nalegała. Wyczuwałam, że coś się dzieje, coś dziwnego, bo zwykle była flejtuchem, a jej łóżko zostało posłane i leżały na nim złożone ubrania. To nie było podobne do niej. Nie chciałam iść, ale pozwoliłam zaprowadzić się na górę.

Kara poszła tą samą drogą, którą przemierzyły lata temu, na koniec korytarza, gdzie na zawiasach zwisały drzwi prowadzące na strych.

Strach zmaćił jej krew, ale jej nie zatrzymał. Odchrząknęła. Zignorowała przecucie, że coś ciemnego i złego kryje się w tych starych ścianach. Nie mogła już się wycofać. Nie chciała.

– Prowadziła mnie i uciszała, kazała być cicho.

Stanąła przed drzwiami zagradzającymi drogę na krzywe, wąskie schody wiodące na górę i przez chwilę miała pewność, że czuje obecność zła, jakby jej skórę musnął niewidzialny oddech niegodziwej bestii, przez co aż zjeżyły jej się włoski na karku.

Nie idź tam. Źle robisz. Wiesz, że źle.

Zacisnęła zęby, poświeciła sobie latarką i zaczęła wchodzić na górę, Tate trzymał się krok za nią.

Na strychu było kilka stopni zimniej niż w korytarzu, ostry wiatr przenikał przez wybite szyby jedyne okna. Przypomniała sobie tamtą noc, jak patrzyła na brudne szyby i zastanawiała się, kiedy przyjdzie Marlie. Zastanawiała się, czy siostra po nią wróci.

Zadrzała, a w gardle poczuła jakby kłęb waty.

Latarką podświetliła skośny sufit z rozbitą szybą w oknie, przez którą do środka wpadał wiatr. Najwyraźniej zamieszkała tu sowa, chociaż ptak ukrył się w cieniu. Znała ten zatęchły zapach dawno zapomnianych przedmiotów, jej wnętrzości się skurczyły na wspomnienie strachu i poczucia porzucenia.

– Zaprowadziła mnie tutaj i powiedziała, że to po to, bym była bezpieczna. Żebyśmy byli bezpieczni – wydusiła z siebie i skierowała promień latarki w dół, na stłoczone poniżej graty. Latarka Tate'a również oświetlała zapomniane fragmenty toczącego się tutaj życia. Stosy mebli i kartonów, stare płyty winylowe, taśmy, zrolowane dywany, wszystko pokryte pajęczynami i kurzem.

Czyżby coś usłyszała – jakieś mruczenie oprócz podmuchów wiatru, a może... a może tylko to sobie wyobraziła?

Nie stwarzaj kolejnych problemów. Po prostu spróbuj sobie przypomnieć i spadaj stąd. Spadaj jak najszybciej.

Trzęsąc się, zamknęła oczy i przypomniała sobie tę przerażającą noc.

– Miałam tu zostać. Marlie obiecała, że po mnie wróci, ale miałam dość czekania. Wydawało mi się, że minęło kilka godzin, ale pewnie to było jakieś piętnaście minut. Naprawdę nie wiem. Byłam mała. Powiedziała, że są tu źli ludzie, a może jedna zła osoba, nie pamiętam dokładnie, ale powiedziała kto, a potem mnie tu zamknęła. Zamknęła na klucz! Wyobrażasz sobie, jak można coś takiego zrobić siedmioletniemu dziecku? – Pokręciła głową, wciąż miała zamknięte oczy. – Byłam spanikowana, chciałam stąd uciec. Dosłownie odchodziłam od zmysłów. A potem usłyszałam krzyk. Krzyk mrozący krew w żyłach.

Jej serce się zacisnęło, niemal ugięły się pod nią kolana. Znowu czuła ten strach i panikę, gdy próbowała uciec ze swojego więzienia na strychu.

– Musiałam się stąd wydostać. Musiałam. – Zadrzała, nie ze względu na niską temperaturę, lecz z powodu wspomnień, które przetaczały się przez jej mózg. – Trochę to zajęło, ale byłam zderminowana, w końcu zamek ustąpił, drzwi się otworzyły i mogłam wyjść. Byłam wolna. – Wspomnienia się rozpląnęły, a ona znowu wróciła do rzeczywistości. Była z Tate'em na tym ohydym,

znieawidzonym strychu, otworzyła oczy, ciemność rozpraszało jedynie niebieskawe światło laterek. Ponownie wydało jej się, że coś słyszy, jakiś niepasujący tu dźwięk.

– Słyszysz to? – zapytała Tate'a, gdy przesuwiał snopem latarki po zakamarkach i szczelinach między kartonami, torbami i śmieciami ułożonymi w stosy.

– Co?

– Coś jakby wiruje lub...

W kieszeni zawibrował jej telefon, aż podskoczyła. Wyjęła go i na ekranie zobaczyła wiadomość z anonimowego numeru:

Uciekaj. Uciekaj natychmiast!

– Co, do cholery? – wyszeptała, jej oddech zmienił się w parę. Chciała odpisać. – Tate, to znowu się dzieje!

– Co?

Zanim zdołała odpowiedzieć i zapytać, kto jest nadawcą, na ekranie pojawiły się podskakujące kropki, które sygnalizowały, że ta druga osoba coś do niej pisze.

– Nie wiem, ale znowu dostałam wiadomość... O Boże. – Nowy tekst pojawił się na wyświetlaczu:

Wyjdź stąd! ON TU JEST!!!

– On tu jest? Kto? – powiedziała, strach ją paraliżował.

– Kto wie, że tu jesteś? – zapytał Tate.

– Oprócz ciebie? Nikt. Wiesz przecież.

– Napisano „tu”, jakby osoba, która się z tobą skontaktowała...

– Tu była – dokończyła za niego z przerażeniem. – W tym domu! – Lęk i strach załęgły się w jej wnętrzu, rozejrzała się po strychu, gdzie zamknięto ją wiele lat temu.

– I to nie sama – wyszeptał jej do ucha. – Chodźmy.

– Czy ktoś tu jest? Tu na górze? – zapytała, chwytając się ostatniej deski ratunku i rozpaczliwie oświetlała snopem światła z latarki stosy mebli sięgające belek stropowych oraz okolice podłogi, skąd dochodziło ciche brzęczenie.

– O Boże.

Promień światła padł na plamę na podłodze. Ciemnoczerwoną kałużę krzepnącego płynu. Krew. Rozchlaną na stare książki, pudła i okładki winyli – twarz Franka Sinatry spływała krwią, album Beatlesów pomazany był czerwienią.

Stłumiła krzyk i patrzyła z przerażeniem na starą konsolę z gramofonem.

– Nie... Och, nie, nie.

– Szlag. Zostań tutaj. – Tate podszedł bliżej, otworzył pokrywę mebla i głośno wciągnął powietrze przez zęby.

Światło latarki padło na czubek odciętej głowy wirującej powoli na starym gramofonie.

Kara też oświetliła konsolę. Przez cienki, porwany materiał zobaczyła obracającą się głowę z otwartymi oczami i ustami, i krwią wciąż widoczną na poszarzałej skórze Jonasa.

ROZDZIAŁ 35

Biegła!

Jak nigdy w ciągu dwudziestu lat.

Z dudniącym sercem, krwią szumiącą w uszach zbiegła ze strychu i wypadła na pierwsze piętro.

Oczyrna wyobraźni wciąż widziała powoli obracającą się głowę Jonasa, jego udręczone oczy pojawiały się w szparach w podartym materiale.

Poczuła skurcz żołądka.

Szybciej! Szybciej!

W dół po schodach i przez salon, gdzie znowu ujrzała ciała martwych braci leżące w gęstych kałużach własnej krwi, żarzący się ogień w kominku, strzelające i syczące polana dające ciepły, czerwony blask. Zegar szafkowy w holu głośno wybił kolejną godzinę, zagłuszając na chwilę grającą kolędę.

Bim, bam, bom.

Cicha noc, święta noc...

Obrazy i dźwięki związane z tą krwawą nocą nawiedzały jej umysł, potknęła się i z impetem wpadła do jadalni.

Bim! Bam! Bom!

Pokój niesie...

Bom!

...ludziom wszem...

Coraz głośniejsze, zagłuszając odgłos kroków biegnącego za nią człowieka, ścigającego ją!

– Kara! – usłyszała i przyspieszyła, znowu miała siedem lat, znowu wypadła tylnymi drzwiami, zbiegła ze stopni, panicznie przedzierała się przez śnieg z sercem w gardle i zalewając się łzami. Nie żyją! Wszyscy nie żyją!

– Mamo! – wyszeptała zmarzniętymi ustami. – Tatusiu. – Biegła pomiędzy drzewami, ślizgała się na śniegu, ale parła przed siebie.

– Kara! Zatrzymaj się!

Nigdy!

– Kocham cię, Misiaczkule... Przyjdę po ciebie. Obiecuję. – Wróciły do niej słowa Marlie i tak jak kiedyś zamrożone gałęzie chłostały ją po twarzy, a ona widziała pomiędzy drzewami duchy członków swojej rodziny, patrzyli na nią przez zasłonę ze śniegu, mieli poważne, białe oblicza. Wszyscy wołali ją po imieniu, przekrzykując wycie wiatru. – Kara! Kara!

Mama.

Tata.

Sam junior.

Donner.

A teraz Marlie, zniekształcona, lecz zerkająca zza szorstkiej kory jodły, na wpół ukryta za ośnieżonymi gałęziami.

O Boże. O Boże. O Boże!

Obejrzała się przez ramię. Przez gęstą, poruszającą się kurtynę śniegu ujrzała ścigającego ją mężczyznę. Był wysoki, widziała, jak się zbliża, twarz miał zasłoniętą, biegł w jej stronę. Nie mogła dać się złapać!

Napastnik, zabójca, niemal deptał jej po piętach, ten sam potężny mężczyzna, który tak brutalnie zamordował jej rodzinę.

– Kara! – przekrzykiwał burzę śnieżną. – Kara, stój!

Zamrugła.

Tate? To był Wesley Tate? To on na nią krzyczał?

Potknęła się. Coś w niej pękło. Jego głos był znajomy, bezpieczny.

Nogi miała jak z ołowiu, nadal brnęła przez śnieg, ledwie widziała jezioro pomiędzy drze-

wami i płatkami wirującymi w powietrzu. Co sobie myślała? Oczywiście, że za nią pobiegł. Jednak terażniejszość mieszała jej się z przeszłością, ostre, sprawiające ból odłamki wspomnień kroily jej umysł na kawałki.

To Wesley. Jest po twojej stronie. Zaufaj mu, Kara.

Zwolnwszy, odwróciła się, ciężko oddychała, spodziewała się, że...

– Biegnij! – krzyczał. – Kara, uciekaj!

Czy to głos Tate'a?

A może Jonasa? Kiedy podparł się na łokciu, żeby prosić ją o sprowadzenie pomocy. To stało się naprawdę, tak? Uciekała przed osobą, która zabiła mamę, tatę i braci...

Ten obraz w jej pamięci znowu rozpadł się na wiele kawałków.

O, Boże, Jonas! Przypomniała sobie, że jego głowa obracała się na gramofonie, odwróciła się, znowu zaczęła biec, ale uderzyła stopą w jakiś korzeń lub kamień ukryty pod warstwą śniegu. Poleciała do przodu na drzewo, próbowała się złapać, oblodzone jodłowe igły podrapały ją w twarz, gałęzie wyciągnęły ku niej swoje szpony, rozdzierały jej skórę.

– Biegnij!!! – krzyknął ktoś.

Głos Tate'a. Tak, Wesley Tate ją popędzał, znalazła podparcie dla nóg, ale po sekundzie znowu się poślizgnęła i zobaczyła, że się do niej zbliża.

Ale to nie był Tate.

Nie!

Mężczyzna, którego ujrzała, to był Walter Robinson, starszy, niż go zapamiętała, miał zapadniętą twarz, wąsy, zaciśnięte zęby, oczy mierzyły ją z niewypowiedzianym okrucieństwem. W jednej ręce odzianej w rękawiczkę trzymał pistolet, w drugiej nóż z zakrwawionym, wąskim ostrzem.

O Boże drogi.

– Kara! Uciekaj! – Głos Tate'a odbijał się echem od wzgórz.

Pozbierała się jakoś, ruszyła przed siebie, ale cały czas oglądała się przez ramię.

Goniło ją dwóch mężczyzn. Tate był bliżej, biegł zygzakiem, lecz Robinson szybko się zbliżał, był potężniejszy, dosłownie pędził pomiędzy drzewami i wirującym śniegiem, zmierzając prosto na nią.

Biegła, ale kątem oka zauważyła jakiś ruch, coś białego i niewyraźnego, jakiś duch biegł równoległe z nią, ukrywając się pomiędzy drzewami.

Zjawa odwróciła się i przez chwilę na nią patrzyła.

Marlie?

Kara zamrugwała.

Była tu jej dawno zaginiona siostra?

Nieemożliwe!

– Kara, ruchy! – Znowu głos Tate'a, Kara spojrzała za siebie.

Robinson podniósł pistolet.

Schowała się za drzewo, jakieś pnącza zahaczyły o jej kurtkę. W oddali ujrzała Zimne Jezioro.

– Stój! – rozkazał Robinson, zauważyła, że celuje.

Tate wyskoczył z lasu, w chwili gdy Walter nacisnął cyngiel.

Pif!

Ciało Tate'a uniosło się w powietrze.

Z głuchym hukiem upadł na śnieg.

– Neeeeee! – wrzasnęła Kara, zatrzymując się, bo Walter też przystanął.

Ruszył z pistoletem w jednej ręce, zakrwawionym nożem w drugiej i wycelował w nieruchome ciało Tate'a.

Kara zrobiła kilka kroków w jego stronę.

– Przestań! Nie rób tego! Na miłość boską...

Pif! Pif! Pif!

Trzy strzały jeden za drugim.

Z piersi Waltera trysnęła krew. Jego ciałem szarpnęło w tył. Spazmatycznie łykając powietrze i jęcząc, padł na kolana, palce wciąż zaciskał na broni, szeroko otwarte oczy wyrażały zasko-

czenie. Następnie przechylił się do przodu i uderzył twarzą w śnieg.

Kara odskoczyła, kolana się pod nią ugięły, zaczęła wrzeszczeć ile sił w płucach, jej wrzask odbijał się od zamrzniętej wody jeziora.

Pojawił się duch jej siostry, wyszedł z młodnika.

– Marlie – wyszeptła Kara, gdy zjawa okazała się prawdziwą, żywą kobietą na tle zamrzniętego lasu.

– Przepraszam, Misiaczkę – powiedziała, a Kara zastanawiała się, czy to wszystko było okropnym koszmarem, w którym przeszłość mieszała się z teraźniejszością, brutalność, której doświadczyła lata temu, w końcu zupełnie rozstroiła jej delikatną psychikę. – Nie chciałam zostawiać cię na strychu. Chciałam tylko, żebyś była bezpieczna. – Wsadziła pistolet do kieszeni kurtki i ruszyła w stronę Kary. Ale to była Marlie. Miała twarz pokrytą bliznami, nierówną skórę, jedno ramię wisiało jej bezwładnie, ale nadal była rozpoznawalna.

– Ale gdzie... gdzie byłaś? – zapytała Kara, chociaż trudno było jej się skupić. Tate leżał twarzą w śniegu, ale Marlie najpierw podeszła do większego mężczyzny i wytrąciła mu pistolet z ręki.

– W pułapce – rzuciła Marlie, emanował z niej gniew, gdy patrzyła na nieruchome ciało swojego ojca.

– Z Walterem?

Potaknęła z zaciśniętymi ustami.

Kara wreszcie się ruszyła, podbiegła i uklękła koło Tate'a. Wymacała jego puls. Dzięki Bogu.

– Pomóż mi – zwróciła się do Marlie i chociaż cała ta scena wydawała się surrealistyczna, zobaczyła, że Tate odzyskuje przytomność i zaczyna mrugać.

Proszę. Proszę. Proszę, proszę, pozwól mi żyć, proszę nie zabieraj go. Nie Tate'a. proszę. Modliła się do Boga, chociaż czasem wątpiła w jego istnienie.

Zsunęła rękawiczki, potem zmierzniętymi palcami rozsunęła zamek kurtki Tate'a i rozdarła koszulę, żeby spojrzeć na ranę. Kula przeszła mu bark.

– Wesley – wyszeptła, czekając, aż skupi na niej spojrzenie. – Boże... jak się czujesz? – Głos jej się łamał.

– Co się, do cholery, stało? – zapytał, mrugając. Wreszcie spojrzał na nią i na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Zostałeś postrzelony. Gonił mnie Walter Robinson i... – Głos uwiązł jej w gardle, czuła zbyt wiele różnych emocji. Krwawił, ale żył.

– Pozwól mi – zaproponowała Marlie, klękając obok. Wiatr potrząsał zamrzniętymi gałęziami, wciąż sypał śnieg. – Umieję to zrobić. Jestem w tym dobra. On... – zerknęła na ojca leżącego w śniegu – mnie nauczył. Nie mogliśmy korzystać ze szpitali, ale sam był ratownikiem medycznym, kiedy służył w wojsku. Więc... – Uwijała się szybko, oddarła kawałek tkaniny z koszuli Tate'a, żeby owinać jego ranę i powstrzymać utratę krwi, podczas gdy Kara wybierała numer 911. Szczękały jej zęby, w głowie dudniło, ale jakoś udało jej się podać adres.

– Pospieszcie się. Walter i Jonas nie żyją, jedna osoba jest ranna.

Tate próbował wstać.

– To nie jest dobry pomysł – ostrzegła Marlie, unosząc rękę. – Pozwól mi najpierw tu skończyć. – Owinęła materiał wokół jego ramienia i zawiązała najlepiej jak potrafiła.

– Marlie Robinson? – zapytał, zaczynało mu się przejaśniać w głowie. Krzywiąc się z bólu, podparł się na łokciu zdrowej ręki i spojrzał na leżącego twarzą w dół nieruchomego Waltera Robinsona. Po chwili znowu przeniósł wzrok na pomagającą mu kobietę. – Żyłaś przez cały czas?

– Tak – rzuciła krótko. – Powinieneś leżeć. Naprawdę.

– Już w porządku – stwierdził i próbował się uśmiechnąć, lecz uśmiech szybko zmienił się w grymas bólu. – Bywało gorzej.

– Nie sędzę – wtrąciła Kara, ujęła jego rękę, po czym widząc, że Tate z tego wyjdzie, zapytała siostrę o to, co dręczyło ją przez dwadzieścia lat. – Dlaczego? Dlaczego nie wróciłaś?

– Nie chciał mnie puścić – odparła Marlie, nadal klęcząc i wskazując leżącego ojca. – Nie po tym, co widziałam. – Wzdychając, przysiadła na piętach i zerknęła na Waltera. Wiatr szarpał jej włosami, odsłaniając twarz i ukazując bliznę pod jednym okiem. Marlie domyśliła się, że Kara ją

widzi, więc dotknęła poszarpanej linii przecinającej jej policzek. – A to? Tata tego nie zrobił. Nie, to zasługa Jonasa. – Uśmiechnęła się kwaśno. Jej głos był zimny jak noc, miała martwe spojrzenie. – Popelniłam ten błąd, że weszłam mu w drogę.

– Co się stało? Dlaczego mnie zostawiłaś? – zapytała Kara. Mimo mrozu, mimo że Walter leżał martwy, a Tate został ranny, musiała to wiedzieć. – Dlaczego? Dlaczego na strychu? Sama?

– Musiałam – odparła Marlie smutnym tonem. Roztarła ramiona i odwróciła wzrok od Kary. Patrząc w dal, w punkt, który tylko ona widziała, dodała cicho: – Wtedy nie umiałam wymyślić niczego innego. Nie wiedziałam, co robić, ale musiałam cię ratować. Widziałam, jak Jonas zabija Donnera przez Lacey. Gdy skończył i podniósł głowę, zobaczył mnie, wtedy pojawił się tata, Walter. – Marlie zadrżała. – O Boże. Byłam taka zakręcona. Tata wrócił do domu, żeby rozstrzygnąć z mamą kwestię opieki nade mną i Donnerem.

Marlie spojrzała z niechęcią na ojca, wiatr dął nad zamrzniętym jeziorem, śnieg wirował i tańczył w powietrzu, drzewa się kołysały. Zatraciwszy się we własnych wspomnieniach tamtej potwornej nocy, Marlie nie zauważała świata wokół. Mówiła cicho i beznamyślnie. – Wszedł tata... drzwi musiały być otwarte, i przyłapał Jonasa, gdy ten podrzywał gardło Donnerowi. Płynęła krew, Donner gulgotał. Tak mi to opowiedział.

Kara poczuła skurcz w żołądku.

Teraz z głose Marlie pojawiły się emocje.

– Ojcu kompletnie odbiło. Odwaliło mu na widok Jonasa mordującego jego syna. – Marlie pokręciła głową. – Później powiedział mi, że w tej jednej chwili zachwiał się cały świat, że wróciły uczucia z przeszłości, gdy służył w wojsku. Dosłownie wpadł w furję.

– I wszystkich zabił? – zapytała Kara z niedowierzaniem, skręcało jej wnętrzności na wspomnienie makabrycznej, krwawej sceny. Na policzkach zamarzyły jej łzy, wciąż trzymała Tate'a za rękę i mocno ją ścisnęła.

– Tak mi to tłumaczył.

– Ale dlaczego... dlaczego? – wyszeptała Kara. – Tatę, Sama juniora i...

– Wiem, wiem. To takie okropne. Nie do pomyślenia.

Kara uświadomiła sobie, że jej siostra żyła z tą niezrozumiałą, odrażającą, otepiającą prawdą przez dwadzieścia lat.

Marlie cicho zaszlochała, wiatr zagłuszył ten dźwięk. Następnie spojrzała na nieruchome ciało swojego ojca.

– Powiedział mi, że Sama juniora zabił instynktownie, bo był świadkiem. A potem bestia zerwała się z łańcucha. Tak się wyraził. „Bestia zerwała się z łańcucha”. Jakby mieszkała w nim przez cały czas. Tylko że była uwięziona. – Pokręciła głową, jakby nie uznawała wymówki ojca dla jego brutalności. – Zabił mamę i twojego tatę, ponieważ ich nienawidził – oznajmiła ze smutkiem. – Mamę za to, że go zdradziła, a Sama seniora za to, że nie tylko ukraść mu żonę, lecz także dzieci.

Kara wyobraziła sobie mrozącą krew w żyłach scenę, gdy Walter zamordował Sama juniora, po czym wszedł na górę z zakrwawionym mieczem i dokończył tam swoją śmiertelną misję.

– Dlaczego się nie obudzili? – zapytała Kara. Wyobraziła sobie ten harmider, krzyki, wrzaski, upadek choinki, pękające drewno, gdy miecz spadł na półkę nad kominkiem.

Marlie wzniosła oczy do nieba, śnieg padał na jej zniekształconą twarz.

– To moja wina – przyznała, a z oka popłynęła jej łza. – Uśpiłam ich. Żeby się nie obudzili. Miałam spotkać się z Chadem, żeby z nim uciec. Wiedziałam, gdzie Sam senior trzyma rezerwową gotówkę. Widziałam, jak ją tam chował. Wobec tego zaplanowaliśmy, że zabierzemy kasę i zwiejemy. Bylibyśmy daleko, zanim rodzice by się obudzili. Więc... więc, sama rozumiesz. Ja też się do tego przyczyniłam. Mam swój udział w morderstwach. Byłam... współwinna.

Oszołomiona, Kara próbowała uporządkować sobie tę nową wiedzę.

– Byłaś tylko nastolatką, zakochaną dziewczyną. – Pokręciła głową.

– Idiotką – przyznała Marlie, a w jej głosie pojawiła się nuta niechęci do samej siebie. – Nigdy się nie zakochuj, Kara – poradziła, chociaż jej młodsza siostra nadal ścisnęła dłoń Tate'a. – Patrz, co miłość wyrządziła naszej rodzinie. Rodzicom. Nam. Jonasowi. Mówię ci, Kara, to bardzo zły pomysł.

Kara poczuła, że Tate ścisną jej dłoń, a z dala dobiegł ją odgłos od dawna oczekiwanych syren.

- A więc ty... to ty do mnie dzwoniłaś i pisałaś?
- Tak – potwierdziła Marlie. Wreszcie odpowiedziała na wszystkie pytania siostry.
- Ale powiedziałaś: „Ona żyje”.
- Wiem. Ona żyje. Marlie żyje.
- Ale przecież chodzi o ciebie – wytknęła jej Kara.

– Och... tak, racja – westchnęła. – Przez dwadzieścia lat miałam wiele imion. Hailey. Hailey Brown. Udająca siostrzenicę Waltera, gdyby ktoś pytał. Ale nikt za bardzo nie pytał. Rzadko widywałam ludzi. Nie mogłam i szczerze mówiąc... – ponownie wskazała swoją twarz – nie chciałam. – Syreny zawyły bliżej. – Dopóki nie dowiedziałam się, że wypuszczono Jonasa. To znowu uaktywniło ojca. Świrował! Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Był tak zaabsorbowany, że zostawił mnie w domu w Seaside. Zamknął mnie po raz pierwszy od lat. Dopóki Jonas nie został uwolniony, wierzył, że nie odejdę, że go nie wydam. – Pociągnęła nosem, poruszyła szczęką i popatrzyła na człowieka, który ją spłodził, uprowadził, więził i który uczynił z niej współniczkę w swoim chorym, pokręconym życiu. – Niestety – ciągnęła – miał rację. A przynajmniej w dużym stopniu. Ja też miałam swoje sekrety. W ostatnich latach znalazłam jego klucze, zrobiłam ich kopie, schowałam jeden z jego telefonów na kartę i odkładałam małe kwoty z pieniędzy na utrzymanie domu. Po to, żebym była gotowa, gdyby znowu chciał mnie uwięzić. I byłam. Kiedy wariował na punkcie Jonasa, nie mogłam na to spokojnie patrzeć. Ale... ale nie miałam odwagi, żeby zadzwonić na policję i przyznać się, kim jestem, żebym nie została odkryta i nie musiała rozmawiać z glinami, więc wybrałam inny sposób, zachowałam się jak tchórz, pozostałam Hailey i próbowałam cię ostrzec. – Wzruszyła ramionami i prychnęła, jej oblicze wyrażało wstyd i poczucie winy. – Nie za bardzo mi się udało.

– Mogłaś odejść, kiedy chciałaś?

– W ostatnich latach? Tak. – Kiwnęła głową. Po chwili jej twarz stężała, blizna stała się wyraźniejsza. – Dokąd miałam iść? Moja rodzina poza ojcem nie żyła, nie mogłam ryzykować i kontaktować się z Chadem lub tobą, bo musiałabym wydać ojca. Wiem, że to brzmi beznadziejnie – przyznała, po jej policzku płynęła łza. – Ale przez jakiś czas byłam wyłączona z życia, dochodziłam do zdrowia, ojciec się mną zajmował.

– Uwięził cię!

– Nie... był wszystkim, co miałam – powiedziała łamiącym się głosem.

Kara puściła dłoń Tate'a. Ujęła siostrę za ramię.

– Cholera, Marlie. Mogłaś się ze mną skontaktować.

– Nie przeklinaj – upomniała ją, pociągając nosem i walcząc z napływającymi do oczu łzami.

– Ale...

– Byłaś dzieckiem, Kara! – warknęła Marlie. – Nie mogłam. – Drżącymi palcami otarła łzy i śnieg z twarzy. – W moim przekonaniu Marlie Robinson nie żyje. – Uśmiechnęła się smutno i zepchnęła z ramienia dłoń Kary. Następnie dodała zimno: – Podobnie jak Hailey Brown.

– Ale dla mnie zawsze będziesz Marlie – zaoponowała Kara.

– Dobrze. Pamiętaj mnie taką, jaką byłam.

W jej głosie zabrzmiało jakieś ostrzeżenie.

– Co to ma znaczyć? – zapytała Kara, czując lęk.

– Nie mogę wrócić – wyszeptała Marlie, odsuwając się od Kary. – Nie mogę. Po prostu nie mogę. Już nie jestem Marlie. Ona umarła dawno temu, nie jestem też Hailey.

– Przestań! – zażądał Tate, jakby i on nagle zrozumiał, co się szykuje.

– Marlie, proszę...

Ale było za późno.

Marlie wyjęła pistolet z kieszeni i bez słowa przyłożyła go sobie do skroni.

– Nie! – Kara skoczyła do przodu.

Tate się zerwał.

Pif!

Broń wypaliła, rozległ się głośny huk, a następnie echo w zamarzniętym lesie.

Marlie upadła, kula eksplodowała w jej czaszce.

Kara wrzasnęła. Rzuciła się w stronę siostry.

Tate objął ją ramionami, trzymał ją mocno nad zaśnieżoną i zakrwawioną ziemią.

– Ciii. Wszystko będzie dobrze – powiedział, przygarniając jej głowę, dłoń położył na jej włosach i odwrócił jej twarz od makabrycznego widoku. Zadrżała, cała się trzęsła. – Będzie dobrze. Ciii. Ciii. Ciii – mruczał.

Ale kłamał. Wiedziała to, bo zdążyła zobaczyć nieruchome ciało siostry. Nie było szans, żeby Marlie przeżyła. Żadnych.

Powoli ją kołysał, trzymając mocno, gdy pojawiły się światła, głosy ludzi i wycie syren.

Pomoc wreszcie nadeszła.

O wiele za późno.

Kara była lodowata w środku, część niej – nadzieja, jak podejrzewała – już umarła, ponieważ dzisiaj wieczorem w burzy śnieżnej odnalazła siostrę tylko po to, by znów ją stracić.

Tym razem na zawsze.

ROZDZIAŁ 36

Kara wsadziła do ust cztery miętówki, zebrała się na odwagę i weszła do pokoju szpitalnego Tate'a. Ostatnie dni były koszmarem, z którego wyszła otępiała jak zombie. Jej majaki senne powróciły, tym razem z Marlie w zaśnieżonym lesie, w ostatnich chwilach jej życia.

Musiała się z tym jakoś uporać. Znaleźć wewnętrzną siłę. Może nawet udawać, jeśli będzie trzeba. Przykleiła uśmiech na usta i miała nadzieję, że nie wygląda na fałszywy, że nie jest zbyt promienny i nie kontrastuje z jej umęczoną twarzą.

Niemal czarne włosy Tate'a sterczały w różne strony i opadały mu na czoło, na policzkach pojawił się cień ciemnego zarostu. Ale gdy na nią spojrział, jego niebieskie oczy były ożywione i bystre. Uśmiechnął się krzywo, jakby właśnie usłyszał jakiś dowcip.

Nie kojarzył jej się z nim żaden dowcip, pomyślała, lecz pokręcone, wypełnione bólem życie, jakie dotąd wiodła.

– Cześć – przywitała się i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając za nimi swoje demony. – Woził wilk razy kilka, co nie?

– A i owszem, nie przewidziałem tylko, że w tym związku będę miał randki w szpitalu.

– A więc tak to się teraz nazywa? Jesteśmy w związku?

– Zawsze byliśmy. Może nie w takim jak teraz, ale zawsze coś nas łączyło.

Postanowiła nie wnikać.

– Jak się czujesz?

– Nie jak milion dolarów, ale nieźle. Dzisiaj mnie wypiszą.

– Zauważyłam, że pod drzwiami nie ma strażnika – powiedziała, stwierdziwszy z zaskoczeniem, że ma ochotę się z nim przekomarzać. I flirtować.

– Nikt nie odgradza mnie od hordy fanek?

Roześmiała się, chociaż wyszło to nieco gorzko, gdy zerknęła za okno na parking, gdzie niecały tydzień temu gromadzili się fani Jonasa. Zobaczyła swoje odbicie w szybie, ale się nie przstraszyła. Już nie. Zrobi, co będzie trzeba, żeby znaleźć drogę powrotną do życia, jakie było jej piśniane na początku, życia, które chciała dać jej siostra wiele lat temu. Ścisnęło jej się serce na myśl o Marlie i próbowała znaleźć pocieszenie w tym, że starsza siostra wreszcie odnalazła spokój.

Odpukała w drewniany parapet na szczęście, po czym odwróciła się i spojrzała na nowego mężczyznę w jej życiu.

– Jeśli chodzi o fanki, wydaje mi się, że nie jesteś zbyt popularny.

– Pasuje mi to. – Uniósł ciemną brew. – A ty jak się trzymasz?

Chciała odpowiedzieć, że u niej wszystko w porządku, że świetnie sobie radzi, ale to byłoby kłamstwo, oboje mieli taką świadomość.

– Radzę sobie. – Zbliżyła się do łóżka. – Wciąż koczuję u ciebie. Mój dom nadal jest w centrum zainteresowania tych, którzy wielbią makabrę. Wobec tego pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli razem z Rapsodią pomieszkamy u ciebie, dopóki media nie stracą zainteresowania. Mam nadzieję, że się zgadzasz.

– Pewnie. Super. Kiedy wyjdę, będziesz moją pielęgniarką.

– Ani mi się śni. Ale ty możesz być moim psychologiem.

– O Boże. Co za ponura wizja.

– Najgorsza – zgodziła się i uśmiechnęła. Przez kilka ostatnich dni nie miała zbyt wielu okazji do uśmiechu. W górach była zdruzgotana, straciła ostatnie rodzeństwo, a zwłaszcza Marlie, ale próbowała wziąć się w garść, nie zwracać uwagi na media, nie włączać telewizora i telefonu, skupiać się na tym, że wreszcie poznała prawdę, fakt, potworną i makabryczną, ale to właśnie dzięki niej będzie mogła ruszyć do przodu.

Z Tate'em.

Bez Tate'a.

Nieważne, jak to się potoczy, weźmie się za swoje życie.

Jakoś.

– Czy to szaleństwo wreszcie się skończy? – zapytał, siadając na łóżku.

– Boże, mam taką nadzieję. Faiza cały czas mnie naciska i błaga, żebym zatrzymała się u niej w domu w West Hills, ale uważam, że to byłoby jeszcze gorsze. Już dogadała się z kimś w Hollywood, kto chce nagrać kolejny film czy też sequel do tego, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu. Jest podekscytowana. Wręcz w siódmym niebie. To jej chłopak Roger znalazł tego faceta, tego samego dnia, gdy ty i ja mieliśmy do czynienia z Marlie i Walterem. Poleciał do Los Angeles i spotkał się z producentem, który jest znajomym jednego chłopaka z jego zespołu. Producent zdążył już porozmawiać z Alex Rousseau i Mią Long.

– Ty też wystąpisz?

– Z ciotką Fai?

– Tak.

– Ona by chciała. Dzwonił ten producent, ale chyba dam sobie spokój. – Stała jeszcze bliżej łóżka i pomyślała o tym, jak ciotka ją wykorzystywała przez te wszystkie lata, ale ponownie odepchnęła od siebie te myśli. Na razie. – Nie za bardzo mam jak z nią pracować. Zrozum, że już zobowiązałam się do napisania książki z pewnym dziennikarzem. A to taki trochę ciemny typ – stwierdziła i zobaczyła, jak unosi się kącik ust Tate'a. – Mógłby posunąć się nawet do udawania, że został potrącony przez jakąś na wpół oszalałą kobietę, żeby zdobyć dobrą historię. Ale jest w nim coś, co sprawia, że wydaje mi się, że powinnam na niego postawić. – Uniosła głowę, jakby naprawdę się zastanawiała. Po czym pstryknęła palcami. – O właśnie, przypomniałam sobie! Może dlatego, że przyjął przeznaczoną dla mnie kulę. – Na samo wspomnienie Tate'a wskakującego pomiędzy nią i Waltera w jej oczach pojawiły się łzy i ścisnęło ją w gardle. Odchrząknęła. – No więc myślę, że może, no wiesz, zostanę przy nim. Mieliśmy umowę.

– Mieliśmy – potwierdził i usłyszał, że zabrzmiał szorstko. – Kara – odezwał się łagodniej. – Zostań w moim domu. Zostań ze mną. – Ujął jej nadgarstek, palce miał silne i ciepłe. – Jakoś to wszystko ułożymy.

– Wszystko? – Roześmiała się. – To chyba niemożliwe.

– Przekonajmy się. – Spojrzał jej w oczy. – Co powiedziała twoja lekarka?

Kara także spędziła dwie noce w szpitalu, została przebadana pod względem fizycznym i psychicznym, rozmawiała z psychologiem, który skontaktował się z doktor Zhou. Przepisano jej leki na uspokojenie i dostała wypis, chociaż miała pozostać pod opieką lekarza.

– Moja lekarka? – powtórzyła, bagatelizując problem. – Co powiedziała? Hmm. Cóż, to co zwykle. Że mam stany lękowe i że powinnam zażywać leki, że przeżyłam traumę i... nic, czego wcześniej bym nie słyszała. Teraz tylko wszystko jest świeże. Znowu mam co analizować.

– I to ile.

– No tak. Mnóstwo rzeczy – przyznała. – Biorę leki. Na razie. I jestem umówiona na wiele spotkań z terapeutką. – Wzruszyła ramionami. – To co w tym nowego?

– Jakoś przez to przejdziemy – obiecał, zaciskając palce. – A policja? Pewnie się do ciebie przyczepili. Chociaż lekarze próbowali trzymać ich na dystans.

– Aha, rozmawiałam z nimi. Z detektywami Thomasem i Johnson.

W zasadzie rozmawiała z nimi przez prawie dwie godziny tego dnia rano, zanim udała się do domu Tate'a, żeby zajrzeć do psa. Z Rapsodią było wszystko w porządku, bo przyjaciel Tate'a, człowiek o nazwisku Connell, z którym jakoś udało mu się skontaktować, zajął się jej wyprowadzaniem i karmieniem, dopóki oboje znajdowali się pod opieką lekarzy w Whimstick General. Tate miał duże zaufanie do Connella.

– A ty? – zapytała.

– Ja też, przyszli tutaj. Personel medyczny zachwycony nie był, ale ja chciałem mieć to już z głowy.

– No właśnie. Ja też. – Najbardziej zależało jej na tym, żeby móc wreszcie zostawić ten horror za sobą. Jeśli to w ogóle było możliwe. W tej chwili nie wiedziała. Ale co ona w ogóle wiedziała? Raz latem usłyszała, jak tata mówi do Sama juniora; „Życie to loteria, synu”. Położył rękę na ramieniu chłopaka. „Nigdy nie wiesz, co ci przypadnie w losowaniu”. Nie rozumiała tego, gdy miała sześć lat, ale teraz wiedziała już, o co mu chodziło. *Amen, tatusiu. Amen.*

Tate zerknął na nią, jakby nagle przypomniało mu się coś ważnego.

– Wiesz co, będę potrzebował podwózki. Żeby się stąd wydostać.

– To masz szczęście – stwierdziła, pokazując mu kluczyki. – Tak się składa, że jeżdżę twoim SUV-em.

– Moim?

– A jak inaczej miałabym tu przyjechać? – zapytała, uderzając we flirciarski ton. – Moim nadal nie da się jeździć.

– Jesteś okropnym kierowcą – zauważył.

– Nie zawsze. No i to niesprawiedliwe. – Puściła do niego oko. – Chyba będziesz ze mną bezpieczny.

– A więc Walterowi Robinsonowi robota paliła się w rękach – zauważyła Johnson, gdy wraz z Thomasem patrzyła na zamrożone ciało Chada Atwatera w worku na zwłoki, w którym miało jeździć do kostnicy. Dwaj myśliwi natknęli się na jego samochód i dokonali makabrycznego odkrycia. Chad miał gardło poderżnięte narzędziem, które mogło być skalpelem chirurgicznym, zapewne tym samym, które zostało użyte do zabicia i oddzielenia głowy Jonasa McIntyre’a. Robinson miał przy sobie zakrwawiony nóż, w chwili śmierci wciąż ścisnął go w dłoni. W jego domu w Seaside znaleźli jeszcze kilka podobnych.

Johnson i Thomas odbyli wreszcie podróż na wybrzeże, gdzie odkryli, że dom Robinsona z lat osiemdziesiątych bardziej przypomina rezydencję. Miał piwnicę, w której z jednej strony znajdowała się sypialnia, łazienka i minikuchnia, z drugiej natomiast składzik sprzętu elektrycznego i elektronicznego. Według roboczej teorii w części mieszkalnej przetrzymywał swoją córkę przez dwadzieścia lat, ta druga służyła mu do prowadzenia obserwacji. W kilku pojazdach znaleźli urządzenia śledzące, w tym w dodge’u Chada Atwatera, BMW Merritta Margrove’a, lexusie Faizy Donner, hondzie Mii Long i pogruchotanym aucie Kary McIntyre, czyli w samochodach ludzi związanych z Masakrą Rodziny McIntyre’ów. Walter mógł ich śledzić, a gdy nadarzyła się okazja, także zamordować. Więc jeśli ta teoria była zgodna z rzeczywistością, Robinson miał na oku Faizę i Karę, a zapewne także Mię. Nigdy nie będą wiedzieli tego na pewno.

– Szkoda, że nie można go postawić przed sądem. – Zerknęła na samochód z lawetą, który przyjechał po auto Atwatera, żeby zabrać je w miejsce, gdzie zostanie przebadane.

– Serio? Wolałabys, żeby stan marnotrawił pieniądze na proces? Według mnie, dobrze, że nie musimy tracić na to czasu.

Światła ciężarówki zamrugały, a pick-up Atwatera został postawiony na lawecie.

– Lubię, gdy wymierza się sprawiedliwość.

– Zabiła go córka, którą więził przez dwadzieścia lat – zauważył Thomas, wyjmując kluczyki z kieszeni i otwierając pilotem SUV-a. – Moim zdaniem, tak właśnie wygląda wymierzona sprawiedliwość i do tego okraszona sporą dozą ironii. – Spojrzał na nią. – Chodź, spadamy stąd. Zjesz coś?

Po raz ostatni zerknęła w stronę lawety.

– Tak, ale wróćmy najpierw do cywilizacji.

– Znam takie miejsce.

Na przedmieściach Whimstick podjechał pod bar w stylu lat pięćdziesiątych z białą-czarną podłogą, stołami z ceratą i doskonale zachowaną szafą grającą, która teraz wygrywała świąteczne przeboje.

Gdy usiedli w boksie w kącie, podeszła do nich kelnerka z upiętymi włosami zwieńczonymi elfią czapką. W prawie wyludnionym barze pachniało frytkami i grillowaną cebulą. Nazajutrz była Wigilia, wczesnopołudniowe tłumy już wyszły, zostało tylko kilku stałych bywalców przy stołach udekorowanych ostrokrzewem w małych wazonikach stojących koło koszyczka z przyprawami i stojaka na serwetki.

Gdy przyniesiono im jedzenie, Thomas wgrzył się w swojego cheeseburgera.

– Przegadajmy to – zaproponowała Johnson. – Jeszcze raz.

Nie musiała wyjaśniać, co miała na myśli; ostatnie morderstwa stały się głównym tematem rozmów w całym stanie. Johnson przedstawiła główne punkty.

– Jonas zabił Donnera Robinsona i został przyłapany na gorącym uczynku przez ojca Donnera, Waltera. – Ugryzła kęs swojej wegetariańskiej kanapki i przeżuwszy, dodała: – Ale córka tego ostatniego, Marlie, która zamierzała uciec z domu z niedawno zmarłym Chadem, zobaczyła ojca lub też walczących Jonasa i ojca, oraz nieżyjącego brata. Zamknęła siostrę na strychu, po czym próbo-

wała powstrzymać walczących i dostała mieczem.

– Walter był zamaskowany, więc nie wiemy, czy go rozpoznała – wtrącił Thomas.

– Racja. – Johnson zamyśliła się przy dźwiękach świątecznej muzyki słyszalnej mimo szumu smażalnicy i stukania sztućców. – A potem Walterowi odbiło i zabił wszystkich oprócz Kary, która była na strychu. Dzieciak wy dostał się stamtąd, zszedł na dół i zobaczył krwawą łaźnię. Walter wciąż tam był, pobiegł za nią, lecz zauważył Edmunda Tate'a, który usłyszał coś, stojąc na ganku, i pobiegł za dziewczynką. – Przełknęła kolejny kęs, popiła go wodą z dodatkiem witamin. – Wtedy Walter oddalił się z ranną Marlie, podczas gdy Kara i Edmund wylądowali w jeziorze.

– Edmund jednak rozpoznał Waltera i próbował przekazać to ratownikom. Tymczasem Walter uciekł i więził swoją córkę w Seaside.

– To najdziwniejsza część tej historii.

– Och, przestań, wszystko jest dziwne – stwierdził Thomas. Nawet siedzenie tu w tym barze retro i rozmawianie o krwawych zbrodniach przy świątecznej muzyce płynącej z głośników było nieco ekscentryczne.

– Totalnie pomerdane.

Thomas przytaknął. Z tego, co udało im się ustalić, wynikało, że Marlie jakoś udało się dorwać do należącego do ojca telefonu na kartę i znaleźć w jego komputerze informacje o siostrze. Zadzwo niła i napisała do Kary.

– No dobrze, to jeszcze rozumiem, ale nie jestem w stanie pojąć, dlaczego Marlie od niego nie uciekła?

– Z początku nie mogła, była ranna. Walter ją pozszywał.

– Bo nauczył się w wojsku, tak, wiem.

– Ale nie był chirurgiem plastycznym, więc miała pokiereszowaną twarz, ponadto zapewne powiedział jej, że jeśli kiedykolwiek ucieknie, zostanie uwikłana w udział w morderstwach. Pamiętaj, była całkowicie od niego zależna, nie miała do kogo się zwrócić, a przynajmniej tak sądziła.

– Wyprał jej mózg. – Skrzywiła się. – Porąbane.

– Dni zmieniły się w tygodnie, potem w miesiące.

– I tak minęły cholerne dwie dekady. – W głowie jej się to nie mieściło.

– Myślała, że wszystkich straciła. Jej mama została zamordowana, podobnie jak brat i ojczym. Jonas był w więzieniu, jej drugi przybrany brat nie żył, a Kara była tylko dzieckiem.

– A ciotka? – zapytała Aramis. Muzyka się zmieniła, z głośników poleciała wersja country piosenki *What Child Is This?*.

– Faiza. Która przepuła całą masę spadkową.

– Prawdopodobnie nie wiedziała o tym – zauważyła Johnson, gdy elfia kelnerka minęła ich w drodze do innego boksu, gdzie siedziały trzy nastolatki. Rozmawiały ze sobą, cały czas wpatrując się w swoje komórki.

– Pamiętaj, Walter był jej ojcem, wyleczył ją. Gdyby udała się gdziekolwiek, także na policję, skończyłyby w więzieniu, a ona zostałaby całkiem sama.

– Z bliznami na ciele i duszy.

– Właśnie. – Pociągnął łyk coli.

– Ale była na bieżąco w sprawie uwolnienia Jonasa, w sieci figurowała jako Hailey Brown. Trzymała się w cieniu. Jego wyjście zapewne sprawiło, że stała się aktywna, myślę, że bała się, że będzie chciał zemścić się na Karze za jej zeznania.

– Wobec tego ukradła telefon ojca i uciekła.

– Po tym, jak wyjechał, żeby rozprawić się z Jonasem? – zapytała, podczas gdy nastolatki składały zamówienie.

– Tak, miała przy sobie pęk kluczy, więc podejrzewam, że ukradła je ojcu. – Thomas powoli przeżuwał. Zdążył rozważyć wszystkie możliwości. – Może tym razem Walter jej zaufał. W końcu minęło już dwadzieścia lat.

– Sama nie wiem. – Johnson zamilkła i skończyła jeść kanapkę. Wreszcie powiedziała: – Dużo luk do wypełnienia. – Podnosząc serwetkę, pokręciła głową. – Być może nigdy się nie dowiemy. Szkoda Marlie.

Amen, pomyślał Thomas i dokończył picie. Amen.

– Przynajmniej Kara przeżyła – zauważyła Johnson. – No ale, jak sądzisz, czy uda jej się

kiedys żyć normalnie?

– A wcześniej jej się udawało? – Nie był sarkastyczny. Thomas naprawdę uważał, że dziewczyna nigdy nie miała szansy na normalne życie. Najpierw ta tragedia, potem cyrk z sądem i jej zeznaniami, później życie z ludźmi, których przede wszystkim interesowały jej pieniądze i którzy wykorzystywali ją, zarabiając na jej historii. A gdy już miała stać się całkiem samodzielna, przeszła przez kolejną, niewyobrażalną gehennę. Zaciśnął szczęki na myśl o wszystkich potwornościach, które widziała.

– Przynajmniej nikt więcej nie zginął.

– Nikt poza jej siostrą i bratem.

– Jonaszem? – zapytała, gdy kelnerka zostawiła rachunek, który opłacił Thomas. Chociaż raz Johnson nie protestowała. – Według mnie, on już dla niej nie żył. Być może planował, że zabije ją i Lacey, przynajmniej tak mówi jeden z jego kumpli spod celi.

– Facet stwierdził, że Jonas McIntyre w ogóle nie odnalazł Jezusa i że miał wywalone na swoich fanów, że tak naprawdę zależało mu tylko na tym, by odzyskać swoją część fortuny McIntyre'ów, która byłaby większa, gdyby Kara nie odebrała tego, co jej się należało, a co ważniejsze, Jonas pragnął zemsty.

Niestety dla Jonasa, Walter Robinson też jej pragnął i ubiegł go, jeśli chodzi o zabicie Merritta Margrove'a.

– Jonas z pewnością dostał to, co mu się należało – dodała. Miała na myśli odciętą głowę znaną w starym gramofonie, obracającą się powoli na zasilanym baterią sprzęcie, dzięki pomocy słowa Waltera Robinsona. – Walter w ostatniej chwili nie stracił głowy.

– Oooh. Okrutne. – Stłumił śmiech.

– Wiem, przegiłam.

Thomas przypomniał sobie krwawą jatkę, pozbawiony głowy korpus i pieniądze, tysiące dolarów – konkretnie dwadzieścia, w zakrwawionych banknotach koło ciała. Gotówka, którą ukradziono i ukryto, była teraz dowodem w sprawie. Krwawe pieniądze.

Nadal nie wiedzieli, jak Walter Robinson dopadł Jonasa na strychu. Czy atak był zaplanowany, a może to była kwestia przypadku, że Jonas stracił tam życie? Być może nigdy nie poznają na to odpowiedzi.

– A co z Faizą Donner? – zmienił temat. – Czy ona też znajdowała się na liście osób, z którymi Jonas chciał się policzyć?

– Kto wie? – Wzruszyła ramionami. – Ostatnio słyszałam, że razem z chłopakiem wynajęła Alex Rousseau, żeby pomogła im położyć łapy na reszcie masy spadkowej. Roger Sweeney ma jakieś związki z branżą rozrywkową przez jednego z byłych kumpli z zespołu. Dobry, stary Roger poleciał do Los Angeles w dniu, gdy zginął Walter Robinson, i spotkał się z kimś z telewizji, kto chce nakręcić kolejny film o tej sprawie.

– Super – rzucił sarkastycznie. – Chyba nie jestem zaskoczony. Już dzwoniła do mnie pewna dziennikarka i o to pytała.

Spojrzała pytająco.

– Dzwoniła do mnie pewna dziennikarka i o to pytała – powtórzył. Tą dziennikarką oczywiście była Sheila Keegan, która wciąż mu się narzucała, przypominając, że nadal ma u niej dług wdzięczności. Uśmiechnął się, gdy wyszli na zewnątrz, gdzie wiatr szarpał połami jego kurtki, a lodowate płatki śniegu osiadały na włosach. Może w końcu spłaci ten dług.

W końcu były święta.

A oni oboje byli samotni.

– Co robisz w święta? – zapytał partnerkę, siadając za kierownicą, podczas gdy Johnson, porabiając dzierganą czapkę, usiadła na fotelu pasażera.

– Och, to skomplikowane. Spotykam się z moim byłym i jego rodziną. Dla dobra syna. Wiesz, mój mały ma pewne problemy. – Czekał. – Głównie emocjonalne, leki trochę pomagają, ale... Ale najbardziej, gdy ja i jego ojciec jesteśmy razem, więc tak postanowiliśmy. Dla dobra Jamiego. – Popatrzyła na Thomasa. – A ty?

– Dziś wieczorem pracuję.

– A potem?

– Zobaczymy. Będzie dobrze. – Nie wspomniał jednak o Sheili Keegan, gdy odwiózł John-

son na komisariat, żeby przesiadła się do swojego wozu.

To była jego tajemnica.

I najlepiej, żeby nią pozostała.

EPILOG

Dwanaście
24 grudnia

miesiący

później

Kara wyszła ze spotkania i założyła kaptur kurtki. Z ciemnego, szarego nieba padał deszcz. W święta miało być deszczowo i ponuro.

– W tym roku nie będzie białych świąt – powiedział pogodynek, kiedy rano włączyła wiadomości.

Doskonale.

Miała dość śniegu w święta. Może pewnego dnia zmieni zdanie. Ale nie w tym roku.

Wsiadła do samochodu, pięcioletniego subaru outbacka, zakupionego rok wcześniej, i przejechała przez ulice miasta, na których świeciły się świąteczne lampki, w witrynach stały bałwany, Mikołaje i szopki oraz ogłoszenia o noworocznej wyprzedaży. Święta i komercja. Zawsze przy sobie.

Lepiej niż święta i masakra, pomyślała, po czym, złoścąc się na swoje myśli, włączyła radio i usłyszała końcówkę *The Little Drummer Boy* i pierwsze takty *Cichej nocy*.

– Nie! – powiedziała na głos. Nie teraz. Prawdopodobnie nigdy nie. Przełączyła na kanał grający hardrockowe piosenki z lat siedemdziesiątych.

Dream On zespołu Aerosmith.

Trochę lepiej.

Nie, o wiele lepiej.

I w jej mniemaniu także o wiele spokojniej.

Zapewne była w mniejszości, ale nie dbała o to, jechała wzdłuż rzeki, prawie czarna woda odbijała ciemne, nisko wiszące chmury. To był długi rok. Nadal nachodziły ją media, pewne szczegóły dotyczące masy spadkowej i nieruchomości nie zostały jeszcze wyjaśnione, ale miała od tego nowego prawnika, mężczyznę po czterdziestce, skupionego na pracy, skrupulatnego, będącego całkowitym przeciwieństwem Merritta Margrove'a. Zajmował się załatwianiem formalności z firmą ubezpieczeniową po wypadku w górach rok wcześniej. Na szczęście Sven Aaronsen wydobrał po miesiącu spędzonym w szpitalu i kilku miesiącach fizjoterapii. Słyszała, że znowu wrócił za kółko, mimo że w momencie wypadku miał zbyt dużo promili alkoholu we krwi. Ona też, ale o ile jej było wiadomo, nie przekroczyła limitu, chociaż i tak czuła się odpowiedzialna. Zamierzała zachować się uczciwie względem Aaronsena, ale jak na razie firmy ubezpieczeniowe jeszcze nie zakończyły procedur.

Zaparkowała na ulicy przed budynkiem Tate'a, weszła do środka i przywitała się z Rapsodią, która jak zawsze zbiegła na dół, zaszczekała, poskakowała i generalnie odchodziła od zmysłów.

– Też za tobą tęskniłam – oświadczyła Kara, głaszcząc psa po sierści, dopóki Rapsodia nie uciekła i nie zaczęła biegać w górę i w dół po schodach. Uspokoiła się, gdy Kara weszła do loftu.

Tate siedział przy stole i na jej widok odsunął krzesło.

– Cześć – powiedział z uśmiechem, odwracając się z krzesłem w jej stronę. – Jak poszło?

– Jakoś poszło. Dość dobrze. – Zdjęła kurtkę i zauważyła choinkę w kącie pomieszczenia, jej pierwszą od wielu lat. Czuła się tu z Tate'em jak w domu. Wprowadziła się na chwilę rok temu i nigdy nie wyprowadziła, a nawet wystawiła na sprzedaż swój dom w Whimstick. Niedługo zrobi to samo z domem na West Hills w Portland. Faiza i Roger przenieśli się do słonecznej południowej Kalifornii, żeby spełniać swoje hollywoodzkie marzenia, a Kara była prawną właścicielką posiadłości, więc chciała się jej pozbyć. Dawniej był to jej dom, teraz kamień u szyi.

Podeszła do Tate'a, wsadziła rękę do przedniej kieszeni dżinsów i położyła monetę na stole koło jego laptopa.

– Rok w trzeźwości – oznajmiła.

Błysnął zębami w szelmowskim uśmiechu.

– Świetny rok.

– Owszem. – Usiadła na nim okrakiem, objęła go rękami za szyję i pocałowała. Zostali kochankami tej samej nocy, gdy wrócił ze szpitala, to stało się tak po prostu, adrenalina zaiskrzyła, a trauma i świadomość, że życie może zmienić się w jednej chwili, wznieciły ogień.

Rapsodia zaskamlała, domagając się uwagi.

– Och. Obowiązki wzywają – powiedziała Kara, odsuwając się od Tate’a i wstając. – Space-
rek? – zapytała psa.

– Była na dworze niecałą godzinę temu.

– Ale są święta, więc chce wyjść jeszcze raz.

– Mam iść z tobą? – zapytał i znowu pojawiła się u niego potrzeba opieki nad nią, zamartwiania się o jej stan psychiczny. Nie winiła go o to. Rok temu była wrakiem człowieka. Do dzisiaj każdej nocy sprawdzała wszystkie drzwi, chociaż mieszkała z Tate’em, a on był z nią w domu. Wiedziała, że tego przyzwyczajenia już się nie pozbędzie.

– Nie, nic mi się nie stanie. – Zapięła smycz na obroży Rapsodii. – Zaraz wracam.

– Mam nadzieję. Zamówię chińszczyznę na obiad.

Musiała się uśmiechnąć. Wycelowała w niego palec.

– Proszę bardzo. Zróbmy z tego świąteczną tradycję. – Włożyła kurtkę i zeszła na dół, pazurki psa głośno stuknęły na schodach.

Na zewnątrz wiatr się wzmógł, na ulicach prawie nie było ruchu, zrobiło się ciemno, padało, świeciły latarnie uliczne. Trzymając mocno smycz, Kara potruchtała na brzeg rzeki i spojrzała na płynącą wodę, Rapsodia w tym czasie obwąchiwała mur. Pomiędzy latarniami wisiały kolorowe światełka. Opony nielicznych samochodów głośno hałasowały na mokrym asfalcie.

Kara się odwróciła i spojrzała na okna loftu Tate’a. Zobaczyła jego sylwetkę, oświetloną od tyłu postacią na tle choinki, trzymetrowej jodły migoczącej światełkami i ozdobami.

Zrobiło jej się ciepło na sercu, w głowie pojawiły się jego słowa „trzeba żyć z dnia na dzień”. Miał rację. Ostatni rok był dobry. Zaczął się źle, bolesnymi, przytłaczającymi wspomnieniami. Najgorsze były te o Marlie. Tęskniła za siostrą każdego dnia i zapewne zawsze będzie tęsknić, ale musiała przyznać, że każdy dzień mijającego roku był coraz lepszy. Trzymała kciuki i miała nadzieję, że szczęście jej nie opuści.

Uśmiechając się, pomachała do Tate’a, po czym pociągnęła smycz.

– Chodź, Raps! – zawołała i truchtem ruszyła z powrotem. – Wracamy do domu. – Nagle zalała się łzami, łamiącym się głosem powtórzyła: – W końcu wracamy do domu.